PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK XLIV. Tom 173.

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1927

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Rodzina w zamiarach Opatrzności.[1])

Wśród tych niezrównanych scen z Księgi Rodzaju, które na sklepienie kaplicy sykstyńskiej rzucił geniusz Michała Anioła, jest obraz przedstawiający utworzenie niewiasty. Pogrążony w śnie głębokim, na pustej jeszcze ziemi leży pierwszy człowiek, a z boku jego, pod wpływem twórczej mocy Bożej, jak kwiat ze swego pączka wykwita przedziwna istota, którą Bóg przeznaczył na towarzyszkę mężczyzny. Jakby zdumiona wielkością czekających ją zadań, wznosi ona ręce ku swemu Stwórcy z prześlicznym gestem nieśmiałej a gorącej modlitwy, a na to pierwsze błaganie przyszłej matki wszystkich żyjących odpowiada Bóg słodkim znakiem twórczego błogosławieństwa. „I stworzył człowieka na wyobrażenie swoje, mężczyznę i białogłowę stworzył je i błogosławił im i rzekł: Rośnijcie i mnóżcie się i napełniajcie ziemię". (Gen. 1, 27. 28).

Scena, którą za natchnionym pisarzem odmalował pędzel tytanicznego artysty, to początek tej wielkiej rzeczy, która ma na imię „rodzina". Dopóki jej nie było — „nie dobrze było człowiekowi samemu ... bo nie znajdował pomocy podobnej sobie" (Gen. 2, 18. 20); odkąd ona się ukazała, nie miał już człowiek być skazanym na gorycz i ubóstwo samotności, bo od kolebki, aż do grobu rodzina miała go utulić swem słodkiem objęciem, wykarmić, wykołysać, wykształcić, uszlachetnić, uszczęśliwić, uwieńczyć.

Mając w myśl powierzonego mi tematu powiedzieć słów

---

[1]) Mowa miana na Zjeździe katolickim w Warszawie 28. VIII. 1926. Niebawem ukaże się także w księdze pamiątkowej Zjazdu.

kilka o rodzinie tak, jak się przedstawia w zamiarach Opatrzności Bożej, muszę przedewszystkiem zatrzymać się nad planem, wedle którego Bóg rodzinę zbudował i nad bogactwem sił, jakiemi w hojności swojej ją wyposażył. Jeżeli bowiem, jak pięknie mówi śpiewak Boskiej Komedji

> Majestat wszystkich rzeczy Stworzyciela
> W przestwory wnika i na światów skroni
> Ustopniowaną jasnością odstrzela (Raj. I, 1)

to w żadnej może z czysto ziemskich rzeczy nie skupiły się promienie Mądrości i Dobroci Przedwiecznej z taką obfitością i blaskiem, jak w umiłowanem dziele Bożem, w kolebce i matce rodzaju ludzkiego — przedziwnej i przesłodkiej rodzinie.

Na całość gmachu rodzinnej budowy składają się z myśli Bożej trzy piętra i trzy rodzaje odrębnych wiązań — nie równych, lecz w miarę wznoszenia się w górę coraz wyższych i wspanialszych.

Przez najniższe i najdalsze bytu swojego podstawy tkwi rodzina głęboko w materjalnym wszechświecie i uczestniczy w żywiołowych jego siłach. Na tym poziomie wchodzi w skład życia rodzinnego ciało i krew i cała ta ciepła a bujna sfera uczuć, dążeń i czynów, które ze zmysłów się rodzą i do przedmiotów zmierzają zmysłom dostępnych.

Czy można mniemać, jak to różnemi czasy twierdzili błędnowiercy, że przynajmniej na tem najniższem piętrze swej budowy podlega rodzina jakiejś przyrodzonej plamie i że tkwi w takim gruncie, na którym nie może się zachować zupełnie nieskalaną?

Nic fałszywszego nad te poglądy, których Kościół nigdy nie uznał i nie dopuścił. Prawdą jest, że ta sfera życia łatwo ulega zniekształceniu i spaczeniu; prawdą też jest, że nasza skażona natura bądź pożądliwością miotana, bądź wstydem ściśnięta, nie miewa dość jasnego i spokojnego wejrzenia, by i z tej strony całą piękność rodziny należycie móc ocenić; nieprawdą jest, jakoby u tych fizycznych korzeni ludzkiego bytu było coś, co z samej swej istoty nie mogłoby być czyste i szlachetne i podniosłe. Bo przedmiotowo rzecz biorąc, któż może wątpić, że muszą być piękne te uczucia i czyny, których na tysiącznych miejscach ksiąg świętych

sam Bóg używa za symbole najsłodszych tajemnic swej miłości? I któż może nie podziwiać w nierozumnej przyrodzie przeróżnych objawów życia, w których grają rolę te same zmysłowe instynkty, które pod horyzontem świadomości tak potężnie odzywają się w człowieku?

Czy jest ktoś, coby bez wzruszenia mógł patrzeć na obraz, który i Pan Jezus wprowadził do ewangelji, na kokosz garnącą piskleta swoje pod skrzydła, albo na inne nierozumne stworzenia, pracujące z największym wysiłkiem, by gniazdko usłać, by potomstwo wykarmić, by nowy płomyk życia rozniecić? Czy jest serce, do któregoby nie przemawiała ta niezrównana dobroć i czułość Boża, która już przez najniższe żywotne popędy wytwarza wśród swych stworzeń przywiązania tak silne, że one zdolne są wprzągnąć jednostkę w służbę zbiorowości i umocnić ją do rzeczywistej ofiary?

Ale opuśćmy już to piętro życia, bo siły na niem działające, lubo tak wielkie i piękne, same przez się, bez pomocy wyższych czynników, nie zdołałyby nigdy zbudować rodziny. Bóg tych sił używa i przeznacza im tę ważną funkcję, żeby nie podlegając wolności, a więc zmienności woli, osadzały podstawy rodziny na stalszym gruncie, ale dalej i wyżej zadanie ich nie sięga. Bo „co się rodzi z ciała", mówi Pan Jezus, „to jest ciałem" (Jan. 3, 6) i jest, jak każde ciało ślepe i tępe i grube, a właściwym poziomem, na jakim rozwija się rodzina, jest jasna, podniosła, subtelna sfera ducha.

Więc ponad tem pierwszem piętrem spojeń rodzinnych, tkwiącem jeszcze głęboko w materji i jej żywiołowych popędach dźwiga Bóg drugie piętro bez żadnego porównania rozleglejsze i wyższe. Do materji i zmysłów przybywa złączony z nią, ale odrębny od niej duch nieśmiertelny i z nim otwiera się dla rodziny cały ogromny świat niezrównanych skarbów. Ślepa siła instynktu ustępuje miejsca świadomości; gwałtowność pożądania zamienia się w słodką i szlachetną miłość; pozioma przyjemność przekształca się w zrozumienie i odczucie szczęścia. I oto jak pień drzewa u dołu jednolity, rozdziela się w górze na cały wieniec konarów i gałęzi, tak dźwignięta w sferę ducha rozrasta się niejako rodzina na cały szereg potężnych pędów, z których każdy jest nowem w budowie jej wiązaniem. A pędy te to owe przecudowne

odnośnie wiążące członków rodziny między sobą, odnośnie z których każda jest nieporównanem arcydziełem Stwórcy, każda różna, choć każda jest odmianą jednej i tej samej miłości, każda samoistna, choć z drugiemi wielorako splecіona i do całości jednego gniazda rodzinnego potrzebna.

U samej podstawy jest ten tajemniczy, ten jedyny na świecie, ten głęboki, jak morze, związek dwóch istnień, o którym Bóg powiedział: „Opuści człowiek ojca swego i matkę i przyłączy się do żony swojej i będzie ich dwoje w jednem ciele". (Gen. 2, 24). Dwie istoty ludzkie stworzone na to, iżby się wzajemnie uzupełniać, wiążą się tak całkowicie, że oddając sobie wzajem wszystko swoje, stają się jednem życiem i jednym życia początkiem. Z tego pierwszego przeciwstawienia i związku wykwitają wnet drugie, inne, a nie mniej piękne i silne. Z jednej strony jest to moc i powaga i niezrównane namaszczenie ojcostwa, z drugiej owa bezdeń słodyczy, którą kryje w swem łonie przedziwne macierzyństwo. A dwom tym odnośniom odpowiada trzecia, znów pełna uroku, choć całkiem różna od pierwszych, stosunek dzieci do tych, którym zawdzięczają życie. Wreszcie na końcu, jako ostatnie z wiązań rodziny, zamyka jej budowę węzeł braterstwa.

Z tych cegiełek, którym imię mąż i żona, ojciec i matka, rodzice i dzieci, bracia i siostry, tworzy Bóg społeczność, najdawniejszą, najsilniejszą, najdoskonalszą i najpiękniejszą ze wszystkich. Wyrasta ona z nizin ciała, ale wystrzela w górę i trzyma się jedynie mocą duchowych wartości. Składa się z kilku lub kilkunastu członków, a jednak jest jakby osobnym swoim światem, pełnym cichych dziejów i piękna i szczęścia i wszelkiego bogactwa. Jest odwieczna, a tak zawsze nowa, jak nowem jest światło i dobro i prawda. Jest zawsze ta sama, a jednak tak nieskończenie rozmaita, że mieni się całą tęczą barw i woni i tonów. Jest w swej budowie tak prosta, jak pacierz dziecinny, a jest w niej dosyć strun, żeby oddźwięczeć wszystkim tonom, do jakich serce ludzkie jest zdolne.

Czy więc to już jest wszystko? Czy na tem kończy się już budowa rodziny i dalej w górę nie sięga?

Możnaby tak pomyśleć, bo cóż może być piękniejszego,

cóż słodszego, cóż bogatszego w treść życiową, jak te przedziwne wyrazy: mąż i żona, ojciec i matka, rodzice i dzieci, brat i siostra? Czy koło tych słów nie oplata się cała historja ludzkości? Czy wśród wszystkich burz i zamieszek wstrząsających światem nie tworzą one jakby filarów cichej świątyni, w której mieszka i z której się rozchodzi ład i spokój, pogoda i szczęście?

A jednak — jakkolwiek wielka i piękna jest rodzina w przedziwnych linjach swej przyrodzonej budowy, nie pojmowałby wcale wysokości i bogactwa Bożych planów, ktoby sądził, że nieskończona Dobroć mogła na tem poprzestać, co dała rodzinie w naturalnym rzeczy porządku. Jak chciał mieć ludzkość całą nie tylko w przyrodzony sposób zacną i szlachetną, ale w nadprzyrodzony sposób świętą, tak kolebki tej ludzkości, rodziny, nie mógł Bóg pozostawić na czysto naturalnym poziomie, ale musiał ją dźwignąć w górę i wyposażyć w daleko wyższe, niż przyrodzone, siły i zasoby.

I w rzeczy samej to uczynił, a uczynił w mierze tak obfitej, że przeszedł wszystkie, nawet najśmielsze nadzieje.

Ponieważ głową i sercem i słońcem odradzającej się ku żywotowi wiecznemu ludzkości jest Chrystus, trzeba było przedewszystkiem rodzinę do Chrystusa przybliżyć i z nim związać, by mogła być objęta kołem tego blasku, który z Niego wychodzi i wszystko jasnością napełnia. To uczynił Bóg, wyciskając na podstawie rodziny, małżeństwie, głęboki i żywy symbolizm. Bo związek małżeński w chrześcijaństwie nie jest już tylko połączeniem mężczyzny i niewiasty, on jest obrazem ale zarazem i narzędziem do urzeczywistnienia innego nieskończenie wyższego węzła, t. j. wiekuistych zaślubin Chrystusa i Kościoła. Małżeństwo chrześcijańskie nie jest więc już tylko sobą i dla siebie, ale ma sobie nadaną nieodłączną, najrealniejszą odnośnię, czyli przynależność do Chrystusa i jako takie jest tą, o której mówi Apostoł, „tajemnicą wielką“ (Ef. 5, 32), pełną niewymownych głębin i niedościgłych wyżyn, jaśniejącą światłem, jak brylant w słońcu, ale też otoczoną mrokiem, którego żadne oko ludzkie nie przebija. I żeby lepiej jeszcze pokazać, iż przynależność do Chrystusa nie jest w małżeństwie chrześcijańskiem czczą tylko nazwą, lecz samą treścią i najistotniejszym

przymiotem, nadaje mu Bóg, na wzór Chrystusa i Kościoła, nierozwiązalność tak absolutną, że tylko śmierć je rozrywa. Ten węzeł, który przed ołtarzem chrześcijańskim zadzierzga się między dwojgiem ludzi, wiążąc na zawsze ich dłonie i serca, ten związek wystercza wysoko ponad wszystkie zmienności rzeczy ziemskich i kąpie się, jak szczyt wyniosłej góry, w niegasnących promieniach Bożego słońca.

Jeżeli jednak Pan Bóg, wzmacniając w ten sposób małżeństwo, oparł budowę rodziny, jakby na granitowej opoce, nie chciał, żeby ta opoka pozostała jakimś suchym i zimnym głazem, niezdolnym do czego innego, tylko do martwego oporu. On osadził rodzinę na skale, ale postanowił, że z tej skały ma tryskać źródło wody żywej, bo uczynił małżeństwo sakramentem, t. j. krynicą, z której płynie niewysychający strumień łaski Bożej.

Czy to nie przecudowna myśl nieskończonej Dobroci, żeby rodzina, jak ma w sobie źródła przyrodzonego życia, tak miała też w sobie wypływ nadprzyrodzonego żywota? I nie darmo mówimy „w sobie", bo łaska sakramentu małżeństwa nie przychodzi małżonkom chrześcijańskim gdzieś z zewnątrz przez kapłana czy innego pośrednika, ale wytryska im z wewnątrz, przez własne ich serca i ręce. Mąż udziela sakramentu żonie, a żona mężowi; oboje są tu dla siebie narzędziem łaski, bo oboje dostępują uczestnictwa w wiekuistem kapłaństwie Chrystusowem. I nie trzeba sądzić, że małżeństwo raz tylko daje łaskę, w chwili, kiedy się je zawiera. Ono istotnie jak prawdziwe źródło bije stale wodą, tryskającą na żywot wieczny, bo daje prawo do coraz to nowych łask uczynkowych, które na każdy dzień życia i na każdą dnia godzinę wzmacniają serca i krzepią ramiona małżonków do cierpliwego dźwigania swych brzemion.

Te łaski wszakże, które jakby soki nadprzyrodzone po drzewie rodziny się rozchodzą nie tylko są pomocą, ale przedewszystkiem są czynnikiem uszlachetnienia i uświęcenia całego rodzinnego organizmu. Pod ich wpływem, co w przyrodzonej budowie rodziny było piękne, to zaczyna świecić odblaskiem jasności Bożej; co było po ludzku podniosłe, to zaczyna być czcigodne i święte. Rodzina, która w przyrodzonym porządku rzeczy była jakby domem, w nad-

przyrodzonym zamienia się w świątynię, w której Bóg mieszka i strumienie swej łaski wylewa.

Bo doprawdy — czy nie czuć w rodzinach prawdziwie chrześcijańskich tego mieszkania i działania Boga? Czy wszystkim ogniwom, z których splata się ustrój rodzinny nie udziela się od ukrytego w głębi Boga jakiś dziwny blask piękności, godności i chwały?

Małżeństwo dźwignięte jest tak wysoko w sferę ducha, że staje się, jak mówi św. Paweł, owem *honorabile connubium* (Żyd. 13, 4), w którem niższe strony miłości wzajemnej oczyszcza i na wskróś przejaśnia miłość Boża; ojcostwo nabiera nowej, prawdziwie religijnej powagi, macierzyństwu przybywa cała ogromna skala uczuć, do których matka nie chrześcijańska nigdy nie dorasta; synostwo i braterstwo rozwijają się jak wonne kwiaty, o takiej delikatności i wdzięku, że sfera czystej przyrody ani ich zna, ani tem mniej wydać nie może.

I w ten sposób pod wpływem Boga, który do niej się zbliżył, a raczej ją ku sobie podźwignął, zamienia się rodzina chrześcijańska, jakby w prześliczny ogród, gdzie kwitną róże i lilje, jakby w dom Boży, gdzie mają rodzić się i dojrzewać dzieci Najwyższego.

I tutaj otwiera się już droga do rozważenia wytkniętych rodzinie zadań, by znaleźć odpowiedź na pytanie, czego po rodzinie oczekuje Ten, co z tak cudowną miłością ją zbudował.

Szlachetny i pogodny, a tak głęboko katolicki Joergensen rzuca gdzieś piękne zdanie. Powiada on, że rodzina chrześcijańska jest jakby źródłem wiecznie młodego życia, w którem odradza się człowiek i ludzkość do piękności i niewinności rajskiej.[1]) Zdanie to, choć na pierwszy rzut oka wydaje się może zbyt śmiałe, w rzeczy samej doskonale harmonizuje z tem, co o zadaniach rodziny opowiada objawienie. Jeżeli bowiem cała obecna ekonomja zbawienia ze wszystkiem, co w sobie zawiera do tego służy, aby już tutaj na ziemi naprawić wszystko w Chrystusie (Ef. 1, 10), to w tem dziele odnowienia i odbudowy zburzonego grzechem szczę-

[1]) Die Geschichte eines verborgenen Lebens. 1913, str. 4.

ścia najważniejszą może rolę odgrywa rodzina. Na to ją Bóg wyposażył w tak ogromne przyrodzone i nadprzyrodzone siły, żeby była zdolna wlać w rodzaj ludzki, który z niej wychodzi pełne, czyste, bogate, szlachetne i wysokie życie Boże.

Zadaniem rodziny jest najpierw zdrowo i silnie budować ciało.

„Co za arcydziełem jest człowiek — powiada Szekspir przez usta Hamleta — jak wyrazisty i cudowny w postaci i ruchu, jak do aniołów podobny i do Bóstwa zbliżony, ozdoba świata, idealny wzór wszystkich stworzeń". Tak jest — ten Bóg, co sam mówi, że mało umniejszył człowieka od aniołów (Ps. 8, 6), nie chciał go mieć jakąś słabą i zniekształconą istotą, ale i z fizycznej strony obrazem i podobieństwem Stwórcy. Do tego zaś, żeby ową fizyczność człowieka w piękny i zdrowy sposób kształtować, uzdolnił, a więc przeznaczył rodzinę. Czyż bowiem nie stwierdzamy doświadczalnie, jak jedno pokolenie może na drugie pracować, aby już samem rodzeniem wlewać weń zdrową krew, tworzyć mu silny organizm, przekazywać dobrze wykształcony system nerwowy i sprawnie działający aparat zmysłów? Czy nie widzimy w rodzinach pamiętnych na ten ważny obowiązek i na wielką w tym względzie odpowiedzialność, że dzieci wogóle przychodzą na świat zdrowe i piękne, żeby wedle słów psalmisty, jak młode pędy drzewek oliwnych otoczyć tych (Ps. 127, 3), co przelali na nie swe własne życie?

Ale pomińmy już fizyczną stronę, bo ona, lubo bardzo doniosła, jest wreszcie tylko zewnętrzną łupiną człowieka. Rodzina może a więc powinna dać przychodzącym na świat swym członkom bez porównania więcej niż zdrowe ciało. Czyż bowiem Pan Bóg, dając duszę, niema względu na wartość moralną drzewa, na którem nowy pączek ma zakwitnąć? Czy wtedy, gdy człowiek może powtórzyć za Mędrcem: „dostała mi się dusza dobra" (Sap. 8, 19), nie ma tej duszy do zawdzięczenia w pierwszym rzędzie tej rodzinie, która go na świat wydała? Nie może być żadnej wątpliwości, że jak fizyczne kształty i przymioty, jak rozmaite psychiczne uzdolnienia, tak udzielają się z jednego pokolenia na drugie, nie gotowe cnoty, ale dobre do wyrobienia cnót podkłady i nie-

ocenione skarby zdrowych moralnie usposobień. Z czystych, bogobojnych, zrównoważonych rodzin wychodzą dzieci jakby z natury skłonne do dobrego, spokojne, podatne, o nierozbudzonych złych instynktach. Studjując psychologję świętych, widzi się bardzo często, że szlachetnym pędem, na którym zrodził się kwiat i owoc heroicznej cnoty, była właśnie taka „dusza dobra", otrzymana rodzajem najdroższego dziedzictwa, na łonie zacnej, bogobojnej rodziny.

A jeżeli rodzina tyle może, a więc tyle powinna zdziałać przez sam akt dawania życia — cóż powiedzieć o tych olbrzymich możliwościach czynienia dobrze, jakie przed nią otwiera święte prawo i obowiązek wychowania? Czy da się pomyśleć cudowniejszy instytut wychowawczy niż rodzina chrześcijańska? Czy może być tam jakiś problem zbyt trudny, gdzie narzędziem wpływu jest serce macierzyńskie, gdzie kierownikiem jest rozum ojcowski, gdzie od wewnątrz pracuje łaska Boża, gdzie z zewnątrz szlifuje i urabia i uszlachetnia cały tryb i duch chrześcijańskiego domu? Doprawdy biedne są te rodziny, które z konieczności swych warunków bytu czy w smutnem poczuciu panującej pod własnym dachem pustki moralnej, przedwcześnie pozbywają się swych dzieci, by w obce ręce złożyć ster pierwszego ich wychowania. Żaden zakład na świecie nie zastąpi dobrego rodzicielskiego domu, bo żaden niema w tym stopniu, ani łaski stanu, ani powagi, ani miłości, ani całego mnóstwa środków wychowawczych, któremi rozporządzają rodzice. Rodzina gruntuje tak, jak nikt inny, głębokie przekonania wiary i rozwija kwiaty pobożności; rodzina wyrabia w sercu te ciepłe a szlachetne odczucia prawdy i dobra, które są droższym skarbem życiowym niż wszystkie abstrakcyjne zasady; rodzina zaszczepia wysoką kulturę duchową, której żadna wiedza nie zastąpi; rodzina tak, jak natura, bo rodzina jest naturą, wlewa w duszę spokój, prostotę, umysłową i moralną równowagę; rodzina wreszcie wytwarza to pewne przyrośnięcie do społecznego podłoża, dzięki któremu nie staje się człowiek lotnym atomem, zdanym na wolę popędów i podniet, ale tkwi mocno w jakiemś miejscu i środowisku, w jakimś stanie i poziomie, w jakiejś tradycji i opinji, w jakimś kompleksie poglądów i zasad. Rodzina, jednem słowem, to naj-

potężniejszy, niczem na świecie nie zastąpiony środek do wytworzenia i zachowania doskonałego typu człowieczeństwa.

A jeśli takie są zadania rodziny względem jednostki, czy mogą być mniej wielkie wobec całości społeczeństwa?

Przestańmy już — tak mówi świeżo jeden z wielkich socjologów francuskich [1]) — przestańmy już powtarzać banalne zdanie, że rodzina jest pierwszą komórką społecznego organizmu. Ona nie jest żadną komórką społeczeństwa, tylko jest jego matką; jest świętym warsztatem, w którym od góry do dołu cały porządek społeczny wypracowuje się i kształci, utrzymuje i naprawia.

Bo w rzeczy samej między rodziną a wszystkiemi bez wyjątku wyższemi formami uspołecznienia taki zachodzi stosunek, że gdy rodzina jest zdrowa, to po wszystkich żyłach i arterjach społecznego ciała rozchodzi się zdrowie; gdy ona niedomaga, niema jednej komórki w organizmie, którejby się ten chorobliwy nastrój nie udzielał. A przyczyna tego zjawiska jest dwojaka: Pierwszą jest ta, że przymioty osobiste do każdej formy społecznego życia potrzebne, wyrabiają się normalnie tylko w rodzinie; druga ta, że jak niema bardziej wywrotowych elementów, niż ludzie zupełnie luźni i niejako „bezdomni", tak nikt lepiej się nie nadaje na cegiełkę społecznej budowy, niż ten, co najbliższemi węzłami krwi związany, mocno tkwi w rodzinnym gruncie. Stąd to dobrobyt państw i narodów czy pod względem kulturalnym, czy obyczajowym, czy ekonomicznym nie ma lepszego sprzymierzeńca i dzielniejszego współpracownika niż zdrową, zwartą, bogobojną rodzinę.

A wreszcie Kościół.

Zdawaćby się mogło, że skoro Kościół w rządzącej swej części składa się z ludzi, których Chrystus przyszedł odłączyć od ojca i matki, nie będzie w tym Kościele ani dostatecznego zrozumienia rodzinnego życia ani punktów stycznych z linją rodzinnych wpływów. A jednak ma się rzecz wprost przeciwnie. Jeżeli wszystkie formy uspołecznienia związane są wewnętrznie z rodziną, to najściślej związany z nią jest Kościół. Rodzina przygotowuje grunt pod jego pracę, rodzina

[1]) Paul Bureau. L'indiscipline des moeurs.

ustawicznie z nim współdziała i utrwala skutki jego wysiłków, rodzina jest jakby zbiornikiem, który wodę żywą ewangelji przechowuje i rozprowadza, ona jest tą skibą ziemi, która swem łonem okrywa ziarno prawdy, by zapewnić mu wzrost i rozwój, rodzina wreszcie to święty warsztat, przez który Bóg tworzy, wyrabia, przygotowuje wielkich kościelnych działaczy. Cała historja chrześcijaństwa jest świadectwem, jak słusznie powiada wielki autor żywotu św. Moniki,[1]) że dzieje świętych są właściwie dziejami ich ojców i matek.

To też Kościół odpłáca się rodzinie za wszystkie nieocenione, jakie mu oddaje, usługi. Jak Pan Jezus 30 lat życia rodzinie poświęcił, jak pierwszym blaskiem swej cudotwórczej potęgi oświecił gody weselne w Kanie Galilejskiej, tak Kościół uważa rodzinę za źrenicę swego oka i dla jej obrony rzuca chętnie na szalę całą moc swych środków uświęcenia, cały ciężar swej nadziemskiej powagi, cały skarb swych wiekowych doświadczeń, całe napięcie energji swych wojujących zastępów.

I cóż więcej jeszcze?

Niedawno wyszło śliczne studjum wielkiego polskiego przyrodnika.[2]) Opisuje on szczególne rodzaje roślin, których celowem zadaniem jest opanowywać, ustalać, zdobywać dla wegetacji usypiska górskie, płynące rzeką martwego żwiru. Pokazuje, jak te rośliny swe silne a elastyczne korzenie i łodygi wciskają między sunące się kamienie, jak po trochu zatrzymują suche ich fale, jak stopniowo oplatają martwy głaz cały siecią żywych tkanek i wreszcie zamieniają bezpłodne żwirowisko na uroczy stok górski, zieleniejący trawą i mieniący się tęczą barwnego kwiecia.

Działają w tej chwili i w duchowym wszechświecie potęgi, któreby chciały zamienić ludzkość na jakieś wydmy lotnego piasku i na takie wzgórza sypkiego żwiru, na których ani przyrodzone, kultury, ani tem mniej nadprzyrodzone kwiaty cnoty nie wyrosną. Przeczuwał te potęgi Krasiński, kiedy w wieszczem doprawdy widzeniu ostrzegał swój naród przed tą ciemnością, co będąc „sama pychą i złością

---

[1]) Mgr. Bougaud.

[2]) Prof. Władysław Szafer. „Rośliny piargów".

i swarem i mężobójstwem onem, jak świat starem i kłamstw i bluźnierstw rozkipionym warem", „pnie się już, wzdyma, rośnie, ku nam zmierza".

I wstała siwa, w pasach czerwoności
W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie
Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości
Na swych topielach piętrzy ku wyżynie. (Psalm dobrej woli).

I coby się stało, gdyby ta potęga miała zwyciężyć?

Stałoby się to, co przy ujściu Niemna pokazywał stary wajdelota młodym oczom Konrada Wallenroda:

Widzisz, mawiał mu starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce?
Już je piasek obleciał. Widzisz te zioła pachnące?
Czołem silą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie;
Ach daremnie! bo nową żwiru nasuwa się hydra
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.

Tak jest! Świat zamieniłby się niechybnie na straszliwą, bezpłodną pustynię, gdyby groźnej „burzy od wschodu" udało się wyrwać z naturalnego położenia pokłady i warstwy żywego dziejowego gruntu.

Szczęściem jest potęga, która do tego nigdy nie dopuści, a tą potęgą jest rodzina. Ona — jak te rośliny na usypujących się górskich stokach — ona swe silne a gibkie korzenie zapuszcza głęboko w sypki żwir ludzkości, ona pierwsza oplata, zespala, ustala luźne ziarna, ona je zwilża i użyźnia i suchy piasek w grunt urodzajny zamienia, ona martwą pustynię przekształca na piękne pola i grządki, gdzie złocą się pszeniczne łany i kwitną „kwiaty Bożego ogrodu".

To rodzina robi i to zrobi, bo tak do niej na początku odezwał się Bóg: rośnijcie i mnóżcie się i napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną.

Żeby jednak to ogromne dzieło swoje mogła rodzina wykonać i szybciej i w pełniejszej mierze, trzeba jej dopomóc i wziąć ją w obronę, bo dużo zawziętych wrogów godzi na jej życie. Szarpie ją zębem dzikiego zwierza rozpasana namiętność; niszczy ją wadliwy ustrój społeczny, w którym większości gniazd rodzinnych krwawe ubóstwo nie pozwala prawidłowo się rozwinąć; podkopują ją teorje szaleńców, co radziby bez jej pomocy budować mury społecznego gmachu,

zabijają ją dążenia tych, co starają się oderwać rodzinę od jej Twórcy i słońca i duszy, od jej mocy i życia, od Boga.

Na ten wspaniały obchód katolicki zgromadziła nas cześć i miłość dla anielskiego młodzieniaszka, który jest najcudniejszym kwiatem polskiej rodziny. Niechże ten wielki patron i obrońca, który tyle razy wspomagał swą ojczyznę na polach bitew, wesprze nas i teraz w walce o świętość naszych ognisk domowych. Niech powściąga szerzącą się gangrenę brudu, niech nam wyprasza dobre urządzenie społecznych stosunków, niech dopomaga do wprowadzenia chrześcijańskiego małżeńskiego prawa, niech broni nas od tych zamachów na najwyższe dobra, któremi kieruje zaślepienie lub przewrotność! A jeśli ta jego przyczyna i nasz własny zbiorowy wysiłek zjednają naszym rodzinom więcej mocy, zwartości, czystości życia, wierności prawom Bożym, to możemy bezpiecznie spoglądać nawet w te czarne chmury, za któremi przyszłości nasza się kryje, bo, gdzie rodzina zdrowa, tam naród stoi na opoce, której najgroźniejsze burze nie poruszą.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Władysław Reymont.

Człowiek i twórczość.

Szkic niniejszy pomija szereg zagadnień, zawiera szereg niedomówień. Jest raczej impresją, niż analizą naukową. Wiele przypuszczeń wymagałoby dowodów, dowody studjów, studja materjałów, materjał oceny, ocena czasu.

Ośmieliłem się jednak przerwać ten łańcuch, złożony z nieskończenie wielkiej ilości ogniw, i to zaraz na pierwszem ogniwie. Najwięcej zatem przypuszczeń. Przypuśćmy więc, że wszystko to jest łomkie, kruche, a przedewszystkiem godne pobłażania. Cóż zostaje? Prosta opowieść o moich sentymentach dla powieści Reymonta i dla jego osoby. Niekiedy i to bywa coś warte, zwłaszcza gdy się jednoczy z zadumą nad świeżą mogiłą.

Obok szeregu herbownych szlachciców, obok kilku karmazynowych magnatów, obok czarnoksiężników, guślarzy i smutnych poławiaczy dekadenckich nastrojów, obok namaszczonych kapłanów wydała „Młoda Polska“ dwóch tęgich, zuchwałych, barbarzyńskich chłopów: Reymonta i Kasprowicza. Obaj weszli do literatury z taką zaciętością, z jaką drwal wchodzi do dziewiczej puszczy. Zaczęli wrębywać się w życie coraz mocniej, coraz głębiej, coraz uporczywiej, wprost do zapamiętania. Do zacisznych kapliczek modernizmu, do monumentalnie wyniosłych tumów młodego piśmiennictwa weszli, ciężko stąpając, jak dwaj barbarzyńscy Goci do białych pałaców Romy. Brzęknęli słowem twardem, chropawem, niby zardzewiałym mieczem. Mowa ich była, jak saga staro-germańska, nieuporządkowana, pierwotna.

Reymonta z Kasprowiczem, mimo zasadniczych różnic, łączy niewątpliwe pokrewieństwo. Obaj są, że tak powiemy, pisarzami jednakowego wymiaru: wyolbrzymiają w swoich

wizjach rzeczywistość, śpiewają hymn na cześć żywiołowych potęg duszy ludzkiej, odczuwają żywo drgnienia psyche zbiorowej; u obu czujemy w pojmowaniu świata jakiś patos religijny, jakiś surowy rygoryzm moralny, tkwi w nich niespożyta siła pierwotna. Obaj nakoniec są wspaniałymi przedstawicielami rasy. W ich dziełach z każdego wiersza przemawia stężona, zwycięska plemienność.

Swego czasu w głośnem na całą Polskę „Confiteor" pisał Stanisław Przybyszewski, co następuje: „W narodzie tkwią korzenie artysty, z niego, z ziemi rodzinej ciągnie on najżywotniejszą swą siłę. W narodzie tkwi artysta, ale nie w jego zewnętrznych przemianach, tylko w tem, co jest w narodzie wiecznem: jego odrębności od wszystkich innych narodów, w niezmiennej i odwiecznej rasie".

Z tego stanowiska ujął Przybyszewski twórczość Kasprowicza w znakomitej poetycko-krytycznej glossie pod tytułem: „Z gleby Kujawskiej". Reymont poniekąd również zadośćuczynił temu wymaganiu programu „Młodej Polski". Poniekąd, gdyż dla niego polskość związana była nierozłącznie z „zewnętrznemi przemianami", z charakterystycznem pięknem polskich strojów, tańców, obyczajów, słowem z całą folklorystyczną krasą. Był bowiem urodzonym epikiem, i ta właśnie cecha wyróżniała go wśród całej plejady owoczesnych twórców. Ale nietylko to! Reymont wyobrażał odmienny gatunek twórcy, niezrozumiały dla czcicieli t. zw. „modernizmu". „Reymont w poezji polskiej doby ubiegłej, pisze J. N. Miller, zajmuje swoiste stanowisko... W okresie triumfalnych zwycięstw liryki modernistycznej nad niedobitkami pozytywizmu Reymont był epikiem...; w czasie apoteozy jednostki, kultu nadczłowieka, histerycznego sabatu w muzeum dekadenckich osobliwości — Reymont jest poetą zbiorowości i typu; w czasie nastrojowego mazgajstwa, „pięknodusznych" wzlotów w dziedzinę złud, majaków, próżniaczego wyławiania impresyj o wschodzie i zachodzie — Reymont jest poetą pracy; wbrew kultowi anarchicznej swobody i satanizmu — Reymont jest piewcą prawa Bożego na ziemi; a w okresie apoteozy burzy i zamętu — zwiastunem pokoju". Naukowe badanie twórczości Reymonta winnoby przedewszystkiem wyjaśnić tę jego odrębność psychiczną, tak zna-

mienną w zestawieniu z nastrojami, które wszechwładnie panowały wśród dziatwy Apollina z pod znaków „Młodej Polski". Oczywiście, przy rozwiązaniu tej zagadki wypadłoby sięgnąć do najgłębszych pokładów rasy. Regjonalista miałby tu wiele do powiedzenia. Ponadto z dziejami osobowości — należałoby związać dzieje artysty. Słowem, zagadnień mnóstwo! Czas niewątpliwie powiększy znacznie ich liczbę.

* * *

Koleje życia Reymonta należałoby spisać w jakimś polskim Plutarchu ku pouczeniu młodych pokoleń. Dowodzą one bowiem niezbicie, że energja ludzka zdoła nietylko przezwyciężyć opór złowrogich okoliczności, ale, że zarazem potrafi wydźwignąć jednostkę z poniewierki na wyżyny ogólno-ludzkiej sławy. Reymont, jak ów biedny chłopski sierota z bajki, co to od gęsi poszedł na dwór królewski, zakreślił dziwaczną drogę życiową: od chałupy wiejskiego organisty do Panteonu laureatów Nobla. Był z rodu tych samych genjalnych włóczęgów, z tej samej znakomitej konfraternji, która wydała Szekspira, Russa i wielu innych wybitnych mężów.

Urodzony dnia 7 maja 1867 r. we wsi Kobiele Wielkie w województwie Łódzkiem, powiecie Radomskowskim stykał się od dzieciństwa z przyrodą, [1]) co miało dla jego późniejszej twórczości znaczenie pierwszorzędne. Jako syn organisty, obracał się ciągle w towarzystwie chłopów. Notował sobie w bystrej pamięci ich odezwania się, ruchy, obyczaje i całe ogólne wzięcie. W ten sposób nagromadził mnóstwo spostrzeżeń, które później zużytkował w „Chłopach" i nowelach chłopskich. Ponadto był jeszcze jeden czynnik, działający pobudzająco na dziecinną wyobraźnię: kościół. Nabożeństwo kościelne, śpiewy, poważna muzyka, wszystko to

[1]) Musimy zaznaczyć nawiasowo, że dotąd podawano mylnie datę urodzin Reymonta 6 maja 1868 r. Ks. Zygmunt Dreier, proboszcz parafji Kobiele Wielkie ogłosił niedawno w pismach odpis metryki. Dowiadujemy się z niej, że właściwie nazwisko autora „Chłopów" brzmiało: Reyment. Ponadto imiona następowały po sobie w innym porządku, niż to ogólnie przyjęto: nie Władysław Stanisław, ale Stanisław Władysław. Matka Antonina z Kupczyńskich była, jak wskazuje nazwisko, prawdopodobnie szlachcianką. Ojciec pochodził z mieszczan.

wzbudzało kompleks niezapomnianych wrażeń. Niektóre z nich Reymont utrwalił w wierszu, napisanym latem 1889 r. Wiersz ten odtwarza pragnienia, towarzyszące autorowi „Chłopów" aż do śmierci. Poeta chce, aby po zgonie złożono go w prostej trumnie sosnowej i pochowano na cichym wiejskim cmentarzu, pod brzozami płaczącemi smutnie. Uwagę naszą pociąga zwłaszcza zwrotka, w której autor daje dowód istotnego zżycia się z nastrojowem wnętrzem kościoła.

„W trumnę sosnową, czystą i białą
Niechaj położą me ciało.
I stary dziadek z babką zgrzybiałą
Niech cztery świece zapalą,
A ksiądz święconą skropi mnie rosą
I zmówi psalmy pokutne".

Prawdopodobnie tedy na kształtowanie się artystycznych skłonności i upodobań Reymonta wpływały trzy czynniki, z których później wytrysły trzy wspaniałe strumienie Jego twórczości: przyroda, środowisko i obyczaj ludowy, oraz obrządek kościelny.

Nauki szkolnej Reymont łyknął niewiele. Do gimnazjum uczęszczał w Częstochowie. Wykazywał bystrą pojętność i niepohamowaną ciekawość świata. Aż go ciągnęło z domu. Sam o tem rozpowiada w pogawędce z Lorentowiczem: „Nie będę bronił tych nowel, bo nie przywiązuję do nich szczególnego znaczenia. Obie pisałem w warunkach, o jakich nie śniło się literatom warszawskim.

— Mianowicie?

— Nie warto gadać.

— Powiedz, powiedz. P. Hoesick przecież...

— Jak Ci wiadomo, po czasach szkolnych zaprzęgnięto mnie do gospodarki. Na sprzęty i zwózkę lubiłem patrzeć, ale mniej mnie zajmowało pilnowanie i rozmaite nudne kontrole. Żarła mnie przytem tęsknota za swobodą, za absolutną swobodą. Pewnego ranka frunąłem sobie po cichutku i przyczepiwszy się do pierwszej lepszej trupy aktorskiej, włóczyłem się z miasta do miasta. Niedługo trwała uciecha, bieda zajrzała w ślepia, więc — jazda z powrotem do domu. Wsadzono mnie na kolej. Okropna monotonność, brak ludzi, niemożność myślenia ani czytania działały zabijająco. Otrzy-

muję w spadku nieco pieniędzy i rżnę do teatru po raz drugi. Żyłem w gorączce, w szale".

Oto obrazek barwny, charakterystyczny, przywodzący na myśl awanturnicze peregrynacje średniowiecznych rybałtów, żaków i trubadurów. Włóczęgowski tryb życia rozwinął w Reymoncie upodobanie do obserwacji. Odtąd stanie się zaciekłym łowcą przygód i typów. Gdy zechce napisać powieść o Łodzi, pojedzie tam specjalnie, aby podpatrywać oblicza i ruchy łódzkich Żydów, Niemców fabrykantów, dozorców, robotników, giełdziarzy i t. d. Bez naocznej penetracji ani rusz. I to jest geneza Reymontowskiego realizmu.

Ale wspomniane wyżej włóczęgi wywołały jeszcze jeden doniosły skutek. Dzięki nim Reymont, dziecko wsi, zetknął się w sposób najbardziej bezpośredni z brukiem miejskim. Odtąd uwaga jego będzie rozdwojona: prócz chłopa — zaabsorbuje ją mieszczuch, prócz krajobrazu wiejskiego — perspektywa miejska. I rzeczywiście twórczość autora „Roku 1794" waha się stale między kierunkiem urbanistycznym a kierunkiem, powiedzmy, bukolicznym. Szczyt tego rozłamu stanowią dwa arcydzieła: „Ziemia Obiecana" i „Chłopi". Ponadto światek aktorski, w którym w tak szczególnych warunkach przebywał Reymont, dostarczy wątku do dwóch powieści: „Fermentów" i „Komedjantki".

W ogniu przeciwieństw hartował się charakter poety, urabiała się jego skupiona, zwarta indywidualność. Adam Siedlecki dorzuca jeszcze jedną, bardzo prawdopodobną, hipotezę: „Autor „Sprawiedliwie" w swoich latach młodych miał być podobno przez kilka miesięcy aktorem. Nie popasał długo w tym zawodzie. Wydaje mi się, że w tym jego epizodzie życiowym było coś z szukania w sobie belletrysty, nieświadome wyładowywanie swoich późniejszych sposobów twórczych. Reymont późniejszy, Reymont znakomity powieściopisarz, pisze swoje postacie i charaktery tak, jakby je grał na scenie, gdyby miał genjalny talent aktorski. Reymont siedzi w każdej ze swoich figur".

Przechodząc z powrotem do opowieści o kolejach życia Reymonta musimy zaznaczyć, że ani na urzędzie kolejowym, ani w trupie aktorskiej nie zagrzał zbyt długo miejsca. Oto, jak się zwierza Lorentowiczowi: „Kasa wyczerpała się

bardzo szybko, znowu „odpocząłem" w domu i znowu otrzymałem „miejsce na kolei", tylko już gorsze od poprzedniego. Kiedy ta sama historja powtórzyła się dosłownie po raz trzeci, postanowiłem już żyć „samodzielnie". Na kolei zauważono, że mam zanadto zmienny temperament i nie chciano nawet gadać ze mną. Upierałem się, że będę pracował „porządnie", aż mi ofiarowano „na próbę" najgorsze zajęcie, jakie istniało. Dano mi miejsce „praktykanta kolejowego" z pensją 12 rubli na miesiąc. Wyobraź sobie ciężki, długi rok takiego nędznego żywota: od piątej rano do zmroku chodziłem po plancie i pilnowałem robót. Jeżeli wyrwałem się kiedy cichaczem do Warszawy, musiałem potem całe tygodnie śpiewać bardzo cienko. Jadałem u chłopów i skalę życia obniżyłem do najdalszych chyba granic, jakie istnieć mogą. Powierzano mi przytem prace, na których nie znałem się wcale. Wśród głodu i chłodu, siadałem w rowie, i kiedy woda podmywała mosty, których budowy pilnowałem, pisałem sobie *sub crudo,* na kamieniu lub murawie: „Śmierć Franka", „Oko w oko", „Zawieruchę". Most jeden runął, a ja pojechałem szukać szczęścia literackiego w Warszawie".

Tak skończył się jeden okres w życiu Reymonta, okres burzy i naporu, okres bezustannych wojażów i romantycznych awantur. Rozpoczął się okres drugi, żmudnej pisaniny i tęczowych marzeń o różnych powieściach, przyczajonych już w imaginacji autora i lada chwila gotowych do skoku.

Reymont pisze dużo i z furją. Jest pracowity jak Balzak, gotów całe dnie ślęczeć nad świstkami papierów. Odtwarza teraz obficie wrażenia, zebrane w czasie wędrówek. W „Komedjantce" n. p. da plastyczny obraz prowincjonalnej sceny i straszliwej melancholji, towarzyszącej życiu drobnych urzędniczków kolejowych na pokątnej stacji. Oczywiście, wspomnienia osobiste odgrywają tu rolę zasadniczą. Reymont teraz również na gwałt uzupełnia swoje wykształcenie. Pozostanie już jednak na zawsze typem pisarza, dla którego widomy kształt, barwa, bujność kolorytu, ruch z jednej strony, a z drugiej strony prymitywne sprawy moralne i mocno zarysowane, żywiołowe charaktery posiadają stokroć większą wagę, niż zawikłane kwestje intelektualne i subtelnie cienio-

wane hamletyzmy. Życie i temperament wyraźnie w tę stronę przechyliły jego upodobania.

Na bruku warszawskim Reymont przedewszystkiem styka się z ludźmi, którzy z czasem utworzyli wybitne stronnictwo polityczne, t. zw. „narodową demokrację". Wchodzi zatem do środowiska „statystów", jednostek czynnych i trzeźwych, dalekich od tolerowania mrzonek, umiejących, jakby powiedział Zagłoba, myśleć generalnie. Przytem, i to należy mocno podkreślić, znalazł się Reymont w szczególnej atmosferze umysłowej. Wbrew żywym jeszcze tradycjom romantycznym, wbrew szerzącemu się kultowi jednostki, wysuwano tu na plan pierwszy zbiorowość. Organizowano nowy prąd świadomości narodowej. Obcując z Janem Popławskim, Józefem Potockim, Romanem Dmowskim, Zygmuntem Balickim, bezwiednie nasiąkał Reymont duchem szerokiego demokratyzmu, poszanowania rzeczywistości i faktów, zdobywał to socjologiczne na świat spojrzenie, które pozwalało mu, jako artyście, kreślić gigantyczne wizerunki życia gromadnego. Oczywiście, można tu mówić o wpływach jedynie w zakresie wrodzonych usposobień.

W szczegóły tych wzajemnych oddziaływań wprowadza nas bardzo umiejętnie Adam Grzymała Siedlecki: „Autor „Chłopów", pisze, wyszedł z tego zespołu literackiego, który po bliższej lub dalszej elipsie, krążył wokół *Głosu* warszawskiego, dla którego prawodawcami i w zakresie ideologji politycznej i w kanonach artystycznych byli dwaj naprawdę wybitni ludzie: J. K. Potocki i Jan Popławski. *Głos* był poprawką pozytywizmu warszawskiego i korekturą socjalizmu. Powstał jako wstrząs sumienia narodowego, zastraszonego o zbyt bliski związek z rusycyzmem, jaki groził wspólnocie socjalizmu polskiego i rosyjskiego... Na dnie programu tych nawróconych socjalistów spoczywała plemienność polska. Ideologja *Głosu*, z natury rzeczy, musiała zwrócić się do sprawy chłopskiej. Nie był to już ów demokratyzm przedpowstaniowy, lecz przeciwnie, jakieś mniej lub więcej głuche przeczucie polityczne, że kto chce z tradycjonalizmu narodowego wyciągnąć budowę przyszłości, ten musi umieć cenić zachowawczość warstwy ludowej. Tak czy owak, chłop i ziemia stały się substancją, namaszczającą tę młodziuchną

partję na drogę życia. Oczywiście hasło to w innej tonacji brzmiało u nowelisty Reymonta, w innej u statystów przyszłej narodowej demokracji. Dla nich było ono plastycznym logarytmem w wielkiej formule dynamiki społecznej. Dla niego stawało się odrazu konkretnym obrazem figur i przestrzeni, wyrazistych rysów, spoistych powiedzeń chłopskich, zdecydowanej akcji czynu i zapachu zboża na zagonach".

Jak widzimy, Reymont styka się znowu nie z książką, nie z literaturą, nie z kawiarnianą cyganerją artystyczną, ale z realnem życiem politycznem. I prawdopodobnie dlatego bywa później w swych pierwocinach literackich trochę niedźwiadkowaty, kanciasty, chropawy. Wodzi się z językiem, jak parobek z worami żyta. Zwala jedno zdanie na drugie, aż ziemia drży. Nic dziwnego. Gładkość wysłowienia zdobywa się przez ustawiczne obcowanie z arbitrami językowej galanterji. Tymczasem Reymont artysta przebywał dotąd albo w towarzystwie gapiów wiejskich i wielce podejrzanych komedjantów wędrownych, albo w otoczeniu statystów, którzy z arkanami sztuki pisarskiej są w ogólności słabo obeznani. Okoliczności życiowe wychowały Reymonta na zuchwałego barbarzyńcę, który wchodzi do literatury z rumorem i hałasem, lekceważąc układne frazesy i błyskotliwy szych stylowej wymyślności.

Debiutuje w roku 1893. Wysila się na nowelki pełne zawikłań melodramatycznych. Wprowadza niekiedy jaskrawy naturalizm. Ale odrazu jest sobą: tytanem obserwacji, piewcą żywiołu i miłośnikiem przyrody.

W malowaniu natur pierwotnych i uroków przyrody Reymont wykazuje rękę niechybną i smak nieomylny. Zmienia się postać rzeczy, gdy sięga po wątki, które były wyłączną własnością *Chimery, Życia* (warszawskiego i krakowskiego), oraz legji polskich rimbeaudistów, verlainistów i maeterlincków. Staje się wtedy niezgrabny, napuszony, nieswój. Ślizga się po nastrojowych frazesach, jak zażenowany prostak po woskowanych posadzkach. Boi się palnąć głupstwo i sznuruje usta. Sznuruje usta on, przyzwyczajony do gromkich krzyków i bezceremonjalnej mowy. Tego rodzaju wydwarzanie łacno dostrzec można w „Komurasaki, żałosnej historji o pękniętem sercu japońskiem". Jest to

wdzięczne dygnięcie w stronę nastrojowości i symbolizmu, z pod znaków Mirjama.

Oto wyjątek: „O biedne drzewa marznące. O biedne psy bezdomne, które przemykały cicho pod zimnemi ścianami, czołgały się na rogach ulic oświetlonych, przystawały, rozglądały się krwawem, przemęczonem spojrzeniem i głodne, oszalałe trwogą, biegły dalej, szukały bez końca. O niezgłębione, nieopowiedziane tęsknoty nocy zimowych za słońcem. O rozpaczne krzyki konającego wczoraj... O niepojęte jawy jutra". Wystarczy chyba, ażeby naocznie przekonać się, że Reymont w szatach nieuchwytnej nastrojowości wygląda dosyć... naiwnie. Coś jak Faun w jedwabnych kulótach.

W roku 1894 Reymont odbywa pielgrzymkę do Jasnej Góry. W roku następnym wydaje artystyczny pamiętnik z tej pielgrzymki. Jest to ważny dokument psychologiczny. Posiada dla charakterystyki osobowości twórcy wartość potrójną. Po pierwsze — stwierdza, że dusza artystyczna siedziała u Reymonta w oczach. Chłonie on niemi po drodze wszystko: mijane okolice, spotykane postacie, dostrzegane zjawiska atmosferyczne. Po drugie — wykazuje jasno jak na dłoni, że Reymont jest urodzonym piewcą uczuć zbiorowych, niezrównanym malarzem tłumu, opanowanego żywiołową ekstazą. Po trzecie wreszcie wydobywa na jaw Reymontowską religijność. Jest to religijność człowieka, nietkniętego wątpliwościami i sceptycyzmem, religijność konstytucyjna, ustanowiona — nie zaś osobiście zdobyta po rozlicznych błądzeniach i debatach. Dlatego Reymont może powiedzieć o sobie: „Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z niemi, wchodzę w jakieś ścisłe, mistyczne powinowactwo z temi duszami".

Po roku 1895 Reymont wydaje kolejno 3 duże powieści. „Komedjantkę" (1896), „Fermenty" (1897) i „Ziemię Obiecaną" (1898). Otwórzmy nawias, aby podkreślić subtelność i przenikliwość luźnych spostrzeżeń Stefana Kołaczkowskiego, dotyczących „Komedjantki" i „Fermentów". Są to wprawdzie notatki na marginesie, ale to im nie ubliża, a nawet przeciwnie — dodaje wdzięku bezpośredniości. Przytem trafnie one określają zasadnicze cechy obu powieści, oraz ich związek z tłem dziejowem. „Komedjantka" i „Fer-

menty" — to najczystszy impresjonizm. Życie pochwycone jest w jego drgającej ruchem, migotliwej powierzchni. Jak w obrazach impresjonistów nie czuć tu żadnej konstrukcji, a przecież wszystko „komponuje się samo", w tem ujęciu jest nadmiar, a jednak niema przeładowania. Nic nam harmonji nie gwarantuje, nie zabezpiecza, a ona jednak jest. Nie otwierają się nigdzie głębokie perspektywy myśli, nie wysuwają się wyraziście odosobnieni bohaterowie. Bohaterami są tu bowiem zjawiska życiowe. „Fermenty" — Oto określenie, godzące w sedno pewnego momentu końca ubiegłego wieku. Zanim sfermentowały się jasno hasła, już nurtował społeczeństwo jakiś ferment".

„Ziemia obiecana" należy do najbardziej charakterystycznych powieści Reymonta. Uderza w niej dziwna niewspółmierność między artyzmem wysokiej próby, a treścią myślową niedostatecznie przeżytą. Sam temat wymagał ujęcia bodaj trochę filozoficznego. Bądź co bądź rozrost industrjalizmu, wpływ jego na psychikę jednostek i mas, geneza gigantycznych wysiłków woli oraz intelektu, wysiłków — zmierzających do opanowania potwornego skłębienia egoizmów i namiętności i współzawodnictwo trzech ras (polskiej, niemieckiej i żydowskiej) na tle walki o byt, zmechanizowanie życia ludzkiego przez Molocha industrji — wszystko to są sprawy, do których nie można podchodzić bez dokładnego przemyślenia ekonomiki społecznej. Reymont w powieści swej nie wykazuje usposobienia do obejmowania spiętrzonej kaskady wydarzeń — tęczą filozoficznej refleksji. Akcja płynie jak lawina. Oszałamia, olśniewa i porywa za sobą wyobraźnię czytelnika. Nie doprowadza jednak do żadnej intelektualnej syntezy. Ponadto budzi wątpliwość szereg nieumotywowanych skoków myślowych i psychologicznych. W powieści innego wymiaru uszłoby to uwagi. W „Ziemi Obiecanej" razi. Aljans Borowieckiego z Mamoną bierze początek z przygód romansowych. Niewątpliwie w życiu się tak zdarza. Robiono z tego niezłe anegdoty i ucieszne facecje. A jednak obcesowy awans z bożka alkowianego na... Stinnesa witamy z uśmiechem niedowierzania. Może to być zachęcający przykład do kuszenia tą drogą fortuny. Czy jednak tego rodzaju lekcja poglądowa wyjaśni nam sekret

karjery Forda? Otóż to właśnie. Reymont nie umiał otoczyć swego bohatera fluidem genjalności wynalazczej. Powieść skarlała, wskutek dobrowolnego oddania się wyobraźni autora na pastwę zachłannej impresji malarskiej. Zamysł ideowy został rozszarpany przez setki wrażeń kolorystycznych, jak Orfeusz przez bachantki. Ostatecznie zdumiewa nas tołstoizm Borowieckiego. Zrobił miljony i rozmyśla nad ich nicością. Nie podejrzewaliśmy go o takie skrupuły. Autor nas do nich nie przygotował. Perypetje psychologiczne Borowieckiego wypadły niefortunnie. Wystarczy go porównać z Wokulskim, również adeptem Mamony, aby zrozumieć gdzie jest głębia i uzasadnienie, a gdzie płytkość i dowolność. Zamykamy książkę. Cóż zostało w głowie? Szereg plajt, szachrajstw, podpaleń i łajdactw ostatniego rzędu. Trudno istotnie zbudować syntezę socjologiczną na podstawie takich przesłanek. „Wszystko, co Reymont pisał dotychczas, mówi Lorentowicz, świadczyło, że jest to artysta barwy i plastyki, traktujący dusze ludzkie w najlepszym razie jak pejzaż, ale nie obejmujący tych dusz żadną filozofją indywidualną. Jego poglądy społeczne wynikały z uczucia, nigdy przeto nie miały zdecydowanego kształtu. W takich warunkach jego synteza Łodzi musiała być jednostronna i powierzchowna. Złożyły się na nią barwy, namiętności, grube intrygi i zatargi osobiste. Brak ustalonej silnie perspektywy filozoficzno-społecznej nie pozwolił zbudować gmachu mocnego i dobrze wykończonego w szczegółach".

Mimo licznych usterek natury ideowej, „Ziemia Obiecana" jest pierwszą wielką powieścią Reymonta. Z tekstu wysuwa się raz po raz lwi pazur urodzonego epika. Wchłaniamy z lękiem apokaliptyczną wizję miasta-potwora, zalanego białem światłem słońc elektrycznych, świecącego czerwoną gardzielą fabryk, miasta-polipa, żującego w swych żelaznych szczękach bogactwa całej ziemi, miasta-jaszczura, zionącego z płuc swych ogniem i zatrutym oddechem na setki wiorst dookoła. „Jakaż tu epickość zbiorowości, woła Adam Grzymała Siedlecki, jaką masą nie jednostkami toczy się akcja, a potworny moloch industrji ciąży nad człowiekiem, rzekłbyś fatum, rozgniewani bogowie Homera. Jednym z pierwiastków epickości jest wysuwanie zbiorowości

na czoło akcji. Tem się epos różni, między innemi odmianami, od liryki i od dramatu. Ten pierwiastek mamy u Reymonta".

I to jest właśnie ciekawe, że w powieści Reymonta potworny moloch industrji ciąży nad człowiekiem, że wyzwolił się całkowicie z karbów jego intelektu i urósł w potęgę samoistną, często złowrogą. W takiem przedstawieniu rzeczy znajdujemy potwierdzenie tezy Brzozowskiego, że Reymont jest zdezorjentowany kulturą współczesną. W „Ziemi Obiecanej" wtłoczył on w słowa całą dynamikę olbrzymiego środowiska przemysłowego, natomiast nie umiał im nadać tej dziwnej wymowy, która sprawia, że n. p. w pismach Bolesława Prusa widzimy dokładnie wewnętrzną strukturę dzisiejszej cywilizacji. Kilka zestawień:

Fabryka w wyobraźni Prusa nabiera cech istoty rozumnej, celowo zorganizowanej, działającej sprawnie, karnej i bezwzględnie podporządkowanej człowiekowi. U Reymonta jest ona bestją apokaliptyczną, miażdżącą człowieka i jego zamysły.

Perspektywa wielkomiejska budzi w Prusie zdumienie, lęk, nakoniec szacunek dla pracy licznych pokoleń, które z bezkształtnych głazów wzniosły wspaniałe dzielnice, siedziby nauki, sztuki i przemysłu. Dla Reymonta jest ona kłębowiskiem tłumów, potopem świateł i barw, spiętrzeniem murów, tonących w mrokach, dymach i oparach.

Walka o byt to według Prusa ostre współzawodnictwo charakterów, umysłów i uzdolnień, łagodzone samarytanizmem chrześcijaństwa (Wokulski roztacza opiekę nad kobietą upadłą, dr. Brzeski leczy darmo ubogich i t. p.). Reymont wyobraża sobie walkę o byt, jako niszczące wyładowanie energji (podpalenie fabryki, oszukaństwo, podrabianie weksli i t. p.), jako potyczkę centaurów, gdzie względy ludzkości są, doprawdy, czemś nieistotnem.

Czy tak czy owak, „Ziemia Obiecana" jest arcydziełem malarskiego wyrazu. Dość wspomnieć opis świtu w Łodzi, dalej nieco opisy złoconych komnat Krezusów łódzkich, lub nocny pejzaż Łodzi, gdy ulice i domy zalewa potop światła elektrycznego. Wszystko to są wizerunki doskonałe, jakby wyszły z pod pędzla mistrzów flamandzkich. Reymont

w „Ziemi Obiecanej“ wystąpił nadto, jak Michał Anioł, który w słowie ogromnem jak złom marmuru, ujarzmia hymn na cześć zwycięskiej energji żywiołu. Może bezwiednie zaznaczył również pewien etap w ewolucji własnego społeczeństwa, mianowicie ten, gdy obok feudalizmu rycersko-ziemiańskiego zaczął kształtować życie narodu interes gospodarczy i wielki przemysł. „Reymont, pisze Chlebowski, swoją wizją, ujawniającą spotęgowanemi w jego obrazie rysami jaskrawości, przeciwieństwa życia łódzkiego, stał się wyrazicielem duszy polskiej, odczuwającej bezwiednie ucisk tego nowotworu, rozwijającego się w organizmie, niemogącego wchłonąć go społeczeństwa“.

Współpracownik *Głosu* zamaszysty nowelista, świetny oryginalny prozaik, zaczął coraz wyraźniej zyskiwać laury i niebylejaki rozgłos. Wydawcy czasopism wystąpili z dochodnemi zamówieniami, ze słodkiem pochlebstwem i z górnolotnemi obiecankami. Krytycy skreślili parę uprzejmych komplementów, kilka zalotnych pochwał, twierdząc ubocznie, że gotowi są swoje gęsie pióra oddać na usługi znakomitego talentu. A czytelnicy? Było ich niemało i to dosyć łapczywych. Świadczą o tem egzemplarze „Komedjantki“, „Fermentów“, „Ziemi Obiecanej“, — te nieszczęsne egzemplarze z powydzieranemi kartami, z umorusanem wnętrzem, które z wypożyczalni miejskich dostawały się do rąk publiczności. Dziś można patrzeć na nie, jako na niedobitki sławy Reymontowej z lat 1895—1899.

Sławny autor klepał mimo to w dalszym ciągu biedę. Warto posłuchać zeznań bodaj czy nie naocznego świadka, w każdym razie człowieka, spoufalonego z Reymontem. „Do Warszawy Reymont przybył jako młodzieniec już, z zasobem gotówki, wynoszącym 3 ruble. Trzeba przyznać, że było to nawet na owe czasy bardzo mało. Trudno w tych warunkach myśleć o najpierwotniejszym bodaj własnym pokoiku, to też Reymont zamieszkał kątem w izbie na facjacie, mając 3-ch jeszcze towarzyszów. Każdy był widać odeń zasobniejszy, to też Reymontowi dostał się kąt przy samej kuchni, zupełnie prawie ciemny. O pracy literackiej, wobec takiego oświetlenia, trudno było w izbie marzyć. Reymont jednak pisał mimo wszystko, a niktby nie uwierzył, że pierw-

sze utwory późniejszego wielkiego pisarza, pisane były w katedrze św. Jana. Była ona jedynem miejscem, gdzie młody literat znajdował spokój i światła tyle przynajmniej, by własne widzieć pióro". A oto 2 wymowne obrazki: „Pewnego razu w tym właśnie okresie, Reymont wszedł do cukierni Semadeniego i poprosił o kawę. Kelner spojrzał na jego ubranie w strzępach i odszedł nie wykonawszy zlecenia. Gdy Reymont powtórzył, kelner powiedział coś o obdartusach i kazał wyjść... W takich właśnie warunkach powstawały pierwsze nowele Reymonta, drukowane w *Głosie.* Jak ubożuchno wyglądał ich autor, wnioskować można z tego, że gdy po raz pierwszy udał się z niemi do redakcji, służąca wzięła wprawdzie od niego kopertę z rękopisem, ale nie chciała odejść z przedpokoju, tłómacząc, że boi się o palta pracowników redakcji".

Oczywiście dobra reputacja pisarska napełniała od czasu do czasu kaletę, acz skąpo. Najczęściej dawała w zysku gołe laury, wysiedziane krzesła i mocno przeświechtane łokcie. Reymont nie tracił rezonu. Włóczył się po stolicy nocną dobą w towarzystwie różnych skrybów. Baraszkował z nimi po kawiarniach. Toczył zajadłe, nieco wolnomyślne dysputy. Wspomina o tem ze skruchą w „Pielgrzymce na Jasną Górę", z tej okazji, iż go jakaś baba wiejska gwałtownie forytowała na księdza. I cóż by na to rzekli druhowie stołeczni, wzdycha z liryzmem?

Tak oto, a dosyć długo, wiódł żywot chudopacholski. Od roku 1908 często wyjeżdża zagranicę. Zwiedza Niemcy, Włochy, Francję. Czynił to również przedtem, ale rzadziej. Teraz uśmiechnęła się do niego fortuna w sposób nieoczekiwany. Wskutek jakichś dziwacznych wypadków, wskutek jakiegoś rozbicia się pociągu, w którem uczestniczył, Reymont otrzymuje od rządu czy Zarządu Kolei znaczną kwotę pieniężną. Kwotę do tego stopnia znaczną, że zaczyna mieszkać wygodnie, jadać suto, jeździć wytwornie i nie miewa zatargów z rublem i z kieszenią. Rubel statkuje się i z wietrznika przeobraża się w sumiennego lokatora chudej literackiej kieszeni.

Z czasów swojej biedy i ciężkiego borykania się z losem Reymont wyniósł jednak właściwość, która rzuci tra-

giczny, surowy odblask na jego dzieła: mianowicie prymitywny, a zarazem wzniosły stosunek do życia. Życie nie jest dla niego widowiskiem. Jest wysiłkiem. Jego bohaterowie własnemi rękoma wykuwają swój los. Zwyciężają ci, którzy posiadają dość siły i biologicznej energji. Na sentyment niema czasu i miejsca. Grasuje natomiast żywiołowa, nieposkromiona namiętność. Jednostka jest funkcją gromady. Podwładna prawom gromadzkim, nie może się im sprzeniewierzyć bez ściągnięcia na siebie kary. Najtragiczniejsze momenty twórczości Reymonta wynikają ze starcia się jednostki z gromadą. Tak się ma sprawa z wyświeceniem Jagny i z bezlitosnym sądem chłopów nad Jaśkiem Winciorkiem. Życie bywa okrutne, ale jest sprawiedliwe. Poddaje się kipiącej energji. Mięknie w jej żelaznych dłoniach. Mięknie jak wosk. Bohater lepi zeń kształt, jaki sobie upodoba. Wola ludzka triumfuje nawet na zgliszczach, ruinach, pogorzeliskach i grobach, nawet w ostatecznej nędzy i hańbie, nawet wśród bezmiaru klęsk i upodlenia.

Ten moralny świat Reymonta zarysował się po raz pierwszy z całą grozą w noweli chłopskiej „Sprawiedliwie". Dotychczasowe powieści wielu myśli nie dopowiedziały. „Sprawiedliwie" powiedziało bardzo wiele. Było dojrzałem dziełem artystycznem. Krytyk starego autoramentu, Teodor Jeske-Choiński, wróżył autorowi świetną przyszłość (1899). Dramat wsi, dramat, w którym zbrodnia sprzęga się z karą, jak przyczyna ze skutkiem, w którym rolę tragicznego chóru odgrywa ślepy żywioł, demon zniszczenia, a zarazem anioł ognisk domowych — ogień, dramat, w którym w jednakiej mierze biorą udział ludzie i przyroda, musiał rozpłomienić wyobraźnię autora, zamiłowanego w grze sił pierwotnych, w okrutnej, staczanej samotrzeć walce człowieka z żywiołem namiętnością i prawem moralnem. Reymont odnalazł samego siebie. I to sprawiło, że jego artyzm błysnął w słońcu szczerem złotem, jak tęgi, szlachetny trunek. Styl się wydoskonalił. Obrazowy, jędrny, dobitny, przystaje do osób mówiących, jak skóra do ciała. Budowa noweli zwarta i symetryczna. Efekty umiejętnie stopniowane. W pierwszej części utworu (ucieczka Jaśka z karczmy, błądzenie po lesie) i w ostatniej (pożegnanie garstki wychodźców ze wsią, po-

ścig chłopstwa, pożar), panuje napięcie dramatyczne; w środkowej (choroba Jaśka, zabiegi matki) — liryzm, poezja uczuć macierzyńskich, cicha melancholja Jaśkowej zadumy. W scenie końcowej, w sądzie chłopów nad Jaśkiem, barwność malarska współzawodniczy z grozą tragicznej katastrofy. Jasiek spalił wieś. Musi ponieść karę. „W ogień go. Za krzywdę naszą. W ogień! wrzeszczeli. Kilkanaście rąk pochwyciło go za nogi, za głowę, rozkołysali i jak tłumok rzucili na dach. Dach się zapadł i buchnął ognistym tumanem skier. Rozległ się tylko straszny nieludzki krzyk z wnętrza domu. Odpowiedział mu drugi na drodze... To matka powróciła do palącej się wsi, powróciła w chwili rzucania syna w ogień. Patrzyła martwym wzrokiem w płonący dom, stała z wyciągniętemi rękami, pochylona, jakby biec chciała na zabicie.

Sprawiedliwie. Sprawiedliwie. Sprawiedliwie! powtarzała wolno, coraz ciszej... rozkrzyżowała ręce, posiniała nagle i runęła martwa na ziemię".

Ta stara matka, to jakby Niobe i Nemezys zarazem.

W podróżach zagranicznych Reymont zdobywał coraz szersze tereny dla swej nienasyconej ciekawości świata. Pławił oczy w blaskach, barwach, światłach i cieniach. Ponadto w zetknięciu z klasyczną kulturą francuską uczył się umiaru i spokoju. Z wędrówek tych zrodziła się mocna w kolorycie nowela „Los Toros". Reymont daje tu świetny obraz walki byków w Hiszpanji i na tem tle kreśli z dużym sentymentem dzieje rzewnej przyjaźni małego pastuszka z jednym z pośród czworonogich zapaśników. Obrazek nasycony jest słońcem południa. Ponadto Reymont w różnych gazetach drukował swoje wrażenia z podróży włoskiej. Są to, jak sam się wyraził, gapiowate spostrzeżenia barbarzyńcy północnego, dla którego istnieje tylko to, co widzi i czego dotyka.

Stąd oczywiście wypływa lekceważenie wspominków dziejowych i Baedeckerowskich sentencyj. Jak cię widzą, tak cię piszą. Oto zasada Reymonta, jako podróżnika. Przynajmniej w danym wypadku. Widywał go w czasie tych włóczęg zagranicznych Lorentowicz. Gawędził z nim o różnych sprawach. Głównie o piśmiennictwie. Zostawił też kilka ciekawych zdjęć migawkowych ze wspólnego pobytu w Paryżu. Reymonta czarował Paryż wspaniałą grą świateł, monumentalną per-

spektywą wielkich ulic, malowniczością tłumów, słowem całą urodą życia wielkomiejskiego. „Wyjechaliśmy, pisze Lorentowicz, na plac przed Pałacem Przemysłowym. Oczom naszym przedstawił się przepiękny i potężny widok. Tarcza słoneczna powiększyła się ogromnie, jakby się roztopiła w przestrzeni i zalała cały widnokrąg jednym wielkim pożarem. Olbrzymie złote i purpurowe fale waliły na wspaniały Łuk Triumfalny, więc ten jakby usuwał się ze wzgórza i szedł na nasze spotkanie. Wjeżdżaliśmy w taki potok płomieni, że miało się ochotę krzyczeć: gore, gore! tak te fale zapalały nad nami wszystko: i nieruchome domy, i zasłuchane trwożnie drzewa i pomykające rączo powozy i olśnionych ludzi... Reymont oczy szeroko otworzył, spogląda na mnie niespokojnie, potem blednie i woła, krzyczy niemal: Psia..."

I tak zawsze! Oczy Reymonta czyhają na cuda zjawisk świata zewnętrznego. Chłoną je w siebie. Utrwalają w wyobraźni. Nie dają mu nigdy chwili spokoju. Tu jakiś przebłysk światła, godzien podziwu, tam zdumiewający koloryt, ówdzie szczególna opalowa mglistość, tu znowu niesłychane zespolenie mroku i światła, a w kawiarniach olśniewające typy i gesty, warte godzinnego zapatrzenia się. W oczach miał Reymont wszystkich Rembrandtów, Rubensów, Tycjanów, Corregiów, pospołu z ich paletami, a jak umiał patrzeć, tego dowodzi następująca anegdota, którą spisał, według ustnej opowieści wybitnego literata, Adam Grzymała Siedlecki: „Przechodziłem kiedyś z Reymontem przez ulicę Królewską w Warszawie, koło Placu Saskiego. Naraz Reymont odzywa się do mnie — zamknij na chwilę oczy i powiedz mi, co na placu widziałeś przed chwilą. Poddałem się temu egzaminowi, ale ponieważ okazało się, że niewiele miałem do powiedzenia i czułem się tem niejako zakłopotany, więc postanowiłem poszukać odwetu. Zatrzymałem się umyślnie na miejscu przez kilka minut, wciągnąłem Reymonta w temat jakiejś żywszej rozmowy, naraz rzuciłem — no a teraz Ty zamknij oczy i powiedz, coś widział przed chwilą? Przywarł powieki, odwrócił się tyłem do placu i zaczął recytować: Od strony ulicy Wierzbowej wjeżdżały przed chwilą na plac dwie dorożki, jedna z siwym koniem skręciła na ulicę Czy-

stą, druga dwukonka z gniadym kasztanem i jedzie ku Mazowieckiej. W pierwszej siedzi jakaś starsza dama, w dwukonce dwaj oficerowie, ten po lewej stronie huzar, pałasz trzyma na założonych noga na nodze kolanach, drugi zdaje się sztabowiec, sądząc po lampasie na czapce; na środku placu (było to przed postawieniem cerkwi) grupa trzech jegomościów żywo rozmawia, najstarszy z nich z siwą hiszpanką ma ręce założone w tył, macha w nich laseczką i rytmicznie się kiwa, coś przekładając swoim towarzyszom... I tak ciągnął ku mojemu zdumieniu przez zamknięte oczy, rysując mi obraz placu, cytując szczegóły kolorystyczne kostjumów damskich, sposobów ruszania się przechodniów, pochyleń, ba, nawet w jednym wypadku gatunku materji na marynarce jakiegoś wykwintnego przechodnia".

Według wiadomości, podanych przez J. W. w *Gazecie Porannej Warszawskiej*, Reymont w latach chłopięcych marzył o karjerze malarskiej. Istotnie, tak fenomenalna pamięć barw, ruchów i całej widzianej rzeczywistości uprawniała całkowicie do tego rodzaju marzeń. Reymont pióra używa jak pędzla. Macza je w blaskach słonecznych, w łunach wieczornych, w srebrnej poświacie miesięcznej, w tumanach mgielnych, w perłowych świtach, w szmaragdowych toniach jeziornych, w oparach śródleśnych, w tęczy i w burzy, a potem pisze tak, jakby malował i wszystkie te cuda przekładał na mowę ludzką.

* * *

Lata 1904 i 1905 wstrząsnęły Reymontem do głębi. Należał on do rzędu tych wielkich pisarzy, w których mieszkała znękana Ojczyzna. Jak seismograf, wyczuwał podziemne drgnienia życia narodowego. Troskę obywatelską wystawiał jako pierwszy i naczelny obowiązek każdego człowieka. „Nic to, pisze w trylogji, że w Kijowie pochwyconych zbiegów obdzierają żywcem ze skóry, wplatają w koła i rozdzierają na ćwierci; któren posłyszał w sobie święty głos Ojczyzny, tego i śmierć nie powstrzyma".

Pamiętnik zatytułowany „Z konstytucyjnych dni" — jest kartą, wydartą żywcem z martyrologji narodowej, owej świętej księgi, spisywanej przez naszych wieszczów, proroków,

męczenników. Reymont schodzi aż na dno rozpaczy i wznosi się na wyżyny heroicznej ekstazy, jest obecny wszędzie, gdziekolwiek istnieje cierpienie i ofiara. Jest pochłonięty do tego stopnia wypadkami, że zapomina o granicy, na której kończy się jego ból, jego nadzieja i gdzie zaczyna się ból i nadzieja narodu. Piękny to zaiste dokument ducha obywatelskiego!

Pod działaniem tylu rozlicznych okoliczności i przygód dojrzewał artysta oraz obywatel. Rosło poczucie własnej mocy. W duszy Reymonta waży się ogromny zamiar stworzenia chłopskiego eposu. Nosi go w sobie przez lat 10 po różnych lądach i morzach, otacza czułością macierzyńską. „Powinieneś pisać powieść chłopską, zupełnie dobrą powieść chłopską..." napomyka Lorentowicz w r. 1898. „Tak sądzisz"? odpowiada Reymont. „A więc powiem Ci, że oddawna już noszę ją w sobie. Rosną we mnie i mnożą się rozmaite jej kształty i tak domagają się życia na papierze, że z trudem ciągnę inne prace. Pragnąłbym objawić tam zupełną swobodę kolorytu, języka i obyczajowości chłopskiej. W tem, co pisałem nie zawsze mogłem być sobą, ale nadszedł przecież czas, że napiszę tak, jak trzeba pisać".

Jaki sens mamy przypisać dumnym wyrazom „ale nadszedł przecież czas"? Sens prosty, zwykły, pospolity. Oto dojrzał w Reymoncie samoistny genjusz twórczy. Pisarz zrozumiał swoje przeznaczenie. Uśmiechnął się pobłażliwie do wszystkich przeżytych wątpliwości i wahań. Rozstał się z niemi raz na zawsze. To już było. Teraz, gdy dzieło, świat i twórca zespoliły się w jedność najdoskonalszą, teraz nie mogą już istnieć myśli uboczne, uczucia sprzeczne i dążenia przekorne. Nawiedziło poetę radosne ukojenie. Nareszcie wyzwolił z głębin duszy, ujarzmioną przez rozliczne przeciwności, tęsknotę za całkowitem wypowiedzeniem własnej treści duchowej.

Treść duszy Reymonta przylega szczelnie do treści bytu narodowego. Reymont idzie szlakiem Doli narodowej z czapką w ręku. Nie prostuje dróg, nie tka jej w oczy słów gorzkich, wierzy bowiem, że siła rasowa wszystko przemoże. Jedyne to bodaj stanowisko twórcy wobec narodu od czasów „Pana Tadeusza". W najgłębszej swej istocie twórczość Reymonta

jest epopeicznem przeżywaniem biologicznego rozrostu społeczeństwa i narodu. W tym rozroście chłop odgrywa rolę najtęższego elixiru. Chłop — to bujna, zuchwała, często ślepa jak żywioł, plemienność. Odbiegliśmy daleko od dekoracyjnych chłopów „Wiesława", a nawet od tak bardzo dzikich i pierwotnych chłopów Dygasińskiego. Dawniej autorowie myśleli: chłop jest, no bo ktoby służył szlachcie? Albo: chłop jest, bo trzeba było wymyśleć „deklarację praw człowieka". Albo: chłop jest, bo potrzebny jako placówka społeczna. Reymont pierwszy pomyślał: chłop jest, bo jest. Pomyślawszy to, dokonał wielkiego dzieła, bo ustalił na rynku opinji powszechnej cenę chłopa, jako najwyższej wartości plemiennej.

Prometeizm był obcy duchowi Reymonta. Poeta nie występował nigdy w roli Cezara. Nie narzucał swemu narodowi wyśnionej Ewangelji, nie żądał posłuchu dla złowrogich proroctw. Był, doprawdy, jak nikt w jego pokoleniu, przysposobiony do nakreślenia ogromnego eposu o dziejach energji narodowej. W demokratycznym świecie współczesnym chłop musiał być pierwszą zwrotką wzniosłego hymnu. Szlachetczyźnie złoży Reymont hołd powinny nieco później, w swojej trylogji „Rok 1794".

W „Chłopach" zespoliły się w harmonijny trójdźwięk trzy potężne, a nie zawsze sharmonizowane w życiu współczesnem, akordy: zwycięska energja ludzka, przyroda i religijność, nadająca dziwny patos sprawom zgoła odmiennym, szarym, powszednim. Przyroda, oprócz wartości artystycznej, posiada jeszcze wartość zasadniczą — życiową. Do całkowitego zrozumienia jej najgłębszej istoty jest niezbędny mozół siewcy i oracza. Tylko siewca i oracz dochodzą do takiego zespolenia z ziemią, macierzą, iż zacierają się granice między doznaniem ludzkiem a zjawiskami przyrody. „Zdało mu się, pisze Reymont o Antku, który wrócił z więzienia, jakoby z tym wiatrem przelewał się po zbożach, jakby polśniewał mięciuśką, wilgotną runią traw, jakby toczył się strumieniem, po wygrzanych piachach, skróś łąk przejętych zapachem sianokosów, to jakby z ptakami leciał kajś wysoko, górnie, nad światem i krzykał mocą niepojętą do słońca, to znowu jakby się stawał szumem pól, kolebaniem borów, siłą

i pędem wszelakiego rostu i wszystką potęgą tej ziemi świętej, rodzącej w śpiewaniach i weselu. W „Chłopach" mistrzuje szczególny gatunek panteizmu — panteizm ziemi-żywicielki.

Stąd krok — do uznania życia za akt religijny. Jeżeli bowiem wszelka religijność wysuwa jako sprawę naczelną — obcowanie bezpośrednie, całą istotą duszy ludzkiej — z nieskończonością, to „Chłopi" są doskonałą realizacją religijnego dzieła sztuki. Obrządek religijny tworzy tam najwznioślejszą okoliczność do zjednoczenia się człowieka z Bogiem. Dzień Zaduszny, Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki — to nie tylko zwykłe mieszczańskie dni siakiej takiej hulanki i wyciągnięcia na całą długość spracowanych gnatów, chociaż i pofolgowanie ochocie nie jest grzesznem, ale są to raczej mistyczne przystanki na drodze wędrówki doczesnej. Utrudzi się człowiek borykaniem ziemskiem i zapragnie chleba niebieskiego; skołacze się codziennością i zażąda mu się rozważenia wszelkich dolegliwości w świetle tajemniczego powinowactwa duszy, Boga i natury. Każde święto religijne w wyobrażeniach ludu musi cechować ta dostojna troistość. Wędrowny mistyk — Rocho jest postacią nawskróś symboliczną. Uosabia chłopską religijność, obecną zawsze w sprawach pierwszej wagi życiowej. Zjawia się, niknie i znowu się zjawia. Przychodzi jako rozwiązanie dręczących zagadek. Bywa uciszeniem lub sądem. I jakby chcąc zaznaczyć religijny charakter swego dzieła, poeta zawarł całą opowieść o życiu chłopskiem w obrębie dwu religijnych pozdrowień: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" i „Ostańcie z Bogiem ludzie kochane".

„Chłopów" pisał Reymont na obczyźnie, „woził ich, powiada Lorentowicz, po całej Europie, kąpał ich w żarach słońca południowego, pokazywał im fale Oceanu, włóczył ich po trotuarach bulwarów paryskich. Znając wrażliwość Reymonta, można się było obawiać, czy nie zamąci tonu sztuczną metodą, czy nie skomplikują się typy i sytuacje. Obawy najzupełniej płonne. „Chłopi" w wędrówkach autorskich nie tylko nabrali odporności, ale i skupili się w sobie nadzwyczajnie".

Druk epopei na łamach „Tygodnika Ilustrowanego"

trwał lat 6 od 1903 do 1909. Wydanie książkowe rozniosło imię autora po całej Polsce. Krytyka powitała arcydzieło zgodnym chórem uwielbienia i zachwytu. Wyrażali swój podziw najbardziej nawet oględni i surowi Arystarchowie. Aleksander Brückner pisał: „Ten pociąg do ludu, tak znamienny dla naszych poetów, triumfujący u Wyspiańskiego, nurtujący niegdyś w Sienkiewiczu, nim się w Homera szlachetczyzny przerodził, stał się osobliwym tytułem chwały dla Reymonta. Dać nam poznać wieś, ciche jej dramaty i groźne konflikty, na tle przyrody, w cudownych jej opisach, z całą powagą i wszystkiemi słabostkami naszych Piastów, nie jak dotąd najczęściej bywało, z punktu widzenia ekonomskiego, czy łyków, nie mogących się chamowi dosyć wydziwić, lecz z wnętrza wsi samej, z najgłębszem wniknięciem w psychę chłopską, w rozmiarach nieraz i stylu homerowym — oto niespożyta zasługa Reymonta". „Chłopi" mniej więcej około r. 1910, zdobywają sobie pewien rozgłos za granicą. Zjawił się bowiem podówczas w *Revue des deux mondes* (z 15 września) artykuł pióra Teodora de Wyzewy p. n. *Un romancier polonais*. Czytano w nim np. takie uprzejmości i pochwały, skierowane pod adresem Reymonta: „Rodzaj olbrzymiego poematu w 4-ch tomach... poematu, w którym wyraźna symboliczność postaci nie przeszkadza nam zgoła oglądać ich w przykuwającej oczy prawdzie i niesłychanie frapującej konkretności, dzieło, które opinja polska zgodnie wysuwa na czoło swej bogatej i sławnej literatury narodowej".

Krytyk francuski zachęcał bardzo wymownie do przekładu pism Reymonta na język francuski. „Powieści te, mówił, nie uderzałyby nas zupełnym brakiem równowagi w kompozycji, jak utwory Sienkiewicza lub Prusa. Nawet najdłuższe z tych książek nie są nigdy stłoczone. Powietrze i światło krążą w nich swobodnie".

Znacznie już później, bo w roku 1918 ukazało się studjum szwedzkiego znawcy Reymonta prof. Böoka. Pod względem znaczenia dla światowej sławy autora „Chłopów" przewyższyło wszystkie poprzednie opinje. Ono właśnie utorowało drogę do laurów Nobla. Oczywiście, skoro prof. Böok był członkiem jury i to niebylejakim. Ciekawe są i bystre spostrzeżenia tego nawskróś demokratycznego Szweda.

„Zola nigdy prawie nie osiąga epicznego rozmachu, tymczasem „Chłopi" Reymonta wykazują taką wzniosłość w konturach, takie bogactwo w perspektywie i tak majestatyczny spokój w rytmie opowiadania, że raz po razu zmuszają nas do porównania z epopejami Homera... Stary kmieć Boryna włada autokratycznie w swojej zagrodzie, a wszyscy mieszkańcy wsi patrzą nań z szacunkiem. Jest on niejako przywódcą ludu tak, jak ongiś achajscy książęta. Lipce mają swoje zebrania gminne, swoje spory „o następstwo tronu", swoje wyprawy wojenne, swoich bohaterów tak, jak greckie państewka... Piękna Helena, zarzewie i wojny i zniszczenia, źródło fatalnych katastrof zwie się w powieści Reymonta Jagusią... szczytowy punkt romansu, to bójka w lesie, gdy chłopi, złączeni w gromadę, uderzają na robotników, wycinających drzewa z rozkazu dziedzica. Mistrzowski doprawdy epizod. Skoro się czyta o zastępach chłopów szykujących się do boju — to mimowoli przychodzi na myśl „katalog okrętów" w Iljadzie. Możnaby sądzić, że Reymont świadomie nadał epopei polskiej znamiona homeryckiego poematu".

Bezpośrednio niemal po wydrukowaniu „Chłopów" Reymont wydał dwie bardzo znamienne książki: „Z Ziemi Chełmskiej" (1910) i „Wampira" (1911). Okazało się, że pierwiastek mistyczno-religijny był głęboko zakorzeniony w duszy poety. Ziemia Chełmska, zroszona obficie krwią unitów, piastunka religijnego heroizmu, musiała pociągnąć wyobraźnię Reymonta. Zagłębił się w badaniu dziejów męczeństwa unitów, zbierał gawędy ludowe, krążące z ust do ust. Zasłuchał się w melancholję tej cichej, lesistej, wilgotnej, głuchej krainy. „Reymont, pisze Wasilewski, przez lud wciągnął się w życie narodowe. Potrochu budził się w nim zmysł polityczny i historyczny. Gdy naród zagrożony był utratą Chełmszczyzny i w aktach szukał tytułu swoich praw historycznych do tej ziemi — Reymont udał się na grunt i doszukał się tych praw narodowych w poczuciu ludu. Pokazał dzieje Chełmszczyzny w przekroju duszy jej mieszkańca... Pamiętam — było to w roku 1910, jak przywiózł ze sobą do Lwowa pracę „Z Ziemi Chełmskiej". Opowiadał z temperamentem o spo-

sobie, w jaki podróżował od wioski do miasteczka, od chaty do plebanji, aby coś widzieć".

To mniejwięcej wszystko, co da się powiedzieć o książce Reymonta. Jest ona po dzień dzisiejszy dokumentem jednej chwili bytu narodowego. „Wampir" natomiast posiada wyjątkowe znaczenie jako dokument psychologiczny. Dziwna powieść: plątanina elementów czystego realizmu z jaskrawą wizyjnością. Poraz pierwszy Reymont wkracza w dziedzinę chorobliwych, niesamowitych stanów duszy ludzkiej. I doprawdy cudacznie się zachowuje. Chce być niewyraźny, zamglony, zaświatowy. Tymczasem duchy i zjawy hrymają stołami nie gorzej od parobków lipeckich, a na sabacie folgują wigorowi, jak tamci w karczmie. Poeta zaś i Daissy, mimo bladości i mistycyzmu, sprawiają niekiedy wrażenie Salomona i Sulamitki. Bądź co bądź powieść stwierdza, że Reymont interesował się teozofją, jeździł nawet dla bliższego zapoznania się z tym ruchem do Londynu, do tamtejszego Towarzystwa teozoficznego.

(Dok. nast.)

Zygmunt Falkowski.

Problem demoralizacji przez literaturę i sztukę.

Czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* pamiętają zapewne głośną polemikę, jaka wywiązała się w październiku ub. roku na tle wystawienia w warszawskim Teatrze Polskim „Dziejów grzechu“ Żeromskiego, w układzie dramatycznym i w inscenizacji L. Schillera.

Znaczna część opinji przyjęła ten krok z oburzeniem. Podobnie jak w innych powieściach, osnutych na podłożu społecznem — przypominamy tu niedawny spór o „Przedwiośnie“ — miał Żeromski i w „Dziejach grzechu“ niezawodnie cel dobry; był on jednak zbyt ukryty, uwaga ogółu zatrzymała się na zewnętrznej szacie, pokrytej obrazami drażliwych scen i zbrodniczych postępków, tak, że w rezultacie dzieło to przyniosło daleko więcej szkody niż pożytku. Przerobienie go na scenę i przedstawienie w 43 odsłonach, w sposób graniczący pomiędzy teatrem a filmem, musiało z natury rzeczy spotęgować ten ujemny efekt. Obszerniejsze ustępy, stanowiące psychologiczne lub etyczne umotywowanie pewnych powiedzeń i czynów, odpadły tu z konieczności, tak że widzowie, nie znający gruntownie całości, mogli odnieść wrażenie najgorsze, zwłaszcza że p. Schiller uwydatnił prawie wszystkie drastyczne momenta w całej jaskrawości. Obecna w teatrze publika musiała wysłuchać, iż Ewa „miała prawo zabić swoje dziecko“, że „rodzina to naogół ogromne świństwo“, musiała oglądać scenę zniewolenia Ewy, policzkowania jej i kopania, topienia dziecka, mordowania Szczerbica itp.

Toteż posypały się protesty. „Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce" wystosowało dn. 20 października odezwę, w której „protestuje przeciwko obniżeniu poziomu tak ważnego czynnika wychowawczego, jakim jest poważna scena polska" i żądało wycofania sztuki z repertuaru. Podobne protesty zaniosło kilkadziesiąt innych organizacyj, męskich i kobiecych. Szereg tych ostatnich uzasadnił u ministra spraw wewnętrznych swe żądanie tem, że przedstawieniem „Dziejów grzechu" czują się „dotknięte do żywego w godności swej kobiecej i oburzone do głębi, jako matki i wychowawczynie, odpowiedzialne za zdrowie moralne i fizyczne młodego pokolenia". [1])

Jeżeli jednak postawa społeczeństwa była w tej sprawie naogół zdecydowana, to krytyka teatralna i literacka przebiegła tu całą skalę, od zachwytu aż do potępienia. Decydującym był dla niej z reguły moment artystyczny, pod wpływem głosów publiczności zwrócono jednak uwagę także na stronę moralną; na jednem i drugiem polu zdania były podzielone.

A. Grzymała-Siedlecki, który zabierał kilkakrotnie głos na łamach *Kurjera Warszawskiego*, powiada, że przeróbka „Dziejów grzechu" na scenę doprowadziła „do szkieletu samych tylko potworności" i „w dzisiejszej atmosferze może się stać propagandą wywrotu moralnego" (nr. 289). W. Brumer zarzuca pozostawienie scen drastycznych i dodaje, że „co w powieści było bardzo przykre, tutaj, na scenie, stało się wręcz potworne" *(Dzień Polski* nr. 243). Zdaniem A. Nowaczyńskiego w teatrze „zdzierano płatami naskórek z Piękna Człowieka... Tragedja kobiecości przywalona jest zoologją męską" *(Gazeta Warszawska Poranna* nr. 290). „Śmiertelny grzech przeciw sztuce i zdrowiu moralnemu społeczeństwa" widzi w tem recenzent *Myśli Narodowej* (nr. 38), a „prowokację godności ludzkiej, smaku i kultury polskiej" p. Gawlikowski *(Rzeczpospolita)*.

Nie brak jednak i sądów odmiennych. Boy-Żeleński ekshibicję „bujnego animalizmu" Ewy odczuł jako „wido-

[1]) Protesty te odniosły przynajmniej pewien skutek, gdyż dyrekcja Teatru Polskiego rozesłała do pism zawiadomienie, że pousuwała wszystkie „znaczniejsze drastyczności".

wisko stanowiące w życiu teatrów warszawskich zajmujące intermezzo, ciekawe naogół i pasjonujące". Recenzent innego dziennika nie pojmuje, dlaczegoby „Dzieje grzechu" miały być propagandą przewrotu moralnego i sądzi, że wobec zepsucia stolicy byłoby „zaślepieniem" upatrywać w tej sztuce nasienie demoralizacji. Jeszcze dosadniej wyraża się K. Irzykowski, poza tem dla względów czysto artystycznych zdecydowany przeciwnik wystawienia „Dziejów grzechu": „Skargi niektórych recenzentów na zbytnią drastyczność niektórych scen uważam za obłudne... W epoce kina nie można ograniczać możliwości scenicznych" *(Robotnik* nr. 292). Wreszcie współpracownik *Głosu Prawdy* (nr. 100) poświęca osobny ustęp wyszydzaniu tych wszystkich, którzy w imię obrony moralności odważyli się wystąpić przeciw tej sztuce, nie wyłączając chrześcijańskich rodziców, którzy społem walczą „o przywilej hypokryzji i o zakaz szczerości... przeciw swobodzie sztuki... i na użytek wszelakiego analfabetyzmu".

Ten krótki, częściowy tylko przegląd głosów krytyki jest już wymownem świadectwem ogromnej rozbieżności sądów, jaka panuje nie tylko w dziedzinie czysto literackiej, ale — co ważniejsze i co nas tu głównie interesuje — w dziedzinie moralnej. Jedni zwracają na nią uwagę przy ocenianiu dzieł sztuki, drudzy pomijają, inni jeszcze wprost lekceważą; ci uważają przedstawienie „Dziejów grzechu" za zgubne, tamci za dobroczynne w swych skutkach, pozostali za moralnie obojętne. Ten chaos zdań, który w dziedzinie czysto artystycznej mógłby znaleźć swe uzasadnienie, a nawet uchodzić za wyraz żywotności, staje się smutnym objawem na terenie moralnym, który pod groźbą anarchji w życiu i klęski dla społeczeństwa, nie może podlegać takim wahaniom. Toteż zasadnicze rozpatrzenie kwestji moralności w literaturze i sztuce, lub ściślej mówiąc, umoralniającego względnie demoralizującego ich wpływu na społeczeństwo, zdaje się być dziś szczególnie wskazanem.

Nie chodzi tu o przytaczanie poglądów różnych autorów na ten temat; rejestracyj takich posiadamy już dość. Zamiarem naszym jest, ująć konkretnie i zasadniczo problem demoralizacji przez pewną część literatury pięknej i sztuki

stwierdzić, czy i jak dalece zarzut jej jest uzasadniony i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Zagadnienia demoralizacji nie bierzemy tu w najogólniejszem znaczeniu, jako propagandy zła wszelkiej natury, ale zgodnie z tematem i przyjętem użyciem tego wyrazu, ograniczamy je do dziedziny seksualnej. Ktokolwiek nazywa pewną książkę, pismo, obraz czy scenę „niemoralnemi", chce zwykle przez to wyrazić, że wywierają ujemny wpływ na polu seksualno-moralnem.

Konkretnie rzecz biorąc, problem ten sięga więc wprawdzie jednej z najgłębszych tajemnic natury ludzkiej, obchodzi jednak wszystkich i jest ogólnie zrozumiałym właśnie dlatego, że z tą naturą pozostaje w najściślejszym związku. Podłoże jego stanowi ów instynkt — zwany naukowo popędem płciowym, seksualnym lub rozrodczym — który tkwi w każdym człowieku, który tłumaczy wzajemny pociąg mężczyzny i kobiety, dzięki któremu rodzaj ludzki nie wygasa, ale utrzymuje się i rośnie. Instynkt, będący źródłem zarówno szczytnych myśli i idealnych uczuć, jak niegodziwych zamiarów i niskich pragnień, wiodący raz do bohaterskich czynów a kiedyindziej do zbrodni, opromieniający człowieka szczególniejszem pięknem albo nadający mu piętno odrażającej brzydoty.

Rola jego w człowieku nie jest tak prosta jak w świecie zwierzęcym, gdzie wrodzony instynkt reguluje automatycznie prawie cały proces działania; o tem zapominają często ci, którzy lubią przeprowadzać analogję obu tych światów. W człowieku niema takiego regulatora, rozum a przedewszystkiem wola mają spełniać jego funkcję; tak wypadało ze względu na godność istoty, która jest wolną i ma w sobie duszę nieśmiertelną. Odpowiednio do tej godności musiał też cały stosunek płci przybrać formy odmienne niż w świecie niższym; nie mogą o nim decydować jedynie czynniki zmysłowe względnie organiczne, zbliżenie zaś wzajemne musi być przedewszystkiem dziełem duszy, a tem samem winno być głębsze i oparte na wyższych zasadach, uduchowione a nie zmysłowe tylko, trwałe, by nie stać się kłamstwem, a nie dorywcze. W ten sposób obie strony, duchowa i cie-

lesna, jednoczą się we wspólnem dziele i jeśli ta współpraca dokonuje się z zachowaniem właściwej każdemu roli oraz z należnem hierarchicznem podporządkowaniem materji duchowi, wówczas towarzyszy jej odczucie harmonji i piękna, a na ich tle rodzi się szczęście i miłość, owa prawdziwa „ludzka" miłość, to jest ani czysto duchowa ani tylko zmysłowa, ale duchowo-zmysłowa, jak duchowo-cielesną istotą jest człowiek. Moment seksualny nie wnosi wtedy nic ujemnego, owszem pomaga zjednoczeniu, wnosząc w nie pewną żywość i siłę, gdy równocześnie dusza, przenikając cały ów proces, nadaje mu podniosły polot i tak opiewane „nadziemskie" piękno.

Rozumiemy zatem, że literatura i sztuka, które czerpią z tego czystego źródła, muszą być „piękne". Tem tłumaczy się również, dlaczego moment erotyczny, w dobrem znaczeniu tego słowa, tak jest wogóle poszukiwany i z chętnem spotyka się przyjęciem — poprostu dlatego, że znajduje on oddźwięk w każdym człowieku, w duchowej i materjalnej stronie jego jestestwa. Zachwyt, jaki dzięki niemu budzą pewne dzieła sztuki, przestaje być zagadką.

Sytuacja zmienia się wszakże całkowicie z chwilą, w której owa harmonja wewnętrzna zostanie zakłócona, gdy wśród sprzecznych z sobą głosów duszy i zmysłów człowiek przechyli się ku podszeptom tych ostatnich, a zignoruje prawa tamtej. Przewrót, jaki w jego wnętrzu musi wywołać to odwrócenie właściwego porządku, mści się na nim nieodwołalnie, sprowadzając znane wszystkim, czasem drobne tylko konflikty, ale niekiedy tytaniczne zmagania się i przykre upadki. W walce tej, nieuniknionej póki człowiek nie podupadł jeszcze zupełnie, rozgrywa się bój o to, czy wogóle ma on jeszcze zostać „człowiekiem", czy też niewolnikiem zwierzęcego tylko popędu. Tem tłumaczy się uczucie przykrości i upokorzenia, jakie jej towarzyszy, a przedewszystkiem świadomość poniżenia i sromotnej klęski w razie przegranej; dlatego człowiek moralnie upadły jest niezadowolonym z siebie, narzeka przed sobą na własną słabość, zdaje sobie sprawę, że został przez niższego pobity i stąd wstydzi się i stara to ukryć przed drugimi.

Głęboki tragizm tkwi w szczególniejszej słabości czło-

wieka na tem polu. W sobie samym nosi instynkt, który ma być jego sprzymierzeńcem i jest nim rzeczywiście w porządku natury, a który często, niespodzianie, przemienia się we wroga. Wróg to zaś wyjątkowo groźny, gdyż działa nie tylko z żywiołową siłą, ale zarazem podstępnie, ukrywając się zręcznie za potrójny parawan ideałów prawdy, dobra i piękna. Fakt, tak znany z historji, że wybitni na innych polach ludzie na tem jednem okazali się nieraz słabymi i upadali, mówi w tym względzie więcej niż najsilniejsze teoretyczne wywody. I dlatego głębocy znawcy tej dziedziny życia zwracali już dawno uwagę, że w walce przeciw niewłaściwym uroszczeniom popędu seksualnego najszczęśliwszą metodą jest unikanie starcia wręcz, przez zręczne usuwanie się od okazyj, które drażnią popęd. Sama natura jest też wymownem stwierdzeniem słuszności takiej metody, środkiem bowiem, jaki podała do ręki człowiekowi dla obrony cnoty czytości, a środkiem najbardziej uniwersalnym i skutecznym, jest wstydliwość, polegająca właśnie na powstrzymywaniu się od wszystkiego, co może rozbudzać popęd.

Życie i pewne zawody przynoszą wprawdzie z sobą szereg okazyj, z któremi człowiek musi się zetknąć; lecz wówczas jest on wytłumaczony, świadomość obowiązku czy potrzeby daje mu siłę moralną do utrzymania się na właściwym poziomie. Jeżeli jednak na okazje takie naraża się bez rzeczywistej potrzeby, lekkomyślnie, wówczas źródło męstwa, płynące z przekonania, że czyni, co czynić powiniem, zanika i próba może się skończyć nieszczęśliwie. Bez najmniejszego wahania można powiedzieć, że mnóstwo z tych mężczyzn i kobiet, którzy prowadzą dziś życie moralne, zawdzięczają ową łatwość głównie temu, że dobre wychowanie i pomyślne warunki zewnętrzne ochroniły ich za młodu od niezdrowych podniet i okazyj do złego; i niemniej pewnem jest, że wiele z pośród osób moralnie podupadłych nie znalazłoby się w ich gronie, gdyby je dawniej otoczono większą opieką i nie narażano na zepsucie.

Analiza powyższa umożliwia nam zrozumienie tajemnicy wpływu, jaki literatura lub sztuka wysuwająca, bądź treścią bądź sposobem ujęcia, na widownię momenty silnie zmysłowe, musi wywierać na przeciętny ogół. Że tą drogą nie

apelują one do duszy, tylko do niższej strony człowieka, że stają się okazją do budzenia popędu, a nie przeciwstawiają mu same z siebie żadnego równoważnika duchowego, jest chyba oczywistem.[1]) O ile więc człowiek nie posiada w sobie samym wystarczającej siły odpornej, jest zawsze narażonym na niebezpieczeństwo; i choćby szkoda poniesiona narazie była minimalną, to przecież pozostawia zawsze pewien ślad po sobie w postaci wzmożonej siły odruchowej popędu i osłabienia woli, co stanowi niedobry precedens na przyszłość.

Rozwiązanie powyższe, które w imię wyższych dóbr duchowych i licząc się z naturą człowieka, każe chronić go przed ujemnym wpływem literatury i sztuki, nie wszystkim jednak odpowiada. Są ludzie — nazwisk nie wymieniamy, ponieważ chodzi nam o kwestję zasadniczą, a nie o osobistą polemikę — którzy mniej lub więcej otwarcie propagują swobodę eksponowania drastycznych tematów oraz nagości na scenie i w sztuce, w razie zaś jakiegokolwiek zarzutu odwołują się chełpliwie do swej niewrażliwości i nieprzystępności dla zgorszenia, a wyśmiewają tchórzostwo i skrupuły „świętoszków".

Trudno rzeczywiście przypuścić, by enuncjacje tego rodzaju zostały wypowiedziane z głębszem zastanowieniem. Fakt, że człowiek posiada w sobie instynkt seksualny i konsekwentnie podlega jego wpływom, nie przynosi mu przecież ujmy; kompromitowałoby go może, gdyby tego nie miał. Głośne oświadczanie przed światem, że się jest wolnym od tego, co ludzkie, nie jest więc żadną chlubą, raczej może budzić podejrzenie — chyba że ktoś zechce pozować na jakiegoś nad-człowieka, który zgóry spogląda na biednych pozostałych śmiertelników. Niestety pisma tych osób wskazują z większem prawdopodobieństwem na coś przeciwnego

[1]) W literaturze, traktującej o kwestjach drażliwych, wprowadzają niektórzy rozróżnienie, ich zdaniem istotne, pomiędzy „erotyką" a „pornografją": pod to ostatnie miano podciągają jedynie książki, napisane tendencyjnie w celu budzenia zmysłowości. Rozróżnienie takie nie ma znaczenia w kwestji demoralizacji, gdyż podatność do niej tkwi w czytelniku, a książka staje się okazją przez sam temat lub sposób przedstawienia, niezależnie od intencji autora.

i wielki znawca życia, F. W. Foerster, miał głęboką słuszność, gdy takim nad-ludziom odpowiedział w swej „Seksualnej etyce i pedagogice": „Panowie, czyści wielbiciele naszego ciała! Przyjmuję do wiadomości zapewnienie o waszej czystości, lecz niestety, brak mi wiary!"

O ileż rozumniej postępuje w tym względzie asceza chrześcijańska. Widząc we wszystkiem rękę Bożą, uznaje także popęd płciowy za dar Stwórcy i dlatego nie potępia go ani nie dąży, jak twierdzą nieraz nieświadomi, do zgładzenia go, gdyż nie byłoby to ludzkiem ani chrześcijańskiem; staraniem jej jest tylko opanowanie popędu i poddanie woli, by podporządkowany duchowi nie burzył harmonji w człowieku i nie paraliżował wyższych jego aspiracyj. Ale nigdy wielcy Święci Kościoła katolickiego, stanowiący przecież elitę ludzkości pod względem wyrobienia charakteru, nie udawali nad-ludzi, owszem przyznawali się do ciężkich nieraz walk wewnętrznych, a jeśli doszli do szczytu cnoty czystości, zawdzięczali to, po łasce Bożej, starannemu unikaniu wszystkiego, co raziło zmysłowością.

Rozważaliśmy dotychczas kwestję demoralizacji głównie jako problem indywidualny i śledziliśmy psychologiczny jej proces u jednostki. Lecz już sam fakt, że procesowi temu podlegają, w mniejszym czy większym stopniu, nie pewne tylko osoby, ale wszyscy ludzie, naprowadzał na wniosek, że sprawy tej nie można traktować jako indywidualnej lub ograniczonej tylko do pewnych grup ludzi, miejsc, czasów, ale że posiada ona znaczenie szersze, ogólno-ludzkie. Za słusznością tego wniosku przemawia silniej jeszcze ta prawda, że popęd płciowy, jako mający za główny cel podtrzymanie istnienia rodzaju ludzkiego, jest z natury swej instynktem *par excellence* społecznym. Wszelkie nadużycia go dla celów egoistycznych, które dobru ogólnemu mogą tylko przynieść szkodę, należy więc napiętnować jako występek a n t y s p o ł e c z n y, a jeśli następstwa okażą się groźne, jako zbrodnię przeciw społeczeństwu.

Czy można powiedzieć, że poruszająca tematy drażliwe lub podane w sposób nieodpowiedni, literatura i sztuka dopuszczają się takiego wykroczenia? — Po tem, co powie-

dzieliśmy poprzednio, niepodobna dać odpowiedzi przeczącej, zwłaszcza w stosunkach obecnych. Póki obie te dziedziny były przedmiotem zainteresowań pewnych tylko kół naukowych czy towarzyskich, można było być spokojnym lub pocieszać się, że jeśli przynoszą szkodę, to ogranicza się ona do niewielkiego grona osób. Dziś jednak literatura i sztuka stały się udziałem ogółu, wystąpiły na widownię publiczną, zwracają się do wszystkich bez wyjątku — o ile więc dobre ich dzieła spełniają misję prawdziwie obywatelską, o tyle szkodliwe zagrażają wszystkim obywatelom i akcja ich przybiera charakter wyraźnie antyspołeczny. Francuski socjolog, P. Bureau, zastanawiając się nad upadkiem moralnym swego kraju dochodzi do przekonania, że teatr, romans i kino przyczyniły się bardzo do tego stanu rzeczy; szczególnie poważną odpowiedzialność za deprawację obyczajów składa na literaturę, nazywa ją „bardzo czynnym współpracownikiem" zbytku i nierządu, „przygotowaniem i równocześnie uwieńczeniem" złego.[1])

Tłumaczenia, że autor dzieła czy inscenizator w teatrze mieli tendencję dobrą, nie można uznać za dostateczne usprawiedliwienie. Wiedząc, że podają rzecz ogółowi, powinni się liczyć z jego psychiką, a nie z upodobaniami własnemi lub pewnych kół interesowanych w tem w jakikolwiek sposób i, o ile sami nie orjentują się w tem należycie, winni z obowiązku zasięgnąć opinji drugich. Nie zaprzeczamy bowiem, że ktoś głębiej myślący może i w najgorszym na pierwszy rzut oka utworze dopatrzeć się tendencji dodatniej, ale dla ogółu, nawet dla przeciętnej inteligencji, głębia owa pozostanie częściej niedostępną, a działać będzie tylko zewnętrzna gorsząca szata.

Oddawanie na użytek szerszej publiczności tego rodzaju literatury i sztuki musi się więc uznać za złą przysługę, a ze strony tych, którzy to czynią, co najmniej za brak trzeźwej orjentacji lub lekceważenie dobra ogółu. Jako bezwzględnie karygodny należy jednak zakwalifikować ten postępek ze względu na młodzież. Wiadomo bowiem, że wychowanie jej udaje się przeciętnie dość łatwo, dopóki nie przyjdą lata

[1]) L'indiscipline des moeurs. Paris 1921, str. 40, 514.

przejściowe; wtedy dopiero budzą się trudności, tak wielkie niekiedy, że cały dorobek pracy wychowawczej lat poprzednich idzie na marne, ani wiedza ani powaga rodziców nie są w stanie sprostać zadaniu. Utrudniać im tę pracę w okresie tak poważnym, narażać na ciężkie walki młodzież, której uświadomienie życiowe jest skąpe i wola jeszcze słaba, a którą szczególniejsza na tem polu ciekawość i lekkomyślność stawia tak łatwo w obliczu wroga, zbyt nieraz potężnego na jej słabe siły, owszem pchać ją niemal w objęcia złego przez ukrywanie niebezpieczeństwa pod złudną maską piękna i bohaterstwa — to zaiste akcja niegodziwa w całem znaczeniu tego słowa i dlatego potępiana nie przez samych tylko katolików, ale przez wszystkich poważniej myślących. Dr. med. I. Bloch, którego poglądy w dziedzinie seksualnej odbiegają daleko od nauki Kościoła katolickiego, powiada jednak, że „nigdy nie można przesadzić w czujności nad lekturą dla dzieci, ponieważ wielka część tej nawet literatury, która nie jest właściwie gorszącą, ale porusza zagadnienia seksualne, działa na dziecięcą wyobraźnię tak samo, jak prawdziwa pornografja na dorosłego". [1]) Jak wynika z tych słów, autor uznaje, że nawet dorosły pozostaje pod ujemnym wpływem pornografji, tem bardziej więc powiedzieć to trzeba o młodzieży.

Demoralizacyjny wpływ niewłaściwej literatury i sztuki nie ogranicza się jednak tylko do samego popędu, niezdrowego budzenia go i skierowywania na błędne tory. Określenie takie, podtrzymywane zwykle zarówno przez zwalczających jak i przez obrońców nadużycia, jest absolutnie za ciasne i nie odpowiada całej prawdzie. Demoralizacja, w pełnem znaczeniu tego słowa, obejmuje nie tylko sferę emocjonalną, ale rozciąga się także na intelektualną, podcina bowiem zdrowe pojęcia o stosunku wzajemnym płci oraz o małżeństwie i rodzinie i konsekwentnie wprowadza anarchję w instytucje, stanowiące podstawę bytu społeczeństwa i związane z godnością człowieka a zwłaszcza kobiety. Jeśli przeciętna publika słyszy ze sceny lub dowiaduje się z książki, że „rodzina to wielkie świństwo", że miłości (rozumianej

[1]) Das Sexualleben unserer Zeit. Wyd. 4—6, str. 797.

zwykle jako zmysłowej) nie wolno niczem krępować, że małżeństwo staje się niemoralnem, skoro w niem „wygasła miłość", że prostytucja powinna być uznanym zawodem — to niech każdy myślący, bezstronny człowiek powie, czy dla niejednej nadwerężonej już moralnie jednostki pouczenie takie nie będzie ostatnią kroplą, a powtarzane częściej czy nie podminuje w wielu innych fundamentalnych pojęć moralnych.

Toteż nikt rozumny i dbały o dobro społeczeństwa nie może zaprzeczyć, że żądanie pewnej sanacji na tem polu jest zupełnie uzasadnione względami społecznemi, że koniecznem jest, by swoboda literatury i sztuki w życiu publicznem została ujęta w pewne nieprzekraczalne granice. Skoro bowiem, jak stwierdza doświadczenie, przedstawicielom dziedziny piękna brak jest nieraz zrozumienia społecznego zadania sztuki i poczucia moralnego ich obowiązku, nie pozostaje nic innego, jak zapobiec szkodliwym ich występom przez powołane do tego czynniki.

Ograniczenia takie miałyby jednak sens jasny. Z założenia swego nie występowałyby wcale przeciw literaturze i sztuce, tylko przeciw nadużyciom ze strony pewnych ich przedstawicieli oraz tych przedsiębiorców, dla których kieszeń stanowi najwyższe dobro. Nie byłyby również skierowane przeciw osobom; zasadniczo bowiem sprawę biorąc, usunięcie pewnych utworów z repertuaru rzeczy, dostępnych dla ogółu, nie przesądzałoby samo z siebie w niczem o intencji autora, która mogła być dobrą, nie rzucało na niego oskarżenia o chęć szkodzenia innym. Ostrze represyj nie byłoby zatem skierowane ani przeciw twórczości ani jej pionierom, tylko przeciw nieroztropności, szkodliwej dla drugich i nieuczciwości.

Wyjaśnienie prawdziwego charakteru tych ograniczeń jest zarazem odpowiedzią na podnoszony zwyczajnie w tych razach okrzyk oburzenia na „zamach na niezależność sztuki". Żądając ich, społeczeństwo nie ma na myśli sztuki, lecz nadużycia i domaga się usunięcia ich ze względu na zdrowie moralne ogółu a zwłaszcza młodzieży. Sztuka, o jakiej obecnie mówimy, t. j. oddana do użytku publicznego, nie może być niezależną tak dalece, by móc szkodzić bezkarnie spo-

łeczeństwu. Jest to rzecz oczywista, zgodna zresztą z wysokiem powołaniem sztuki i dlatego przyznawana przez tych jej reprezentantów, którzy pojmują wzniosłość swego zadania. Mogą się oni różnić w szczegółach zrealizowania takiej akcji ochronnej, ale nie mogą mieć nic przeciw samej zasadzie.

W sprawie tej możemy się odwołać choćby na niedawne oświadczenie p. Adama Grzymały-Siedleckiego, który w feljetonie „O granice krytyki literackiej" napisanym z okazji jej głosów o wystawieniu „Dziejów grzechu",[1]) tak mówi:

Żądać absolutnej wolności dla sztuki i domagać się od krytyki, aby każdą rzecz oceniała tylko ze stanowiska artystycznego, bez uwzględniania moralności czy uczuć narodowych, czyli innemi słowy, „twierdzić, że „sztuka dla sztuki"... jest największym absurdem, jaki w pojęciach artystycznych wypowiedziano na całej przestrzeni historycznej... Nie wiem, czy w działalności ludzkiej jest jakikolwiek systemat poczynań, któryby był w takim stopniu, ode dna społecznym, jak nim jest sztuka." Dzieła sztuki, ciągnie dalej, można wprawdzie sądzić z różnego punktu widzenia, jeżeli jednak chodzi o te z pośród nich, „które w substancji swojej niosą zagadnienia moralne... tu już nie tylko może, lecz musi wystąpić sąd etyczny..." Stąd — kończy — „gdy mi w teatrze pokazują sztukę destrukcyjną, deprawującą, dezorganizującą pojęcia — to zwalczam ryczałtem".

Przeciw ustawowemu ograniczaniu nadużyć niewłaściwej literatury i sztuki wysuwa się niekiedy inne twierdzenie, że taki środek jest chybiony, gdyż nigdy drogą przymusu nie umoralni się społeczeństwa. — Zarzut ten nie jest o tyle na miejscu, że opiera się na grubem nieporozumieniu. Że nikt nie będzie moralnym, kto sam nie zechce nim zostać, to rzecz wiadoma; ale też represje, o jakich mówimy, nie mają wcale podsuwanego im celu. Zadanie ich jest negatywne i polega na paraliżowaniu przeszkód, jakie pozytywna umoralniająca praca nad młodzieżą i samowychowawcza u dorosłych napotyka z powodu nieodpowiedniej literatury i sztuki.

Osobnej odpowiedzi wymaga specjalna, mniej liczna zato, kategorja przeciwników jakichkolwiek ograniczeń na

[1]) *Kurjer Warszawski*, 1926 nr. 294.

tem polu. Zdaniem ich trzeba wydobyć na światło dzienne wszelkie, najgorsze nawet występki na polu seksualnem, aby przez wyjawienie ich ohydy i zgubnych następstw odstraszyć innych od złego. Myśl ich oddają jasno owe słowa Anatola France, któremi niedawno reklamowano u nas książkę W. Margueritte'a: „Nie tylko prawem, ale jest obowiązkiem malarza obyczajów uwidaczniać obraz najgorszego bezeceństwa..." — Dziwna to zaiste metoda. Z pewną, choć nieścisłą analogją możnaby powiedzieć, że chcąc nauczyć dziecko porządku, trzeba je ubrać w białe nowe ubranie a potem wtrącić do błota, kontrast bowiem pomiędzy wyglądem przed i po błotnistej kąpieli da mu poznać znaczenie schludności i odstraszy od brudu. Śmiem powątpiewać o skuteczności takiej recepty i o tem, czy wogóle podpisałby ją którykolwiek pedagog. Powtóre, co ważniejsze, błoto i plamy działają rzeczywiście odstraszająco, ale wykroczenia moralne zawierają w sobie często momenta, które znajdują mimowolnie przychylny oddźwięk w człowieku i dlatego mogą właśnie wywrzeć skutek przeciwny. Wiadomem jest powszechnie, że ludzie moralnie niżej stojący poszukują przedewszystkiem literatury sensacyjnej, ale nie wiadomo, czy ktokolwiek przez nią się nawrócił.

Toteż inni zwolennicy „niezależności sztuki" odrzucają tak radykalną metodę, oświadczają się wszakże za rozległą swobodą w traktowaniu tematów zmysłowych i silnie erotycznych, w tem przekonaniu, że szeroka publiczność i młodzież „przyzwyczai się" powoli do tych rzeczy, a oswojenie to będzie najlepszem lekarstwem na zbytnią wrażliwość i wynikające z niej szkody. — Bylibyśmy rzeczywiście szczęśliwymi, gdyby to było prawdą. Pewne pozory ma nawet to zdanie za sobą. Faktycznie przyzwyczailiśmy się już do wielu rzeczy; mniej nas rażą różne, ubliżające obyczajności lub wprost moralności, rozmowy, sprawozdania, ilustracje, sposoby reklamy, ubierania się i zachowania na miejscach publicznych. Czy jednak objawom tym można przypisać znaczenie dodatnie? Czy nie są one raczej objawem pewnego znużenia, apatji, jaka ogarnia szerokie sfery na widok tego, co się dzieje? Ten stan duchowy przypomina więcej owo „przyzwyczajenie" starożytnych Rzymian do krwi, przelewa-

nej w cyrkach. Oswoili się z nią i dlatego żądali jej coraz więcej; zrazu wystarczyła im krew zwierząt, potem trzeba było silniejszej podniety, więc wprowadzono ludzi i to naprzód pojedynczo a potem już masami.

Niestety ten sam proces zauważa się także w dziedzinie seksualnej. Oswojenie się z nią w tym duchu, w jakim przedstawia ją niewłaściwa literatura i sztuka, przytępia delikatność uczucia, ale nie gasi namiętności. Popęd nie ginie w człowieku, tylko ordynarnieje, nie wystarczają mu już zwyczajne podniety i to w dozwolonym żakresie, szuka silniejszych i dalej idących. Tem tłumaczy się owa gonitwa za coraz pikantniejszemi obrazami, powieściami, kostjumami, scenami; stąd rodzi się tyle wstrętnych, perwersyjnych nieraz nadużyć i gwałtów, dlatego tyle jest dziś „miłości", kończących się samobójstwami i zabójstwami. Historja jest zresztą nie mniej silnym dowodem, że upadek obyczajności publicznej szedł zawsze w parze z szeroką swobodą na polu literatury i sztuki, a powrót do moralności odbywał się zawsze w związku z zarzuceniem tej swobody.

Świadectwo historji, dodajmy wkońcu, jest również najlepszą odpowiedzią tym literatom i doktrynerom, którzy lubią odwoływać się do subjektywizmu a zwłaszcza ewolucji w dziedzinie moralności. Rzeczywiście zmiany zachodzą tu różne, ale dotyczą kwestyj podrzędnych, istotne zaś przejawy życia seksualnego są dziś te same, jakie były przed tysiącami lat; taka sama miłość, te same występki, zwyczajne czy wbrew naturze. Czy przejrzymy najstarsze księgi ludzkości, czy oglądniemy specjalny gabinet wykopalisk pompejańskich w muzeum neapolitańskiem, czy wglądniemy w stosunki obecne — wszędzie zastaniemy to samo.

Tak przedstawiałby się w ogólnych zarysach problem demoralizacji przez nieodpowiednią literaturę i sztukę. Roztrząsanie powyższe pozwala nam stwierdzić, że w popularnem ujmowaniu tej kwestji popełnia się zazwyczaj kilka zasadniczych błędów.

Przedewszystkiem miesza się twórczość artystyczną w dziedzinie sztuki z podażą jej dzieł na rynku publicznym i w następstwie tego najfałszywiej utożsamia się hasło „nie-

zależności sztuki" z nieograniczoną niczem swobodą rozpowszechniania jej płodów wśród ogółu społeczeństwa.

Powtóre, zapomina się, że literatura i sztuka wszelkiej kategorji wyszła już dawno z pracowni artysty i z salonów miłośników piękna, a wystąpiła przed szeroki ogół, do którego przemawia nie tylko formą ale i treścią, dzięki czemu przybrała charakter wybitnie społeczny. Myśli i uczucia, poddawane przez nią oddziaływują dziś na tysiące i dlatego na obie te dziedziny spada pełna odpowiedzialność za jakość wpływu, który wywierają.

Do odpowiedzialności tej powinni się poczuwać sami przedstawiciele świata literatury i sztuki, jeżeli zaś dla jakiejkolwiek przyczyny tego nie czynią, społeczeństwo, względnie, konkretnie rzecz biorąc, odpowiednie władze mają prawo i obowiązek zapobiec złemu, które może stąd wyniknąć dla ogółu lub przynajmniej sporej jego części. Akcja taka, przeprowadzona ustawowo, ma posiadać przedewszystkiem charakter obronny, profilaktyczny, nie jest skierowana przeciw sztuce, tylko przeciw jej nadużyciom względnie niewłaściwościom, nie staje się wyrokiem potępienia na danych literatów czy artystów, tylko jest stwierdzeniem, iż ze względu na dobro moralne szerszych sfer rzecz ich nie może otrzymać prawa publiczności i musi być wycofaną lub ograniczoną w użyciu.[1])

Wreszcie należy ciągle prostować nieporozumienie, na którem opierają się stale przeciwnicy proponowanych ograniczeń. Usiłują oni zredukować pojęcie demoralizacji do sfery czysto emocjonalnej, jakoby całe jej zło polegało na „podniecaniu" drugich, gdy w rzeczywistości trzeba je roz-

[1]) Świeżo ustawę taką uchwalił parlament niemiecki w trzeciem czytaniu d. 3 grudnia 1926 r. Przygotowywana i zasadniczo przyjęta już od dłuższego czasu, ma za cel główny zabezpieczenie młodzieży przed wszelkiemi publikacjami, książkami i czasopismami, zagrażającemi moralności publicznej. Publikacyj takich nie wolno odtąd pod karą nigdzie wystawiać publicznie, sprzedawać ani rozdawać młodzieży poniżej 18 lat. W każdej prowincji państwa powstanie w tym celu osobne samodzielne biuro, naczelne zaś kierownictwo obejmie centralny urząd w stolicy. Ustawa ta przeszła 250 głosami przeciw 158, przy 3 wstrzymujących się od głosowania. Przeciw niej głosowali socjaliści — rzecz znamienna dla ich stanowiska w sprawie moralności publicznej i troski o dobro młodzieży.

ciągnąć na rozległy zakres pojęć moralnych, podstawowych dla poziomu obyczajów, stanu rodziny i społeczeństwa. Dopiero uwzględnienie obu tych dziedzin uwidacznia w całej pełni społeczny charakter złego, szerzonego przez niewłaściwą literaturę i sztukę.

Kwestję uznania w zasadzie słuszności pewnych ograniczeń swobody literatury pięknej i sztuki możnaby w ten sposób uważać za załatwioną. Pozostaje tylko zadanie, niezmiernie trudne zarówno w kodyfikacji jak w wykonaniu, bliższego ich określenia. Nie poruszamy go bliżej, gdyż nie wchodzi w zakres naszego tematu, mającego za zadanie zasadnicze rozpatrzenie kwestji. Pozwolimy sobie jednak zrobić w tej mierze parę uwag. Ze względów praktycznych, popartych doświadczeniem u nas i zagranicą, wydaje nam się więcej wskazanem, by ustawodawstwo państwowe nie zajmowało się szczegółowem określaniem sposobu postępowania w różnych wypadkach. Ustawa tego rodzaju będzie z konieczności ogólnikiem, z którym organa miejscowe nie będą często wiedziały co począć i który dlatego spoczywać będzie spokojnie w tece, albo też będzie wykonany niejednolicie, zależnie od poglądów zmieniających się kolejno urzędników. Ponieważ różne części państwa, a w nich jeszcze poszczególne okręgi mają swe specjalne warunki i potrzeby, byłoby lepiej, pozostawić inicjatywę czynnikom miejscowym, obok nauczycielstwa przedewszystkiem zrzeszeniom rodzicielskim, jako odczuwającym najlepiej potrzeby młodzieży. Mielibyśmy w ten sposób instytucję, dostosowującą się łatwiej do potrzeb chwili i czynną, która w ramach ogólnej ustawy państwowej czuwałaby nad jej wykonaniem.

Że mimo wszystko pozostaną pewne niedomagania, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie powinniśmy się jednak tem zrażać. Byłoby to dowodem, że straciliśmy wiarę w siebie i w przyszłość, gdybyśmy na widok szerzącego się obecnie zła założyli z rezygnacją ręce i stanęli bezradni. Świadomi, że idealnego sposobu wyjścia nie znajdziemy nigdy, wiemy jednak, że przy dobrej woli potrafimy zrobić bardzo wiele, choćby tylko zabezpieczyć młodzież przed okazjami do zgorszenia. Potrzeba wszakże, by do pracy stanęli zgodnie wszyscy, bez względu na narodowość, stron-

nictwo czy wyznanie. Sprawa powyższa obchodzi ogół społeczeństwa, a nie tylko katolików; inna rzecz, że katolicy, jako rozumiejący lepiej nadprzyrodzoną godność i wartość duszy, powinni pierwsi stanąć do szeregu.

Obok solidarności w wystąpieniu uważamy drugi jeszcze moment za niezbędny warunek powodzenia. Mało który problem społeczny wymaga tyle rozwagi, spokoju i umiarkowania, co moralny i jeśli zgubnem jest lekceważenie go, to również szkodliwą jest wszelka przesada. Zbytnia, chorobliwa niekiedy, drażliwość, niesmaczne przedstawianie rzeczy, zanadto wygórowane żądania, choćby były dyktowane najlepszą wolą, przynoszą więcej szkody niż pożytku dobrej sprawie, bo ośmieszają ją tylko, nie osiągają niczego a nawet mogą popsuć wiele.[1]) Przedewszystkiem zaś nie wolno nigdy spuszczać z oczu tej prawdy, że wszystkie owe środki są wprawdzie bardzo ważne, ale tylko negatywne; jeżeli chcemy podnieść moralność społeczeństwa, musimy główny nacisk położyć na pozytywną pracę wychowawczą. Jedno i drugie jest konieczne, w jednem i w drugiem współdziałać powinny wszystkie powołane czynniki.

[1]) Ujemne skutki nieroztropnej gorliwości odbijają się nie tylko na opinji, jaką o kwestji walki z demoralizacją wyrabia sobie społeczeństwo i Rząd, ale także na polu wychowawczem. Tak n. p. nieszczęśliwie obmyślany odczyt lub przemówienie, mające przestrzec młodzież przed zepsuciem, może narobić więcej złego niż gorsząca książka lub nieodpowiednie przedstawienie. Nie z każdą rzeczą należy również apelować zaraz głośno do ogółu, a tem bardziej do młodzieży; jeżeli tylko można, lepiej jest załatwić sprawę pocichu z odpowiedniemi czynnikami, niż przez rozgłaszanie jej robić tylko złemu reklamę.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Problemy Wawelskie.

Wzgórze wawelskie w Krakowie kryje w sobie tak wiele rozmaitych tajemnic, zagadnień i pytajników, tak wiele nasuwa problemów historycznych, architektonicznych i artystycznych, że stanowi od dawna temat badań i rozlicznych rozpraw naszych uczonych, chcących odczytać jego dzieje, poznać mury i topografję. Badali zatem to wzgórze: Grabowski i Piekosiński, Essenwein i Sokołowski, Odrzywolski i Polkowski, Potkański i Abraham, Kopera i Chmiel, Tomkowicz i Szyszko Bohusz i wielu innych, ale chyba żaden z nich nie ogarnął tak szerokiego widnokręgu, żaden nie wypowiedział tylu hipotez, co niezapomniany prof. Tadeusz Wojciechowski w monumentalnem dziele o katedrze na Wawelu.

Dzieło to wydane nakładem Akademji w 1900 r. olśniło wszystkie umysły świetnością i głębokością dowodzeń, znajomością źródeł i gruntownem znawstwem omawianego materjału. Twierdzenia i hipotezy uczonego profesora opanowały nie tylko wszystkie ówczesne umysły, ale zasugestjonowały całe następne pokolenie uczonych i panują do tej pory prawie niepodzielnie, jako nienaruszalne zdobycze naszej nauki. Zdawało się, że potem nic już nowego o Wawelu, a zwłaszcza o katedrze powiedzieć nie można.

Wojciechowski pracował nad swojem dziełem w czasie restauracji katedry św. Stanisława. Innych budowli wawelskich jeszcze wówczas nie ruszano. Dopiero w kilkanaście lat później zabrano się do gruntownych badań i restauracji zamku królewskiego, i tutaj przyszły niespodzianki w postaci zupełnie nowych odkryć i niesłychanie ważnych a nie-

znanych dotąd zabytków. Nie ulega wątpliwości, że gdyby je był znał Wojciechowski, sąd jego w wielu wypadkach byłby inny.

Z licznych odkryć, dokonanych w XX już wieku tak przez arch. Z. Hendla jak i A. Szyszko Bohusza, dwa przedewszystkiem podkreślić należy, mianowicie odkopanie w 1914 r. części fundamentów bazyliki romańskiej i odsłonięcie w 1917 r. resztek murów rotundy śś. Feliksa i Adaukta. Do zagadek dotychczasowych dołączyły się dwie nowe, które należało rozwiązać i oba zabytki pomieścić odpowiednio w szeregu naszych pamiątek historycznych i kulturalnych. Jest jednak rzeczą zadziwiającą, jak mało dotychczas nauka nasza na te odkrycia reagowała. Poza pracami Szyszko-Bohusza [1]) i pracą podpisanego, [2]) pozostaje właściwie parę recenzyj, parę przygodnych uwag, rzuconych przez kilku autorów w tym przedmiocie, parę wreszcie artykułów dziennikarskich.

A jednak nowe odkrycia dotyczą najważniejszych może problemów naszych dziejów, dotyczą początków Krakowa i Wawelu, początków biskupstwa krakowskiego i chrześcijaństwa w Małopolsce, dotyczą w pierwszej linji istnienia katedry romańskiej i przedromańskiej na Wawelu. Problemy te rozwiązało dzisiejsze kierownictwo restauracji Wawelu na swój sposób i nie oglądając się na głosy krytyki. Charakterystyczne, że usiłowano przytem pogodzić hipotezy Wojciechowskiego z nowemi odkryciami, naginając raczej fakta do hipotez i obawiając się naruszyć autorytetu tego uczonego.

Ale nie tylko odkrycia i wykopaliska zmieniły dotychczasowe poglądy. Również badania historyczne, zwłaszcza Potkańskiego i Balcera, musiały wpłynąć na to bardzo znacznie. Pierwszy bowiem wykazał, [3]) że chrześcijaństwo przyszło do Krakowa i Małopolski daleko wcześniej, niż do innych krain Polski, oraz że Kraków był siedzibą biskupią jeszcze w X w., długo przed zjazdem gnieźnieńskim. Drugi

[1]) Szyszko Bohusz: Rotunda śś. Feliksa i Adaukta, Rocznik krak. tom XVIII — tenże, Z historji romańskiego Wawelu. Rocznik krak. XIX.

[2]) Gumowski, Katedry Wawelskie „Przegl. Powsz." 1919. 331 n.

[3]) Potkański, Kraków przed Piastami. Kraków 1897.

zaś udowodnił, że Kraków był stolicą Polski już od czasów Kazimierza Odnowiciela i że nie przechodził katastrofy ani najazdu czeskiego w 1038 r., ani reakcji pogaństwa.[1]) Badania obu uczonych i ich rezultaty rzucają znowu bardzo dużo światła na historję Wawelu, a również w innem oświetleniu przedstawiają nam zachowane i odgrzebywane tam zabytki.

Najnowsze badania i odkrycia nie rozwiązały wszystkich problemów, przeciwnie skomplikowały tylko i zaostrzyły dla nich zainteresowanie, a nawet pomnożyły ich liczbę. Poruszając dzisiaj ten temat, nie myślę rozwiązywać wszystkich nasuwających się tutaj zagadek, pragnę jedynie spróbować, czy nie uda mi się kilku problemów wawelskich nieco rozświetlić i na kilka zapytań dać odpowiedź.

I. Biskupstwo słowiańskie.

Aby objaśnić niektóre zabytki architektoniczne na Wawelu, musimy zadać sobie pytanie, jakiego obrządku było biskupstwo krakowskie w najdawniejszej swojej epoce, łacińskiego czy słowiańskiego? Jest to problem badany przez najpoważniejszych u nas historyków: Abrahama, Potkańskiego, Szcześniaka, Gumplowicza i innych, z rozmaitym rezultatem. Tematem tym zajmowałem się sam przed paru laty,[2]) nie będę więc na tem miejscu powtarzał argumentów, jakie na poparcie mej tezy przytoczyłem. Dla zrozumienia toku myśli powtórzę tylko najważniejsze.

Z badań Potkańskiego wynika, że przy końcu IX w. przyjęła Polska południowa, t. j. kraj Wiślan, chrześcijaństwo z Moraw albo wprost od św. Metodego, albo od jego uczniów. Nawrócił się wówczas nie tylko lud, ale i książę tej krainy, a to jest wskazówką, że zaprowadzono tu jakąś organizację kościelną, a więc albo poddano kraj jakiejś już istniejącej stolicy biskupiej, albo osobną tu diecezję zaprowadzono. Najważniejsze, że chrześcijaństwo przyjęto nie w obrządku łacińskim, lecz słowiańskim, jak to w całem państwie wielkomorawskiem nastąpiło.

---

[1]) Balcer, Stolice Polski, Lwów 1916.

[2]) Szkice numizmatyczno-historyczne. Poznań 1924 p. 80 n.

Obrządek ten musiał doznać tutaj nowej podniety raz po wygnaniu Metodjanów z Moraw po śmierci św. Metodego, a drugi raz po rozbiciu państwa wielko-morawskiego przez Węgrów na początku X w. Są ślady, że hierarchję kościelną w tem państwie urządzał nie tylko św. Metody, ale drugi raz w 898 r. sam Rzym, wyświęcając arcybiskupa i 3-ch sufraganów. Jednym z nich, jak przypuszcza także Potkański, był krakowski biskup Prohorus, wymieniony na czele listy biskupów krakowskich w najstarszych naszych katalogach. Następcą jego już w X w. był Prokulfus, a same ich imiona dowodzą, że nie byli łacinnikami. [1])

To są początki biskupstwa rozjaśnione nieco z punktu widzenia Wielkich Moraw. Gdy te upadły, zalega mrok również i Kraków i tylko z późniejszych śladów widać, że obrządek słowiański przetrwał różne przewroty polityczne i jeszcze w czasach Bolesława Chrobrego był żywy. Śladem takim są legendy o św. Wojciechu, o jego misji apostolskiej w Małopolsce, mającej naturalnie na celu zmianę obrządku, o niechęci ludności do niego, o prześladowaniu przezeń księży i pisma słowiańskiego, nawet o zabijaniu biskupów.

Śladem dalszym to pieśń żałobna Galla na zgon Bolesława Chrobrego, którego niechaj opłakują zarówno łacinnicy jak Słowianie, którzy widocznie jeszcze za czasów Galla na początku XII w. istnieli. Takim śladem jest również zwyczaj, tylko w Krakowie przestrzegany, obioru biskupa nie przez kapitułę, lecz przez kler całej diecezji. Najważniejszą zaś wskazówką to monety Chrobrego z polskim napisem i słowiańskiemi literami БОЛЄСЛАБ, powstałe niewątpliwie w Krakowie i w siedzibie biskupstwa słowiańskiego. Nikt bowiem w Polsce poza klerem cyrylicą pisać nie umiał, ale musiał to być kler nie łaciński, lecz słowiańskiego obrządku.

Wiadomo, że w owych czasach, przy końcu X wieku, sztuka pisania była tak trudna, że mennice książęce umieszczano z reguły w siedzibach biskupich i poddawano pod nadzór duchowieństwa, gdyż ono jedno mogło zaprojektować napis i ułożyć litery. Jeżeli istnieje moneta Chrobrego z napisem cyrylicą, nie mogła przeto powstać gdzieindziej,

[1]) Por. Pełeński, Halicz w dziejach sztuki średniowiecznej. Kraków 1914, 133 n.

jak tylko w głównej siedzibie obrządku słowiańskiego w Polsce. Siedzibą zaś taką był tylko Kraków.

Wykazałem na innem miejscu, że ten najważniejszy, bo niejako urzędowo zadokumentowany ślad obrządku słowiańskiego w Małopolsce pochodzi z pierwszych lat panowania Bolesława Chrobrego i z czasu przed zjazdem gnieźnieńskim. Jest to zarazem ślad istnienia osobnego biskupstwa słowiańskiego w Krakowie, którego diecezja obejmowała całe ogromne przestrzenie Małopolski. To nam może tłómaczy, dlaczego przy tworzeniu nowych biskupstw i diecezyj dzielono zawsze tylko drugą połowę państwa, Wielkopolskę i tworzono diecezje jak poznańską, gnieźnieńską, kruszwicką, które wobec diecezji krakowskiej są zawsze śmiesznie małe. To samo było może powodem, że w owym słynnym dokumencie *Dagome iudex* poddał Mieszko I stolicy Apostolskiej tylko północną część Polski, bez diecezji krakowskiej.

W r. 1000 następuje zjazd gnieźnieński i nowa organizacja kościelna Polski. Biskupstwo krakowskie już zdawna istniejące przyłączono wówczas do metropolji gnieźnieńskiej, a na biskupa przeznaczono niejakiego Poppona. Jest to dowód, że albo nie liczono się już z biskupem słowiańskiego obrządku, albo takiego biskupa właśnie nie było. W każdym razie skorzystano ze sposobności, aby Kraków związać z Kościołem łacińskim i postawić tu łacińskiego biskupa na czele. W latopisach ruskich są ślady, że zaczęło się wtedy w Polsce prześladowanie duchowieństwa słowiańskiego, które na Ruś uciekało, mimo że obrządek ruski i słowiański nie pokrywały się nawzajem. Takie prześladowanie istniało nie tylko w Polsce, ale, jak wiemy, także i w Czechach i na Morawach, ale nieco wcześniej. Tam resztki duchowieństwa słowiańskiego zebrał Brzetysław I i oddał im benedyktyński dotychczas klasztor w Sazawie. Ale już jego następca Spitygniew II († 1061) usunął ich stamtąd, i z powrotem wprowadził opata i zakonników łacińskich. Sprzyjał im natomiast Wratysław II i oddał im po raz drugi Sazawę, gdzie do r. 1096 przetrwali, poczem wszelki ślad po nich zaginął. Dopiero w XIV w. za Karola IV wracają po raz trzeci.[1])

[1]) Neuwirth, Geschichte d. christ. Kunst in Böhmen. Prag 1888 p. 31.

Co do Małopolski to zachodzi pytanie, czy to nie Tyniec był takim jak Sazawa przytuliskiem dla obrządku słowiańskiego, a dalej, czy to nie arcybiskup Aron był tym, który razem z resztą duchowieństwa tynieckiego rzucił dawny obrządek i przeszedł na obrządek łaciński, zatrzymując jednak niektóre jeszcze ze starożytnych zwyczajów w kościele krakowskim.

II. Rotunda śś. Feliksa i Adaukta.

Chrześcijaństwo, które w formie obrządku słowiańskiego przyszło do Krakowa i Małopolski jeszcze w IX w., musiało zostawić po sobie jakieś ślady w postaci kaplic, kościołów, a nawet katedry, skoro wiemy, że w X w. biskupi krakowscy istnieli. Ślady te widzimy dziś zaledwie w niektórych wezwaniach świętych patronów kościołów, wezwaniach takich, jakie były i na Morawach rozpowszechnione, a zatem św. Salwatora, św. Klemensa, śś. Piotra i Pawła. Kościoły same nie zachowały się jednak do dni naszych.

Pozatem chrześcijaństwo i obrządek wymieniony wniosły do nas architekturę kościelną taką, jaka wówczas panowała na południu i zachodzie i taką, jaka w państwie wielkomorawskiem szczególnie była uprawiana. Wypowiadała się ona w budowlach centralnych, a specjalnie w małych rotundach, t. j. okrągłych, absydami nieraz zaopatrzonych kościółkach.

Jest to rzeczą już dawno udowodnioną,[1]) że rotundy czeskie i morawskie nie powstały tam samorzutnie, ani nie są śladem wpływów armeńskich czy bizantyńskich, lecz powstały pod wpływem zachodniej południowo-niemieckiej architektury tych czasów. Wiadomo, że państwo wielkomorawskie zawsze było pod dużym wpływem Ratyzbony i Moguncji, a również pod tym samym wpływem była w X w. kraina czeska. Nie potrzeba też wzorów do okrągłych kościołów szukać na Chersonesie, w Italji lub Francji, gdyż znajdzie się je nietylko w Czechach, Morawji i Słowaczy-

[1]) Neuwirth, Geschichte der christlichen Kunst in Böhmen. Prag 1888. p. 19.

źnie, ale i w Niemczech, w miejscowościach jak Vilshofen nad Dunajem, Groitsch koło Pegau, Petersberg koło Hali, Altenfurt koło Norymbergi,[1]) etc.

Faktem jest, że budownictwo okrągłych kościołów zakwitło szczególnie w Czechach i Morawie i że w tym stylu budowano przeważnie kościoły aż do połowy XI w., a nawet znacznie później. Rotundami były zatem nietylko wszystkie kościoły budowane przez św. Wacława i Bolesława Pobożnego czeskiego, ale i najstarsze fundacje czeskie dla Benedyktynów na Hradczanach, w Brzewnowie, w Sazawie i indziej. Rotundami były również i najstarsze, a Polsce najbliższe katedry św. Piotra w Ołomuńcu i św. Wita w Pradze.[2])

Ten styl przedromański okrągłych kościołów panował w Czechach kilka wieków, bo aż do XIII w. bez względu na to, że już od połowy XI w. poczęto budować w stylu bazylikowym. Jest też rzeczą naturalną, że musiał ze swej strony oddziałać na kraje sąsiednie, m. i. i na Polskę i zostawić tutaj swoje ślady. Ślady takie są rzeczywiście,[3]) a mamy je w kościółkach św. Prokopa w Strzelnie, w Stroniu na Śląsku, na Lednicy w Wielkopolsce i śś. Feliksa i Adaukta na Wawelu. Śladami tej samej architektury były również inne, dziś już nie istniejące lub przebudowane kościoły, zwłaszcza te, o których pisze Długosz w XV w. że są na grecki sposób *(Graecorum more)* budowane. Zwrócił na nie również uwagę i Pełeński[4]) i ja sam na innem miejscu.[5]) Właściwie nie jest to styl bizantyński, ale powiedzmy przedromański.

Kraków posiadał w tym stylu przynajmniej 3 kościoły: śś. Feliksa i Adaukta na Wawelu, św. Michała na Skałce i św. Salwatora na Zwierzyńcu. Rotunda wawelska, odkryta w 1917 r. jest jedyną, która do dziś się z tych kościołów zachowała, a zarazem pierwszorzędnego znaczenia zabyt-

[1]) Neuwirth l. c. 19 oraz Kallenbach, Chronologie der d. Baukunst München, tabl. III.

[2]) Prokop, Die Markgrafschaft Mähren. Wien 1904. p. 120 u.

[3]) Wspomina o nich Sokołowski, Ruiny lednickie, Kraków 1876.

[4]) Pełeński, Halicz w dziejach sztuki średn., Kraków 1914, 136.

[5]) Gumowski, Katedry Wawelskie, „Przegl. Powsz." 1919, 338.

kiem dla naszej kultury. Konstrukcję jego omawia szczegółowo Szyszko Bohusz, starając się przytem wytłómaczyć jej znaczenie historyczne i kulturalne w dwóch osobnych rozprawach. W pierwszej zamyka swoje wywody przekonaniem, że to kościół z IX lub X wieku, w drugiej wyraża przypuszczenie, że to baptisterjum należące do obok stojącej katedry Chrobrego, a więc z XI wieku. Tezę jego ostatnią poparli w lot dwaj inni uczeni J. Mączkowski i R. Grodecki, oświadczając się również za baptisterjalnym charakterem tej rotundy.[1])

Jest rzeczą naturalną, że zawsze gdzieś na świecie po bliższem poszukiwaniu znajdziemy wkońcu jakiś argument, jakąś analogję, która poprze naszą teorję, choćby ona była najbardziej fantastyczna. Tak się ma rzecz i z teorją o baptisterjum na Wawelu. Znalazła się bowiem aż na Chersonezie podobna do wawelskiej tetrakoncha w pobliżu katedry i posłużyła odrazu za dowód. Przy dalszych poszukiwaniach można będzie zapewne powołać się na analogje, n. p. sycylijskie lub hiszpańskie.

Tymczasem tego rodzaju dowodzenia zdradzają tylko brak metody i głębszego wniknięcia w rzecz całą. O wpływach chersońskich w Polsce nikt jeszcze nie słyszał, a gdyby istniały, choćby tylko na polu architektury, to w pierwszym rzędzie oddziałaćby musiały na strukturę katedry, a nie baptisterjum. W całej Polsce niema przykładu, aby jakakolwiek budowla starożytna, choćby z VII wieku, oddziałała na naszą architekturę.

Gdybyśmy jednak choć na chwilę przypuścili istnienie wpływów chersońskich na Kraków (!), to wówczas nie zrozumiemy, dlaczego nasza rotunda nie ma ani śladu cysterny czy basenu, a przeciwnie ma ślady ołtarza, dlaczego jest tak stosunkowo daleko położona od katedry i dlaczego żadna inna z katedr czy z świątyń polskich takiego baptisterjum nie posiada, ani też nigdy nie posiadała.

Hipoteza powyższa jest tem bardziej chybiona, że nie znamy katedry, przy którejby to baptisterjum stać mogło. Jeżeli za Wojciechowskim przyjmiemy, że miała to być dre-

[1]) Szyszko Bohusz w Roczniku krak. XVIII. 53 i w Roczniku krak. XIX. 23. — Muczkowski tamże XIX. 24. — Grodecki tamże XIX. 188.

wniana katedra Chrobrego, to nie można zrozumieć, dlaczego ta była drewniana a baptisterjum murowane. Wiemy bowiem że św. Otton, apostoł Pomorza robił takie drewniane chrzcielnice na poczekaniu z kadzi i drągów dokoła powbijanych.[1]) Jeżeli zaś nasza rotunda ma być przynależna do niedawno odkrytej bazyliki romańskiej na Wawelu, jak chce Szyszko Bohusz, to znów niewytłómaczoną jest różnica stylów i murów, tu z kamienia łupanego, a tam z dobrze obrobionych ciosów.

Na jedno godzą się wszyscy, że rotunda śś. Feliksa i Adaukta jest najstarszą budowlą na Wawelu, a zatem starszą od bazyliki św. Salwatora, od krypty św. Leonarda, od kaplicy św. Piotra i innych zabytków architektury tam zachowanych. Wobec tego nie można ją łączyć z żadną budowlą później na Wawelu stawianą, ale raczej z innemi kościółkami okrągłemi w Polsce, Czechach i Morawach. Jest to zatem zabytek epoki przedromańskiej.

Już dawniej wyraziłem przekonanie,[2]) że rotunda wawelska nie jest zwykłym kościółkiem czy kaplicą zamkową, ale że była kościołem katedralnym od początku istnienia biskupstwa w Krakowie, aż do początków XII w. do czasu, gdy nowa bazylika katedralna stanęła na Wawelu. Teza ta nie znalazła uznania, mimo szeregu dowodów, jakie za nią przytoczyłem i jedynie znakomity autor monografji o Mieszku i Chrobrym był tego samego ze mną zdania.[3]) Dowody zaś moje, których zresztą krytyka nie zaczepia, były i są następujące:

a) Rotunda jest jedynym murowanym kościołem na Wawelu, jaki istniał tam w X i XI wieku. Dwa inne, śś. Michała i Jerzego były drewniane. Wobec tego ona tylko mogła być najdawniejszą katedrą.

b) Jeszcze w czasach Konrada mazowieckiego rotunda ta zwała się nie śś. Feliksa i Adaukta, ale N. P. Marji, a więc tak, jak główny ołtarz w absydzie wschodniej kościoła katedralnego romańskiego i jak wschodnia kaplica katedry gotyckiej. Było to zatem wezwanie najdawniejsze

[1]) Herbord w Mon. Pol. Hist. II. 81.
[2]) „Przegl. Powsz." 1919, 340.
[3]) Zakrzewski, Mieszko I. Warszawa b. r. p. 82.

katedry krakowskiej i ołtarz główny, we wszystkich 3-ech kościołach, przedromańskim, romańskim i gotyckim na tem samem miejscu ustawiany.

c) Wizerunek tej rotundy, jako kościoła kopulastego, umieszczony jest na monetach koronacyjnych Bolesława Śmiałego (1058—79). Naturalnie, że jest to wizerunek katedry, a nie zwykłej kaplicy. Wreszcie

d) wskazałem na analogje w Pradze i Ołomuńcu gdzie również takie małe, okrągłe kościółki były pierwotnie katedrami, dopóki na ich miejscu większych bazylik nie postawiono. [1])

Przyznaję, że najtrudniej jest zmienić nasze wyobrażenia o rozmiarach takiego budynku jak katedra. W umysłach naszych wyrobiło się przekonanie, że to świątynia zawsze olbrzymich rozmiarów, tymczasem w rzeczywistości było rozmaicie. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa miejscem modłów biskupich był pokój w domu, lub kaplica w katakumbach. Za czasów wielkomorawskich katedrami były drobne rotundy, jak rotunda krakowska, gdyż innych tutaj wogóle nie budowano z kamienia. W czasie gdy stylem panującym w architekturze był styl przedromański, nie można było nic innego budować jak małe, okrągłe kościółki, czyli rotundy. Tak musiało być nietylko w Krakowie w X wieku, ale nawet w Poznaniu, Gnieźnie i Kruszwicy, gdy fundowano tam biskupstwa i stawiano kościoły. Katedr wielkopolskich z X i początków XI wieku nie można sobie wyobrazić inaczej, jak tylko w postaci małych koncentrycznych budowli, okrągłych, jak w Krakowie, lub wydłużonych jak na Ostrowie lednickim.

Tak było zresztą w najbliższych Polsce biskupstwach praskiem i ołomunieckiem. Gdy w 973 ufundowano w Pradze biskupstwo, oddano mu jako katedrę małą rotundę św. Wita, wystawioną jeszcze 935 r. przez św. Wacława, gdzie i kości fundatora leżały. Sam pierwszy biskup praski Dietmar pochodził z Magdeburga, gdzie również rotunda była wówczas jeszcze katedrą. Z biegiem czasu jednak, gdy napływ wiernych się zwiększał, poczęto odczuwać coraz

[1]) Dowody na wszystkie powyższe twierdzenia zawarte są w poprzedniej rozprawie w „Przegl. Powsz." 1919 r.

bardziej potrzebę rozbudowy. Nastąpiło to dopiero w 1060 za panowania Spitygniewa II († 1061) i jego następcy Wratysława II. Wówczas dopiero postawiono bazylikę w nowym romańskim stylu, tak obszerną, że w jej przedsionku, jak pisze kronikarz, można było starą katedrę pomieścić.[1])

To samo było i z katedrą morawską w Ołomuńcu, pod wezwaniem św. Piotra. I to był mały okrągły kościółek o 7·50 m. średnicy i również z biegiem czasu za szczupły dla gromadzącego się ludu. Wobec tego w 1131, skoro tylko wykończono budowę większego kościoła św. Wacława, tam przeniesiono katedrę i nowy kościół podniesiono do godności siedziby biskupiej.[2])

Rotunda śś. Feliksa i Adaukta, a raczej N. P. Marji nie była wcale mniejszą od katedry ołomunieckiej i nie wiele różniła się co do wielkości od innych okrągłych kościółków morawskich. Porównajmy ich rozmiary, a mianowicie[3])

Rotunda:	średnica wewn.	średnica zewn.	grubość murów
Wawel, N. P. Marja . .	7·40	9·16	0·88
Lednica, N. P. Marja . .	7·70	9·90	1·10
Strzelno, św. Prokop . .	8·20	10·60	1·20
Ołomuniec, św. Piotr . .	7·50	9·70	1·10
Znaim	6·79	8·97	1·10
Frain	5·90	7·70	0·90
Rip	5·20	8·20	1·50
Brzewnów	5·69	7·70	1·—

Pokazuje się, że rotunda wawelska należy nawet do większych rozmiarami kościółków okrągłych i najbliżej stoi rzeczywiście drugiej katedry morawskiej w Ołomuńcu. Ma tylko daleko mniejszą grubość murów, co może wskazywać i na to, że jest budowlą znacznie starszą. Grubość murów i rozmiary średnicy grają tu dużą rolę, gdyż pokazuje się, że z biegiem czasu budowano rotundy coraz większe a zwłaszcza mur coraz silniejszy. Lednica pochodząca z końca X wieku ma już większe rozmiary, a św. Prokop w Strzelnie, którego budowę oznaczyć można conajwyżej na wiek XII, ma średnicę i mury jeszcze większe i grubsze.

[1]) Cosmas II. 17 i Neuwirth l. c. 27.
[2]) Erben. Regesta Bohem. N 214 i Prokop l. c. 122.
[3]) Prokop l. c. 122.

Jest rzeczą znaną, że wpływów czeskich nauka nasza nie docenia i że za dowodami dla siebie woli się oglądać po wszystkich innych zakątkach Europy, nawet Gruzji i Armenji. Tymczasem nie można oczu zamykać na fakt, że Małopolska była swego czasu z Czechami i Morawą nawet politycznie związana, że Wielkopolska z Czech właśnie otrzymała i Dąbrówkę i św. Wojciecha, oraz że kościoły biskupie w Krakowie i Ołomuńcu dziwne mają nietylko na polu architektonicznem analogje.

III. Kaplica śś. Piotra i Pawła.

Omawiając różne kościoły romańskie na Wawelu, nie wspomina D-Kopera ani słowem o istnieniu osobnej kaplicy śś. Piotra i Pawła, tak jakby ona nie istniała.[1]) Tymczasem już T. Wojciechowski starał się wykazać i dostatecznie udowodnił, że kaplica ta istniała conajmniej w XI wieku jako osobny kościółek, co więcej nawet postawił hipotezę, że była ośrodkiem pierwszej przedromańskiej katedry krakowskiej, a więc chórem świątyni budowanej według niego w 1001 r. za Bolesława Chrobrego.[2]) Nie wyjaśnia tylko, dlaczego katedra krakowska nie miała nigdy wezwania śś. Piotra i Pawła.

Przyznać należy, że wezwanie to jest bardzo stare i że należy do najstarszych u nas. Razem z wezwaniem św. Salwatora i św. Klemensa było wezwanie śś. Piotra i Pawła rozpowszechnione szczególnie w Kościele wielkomorawskim i już za św. Cyryla i Metodego tam wprowadzone. Pod niem stał bardzo stary kościół na Wyszehradzie i drugi w Budecu w Czechach i kollegjata w Bernie na Morawach i wiele przedromańskich kościółków czesko-słowackich.[3])

Stare to wezwanie kościółka wawelskiego poszło w ciągu wieków w zapomnienie, przylgnęła doń bowiem nazwa kaplicy Prandocińskiej, od biskupa Prandoty, zmarłego 1266 i tutaj pochowanego, a potem kaplicy Wazów, od królów tego domu tutaj grzebanych.

---

[1]) Kopera w Roczniku krak. VIII. 1905.

[2]) Wojciechowski, Kościół katedr. Kraków 1900, 139 n.

[3]) Prokop, Markgrafschaft Mähren. Wien 1904, 131.

Mimo bardzo dawnego wezwania, kościółek sam nie pochodził z czasów przedpiastowskich i wielkomorawskich, lecz co najwcześniej z I-ej połowy XI w., gdyż na to wskazują mury jego fundamentów i ścian, jakie w podziemiach odkryto przy restauracji katedry. Odkryto wprawdzie niewiele i nie w całości obwodu, ale już i z tych fragmentów można się przekonać że była to kaplica znacznie młodsza od śś. Feliksa i Adaukta i zbliżona swoim wątkiem murów i sposobem szychtowania do ruin na ostrowie jeziora Lednicy. [1])

Jak ten kościółek wyglądał, trudno z dzisiaj zachowanych fragmentów wybadać. Wojciechowski rekonstruuje go jako niebardzo wydłużony prostokąt, jednakże przyznaje, że ściana wschodnia jest zupełnie zrujnowana, a od strony zachodniej było, zamurowane dziś, przejście do wieży dzwonowej czyli wikaryjskiej. Prostokąt jest rozmiarów 7·40 × 4·90 m., ale zdaje się nie była to forma pierwotna kaplicy. Przypuścić należy, że prostokąt miał od początku absydę od strony wschodniej i że później przybudowano mu wieżę od strony zachodniej. Mógł zatem wyglądać podobnie jak kościółki nieco późniejsze św. Idziego w Krobi, św. Jana w Siewierzu, jak kościoły w Gieczu, Kotłowie, Lubiniu, Wysocicach, Kościelcu kujawskim [2]) etc.

Istnienie absydy przypuszczał i Wojciechowski, a że wieża od zachodu przylegająca jest młodsza od nawy środkowej, tego dowodzi nie tylko młodszy wątek muru ciosowego, ale i plan wieży, zbudowanej na kwadracie szerszym niż reszta kaplicy. Wieże pierwotnie planowane były zwykle mniejsze. Kiedy tę wieżę dobudowano do kaplicy, nie można na pewno powiedzieć. Wątek murów romańskich sięgających dzisiaj do połowy I-ego piętra wskazuje na XIII, najdalej XII wiek, czyli, że wieżę tę wystawiono albo równocześnie z budową krypty św. Leonarda, albo nawet nieco później.

Kaplica przechodziła parę przeróbek. Pierwszą z nich była przebudowa za czasów bisk. Prandoty († 1266), który tu swój grobowiec chciał umieścić. Przeróbka polegała, jak

[1]) Wojciechowski l, c, 146

[2]) Sprawozdania kom. hist. szt. l p, XVI—III tabl. I—VI p. 87 etc.

to mury wskazują, na usunięciu górnej części murów ciosowych i zastąpieniu ich cegłą, z tem zaś łączyło się prawdopodobnie podniesienie ścian i ich zasklepienie. Ta budowa biskupa Prandoty przetrwała do czasów Łokietka i została wówczas bez większych zmian włączona w obręb nowej gotyckiej świątyni Nankierowskiej. Dopiero w 1454 r. Zbigniew Oleśnicki podjął nową budowę i przerobił kaplicę na gotycką z okazji stawiania pomnika Prandocie. Poraz ostatni wreszcie doznała ta kaplica przeróbki w 1663 r., kiedy to przebudowano ją na kaplicę grobową rodziny królewskiej Wazów w stylu baroku.

Najdawniejsza wzmianka o tej kaplicy pochodzi z przywileju bisk. Bodzanty 1349 r., a więc już z czasu, kiedy kaplica przestała być osobnym kościółkiem i była częścią składową katedry. Dokument ten nazywa ją kaplicą już dawno wybudowaną i poświęconą, co naturalnie nie mogłoby być, gdyby kaplica w latach ostatnich, podczas budowy katedry powstała, lub do romańskiej katedry, jak chce Wojciechowski, należała. W tym samym dokumencie czytamy jeszcze o drugim ważnym szczególe, że w tej to kaplicy złożone były niegdyś zwłoki św. Stanisława.[1]) Ponieważ zaś zwłoki te spoczywały od 1254 na środku katedry, przeto w kaplicy spoczywać musiały przedtem, a więc w XII i XI w.

Są dowody, że w tejże kaplicy złożono ciało św. Stanisława zaraz po przewiezieniu go ze Skałki na Wawel 1089 r. Mianowicie jeszcze za czasów Długosza istniał w tejże kaplicy grobowiec św. Stanisława pokryty złotemi blachami z wyrytemi obrazami męczeństwa i z napisem czterowierszowym.[2]) Długosz pisze wyraźnie, że grobowiec ten do jego dni istnieje, a zatem złożono tu święte zwłoki przed przeniesieniem ich na środek katedry. Ponieważ od 1089 r. o żadnem innem przeniesieniu żywoty i historja św. Stanisława nie mówią, przeto stąd wynika, że najprawdopodobniej od początku t. j. od 1089 r. zwłoki te w tej kaplicy spoczywały i dopiero w 1254 przeszły na środek katedy romańskiej.

Jednakże cały szereg źródeł, nawet sam Długosz w Historji i Żywotach biskupów krakowskich pisze, że ciało św.

[1]) Kod. dypl. kat. krak. Nr 186.
[2]) Długosz, Liber. benef. I. 233.

Stanisława przeniesiono ze Skałki wprost na środek kościoła katedralnego. Z tego możnaby wnioskować, że dopiero później przeniesiono je do kaplicy śś. Piotra i Pawła, a w r. 1254 jeszcze raz na środek katedry, albo też, jak to robi Wojciechowski, uważać tę kaplicę za chór katedralny. Pierwszy wniosek możnaby jedynie wtedy przyjąć, jeżeli translację na środek katedry w 1089 r. ograniczymy tylko do uroczystego odprawienia nabożeństwa i egzekwij z tem, że zaraz potem ciało przeniesiono i pogrzebano w kaplicy poza katedrą, co też prawdopodobnie nastąpiło. Natomiast nie można się zgodzić na drugi wniosek czyli na hipotezę Wojciechowskiego, jakoby kaplica omawiana musiała wobec tego stanowić ośrodek ówczesnej przedromańskiej katedry.

Hipoteza powyższa nieda się utrzymać z wielu względów. Zwróciłem już wyżej uwagę, że wezwanie śś. Piotra i Pawła nigdy nie należało do katedry krakowskiej. Najdawniejsza katedra miała bowiem wezwanie P. Marji, potem św. Salwatora, Wacława, wreszcie św. Stanisława. W chwili translacji św. Stanisława 1089 katedrą wawelską była, jak to w poprzednim szkicu starałem się udowodnić, rotunda P. Marji (śś. Feliks i Adaukt), a dopiero 2 lata później zaczął Władysław Herman budować nową bazylikę katedralną, z której dziś fundamenty tylko zostały. Kaplica o powierzchni prostokąta 36 m.^{2} nie była o wiele większa od rotundy, która ma około 35 m.^{2} powierzchni, ale była znacznie młodsza. Gdyby zaś ona była siedzibą biskupią, to nie wiadomo, dlaczego w 1254 r. dopiero urządzono uroczystą translację ciała na środek katedry, a nie 100 lat przedtem, kiedy ta katedra była już wybudowana i wykończona.

Nie ulega wątpliwości, że gdy w początkach XII w. stawiano bazylikę katedralną, wówczas kaplica śś. Piotra i Pawła znalazła się w obrębie cmentarza i otoczona została, albo przylegała sama do muru cmentarnego, którego resztki odkryto niedawno przy tejże bazylice.[1]) Pochowano zaś w niej zwłoki św. Stanisława najprawdopodobniej dlatego, że była kaplicą cmentarną, oddawna przeznaczoną na miejsce ostatniego spoczynku dla biskupów krakowskich, którzy

[1]) Szyszko Bohusz w Roczniku krak. XIX. fig. 1 a lit. c.

w małej rotundzie miejsca dla siebie nie mieli. Dlatego tu pochowano św. Stanisława i dlatego tu obrał sobie grób biskup Prandota, mimo, że daleko obszerniejsza bazylika już na Wawelu istniała.

Wizytacja bisk. Zadzika z XVII w. (1635—42), zapisała tradycję, że kaplica śś. Piotra i Pawła, czyli prandocińska, tworzyła niegdyś ośrodek większej świątyni, do połowy drewnianej, która gdy spłonęła, wybudowano na jej miejscu za czasów bisk. Nankiera nową katedrę gotycką, a kościółek dotychczasowy zamieniono na kaplicę katedralną. Z tej po 400 dopiero latach zapisanej tradycji wyciąga Wojciechowski hipotezę o na pół drewnianej katedrze Chrobrego, sobotami otoczonej, hipotezę, która jest zupełnie fałszywa.[1]) Kościół bowiem śś. Piotra i Pawła, nawet przypuśćmy, przybudówką drewnianą powiększony, nigdy katedrą nie był, tradycja zaś spisana w XVII w. jest tak bardzo późna, że na niej polegać stanowczo nie można. Gdybyśmy jednak chcieli na nią zważać, to i tak ona nie mówi nic o katedralnym charakterze tego kościółka, a z drugiej strony dodaje, że ta drewniana przybudówka istniała przy końcu XIII w. i na początku XIV bezpośrednio przed budową katedry Nankierowskiej, czyli dzisiaj stojącej gotyckiej. Na to raz można się zgodzić tem więcej, że przylegająca do kościoła krypta św. Leonarda stanowiła początek większej budowli, jak się zdaje nigdy nie kończonej, a więc prawdopodobnie prowizorycznie z drzewa wybudowanej. Jest to jedynie przypuszczenie, do którego uprawniają słowa wizytacji bisk. Zadzika.

Rezultatem naszych badań pozostanie zatem stwierdzenie, że kaplica śś. Piotra i Pawła była pierwotnie osobnym kościółkiem cmentarnym na Wawelu przeznaczonym do chowania biskupów krakowskich, oraz że pochodzi z XI wieku, ale nigdy katedrą nie była, a dopiero w XIV w. weszła jako kaplica w obręb katedry gotyckiej.

IV. Bazylika romańska.

W latach 1914—20 odkryto w murach zamku królewskiego na Wawelu fundamenty bazyliki romańskiej, która jest jednym z najciekawszych zabytków, jakie góra wawelska

[1]) Wojciechowski l. c. 155.

obejmuje. Poświęcono im, jak dotąd, dwie zaledwie większe rozprawy, a to w *Przeglądzie Powszechnym* 1919 r. [1]) i w *Roczniku krakowskim* 1923 r., [2]) stanowczo za mało, jak na niesłychaną wagę zabytku. Obie te rozprawy dochodzą w wielu wnioskach do odmiennych rezultatów, a ponieważ jedna z nich jest moja, przeto zmuszony jestem raz jeszcze chwycić za pióro, by innemi argumentami i z innego punktu widzenia moją tezę uzasadnić.

Bazylika, o której mowa, stała w miejscu, gdzie dzisiaj jest kaplica Batorego i po za nią dalej na wschód, tak że cała wschodnia część tej budowli znajduje się już w murach zamkowych. Szczegółowe badania prof. Szyszki Bohusza odkryły tę właśnie wschodnią część bazyliki i pozwoliły stwierdzić, że była to budowla szerokości 14·40 m., długości około 30 m., że miała od wschodu 3 absydy i transept na 23 m. długi, a 7 m. szeroki. Stwierdziły dalej, że pod chórem wschodnim znajdowała się krypta, że 3 nawy podzielone były między sobą arkadami, wspartemi na filarach i kolumnach i to w ten sposób, że między parą filarów stały zawsze 2 kolumny.

Nie wiemy, jak ta bazylika wyglądała od zachodu, czy miała równo zamknięty prostokąt, czy też występy boczne z wieżami i absydą w środku, jak kollegjata w Łęczycy. Szyszko Bohusz przypuszcza pierwsze rozwiązanie, za drugiem natomiast jest Wojciechowski, który fundamentów tych wprawdzie nie widział, ale na podstawie pieczęci próbował je zrekonstruować. [3]) Która hipoteza jest prawdziwszą, nie wiadomo, tem bardziej, że są świadectwa stwierdzające nie 2 lecz 3 wieże przy katedrze romańskiej na Wawelu. [4]) Rozwiązać tego problemu nie można bez burzenia dzisiejszej katedry, co jest niemożliwem, polegać zaś na wizerunku pieczętnym również nie można, bo może być szablonowym. Pewnem jest tylko, że po stronie zachodniej bazyliki stały conajmniej 2 wieże.

---

[1]) Gumowski, Katedry wawelskie, „Przegląd powsz." 1919. 453.

[2]) Szyszko Bohusz, Z historji romańskiego Wawelu. „Rocznik krak." 1923. XIX. 1.

[3]) Wojciechowski. Kościół katedr. w Krakowie 1900, 188.

[4]) Długosz. Opera omnia I. 400.

To, co z tej bazyliki dla dzisiejszych badaczy pozostało, to plan ogólny, mury fundamentów i niektórych dolnych części, kilka kolumn połamanych, baz i kapiteli. Chcąc uzyskać przeto dla ruin jakąś podstawę chronologiczną, należy te właśnie szczegóły zanalizować.

Najważniejszym tutaj jest plan ogólny świątyni jako wydłużonej i na krzyżu opartej, trójnawowej bazyliki romańskiej. Plan ten nie jest podobny do planu kollegjaty łęczyckiej, jak myślał Wojciechowski, nie ma przedewszystkiem absyd w przedłużeniach transeptu. Z kościołów polskich stosunkowo najwięcej jest podobną w planie bazylika klasztoru Norbertanek w Strzelnie,[1]) mniej nieco katedra kruszwicka z powodu, że dodane jeszcze 2 zakrystje po bokach chóru, tak, że ma aż 5 absyd na wschodzie. Natomiast sporo analogij znajdujemy dla naszej bazyliki na zachodzie, zwłaszcza między kościołami romańskiemi średniowiecznej Saksonji.

Już Szyszko Bohusz zwrócił uwagę na analogje, jakie łączą naszą bazylikę z katedrami w Naumburgu, Merseburgu i z ruinami kościoła w Crölpa. Ze swej strony dodajemy, że takich analogij jest daleko więcej, a mianowicie katedra w Spirze, kościoły w Hecklingen, Burg, Walbeck, Vessra, Halberstadt, Kwedlinburg i Laach. Z nich najwcześniejszy jest kościół zamkowy w Kwedlinburgu zbudowany w latach 997—1025, ale przebudowany w 1070[2]) tak że nie wiadomo, które części do pierwszej, a które do drugiej budowy zaliczyć. Bardzo starym jest też podobny kościół w Walbeck, w Saksonji, budowany w latach 1011—48[3]), oraz katedra w Merseburgu, której budowę rozpoczął w 1015 r. słynny kronikarz Thietmar, a z której dziś tylko fundamenty zostały. Różni się jednak od bazyliki krakowskiej tem, że obok chóru wschodniego ma 2 okrągłe wieże po bokach.[4]) Bardzo do wawelskiej podobną jest katedra w Naumburgu, założona około 1020 r., wykończona częściowo 1028 r., a poświęcona w 1044 r., która mimo to wieże zachodnie otrzymała w 1070 r.[5])

[1]) Łuszczkiewicz w Pamiętniku Akad. krak. III, 89.
[2]) Zeller, Die Kirchenbauten d. Ottonen. Berlin 1916 p. 38.
[3]) Parisius, Kunstdenkmäler d. Kr. Gardelegen. Halle 1897. p. 165.
[4]) Joseph, Geschichte der Baukunst. Leipzig 1912. p. 391.
[5]) Bergner, Kunstdenkmäler der St. Naumburg. Halle 1903 p. 20 etc.

Katedra w Spirze, budowana w 1030—1062 r., nie należy wprawdzie do budowli saskich, ale ma plan podobny, tylko, że już w latach 1137—59 została zupełnie przebudowana, ma zatem sklepienie, którego wawelska nie posiadała, ma formy bogatsze i rozmiary większe.[1]) To samo stało się i z kościołem św. Pawła w Halberstadt. Zbudowany na podobnym planie przez biskupa Burcharda II w 1063 lub 1085 r. przebudowany został na nowo około 1130 r. przez proboszcza Alverusa.[2]) Najpóźniejszy w tym szeregu, ale też najświetniej zachowany jest kościół opacki w Laach, budowany 1093— 1156 r., również bardzo w planie swojej wschodniej części do wawelskiego zbliżony.[3])

Analogje powyższe dowodzą, że bazylikę na Wawelu wystawiono na wzór kościołów i katedr saskich, wznoszonych w ciągu XI stulecia. Szyszko Bohusz też widzi te analogje, chociaż podaje ich bardzo mało ale wyprowadza z nich zdumiewający wniosek, że ruiny wawelskie są resztkami katedry Chrobrego, budowanej od 1001 r. Tymczasem jest rzeczą jasną, że jeżeli w Krakowie budowano na wzór kościołów saskich, to te kościoły musiały być wcześniejsze, a krakowski kościół późniejszy, a nie odwrotnie. Kościół krakowski mógł być wzorem dla Strzelna a może i Kruszwicy, ale nie dla Naumburga, Spiry, Merseburga etc. Budowy zatem jego nie można kłaść na czasy Bolesława Chrobrego (992—1025), ani nawet na pierwszą połowę XI wieku, kiedy katedry saskie dopiero się budowały, ale zaledwie na drugą połowę lub koniec tego stulecia.

Jest rzeczą również znaną, że w Czechach, dokąd prądy artystyczne Zachodu daleko wcześniej docierały aniżeli do Polski, budowa bazylik romańskich nie zaczęła się, jak w połowie dopiero XI wieku. Pierwszą świątynią, w tym stylu wystawioną, był kościół w Raigen, zaczęty 1045 r., potem dopiero w latach 1060—67 przyszła kolej na budowę katedry św. Wita w Pradze, a w 1070 r. katedry św. Piotra w Bernie.[4]) Podobnie i na Węgrzech najstarsze bazyliki

[1]) Warnecke, Hauptwerke d. bild. Kunst. Leipzig 1902. p. 137.
[2]) Doering, Kunstdenkmäler d. Kr. Halberstadt. Halle 1902. p. 358
[3]) Warnecke, l. c. p. 142.
[4]) Prokop, Die Markgrafschaft Mähren. Wien 1904 p. 129 i 131

romańskie nie pochodzą z wcześniejszej doby jak II-ga połowa XI wieku, takie mianowicie jak katedra w Ostrzyhomiu, kościoły w Pecs i Szekesfehervar.[1]) Jest zatem rzeczą nie do pomyślenia, aby u nas już za czasów Chrobrego takie bazyliki budowano i wyprzedzano wszystkie okoliczne, zachodnie i południowe nawet kraje na tem kulturalnem polu.

Zapytajmy jednak, co mówią szczegóły naszej bazyliki na Wawelu. Charakterystycznym szczegółem jest mięszanina filarów i kolum między nawami, jaką u nas widzimy jeszcze tylko w katedrze płockiej. Otóż takie samo rozmieszczenie kolumn, po 2 między dwoma filarami mamy w słynnym kościele św. Michała w Hildesheimie, zbudowanym w latach 1000—1022 przez biskupa Bernwarda, a spalonym już 1034 i 1186 r., ale zawsze odbudowywanym na dawnych fundamentach.[2]) To samo mamy też w kościele św. Stefana i Sebastjana w Frose, pochodzącym z XI wieku[3]) i w bazylice św. Godeharda w Hildesheimie, tak ważnej w historji architektury saskiej i niemieckiej, budowanej w latach 1133—72 r.[4]) Podobny układ, ale po jednej kolumnie między filarami, mamy w kościołach saskich w Gernrode i Hechlingen z XI w. i w kościele zamkowym w Kwedlinburgu, w części wschodniej, przerobionej 1070 r.[5]) A zatem i tutaj wzory saskie z XI wieku.

Dalszą charakterystyczną cechą bazyliki wawelskiej to kapitele kolumn i ich ozdoby. Jest ich dwa rodzaje, oba jednak kostkowe. W krypcie mianowicie bazyliki miały kolumny skromne kapitele, półkolem tylko zarysowane i zwykłe atyckie bazy, bez żabek po bokach. W górnej zaś części, kolumny miały podobne bazy, ale kapitele nieco ozdobniejsze, bo ornamentem plecionki pokryte.

Otóż kapitele pierwsze, skromniejsze, o półkolistem zarysowaniu są szczegółem bardzo pospolitym i w całej epoce romańskiej używanym. W polskich zabytkach wi-

[1]) Czobor. Die hist. Denkmäler Ungarns. Budapest, 1896.
[2]) Hasak, Die Baustile II. Stuttgart 1902 p. 128.
[3]) Zeller l. c. p. 63.
[4]) Kuhn, Geschichte der Baukunst I. New York 1909 p. 383.
[5]) Zeller l. c. p. 38.

dzimy go w kościołach kruszwickim i łęczyckim, w kościele w Prandocinie i Wysocicach, a ostatni raz nawet w cysterskiej Koprzywnicy.

O wiele ciekawszy jest jeden znaleziony kapitel na Wawelu z ornamentem plecionki sznurowej. Ornamentem takim ozdobione były może wszystkie kapitele przy kolumnach transeptu i nawy głównej naszej bazyliki, a nawet parapet, chór od nawy oddzielający, a może i antepedja ołtarzowe. Zachowała się bowiem jeszcze płyta kamienna tą plecionką ozdobiona, która według Sokołowskiego jest częścią parapetu,[1]) według mnie zaś częścią antepedjum.

Uważam za rzecz zupełnie zbyteczną badać od początku rozwój ornamentu sznurowego i szukać do naszych zabytków analogji we Francji, Szwajcarji, Hiszpanji, etc., jak to uczynił Sokołowski. Dla naszych celów musimy analogji szukać daleko bliżej i wówczas znajdziemy, że plecionkę podobnie skromną mają niektóre kapitele katedry św. Wita w Pradze, jakie jeszcze w resztkach krypty tamże się znalazły. Wiadomo zaś, że tę katedrę budowano dopiero za Spitygniewa II i Wratysława II, w latach 1060—67.[2]) Nieco bogatszą plecionkę mają kapitele kościoła św. Godeharda w Hildesheimie z lat 1133—72,[3]) tego samego, który i inne analogje do Wawelu wykazuje. Najbogatszą jednak plecionkę mają niektóre kapitele opactwa Cystersów w Sulejowie, pochodzącego z początków XIII w.[4])

Z porównania tych szczegółów ornamentacyjnych łatwo stwierdzić, że plecionka wawelska zbliżona jest najwięcej do praskiej i zajmuje pośrednie miejsce między dekoracją kapiteli w Pradze, a kapiteli w Hildesheimie, czyli że powstała po roku 1060, a przed 1133 r.

Ostatnim wreszcie szczegółem budowli wawelskiej to krypta pod chórem wschodnim ze sklepieniem krzyżowem, wspartem na 8 kolumnach. Jest ona powszechnem zjawiskiem we wszystkich większych bazylikach romańskich z XI w., a posiadają ją kościoły i saskie i czeskie już przy-

[1]) Sokołowski w Sprawozdaniach kom. hist. szt. VIII p. CCCCXIV.
[2]) Podlaha, Metropolni chram św. Wita. Praha 1906, I.
[3]) Adamy, Architektonik des Mittelalters, Hannower 1889. 284.
[4]) Łuszczkiewicz w Sprawozd. kom. hist. szt. I, tabl. III.

toczone, jak w Naumburgu i św. Michała w Hildesheimie i kościół zamkowy w Kwedlinburgu i opactwo w Laach i wiele innych. W Czechach są krypty przy najstarszych bazylikach, jak w katedrze św. Wita w Pradze (1060), św. Piotra w Bernie (1070) i śś. Piotra i Pawła w Wyszehradzie 1072 r., że wymienię tylko kościoły z XI wieku.[1]) W Polsce zaś obok omawianej tu bazyliki odkryto, jak dotąd, jeszcze 4 kościoły z kryptami, wszystkie z XIII pochodzące wieku, a to św. Leonarda na Wawelu, św. Andrzeja w Krakowie, N. P. Marji w Wiślicy i św. Jana w Mogilnie.

Wszystkie powyższe analogje i stylowe pokrewieństwa wykazują niezbicie, że bazylika wawelska, z której tylko fundamenty i skromne fragmenty do naszych czasów się ostały, nie mogła powstać, jak chcą niektórzy, ani za panowania Bolesława Chrobrego, ani nawet w połowie XI w., ale znacznie później, bo dopiero przy końcu stulecia. Nie mogła powstać dlatego, że wzorem jej były katedry saskie, które w pierwszej połowie XI w. dopiero się budowały, a styl bazylikowy romański dopiero wówczas w Saksonji wchodził w modę. Styl ten doszedł do Czech dopiero w połowie XI w., do Polski zaś mógł przyjść najwcześniej przy końcu tego wieku. Takie bowiem jest położenie geograficzne Polski i taki był nie tylko na tem polu porządek rzeczy.

Hipoteza, że nasza bazylika sięga czasów Chrobrego i budować ją zaczęto zaraz po zjeździe gnieźnieńskim 1001 r., oparta jest na równie błędnej i fantastycznej hipotezie T. Wojciechowskiego, według którego fundacja biskupstwa krakowskiego przypada na r. 1000 i naturalnie zaraz potem budowa katedry. Tę pierwszą katedrę Chrobrego umieszczał Wojciechowski w murach kaplicy śś. Piotra i Pawła, Szyszko Bohusz zaś w murach odkrytej przez siebie bazyliki romańskiej. Wykazałem wyżej, jak błędne są obie hipotezy i jak same mury wskazują na to, że pochodzą nie z początku, lecz z końca XI w. Mamy zatem przed sobą fundamenty nie katedry Chrobrego, lecz katedry budowanej przez Władysława Hermana w latach 1090—1142, wielokrotnie w źródłach poświadczonej.

---

[1]) Prokop, l. c. 145.

Że kościół ten był katedrą w ciągu całego XII i XIII w., dowodem może być fakt, że w tym okresie czasu nie było żadnego większego kościoła na Wawelu, oraz przekaz Długosza, mówiący o inkastelacji zamku krakowskiego przez Konrada Mazowieckiego 1241 r. i wybudowaniu muru obronnego, ciągnącego się od katedry do rotundy śś. Feliksa i Adaukta. Otóż mur taki się znalazł i rzeczywiście dotyka naszej bazyliki od południowej strony transeptu, potwierdzając zupełnie dokładnie słowa Długosza.[1]) Jest rzeczą charakterystyczną, że Szyszko Bohusz o tym murze nie wspomina zupełnie.

O dalszych losach i budowie tej świątyni nie wspominam na tem miejscu, gdyż temat ten omówiłem dostatecznie w pracy przed paru laty ogłoszonej.[2]) Zaznaczę tylko, że mur, oddzielający transept od głównego korpusu kościoła, nie jest identyczny z murem Konradowym z 1241 r. Prawdopodobnie postawiono go wówczas, gdy przystąpiono do budowy nowej gotyckiej katedry i gdy trzeba było zachodnią część starej romańskiej bazyliki demolować, aby zrobić miejsce dla nowej. Było to w 1320 r. za czasów Łokietka. Zachowano przecież część wschodnią bazyliki na nabożeństwa i dopiero po wykończeniu nowej budowy przeniesiono do niej resztę ołtarzy. Wówczas to stare mury zamieniono może na kaplicę św. Gereona.

V. Krypta św. Leonarda.

Najtrudniejszym może z problemów wawelskich jest krypta św. Leonarda, budowla, o której rozwiązanie kusili się wszyscy dotychczasowi badacze katedry. Jak dotąd jednak godzili się wszyscy na hipotezę T. Wojciechowskiego, że krypta niniejsza pochodzi z XI w. i należy ściśle do budowy katedry hermanowej, która nad nią stanęła. Nie zdawano sobie jednak sprawy, że w takim razie cała budowa katedry ciągnęłaby się jakoś za długo, bo od czasów arcyb. Arona do 1142 r., czyli okrągło 100 lat. Tej dziwnej hipotezy nie zdołały obalić nawet najnowsze odkrycia Szyszko

[1]) Długosz: Historja pol. II, 285.
[2]) „Przegl. Powsz." 1919.

Bohusza, które bazylikę romańską pokazały na zupełnie innem miejscu bardziej ku wschodowi Wawelu. Skonstruowano w lot nową hipotezę, że bazylika wymieniona, to tylko pierwsza katedra romańska, zniszczona jeszcze przed Aronem, która zupełnie nie przeszkadzała istnieniu tej drugiej romańskiej katedry, jakiej pozostałością ma być krypta św. Leonarda.

Aby wykazać, jak błędną jest powyższa hipoteza i jak niemożliwą jest nadal do utrzymania, zbadajmy same mury tej krypty. Do badania mamy tutaj, prócz murów, plany, sklepienie, kolumny z bazami i kapitelami, gzymsy i fragmenty rzeźbione, a więc wcale obfity materjał.

Krypta św. Leonarda była podobnie zbudowana, jak krypta w bazylice poprzednio opisanej, jako kaplica 3-nawowa, absydą zakończona, ze sklepieniem na 8 kolumnach spoczywającem. Była tylko 2 razy większa, gdyż promień łuku absydy wynosi w bazylice 2·25 m., a u św. Leonarda 4·03 m. Pod tym względem jest to jedna z największych znanych w Polsce absyd, gdyż w Płocku wynosi ten promień 3·50, w Strzelnie 3.—, w Kruszwicy, Mogilnie i Czerwińsku po 2·50 m. etc. Większy jest jedynie promień zachodniej absydy w kollegjacie łęczyckiej, wynoszący przeszło $4^1/_2$ m. Z kościołem łęczyckim ma jeszcze to wspólnego, że są to dwie jedyne w Polsce absydy na zachód zwrócone.

Nie ulega wątpliwości, że św. Leonard budowany był od początku jako krypta jakiejś większej budowli. Dlatego ma taki układ i dlatego jest sklepiouy i dlatego o 143 cm. niżej miał swoją posadzkę, niż starsza odeń kaplica śś. Piotra i Pawła.[1]) Z ogólnego planu nic zresztą wydedukować się nie da. Tak budowały się bowiem przeważnie i krypty saskie i czeskie, tylko że w Saksonji budowa krypt zanika już na początku XII w., w Czechach ciągnie się jeszcze do połowy tego stulecia, gdyż ostatniemi są tu krypty dwie w Starym Bolesławcu z 1145 i 1150 r., oraz krypta u św. Jerzego na Hradczynie, powstałą w latach 1142—55.[2]) Krypta w Bolesławcu ma nawet to z krakowską wspólnego, że jest podobnie nieregularnie zbudowana i jej linje ścian i kolumn

[1]) Wojciechowski, l. c. p. 196.

[2]) Prokop l. c. p. 145.

także nie idą równolegle. Jeszcze późniejsza jest krypta katedry ołomunieckiej, zbudowana 1160 r.

Dowodem starszeństwa krypty św. Leonarda przed innemi budowlami miał być według Wojciechowskiego niezwykle gruby mur absydy, bo wynoszący 1·55 m., czyli więcej niż mury innych romańskich kościołów w Polsce. Tymczasem nie jest to żaden dowód, gdyż wspomniana krypta ołomuniecka, mimo że jest najmłodsza z pośród czeskich, ma jeszcze większą grubość muru, bo 1·80 m.

Ważnym szczegółem konstrukcyjnym są gurty sklepienne, jakie w krypcie św. Leonarda widzimy. Gurty te wskazują bowiem stanowczo na w. XII, a nie XI. Katedry saskie, budowane w XI w., n. p. Kwedlinburg, Merseburg, nawet św. Gereon w Kolonji, miały krypty ze sklepieniami bez gurt, które są zjawiskiem znacznie późniejszem. Czy miała je niedawno odkryta bazylika katedralna na Wawelu, jest wątpliwem, ale prawdopodobnem. Budowana bowiem była w czasie, kiedy gurty weszły na stałe do architektury, t. j. na końcu XI w.

Dalszym szczegółem architektonicznym to kolumny krypty i ich budowa. Wiadomo, że jedne z nich mają bazy zwyczajne atyckie, drugie zaś mają bazy z listkami narożnemi czyli żabkami. Z tego utworzył Wojciechowski nową teorję, że krypta budowała się conajmniej lat 40, raz za Arona około 1050 i wówczas stawiano kolumny bez żabek i drugi raz około 1090 za Władysława Hermana i wtedy dopiero dawano bazy kolumn z żabkami. Jest to oczywiście kombinacja zupełnie dowolna, utworzona specjalnie dla podtrzymania innej hipotezy, według której wezwanie św. Leonarda przyniósł również arcyb. Aron z Zachodu, z Leodium. Tymczasem jest rzeczą jasną, że krypta nie jest budowlą aż tak dużą, by tyle lat pracy nad sobą wymagała. Kryptę n. p. w Limburgu, fundowaną przez Konrada II 1035 r. zbudowano w ciągu lat 7-miu,[1]) kryptę zaś w Trzebnicy na Śląsku stawiano w latach 1203—1214, a więc przez lat 11.[2]) Czasu tego używano więcej do obrobienia i przygotowania ciosów kamiennych, aniżeli do samej budowy, której fundamenta mu-

[1]) Dohme, Gesch. d. d. Baukunst, Berlin 1887. 51.

[2]) Lutsch, Kunstdenkmäler Schlesiens V. 401.

siały być odrazu zakreślone. Z tego powodu hipotezę co do dwukrotnej budowy krypty należy odrzucić, a fakt istnienia mniej i więcej ozdobnych baz przy jej kolumnach położyć raczej na karb nowych robotników czy kierowników budowy, którzy w trakcie tych kilku lat pracy się zjawili.

Ale z tego właśnie powodu budowa nie może pochodzić z XI w., lecz co najwyżej z połowy XII w. Żabki na bazach widzimy wprawdzie w niektórych kościołach nadreńskich XI w., ale nie widzimy ich w sąsiadujących z Polską krajach, a więc ani w Saksonji, ani w Czechach w tym czasie, dopiero w XII w. Prawie w całych Niemczech żabki wchodzą w użycie dopiero w początku XII w.,[1]) ale to samo zjawisko obserwować możemy i w Czechach. Co więcej, znajdujemy tu analogję bardzo charakterystyczną. Mianowicie w Starym Bolesławcu istnieją dwie krypty, wschodnia i zachodnia pod bazyliką.[2]) Otóż zachodnia, budowana wcześniej, bo 1145 r., nie ma jeszcze żabek na swoich bazach, wschodnia zaś, późniejsza, ale nie bardzo, bo z 1150 r. pochodząca, ma już omawiane żabki. Jeżeli tak było w Czechach w latach 1140—50, to w Polsce i na Wawelu musiało tak być, jeżeli nie w tym samym czasie, to nawet nieco później.

Te same kolumny naszej krypty mają u góry kapitele kostkowe, półkolem zakreślone, skromne i bez ozdób podobnie jak w krypcie bazyliki romańskiej. Jednakże przyziemne pilastry mają już kapitele inne, złożone z nagłówka i fryzu w szachownicę, powstałego z 3-ch rzędów kwadracików, raz wypukłych a raz wklęsłych. Otóż ornament ten jest niesłychanie ważny dla chronologji zabytku. Pokazuje się bowiem, że wcale nie jest ozdobą najpospolitszą w sztuce romańskiej, ale że jest właściwością dopiero późniejszego, rozwiniętego romanizmu. Mamy go bowiem nie w kościołach budowanych w XI wieku ale dopiero w tych, które z XII wieku pochodzą, jak n. p. w klasztorze saskim Posa koło Zytycy, budowanym od 1114 r.[3]), w klasztorze Vessra w Sak-

[1]) Kuhn, Geschichte der Baukunst I. 1909 p. 394. — Tak samo Łuszczkiewicz w Sprawozd. kom. hist. szt. III. 104.

[2]) Prokop, l. c. 145.

[3]) Sommer, Kunstdenkmäler d. Prov. Sachsen, Halle 1879, p. 20.

sonji, wznoszonym od 1130 r. [1]), w planie swoim bardzo zresztą podobnym do bazyliki na Wawelu. Taki sam gzyms okapowy mamy i w słynnej świątyni św. Godeharda w Hildesheimie, stawianej w latach 1133 do 1172, która tyle posiada analogij do budowli wawelskich. [2]) Podobny ornament mamy wreszcie w takich kościołach romańskich jak Abdingshof [3]) w Saksonji, Seckau w Styrji i Jerichow w Brandenburgji, które wszystkie z połowy XII w. dopiero pochodzą. [4])

Na jeszcze późniejszą epokę wzkazują te zabytki romańskie w Polsce, które taki sam ornament posiadają. Oprócz krypty św. Leonarda są to tylko 2 kościoły, ale już Cysterskie, a więc późno-romańskie: w Koprzywnicy, którego budowę ukończono w 1218 r. i w Sulejowie poświęcony w 1232 r. [5]) I na tym szczególe stwierdzamy znowu, że niemożliwą jest rzeczą, aby krypta nasza, takie ornamenta posiadająca, mogła pochodzić z XI w. Najprawdopodobniej nie powstała ani w pierwszej połowie XII w. lecz dopiero później.

Dalszym szczegółem ornamentacyjnym, który niewątpliwie do krypty św. Leonarda należy, to kamienny fragment nadproża z figurą bazyliszka czy gryfa, jaki zdobił niegdyś wejście do krypty od strony południowej. Były to właściwie dwa bazyliszki, pyskami do siebie zwrócone. Otóż jest rzeczą interesującą, że płaskorzeźba z podobnemi potworami romańskiemi znalazła się w tym samym kościele w Posa (Bosau) koło Zytycy, który budowany od 1114 r. już dla innych analogij musiał być tutaj przytoczony. [6])

Jako ostatni fragment można wskazać na kapitel jońsko-koryncki, jaki znalazł się wmurowany w ścianę kaplicy śś. Piotra i Pawła, a obecnie spoczywa w muzeum diecezjalnem. [7]) Prawdopodobnie nie należy on do krypty św. Leonarda zupełnie, gdybyśmy jednak chcieli go wziąć pod uwagę, to nie znajdziemy znowu gdzieindziej analogji, jak w opactwie Su-

[1]) Bergner, Kunstdenkmäler d. Kr. Ziegenrück. Halle 1801. p. 227

[2]) Adamy, Architektonik des Mittelalters, Hannower 1889. 275.

[3]) Adamy, l. c. p. 284.

[4]) Adamy, l. c. 290 — Stiehl, Der Backsteinbau rom. Zeit. Leipzig 1898 pl. 24.

[5]) Sprawozdanie kom. hist. szt. III p. IX oraz I tabl. I.

[6]) Sommer l. c. p. 20.

[7]) Wojciechowski l. c. p. 199.

lejowskiem, gdzie mamy też podobnie ozdobne, choć bardziej rozwinięte kapitele. Opactwo to, jak wzmiankowałem, budowało się dosyć późno, bo w latach 1176—1232 r.

Reasumując nasze spostrzeżenia, musimy dojść do przekonania, że krypta św. Leonarda nie mogła powstać wcześniej niż kościoły saskie, które jej za wzór służyły i dla niektórych szczegółów były wzorem, z drugiej zaś strony nie mogła być późniejsza, niż zbliżone do niej kościoły polskie, a pod względem chronologicznym musiała być do nich bardzo zbliżona. To prowadzi nas do wniosku, że krypta nasza powstała nie wcześniej, jak między 1150—70 r.

Był to czas, kiedy już dawno stała bazylika Hermanowa na Wawelu i kiedy już dawno minął ruch budowlany, tak gorąco popierany przez Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Była to jednak epoka, w której ruch ten na nowo ożywiać się począł, a to dzięki biskupowi krakowskiemu Gedeonowi czyli Gedce, który zasiadał na stolicy biskupiej w latach 1166—85. Wiadomo, że Gedko fundował i począł budować kollegjatę w Kielcach, klasztory cysterskie w Jędrzejowie i Wąchocku, kollegjatę św. Florjana w Krakowie i klasztor Norbetanek na Zwierzyńcu. Nasuwa się zatem przypuszczenie, że to ten biskup jest fundatorem krypty św. Leonarda, gdyż na jego czasy wskazują wszystkie architektoniczne szczegóły wyżej omawiane.

Jeżeli jednak krypta nasza była fundacją Gedki z 2 połowy XII w., to nasuwa się pytanie, do jakiego kościoła miała należeć, gdyż jest widoczne, że była tylko początkiem jakiejś większej budowy. Wprawdzie znane są przykłady, że krypty n. p. św. Cecylji w Kolonji nie miały nad sobą żadnej dalszej budowli. Nie sięgajmy jednak do dalekich nadreńskich wzorów i przypuśćmy, że rzeczywiście planowano nad tą kryptą wznieść chór, czyli wybudować potężną, jak widać z rozmiarów absydy, bazylikę, niewątpliwie katedralną. Taki był plan pierwotny, jak sądzę, biskupa Gedki, powstały może właśnie z okazji przywiezienia nowych relikwij św. Florjana do Krakowa. Wiadomo, że o relikwie te proszono długo papieża, że wprowadzono je uroczyście do miasta i że zło-

[1]) Długosz, Hist. Pol. II. 118.

żono na środku katedry Hermanowej, jako pierwsze relikwie tej katedry.[1]) Na ich cześć ufundował książę Kazimierz kollegjatę na Kleparzu, ale nie wykluczone jest, że i biskup przygotowywał się na ich przyjęcie w ten sposób, że począł nową budować katedrę, której początkiem była właśnie owa krypta. Bardzo możliwe, że krypta nie miała pierwotnie tego wezwania co dzisiaj, gdyż, jak wspomniałem, żadnych jeszcze relikwij katedra krakowska wówczas nie posiadała.

Kwestja, czy krypta miała od początku wezwanie św. Leonarda, jest, mojem zdaniem, kwestją otwartą. Napewne można powiedzieć, że ołtarz św. Leonarda ufundował w krypcie biskup Bodzanta w 1364 r. a więc już po ostatecznem poświęceniu katedry gotyckiej, jak to u Długosza czytamy.[2]) Natomiast w katedrze hermanowskiej znajdował się ołtarz tego świętego przynajmniej od 1271 r. t. j. od czasu specjalnej fundacji kanonika Hermana. Natomiast łączenie tego wezwania z Leodium, arcyb. Aronem i stosunkami XI w. nie ma dużej podstawy.

Nie ulega wątpliwości, że po ukończeniu krypty nie budowano nic po nad nią. Przedewszystkiem umarł 1185 r. główny promotor budowy bisk. Gedko, a następca Gedki biskup Fulko nie miał żyłki budowniczej w sobie. Ta mogła być przyczyna, że budowa cała skończyła się na krypcie.

W rocznikach i kronikach średniowiecznych nie znajdujemy słowa o tej budowie, a byłoby napewno inaczej, gdyby ponad kryptą wybudowano jeszcze bazylikę lub choćby kaplicę. Wojciechowski starał się udowodnić, że po nad kryptą istnieją jeszcze remanenty romańskie większej świątyni, w której chciał nawet widzieć katedrę Hermanową. Remanenty te jednak przy bliższem badaniu nic nie mówią, a redukują się tylko do wieży i kaplicy śś. Piotra i Pawła po stronie południowej i do kaplicy św. Mikołaja po stronie północnej. O kaplicy pierwszej mówiłem w rozdziale poprzednim, że była niegdyś zupełnie osobna, wolno stojąca i że jest nawet starszą, bo z XI w. pochodzącą fundacją. Wieżę dobudowano do niej zapewnie w XII w., ale bez łączności z kryptą św. Leonarda.

[1]) Długosz, Hist. Pol. II. 118.

[2]) Długosz, Liber benef. I. 237.

Druga natomiast kaplica, św. Mikołaja, była znacznie późniejszą budowlą, ceglaną już, a nie ciosową i pochodzi z połowy XIII w., a więc z czasu, kiedy istniała jeszcze katedra Hermanowa i kiedy krypta stała niewykończona na cmentarzu katedralnym. Wojciechowski [1]) słusznie przypuszcza, że kaplica ta jest fundacją, a raczej kaplicą grobową Mikołaja, wojewody krakowskiego, w latach 1256—1260. Zaznaczyć jednak należy, że była to wolno stojąca kaplica na cmentarzu, która dopiero w czasie budowy gotyckiej świątyni, wraz z kryptą św. Leonarda i kaplicą śś. Piotra i Pawła, włączoną została w obręb nowej Nankierowskiej katedry.

VI. Cmentarz katedralny.

Gdy około 1920 r. na Wawelu robiono poszukiwania terenowe w okolicy bazyliki romańskiej, natrafiono na resztki muru okolnego, który od strony południowej jakby odgradzał teren kościelny od książęcego na Wawelu. Mur taki jeszcze z romańskich pochodzący czasów otaczał niewątpliwie nietylko katedrę, ale obejmował i resztę terenu kościelnego, jaki od katedry na zachód i północ się rozciągał, czyli otaczał cały cmentarz katedralny.

Cmentarz ten służył niewątpliwie do grzebania zmarłych, przynajmniej duchownych, ale nie był terenem pustym, przeciwnie miał przy końcu od zachodu conajmniej 3 osobne kaplice, a to pod wezwaniem śś. Piotra i Pawła, św. Leonarda i św. Mikołaja. Pierwsza była najdawniejszą bo sięgała, jak to starałem się w osobnym rozdziale udowodnić, jeszcze XI w., a więc czasów, kiedy bazyliki katedralnej jeszcze nie było, a katedrą była rotunda P. Marji. W XII lub XIII w. dobudowano do niej wieżę. Druga kaplica św. Leonarda, była to krypta zamierzonej większej budowli, powstała w drugiej połowie XII w., jak w poprzednim wykazałem rozdziale i w górze nie zabudowana. Trzecia wreszcie kaplica św. Mikołaja pochodziła dopiero z XIII w. i była fundacją Mikołaja Strzemię, wojewody krakowskiego.

Taki stan rzeczy na cmentarzu katedralnym trwał aż

[1]) Wojciechowski, l. c. p. 128.

do 1320 r., t. j. do czasu kiedy biskup Nankier rozpoczął budowę nowej gotyckiej, do dziś istniejącej katedry. Dotychczas panowało błędne mniemanie, że na tym właśnie terenie cmentarza wawelskiego stała katedra romańska już od czasów Władysława Hermana. W poprzednich rozdziałach starałem się wykazać, że to było niemożliwe, na tem miejscu zaś spróbuję przytoczyć jeszcze inne dowody, wykazujące niezbicie, że do 1320 r. a nawet i później katedra stała na innem miejscu, a plac ponad kryptą św. Leonarda był jeszcze niezabudowany.

Gdybyśmy sobie choć na chwilę wyobrazili bazylikę romańską ponad kryptą św. Leonarda, tak, jak chce Wojciechowski i inni, to wówczas otrzymamy świątynię o tak nierównym terenie, pełną tylu schodów i stopni, że będzie wręcz niemożliwa i dziwaczna. Według badań Wojciechowskiego, nawy boczne byłyby o 338 cm. niżej położone od nawy głównej środkowej, chór wschodni miałby posadzkę o 250 cm. niżej od chóru zachodniego, kaplica św. Mikołaja byłaby o 35 cm. niżej od kaplicy św. Piotra. [1]) Każdy przyzna, że świątynia o takich różnicach terenu jest niemożliwa i istnieć nie mogła.

Że tak nie było, mamy inne jeszcze dowody. Oto tradycja, bardzo późna wprawdzie, bo z XVII w., w wizytacji biskupa Zadzika przechowana, głosiła, że kaplica śś. Piotra i Pawła, miała niegdyś przybudówkę drewnianą, która za czasów biskupa Nankiera (1320—26) spłonęła i dała bezpośredni powód do budowy nowej katedry. [2]) Z tego wynika że kaplica śś. Piotra i Pawła jeszcze w 1320 r. była oddzielnym kościołem, z drewnianą przybudówką, która tylko ku północy mogła się rozciągać, a więc na teren zajęty później przez nową budowę. Skoro więc istniała przybudówka drewniana, nie mogło być w tem miejscu romańskiej ciosowej świątyni.

Tymczasem katedra romańska stała do 1320 roku na innem miejscu, dalej na wschód, jak to odkopane fundamenta pokazują. Świadectwem dalszem to sprawa kaplic

[1]) Wojciechowski l. c. p. 196 i 197.
[2]) Wojciechowski l. c. p. 154.

katedralnych. Znajdujemy mianowicie w źródłach,[1]) że w 1271 r. biskup Paweł z Przemiankowa i kanonik Herman ufundowali w katedrze 3 ołtarze św. Leonarda, św. Wojciecha i św. Małgorzaty. Fundacja ołtarza św. Leonarda byłaby niezrozumiała w katedrze, która kryptę św. Leonarda miała pod sobą. Widoczne z tego, że krypta stała gdzieindziej, a katedra gdzieindziej, że to były dwa zupełnie odrębne budynki.

Podobnie ma się rzecz z ołtarzem św. Małgorzaty. Ołtarz ten znajdował się w dolnej części wieży południowej już oddawna i jego tam fundacja nie jest znana. Ale oto z wymienionego wyżej dokumentu 1271 r. dowiadujemy się, że kanonik Herman ufundował wtedy taki sam ołtarz w kapitularzu katedry romańskiej. Ale i teraz nie koniec. Bo oto czytamy w Długoszu,[2]) że pierwszym czynem bisk. Nankiera przy budowie nowej katedry, było wystawienie osobnej kaplicy pod wezwaniem św. Małgorzaty już w 1322 r. Takie 3 ołtarze, pod tem samem wezwaniem byłyby naturalnie w jednej świątyni niemożliwe, czyli że musiały istnieć 3 osobne kościoły jakiś czas obok siebie, z których każdy kaplicę czy ołtarz św. Małgorzaty posiadał. Co najwyżej można przyjąć, że Nankier, chcąc wybudować kaplicę św. Małgorzaty, czyli dzisiejszą zakrystję, zburzył część dawnej katedry, może właśnie takąż kaplicę obejmującą i dlatego to wezwanie wybrał.

Dalszym dowodem, że równocześnie z budową katedry gotyckiej stała jeszcze i funkcjonowała dawna katedra romańska to fakt, że w dalszym ciągu odbywały się w niej nabożeństwa i uroczystości, co byłoby wykluczone, gdyby w 1320 r. była zdemolowana. Były to niebylejakie uroczystości, bo koronacja Władysława Łokietka 1320 r., ślub królewicza Kazimierza z Aldoną Gedyminówną 1325 r., pogrzeb Łokietka i koronacja Kazimierza Wielkiego 1333 r. Wszystkie te uroczystości odbywały się, jak wskazują źródła, w katedrze krakowskiej, ale nie gotyckiej, która się dopiero budowała i cała musiała być w rusztowaniach, ale w dawnej romańskiej, która zatem jeszcze istnieć musiała i to

[1]) Kodeks dypl. kat. krak. I. 93.
[2]) Długosz Opera omnia I. 409.

na innem miejscu. W katedrze bowiem gotyckiej wykończoną była zaledwie jedna kaplica, św. Małgorzaty w 1322 r. potem w 1331 r. kaplica N. Marji Panny, dziś Batorego, a dopiero w 1346 r. wielki ołtarz w prezbiterjum. [1]) Przynajmniej do tego czasu obchody i wszystkie większe nabożeństwa musiały się odprawiać gdzieindziej, w dawnej katedrze romańskiej.

Nie ulega przeto wątpliwości, że dawna romańska katedra nie stała w tem samem miejscu co gotycka dzisiejsza, lecz że stała obok niej, czyli że odkryte niedawno fundamenty romańskie są remanentem tej katedry. Wiadomo jednak, że jej front zachodni musiał zachodzić prawie aż pod wielki ołtarz dzisiejszy i dlatego rodzi się pytanie, jak sobie wobec tego w 1320 r. postąpiono. Problem ten rozwiązał biskup Nankier prostym sposobem. Oto kazał zburzyć wysuniętą na zachód połowę kościoła romańskiego, z jego wieżami i głównym korpusem, resztę zaś t. j. nawę poprzeczną i prezbiterjum zostawić i odgrodzić osobną ścianą od zachodu. Resztki tego muru ściennego znalazł rzeczywiście Szyszko Bohusz w fundamentach bazyliki. [2]) Jest on romański z powodu, że użyto doń ciosów ze zburzonej dopiero co zachodniej części bazyliki.

W ten sposób zmniejszono do połowy starą katedrę Hermanowską, by zyskać miejsce na nową budowę i by móc w dalszym ciągu odprawiać dalej nabożeństwa i uroczystości, dopóki nowa ukończoną nie zostanie. Gdzieindziej jak wiemy, robiono inaczej. W Wrocławiu n. p. w czasie budowy katedry gotyckiej przeniesiono nabożeństwa do kościoła św. Piotra, z powodu że starą katedrę musiano rozebrać w całości. [3]) W Krakowie tego nie było potrzeba, stąd o przeniesieniu nabożeństw nie słyszymy ani słowa. Katedra bowiem budowała się głównie na terenie dotychczasowego cmentarza.

Opisując początek tej budowy, wyraźnie zaznacza Długosz, [4]) że biskup Nankier przystąpił do niej dlatego, po-

[1]) Por. plan chronologiczny u Wojciechowskiego l. c. p. 17.
[2]) Rocznik krak. XIX p. 20.
[3]) Lutsch, Kunstdenkmäler Schlesiens I. 33.
[4]) Długosz, Historja Polon. III. 94.

nieważ stara romańska bazylika wydawała mu się za mała, zawąska i niska, a nadto zdeformowana ostnim pożarem z 1306 r. Chciał mieć katedrę większą i piękniejszą, obszerną tak, jak tylko w tem miejscu było można. Dodaje jednak tenże historyk, że przy tej budowie zginęło wiele wspaniałych grobowców książąt i biskupów krakowskich, na które widocznie nie zwrócono dostatecznej uwagi. I znowu tutaj musimy dodać, że gdyby katedra romańska stała już nad kryptą św. Leonarda i jej rozmiarom odpowiadała, nie miałby biskup co narzekać na jej małe rozmiary i znowu, gdyby w tem miejscu nie było cmentarza, nie byłoby może tyle zniszczonych nagrobków i pomników.

Budowa, jak wiadomo, ciągnęła się dwoma etapami: naprzód ukończono jedną połowę, wschodnią i na znak ukończenia postawiono w 1346 r. wielki ołtarz św. Salwatora. Do tego czasu były i boczne kaplice z tej strony skończone. Dopiero potem zabrano się do wykończenia części zachodniej przyczem objęto i wciągnięto w budowę kaplice cmentarne tu stojące, mianowicie św. Piotra Pawła, św. Mikołaja i kryptę św. Leonarda. Budowę tej połowy świątyni ukończono w 1364 r. i wtedy dopiero urządzono wielką uroczystość poświęcenia nowej katedry w obecności arcybiskupa gnieźnieńskiego Jarosława. Uroczystość ta, jak sądzę, związana była z przeniesieniem głównego i ostatniego ołtarza ze starej katedry do nowej, mianowicie ołtarza z relikwiami śś. Florjana i Stanisława.

Wtedy dopiero bazylika dawniejsza, romańska, a raczej jej pozostała połowa, ogołocona z ołtarzy doznała nowej przeróbki. Z polecenia króla Kazimierza Wielkiego przebudowano ją na kaplicę św. Marji Egipcjanki, która pod tem imieniem przetrwała do początków XVI wieku.

Dr. M. Gumowski.

Znaczenie i granice sportu.

Jeżeli, ujmując rzecz najogólniej, nazwą sportu określa się ćwiczenia fizyczne, mające na celu rozwinięcie sprawności fizycznej jednostki oraz, co zatem idzie, wzmożenie jej wydajności, to należy się zastanowić jaki wpływ intensywne ćwiczenie fizyczne wywiera na ustrój ludzki.

Jest zasadniczem prawem biologji, że narządy, których praca jest większa, powiększają się powoli w miarę zwiększonych wymagań. Przy pracy fizycznej, która odbywa się przy współudziale mięśni, rozwijają się przedewszystkiem te mięśnie, które przy wykonaniu danej pracy są czynne; rozwój ich jest więc zależny od rodzaju tej pracy. Najczęściej nie jest on równomierny i harmonijny, gdyż przy zawodowej ciężkiej pracy nie wszystkie mięśnie jednakowo są obarczone; n. p. kowale mają nadmiernie rozwinięte mięśnie grzbietu i kończyn górnych w porównaniu do mięśni kończyn dolnych. Ćwiczenia sportowe, które także są pracą fizyczną, lecz pracą wykonaną dobrowolnie, pracą, która ma być wypoczynkiem, ma dawać radość ruchu, sprężystości i rytmu, różnią się przedewszystkiem od zawodowej pracy fizycznej tem, że ich celem powinno być harmonijne wykształcenie fizyczne człowieka. Nie tylko poszczególne grupy mięśni, obarczonych pracą, lecz wszystkie mięśnie powinny być przy ćwiczeniach sportowych wprowadzone w ruch, wszystkie powinny być czynne i prężne. Ciekawe były spostrzeżenia uczynione przy badaniu atletów. Badania te wykazały, że atleci, którzy pochodzili z zawodów pracujących ciężko (kowale, rzeźnicy), mieli wprawdzie mięśnie bardzo silnie rozwinięte, ale rozwój ich nie był równomierny i lu-

dzie ci nie osiągali najlepszych wyników. Natomiast ci z atletów, którzy ćwiczyli poprzednio głównie lekką atletykę, wykazywali wprawdzie mniej silny rozwój muskulatury, ale mięśnie ich były bardziej harmonijnie rozwinięte, budowa bardziej lekka i zwinna i oni to osiągali najlepsze wyniki.

Wychodząc ze założenia harmonijnego rozwoju ustroju, można więc wśród sportów odróżnić te, które się bardziej do tego celu zbliżają od innych sportów, które bardziej jednostronnie na ustrój działają. Z punktu widzenia równomiernego rozwoju ustroju idealnemi sportami są lekka atleka, wioślarstwo, pływanie, tenis. Rzuty kulą, oszczepem i dyskiem, skoki wzwyż i wdal, wreszcie biegi ćwiczą i rozwijają wszystkie mięśnie równomiernie. Inne sporty jak n. p. kolarstwo, lub szczególniej ulubiona i modna dzisiaj piłka nożna mają już wpływ bardziej jednostronny na mięśnie, gdyż z jednej strony są to sporty ciężkie, stawiające duże wymagania do ustroju, z drugiej zaś strony rozwijają one jednostronnie, choć nie jedynie muskulaturę kończyn dolnych. Mówiąc więc o celowości sportu, jako wyniku harmonijnego rozwoju fizycznego, odróżnić można dwie grupy sportów takich, jak wioślarstwo, lekka atletyka, tenis, pływanie, które się do tego celu bardziej zbliżają, od innych sportów, bardziej jednostronnie działających, jak n. p. kolarstwo i piłka nożna. O różnicach tych należy przy wyborze ćwiczeń sportowych pamiętać.

Działanie ćwiczeń sportowych na ustrój ludzki nie ogranicza się jednak jedynie do silniejszego rozwoju muskulatury. Każdy sport czy to będzie sport lżejszy, jak lekka atletyka, czy też sport cięższy, jak kolarstwo lub piłka nożna, połączony jest z mniej lub więcej wytężoną pracą mięśniową. Przy pracy tej zapotrzebowanie krwi przez czynne mięśnie wzrasta wielokrotnie.

Zapotrzebowanie to, wywołane rozszerzeniem naczyń pracujących mięśni, pokryte jest przez równoczesne zwężanie się naczyń w obrębie nerwów trzewnych i następujący z tego powodu większy dopływ krwi do obwodu. Jednak przeładowanie krwi produktami szkodliwemi, powstającemi przy pracy mięśniowej, przy równoczesnem większem zapotrzebowaniu tlenu, powoduje wkońcu pewien deficyt, który serce musi

wyrównać, pompując o tyle więcej krwi do naczyń, o ile więcej tkanki zużywają tlenu. Z tego wynika, że stopień rozwoju i rodzaj czynności mięśni, oraz ich wymagania w stosunku do krążenia, działają w znacznym stopniu i na pracę serca, wywołując wpływ decydujący na jego masę. Piękne anatomiczno-porównawcze badania Parroda wykazały, że między ssakami zwierzęta żyjące dziko mają znacznie cięższe serce od zwierząt tychże gatunków, lecz oswojonych. Najcięższe serce wśród ssaków ma sarna, zwierzę najbardziej płochliwe, zaś wśród kręgowców najcięższe serca mają ptaki, a między niemi te, które najszybciej pływają i najlepiej śpiewają. Badania Parroda są anatomicznym dowodem wpływu pracy mięśniowej na wielkość serca, dowodem, stwierdzonym u ludzi przez Schiffera i innych autorów, którzy znaleźli, że najcięższe serca posiadają atleci i ludzie z zawodów pracujących ciężko fizycznie, jak n. p. kowale, lżejsze zaś serca posiadają ludzie, nie wykonywujący pracy fizycznej.

Praca mięśniowa w bardzo znacznym stopniu wpływa na ożywienie przemiany materji, wzmożenie procesów spalania w całym ustroju. Już zwyczajne poruszenia palców wzmagają przemianę gazową 12·5%. Pozycja siedząca w stosunku do pozycji leżącej powiększa ją o 7·5%. W pozycji stojącej istnieją różnice, zależnie od tego czy człowiek stoi swobodnie czy też wyprężony. W ostatnim przypadku wzmaga się przemiana o 12 do 20%. Przy większej wprawie jednakże różnice między staniem w pozycji wyprężonej i zwykłej wyrównują się prawie zupełnie. Wskazuje to z jednej strony, że samo napięcie mięśni na przemianę materji prawie nie wpływa, a z drugiej strony wykazuje wpływ ćwiczenia. Zwyczajny 50-cio metrowy spacer po prostej drodze wzmaga zużycie tlenu trzykrotnie; przy szybszem przejściu tej samej przestrzeni wzmaga się ono pięciokrotnie. Zaś przy wchodzeniu na stromą pochyłość może się zużycie tlenu wzmóc dziewięciokrotnie. Jednakże i tutaj wpływ ćwiczenia zaznacza się bardzo wyraźnie, gdyża ludzie trenowani zużywają znacznie mniej tlenu, a pewna szerokość wahań w tem zużyciu zależy od tego, w jakim stopniu inerwowane są mięśnie, konieczne do chodzenia, oraz w jakim stopniu do tego ruchu wciągane są mięśnie pomocnicze.

Efekt pracy mięśniowej człowieka naogół znacznie jest mniejszy od zużytej energji i nieodpowiada ilości tlenu spalonego, przy samym procesie pracy. U zdrowego wyćwiczonego człowieka wynosi on zaledwie 20 do 30%. Na wielkość efektywną pracy wpływa cały szereg czynników. W pierwszej linji działa tu zmęczenie, z powodu którego dla odciążenia czynnych mięśni wciągnięte zostały do pracy mięśnie dalsze, mające charakter pomocniczy, co powiększa zużycie tlenu.

Zwiększa się zaś efekt pracy przez wprawę, przez odpowiednią dyscyplinę ruchów, czyli inaczej mówiąc, przez umiejętność wykonania maximum pracy przy minimum czynności mięśniowej. Jest to ogół czynników, które się określa nazwą treningu. Z wzrastającym treningiem zmniejsza się siła zużyta na wykonanie tej samej pracy. Dlatego tak ważnym jest trening dla ludzi ćwiczących sportowo, gdyż tylko dobry trening przy minimum wysiłku i bez szkody dla ustroju pozwala osiągnąć najlepsze wyniki.

Pokarmami, których spalanie jest głównem źródłem energji, materjałem palnym ustroju, są tłuszcze i węglowodany. Przy średnio wytężonej pracy ustrój zdaje się nie zużywać więcej białka. Jednakże, jeżeli praca jest bardziej uciążliwa, jeżeli dochodzi do znacznego przyspieszenia oddechu lub nawet podwyższenia ciepłoty ciała, wtedy zostaje wzmożoną i przemiana białkowa. W szczególności ma to miejsce u osobników osłabionych, chorych lub niedostatecznie odżywionych. W tych przypadkach węglowodany i tłuszcze dla produkcji ciepła nie wystarczają i zostają zużyte większe ilości białka. Ostatnie spostrzeżenie ma doniosłe praktyczne znaczenie. Mówi ono o tem, że przeprowadzając ćwiczenie sportowe, należy zawsze pamiętać nie tylko o stanie odżywienia, ale i o sposobie odżywienia ćwiczących. Szkodliwym nonsensem i bezmyślnością są forsowne ćwiczenia ludzi, nie mogących się odżywiać dostatecznie, nie tylko pod względem ilościowym, ale i jakościowym, gdyż wtedy zamiast wzmożenia sił fizycznych, większego rozwoju, otrzymuje się wynik wprost przeciwny, to jest osłabienie i podupadnięcie sił fizycznych, oraz wyniszczenie ustroju. Wiedzieć i pamiętać o tem powinni przedewszystkiem ci, którzy prowadzą ćwiczenia fizyczne wśród sfer uboższych.

Powyższe uwagi są tylko krótkim zarysem, dalekim od wyczerpania tych wszystkich zmian, które ćwiczenia sportowe wywołują w ustroju. Ćwiczenia te oddziaływują korzystnie na rozwój klatki piersiowej, na narząd oddechowy. Pod wpływem ćwiczeń oddechowych zwiększa się pojemność i ruchomość płuc, co przeciwdziała rozwojowi chorób płucnych, a w szczególności gruźlicy. Ćwiczenia fizyczne oddziaływują korzystnie na przewód pokarmowy, działając pobudzająco na czynności ruchowe i wydzielnicze jelit, przez co przyczyniają się do lepszego trawienia i wykorzystania spożytych pokarmów i t. d.

Znaczenie sportów nie ogranicza się do korzystnego wpływu na fizjologiczny rozwój człowieka. W pracy nad wyrobieniem sprawności fizycznej kształci się spostrzegawczość, wyrabia się szybkość decyzji, a nadewszystko hartuje się wola. Systematyczny trening, konieczny dla każdego, kto się racjonalnym sportem zajmuje, długotrwała mozolna praca, wysiłek prowadzący tylko powolnym krokiem do dobrych wyników w każdym dziale sportu, powściągliwość we wszystkich dziedzinach życia zmysłowego, między innemi konieczność wstrzymania się od alkoholu, a wreszcie może i najwięcej rygor i konieczny porządek życia czynią z każdego sportu potężny czynnik wychowania moralnego. Jest on do pewnego stopnia samozachowawczym ochronnym odruchem ludzkości, skierowanym przeciwko fali materjalnego użycia, zalewającej naszą epokę i czyniącą ją podobną do okresu zmierzchu kultury świata starożytnego.

Umartwienie fizyczne, polecane przez chrześcijańską ascezę nigdy nie było celem samym w sobie. Zwalczało ono filozofję materjalistycznego użycia świata pogańskiego, filozofję, która doprowadziła do ruiny najpiękniejszą zdobycz umysłu ludzkiego, cywilizację starożytnej Hellady i Rzymu, stało się narzędziem, które utwierdziło i opanowało życie bujnego, młodego świata chrześcijańskiego, a dziesiątkom wieków późniejszych dało ład i porządek życiowy, umocniło ich hart i energję, wykształciło wolę, stworzyło mądrą hierarchję życiową, w której duch i ciało ludzkie miały swoje właściwe im przyznane miejsce. Okres głoszenia wolnego rozwoju in-

dywidualności odrzucił mądrą budowę wieków i oto stoi świat dzisiejszy przed nową falą materjalizmu, która przez swą organizację, przez większą technikę, rozleglejszą demokratyzację jest bardziej bezwzględna i trudniejsza do zwalczenia od materjalizmu epok minionych. Stoimy bezradni wobec skazy i rdzy, która toczy nie tylko społeczny ustrój, ale i poszczególne jednostki świata dzisiejszego. Zanik narodzin w społeczeństwach najbardziej kulturalnych, zanik, który grozi zagładą jednej z najpiękniejszych cywilizacyj świata współczesnego, cywilizacji francuskiej, olbrzymi rozwój chorób płciowych, szerzenie się gruźlicy, alkoholizm, rozpowszechnienie się innych trucizn społecznych, morfinizm, kokainizm, wzrost liczby samobójstw i przestępstw — oto bilans materjalnych zdobyczy tego okresu czasu, który jaknajsilniej chciał dążyć do urzeczywistnienia ideału materjalnego szczęścia ludzi. Nie trzeba się łudzić, że rozwój higjeny społecznej i osobistej, że dążenia eugeniki są czemś więcej jak półśrodkami, gdyż powierzchowne środki zaradzić nie mogą tam, gdzie istotna przyczyna leży głębiej, w duchowej konstrukcji człowieka. Wśród tych różnych dążeń rozwój kultury ciała, w szczególności ćwiczeń cielesnych i sportów, zdaje się być naturalną, ochronną reakcją, która przez swe dążenie do wyrobienia hartu moralnego i wytrzymałości fizycznej, przez szkolenie i poskramianie fizycznej natury człowieka, zbliża się do dążeń, które miało dawniej umartwienie, głoszone przez chrześcijańską ascezę; różni się wszakże od niej zamierzonym przez siebie celem, jakim jest osiągnięcie najpiękniejszego rozwoju ciała. W ten sposób nowoczesny rozwój kultury ciała staje się nieświadomym, a wielkim postępem ludzkości.

„Stworzył tedy Pan Bóg człowieka z prochu ziemi — powiada Księga Rodzaju (2, 7) — i natchnął w oblicze jego dech żywota. I stał się człowiek duszą żywiącą".

Natura ludzka składa się z dwóch pierwiastków: pierwiastka ziemskiego i pierwiastka duchowego; ciało jest stworzone dla duszy, dusza stworzona dla ożywienia ciała i dopiero połączenie obu tych pierwiastków tworzy człowieka.

Stworzenie ciała według słów kreacji było przygotowaniem godnego mieszkania, odpowiedniego narzędzia dla wyż-

szego ducha, który to ciało z wewnątrz ożywił. Kościół zawsze głosił tę prawdę, że duch ludzki z racji swej istoty w tem życiu związany jest z ciałem, że w tem życiu, w tym związku właśnie człowiek może dojść do pełni rozwoju wszystkich swych ludzkich właściwości i całej swej godności ludzkiej. Jak to pięknie wyraża profesor dr. Karl Adam. „Czyste i pełne człowieczeństwo może tylko tak długo wypowiadać się w sposób zupełny i wyczerpujący, jak długo ciało i dusza, duch i zmysły pozostają związane w organicznej jedności czyli narazie w czasie ziemskiej wędrówki, jak długo zmartwychwstanie jest tylko słodką nadzieją. Rozdział duszy od ciała w sobie widziany nie oznacza udoskonalenia ludzkiego ducha, ale w pewnem znaczeniu jego wynaturzenie, porażenie czysto ludzkiej działalności. Stąd pochodzi w Objawieniu bezustannie zaświadczany dogmat Kościoła, że człowiek tylko w tem życiu, *in statu viae*, nie w życiu przyszłem *in statu termini* dla życia przyszłego istotnie przynosi owoce". Dopiero w świetle tej nauki Kościoła, stawiającej wszystko na swem właściwem miejscu, teraźniejsze dążenia do podniesienia kultury ciała, których dziełem są i ćwiczenia sportowe, nabierają odpowiedniego znaczenia. W tem świetle sport staje się nie tylko celem samym w sobie, celem nie wystarczającym nawet, gdy chodzi o wyrobienie tężyzny fizycznej, nawet gdy chodzi o hartowanie energji i kształcenie woli, ale celem, który się stanie wysokim, gdy kształcenie ciała ma z niego uczynić narzędzie doskonalsze dla nierozerwalnie z niem złączonego ducha. Dopiero przepojone taką ideologją może jedno z najżywotniejszych i najlepszych dążeń naszych czasów stać się pożytecznem dla ludzi i oddać im bezcenne wprost usługi. W przeciwnym razie, gdy kultura ciała, gdy ćwiczenia sportowe pozostaną celem samym w sobie, grozić to będzie spaczeniem i skrzywieniem idei, która mogąc być środkiem uzdrowienia, stanie się jednym ze sposobów obniżenia kultury ludzkiej.

Czem jest sport dzisiejszy w stosunku do tego, czem być powinien? Ćwiczenia fizyczne, które powinny być rozrywką, a co najwyżej środkiem wyrobienia sprawności fizy-

cznej, stają się coraz bardziej celem. Dążenie do osiągnięcia i pobicia rekordów panuje wszechwładnie. Szlachetna emulacja sportowa zamieniła się w chorobliwą ambicję, która czyni z szampiona sportowego osobnika nieznośnie zapełnionego sobą, wrażliwego i kapryśnego. Sport zaczyna władać nad życiem, zabijając zainteresowania umysłowe, nie zostawiając czasu na pracę umysłu, na pracę ducha. Z nielicznemi wyjątkami rozmowa z ludźmi, zajmującymi się sportem, jest męczącą i nudną, jak rozmowa z każdym ciasnym specjalistą, którego myśl obraca się w kółko wobec jednego tylko zagadnienia. A tutaj zagadnienie, choć ważne, lecz w istocie swej tylko drugorzędne, nie zasługuje na to, by zaabsorbować mogło całą umysłowość człowieka. Życie jest zbyt krótkie, by je marnować w ten sposób i nigdy nie można się zgodzić, aby się stało wprost odwrotnie życzeniu, które wyraził Montaigne, mówiąc, że ciało powinno być tak kształcone, aby nie zaciążyło nad duchem.

Niestety w obecnym sporcie ciało już zaciążyło i już przygniata ducha. Aby się o tem przekonać, wystarczy porozmawiać krótką chwilę z szampionami sportu. To, co powinno być zdrową rozrywką, która podtrzymując zdrowie ciała, zapewnia równowagę ducha, nie może nigdy stać się celem i zajęciem ostatecznem, i dlatego popierając jak najusilniej rozumny rozwój sportów, trzeba nie zwalczać, lecz normować wyłączność, z jaką opanowują one umysły i zainteresowania współczesnych. Trzeba każdej chwili pamiętać, że osiągnięcie mistrzostwa nie może być najwyższym celem i największym zaszczytem życia. Trzeba umieć utrzymać mądrą życiową równowagę i każdej sprawie życiowej przyznać należyte jej miejsce; trzeba czyniąc jedno, nie zaniedbywać drugiego, dla rzeczy podrzędnej nie zaniedbywać rzeczy ważniejszej. Nieprawda, która tkwi w przecenianiu kultury fizycznej, musi być ujawniona, choćby dla osiągnięcia celu, do którego ona zmierza, to jest zwiększenia tężyzny fizycznej i moralnej człowieka.

Działanie sportu na ustrój ludzki jest złożone i różnorodne. Wzmożenie tężyzny ustroju przez wpływ korzystny na budowę klatki piersiowej, rozwój muskulatury, pobudzenie przemiany materji, wyrobienie większej odporności i zrę-

czności fizycznej, są bezwzględnie niezmiernie korzystnemi czynnikami fizycznego rozwoju, ale stają się niemi tylko przy rozumnem uprawianiu sportów i ćwiczeń fizycznych pod kierunkiem wykwalifikowanego, rozumiejącego cel i znaczenie sportu trenera, oraz pod kontrolą odpowiednio przygotowanego lekarza. W przeciwnym razie mogą wystąpić i zapanować nad korzystnym wpływem ćwiczeń sportowych wszystkie nie tylko niekorzystne, ale nawet szkodliwe ich oddziaływania, które są również liczne i o których wiedzieć należy.

Przedewszystkiem trzeba zerwać ze złudzeniem, że sport może być zawsze wytchnieniem po męczącej pracy zawodowej. W pewnych przypadkach przy niezbyt męczącej pracy i oględnem ćwiczeniu jest tak istotnie, jednakże nie jest tak zawsze. Tam gdzie do zmęczenia po intensywnej pracy zawodowej, umysłowej czy fizycznej, dołączy się zmęczenie, wywołane intensywnem ćwiczeniem fizycznem, tam nie może być mowy o korzystnem działaniu sportu. Ludzie dzisiejsi żyją szybko, za szybko, bezustannie są narażeni na mnóstwo wrażeń, które przez gazetę, przez radjo, przez telefon, przez szybkość komunikacji biją w dzisiejszego człowieka, obarczonego często pracą zawodową, której szybkie, a przedewszystkiem szarpiące tętno wywołane jest również gorączkowością naszego życia. Ten rodzaj życia nie jest przystosowany do ustroju człowieka. Ustrój ludzki jest aparatem, działającym rytmicznie, po każdej akcji następuje reakcja, po pracy koniecznym jest odpoczynek. Tam gdzie tego odpoczynku niema, lub gdy występuje on w formie pracy, nie dającej wypoczynku, tam wystąpić muszą objawy zmęczenia fizycznego i nerwowego.

Nie jest więc odpoczynkiem, gdy ktoś po dniu męczącej pracy zawodowej, umysłowej czy fizycznej, bez odpowiedniej przerwy, czasami niezbyt dobrze odżywiony, idzie na forsowny trening sportowy. Nie jest wypoczynkiem, gdy po męczącym roku pracy zawodowej, w szczególności szkolnej, młodzież, z właściwym jej zapałem, zużywa swój czas w przygotowywaniu się do zawodów lub spędza go na coraz to innych zawodach, w których bierze żywy i czynny udział. W szczególności udział w zawodach, które wymagają od

zawodników wyładowania całego zapasu energji fizycznej i nerwowej, na jaki stać ich organizm, przy równoczesnem ogromnem pobudzeniu i napięciu psychicznem, wywołanem koniecznością emulacji, może, choć nie musi, mieć wpływ szkodliwy. Nic więc dziwnego, że często po tego rodzaju spoczynku ludzie, a w szczególności młodzież, wraca do pracy bardziej zmęczona, niż była poprzednio. Zmęczenie to wyraża się przedewszystkiem utratą apetytu, niemożnością snu, wzmożoną ogólną pobudliwością nerwową i osłabieniem ustroju, w którym już słabe bodźce wywołują oznaki podrażnienia. Wtedy to drobne sensacje, zwykle niedostrzegane, robią wrażenie przykrych bólów, występują dolegliwości w coraz to innych narządach, na najmniejsze podrażnienie ustrój reaguje zbyt silnie, wreszcie po małych wysiłkach występuje nadmierne uczucie zmęczenia, będące najlepszym wyrazem osłabienia sprawności ustroju. Wszystkie te objawy, określane ogólnie nazwą nerwowości lub też neurastenji, jakże często występują jako objaw przetrenowania u sportowców, którzy nieracjonalnie, na własna rękę, bez odpowiedniego trenera i bez nadzoru lekarza sport uprawiali, albo też u ludzi ćwiczących prawidłowo, lecz przemęczonych pracą zawodową, lub wreszcie u ludzi, których organizm jest zbyt wątły dla ćwiczeń sportowych. W szczególności szkodliwie, należy to podkreślić z naciskiem, działają zawody, przy których wzmożonego napięcia energji psychicznej, nerwowej i fizycznej wiele osobników słabszych nie wytrzymuje, a które i na najsilniejszych działają często rozdrażniająco i osłabiająco.

Złagodzenie i zmodyfikowanie obecnej formy zawodów staje się koniecznością. Zmiana powinna iść w kierunku nagradzania najlepszych wyników w stosunku do sił i możności jednostki, to jest w stosunku do jej wieku i wagi, czyli wprowadzenia do ćwiczeń sportowych jedynych racjonalnych norm i odznak fizjologicznych. Szczególniej ten ostatni punkt jest ważny, gdyż normy fizjologiczne oznaczają i regulują maksymalny wysiłek i określają cel, do którego ćwiczący w stosunku do swoich możności, swojego wieku i swoich sił dążyć powinien, przez co kładą pewien kres jego usiłowaniom, chroniąc go od nadmiernych, często szkodliwych wy-

siłków. Normy fizjologiczne i dobry trening powinny uchylić wszystkie szkodliwe strony sportu, a wydobyć dla pożytku ćwiczącej jednostki wszystkie cechy korzystne. Zwrócenie baczniejszej uwagi na te rzeczy staje się obecnie koniecznością, szczególniej ważną, nie tylko bezpośrednio dla tych, którzy się poważnie sportem zajmują, ale dla wychowawców, dla lekarzy, dla olbrzymich mas młodzieży, wśród których zamiłowanie sportu szerzy się coraz powszechniej. Zagadnienie jest tem ważniejsze, że z rozpowszechnieniem i z demokratyzacją sportu, szkodliwości, które za sobą pociąga, stają się również powszechne i zagrażając zdrowiu i sile narodu, mijają się jaknajzupełniej z celem sportu. Wszak niedługo można już będzie mówić o patologji sportu, to jest o specyficznych chorobowych zmianach, które nadmierne ćwiczenia sportowe wywołują w ustroju ludzkim.

Dotyczy to przedewszystkiem narządu krążenia. Już przedtem było wspomniane, że intensywna praca mięśniowa pociąga za sobą powiększenie serca. Nie jest jednak rzeczą dowiedzioną, aby serce duże było równocześnie sercem wytrwalszem i silniejszem. U wytrenowanych sportsmenów, posiadających silnie rozwiniętą muskulaturę, należałoby się spodziewać serc dużych o dużej wydajności pracy. Jednakże atleci, alpiniści, kolarze, ludzie, u których takie powiększenie zostało stwierdzone, cierpią często na duszność, uczucie ciężaru na piersiach, bicie serca, na niemiarowość jego akcji. Zaburzenia te wywołane są często nadmierną pobudliwością nerwową, która do powstania takich objawów przyczynić się może, tem bardziej, że ci sportowcy są często, pomimo pozornej tężyzny fizycznej, nadmiernie wrażliwi. Czasami potęgują się jednak nieznacznie początkowo objawy aż do stanu wyraźnej niedomogi serca i wtedy to sport może się stać przyczyną stałego, poważnego uszkodzenia ustroju. Lekarze, zajmujący się sportem, nie mogą również zapomnieć o tem, że ciężka praca fizyczna jest przypuszczalnie jedną z przyczyn arterjosklerozy, która może występować także u osobników młodszych i kto wie, czy czasem nie jest wywołana przeciążeniem młodych organizmów zbyt ciężką pracą. Liczne te złe następstwa, które nierozumnie pojęty i źle pokierowany sport z fizjologiczno-lekarskiego punktu widzenia

za sobą pociągnąć może, pogarsza jeszcze tak wyłączność z jaką wiele osób mu się oddaje. Powstaje wtedy owa karykatura sportsmena, człowieka o silnych mięśniach, chwiejnem zdrowiu i słabej głowie, typu, którego gorzej niż ognia strzec się należy.

Na szczęście w naszym kraju, gdzie sport jest jeszcze młody, typ ten, częsty gdzieindziej, jest rzadkością, a zniknie zupełnie z chwilą, gdy podniesie się kultura sportu, nad którą z oddaniem i zapałem pracuje kilku świetnie do tego pod względem naukowym i praktycznym przygotowanych specjalistów. Gdzie bowiem kultura sportu jest wysoka, tam nie powinno dojść do patologicznego działania sportu na ustrój ludzki, tam będzie on pożytecznym czynnikiem, kształcącym harmonijnie rozwój fizyczny człowieka, tam będzie dodatnim czynnikiem moralnym, hartującym jego energję i wolę przez stałą samokontrolę, wyrabiającym świadomość odpowiedzialności wobec siebie współzawodników, tam stanie się wreszcie potężnym czynnikiem społecznym, którego dyscyplina podporządkowuje wolę i wysiłek jednostki celom zbiorowym. W naszym kraju, kraju wybujałych indywidualizmów, ten ostatni czynnik posiada szczególniejszą wagę. Do tych wszystkich wysokich celów sport może dojść tylko wtedy, gdy wszyscy ci, którzy nim się zajmują, stale mieć będą przed oczami jego złe i dobre strony, gdy z chłodną krytyką unikając jednych, potrafią wyzyskać drugie, gdy zdołają w życiu ludzkiem znaleźć dla tego, co powinno być rozsądnym wypoczynkiem i godziwą rozrywka, miejsce, czas i wagę właściwą.

Dr. fil. i med. Eleonora Reicher.

Przegląd piśmiennictwa.

Mgr. d'Herbigny: Pâques 1926 en Russie. Paris. Editions Spes. Str. 144 in 12°.

Półtoramiesięczna podróż biskupa katolickiego po Rosji sowieckiej, zapiski z prac apostolskich, wrażenia z ludzi i kraju, zebrane w Moskwie, Charkowie, Odessie, Kijowie, Witebsku i Leningradzie — jest to zaprawdę dość tematu do zapełnienia w niebanalny sposób książki obszerniejszej niż niniejsza. Istotnie czyta się te kartki z najżywszym interesem i zamyka się je z żalem, że tak krótkie. Że autor wszystkiego nie mówi, co chciałoby się wiedzieć, to rzecz zupełnie zrozumiała. Ale i z tych skąpych notatek podróżnych można sobie zdać sprawę z fizjognomji kraju, a zwłaszcza większych miast, z nastrojów rozmaitych warstw ludności, z metod, jakiemi posługuje się rząd sowieckich republik. Pod lekkiem, nie zbyt wyszukanem piórem, przewijają się obrazki często rzewne, rzadziej humorystyczne, niekiedy wstrząsająco tragiczne. Do tych ostatnich należy przedewszystkiem opis band opuszczonych i zdziczałych dzieci, rosnących jak stada zwierząt na postrach społeczeństwa. Co nas najbardziej obchodzi i cieszy, to stwierdzenie przez naocznego świadka, że mimo wszystkich wysiłków bolszewizmu, wiara i pobożność w szerokich kołach ludności jeszcze żyją. Kościoły katolickie, szczególniej polskie, przepełnione; w świątyniach schizmatyckich, pomimo rozbicia ustroju cerkiewnego już na 12 odłamów, prosta wiara ludu stara się odnaleźć tę gałąź kapłaństwa, która zdaje się dawać największe rękojmie prawowitości i moralnego zdrowia. Gorzej będzie dopiero wtedy, gdy dorośnie, najbezbożniej chowane młode pokolenie. Ale może do tego czasu nastąpi w Rosji upragniona przez wielu zmiana ustroju. Że cała podróż Mgr. d'Herbigny, wbrew tendencyjnym pogłoskom, ani w najmniejszej mierze nie była próbą nawiązania stosunków między Watykanem a rządem sowieckim, to autor stwierdza w przedmowie z największym naciskiem. Nie tylko, że nikogo zgoła z czerwonych dygnitarzy nie widział, ale choćby kogo chciał był widzieć, znalazłby był drzwi przed sobą zamknięte. Traktowano go tylko jako poddanego fran-

cuskiego i zażądano zgóry, by podania o wizy paszportowe czy inne pozwolenia kierował do władz jedynie przez francuskiego posła. Tak więc złośliwe insynuacje, które na temat tej podróży szerzyła po całym świecie rosyjska prasa emigracyjna (w pierwszym rzędzie warszawskie pismo „Za Swobodu") pozbawione były wszelkiej podstawy.

Ks. J. Rostworowski.

Gen. Bronisław Grąbczewski: Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspomnień. Nakład Gebethnera i Wollfa, str. 272.

Są to rzeczywiście tylko „fragmenty", bo całości swego bogatego życia nie zdążył autor wywołać z pamięci swojej. W zbyt późnych latach zabrał się do pisania wspomnień.

To, co nam zostawił w niniejszej książce ten wybitny Polak, znakomity podróżnik i dygnitarz rosyjski, jest niezmiernie interesujące: z mocy zajmowanych przez siebie stanowisk i położonych dla nauki zasług stykał się on z najwyższymi dygnitarzami rosyjskiego imperjum, owszem cieszył się względami dwóch ostatnich cesarzy, więc też jego wspomnienia oświetlają niejeden epizod z polityki rosyjskiej. Tak np. dowiadujemy się, że nie kto inny, tylko gen. Grąbczewski, podówczas zarządzając Port. Arturem, przestrzegał Mikołaja II przed przygotowywaną przez Japonję wojną. Rosja urzędowa nie chciała wierzyć w bliskość wojny... bo sama nie była do niej przygotowana. Grąbczewski wtedy poprosił o inne stanowisko, a wojna w kilka miesięcy wybuchła, wiemy jak dla Rosji nieszczęśliwa.

Ciekawe są wspomnienia generała Grąbczewskiego z czasu jego pobytu na gubernatorstwie w Astrachaniu, gdzie był zarazem hetmanem wojska kozackiego, urzędowanie bowiem jego tam przypadło na czas właśnie wojny japońskiej i pierwszej rewolucji w Rosji.

Szkoda, że wspomnienia zostały skreślone nie w bardziej chronologicznym porządku; owszem, zdaje się, że autora zawodziła niekiedy pamięć i powodowała nieścisłości i anachronizmy. Tak ze wstępu od wydawców dowiadujemy się, że ze stanowiska gubernatora w Astrachaniu ustąpić musiał już w r. 1906, z opowiadań samego autora zaś, że stanowisko to objął w jesieni 1903, pozostawał więc na niem mniej więcej trzy lata. Tymczasem, opowiadając obszernie o intrygach, jakie przeciwko niemu knuł oficer żandarmerji i jak z tego powodu wezwany został do stolicy, przedstawia rzecz tak, jakgdyby w owej chwili miał za sobą pięć lat służby na tem odpowiedzialnem stanowisku i powrócił na nie z większem jeszcze zaufaniem monarchy po zdemaskowaniu oszczercy. Ponadto mówi, że wezwał go do stolicy minister spraw wewn. książę Światopełk-Mirski. Otóż ten minister urzędował tylko w latach 1904 i 1905, kiedy Grąbczewski gubernatorem Astrachania był pierwszy i drugi rok... Zapewne i brzmienie roz-

maitych urzędowych rozmów, wywołanych po tylu latach z pamięci, można nieco podejrzywać, jakkolwiek do ogólnej ich treści, jak i do charakterystyki osób i wypadków można chyba odnieść się z całem zaufaniem, zważywszy prawy charakter i zdrowy sąd, jaki autor książki na każdej niemal stronicy ujawnia.

Drukarnia popełniła kilka przykrych usterek w korekcie (Felsze zam. Telsze itp.), a zwłaszcza że stronice nienumerowane 82 i 96 przestawiła jedną na miejsce drugiej, wskutek czego początki dwóch opowiadań znalazły się nie przy swoich dalszych ciągach. A wydawnictwo do końca widać tego nie zauważyło, bo nie dało żadnego sprostowania.

Ks. J. Urban.

Stanisław Karczewski: B r z e g i e m B a ł t y k u. Warszawa, Gebethner, 1926, in 8°, str. 135.

Autor, oceniając słusznie wielkie znaczenie, jakie ma posiadanie wybrzeża morskiego dla Polski, pragnie rozszerzyć w społeczeństwie znajomość i zainteresowanie przyrodą tej nie wielkiej wprawdzie, ale ważnej części kraju. W sposób tedy przystępny przechodzi historję wybrzeża polskiego, począwszy od trzeciorzędu aż do najnowszych czasów, dzieląc pracę na część ogólną, w której zajmuje się całością naszego wybrzeża i szczegółową, gdzie podzieliwszy wybrzeże na pewną ilość naturalnie zarysowujących się odcinków, tłómaczy wygląd każdego z nich, biorąc pod uwagę nie tylko jego strukturę geologiczną, ale też i czynniki współczesne.

Rzecz cała napisana jasno, popularnie, nie przeładowana terminami naukowemi, daje jednak możność szerokim warstwom społeczeństwa łatwego zaznajomienia się z wynikami naukowych badań co do budowy brzegów Bałtyku na przestrzeni należącej do Polski. Krótkie ujęcie epok geologicznych, umieszczone na początku, ułatwia bardzo orjentację. W sposób też krótki i zrozumiały, a przytem interesujący, przedstawia autor w części ogólnej główne zarysy epoki lodowej i czasów międzylodowcowych w Polsce i znaczenie ich dla dzisiejszego wyglądu kraju.

Wielką też zaletą tej książki jest, że uczy patrzeć i widzieć. Zwłaszcza w części szczegółowej zwraca autor uwagę czytelnika na pozornie drobne objawy działania sił przyrody i tak pospolite, że często przechodzi się koło nich, nie widząc ich uroku, lub nie doceniając ich znaczenia — takiemi są n. p. obsuwanie się stromych zboczy ku morzu, działanie wód deszczowych i podziemnych, skutki fali i prądów morskich, przesuwanie piasku przez wiatry, przystosowanie roślinności do warunków bytu i w. i. Takie wskazówki mogą dać zachętę czytelnikowi do dalszych samodzielnych obserwacyj i pogłębienia znajomości i zamiłowania przyrody ojczystej.

Wykazuje autor ogromne znaczenie tych drobnych na po-

zór czynników na całokształt wybrzeża i warunki życia nadbrzeżnych mieszkańców, a zarazem jak człowiek w walce z zagrażającemi mu siłami przyrody umie tych właśnie czynników używać do swoich celów, co powinno się przyczynić do szanowania przez publiczność nad morzem przebywającą, zakładanych tam sztucznych wydm, plantacyj traw, zalesień i t. p.

Książka wydana ładnie, ożywiają ją liczne i dobre fotografje, cenny jest stosunkowo bardzo duży opis literatury odnośnej do tego przedmiotu; zyskałaby może tylko przez dołączenie szczegółowszej mapki wybrzeża, bo umieszczone w tekście szematyczne mapy nie ułatwiają dość orjentacji.

Ks. P. Dzieduszycki T. J.

Kucharski Eugenjusz: Aleksander Fredro. Życiorys literacki. Lwów-Warszawa-Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich 1926. 8, s. 64. (Odbitka ze zbiorowego wydania Komedyj Fredry).

Przypadająca w roku bieżącym pięćdziesięcioletnia rocznica śmierci największego komedjopisarza Polski przeszła niemal bez echa. Że jednak nie zapomniano o nim, świadczy kilka lat poprzednich, w których historja literatury przeżywa istotny „renesans Fredry", znamienny przedewszystkiem tem, że na twórczość wielkiego poety rzucono nowe światła, że za lekką zasłoną niefrasobliwego napozór humoru, odczytano myśl bardzo nieraz głęboką, myśl życiową i głęboką troskę patrjotyczną. Ostatnie spostrzeżenie: żywy związek twórczości Fredry z ówczesnem życiem społecznem i patrjotycznem, rozsypane w komedjach rozliczne aluzje do panujących stosunków, bystro zauważone i uzasadnione znajomością społeczeństwa polskiego w Galicji, jest przedewszystkiem zasługą Kucharskiego, który najdobitniej dał im wyraz w swojej „Chronologji komedyj i niektórych pomniejszych utworów Al. Fredry". (Kraków, Nakł. Pol. Akad. Umiejętności, 1923). Rewelacyjna ta praca, ustalająca linję twórczości poety jest zarazem pracą podstawową dla wszelkich dalszych studjów, obok podstawowego również dzieła prof. Chrzanowskiego: „O komedjach Aleksandra Fredry". (Kraków, Nakł. Akad. 1917). Myśl związania twórczości Fredry z tłem historycznem kontynuował Kucharski w artykułach w „Przeglądzie warszawskim", a podjął ją także A. Grzymała-Siedlecki w kilku świetnych artykułach w „Tygodniku Il." Związki literackie komedyj Fredry z teatrem zagranicą badał wraz z innymi Kucharski w szeregu studjów, z których najlepszą jest praca „Fredro a komedja obca. Stosunek do komedji włoskiej" (Kraków, Krak. Ska wyd. 1921. Z hist. i lit.). Książka ta, obok zestawienia twórczości Fredry z twórczością Goldoniego, daje znakomity portret psychologiczny Fredry, wydobyty przez zestawienie rysów jego psychiki z psychiką Goldoniego. Wynika z obrazu tego jasno powaga i głębia etyczna Fre-

dry, wyrażająca się zwłaszcza w ujęciu komedji „Mąż i żona", której związku z życiem poety doszukuje się autor pierwszy w jego nieszczęśliwej miłości do Zofji hr. Skarbkowej. Na każdym kroku spotykamy u Kucharskiego nową i ciekawą interpretację poszczególnych utworów poety, jak n. p. przypuszczenie, że komedja „Teatr na teatrze" była pierwszym szkicem „Pana Jowialskiego", jak uzasadnienie, że tenże „Pan Jowialski" jest satyrą na bezmyślny kwietyzm społeczeństwa galicyjskiego, jak szukanie genezy „Zemsty" w chęci przedstawienia życia staropolskiego w jego całej prawdzie, czego niesłusznie doszukiwano się w „Jowialskim", a pobudki do niej w rozczytywaniu się w starych aktach sporu o zamek odrzykoński, który jego żona dziedziczyła, jak przypuszczenie aluzyj do trzech zaborców Polski w postaci trzech bab, oprymujących mężczyzn „Gwałtu, co się dzieje" i w. i. W studjach swoich rozsypał nadto Kucharski szereg rysów biograficznych, poczerpniętych z archiwów rodzinnych potomków poety, do których dotarł jeszcze w r. 1913 (np. młodzieńcza miłość do Karoliny Potockiej). Wszystkie te materjały do przyszłej monografji o Fredrze, przygotowywanej oddawna, zebrał teraz i uwzględnił Kucharski w nowej swej znakomitej książce. Ma ona charakter, choć oparta ściśle na badaniach naukowych, rzeczy, przeznaczonej dla szerszych kół kulturalnych i zadanie swe spełni doskonale. Lekkość ujęcia, żywość stylu, wnikliwość psychologiczna dają obraz poety bardzo pociągający, uwydatniający jego działalność patrjotyczną i głębię uczuć rodzinnych. Całość niewielka rozmiarami, choć ważka treścią, nie jest i nie miała być ową monografją naukową, której ciągle jeszcze oczekujemy po najlepiej do tej pracy przygotowanym uczonym. Należy pamiętać, że obecny życiorys ma być tylko wprowadzeniem w bezpośrednią znajomość dzieł mistrza, którą da złączone z nim przygotowywane przez Zakład Ossolińskich i prof. Kucharskiego krytyczne ich wydanie. Wraz z niem będzie bez wątpienia najznakomitszem uczczeniem półwiecza śmierci Aleksandra Fredry, poety, obywatela i człowieka o wielkiem i gorącem sercu.

Dr. Zofja Ciechanowska.

Gina Lombroso: La femme aux prises avec la vie. Trad. française Le Henaff, Paris, Payot.

Książka ta miała duży rozgłos. Mówiła o niej prasa, przeglądy rozprawiały lub chwaliły. Czekano z ciekawością, co powie córka sławnego Lombroso, żona znakomitego historyka Ferrero, sama doktor medycyny i *ès-leftres*, o zagadnieniach kobiecych obecnej chwili. Ku zdziwieniu jednych, ku oburzeniu drugich, Gina Lombroso odrzuca tezy feministyczne. Opierając się na psychologji kobiecej i biorąc za punkt wyjścia szczęście kobiety, twierdzi, że zależność, w jakiej ją trzymały tradycyjne obyczaje,

była dla niej korzystniejszą niż t. zw. emancypacja, zdobycz najnowszych czasów.

Teza jej wychodzi z założenia, że kobieta jest istotą alterocentryczną. Aby więc zadowolić swoje instynkta i być szczęśliwą, musi się poświęcać dla kogoś. Stąd ta zależność, która była jej rolą w małżeństwie i w rodzinie, stąd wielkie znaczenie, jaką ma w jej życiu miłość. „Miłość jest dla kobiety głębokiem i naturalnem zadowoleniem, daje jej ostateczne, zupełne szczęście. Sława, to uwieńczenie ambicji, u niej i dla niej jest próżnością, która pobudza inne pragnienia, a te ją nurtują, zamiast ją zadowolić".

Takiem jest tło myśli Giny Lombroso.

Książka jej dzieli się na 4 części, w których kolejno rozbiera zawód, małżeństwo, rodzinę i dzieci.

Stwierdza, że kobiety weszły w dziedzinę zawodów męskich i żałuje tego, bo te zawody źle przygotowują do małżeństwa i są przeszkodą w spełnianiu obowiązków domowych.

Jest w tem wielka prawda, ale jak dziś odróżnić zawody męskie od kobiecych? Gina Lombroso skarży się też, że mężczyźni zajęli zawody kobiece. Trzeba powiedzieć, że postęp mechaniczny wprowadził zamięszanie w warunkach pracy. Kobiecemi powinnyby być te prace, któreby zatrzymywały kobietę przy ognisku domowem — wszystkie zaś inne dla mężczyzn. Ale ileż jest prac, które kobieta spełniała dawniej w domu, a dziś musi je pełnić w fabryce, bo maszyny tam je przeniosły. A przecież kobieta musi pracować; często nie ma żadnego oparcia, a chociaż i ma je, obecne warunki ekonomiczne są takie, że praca mężczyzny często nie wystarcza na utrzymanie rodziny. Trzeba więc kierować kobietę ku zawodom, które odpowiadają jej uzdolnieniom, a przynajmniej nie są przeciwne jej naturze. Autorka je bada i zaleca „wszystkie te zawody, które są zbliżone do zajęć pani domu, lub jej zastępczyni; te, gdzie trzeba wiele się krzątać, wybierać, kupować, sprzedawać, spożytkować. Takie zajęcia dają kobiecie wiele zadowolenia. Jako dyrektorka szkoły, schroniska, pensjonatu, dzieł miłosierdzia, jest ona nieporównana — również i w małym przemyśle".

Małżeństwo jest dla kobiety sprawą pierwszorzędną; wybór męża, warunkiem jej szczęścia. Autorka nie tylko nie potępia dawnego obyczaju, kiedy to rodzice wybierali męża młodej dziewczynie, ale widzi w tem rękojmię jej szczęścia. Młoda dziewczyna łatwo pokocha pierwszego, który jej będzie mówił o miłości i może zrobić wybór opłakany. Wybór rodziców, kierowany doświadczeniem i rozumem, oszczędzi jej rozczarowań ciężkich. Do czegóż wreszcie prowadzi ta wolność wyboru, będąca dziś regułą? Służy śmiałym, zalotnym kobietom, które opanowują naiwnych nieraz mężczyzn, a te, które są pełne zalet i wartości, zostają w cieniu,

jeżeli osoby rozumne i doświadczone, jakiemi są rodzice, nie poznają się na nich.

Autorka nie gorszy się zależnością, w jakiej obyczaj i prawo stawiają kobietę wobec męża. Twierdzi ona, że kobieta lubi się wspierać na kimś, a zależność ta uwalnia ją od dźwigania wielu ciężarów życiowych. Autorytet idzie w parze z odpowiedzialnością. Mężczyzna czuje ciężar, jaki nań wkłada jego supremacja, i przy sposobności nieraz ją składa, ale razem z obowiązkami. Rozwód i wolna miłość, które tak sławią emancypatorzy kobiety, są dla niej klęską. Nierozerwalność małżeństwa została ustanowiona na jej korzyść. Kobieta pragnie stałości w uczuciu, podczas gdy mężczyzna łatwiej bywa zmienny. Małżeństwo jest instytucją legalną — dodajmy: i religijną — która zmusza mężczyznę do wierności. A gdy się nawet ta wierność zarysuje, lepiej dla kobiety przebaczyć, niż rozrywać rodzinę. Gina Lombroso nie głosi jednak wcale „podwójnej moralności", przeciwko której tak powstają feministki — zresztą najsłuszniej, ale przestrzega kobietę przed nadużyciem niektórych słów. „Mojem zdaniem — mówi ona — kobieta daje dowody inteligencji, szlachetności i godności, jeżeli używa tych zalet, by stłumić w sobie chwilowe żale, które zaszkodziłyby przyszłości jej i dzieci — przeciwnie, nie okazuje tych zalet kobieta, która rzekomo posługuje się niemi, by zadowolić swoje mściwe uczucia i wtrącić w nieszczęście siebie i swoją rodzinę".

Istotnie, rodzina jest celem małżeństwa, a w niej czynnikiem najdroższym jest dziecko. „Jeżeli nie myśli się o dzieciach, jakąż jest wtedy racja miłości? jaka racja różnicy płci? jaka racja kobiecie być kobietą jako taką"?

A fakt istnienia dzieci domaga się stałości i jedności rodziny. Nie wystarczy wydać dziecko na świat, trzeba je wychować. Trzeba rozwijać jego ciało i kształcić duszę, trzeba je przygotować do życia. Wielkie dzieło wychowania będzie w pełni dobrem tylko przy wspólnem działaniu mężczyzny i kobiety, męża i żony. „Chłopcy, a nawet i dziewczęta mogą otrzymać wychowanie zupełne tylko przy zgodnej współpracy ojca i matki. Ojciec ukazuje obowiązki i prawa wobec siebie i wobec społeczeństwa — matka otwiera serce i kształci uczucia. Ojciec prowadzi dziecko do zrozumienia zagadnień stałych i do odróżnienia ich od tych, które są chwilowe i zmienne, nauczy szanować autorytet, siłę i konieczności życiowe — matka nauczy rozumieć uczucia swoje i drugich, ukaże, że jest i inne życie prócz zewnętrznego, prócz sławy, zaszczytów i praw".

Jest to tylko garść myśli, zaczerpniętych z książki Giny Lombroso — książka to wartościowa, bo pełna szczerości i dobrej woli. Można się z nią nie we wszystkiem godzić, ale nakłania ona do myślenia i ma odwagę przeciwstawienia się niebezpiecznym teorjom, uważanym zbyt często za aksjomaty. Można

poszedł Episkopatowi na rękę i zechciał unikać wszystkiego, co mogłoby uczucia katolickie obywateli niepokoić.

Koło owego streszczenia wszczęła się znów kontrowersja. Jedni twierdzili, że streszczenie jest, inni, że nie jest wierne; jedni byli zdania, że ten list oznacza cofnięcie się Episkopatu z zajętej poprzednio pozycji, drudzy próbowali dowodzić, że poza pewnemi formalnemi zmianami, treść i duch listu pokrywają się co do istoty z treścią i duchem pierwszego komunikatu.

Wszystkie te niesmaczne a irytujące opinję rozprawy, przerwał nareszcie poważny głos, który położył kres przeważnej części wątpliwości i podejrzeń. Z kancelarji prymasowskiej przesłano 22 grudnia oficjalny do szeregu pism komunikat z wyjaśnieniem całej sprawy. Komunikat ten zaprzecza stanowczo pogłoskom o jakimkolwiek rozłamie wśród Episkopatu i stwierdza, że w stosunku do Rządu trzymają się zawsze księża Biskupi linji wytkniętej przez naukę kościelną i zawarty przez Stolicę Apostolską konkordat z Rządem Polskim. Kwestję pierwszej, wyżej wspomnianej, deklaracji obecny komunikat zupełnie pomija, a natomiast zawiadamia, że konferencja Biskupów delegowała do ustnego porozumienia z Prezesem Rady Ministrów J. E. Ks. Prymasa. Nie mogąc z powodu choroby widzieć się z P. Piłsudzkim, udał się Ks. Prymas do Ministra Meysztowicza i wręczył mu dla Premiera datowane z dn. 2 grudnia krótkie *pro memoria*, zawierające obok oświadczenia lojalności Episkopatu kilka życzeń w ważnych dla Kościoła sprawach.

Nie wątpimy, że to jasne i dokładne oświadczenie uspokoi opinję publiczną i obali podstawę do rozmaitych plotek i domysłów. Że zła wola będzie się starała jeszcze i tę enuncjację czy to przekręcać, czy zaczepiać, nie wątpimy — *Robotnik* pozwolił sobie nazwać ją „Kanossą" Biskupów — ale dla wszystkich bezstronnie patrzących rzecz jest skończona. Jeżeli zaś wolno z całego tego niemiłego zajścia wyciągnąć sens moralny, można sobie życzyć, by wreszcie zaczęto u nas spokojniej i rozważniej brać rzeczy, a powtóre, by takiego lub innego poglądu Episkopatu nie starano się zaraz używać za pocisk w partyjnej walce. Biskupi bowiem, co deklaracja kancelarji prymasowskiej na nowo stwierdza, kierują się, ponad wszelkie programy stronnictw, jedną tylko linją wytyczną, tj. względem na boski interes wiary oraz na prawo i życie Kościoła.

W katolickiem życiu Wiednia zaszły ostatniemi czasy dwa fakty, które zdawały się być chwilowem wskrzeszeniem niedalekiej, a tak jednak odległej od obecnego stanu rzeczy, przeszłości. Wśród ekonomicznych kłopotów i patrjotycznych

upokorzeń, wśród socjalistycznych eksperymentów i wzmożonej na nowo przewagi żydowskich wpływów zapomniał już był poczciwy katolik wiedeńczyk, jak to jeszcze dwadzieścia lat temu wysoko nosiło się głowę i patrzało się w przyszłość z najlepszą otuchą. Zdawało się wówczas, że dawny liberalno-żydowski Wiedeń zmieniony już do gruntu i można było sądzić, że razem z wspaniałym zewnętrzym rozwojem stolicy, rozpocznie się na dobre jej katolickie odrodzenie. Niestety w wielkiej wojnie przewróciła się karta i wszystkie te świetne nadzieje nagle tak pierzchły i rozwiały się w niwecz, że sam ten człowiek, którego imię było przed laty kilkunastu najsilniejszym wyrazem samowiedzy katolickiej wydał się jakby czczą legendą. Zaczęto mówić, nawet po katolickiej stronie o „micie Luegera". Tymczasem świeżo pokazało się napowrót, że pod legendą tkwi jednak żywa rzeczywistość. Przy uroczystości odsłonięcia pomnika wielkiego burmistrza dawny Wiedeń chrześcijańsko-społeczny przebudził się na chwilę i zapełnił znów ulice gwarnem, kipiącem życiem. Około 200 tysięcy ludzi ze 150 muzykami na czele wzięło udział w manifestacyjnym pochodzie, a pewnie dwa razy tyle z okien i trotuarów uczestniczyło sercem w wielkim akcie uczczenia byłego wodza. I czuć było w tych tłumach prawdziwy zapał dla ideałów, które głosił niegdyś ten człowiek i których symbolem był jego pomnik. Czuć było, że sam najgłębszy rdzeń zacnego ludu wiedeńskiego po dziś dzień jest zdrowy, i że byleby nowy Lueger się znalazł, gotów byłby dziś tak samo, jak niegdyś stanąć mężnie do społecznej pracy pod chrześcijańskim i antysemickim sztandarem.

Niestety taki wielki przewodnik nietylko nie zjawia się na horyzoncie, ale uchodzą już z pola ostatki tych, co należeli do filarów dawnego luegerowskiego obozu. Wnet po odsłonięciu pomnika wielkiego burmistrza, zebrał się znów cały katolicki Wiedeń, tym razem koło trumny człowieka, na której widniał tylko ten prosty napis O. Henryk Abel T. J.

Czem był do niedawna dla stolicy Austrji ten siwy już jak gołąb, a zawsze wesoły i pogodny kapłan, tego dowodzi choćby olbrzymia manifestacja, na jaką wyrósł jego pogrzeb. „Czy zdarzyło się to od wieku" pyta Dr. Eberle w *Schönere Zukunft* „by tak wspaniale i wśród tylu objawów szczerej pobożności niesiono do grobu prostego zakonnika? Czy kiedykolwiek w ostatniem stuleciu za trumną kapłana szły dziesiątki tysięcy głęboko zasmuconych mężczyzn? Czy widziano to kiedy, by wielogodzinny pochód żałobny na długi czas wstrzymywał wszelki ruch w najruchliwszych punktach światowej stolicy? Doprawdy jak panującego zaniósł Wiedeń O. Abla na wieczny spoczynek". A przecież całe to nie-

zmierne przywiązanie, jakiego dowód dano mu w ostatniej chwili było tylko małą próbką wziętości, jaką ulubiony kaznodzieja cieszył się temu lat kilkanaście. Bo już na dłuższy czas przed śmiercią bardzo podeszły wiek nie pozwalał niestrudzonemu pracownikowi na szerszą działalność, a głęboka pokora skłaniała go do usunięcia się z widowni.

Żeby wyjaśnić tajemnicę ogromnego wpływu, jaki O. Abel sobie zdobył i bezprzykładnej popularności, jaką osiągnął, trzebaby powiedzieć, że obok głębokiej pobożności, dobroci, życzliwości dla ludzi i łatwego, wesołego usposobienia, posiadał on jedną wielką sztukę, która nieraz już decydowała o całej przyszłości niejednego wybitnego człowieka. Oto umiał odczuć nastrój chwili i wniknąć w usposobienie tych, nad którymi pracował.

Było to w latach dziewięćdziesiątych, kiedy późniejszy kaznodzieja był jeszcze profesorem w Kalksburgu. Jeszcze panował w sferach rządowych ciasny józefinizm, a ton nadawała Wiedniowi żydowska lub obojętna dla wiary plutokracja, gdy O. Abel odczuł, że w ludzie stolicy, w kołach drobnych mieszczan, rękodzielników i kupców coś się gotuje. To „coś" to nie była rewolucja, ale jakieś nieuświadomione jeszcze pragnienie, żeby wyzwolić się z żydowskich wpływów i zacząć żyć tem nowem życiem, którego program miała już niebawem nakreślić encyklika *Rerum novarum*. Zaczęły się schadzki z przywódcami ruchu w hotelu *Zur goldenen Ente;* zaczęły się pierwsze, nieśmiałe jeszcze kazania, które tak zaniepokoiły Br. Gautscha, że groził Kalksburgowi odebraniem prawa publiczności, gdyby O. Abel nadal tam uczył; aż nareszcie niebezpieczny ten „agitator" na którego szły skargi aż do Rzymu, przeniósł się zupełnie do Wiednia i zaczął działać. Zaczął działać najpierw z ambony, z tej swojej ulubionej ambony w kościele św. Augustyna, z której przemawiał niegdyś równie popularny Abraham a S. Clara, ale oprócz formalnych kazań, chwytał się i pióra i wykładu, zwłaszcza tych poufnych pogadanek, w których był niezrównanym mistrzem. A w jakikolwiek sposób działał, umiał trafić przedewszystkiem do mężczyzn, do tej kategorji mężczyzn, którą tworzą *der kleine Mann*, ten najliczniejszy i najsposobniejszy do prawdziwej pobożności element wielkich miast. Tych mężczyzn zbierał O. Abel tysiącami około swej kazalnicy i tysiącami prowadził ich na manifestacyjne pielgrzymki do Mariazell czy na grób św. Leopolda w Klosterneuburg, a przedewszystkiem skupiał ich dziesiątkami tysięcy na wiecach i kongresach. A umiał mówić do nich tak dalece ich własną mową i wedle ich psychologji, że wywoływał prawdziwy entuzjazm. Mnożyły się prześliczne nawrócenia, w szerokich kołach rozpalała się gruntowna pobożność, i tak po-

woli gotowało się najrzeczywistsze katolickie odrodzenie Wiednia. A kiedy w tym samym kierunku zaczęli też działać tacy ludzie, jak Vogelsang, Löwenstein, Walterskirchen, a nadewszystko wielki Lueger, zdawać się mogło, że dobra sprawa stanowczo zwycięży i że Wiedeń stanie się potężną twierdzą katolickich wpływów.

Wielka wojna w wielkiej mierze zburzyła te rachuby i schodzący z pola O. Abel u schyłku długiego a pracowitego życia musiał ze smutkiem patrzeć, jeżeli nie na ruinę, to na podupadnięcie swego dzieła. Ale sam ten ogromny odruch uczucia, jaki towarzyszył jego śmierci, może być dowodem, że ziarna przezeń rzucane nie zamarły. Można mieć nadzieję, że wspaniały pomnik Luegera i skromny nagrobek Ojca Abla, który stanął w kościele św. Augustyna, w ulubionej jego loretańskiej kaplicy, będą nie tylko wspomnieniem tego, czem Wiedeń był przez chwilę, ale skuteczną pobudką do pracy o lepszą przyszłość.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Z dziejów katolickiego uniwersytetu w Tokjo.

Od chwili, kiedy Japonja w zwycięskiej wojnie z Rosją przed całym światem złożyła dowód zupełnej dojrzałości swej materjalnej kultury, w łonie Kościoła ożywiły się napowrót dawne pragnienia, żeby ten obiecujący kraj, skropiony krwią tylu męczenników, a tak długo zamknięty dla ewangelji, pozyskać dla Chrystusowej wiary. Wobec rzutkości i wrodzonych talentów japońskiego narodu oraz wobec wielkiego wpływu, jakim kraj Mikada promieniował na inne azjatyckie ludy, kwestja nawrócenia Japonji stawała się nieomal kwestją nawrócenia dalekiego Wschodu.

Pierwszym, który te myśli przerobił w swem gorącem sercu na konkretne zamiary był papież Pius X. W lipcu r. 1905 wyjawił on Generałowi Tow. Jez. swój plan założenia w Tokjo wielkiej uczelni katolickiej i powierzenia jej kierownictwa Jezuitom. Wysłany w kilka miesięcy później umyślny delegat papieski do cesarza Japonji, kardynał O' Connel, naówczas arcybiskup Portlandu, miał, między innemi powierzonemi sobie sprawami, zbadać teren i warunki do wielkiego przedsięwzięcia.

Legat Stolicy świętej przyjęty został najprzychylniej. Podejmowany dn. 10 listopada tegoż roku z wszelkiemi honorami dworskiemi na cesarskim dworze, usłyszał z ust monarchy łaskawe zapewnienie, że wszędzie, dokąd sięga jego władza, katolicy cieszyć się będą całkowitą wolnością. Z okazji zaś bankietów i przyjęć, urządzanych przez ministrów, przekonał się arcybiskup, że książęta, politycy, admirałowie, generałowie, wielcy kupcy i przemysłowcy, słowem wszystkie wyższe warstwy społeczeństwa ja-

pońskiego objawiały dla Kościoła katolickiego szczery podziw. Wyrażano się jednak także bez ogródek: „Wy katolicy powinniście dać się lepiej poznać". Dwóch wybitnych katolików: wiceadmirał Ito i przyszły admirał, a naówczas jeszcze młody oficer marynarki Yamamoto, bardzo ceniony przez admirała Togo, dali jasno do zrozumienia, że przyszli misjonarze powinni szukać sposobów ściągnięcia na się uwagi klas oświeconych i rządzących.

Przychylną też okazała się i prasa. Uderzającym zwłaszcza był naczelny artykuł dziennika „Nihon" z dwunastego listopada. Przypomniał on, że wysłannik papieski należy do starej religji rzymsko-katolickiej, która mimo trzech wieków prześladowań potrafiła zachować w Japonji 60.000 zwolenników. Autor artykułu był zdania, że byłby już czas, by wyszedł Kościół z ukrycia i zaimponował Japonji swoją uczonością.

Na dowód jak ta praca naukowa Kościoła byłaby mile widziana, dn. 18 listopada koła uniwersyteckie urządziły na cześć arcybiskupa O'Connela świetne przyjęcie. Studenci, profesorowie, urzędnicy, przedstawiciele wszelkich barw i zapatrywań zapełnili największą salę w Tokjo, aby usłyszeć wysłannika papieskiego. Pan Ozaka, burmistrz stolicy, wspomniał, że cztery wieki przedtem inny papież przysłał był do Japonji Ksawerego, by jej nieść dobrodziejstwa cywilizacji. Student, który przemówił imieniem młodzieży, oświadczył, iż było to rzeczą całkiem naturalną, że dwóch najstarszych monarchów na świecie chciało zadzierżgnąć między sobą węzły przyjaźni. Buddysta, dr. Anezohi, profesor religji porównawczej, rozwinął tezę, że prawdziwy chrystjanizm znajduje się tylko w Rzymie. Pewien kapłan japoński, nazwiskiem Maeda, zbijał fałszywe zapatrywania na papiestwo, rozsiewane przez dzienniki, przysyłane z Europy. Wszyscy ci mówcy i inni po nich zdołali wywołać prawdziwy entuzjazm na korzyść religji katolickiej.

25 listopada delegat papieski odpłynął z Jokohamy. Z okazji jego wizyty chrześcijanie z Nagasaki wysłali adres do Ojca św., w którym domagali się powrotu Jezuitów, powołując się na węzły, łączące szczególnie ich, potomków męczenników, z ich pierwszymi misjonarzami. Skarżyli się, że protestanci pracowali z takim rozgłosem, podczas gdy katolicy pozostawali w cieniu, oraz prosili Ojca św., by temu smutnemu położeniu zaradził.

Otrzymawszy z największą radością te pocieszające wieści, Ojciec św. z tem większym zapałem podjął swą zbawienną myśl i jeszcze przed upływem tegoż roku 1905 powołanie do życia wyższej uczelni katolickiej w Tokjo było w zasadzie zdecydowane. Nie tajono sobie w Watykanie, że, mimo wszystko, napotka przedsięwzięcie na ogromne trudności, ale dla wielkiego celu postanowiono nie szczędzić wysiłków.

Po kilkoletniem przygotowaniu, dn. 18 października 1908 r. wylądowało w Jokohamie trzech pierwszych Jezuitów, przeznaczo-

nych do rzucenia podwalin pod przyszły uniwersytet. Byli to OO. Rockliff, Dahlman i Boucher, do których przyłączył się później O. Hoffman. Zadaniem ich było dać dowód swego istnienia wobec uczonego świata, pokonać uprzedzenia rządu, przemóc opór wielu nieprzychylnych, zwłaszcza licznych w Japonji protestantów, zakupić teren, zbudować kolegjum, ułożyć plan studjów i dla zapewnienia sobie uczniów, zdobyć prawo wydawania dyplomów. To były etapy, które należało przekroczyć niezwłocznie, bo chodziło o honor katolickiego Kościoła. Aby to wszystko doprowadzić do pożądanego celu, była ich tylko mała garstka, a do tego pierwsi ci wysłannicy, jeśli pragnęli skuteczności swej pracy, musieli poświęcić znaczną część czasu na naukę trudnego miejscowego języka.

Po niesłychanie wielu trudach i przezwyciężeniu niezliczonych przeciwności, dn. 31 maja 1913 roku otwarto za zgodą rządu szkołę wyższych studjów, która miała się cieszyć prawami prywatnego uniwersytetu, a liczyła na początek tylko trzy wydziały, tj. filozofji, literatury i nauk handlowych. Szkoła ta, nazwana urzędowo *Jochi Daigaku* tj. dosłownie „wszechnica mądrości" mieściła się zrazu w budynku prowizorycznym, ale już pod koniec następnego roku dokończono budowy okazałego gmachu, który mógł pomieścić wygodnie pięciuset uczniów.

Zaledwie jednak w ten sposób postawiono pierwsze kroki, zaczęły na młode dzieło walić się ogromne trudności. Podczas wielkiej wojny przepadła większość ulokowanych w Europie fundacyjnych kapitałów, a nadto, właśnie w chwili tego bankructwa w r. 1918, zażądał rząd japoński od wszystkich uniwersytetów prywatnych zdeponowania olbrzymiej sumy 500.000 jen za pierwszy wydział, a po 100.000 za każdy następny, a wreszcie w katastroficznym roku 1923 gwałtowne trzęsienie ziemi tak poważnie uszkodziło gmach uczelni, że tylko parter pozostał mieszkalnym.

Mimo tych dotkliwych a nieprzewidzianych ciosów, dzielni pracownicy, których liczba powoli lecz stale wzrastała napływem nowych sił z Europy, nie ustawali w wysiłkach. Liczba uczniów, których w chwili otwarcia liczono tylko 15, po trochu wzrastała; ojcowie profesorowie zdobywali sobie tak dobrą sławę, że zapraszano ich w różne miejsca z odczytami i powierzono dwie katedry na uniwersytecie cesarskim; mnożyły się wśród uczniów nawrócenia, a nawet powołania kapłańskie.

Ale niestety te piękne początki i najlepsze na przyszłość widoki stanęły teraz przed niezmiernie trudną do pokonania zaporą. Na odrestaurowanie zniszczonego gmachu i rozwinięcie naukowego aparatu, a przedewszystkiem na uiszczenie wymaganej przez rząd taksy, bez której traci się prawo udzielania stopni akademickich, potrzeba bardzo znacznych funduszów, których uczelnia absolutnie nie posiada. Że zaś po wojnie zubożała Europa nie może w tej mierze, co dawniej łożyć na zewnętrzną

propagandę, całe przedsięwzięcie znalazło się w wysoce krytycznem położeniu. Ponieważ jednak tej niezmiernie ważnej placówce, choćby dla honoru katolickiego imienia na dalekim Wschodzie, w żaden sposób nie można pozwolić upaść, w tej chwili właśnie robią się ogromne wysiłki, by jednak w jakiś sposób zdobyć te kilkaset tysięcy dolarów, których uratowanie dzieła wymaga. Jeśli to się uda ofiarnością jednych, a modlitwą drugich, to dawne marzenie św. Franciszka Ksawerego i najgorętsze pragnienie Kościoła może wejść na tory urzeczywistnienia i wschodnie krainy największej z części świata zbliżą się do ewangelji.

Zagadnienie wychowawcze w Ameryce.

Autor niniejszego artykułu pracował szereg lat jako profesor katolickiego uniwersytetu Sta Clara w Kalifornji. Za pośrednictwem *Römische Weltkorrespondenz* przesyła nam zajmujące swoje uwagi.

Wielu wystawia sobie Amerykę jako cudowny kraj wolności. Stany Zjednoczone zasługują rzeczywiście pod niejednym względem na zaszczytne miano wielkiego, miłującego wolność narodu. Ale objektywna prawda nie pozwala zapominać o ujemnej stronie tej wolności.

Ustawy amerykańskiej konstytucji pozostawiają, jak wiadomo, każdemu wyznaniu religijnemu zupełną wolność wychowywania młodzieży w wyznaniowych szkołach prywatnych. Szkoły państwowe natomiast są zupełnie bezwyznaniowe. Niektóre wyznaniowe ugrupowania, przedewszystkiem katolicy, utrzymują z niewypowiedzianym trudem szereg szkół prywatnych wszelkich stopni; szkoły te muszą jednak zawsze ciężko walczyć z potężną konkurencją bogato uposażonych szkół państwowych. I tak obliczono, że szkoły państwowe pochłaniają trzy czwarte pobieranych podatków, bo rząd nie tylko utrzymuje budynki i wypłaca pensje nauczycielskie, ale kupuje także książki szkolne dla uczniów, a często nawet płaci im drogę z miejsca zamieszkania do szkoły i z powrotem. W ośmiu Stanach wychowanie każdego ucznia kosztuje rząd 100 dolarów rocznie. W siedmiu innych Stanach suma ta spada na 25 dolarów rocznie; natomiast w Stanie Minnesota doszła w r. 1921 do bajecznej wysokości 829 dolarów na każde dziecko szkolne. Jeżeli na każdego z mniej więcej 26,000.000 uczniów szkół amerykańskich policzy się przeciętnie po 70 dolarów rocznego wydatku, to widzimy, że amerykański budżet szkolny jest naprawdę bajecznie wysoki.

Liczba dni nauki jest w różnych Stanach bardzo rozmaita. I tak w r. 1920 rok szkolny w Stanie New Jersey wynosił całych 189 dni, w Południowej Karolinie tylko 109, a w niektórych okolicach Stanu Arkansas zaledwie 77 dni roku.

Wszystkie Stany wymagają od każdego nauczyciela, stara-

jącego się o rządową posadę, dyplomu nauczycielskiego. W praktyce jednak bardzo często odstępują od ścisłego wykonania tego przepisu, tak że zaledwie 54% rządowych nauczycieli posiada potrzebne kwalifikacje. Wielu innych ukończyło zaledwie szkołę ludową. Stan Kalifornja stoi pod tym względem jeszcze bardzo wysoko, bo 93% jego nauczycielstwa posiada dyplomy. Zato w Stanie Alabama zaledwie 10% sił nauczycielskich ma przepisowe wykształcenie. W Stanie Missisipi cyfra ta wynosi 4%, w Florida zaledwie 1%. Warto zaznaczyć, że te ostatnie Stany są całkowicie protestanckie.

Gorzej, że szkoły państwowe są nie tylko bezwyznaniowe, ale wszczepiają wprost niewiarę. Sprawdza się tu znów stara zasada, że w dziedzinie religji nie może być neutralności. Nowojorski pedagog, Fryderyk Hoffmann, oświadczył niedawno na zjeździe amerykańskich uczonych: „Przeszło 90% naszych dzieci wychowuje się w szkołach, w których uczą jedynie arytmetyki, geografji, sztuki czytania i pisania i stawiają te nauki na miejsce Ewangelji Chrystusowej. Zaledwie co dziesiąte z tych dzieci pobiera poza szkołą dodatkową, religijno-moralną naukę. Podczas kiedy w opinji publicznej ciągle jeszcze utrzymuje się mniemanie, że można wychować dzieci na uczciwych obywateli, nie starając się przez naukę religji kształcić ich serc i umysłów, doszliśmy powoli do tego, że cały świat uważa nas za naród najbardziej rozwiązły, najniemoralniejszy i najbardziej obfitujący w zbrodnie". A sędzia Talley pisze w nowojorskim dzienniku *Times*: „Trzy czwarte zbrodni, jak zabójstw, zbrojnych napadów, włamań, napadów w celach rabunku, fałszerstw dokumentów popełnili młodzieńcy poniżej 23 lat". I on dochodzi do wniosku, że „amerykańska metoda wychowawcza nie jest w stanie dać młodym ludziom moralnego oparcia".

Ten stan rzeczy zatrważa coraz bardziej i niekatolików. Profesor Jakób Lenba w osobnem piśmie *(Belief in God and Immortality)* roztrząsa dokładnie religijno-moralne stosunki w dziesięciu wyższych szkołach państwowych. Wywiady jego wykazały, że 44% uczniów tych szkół nie wierzy już w Boga. Młodsi uczniowie są jeszcze wierzący, ale tracą wiarę w czasie studjów w państwowych zakładach. Z tysiąca odpowiedzi, jakie nadeszły od 97% młodzieńców między 18 a 20 rokiem życia wyciągnął wniosek: „Z tych danych wynika jasno, że nasi młodzi ludzie, wstępując na nasze uniwersytety mieli jeszcze wiarę, wyniesioną z domów rodzinnych, ale zwolna ją utracili". W równem tempie z wzrastającą niewiarą, wzrasta niemoralność amerykańskiej młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. L. Burton, rektor państwowego uniwersytetu w Michigan wypowiedział się w tym samym duchu na zebraniu amerykańskich nauczycieli szkół średnich w r. 1924. Moralny upadek młodzieży uniwersyteckiej przypisuje m a t e r j a l i s t y c z n e j i d e t e r m i n i s t y c z n e j n a u c e, głoszonej na

państwowych uniwersytetach. Ukończony słuchacz uniwersytetu w Texas zawołał z własnego doświadczenia: „Mojem zdaniem, cała atmosfera tego uniwersytetu jest taka, że doprowadza studenta do zaprzeczenia istnienia Boga. Wśród naszych studentów ateizm panuje wszechwładnie".

Cóż wobec tego powiedzieć można o takich wypadkach, jak ten, który się zdarzył w r. 1925 w czasie wakacyj świątecznych Bożego Narodzenia, kiedy studentom, zebranym z 176 szkół wyższych w mieście Evanston (Illinois) zdawało się, że nawet od Kościołów żądać mogą, aby nakazały ograniczanie liczby urodzin i przyczyniły się do wydania państwowego zarządzenia zabijania umysłowo upośledzonych? Albo kiedy studentki uniwersytetu w Standfort publicznie dyskutowały ze studentami uniwersytetu kalifornijskiego nad zdaniem, że „małżeństwo jest instytucją szkodliwą dla rozwoju kultury"?

Sławny miljoner James Hill, niekatolik, oświadczył jeszcze w czasie wielkiej wystawy w Seattle 1908 r.: „Miljony dolarów wyrzucamy corocznie na wychowanie naszych dzieci, a wszystkie nasze usiłowania kończą się dotąd zupełnem niepowodzeniem". Dzienniki ogłosiły te słowa, a nikt nie odważył się im zaprzeczyć.

Katolicy dawno zrozumieli to niebezpieczeństwo wychowania bez religji i, jakkolwiek zmuszeni są w wielkiej mierze przyczyniać się do pokrycia wydatków na szkoły państwowe, nie zawahali się obok wspaniałych szkół państwowych założyć swoich własnych szkół katolickich. Niejednokrotnie biskupi wydawali zarządzenia, mocą których wtedy tylko pozwalano na wybudowanie kościoła parafjalnego, jeśli równocześnie rozpoczęto budowę katolickiej szkoły parafjalnej. Inni biskupi postanowili, że nie wolno budować plebanji przed założeniem katolickiej szkoły. Tem większe zdziwienie wywołało w ostatnich czasach, że ksiądz katolicki, nazwiskiem J. A. O'Brien, publicznie zaproponował, aby katolicy swoich synów i córki posyłali nie do katolickich, ale do państwowych uniwersytetów, aby tak rzekomo lepiej poznawali życie. Projekt ten wywołał burzę sprzeciwów i oburzenia i może być uważany za odrzucony przez katolików.

Podobny projekt naprawdę mógł tylko popierać usiłowania wrogich Kościołowi czynników, które wytężają wszystkie siły, aby zniweczyć prywatne szkoły wyznaniowe. Masonerja i związki Ku-Klux-Klanu poruszyły niebo i ziemię, aby przynajmniej w przeważnie protestanckich Stanach, jak Oregon, uczęszczanie do szkół państwowych było dla wszystkich obowiązujące. Zaledwie z największym trudem udało się katolikom unicestwić te usiłowania, w czem dopomogli im zdrowo myślący protestanci. Sławny rektor państwowego uniwersytetu Kolumbia w New Yorku, protestant Murray Butler, napiętnował te usiłowania masonerji, jako nader niebezpieczne dla całego narodu, a także rektor uniwersytetu w Illinois, Kinley, zajął stanowisko wręcz przeciwne planowanej

innowacji. Walka o wolność ich szkół kosztowała przed kilku laty katolików Stanu Michigan tylko 500.000 dolarów.

Również stanowczo sprzeciwiają się, tak katolicy, jak i protestanci, tak zwanemu projektowi Curlis-Reed, mającemu na celu utworzenie w Washingtonie rodzaju wspólnego ministerstwa oświaty dla wszystkich Stanów. Byłby to właśnie pierwszy krok do upaństwowienia całego szkolnictwa. Na szczęście sam prezydent Stanów Zjednoczonych, Coolidge, należy do przeciwników tego projektu. Jeszcze w lutym ub. r. oświadczył raz publicznie: „Przez 137 lat poszczególne Stany załatwiały swoje sprawy wychowawcze bez pośrednictwa centralnego urzędu. Dlaczego nie miałyby dalej tak robić? Czy mielibyśmy być mniej zdolni do tego, niż nasi przodkowie?"

Prawie ogólnie uznanym jest fakt, że szkoły katolickie nie tylko z punktu widzenia religijnego i moralnego wychowania, ale również w dziedzinach czysto świeckiej nauki, stoją na takim poziomie, że nieraz przewyższają bogato uposażone szkoły państwowe. Na uniwersytety jezuickie na przykład uczęszcza prawie tylu protestantów co i katolików. Wychowankowie szkół katolickich prawie stale zdobywają pierwsze nagrody na tak lubianych w Ameryce zawodach różnych zakładów wychowawczych. I tak n. p. w r. 1925 urządzono publiczne krasomówcze zawody wszystkich szkół średnich (Colleges), w których brało udział 16.218 szkół z 1,400.000 uczniów. Kandydaci mogli najpierw mierzyć się z sobą w mniejszych grupach, najlepszych zbierano następnie w większe zespoły, a wkońcu tylko najlepsi wystąpili do ostatecznych zapasów. Jaki był wynik? Pierwszą nagrodę za krasomówstwo przyznano Eugenjuszowi Mc Elmeel, wychowankowi Loyola High-school w Los-Angelos w Kalifornji, kierowanej przez Jezuitów. Byli wychowankowie katolickich uniwersytetów w Washington, Georgetown, Fordham należą dziś do najzdolniejszych sędziów i adwokatów. Lekarze, którzy ukończyli katolicki uniwersytet Creighton w Omaha, cieszą się dziś największem wzięciem. Absolwenci publicystycznego fakultetu jezuickiego uniwersytetu w Milwaukee (Wisconsin) mile są widziani w redakcjach wszystkich dzienników. Wielkie towarzystwa Westinghouse i Standard Oil najwyżej cenią inżynierów z katolickiem wykształceniem uniwersyteckiem. Niestety wiele jest jeszcze rodzin katolickich, które nie doceniają wartości katolickiego wychowania i pewnie połowa katolickiej młodzieży uczęszcza jeszcze do niekatolickich szkół i uniwersytetów. Z tej liczby pochodzi zastęp religijnie obojętnych katolików, których i w Stanach Zjednoczonych jest jeszcze bardzo dużo. Ale właśnie ta okoliczność wykazuje dostatecznie, jak niebezpiecznie byłoby przyjąć wniosek O'Brien'a i wyrzec się osiągniętych dotychczas korzyści amerykańskich katolików na polu szkolnictwa.

Oktavio Villa.

Pochodzenie t. zw. stylu jezuickiego w budownictwie.

W *Revue des deux Mondes* ukazał się artykuł wybitnego znawcy historji sztuki chrześcijańskiej, E. Male'go, o pochodzeniu tak zwanego stylu jezuickiego w budownictwie kościelnem. W gotyku, dowodzi autor, można rozróżnić dokładnie dwa kierunki. W północnych okolicach Europy, szczególniej w północnej Francji i Anglji, katedry gotyckie mają zawsze po kilka naw. Widać w nich wspaniałe współdziałanie niezliczonych drobnych szczegółów, przeciwieństwa światła i cieni, całe lasy cienkich kolumn, motywów kwiatowych i ornamentów, z wyraźnem dążeniem w górę, wkońcu mnóstwo figur. Gotyk krajów południowych lubuje się przeciwnie w budowlach o jednej nawie, surowych i prostych, spokojnych i trzeźwych, w których główną rolę odgrywają już nie ozdoby, ale raczej harmonja i proporcja. Porównano te dwa rodzaje gotyku do postaci Platona i Arystotelesa na prześlicznym fresku Rafaela „Szkoła ateńska" w stanzach watykańskich. Plato wskazuje w górę, Arystoteles na rozległą ziemię.

W budownictwie rzymskiem i włoskiem panował od najdawniejszych czasów prawie wyłącznie styl bazylikowy, styl starych hal targowych i domów sądowych, z pięciu nawami, rozdzielonemi kolumnami. Zachowano ten styl, gdyż był piękny i majestatyczny, nadawał się do wyrażenia wielkości religji, chociaż dla duszpasterskiej pracy w kościołach nie bardzo był praktyczny.

Pierwszym kościołem rzymskim o jednej nawie i wysokiem sklepieniu był kościół Matki Boskiej z Montserratu, którego budowę, na polecenie Katalończyków, rozpoczął w r. 1495 Antonio Sangallo starszy. Spoczywają w nim zwłoki obydwóch hiszpańskich papieży-Borgjów, Kaliksta III i Aleksandra VI. Zamiast naw bocznych, widzimy tu po raz pierwszy małe kapliczki, przytykające z obydwóch stron do głównej nawy kościoła. Uderzającem jest podobieństwo tego kościoła do gotyckich budowli południowej Francji i Hiszpanji.

Kiedy kardynał Aleksander Farnese powziął zamiar wybudować pierwszy wielki kościół *del Gesu* dla nowego zakonu Towarzystwa Jezusowego, generałem tegoż był właśnie św. Franciszek Borgjasz, były wicekról Katalonji. Jemu przedłożono plany budowli, a on wybrał zwyczajny w Hiszpanji styl z jedną szeroką nawą, wysokiem sklepieniem beczkowem i bocznemi kaplicami. Zapewne nie tyle kierował się wspomnieniem kościołów rodzinnego kraju, ile raczej tym względem, że ten rodzaj stylu lepiej od innych nadaje się do praktycznych celów duszpasterstwa.

Kościół *del Gesu* nie był jednak zwykłem naśladownictwem katalońskiego stylu. Kiedy Vignola w r. 1568 rozpoczął swoje dzieło, kościoł św. Piotra w Rzymie budowano już od jakich 60 lat. W tym czasie powstała już zupełnie nowa szkoła włoskiej architektury, najlepsza i najwybitniejsza, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. Poważny, a jednak wesoły kościół *del Gesu,* wspa-

niałe filary i kopuła, którym nie ujęły powagi bogate, prawie zbyt liczne ozdoby, w późniejszych wiekach dodane, przypomina Bramanta i Michała Anioła. Można powiedzieć, że kościół *del Gesu* wybudowany jest według pojęć hiszpańskich, ale w stylu włoskim.

Wiadomo, jak wielki wpływ wywarło wykonanie *del Gesu* na styl budownictwa kościelnego następnych stuleci. W samem wiecznem mieście styl jego, z jedną nawą i bocznemi kaplicami, wyparł od XIV w. prawie zupełnie dawniejszy styl bazylikowy, a nowy zakon rozpowszechnił ten styl w całej niemal Europie. Dlatego styl ten otrzymał nazwę jezuickiego. Nie można go poprostu utożsamiać ze stylem barokowym, gdyż ten pomału wyłonił się z niego. Typowemi w stylu jezuickim są wielkie, jednolite nawy, nadające się znakomicie do głoszenia kazań, i przytykające do nich boczne kapliczki, zachęcające do cichej modlitwy.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 30 grudnia 1926 r.

Problem ludów pigmejskich.

Skrystalizowanie rozbieżnych i chaotycznych pojęć w potężnej syntezie, spojenie luźnych na pozór zjawisk niewidzialnem więzadłem wewnętrznego prawa, sprowadzenie zawiłych i skomplikowanych zagadnień do wspólnego mianownika, zasadniczej kwestji czy płodnej hipotezy — wabiło zawsze i wabić będzie umysł ludzki. Fakt ten łatwo stwierdzić można nie tylko w dziedzinie filozofji, obfitującej właśnie w tego rodzaju syntezy, rozpatrywane i oceniane pospolicie pod mianem przeróżnych systemów filozoficznych; wszystkie prawie gałęzie wiedzy ludzkiej posiadają swych mniej lub więcej szczęśliwych syntetyków.

Mniej pocieszającym jest fakt oczywisty, iż mnóstwo jawiących się syntez, czy zasadniczych a rozwiązujących rzekomo cały szereg zagadnień hipotez, okazuje się z biegiem czasu mrzonką, w najlepszym razie apriorystyczną konstrukcją. Bogata przędza dowolnych twierdzeń syntetycznych, naginających sztucznie zjawiska do poziomu teorji, odważne żonglowanie niedość sprecyzowanemi pojęciami, kryje niestety zbyt często zaledwie drobne ziarno prawdy. Historja ludzkiej wiedzy dostarcza w tym względzie tysiącznych przykładów.

Ale zacieśnijmy teren naszych spostrzeżeń i twierdzeń.

Wiadomo jak olbrzymi przewrót w dziedzinie antropologji i etnologji wprowadziła pod koniec drugiej połowy ubiegłego wieku materjalistyczna teorja skrajnego rozwoju. Potężna ta synteza, sprowadzając mnóstwo zawiłych zagadnień do jednej zasadniczej tezy: ewolucji z mniej doskonałego w kierunku doskonałości, ewolucji powszechnej, ko-

niecznej i jednolitej — porwała za sobą umysły uczonych, stała się popularną w szerokich sferach o ogólnem wykształceniu. Tajemnica początków człowieka, jego stopniowy rozwój fizyczny, kulturalny, moralny i religijny, na tle masowych wędrówek stanowiących treść wieków prehistorycznych, cała ta skomplikowana a niezmiernie ciekawa epopeja rodzaju ludzkiego odsłoniła się w swych szczegółach i barwnych epizodach przed ciekawem spojrzeniem pokoleń współczesnych. Mroki najdalszej przeszłości rozwiały się przed snopem promieni, które rzuciła w nie teorja skrajnego rozwoju. Co więcej, zamykając człowieka w ramach zoologicznego gatunku *primates*, teorja ewolucji rozszerzyła kąt widzenia, a obejmując dalsze jeszcze horyzonty przeobraziła się w jedną na materjaliźmie opartą syntezę, rozwiązującą ogólny problem początków i rozwoju życia.

Triumf ten jednak był krótkotrwały.

Wnet w tej imponującej konstrukcji umysłowej zaczęły się jawić szczeliny, zapowiadając grożącą ruinę. Badania naukowe faktów, oparte na historycznej krytyce, wyzwolonej z hipnozy aprioryzmu, rozpoczęły pierwszy atak, one też prowadzą dalej wielkie dzieło gruntownej rewizji i przebudowy postawionego z rozmachem systemu. Paleontologja, antropologja, lingwistyka, nie mówiąc już o etnologji, z dniem każdym coraz gruntowniej podkopują ewolucjonistyczne pewniki. Cóż więc dziwnego, że nazwiska najwybitniejszych protagonistów wspomnianej syntezy, począwszy od Darwin'a, Lubbock'a, Tylor'a, a skończywszy na ewolucjoniście-socjologu Durkheim'ie, bledną i coraz skromniejsze zajmują miejsce w bibljograficznych notatkach.

Podaliśmy już w tem czasopiśmie [1]) krótki pogląd na zasadnicze twierdzenia teorji rozwoju w dziedzinie etnologji religjoznawczej, zestawiając zarazem pobieżny bilans doniosłych poprawek, jakie w łono tej teorji wprowadza krytyczna ocena faktów i rzeczywistości. Przy tej okazji zaznaczyliśmy wyraźnie, jak silny materjał dowodowy przeciw apriorystycznym twierdzeniom skrajnego ewolucjonizmu stanowią pierwotne ludy pigmejskie.

[1]) „Upadek ewolucjonizmu w zagadnieniu pochodzenia religij". — *Przegl. Pow.* t. 170 (1926), str. 129—150.

Zagadnienie to jest od pewnego czasu przedmiotem żywych dyskusyj a nawet namiętnych starć w obozie uczonych. Z drugiej strony wnioski wysnute z obserwacji ludów pigmejskich sięgają daleko, przybierają rozmiary doniosłej tezy, wobec której chrześcijańska apologetyka nie może przejść obojętnie. Warto więc tej kwestji poświęcić słów kilka.

I. Pigmejczycy w świetle historji starożytnej.

Pod koniec ubiegłego wieku naukowe podróże i związane z niemi odkrycia w południowej Azji, Malezji oraz środkowej Afryce odsłoniły przed nami wnętrze nieznanych bliżej wysp i kontynentów. Nowe grupy etniczne, których istnienia nawet się nie domyślano, odnalezione w gęstwinie dżungli czy dziewiczych lasów, stały się odtąd przedmiotem drobiazgowych studjów, mających zapełnić luki w bilansie dotychczasowych etnologicznych twierdzeń i hipotez. Bodaj czy nie najciekawszym faktem było jednak odkrycie dość licznych szczepów pigmejskich, oddzielonych od siebie często olbrzymią przestrzenią, ale zbliżonych, owszem związanych w jedną rodzinę swym fizycznym wyglądem, dorobkiem etycznym i kulturalnym.

Przez ileż to lat jednak wszelkie wzmianki starożytnych autorów o popularnych swego czasu małoludkach, którymi zabawiał się świat klasyczny, uważano za czczą legendę, za dziwaczny płód fantazji poetów oraz artystów? Odkrycia Man'a i Portman'a na Andamanach, Blumentritt'a czy Montano na Filippinach, Stevens'a w górzystych i niedostępnych okolicach półwyspu Malaki, Schweinfurtha, Stanley'a i innych podróżników w środkowej Afryce położyły kres sceptycyzmowi z jakim odnoszono się do tradycji, przekazanej nam przez greckich i rzymskich autorów. [1])

[1]) Oto lista ważniejszych odkrywców i badaczy plemion pigmejskich. Cyfry oznaczają datę ich odnośnych publikacyj.

Plemiona andamańskie: E. H. Man (1883), M. V. Portman (1899), A. R. Brown (1909).

Plemiona Semangów na Malace: H. V. Stevens (1891), R. Martin (1905), W. W. Skeat i Ch. O. Blagden (1906), P. Schebesta (1925).

Plemiona filippińskie: F. Blumentritt (1882), J. Montano (1885),

Dzisiaj musimy przyznać lojalnie, że odkrycia wspomnianych podróżników mimo wszystko nie są zbyt oryginalne, a znajomość szczepów pigmejskich nie jest bynajmniej zdobyczą czasów nowożytnych. Wprawdzie ziarno historycznej prawdy okryło się w ciągu długich wieków bogatą przędzą baśni i ludowych podań, a postać realnych małoludków przeobrażała się nie do poznania w miarę kolejnej wędrówki po centrach klasycznej kultury, mimo to faktem jest niezawodnym, iż starożytne ludy cywilizowane znały Pigmejczyków i zajmowały się nimi według ówczesnej mody i ówczesnych pojęć.

I tak najpierw jest rzeczą prawdopodobną, iż już w odległej starożytności Egipcjanie zetknęli się z Pigmejczykami w czasie swych zwycięskich wypraw przeciw szczepom, koczującym w okolicach Górnego Nilu. Wyprawy te zaczynają się na dobre w epoce XII-tej dynastji, a okres ich rozkwitu pokrywa się z dynastją XVIII-tą, opromienia chwałą panowanie Tutmosa III-go.[1]) To też wnet jawią się na pomnikach staroegipskich, obok zwyciężonych mieszkańców Etjopji i Libji: wielkich rosłych Negrów, także czarne małoludki o dziwacznych formach: wielkiej głowie, przypłaszczonym nosie, obwisłym brzuchu, krótkich krzywych nogach — barwna procesja, mająca wieścić pokoleniom orężne triumfy wielkich faraonów. Na jednym z tych sędziwych pomników odkrył słynny egiptolog Mariette w gronie wojennych jeńców małego murzynka, a że nie chodzi tu jedynie o fantastyczną karykaturę pomysłowego artysty świadczy

---

A. B. Meyer i A. Schadenberg (1890—1893), W. A. Reed (1904), A. Pichler (1909), D. C. Worcester (1914), M. Vanoverbergh (1925).

Plemiona centralnej Afryki: P. Du Chaillu (1868), G. Schweinfurth (1874), H. M. Stanley (1890), G. Casati (1891), F. Stuhlmann (1894), H. H. Johnston (1902), P. vander Burgt (1903), J. David (1904), Mgr. A. Le Roy (1905), P. H. G. Powell-Cotton (1907), A. Hutereau (1909), T. A. Barns (1922), L. J. vanden Bergh (1922), H. Schumacher (1925).

Buszmeni połud. Afryki: H. Lichtenstein (1812), J. Campbell (1823), T. Arbousset i F. Daumas (1842), Th. Hahn (1870), G. Fritsch (1872), Wangemann (1872), J. M. Orpen (1874), A. Merensky (1875), G. W. Stow (1905), S. Passarge (1907), S. S. Dornan (1924), V. Lebzelter (1926).

[1]) G. Maspero: „Histoire ancienne des Peuples de l'Orient." 4 edit. in 12° Paris. 1886, str. 95, 100, 105, 201—202.

dowodnie umieszczony obok napis: Akka, miano opisanego nam po raz pierwszy przez Schweinfurth'a [1]) i dobrze dzisiaj znanego szczepu małoludków, który żyje w Afryce podzwrotnikowej. Wprawdzie, na pierwszy rzut oka, istnieje niemała różnica między pierwowzorem Mariett'a, za którego autentycznością zdaje się przemawiać wspomniany rodowód, a fantastycznymi Pigmejczykami poetów klasycznych, fenickich figurynek i fresków Pompei, przy bliższej jednak analizie źródłowej dochodzimy do przekonania, iż, mimo sprzecznych chwilami pozorów, czarne małoludki sztuki i literatury greckiej oraz rzymskiej są w rzeczywistości prawdziwymi epigonami swych staro-egipskich przodków.

Tym właśnie zwodniczym pozorom uległ wybitny przyrodnik średniowiecza Albert W., który wprawdzie nie przeczy istnienia Pigmejczyków, mieszkających u źródeł Nilu, „wielu ich bowiem widziało", co więcej przyznaje im nawet zdolność mówienia, zwiedziony jednak mnóstwem baśni, któremi starożytność zniekształciła ich realną postać, uznaje Pigmejczyków za gatunek małp, a raczej za formę pośrednią między człowiekiem i małpą. Pigmejczycy, zdaniem Alberta W., „nie posiadają rozumu, ani poczucia wstydu, ni sprawiedliwości, niema wśród nich nawet śladu organizacji społecznej", pod wielu jednak względami zbliżają się do ludzi, zwłaszcza swem własnem narzeczem i mową, jakkolwiek tylko niedoskonałą. [2]) Jak można pogodzić zdolność mówienia ze zwierzęcym stanem, usiłuje wykazać tenże autor, czerpiąc dowody z bogatego arsenału scholastycznej dialektyki. [3])

Daleko ostrożniejszym był św. Augustyn. Rozwiązując w swem dziele: *De Civitate Dei,* kwestję pochodzenia wszystkich ludzi od Adama, stawia sobie między innemi także to pytanie, czy „pewne potworne gatunki ludzi, o których

[1]) Dr. Georg Schweinfurth: „Im Herzen von Afrika." Reisen und Entdeckungen im zentralen aequatorial-Afrika 1868—1871. 2 in 8° Leipzig 1874. II. str. 131—155.

[2]) Albertus Magnus: „De animalibus libri XXVI." (Wyd. H. Stadler'a: Beiträge zur Geschichte der Philosophie des Mittelalters t. XV, XVI. in 8° Münster 1916) l. VII. tr. 1. c. 7 n. 62. str. 521; cfr. l. I. tr. 1. c. 3. n. 45, 46, str. 18.

[3]) Op. cit. l. XXI. tr. 1. c. 2. n. 11, 12, 13, 14.

opowiada starożytna historja" (Cyklopi, Sciopodzi i t. d. a w szczególności Pigmejczycy) są potomkami Adama lub synów Noëgo? Na zagadnienie to odpowiada uczony doktor mądrym dylematem: albo te wszystkie podania, przekazane nam przez pogańskich pisarzy są bajką, i wówczas potwory te nie są ludźmi, albo też są prawdą i wtedy Pigmejczycy są ludźmi i pochodzą od Adama. [1])

Średniowiecze poszło za kategorycznem twierdzeniem Alberta. Natomiast uczeni z epoki odrodzenia, upraszczając zawiłą kwestję, uznali Pigmejczyków za fantastyczny płód wyobraźni Greków oraz Rzymian. Mogli się wprawdzie przytem powołać na wyraźne świadectwo Strabona, który *cantans extra chorum* stale poczytywał za bajki i poetyckie wymysły wszystkie tradycje greckie o rzekomych etjopijskich karzełkach. [2]) Łatwo zresztą zrozumieć sceptyczne uwagi wybitnego geografa, który, żyjąc na przełomie nowej ery, zastał podanie o Pigmejczykach przekształcone wielowiekową ewolucją w fantastyczny mit napół religijny, w którym rozpłynęły się realne rysy nieznanych mu bliżej mieszkańców Górnego Nilu. Rozwikłać spleciony kłębek, oddzielić prawdę od fantastycznych przymieszek nie było łatwem zadaniem. To też Strabo zadowoli się twierdzeniem, iż „żaden człowiek godny wiary nie widział wspomnianych karzełków". Dopiero opisy nowożytnych podróżników dostarczą solidnej podstawy do krytycznej oceny przekazanego nam przez starożytność mitu.

Paweł Monceaux w swej interesującej pracy, [3]) wymagającej jednak dzisiaj dość licznych zastrzeżeń, przedstawił kolejne fazy rozwoju tej ciekawej legendy pigmejskiej, kryjącej niezawodnie w swem łonie ziarno historycznej prawdy. Przyjmując za fakt wczesne wyprawy Egipcjan w głąb Czarnego Lądu, opisuje nam wspomniany autor, jak budzące podziw swą drobną postacią karzełki pigmejskie zdobyły sobie powoli niezwykłą popularność wśród mieszkańców

[1]) S. Augustinus: „De Civitate Dei" l. XVI. c. 8. Migne P. L. t. 41. col. 485—487.

[2]) Strabonis: „Geographica" l. 2. 28, 30; VII. 3. 6; XV. 1. 57; XVII, 2. 1.

[3]) Paul Monceaux: „La légende des Pygmées et les nains de l'Afrique équatoriale", w Revue Historique t. XLVII (1891), str. 1—64. Z tej pracy streszczamy niektóre ustępy, do niej odsyłamy po bliższe szczegóły.

doliny Nilu. Figurują one nietylko w malowidłach i płaskorzeźbach triumfalnych pomników, ale wnet zapładniają pomysły mistrzów ceramiki i rzeźbiarzy, którzy, transponując i przesadzając niektóre śmieszne rysy swych modeli, zachowują jednak naogół realne cechy znane im z autopsji czy też z historycznych źródeł. Co więcej, minjaturowi Negryci do tego stopnia zainteresowali swych cywilizowanych zwycięzców, iż z czasem udało im się wtargnąć z rzeźb i triumfatorskich pomników do wnętrza egipskiego panteonu.

Wśród surowych i poważnych bóstw egipskich jawi się bożek przybłęda, znany pod imieniem *Bes*, sprowadzony z Etjopji przez zwycięskie falangi żołnierzy, lub też narzucony Egipcjanom za czasów panowania kuszyckiego w Tebach. I bóstwo to karłowate, o wystającym brzuszku i fizjognomji Negra, spłaszczonym nosie i przenikliwem spojrzeniu, silnej muskulaturze i niezgrabnych nogach — było przez wieki ulubionym tematem rzeźbiarzy i ceramistów egipskich. Z czasem Bes przyswoił sobie niektóre cechy delfickiego bóstwa *Ptah* — rachitycznego chłopięcia i w tej nowej formie wywędrował w dzierżawy fenickiego państwa, ulegającego już od czasów XVIII-tej dynastji przemożnym wpływom egipskiej polityki.

Niezliczone figurynki, przedstawiające karzełka Bes czy Ptah, czy też drobne bóstwa fenickie tak zwanych Pateków,[1]) jawią się dość wcześnie w Fenicji i zyskują sobie nadzwyczajną popularność.[2]) Z czasem wyobraźnia artystów, szukając nowych form i zapładniając się elementem lokalnych legend, wprowadza te karzełkowate bóstwa w fanta-

[1]) P. Monceaux l. c., str. 40, opierając się na opinji Ph. Berger'a uważa nazwę Patek za grecką transkrypcję egipskiego Ptah, w wygodniejszej transpozycji Path.

[2]) Możnaby przeprowadzić ciekawy, choć zbyt może śmiały paralelizm między objawami czci na pół religijnej, składanej małoludkom przez ludy starożytne, a analogicznem zjawiskiem, spotykanem dzisiaj w Kongo, na Madagaskarze, w połud. Indjach. Cfr. David Mac Ritschie: „Dwarfs and Pygmies", w Hastings, Enc. of Rel and Eth. t. V., str. 125, 126. Także mitologja starosłowiańska posiada swych nadludzkich karzełków: serbskie i słowackie Lutky, polskie Krasnoludki i t. d. cfr. J. Máchal: „Slavic Mythology" (The Mythology of all Races III) in 8° Boston 1918, str. 240—248.

styczne walki oraz polowania, czyni z nich, jakby na wzór Herkulesa, pogromców dzikich zwierząt, w szczególności wielkich długoszyjnych ptaków. Mała postać karzełków, stawiona obok rosłych zwierząt i ptaków, wabiła oryginalnym kontrastem wyobraźnię artystów.

Egipski typ etjopijskiej karykatury wzbogacił się więc niezwykle w ciekawe fikcyjne rysy w czasie kolejnej wędrówki po fenickich miastach. Bo też Fenicjanie byli naprawdę niezmordowani w odtwarzaniu ulubionych małoludków. Posążki ich umieszczano na dzióbach okrętów, składano je do grobowców, wyrabiano masowo na wywóz.

Z kolei bowiem, posuwając się śladami fenickich wypraw handlowych, spotykamy negryckich karzełków na wyspach i wybrzeżach egejskiego morza, na Cyprze, Rodos, w Kartaginie, Sycylji a nawet w odległej Hiszpanji. Ale szczególnie na Cyprze boskie karzełki znalazły gościnne przyjęcie. Tutaj właśnie fenicki Patek, zwany także *Paam* czy *Pumai* — łokietkowy bożek, przyjmuje nazwę *Pumaion* czy *Pygmaion*, a zlewając się powoli z lokalnem bóstwem Adonisem-dzieckiem zyskuje sobie wielką popularność. Na Cyprze zatem ustala się klasyczna odtąd nazwa Pigmejczyków. Coraz też częściej długoszyjne ptaki stają się, na freskach, mozajkach, rzeźbach, glinianych i bronzowych figurynkach, ich nieodstępnym chociaż wrogim towarzyszem.

Z Cypru, z Fenicji, a nawet może i bezpośrednio z Egiptu legenda pigmejska przeniknęła między starożytnych Greków, w pierwszym rzędzie mieszkańców Jonji. Wnet też negryckie karzełki stały się ulubionym tematem wśród artystów greckich. Co więcej historja ich nie pozostała obcą i greckiej literaturze.[1])

Wszak już autor Iljady (III. 2—7) wspomina o wojowniczych żórawiach, lecących z krzykiem na południe nad brzegi Okeanosu i niosących zagładę mężom pigmejskim, a Hekataïos z Miletu, podróżnik i logograf grecki, wzbogaci pod koniec VI-go wieku w fantastyczne szczegóły tę homerycką

---

[1]) Zob. A. de Quatrefages: „Les Pygmées" in 12⁰ Paris 1903, str. 1—29; P. Monceaux l. c., str. 1—16; O. Navarre: „Pygmaei", w Ed. Saglio: Dict. des Antiq. greques et romaines t. IV, str. 782.

legendę.[1]) Daleko ciekawszą jest historja pięciu młodych Libijczyków, którzy, marząc zapewne o szczytnym naówczas rekordzie, wyruszyli z nad brzegów W. Syrty na południe, by odkryć tajemnicze źródła Nilu. Po mozolnej i długiej wędrówce, przebywszy szeroką pustynię, odważni podróżnicy napotkali na plemię czarnych małoludków, mówiących zupełnie nieznanym językiem, a mieszkającej nad brzegami wielkiej, obfitującej w krokodyle rzeki. Po szczęśliwej ucieczce z pigmejskiej niewoli, młodzieńcy nasamońscy rozgłosili swe awanturnicze przygody wśród libijskich ziomków, a Herodot dowiedział się o tem ciekawem zdarzeniu od Cyrenejczyków.[2])

Ale oto wnet obok afrykańskich karzełków jawi się na widowni nowy szczep Pigmejczyków, odkryty podówczas w Azji; stąd nowy bodziec dla twórczej fantazji artystów oraz poetów klasycznych. Mianowicie Ktezjasz, głośny podróżnik, a zarazem lekarz Artakserksesa Mnemona (IV. w. a. Chr.), doniósł poraz pierwszy, iż w środkowych Indjach żyją czarni ludzie, nazywani Pigmejczykami. Językowo nie różnią się od reszty Indjan ale są nadzwyczaj mali, gdyż wysokość największych z nich nie przekracza dwu łokci. Posiadają oni niezwykle długie włosy, sięgające nawet niżej kolan, włosy też zastępują im ubranie. Nosy ich spłaszczone (małpie) a wygląd odrażający, mimo to ludzie ci odznaczają się niezwykłą prawością. Trzy tysiące tych karzełków posiada król indyjski w swoim orszaku, gdyż uchodzą za znakomitych łuczników.[3])

Nawet Arystoteles swą naukową powagą potwierdza ludowe podania o karzełkowatych Negrytach, gdyż wyraźnie zapewnia o istnieniu Pigmejczyków w okolicach nilowych wywieżysk i podkreśla z naciskiem, że nie chodzi tu bynajmniej o bajkę.[4]) Świadectwo Stagiryty posiada tem większe znaczenie, iż wyprawy Aleksandra do Indyj i Egiptu dostar-

---

[1]) Hecataei Fragmenta. Fragm. 266. [C. et Th. Mülleri Fragmenta Historicorum Graecorum. Paryż 1841. t. I., str. 18].

[2]) Herodot: „Historiarum libri..." II, 32.

[3]) Ctesiae Fragmenta. De rebus indicis. n. 57, 11. Wyd. Müllera, str. 81.

[4]) Arystoteles. Historja zwierząt VIII. r. 12. v. 5—10.

czyły mistrzowi niemało autentycznych informacyj. W owym też okresie cywilizacja grecka osiedliła się już na dobre nad brzegami Nilu. Ptolomeusze wnet zorganizują orężne wyprawy celem dokładniejszego zbadania południowych kresów rozległego państwa. Wydaje się więc rzeczą conajmniej prawdopodobną, iż egipscy Grecy, podobnie jak niegdyś faraonowie, spotkali się z autentycznemi szczepami afrykańskich Pigmejczyków. Mimo to niczem nieskrępowana wyobraźnia artystów parodjowała dalej na swój sposób realne rysy popularnych małoludków. Mnogie zabytki sztuki z epoki hellenistycznej są chyba aż nazbyt wymownym dowodem.[1])

Rzymianie przejęli ze Wschodu całą tę barwną spuściznę, przeobrażając ją z kolei i zniekształcając do reszty. To też pisarze rzymscy z okresu cesarstwa posiadają już tylko mętne pojęcia o pigmejskich szczepach. Plinjusz wspomina o Pigmejczykach, żyjących niegdyś w Tracji, w Indjach, wśród bagien, z których Nil wypływa, wogóle umieszcza ich w różnych krajach północy i południa a historję ich łączy bezkrytycznie z obecnością wędrownych żórawi.[2]) Współczesny Strabonowi Pomponjusz Mela, opisując wschodnie wybrzeże Afryki na południe od Czerwonego Morza, zaznacza, iż w głębi kontynentu żyły niegdyś szczepy małoludków, wytępione z czasem przez wojownicze żórawie.[3]) Sceptycznym twierdzeniom Strabona i Pomponjusza można jednak przeciwstawić ciekawe świadectwo Nonnosus'a, legata Justyniana (VI w. p. Chr.), który właśnie w okolicach wspomnianych przez Melę widział na własne oczy autentycznych Pigmejczyków i opisał ich treściwie w swym notatniku podróżnym, jako istoty zewnętrznym wyglądem podobne wprawdzie do ludzi, lecz bardzo małego wzrostu, włochate i o czarnej skórze. Mężczyznom towarzyszyły podobne do nich kobiety i dzieci. Wszyscy byli nadzy, jedy-

[1]) Dobry szkic o stanowisku jakie zajmują Pigmejczycy w sztuce grecko-rzymskiej podaje Otto Waser: „Pygmaïen II. Bildliche Darstellung," w „Ausführliches Lexikon der griechischen und römischen Mythologie" (W. H. Roscher) t. III (1897—1909) kolum. 3291—3314.

[2]) C. Plini Secundi: „Naturalis Historiae..." IV. 11 (18); VI. 19 (22); 30 (35); VII. 2 (2).

[3]) Pomponii Melae: „De Chorographia", III 8 (81).

nie u dorosłych mężczyzn oraz kobiet biodra osłaniała wstydliwa przepaska. W wyrazie twarzy, oraz zachowaniu nie objawiali ci małoludkowie żadnej dzikości. Posiadali nawet swoją własną mowę, której jednak nikt nawet wśród najbliższych sąsiadów zrozumieć nie może. [1])

Zatem i w epoce bizantyjskiej nie zaginęła wieść o homeryckich karzełkach, a średniowiecze i renesans wypowiedziały z kolei o nich swe krytyczne zdanie. Sceptyczna opinja erudytów Odrodzenia a zwłaszcza wyżej wspomniana oryginalna interpretacja Alberta W. przetrwały obok siebie do ostatnich czasów.

Dopiero nowoczesne odkrycia etnologiczne pozwoliły zorjentować się w labiryncie przekazanej nam przez odległą starożytność pigmejskiej legendy. W świetle ich nabieramy przekonania, iż bogata przędza ludowych podań i artystycznych fantazyj przechowała niezawodnie zdrowe ziarno historycznej prawdy.

Dla nas najważniejszym jest ten zasadniczy wniosek, iż na podstawie starożytnych źródeł możemy z całą pewnością stwierdzić istnienie szczepów pigmejskich już w początkach a przynajmniej w połowie drugiego tysiąclecia przed Chrystusem. Co więcej, jeśli, po odróżnieniu elementu mitycznego, skupimy uwagę na realnych cechach znanych klasycznemu światu małoludków i porównamy je z opisami najświeższej doby naukowych podróżników, spostrzeżemy uderzającą tożsamość zasadniczych rysów fizycznych, moralnych i kulturalnych, które znamionują niezmiennie owe szczepy tak dzisiaj jak i w odległej starożytności.

II. Teorje współczesnych antropologów w kwestji pigmejskiej.

W okresie ostatnich lat kilkudziesięciu odkryto kolejno cały szereg pigmejskich plemion w głębi afrykańskiego lądu i na wschodnich obszarach południowej Azji oraz wysp przyległych. Szczepy te tworzą trzy terytorjalnie od siebie

[1]) Photii Const. Patrch. Bibliotheca III (13). Migne P. G. t. 103 (3) col. 50.

oddzielone grupy. Plemiona *Akka,* koczujące nad górnem Uelle, *Wambutti* nad Ituri, *Bambinga* nad Sanga, *Akoa* w Gabunie, *Batembo* nad jeziorem Moero, *Bangjelli* w Kamerunie, *Batembo* w Kasai, *Mato* w górnej Lukenji, *Atikitiki* w basenie Bomokandi i Aruwimi, wreszcie rozrzuceni w okolicy wielkich jezior i w dorzeczu Konga *Batwa;* wszystkie te plemiona stanowią grupę środkowo-afrykańskich Pigmejczyków, zwanych także Negryllami, w przeciwieństwie do sąsiadujących z nimi wielkowzrostnych Negrów. Drugą grupę stanowią *Buszmeni,* żyjący w stepowych i lesistych okolicach południowo afrykańskiej „pustyni" Kalahari. Na ostatnią, południowo-azjatycką grupę składają się *Semangowie* półwyspu Malaka, *Andamańczycy* mieszkający na przyległych wyspach, oraz *Negryci,* szczepy o różnych nazwach, żyjące na Filippinach. W ostatnich latach odkryto także pigmejskie plemiona na Nowych Hebrydach i w Nowej Gwinei.

W związku z temi odkryciami wyłonił się wśród antropologów współczesnych ciekawy problem: czy owe rozrzucone na odległych lądach i oddzielone od siebie nieraz olbrzymią przestrzenią poszczególne grupy stanowią prawdziwą jednostkę etniczną, a jeśli tak: jaką rolę należy im przyznać w dziejowym rozwoju ludzkości?

Jest rzeczą niewątpliwą, iż przy pobieżnej nawet obserwacji można spostrzec pewne zasadnicze cechy fizyczne, wspólne mniej więcej wszystkim Pigmejczykom.

Charakterystycznym jest najpierw niski wzrost ciała. Ta właśnie cecha ze zrozumiałych powodów uderzała szczególnie wyobraźnię ludów starożytnych, jej też Pigmejczycy zawdzięczają swoje imię. Nie chodzi tu wprawdzie o łokietkowe istoty Ktezjasza czy innych autorów klasycznych, mimo to drobny wzrost oddziela wyraźnie te szczepy od roślejszych ludów. U mężczyzn średnia wysokość wynosi około 140 cm., a w każdym razie nie przekracza 150 cm. Kobiety oczywiście odznaczają się naogół jeszcze niższym wzrostem.

Drugą wspólną cechę stanowią kędzierzawe włosy. Drobne i sporadyczne wyjątki w tym względzie, zwłaszcza w Azji, są wynikiem mieszanych małżeństw z ludami postronnemi.

Dalej Pigmejczycy są naogół krótkogłowcami. Cecha ta jest zupełnie wyraźną wśród filippińskich Negrytów, Andamańczyków i środkowo-afrykańskich szczepów. Mezocefalja jawiąca się dość często wśród Semangów jest najprawdopodobniej późniejszym nabytkiem, wynikających z mieszanych małżeństw ze szczepem Senoï. Większą trudność stanowi wyraźna dolichocefalja Buszmenów. Niektórzy antropologowie widzą w niej późniejszy wpływ Hettentottów oraz Kafrów, z którymi Buszmeni często zawierają mieszane małżeństwa. Za hipotezą tą przemawia także między innemi wzrost ciała nieco wyższy niż u reszty Pigmejczyków (średnia wzrostu wynosi 155 cm.).

Wśród innych cech somatycznych zasługuje na uwagę nieproporcjonalna krótkość odnóży w porównaniu z długością kadłuba, zaakcentowaną zwłaszcza dość znaczną szerokością ramion.

Barwa skóry jest zazwyczaj czarna. Wyjątek stanowią niektóre szczepy centralnej Afryki, [1]) jak Akka, Watwa i Wambutti, posiadające skórę o barwie czerwonawo-brunatnej, co stanowi silny kontrast z sąsiednimi czarnymi Negrami. Uderzającym jest przytem fakt, iż Pigmejczycy „jaśniejsi" posiadają dość silny porost na całem ciele w przeciwieństwie do innych Pigmejczyków. Stanley wyraża się o małoludkach, przez siebie odkrytych, iż skóra ich przy dotknięciu robi wrażenie futerka. [2])

Czoło Pigmejczyków jest proste i strome, łuki brwiowe normalne, natomiast nos o szerokiej nasadzie i nozdrzach silnie spłaszczonych (platyrrhinia). Kości twarzowe wystające, równocześnie dość silny prognatyzm i pozostający z nim w związku rodzaj komicznego ryjka, utworzonego przez wydłużone, choć niezbyt mięsiste i nie zagięte na zewnątrz, jak u innych Negrów, wargi. Podbródek słabo rozwinięty. Oczy naogół wielkie, łagodne, z wyraźnym odcieniem bojaźni, żywo przypominają wejrzenie płochliwej

[1]) H. Johnston: „The Uganda Protectorate." in 8⁰ London 1902. II, str. 527.

[2]) H. M. Stanley: „In Darkest Africa" 2 in 8⁰ London 1890. „The fell over the body was almost furry, being nearly half an inch in length." II, str. 40

gazeli. Wyjątek stanowią znowu Buszmeni o oczach drobnych, czarnych i złośliwych. [1])

Można wątpić, czy te i inne somatyczne cechy, rozważane oddzielnie od danych etnologicznych, tworzą wystarczającą podstawę do wniosku o jednolitej przynależności rasowej wszystkich grup pigmejskich. Na jeszcze większe trudności napotyka kwestja względnej oceny ich wieku. Opinje wybitnych uczonych są w tym względzie rozbieżne i podzielone.

Znany anatom bazylejski J. Kollmann wystąpił w r. 1905 z oryginalną teorją antropologiczną, [2]) dając początek żywym dyskusjom na temat stanowiska szczepów pigmejskich w historji rozwoju ludzkości. Według opinji uczonego ewolucjonisty, pierwotni przedstawiciele ludzkiego gatunku odznaczali się właśnie drobnym wzrostem ciała, dopiero wielowiekową ewolucją i zapewne drogą naturalnego doboru rozwinęły się z prymitywnych małoludków rasy o normalnym wzroście. Dzisiejsi Pigmejczycy to niedobitki pierwotnych małoludków, zapóźnionych w procesie rozwoju. Będąc bezsprzecznie, zgodnie z teorją, najstarszą warstwą ludzkości, nie stanowią jednak bynajmniej jednolitej rasy, gdyż ile ras wielko-wzrostnych, tyle też niegdyś było oddzielnych ras małego wzrostu. Kollmann zatem, rozszerzając w swym śmiałym pomyśle ramy prawa biogenetycznego, przedstawia ludy pigmejskie jako stadjum dziecięce całej ludzkości, stadjum, z którego już olbrzymia większość współczesnych nam ludów wyrosła.

Mijając drugie tysiąclecie przed Chr., w które przeniosły nas najstarsze historyczne pomniki egipskie, świadczące o istnieniu małoludków, zdążamy śmiałym lotem hipotezy w zamierzchłe czasy starszego pleistocenu, by w samem zaraniu ludzkości odkryć pierwszych Pigmejczyków. Możnaby zatem powiedzieć iż Adam i Ewa byli małoludkami, jeśliby Kollmann zechciał przyjąć monogenję ludzkiej rasy.

---

[1]) Mgr. Le Roy: „Les Pygmées Negrilles d'Afrique et les Negrittos de l'Asie." in 8⁰ Tours 1905, str. 84.

[2]) J. Kollmann: „Neue Gedanken über das alte Problem von der Abstammung des Menschen" w „Korrespondenzblatt der Deuth. Anthrop. Ges. XXXVI" (1905) 9; „Globus" LXXXVII (1905) 140 sq.

W teorji tej należy, jak widzimy, odróżnić dwa zasadnicze twierdzenia: pierwsze określa archaiczny charakter szczepów pigmejskich wogóle, czyniąc z nich najstarszą etniczną warstwę rodzaju ludzkiego; w drugiem twierdzeniu Kollmann precyzuje rolę tych szczepów w rozwoju ludzkości. Przyjmując bowiem pierwotną poligenję (pochodzenie ludzi od kilku czy kilkunastu par ludzkich) za pewnik, nie uznaje Pigmejczyków za jedną jednolitą rasę, lecz dla poszczególnych ras wielkiego wzrostu naznacza za przodków różne grupy małoludków.

Oryginalny pomysł Kollmann'a wywołał nie małą wrzawę w obozie antropologów i podczas gdy E. Schmidt,[1]) a zwłaszcza znany antropolog G. Schwalbe,[2]) rozwinęli gwałtowny atak przeciw poglądom Kollmann'a, usiłując je obalić na całej linji, wiedeński etnolog ks. W. Schmidt S. V. D. zajął pośrednie stanowisko w tej trudnej a tak doniosłej w swoich następstwach kwestji. Zwalczając bowiem, nie mniej energicznie jak Schwalbe, tezę Kollmann'a o niejednolitości rasowej pigmejskich szczepów, równocześnie przeciw Schwalbe'mu stał się obrońcą i najwybitniejszym odtąd rzecznikiem pierwszej tezy uczonego anatoma, uznającej Pigmejczyków za najstarszą warstwę etniczną ludzkości.[3])

Osobliwa zasługa ks. Schmidt'a polega na nowem i daleko szerszem ujęciu całego problemu, które, nie pomijając dowodów antropologicznych, zresztą nie bardzo przekonywujących, cały nacisk kładzie na argumentację z zakresu etnologji. Element etnologiczny, zestawiony z niezwykłym nakładem pracy na podstawie autentycznych świadectw licznych podróżników i znawców szczepów pigmejskich, staje się odtąd solidną podstawą dla hipotetycznych do niedawna twierdzeń, a równocześnie pancerzem, o który

---

[1]) E. Schmidt: „Prähistorische Pygmäen." Globus t. LXXXVII (1905) str. 309–312, 325—329.

[2]) G. Schwalbe: „Zur Frage der Abstammung des Menschen" (Eine Erwiderung an J. Kollman). Globus t. LXXXVIII (1905), str. 139—161.

[3]) P. W. Schmidt S. V. D.: „Die Stellung der Pygmäenvölker in der Entwicklungsgeschichte des Menschen" (Studien und Forschungen zur Menschen — und Völkerkunde VI/VII. IX+315 in 8° Stuttgart 1910).

rozbijają się liczne ataki, usiłujące obalić śmiałe a dla skrajnego ewolucjonizmu zabójcze wnioski wybitnego etnologa.

Nie potrzeba zbyt żmudnych wywodów, by się przekonać, jak dowolną jest zwalczana przez Schwalbego, a następnie ks. Schmidt'a hipoteza Kollmann'a o rzekomem pochodzeniu wszystkich bez wyjątku ras współczesnych z odpowiednich małowzrostnych przodków. Sam bowiem Kollmann nie może zaprzeczyć, iż jeśli chodzi n. p. o szczepy aryjskie, nie posiadamy najmniejszego śladu po aryjskich małoludkach. Łatwo wprawdzie odpowiedzieć, iż pigmejscy Aryjczycy wymarli już w prehistorycznych czasach. Twierdzenie to bowiem uchyla się z pod wszelkiej naukowej kontroli. W każdym razie pozytywne wysiłki Kollmann'a, by odnaleźć kopalnych małoludków, spełzły na niczem, a wszelkie rzekome dowody z zakresu paleoantropologji zostały zdyskredytowane przez E. Schmidt'a, tak że dzisiaj kwestja ta jest zupełnie nieaktualną. To znowu, by oprzeć swą hipotezę przynajmniej na pozornych faktach, Kollmann rozszerza dowolnie granice pigmejskiego wzrostu i niby nowożytny Plinjusz usiłuje wszędzie odkryć małoludków. Tak n. p. mieszkańców środkowej Sumatry, Jawy, Borneo, Indyj Przed i Zagangesowych, których średni wzrost wynosi 160 cm., uznaje za autentycznych Pigmejczyków. Co więcej nie szczędzi wysiłków, by nawet na terenie Ameryki odnaleźć niezbędnych dla swej teorji małoludków, pomimo iż najwybitniejsi amerykaniści wyraźnie przeczą istnieniu tych plemion na ziemiach Nowego Świata, zaś sporadyczne okazy karzełków nie mogą chyba stać się solidną podporą kruchej hipotezy.

Jak zresztą wytłumaczyć ten fakt niewygodny, iż dzisiejsi Pigmejczycy stanowią dziwny wyjątek w ogólnem rzekomo prawie anatomicznego rozwoju, że w ciągu tysięcy lat nie zdołali „wyrość" ze swych „form dziecinnych" i przekształcić się w nową rasę o normalnym wzroście? Możnaby wprawdzie jeszcze powołać się na prawo Depéret'a, według którego rozmiary ciała u ssaków mają wzrastać z wiekiem w granicach tego samego gatunku, tak że większe formy są rozwojowo młodsze i wywodzą swe pochodzenie

z form mniejszych, konsekwentnie starszych.[1]) Prehistoryczna genealogja dzisiejszego konia zdaje się być w tym względzie dość oczywistym dowodem. Ale wspomniane prawo pomimo swych roszczeń nie jest bynajmniej ogólnem i nawet w świecie prehistorycznych ssaków można mu przeciwstawić poważne wyjątki.[2]) Tem mniej nadaje się ono na podstawę dla teorji o rasowym rozwoju człowieka.

Akcji odpowiada reakcja i to nie tylko w świecie mechaniki. Adagjum to sprawdziło się także w niniejszej kwestji.

G. Schwalbe, zwalczając poglądy Kollmann'a, stanął wnet na wprost przeciwległym biegunie. Według opinji zasłużonego antropologa, dzisiejsi Pigmejczycy są jedynie lokalną odmianą historycznego człowieka, powstałą pod wpływem zewnętrznych a niekorzystnych warunków. Liche odżywianie, przy równoczesnem odizolowaniu na wyspach, lub w dziewiczych lasach miało odegrać w tym względzie wpływ decydujący. Z czasem nabyte okolicznościowo cechy ustaliły się dziedzicznie tak, iż obecnie pomimo intensywnego odżywiania własności tych odmienić nie można. Pigmejczycy zatem byliby pewnym objawem fizycznego zwyrodnienia, pomimo iż Schwalbe energicznie broni się przed tym radykalnym wnioskiem. Przy takiem ujęciu problemu, szczepy pigmejskie musiałyby nietylko zrezygnować z godności prarodziców rodzaju ludzkiego ale, co ważniejsze, narodziny ich nie sięgały nawet nazbyt odległej epoki.

Niestety teorja Schwalbe'go nie opiera się na rzeczowej analizie faktów. Już z punktu widzenia antropologji Schwalbe nie może naznaczyć wielkowzrostnej rasy, z którejby, drogą wstecznej ewolucji, mogła się rozwinąć dzisiejsza grupa małoludków, rozrzuconych na tak odległych od siebie obszarach.

Wprawdzie znany antropolog E. Fischer,[3]) podtrzy-

[1]) Ch. Depéret: „Les transformations du monde animal" in 16⁰ Paris. 1907. roz. 19. str. 199—210.

[2]) Cfr. A. Padtberg: „Zwerge als Stammväter des Menschengeschlechtes?" w „Stimmen der Zeit" t. CVII (1924), str. 47.

[3]) E. Fischer: „Spezielle Anthropologie: Rassenlehre", w zbiorowem dziele „Die Kultur der Gegenwart — Anthropologie", in 8⁰ Leipzig-Berlin 1923., str. 134—135.

mując teorję swego mistrza, usiłuje wprowadzić w grę i uzasadnić naukowo analogję z domowemi zwierzętami, wśród których drogą sztucznej kultury można wywołać, oraz następnie rasowo ustalić liczne warjanty w zakresie wzrostu, barwy, kształtów nosa i t. d., ale wywody jego, w których przeprowadza parelelę z człowiekiem i tłumaczy na tej zasadzie początek ras drugorzędnych, w szczególności Pigmejczyków, obracają się w orbicie zbyt sztucznych pomysłów.

Nic dziwnego zatem, iż antropolog Fr. Sarasin[1]) wyraża się sceptycznie o poglądach Fischera, a E. Finkbeiner[2]) zdecydowanie je zwalcza. Podczas jednak, gdy wspom-

[1]) Fritz Sarasin; „Anthropologie der Neu-Caledonier und Loyalty Insulaner." Berlin 1916—22.

Rasę pigmejską uważa Sarasin za objaw i wynik „neotenji", czyli wstrzymania rozwojowego procesu w stadjum dziecięcem. Tego rodzaju zastój fizjologiczny może się odnosić do niektórych cech somatycznych, podczas gdy inne rozwijają się normalnie. Uprzednio uważał Sarasin rasę pigmejską za pierwotny warjant rodzaju ludzkiego i dopiero w r. 1921 na zjeździe „der Schweizerischen Naturforschenden Geselschaft" przedstawił swą teorję neotenji, nie podając bynajmniej przyczyn, któreby rozumnie mogły wytłumaczyć jej etjologję.

[2]) E. Finkbeiner: „Die kretinische Entartung", Berlin 1923 str. 77, zwalcza zarówno poglądy tłumaczące powstanie rasy pigmejskiej przez zwyrodnienie jak i teorję neotenji. Infantylizm pigmejski należałoby bowiem tłumaczyć chyba niedorozwojem czy antrofją gruczołu tarczykowego, innej bowiem przyczyny neotenji dotychczas nie znamy; ale rzekomego braku pewnych wydzielin gruczołowych nie można suponować, trzebaby go anatomicznie udowodnić! Dotychczas zaś brak w tym względzie zupełnie dowodów. Zaznaczmy nadto, iż atrofja gruczołu tarczykowego powoduje nietylko karłowatość, lecz nadto kretynizm umysłowy i fizyczny, idący w parze z bezpłodnością płciową. Tymczasem Pigmejczycy według formalnych świadectw licznych podróżników, odznaczają się niemałym sprytem i wcale rozwiniętą inteligencją, rozmnażają się przytem zupełnie normalnie.

Również Deniker, znany antropolog francuski, nie podziela opinji Schwalbe'go i Fischer'a: ... „L'influence du milieu ne saurait être niée dans beaucoup de cas; elle peut élever ou abaisser la taille, surtout en activant ou en retardant et même en arrêtant la croissanse; mais il n'est pas démontré qu'un tel changement puisse se perpétuer par transmission héréditaire et se fixer. Les caractères primordiaux de race semblent prendre toujours le dessus et les modifications produites par les milieux ne peuvent altérer la taille de la race que dans les limites assez restreintes..." J. Deniker: „Les races et les peuples de la terre". 2 edit. in 8° Paris 1926. str. 48.

niana hipoteza wykazuje pod względem antropologicznym pewne przynajmniej pozorne cechy prawdopodobieństwa, to z punktu widzenia etnologji nie posiada, jak zobaczymy później, żadnych naukowych podstaw. Jednolitej a przytem niezwykle pierwotnej kultury grupy Pigmejczyków, nie można przedstawiać jako produkt wstecznego rozwoju czy kulturalnej regresji. To samo należy powiedzieć o rasie.

Toteż pomimo wywodów Schwalbe'go i jego następców ks. W. Schmidt podtrzymuje nadal, z drobnemi zmianami, pierwszą część hipotezy Kollmann'a i uważa Pigmejczyków za etniczne szczątki najstarszej znanej nam dzisiaj rasy ludzkiej.[1]) Hipoteza tak śmiała i tak doniosła zarazem, powinna posiadać niewzruszone podwaliny faktu.

Gdzież jednak przyjdzie nam szukać decydujących dowodów? By w dochodzeniu rzeczowem, które mamy zamiar przeprowadzić, uniknąć wszelkiego zamieszania pojęć, zostawmy na razie na uboczu, ze względów metodycznych, zagadnienie jednolitości kulturalnej i etnicznej rozrzuconych dzisiaj na różnych obszarach pigmejskich plemion. Do kwestji tej wrócimy później, przygotowawszy w ciągu niniejszej rozprawy niezbędny materjał etnograficzny.

Traktując zatem Pigmejczyków jako jednostkę etniczną, li tylko na podstawie wyżej wymienionych cech somatycznych, zajmiemy się najpierw wyłącznie problemem jej kulturalnego oraz etnicznego wieku. Ponieważ zaś z natury rzeczy badania te przeniosą nas w zamierzchłe czasy prehistorycznej epoki, przeto logicznem będzie przekonać się najpierw, czy i o ile prehistorja, a w pierwszym rzędzie paleoantropologja może nam dostarczyć pozytywnych faktów, o które moglibyśmy zaczepić wnioski w kwestji wieku omawianej rasy. Rezultaty prehistorycznych dociekań postaramy się następnie uzupełnić, ewentualnie wyjaśnić, przy pomocy geograficznego wskaźnika, uwzględniającego naturę zajmowanych dzisiaj przez Pigmejczyków obszarów, a przede-

[1]) W. Schmidt S. V. D. op. cit. str. 280. „Wir können also auf jeden Fall den Satz aufrechterhalten, dass die Pygmäen in ganzem genommen die älteste uns erreichbare 3 tufe der ethnologischen Menschkeitsentwicklung darstellen".

wszystkiem z pomocą etnologji, która, zestawiając krytycznie obecne mienie kultury pigmejskiej, usiłuje w świetle pozytywnych danych odcyfrować dzieje niedostępnej nam bezpośrednio prakultury omawianego szczepu i wyciągnąć decydujące wnioski w kwestji kulturalnego i etnicznego wieku grupy małoludków.

Rozwiązawszy w tym czy innym sensie co tylko sformułowany problem, przyjrzymy się przynajmniej pobieżnie etycznym przekonaniom i religijnym wierzeniom pigmejskich plemion, by zestawić definitywne wnioski i przekonać się, czy pójdą one po linji zasad i dogmatów skrajnego ewolucjonizmu.

Zacznijmy zatem od prehistorji. (C. d. n.)

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Pierścień Szajloka i Pierścień Nibelunga.

I.

Wśród licznych dramatów Szekspira dość ostro wyróżnia się grupa, tworząca pewną całość ze względu na wspólne cechy tak zewnętrzne jak i wewnętrzne, między innemi wyróżnia się i brakiem sympatji, z jakim spotyka się u większości czytającej i chodzącej do teatru publiczności. Nazwałbym ją grupą „dramatów renesansowych". Fabuła ich zwykle mało wbija się w pamięć, pomimo skomplikowanej intrygi w niektórych z nich — lub, być może, właśnie ze względu na nią. Można być doskonałym znawcą Szekspira, a jednak znaleźć się w kłopocie, gdyby przyszło opowiedzieć treść „Straconych zachodów miłości" lub „Jak wam się podoba". Akcja odbywa się zwykle we Włoszech, w owych świetnych Włoszech wczesnego i rozkwitłego Odrodzenia, o których dają nam świadectwo noweliści włoscy, poczynając od Bocaccia, i artyści, zwłaszcza szkoły weneckiej. Miejsce akcji, to zwykle jakiś pałac miejski lub samotna willa, w rodzaju tej, do której schronili się na czas dżumy florenckiej opowiadacze i opowiadaczki Dekamerona. Tu rozkoszuje się życiem wybrany rój szczęśliwców, powołanych do tego dzięki swemu pochodzeniu i swej zamożności. Owo życie, to nieprzerwany szereg świąt w złoconych salach i loggiach pałacu, lub na oświetlonych pochodniami ulicach, lub też w cienistych alejach parku, przy cichym szmerze fontanny. Kawalerowie, damy — jest ich wiele, a ich barwne jedwabie i aksamity tak samo mienią się w oczach, jak na pierwszym lepszym obrazie Bonifazia lub Paola Veronese. Piękno, bożyszcze Odrodzenia, tworzy ten wspólny,

właściwy im żywioł, w którym żyją oni wszyscy; kto nie nosi jego piętna, ten czuje się wyrzutkiem z tego życia renesansowego. Niema tu miejsca dla niego — po krótkiej, nędznej w niem wegetacji, to życie znów go usunie, ku tem większej radości wszystkich wybranych i powołanych, którzy beztroskim śmiechem nagradzają jego szaleńcze korowody. Korona zaś tego życia, to ręka najpiękniejszej z pięknych, bogatej dziedziczki pałacu lub willi. Dla niej są te wszystkie święta i przyjęcia, dla niej cała ta gra dowcipu — owego szczególnego dowcipu renesansowego, który stał się dla nas prawie zupełnie niezrozumiały. Powołanych jest wielu, wybrany będzie jeden, i ten właśnie jego wybór, jego przygotowanie jest treścią dramatu. Wybrany będzie jeden — czyż inni mają dlatego rozpaczać? Nie: na niebie jest wiele gwiazd, nie wszystkie mogą być pierwszej wielkości. Dla wszystkich jednakowo jaśnieje światło Odrodzenia, wszystkim miły jest blask dowcipnej rozmowy we wspaniałej sali lub szept miłości, pod osłoną maski, przy niepewnem świetle pochodni. I oto dlaczego dramat kończy się zwykle szczęściem nie jednej tylko pary, lecz kilku — szczęściem wszystkich, którzy tylko są szczęścia godni. Godnym zaś szczęścia, według pojęć renesansowych, jest ten, czyje ciało i duszę pobłogosławiła bogini Odrodzenia — Piękno.

Takie jest wspólne tło dramatów, o których mowa; w niem zawiera się ich znaczenie tak artystyczne, jak kulturalno-historyczne. Obok niego, jak już powiedziałem, nie pozostaje w pamięci treść każdego z nich w szczególności; i zresztą, czyż to nie wszystko jedno, jakiemi wymyślnemi drogami poeta prowadzi swoją intrygę, aby zapewnić ostateczny triumf zgóry upatrzonemu wybrańcowi? Wystarczy, jeżeli się orjentujemy w tych drogach podczas samego słuchania lub patrzenia; potem zapominamy o nich, jak zapominamy o ruchach gry w szachy, pomimo przyjemności, jakiej ona nam dostarcza. I nietylko akcja, lecz także osoby działające nie trzymają się mocno każda w swem otoczeniu, i pamięć nasza mimowoli, po pewnym czasie, przenosi je z jednego dramatu do drugiego. Nic w tem dziwnego: wszyscy oni są piękni, dowcipni, szczęśliwi, wszyscy naznaczeni są piętnem łaski bogini Odrodzenia, na wszyst-

kich jednakowo spoczywa jej miłościwe wejrzenie. Nikt nie przeniesie Jagona do „Hamleta" lub lady Macbeth do „Króla Leara"; lecz w dziedzinie dramatów renesansowych pamięć nasza nie jest ani tak wymagająca, ani tak pewna.

Tylko jedna z tych postaci jest wyjęta z pod wspólnego losu, jedna tylko nie rozpływa się w ogólnem świetnem tle różnobarwnych jedwabi i aksamitów dramatów renesansowych. Mocno i niezachwianie trzyma się ona w naszej pamięci. A to dlatego, że wśród świetnego roju kawalerów i dam poeta zechciał wprowadzić figurę, odzianą w żółty płaszcz zawiści i brzydoty — figurę Szajloka.

II.

Imię jego zostało wymówione — i wraz z niem wciska się w naszą wyobraźnię cały potok myśli i uczuć, daleki od ścisłej przedmiotowości dzieła sztuki, jako takiego, i przesiąknięty nawskroś jadem owej tendencji, w której jednakowo tonął i zdrowe myśli i zdrowe uczucia. Wyraziłem się niezupełnie ściśle, nazywając żółty płaszcz Szajloka symbolem zawiści i brzydoty: on charakteryzuje go przedewszystkiem jako żyda.

Tak, Szajlok jest żydem, i jako taki, wprowadza on do dramatu renesansowego sprawę żydowską — tę chroniczną chorobę społeczeństw europejskich. I każdy naród, który kiedykolwiek cierpiał na tę chorobę — a któryż na nią nie cierpiał? — jest skłonny oceniać nasz dramat właśnie z tego punktu widzenia, na którym go ona postawiła, określając przez ten swój sąd również swój stosunek do poszczególnych postaci dramatu.

Czyż i my mamy się poddać temu prądowi? Czyż i naszym sądem ma władać owa odwieczna choroba żydowska? Zobaczymy.

W wiele lat po Szekspirze najwybitniejszy żyd w literaturze europejskiej, Henryk Heine, z pośród wielu zajął się również i tym dramatem Szekspira; nie potrzebujemy dodawać, że Szajlok stał się dla niego postacią centralną we wszystkiem, co się dzieje wokoło niego. Oto jego słowa o nim i o reszcie osób:

„Doprawdy, Szekspir napisałby satyrę na chrześcijań-

stwo, gdyby jako jego przedstawicieli wprowadził tych ludzi, wrogich Szajlokowi, a jednak niegodnych zawiązania rzemienia u jego obuwia... Choćbyśmy z całej duszy nienawidzili Szajloka, nie moglibyśmy jednak uważać za dziwne z jego strony, gdyby on trochę gardził tymi ludźmi, co on zapewne też czynił... Doprawdy, z wyjątkiem Porcji, Szajlok jest najbardziej godną szacunku postacią z całego dramatu. On kocha pieniądze, to prawda, on nie ukrywa tej miłości, on wykrzykuje ją na placu publicznym. Ale mimo wszystko jest coś, co on kocha jeszcze więcej; jest to mianowicie zadośćuczynienie jego skrzywdzonego serca, sprawiedliwa zapłata za niezliczone obelgi. Proponują mu sumę dziesięć razy większą od tej, która mu się należy — on się jej wyrzeka, nie żal mu trzech tysięcy, nawet trzydziestu tysięcy dukatów, jeśli może on za nie kupić funt mięsa z pod serca swego wroga". („Dziewczęta i kobiety Szekspira").

Inni uczepili się tego sądu poety o poecie; nie znając innych renesansowych dramatów Szekspira, nie znając jego własnego, umysłowego, moralnego i artystycznego oblicza, nie znając, wreszcie, tembardziej środowiska, w którem on żył — bez tego zaś środowiska nie można go oczywiście wcale zrozumieć — oni naprawdę pomyśleli, że Szekspir, jako filosemita, umyślnie przedstawił całe społeczeństwo Odrodzenia jako puste i liche, i wszystkie promienie swej sympatji skierował na ponurą postać Szajloka. W rezultacie wyszło coś całkiem przeciwnego zamiarom poety — i czyż warto dodawać, że przez to zatracił się cały pomysł jego dramatu? Żółta plama rozpłynęła się i wypełniła całą świadomość artystyczną jego krytyków, i w tem żółtem morzu utonęły wszystkie różnobarwne jedwabie kawalerów i dam dramatu renesansowego.

III.

Biada temu, kto kłamie. Sprawa żydowska jest cała w obu obozach przesiąknięta kłamstwem, i to kłamstwo naturalnie zaraża sobą wszystko, dokądkolwiek się tę sprawę wprowadza, nie wykluczając dziedziny sztuki. „Kupiec wenecki" — to tylko jeden przykład wśród wielu.

Dla bezstronnego czytelnika tego dramatu nie może

być wątpliwości co do tego, że autor jego podzielał to zdanie o żydzie Szajloku, które on wypowiada przez usta Antonia i jego przyjaciół; u znawcy jego innych dramatów renesansowych nigdy nie powstanie kwestja co do tego, żeby sympatje autora mogły być skierowane gdzieindziej, nie zaś ku tym radosnym sferom społeczeństwa renesansowego, wśród którego tak chętnie przebywa jego umysł — żeby ulubieńcem jego mógł być nie Antonio, lecz Szajlok. Wreszcie, człowiekowi, zaznajomionemu ze środowiskiem naszego poety, Szekspir-filosemita wyda się dziwem ponad wszystkie dziwy.

Oczywiście, jako poeta, Szekspir usiłował uświadomić sobie psychologję również i tego swego bohatera; ta potrzeba psychologiczna tłumaczy tych kilka frazesów apologetycznych, na które tak się lubią powoływać ci, którzy wyobrażają go sobie jako filosemitę. Należy jednak zauważyć, że sama metoda wykorzystywania tych cytat jest nieuzasadniona. Swemu Ryszardowi III poeta również kładzie w usta tyrady apologetyczne, bardzo efektowne i przekonywające, a jednak, czyż potrzeba dowodzić, że jego sympatje były nie po stronie króla-potwora, lecz całkowicie po stronie jego ofiar?

Mimo to jednak, odrzucając tezę o filosemityzmie Szekspira, chciałbym jednocześnie położyć kres wszystkim nadużywaniom jego imienia w tem czy innem roztrzyganiu sprawy żydowskiej, jeśli ktoś pragnie zajmować się jej rozstrzygnięciem. Punkt widzenia Szekspira, człowieka XVI w., dla nas, ludzi XX wieku, jest zupełnie nieobowiązujący — jest to, zdaje się, jasne. Lecz jest to tylko połowa prawdy. Cała zaś prawda zawiera się w tem, co następuje: dla interesującego nas tutaj zagadnienia ogólno-ludzkiego żydostwo Szajloka jest takim samym symbolem, jak jego żółty płaszcz.

Aby się o tem przekonać, przenieśmy się myślą i uczuciem już nie poprostu do społeczeństwa renesansowego, tak zajmującego myśli naszego poety, lecz specjalnie do tego, które on przedstawił w tej najbardziej radosnej ze swych sztuk renesansowych. To, co zobaczymy, wyjaśni nam wiele.

IV.

Osoby, uczestniczące w dramacie, same przez się dzielą się na trzy obozy. Pierwszy obóz jest właśnie tem, co nazwałem społeczeństwem renesansowem; należą do niego, z jednej strony, „Królewski kupiec", Antonio i jego przyjaciele, z drugiej — piękna Porcja i jej dwór. Drugi obóz wypełnia w swym samotnym majestacie ponura postać Szajloka. Między temi dwoma obozami jest kontrast ostry, bezwzględny, nieprzejednany: tam są bogowie, tu — szatan. Trzeci obóz, są to ci, którzy przechodzą od Szajloka do Odrodzeńców, przechodzą dlatego, że jest im niewypowiedzianie duszno w atmosferze mroku i nienawiści, dlatego, że odczuwają nieprzeparty pociąg do światła, do radości, do piękna. Jest ich dwoje: Lancelot i Jessyka.

Zacznijmy od pierwszego obozu: Antonio, Bassanio, Graziano, Lorenzo... doprawdy, jesteśmy trochę obrażeni na poetę za te bezbarwne imiona. Niestety, Szekspir odczuwał Wenecję, lecz jej nie znał — ani samego miasta, ani jego historji. Lecz my znamy Wenecję, znają ją nawet ci, co nigdy w niej nie byli, bo tak jest porywająca atmosfera cudnej Królowej lagun. Szukamy imion bohaterów szekspirowskich wśród owych sławnych, które położyły swe piętno na historji świetności Wenecji; Antonio, ten „królewski kupiec" — jakżeż się on naprawdę nazywał? Barbarigo? Loredan? Albo może jest to Corner, ów Corner, którego córka była królową Cypru, a następnie zrzekła się swej korony na korzyść swej potężnej ojczyzny? Szukamy ich wśród właścicieli owych majestatycznych pałaców, których fasady wychodzą na Canal Grande, aby przyjąć zasłużoną daninę radości od pływających po nim przystrojonych gondol. Bassanio, świetny Bassanio — czyż nie był on niegdyś właścicielem najwspanialszego z tych wspaniałych pałaców — śmiejącej się w krasie swych barw i linij Cà Doro?

Przypatrzmy się Antoniowi... nie, zaczekajmy: on, król Odrodzenia, jest jeszcze zbyt wielki. Przypatrzmy się najpierw jego przyjacielowi, młodemu Bassaniowi, w którym koncentruje się dla Porcji cały urok Wenecji... Lecz i tu napotykamy przeszkody: Heine, w swym zachwycie dla Szajloka, nie oszczędził i jego. Bassanio — mówi on — to

typowy „Fortunehunter", według wyrażenia krytyka angielskiego; pożycza on pieniądze, aby przybrać się wspanialej i zdobyć bogatą narzeczoną i suty posag; bo, mówi on do swego przyjaciela:

Nie jest ci obcem, Antonio, jak bardzo
Nadwyrężyłem kredyt mój i mienie,
Żyjąc wystawniej, niż mi na to moje
Ograniczone środki pozwalały.
Nie utyskuję nad tem, żem zmuszony
Wysoką stopę zredukować; o to
Mi tylko idzie, jakbym mógł uczciwie
Wybrnąć z tych długów, w które mię pogrążył
Dotychczasowy za pański tryb życia. [1])

Tak, bezwątpienia, jest to człowiek lekkomyślny, i ja doskonale rozumiem cnotliwe oburzenie praktycznego Anglika, na którego się powołuje Heine... choć, mówiąc szczerze, znajduję, że zdanie samego Heinego nie jest pozbawione pewnej dozy obłudy. Lecz zachodzi pytanie, czy postępowanie Bassania było również tak bardzo godne potępienia z punktu widzenia wesołej starej Anglji (merry old England), której przedstawicielem był Szekspir, a zwłaszcza z punktu widzenia owej Wenecji Odrodzenia, którą on przedstawiał. I tu ośmielę się powiedzieć: Bassanio, który nieopatrznie zamienił swój odziedziczony metal na blask i świetność życia, postępował właśnie według wskazań tego Odrodzenia. Proszę się nie przestraszać, nie zadawać zdziwionego pytania: jakżeż to, czyżby w tych świętach, przyjęciach, wyjazdach, czyżby w nich zawierała się wartość życia? Wartość życia renesansowego leży w radości i na tem polega jej wieczne znaczenie, a święta, przyjęcia, wyjazdy — to tylko przemijające symbole tej radości. Jak ważne znaczenie przypisywano im wówczas — o tem świadczą współczesne kroniki i listy; dają one nam prawo powiedzieć: tak postępując, jak postępował, Bassanio działał w duchu obyczajów renesansowych i dawał swemu bogactwu właśnie to przeznaczenie, jakie ono miało w oczach Odrodzeńców. Tak uważano i przed nim w epoce, której odrodzeniem było wielkie Odrodzenie, w epoce starożytności, i specjalnie

[1]) Cytaty z Szekspira podane są w przekładzie J. Paszkowskiego, pozostałe — G. Piankówny.

za owych szczęśliwych czasów, które poprzedziły wojny perskie. Sądzimy o nich głównie na podstawie utworów ich epigonów — Pindara i Bakchilidesa. I ta epoka również ceniła bogactwo, lecz tylko o tyle, o ile ono służy pięknu i sławie. Dom, otwarty dla gości, zwycięstwo w Olimpji lub w Delfach, uczczenie tego zwycięstwa przez wspaniałe uczty, wysławienie go pieśnią natchnionych śpiewaków, i we wszelkich wypadkach — święta, święta i święta z ich podniosłym nastrojem, z ich radosnem samopoczuciem — oto najwyższy cel życia. To zgóry decyduje o często służebnej roli bogactwa. „Gdybym posiadał bogactwo — mówi Pindar — użyłbym go, aby zdobyć sławę." A więc to jest słuszne użycie; co się zaś tyczy innego: „kto zbiera w piwnicach bogactwo i śmieje się z ludzi, ten nie myśli o tem, że gotuje dla potomków życie niesławne"... To — Bassanio i Szajlok... ten ostatni zresztą, jak zobaczymy, niezupełnie.

„Oddaj wszystko dla radości" — oto hasło Odrodzenia. I tylko ten, kto instynktownie zrozumiał to hasło — godzien jest radości i jej królowej — Porcji. Oto dlaczego przezorny starzec, ojciec Porcji, uzależnił jej los od odgadnięcia znaczenia trzech skrzynek — złotej, srebrnej i ołowianej — i ich tajemniczych napisów. Pamiętacie te napisy? Złoto mówi:

Kto mnie wybierze, zyska to, co wielu nęci.

Dobre to wyrachowanie: otrzymać wszystko za nic lub za niewiele. Srebro mówi:

Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien.

Także wyrachowanie: równe za równe. Lecz wyrachowanie nie jest w duchu Odrodzenia: ten, co ugania się za złotem, otrzyma śmierć... tak, od przeklętego złota pochodzi śmierć, to prawda. Kto ugania się za srebrem, otrzyma głowę błazna, jako nagrodę za swą zarozumiałość, że samego siebie uznał za wartość, równą najwyższej nagrodzie. A ołów,

który grozi raczej,
Niż jakąkolwiek obiecuje korzyść —

ołów, kusząc, mówi:

Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować.

Oto jest właśnie hasło Odrodzenia. Rozumie to tylko Bassanio, on, w którym jest żywa dusza Odrodzenia: „Oddaj wszystko dla radości". I w skrzynce ołowianej znajduje on portret królowej radości i Odrodzenia — Porcji.

Jak daleko odeszliśmy od „awanturnika" szanownego krytyka angielskiego i jego towarzysza broni, Heinego! Należy jednak zaznaczyć, że Heine jest tu zadziwiająco niekonsekwentny. Rzeczywiście, ogarniając piętnem swej pogardy całe społeczeństwo renesansowe, z szacunkiem zatrzymuje się przed Porcją i dla niej jednej robi wyjątek. Ale Porcji nie da się oddzielić od Bassania. Jest on dla niej już dawno — przed swem przybyciem — przedmiotem i celem jej marzeń dziewiczych. Kiedy jej przyjaciółka — służebna, Neryssa wysławia go, ona odpowiada krótko i znamiennie: „Przypominam go sobie, i przypominam sobie, że zasługuje na twoją pochwałę". Lecz wystarczy, aby on się sam zjawił, wystarczy mu spojrzeć na nią płomiennym wzrokiem swych głębokich, radosnych, renesansowych oczu — i renesansowa zasada: „oddaj wszystko dla radości" odżywa i w niej:

O, te oczy wasze
Opanowały mię i rozdwoiły:
Jedna połowa moja już jest waszą;
Druga połowa waszą — to jest moją,
Chciałam powiedzieć; lecz jeżeli moją,
To waszą także, więc i całość wasza.

Pragnęłaby ona, aby Bassanio odłożył na kilka dni fatalny wybór, który może skończyć się dla obu rozłąką. Lecz jest to tylko małoduszność chwilowa. Zbyt jasny jest uśmiech bogini Odrodzenia nad jej wybrańcem — przeczucie go nie omyli, i on znajdzie w ołowianej powłoce królową radości — Porcję.

V.

Dotkniemy pokrótce innych także Odrodzeńców — zwłaszcza Graziana i Lorenza. Z nich pierwszy, to wierny towarzysz Bassania; on tak się odnosi do niego, jak się odnosi beztroska wesołość do natchnionej radości, jak satyr odnosi się do Dyonizosa. Chętnie, świadomie bierze on na siebie rolę błazna w dramacie życia; sądzę, że poeta dobrał

mu nawet imię z aluzją do Graziosa — błazna komedyj hiszpańskich.

Wprawdzie wrogowie Odrodzeńców usiłowali pomniejszyć i jego, przyczepiając się do słów Bassania, w których ten tak charakteryzuje istotę jego duszy: „Ani jeden człowiek w całej Wenecji nie umie wypowiedzieć takiej nieskończonej ilości nic nie znaczących słów, jaką wypowiada Graziano. Jego rozumowania, to jakgdyby dwa ziarna pszenicy, ukryte w dwu miarach słomy. Aby je znaleźć, trzeba szukać cały dzień, a skoro się je znajdzie — okaże się, że nie warte były poszukiwań". Tak, naturalnie — a jednak przy stole Odrodzenia brakowałoby czegoś, gdyby nie było tam również tego dobrodusznego, bezpretensjonalnego wesołka. Przyroda jest rozrzutna, kiedy jest pełna sił twórczych; ona chętnie otacza swe płodne latorośle pięknemi, choć i bezpłodnemi pędami. Jednym z nich jest Graziano; gdyby nie robił on nic innego — świadczyłby jednak o twórczej sile przyrody Odrodzenia, która kazała mu żyć i iść za Bassaniem, jak jego cień.

I oto dlaczego on, przyjaciel Bassania, równy mu urodzeniem, lecz poddany mu w owej służbie radości, która im obu wyznacza role wedle wartości — zostaje narzeczonym Neryssy, wesołej przyjaciółki — służebnej królewskiej Porcji.

Graziano dzięki swej nieszkodliwości zyskał względnie pobłażliwe traktowanie ze strony wrogów naszych Odrodzeńców; przeciwnie, Lorenzo, który porywa Jessykę, ściągnął na siebie wszystkie pioruny ich gniewu. „Co się tyczy Lorenza — mówi Heine — jest on współuczestnikiem najwstrętniejszej kradzieży, i według prawa pruskiego — skazanoby go na piętnaście lat ciężkich robót, a ponadto postawionoby go z piętnem na czole pod pręgierzem." Przyznam się, że z pewnym niesmakiem przeczytałem te słowa: Heine, entuzjastyczny wielbiciel Napoleona, Heine, autor „Germanji" — traktuje tutaj utwory poetyckie z punktu widzenia prawa pruskiego. Oto do czego doprowadza ludzi ślepa nienawiść.

Oczywiście, byłoby nam przyjemniej, gdyby Lorenzo porwał Jessykę bez dukatów jej ojca i nie wszedł w kon-

flikt z prawem pruskiem — nicby nie kosztowało poetę przedstawić swego bohatera jako człowieka zamożnego. Lecz wtedy nie byłoby wstrząsającej sceny rozpaczy Szajloka, nie byłoby jego krzyków histerycznych: „moje dukaty i moja córka!", nie byłoby owego, mrożącego nam duszę okrzyku: „wolałbym, żeby leżała na marach u nóg moich, a w trumnie miała owe dukaty". Nie, nie poprawiajmy Szekspira: on doskonale wiedział, co robił. Nie usiłujmy również — niechże nas Bóg strzeże — poprawiać pruskiego prawa kryminalnego; nie znając go, chętnie przyjmuję, że jest to również swego rodzaju doskonałość. Lecz nie plątajmy jednego z drugiem.

A jednak jest niedobrze, że Lorenzo porywa z Jessyką również dukaty Szajloka! Cóż z tego, czyż stąd wynika, że Szekspir chciał pomniejszyć swego Lorenza, przedstawić go jako człowieka niemoralnego, pozbawionego skrupułów? Przecież temu przeczy cała pozostała jego charakterystyka! Lorenzo, na którego powitalne słowa

> To ja, Lorenzo, twój kochanek —

Jessyka odpowiada:

> Tak jest,
> Lorenzo, tak, mój kochanek: bo kogóż
> Serdeczniej kocham?

Lorenzo, któremu Porcja powierza swój dom na czas swej fantastycznej wyprawy — ten Lorenzo, oczywiście, nie mógł przedstawić się poecie inaczej, jak w świetle najbardziej idealnem.

Lecz dlaczego on porywa, lub, ściślej mówiąc, przyjmuje porwane przez Jessykę dukaty jej ojca? Gdyby można było zapytać o to Szekspira, sądzę, że on odpowiedziałby w ten sposób: „przecież to jest naturalny posag Jessyki, nie wiem, o ile legalny z punktu widzenia cywilno-prawnego, lecz zupełnie legalny w mojem państwie poetyckiem. I nie trzeba było robić ceremonji z temi dukatami, gdyż pochodziły one z lichwy, a więc, według mnie, tak samo, jakby z kradzieży".

Nie, nie psujmy niedorzecznemi przyczepkami prawnemi poetycznej postaci weneckiego młodzieńca, którego poeta nazwał jednem z najświętszych imion Odrodzenia.

Jest on godnym przedstawicielem jego nakazów: łagodny i marzycielski, on jest w takim samym stosunku do płomiennego i świetnego Bassania, jak księżyc do słońca. Być może, że nie jest przypadkową ta okoliczność, że on przeważnie występuje w nocy. W nocy porywa on Jessykę i płynie z nią na gondoli po oblanych blaskiem księżycowym lagunach; w nocy ucztuje z nią w Genui, przyczem ona lekkomyślnie zamienia na zabawę sporą część dukatów swego ojca; w nocy, wreszcie, słyszymy ich szepty miłosne w czarodziejskim parku belmonckim:

w taką to noc jasną,
Gdy luby wietrzyk zlekka liść całował,
Nie czyniąc szumu, w taką to noc...

VI.

Czyż warto mówić o innych, których znajdujemy w orszaku Antonia — Salarino, Solanio, Salerio — osób, równie do siebie podobnych, jak ich imiona, i do tego stopnia bezbarwnych, że nie wiemy nawet, czy było ich trzy czy tylko dwie, gdyż plątanina w wydaniu oryginalnem pozwala zarówno na jedno i drugie rozwiązanie? Szekspir nie miał wcale zamiaru obdarzać ich charakterami, są to poprostu przedstawiciele opowiadania, przez których oznajmia się publiczności niezbędne wiadomości, figury czysto techniczne, na podobieństwo „zwiastunów" tragedji starożytnej. Moglibyśmy śmiało pominąć milczeniem tych „przyjaciół Antonia i Bassania", jak są oni nazwani w spisie osób działających: lecz, ponieważ Heinemu wystarczyło to określenie, aby oblać ich jadem swego szyderstwa, wypadnie i nam zająć się nimi — tem bardziej, że to da nam powód żeby wyjaśnić jedną ciekawą kwestję dramatyczną.

„Co się tyczy innych szlachetnych Wenecjan, którzy występują, jako towarzysze Antonia, to oni widocznie też niebardzo nienawidzą pieniędzy, lecz dla swego biednego przyjaciela, popadłego w nieszczęście, gotowi są wydawać tylko słowa, „wybijane powietrze". Nasz zacny pietysta, Franciszek Horn, czyni z tego powodu bardzo wodnistą, lecz całkiem słuszną uwagę: „Tu można byłoby zadać pytanie: jakim sposobem mógł Antonio dojść do takiego stopnia nie-

szczęścia? Cała Wenecja go znała i ceniła, jego dobrzy znajomi wiedzieli doskonale o strasznym wekslu, zarówno jak i o tem, że żyd nie dopuści do jego zmiany ani na jotę. A jednak oni pozwalają, aby mijał dzień po dniu, aż wreszcie upływa termin trzymiesięczny i znika wszelka nadzieja ratunku". Dla tych dobrych przyjaciół, otaczających całym tłumem królewskiego kupca, byłoby, jak się zdaje, nietrudno zebrać sumę trzech tysięcy dukatów, aby ocalić życie ludzkie — i przytem takie życie; lecz jednak jest to trochę kłopotliwe, i dlatego nasi mili dobrzy przyjaciele, lub, jeśli wola, półprzyjaciele, czy też w trzech czwartych przyjaciele nie czynią nic, absolutnie nic. Żałują oni doskonałego kupca, który wydawał niegdyś dla nich takie wspaniałe przyjęcia, żałują go, lecz z całym wymaganym komfortem (?); wymyślają na Szajloka z całych sił serca i języka, co też nie jest połączone z niebezpieczeństwem, i najwidoczniej sądzą, że spełnili obowiązek wobec przyjaciela do końca".

Tu nie zaryzykowałbym nawet zwrócić się o wyjaśnienie do Szekspira, gdyż znam jego odpowiedź zgóry; będzie ona brzmiała: „Dajcie mi święty pokój!" Istotnie, nie trudno się przekonać, że zarzuty Heinego i jego pietysty odnoszą się nie do Solania i innych, lecz wyłącznie do poety. Ani jeden rozumny poeta nie charakteryzuje drogą przemilczenia; gdyby Szekspir wyobrażał sobie przyjaciół Antonia na podobieństwo przyjaciół-obłudników Tymona Ateńskiego, użyłby tutaj tych samych środków charakterystyki, co i tam. Dlaczego Antonio przed nadejściem fatalnego dnia nie zwraca się do żadnego ze swoich przyjaciół i nie otrzymuje od nich odmowy? Dlaczego on w scenie sądu nie powiedział ani jednego słowa, że go opuścili przyjaciele? Widocznie dlatego, że oni nic wobec niego nie zawinili. Lecz jeśli tak jest, to jak należy wyjaśnić wskazaną przez krytyków Szekspira sprzeczność?

Dlatego spróbujemy przedstawić fabułę dramatu.

W Belmoncie, niedaleko od Wenecji — widocznie w jednej ze wspaniałych will na brzegu Brenty w weneckiej *terra ferma* — mieszka piękna, mądra i bogata dziedziczka Porcja. Zgodnie z ostatnią wolą ojca może ona wyjść tylko za tego, kto zgadnie, w jakiej z trzech skrzynek znajduje się

jej portret, kierując się zarówno symbolicznemi metalami skrzynek, jak też zagadkowemi napisami na nich; lecz sam udział w konkursie jest uzależniony od ciężkiego warunku — wyrzeczenia się, w razie niepowodzenia, wszelkich rozkoszy małżeństwa również i na przyszłość.

Młody Wenecjanin, Bassanio, postanawia spróbować szczęścia; lecz, aby być godnym narzeczonym Porcji, potrzebna mu jest przyzwoita wyprawa, na co nie ma on pieniędzy. Zwraca się on więc do swego przyjaciela, zasobnego „Kupca weneckiego", Antonia. Lecz i ten również nie ma pieniędzy w gotówce — wszystkie one są w obrocie; i oto oni udają się razem do bogatego żyda lichwiarza, Szajloka. Ten pożycza Bassaniowi żądane trzy tysiące dukatów pod warunkiem, żeby poręczycielem był Antonio, i żeby w razie przetrzymania terminu Szajlok miał prawo za niedotrzymanie umowy wyciąć Antoniowi funt mięsa „w miejscu serca pobliskiem". Antonio nie waha się ani trochę przed podpisaniem weksla, będąc zupełnie pewny, że nadługo przed upływem terminu wrócą do Wenecji jego okręty z towarami i dadzą mu możność wykupienia strasznego dokumentu.

Bassanio jedzie do Belmontu. Po zwykłych uroczystościach, związanych z konkurami, przystępuje on do fatalnego wyboru skrzynki. Instynkt podpowiada mu trafne rozwiązanie. On otrzymuje piękną narzeczoną i jej bogactwa. Lecz zaraz na początku jego i jej szczęście mroczy wiadomość, otrzymana od Antonia: wszystkie jego okręty zginęły, termin weksla minął, niepunktualnego poręczyciela zamknięto do więzienia, wypłacenie strasznej kompensaty jest nieuniknione. Na propozycję Porcji Bassanio jedzie do Wenecji, aby ofiarować Szajlokowi za jego weksel podwójną, potrójną sumę; lecz i sama Porcja ma gotowy plan ocalenia.

Korzystając ze swej znajomości ze znakomitym prawnikiem padewskim, Bellariem, otrzymuje od niego pismo i, przebrana za mężczyznę, przybywa do Wenecji w sam dzień sądu nad Antoniem. Wszyscy z szacunkiem traktują młodego prawnika, poleconego przez samego Bellaria, i doża poleca Porcji wydanie wyroku. Wyrok brzmi: weksel zasądza na rzecz Szajloka funt mięsa Antonia, lecz ani kropli krwi; jeżeli on, wycinając swój funt, wyleje choć kroplę

krwi, będzie ukarany śmiercią, jako zabójca. W tych warunkach Szajlok wyrzeka się swej kompensaty. Lecz Porcja idzie dalej: ponieważ zawarcie podstępnego warunku było pośrednim zamachem na życie Wenecjanina, to według praw weneckich połowa majątku Szajloka powinna być skonfiskowana na rzecz skarbu, druga — na rzecz pokrzywdzonego. Jednak obecni są usposobieni łagodnie: doża darowuje Szajlokowi wypłacenie połowy skarbowi, Antonio swoją połowę obraca na posag dla porwanej córki Szajloka, Jessyki, pod warunkiem atoli, żeby sam Szajlok przyjął chrześcijaństwo. Złamany Szajlok zgadza się.

Bassanio jest przepełniony wdzięcznością dla mądrego sędziego. Porcja jednak wyrzeka się wszelkich proponowanych darów i żąda tylko pierścienia, który mu podarowała jako narzeczona. Bassanio jest w kłopocie. Atoli wdzięczność bierze górę. Porcja otrzymuje z powrotem swój pierścień — i ten pierścień w jej rękach służy jako dowód jej tożsamości z mądrym sędzią w wesołej scenie rozpoznania, którą się kończy cały dramat.

Taka jest, powtarzam, fabuła. Sama przez się nie należy ona do Szekspira: była ona własnością noweli, zanim stała się treścią dramatu. Nowela zaś nie wymaga licznego personelu; dla niej jest zupełnie bez znaczenia. Kwestja, czy niepunktualny poręczyciel miał przyjaciół, czy nie, a jeżeli miał, to dlaczego nie mogli, lub nie chcieli mu pomóc. Dramat jest, oczywiście, bardziej wymagający w kwestji prawdopodobieństwa psychologicznego i środowiskowego, i dlatego właśnie raz po raz przy zamianie tematu nowelistycznego na dramatyczny pojawiają się niezgodności w fabule. Przezwyciężenie ich zależy od umiejętności autora; jeśli mu się uda — tem lepiej — jeśli nie — będziemy winili jego niezręczność lub niedbałość, jeśli tak nam się spodoba, lecz nie możemy korzystać z tych sprzeczności dla charakterystyki osób działających. Tymczasem tak właśnie postąpił Heine; czy dlatego, że był on złym dramaturgiem, czy też dlatego, że tendencyjne pragnienie oczernienia społeczeństwa renesansowego uczyniło go niewrażliwym na technikę dramatyczną, to już inna sprawa.

Jak jednak jest naprawdę? Czy Szekspir przezwyciężył

wspomnianą niezgodność? Spróbujmy w tym celu — choć to praca niewdzięczna i drobiazgowa — ustalić chronologję dramatu. Weksel był zawarty na trzy miesiące; jak i czem wypełnia się ten przeciąg czasu?

Wieczorem tego samego dnia, kiedy weksel zostaje podpisany u notarjusza i Bassanio otrzymuje pieniądze, ten ostatni zaprasza Szajloka i innych do siebie na ucztę. Szajlok idzie niechętnie; korzystając z jego nieobecności, Lorenzo porywa Jessykę. Uczta zostaje jednak odwołana z powodu pomyślnego dla Bassania wiatru: on jedzie do Belmontu. Na tym punkcie kończy się szósta scena aktu drugiego. W scenie siódmej są opowiedziane wypadki nocy — odpłynięcie Bassania i ucieczka Jessyki; jesteśmy więc rano następnego dnia.

Pierwsza scena aktu trzeciego przenosi nas o kilka dni naprzód — od siedmiu do dziesięciu. Tubal na prośbę Szajloka zdążył być w Genui i dowiedzieć się tam o wesołej nocy Lorenza i Jessyki. Z drugiej strony, jak widać z rozmowy Wenecjan z Szajlokiem, o ucieczce Jessyki mówi się w „świecie kupieckim" jak o nowości — a więc jest ona jeszcze dosyć świeża. Do tego więc czasu Antonio — tak opowiadają i Salarino i Tubal — stracił jeden okręt — tylko jeden.

Scena następna odbywa się w Belmoncie. Bassanio szczęśliwie wybiera skrzynkę, oddającą mu Porcję, lecz radość młodej pary przyćmiewa otrzymanie listu od Antonia, z którego Bassanio dowiaduje się, że Antonio stracił wszystkie swoje okręty, że termin zapłacenia weksla Szajlokowi minął; tak więc między pierwszą i drugą sceną trzeciego aktu upływa mniej więcej trzy miesiące. O tem, co się stało w ciągu tych trzech miesięcy, Szekspir nie mówi nam nic zupełnie. Nie skrępowany wymaganiem jedności czasu, poeta poprostu opuścił cały ten przeciąg, który był wypełniony staraniami Antonia w celu zdobycia pieniędzy dla zapłacenia weksla lichwiarzowi, gdyż te starania pod względem poetyckim nie przedstawiały nic wdzięcznego.

Postępując zaś w ten sposób, uchylił się od odpowiedzi na pytanie, dlaczego przyjaciele Antonia nie pomagali mu w jego kłopotliwem położeniu. Oto dlaczego wypowie-

działem wyżej przypuszczenie, że on nie przyjąłby zbyt uprzejmie tych, którzyby z nożem na gardle upierali się przy żądaniu tej odpowiedzi.

A więc, powiedzą, w całej kompozycji dramatu jest znaczny błąd? Moglibyśmy to twierdzić tylko w tym wypadku, gdyby odpowiedź na postawione pytanie okazała się niemożliwą. Tego jednak nie można powiedzieć; Szekspir, uchylając się sam od odpowiedzi, pozostawił do naszego rozporządzenia wystarczające dane, abyśmy ją mogli znaleźć. Spróbujmy więc wykorzystać te dane.

Przedewszystkiem przypomnijmy sobie uspakające słowa Antonia w scenie z Bassaniem i Szajlokiem (akt I, sc. III):

> Za dwa miesiące, a zatem o miesiąc
> Wcześniej niż termin, otrzymam niechybnie
> Dziesięćkroć razy wysokość tej sumy.

A więc w ciągu pierwszych dwu miesięcy można się było nie kłopotać. Dopiero z końcem drugiego powinna była wrócić część okrętów Antonia; z dnia na dzień czekał on ich powrotu. Nie zapominajmy, że dowiedział się o ich zatopieniu dopiero po upływie terminu, a zresztą i ta wiadomość, jak wskazuje akt piąty, okazała się fałszywą. Z drugiej strony, jest zrozumiałe, że Antonio odkładał do ostatniej chwili rozgłoszenie w świecie kupieckim wiadomości, która kazałaby go uznać za bankruta; nawet, kiedy termin minął, on woli milczeć, spodziewając się, jak świadczy scena ze stróżem więziennym (akt III, sc. III) nakłonić Szajloka do odroczenia mu weksla. — Lecz dlaczego nie bierze on potrzebnej sumy od swych bliskich przyjaciół, Solania i innych? Trzy tysiące dukatów — to niemała suma: na wagę złota będzie to około 75.000 złotych, jeśli zaś przyjmiemy pod uwagę zmienioną jego wartość to jeszcze więcej. Ponadto wiemy, jak Antonio zdobywał swoich przyjaciół — tem, że dawał im pieniądze bez procentów. Jest bardzo prawdopodobne, że i wyliczone osoby, podobnie jak Bassanio, były dłużnikami Antonia, a w takim razie ich finansowa bezradność daje się wytłumaczyć bez wszelkiego naciągania.

Oto, jak sądzę, odpowiedź zupełnie możliwa i naturalna. Lecz Szekspir, powtarzam, sam nam jej nie dał: on

pozostawił swym zazdrosnym krytykom swobodę orjentowania się po swojemu w skomplikowanych deseniach swej koncepcji poetyckiej — i doskonale zrobił.

VII.

Zbliżamy się nareszcie do głównych postaci społeczeństwa renesansowego — do Antonia i Porcji. Zbliża ich jeden rys wspólny, i ten rys jest to coś najwyższego, co, według pojęć Odrodzenia, można powiedzieć o człowieku. O Porcji Bassanio mówi, charakteryzując ją swemu przyjacielowi Antoniowi:

> Zowie się Porcja, nietylko imieniem,
> Ale i sercem podobna do owej
> Córy Katona, Brutusowej Porcji.

O Antoniu zaś ten sam Bassanio, opisując go swej narzeczonej Porcji, mówi co następuje:

> Najdroższy mój przyjaciel, najpoczciwszy,
> Niespracowany w uczynności człowiek,
> W którym się rzymska starożytna cnota
> Przebija bardziej, niż w kimbądź we Włoszech.

Przez te dwie, tak podobne charakterystyki, Szekspir postawił oboje bohaterów na samym szczycie życia renesansowego. O Porcji możemy się nie rozwodzić; ponieważ jest ona piękna, zyskała ona uznanie nawet bezwzględnego Heinego, który nie wahał się uznać jej za prawdziwą córę Odrodzenia; lecz w stosunku do mężczyzn złośliwy poeta-krytyk ma inną miarę. Bez względu na to, co mówi o swym Antoniu Szekspir — Heine zna go lepiej. Chcecie usłyszeć, jak on się odbija w umyśle Heinego? Oto jego wizerunek, niesłychana próba uprzedzenia i złości: „Bankrut (!) Antonio, to zwiędła dusza bez energji, bez siły nienawiści (!), a więc (!) bez siły miłości; jego serce, to mdłe serce robaka; mięso jego rzeczywiście zdatne jest tylko na przynętę dla ryb". Popełnilibyśmy najwyższą niesprawiedliwość wobec zwykłego dowcipu Heinego, gdybyśmy uważali jego wybryk, podpowiedziany mu przez chorobliwą szajlokomanję, za godny szczegółowego odparcia.

Jakiż jest stosunek Antonia do społeczeństwa renesansowego? To sprowadza się do innego pytania: jaki jest jego

stosunek do świetnego Bassania, jego najwybitniejszego przedstawiciela? Czytamy o tem uderzające swą głębokością słowa, w rozmowie owych dwóch Wenecjan, którzy tworzą jakgdyby chór naszego dramatu:

SALARINO

Byłem obecny, kiedy się Bassanio
I on żegnali; mówił mu Bassanio,
Ze wszelkich starań dołoży, ażeby
Wrócić corychlej: on zaś odrzekł na to:
Nie, mój Bassanio, nie zbywaj tej sprawy
Byle jak, przez wzgląd na mnie; niechaj ona
Dojrzeje z czasem: a ów skrypt u Żyda
Niech nie zakłóca twych troskliwych myśli.
Bądź wesół i zwróć całą swoją dążność
Ku pozyskaniu względów i zabiegom,
Jakie cię będą mogły tam zalecić.
To mówiąc, z łzami w oczach twarz odwrócił,
Chcąc ukryć swoje wzruszenie: uścisnął
Rękę Bassania, i tak się rozstali.

SOLANIO

Zdawałoby się prawie, że on żyje
Tylko dla niego.

Lecz do tego zasadniczego rysu Antonia, do jego kultu radości, wcielonej w Bassania — musimy dodać jeszcze jeden, aby go ocenić całkowicie. Ten drugi rys był poecie tak drogi, że on postanowił zaznajomić nas przedewszystkiem z nim; z nim właśnie wprowadza on Antonia zaraz przy jego pierwszem wejściu na scenę:

W istocie nie wiem, dlaczegom tak smutny
Już mam dość tego, i wy też podobno:
Lecz skąd to przyszło, jakem w ten stan popadł,
Co on ma znaczyć, z czego powstał, jest to
Dla mnie zagadką. Bądź jak bądź, takiego
Smutek ten robi ze mnie niedołęgę,
Że sam zaledwie mogę siebie poznać.

Przyjaciele usiłują wytłumaczyć ten smutek troskami, które wywołują w Antoniu jego wielkie przedsiębiorstwa handlowe; lecz on zupełnie stanowczo odrzuca to objaśnienie: „Wierzcie mi, nie dlatego". Sam on daje w końcu tłumaczenie, które nic właściwie nie tłumaczy — tłumaczenie,

powiem przy sposobności, stoickie — a mianowicie, że nasz nędzny świat jest dlań

Sceną, na której gra się jakąś rolę:
Moja jest smutną.

I tyle.

Ten smutek Antonia sprawił niemało kłopotu komentatorom Szekspira; nie sądzę, żeby oni zdołali go wytłumaczyć! Istotnie, czyż to nie dziwne: Antonio, ten wielbiciel, ten budowniczy radości Odrodzenia, tylko przez nią przywiązany do życia, Antonio jest smutny! Pod jego osłoną, jak beztroskie ptaszęta, latają i szczebiocą wszyscy ci piękni, weseli członkowie społeczeństwa renesansowego — a on jest smutny!

Zdaje mi się, że znalazłem rozwiązanie tego organicznego smutku, mrocząccego duszę budowniczego radości. Naprowadza mnie na nie inna tragedja, oddawna mi droga — „Czarodziej Merlin" Immermanna. Znajdujemy tu naszego królewskiego kupca w osobie króla Artura; on także jest opiekunem i budowniczym radości; pod jego osłoną walczą paladynowie, nagradzani za męstwo uśmiechem na ustach pięknych dam; on stworzył całą tę radosną służbę honorowi i miłości, której rycerskim symbolem stał się dla jego ludzi Okrągły Stół. Rozkwitem tej radosnej służby ma być świetny turniej, wyznaczony przezeń na Zielone Świątki — i właśnie wtedy nieprzeparty, niepojęty smutek ogarnął duszę Artura:

Śmieje się paź, śmieje się dama —
W królewskich oczach błysła łza...

Czemu ta łza? Sam Artur objaśnia ją w ten sposób:

Wśród śmiechu i wrzawy
Dręczące, okropne napadły mię zjawy:
Bo zdało mi się,
Że śmierć tu na koniu cwałuje we mgle.
Tam — Głód powrozami owinął me ciało.
Tam — władca okrutny z zatrutą swą strzałą,
Bezlitosny ów Mór —
Przeszył mnie wzrok rozpaczny i pełen wściekłości —
I rzucić się pragną złe moce ciemności,
Na damy, rycerzy, na cały, radosny mój dwór,
Bo takeśmy świetni,
Tak piękni, tak dumni i tacy szlachetni.

Zapewne i Antonio mógłby wypowiedzieć te słowa, patrząc na ów beztroski świat — Bassania, Lorenza i innych — który żył i kochał pod złotą osłoną renesansowej radości. Niegdyś i on sam weselił się swobodnie pod jej ciepłą ochroną; był to okres jego szczęśliwej młodości. Lecz młodość minęła, i on stopniowo przerósł tę złotą osłonę. A gdy on ją przerósł, ujrzał to, czego nie widzieli inni, i ten widok zamienił w smutek jego wesele. On ujrzał tego, kto gotował zagładę jemu i jego przyjaciołom, właśnie za to, że byli oni tak świetni, tak piękni, dumni i szlachetni; ujrzał wroga, nienawidzącego piękność i radość Odrodzenia — w żółtym płaszczu zawiści i brzydoty.

(Dokończenie nastąpi)

Prof. Tadeusz Zieliński.

Ze studjów nad jkonografją św. Stanisława Kostki.

Przedmiotem niniejszego studjum są trzy dzieła sztuki, będące wyrazem czci św. Stanisława Kostki. Wszystkie trzy znajdują się w Rzymie. To naprzód *Śmierć św. Stanisława,* odtworzona dłótem przez Piotra Legros Młodszego, w klasztorze oo. jezuitów przy kościele św. Andrzeja na Kwirynale, następnie *Wizja św. Stanisława,* pendzla Karola Maratty, w jednym z ołtarzy we wspomnianym kościele, wreszcie *Komunja św. Stanisława,* mały obraz namalowany przez Szymona Czechowicza do kościoła S. Stanislao dei Polacchi.

I.

W pobliżu pałacu kwirynalskiego zwraca uwagę swoją poważną, kamienną fasadą bez wież kościół św. Andrzeja, który dla odróżnienia od innych kościołów tego świętego w Rzymie, nosi nazwę S. Andrea al Quirinale. Dzieło to Wawrzyńca Berniniego, z ostatnich lat jego życia, bo z r. 1678. Dzisiejszej architektury tego kościoła nie mógł więc oglądać Stanisław Kostka, zmarł bowiem o lat zgórą sto wcześniej, dnia 15 sierpnia 1568 r., w nowicjacie mieszczącym się przeszło od roku w przyległym budynku. W celi, w której św. Stanisław Bogu ducha oddał, urządzono około r. 1700 kaplicę, jego czci poświęconą. Z tego też czasu pochodzi znajdująca się tamże rzeźba, dłóta Piotra Legros, [1]) przed-

[1]) O tym rzeźbiarzu istnieje tylko jedna, niestety powierzchowna i niekrytyczna praca pani F. Ingersoll Smouse p. t. *Pierre Le Gros II et les sculpteurs français à Rome vers la fin du XVII-e siècle,* ogłoszona w *Gazette des Beaux-Arts, 55-e année, II-e sem.* Paris 1913. pp. 203—217.

stawiająca *Śmierć św. Stanisława* (fig. 1, 6, 7). Kilka chwil, spędzonych w tem zacisznem nastrojowem oratorjum, pozostaje na zawsze w pamięci.

Na niskim tapczanie, nakrytym kutą w marmurze draperją, leży dogorywający Stanisław Kostka. Układ postaci jest swobodny. Św. Stanisław ubrany w jezuicką suknię zakonną, z pod której wysuwają się bose stopy, leży na prawym boku. Nogi nieco zgięte w kolanach. Głowa spoczywa na dwóch poduszkach. W prawej ręce Święty trzyma krucyfiks, lilję i różaniec, w lewej medaljon z Madonną. Materjałem rzeźby, mającej wielkość naturalną, są różnobarwne marmury: głowa, ręce, stopy, poduszki, oraz Chrystus na krzyżu, który Święty trzyma w prawej ręce — z białego marmuru kararyjskiego, suknia zakonna i krzyż, na którym przybity Chrystus — z czarnego marmuru *(nero antico)*, siennik — z marmuru żółtego z czarnemi żyłkami *(giallo di Siena)*, draperja na tapczanie — z marmuru różowego w białe i czarne prążki, podstawka pod tapczanem — z marmuru zielonego w czarne i białe plamy, stopień — z marmuru brudno-żółtego z grubemi białemi żyłami. Dwa nagie putti z drzewa złoconego, stojące u wezgłowia po obydwóch stronach i trzymające bukiety ze sztucznych kwiatów, mają — podług informacji zasięgniętej na miejscu w klasztorze — pochodzić z XVIII w. Balustrada, którą otoczono rzeźbę, jest mosiężna; zastąpiła ona dawniejszą srebrną balustradę.[1])

Gorącem pragnieniem młodziutkiego Stanisława Kostki

Drobne wzmianki o Piotrze Legros, rozrzucone w różnych pracach o baroku, cytuję w odpowiednich miejscach, o ile na uwzględnienie zasługiwały. Najważniejsze wiadomości biograficzne, zaczerpnięte głównie ze źródeł archiwalnych, oraz względnie wyczerpujący wykaz rzeźb tego artysty podaje L. Courajod, *Leçons professées à l'Ecole du Louvre III.* Paris 1903. pp. 166—170. Specjalnie do Legros są to tylko notatki wykładowe, a nie opracowanie. — Dokładna data wykonania rzeźby Śmierć św. Stanisława nie jest znana. W każdym razie dzieło to powstało między 1695 a 1715 rokiem, albowiem Legros dopiero w 1695 r. zaczyna otrzymywać w Rzymie zamówienia, a na wiosnę 1715 r. wraca już na stałe do Paryża. Cf. L. Courajod, o. c. p. 168.

[1]) P. I. C., *Le camere e le tombe dei Santi della Compania di Gesù.* Prato 1904. p. 68. Opisy rzeźby różnią się między sobą na punkcie barw marmurów. Znam wprawdzie z autopsji rzeźbę Legros, nie pamiętając jednak szczegółów, zwróciłem się do p. Józefa hr. Michałowskiego,

było najrychlejsze połączenie się z Bogiem i z Najśw. Marją Panną, którą uwielbiał i matką swoją nazywał. Egzorta, wygłoszona dnia 1 sierpnia 1568 r. przez Piotra Kanizjusza do nowicjuszów w klasztorze przy kościele św. Andrzeja na Kwirynale, w którym Stanisław Kostka podówczas przebywał, nasunęła mu myśl o niebawem mającej nastąpić śmierci. Myśl ta nie opuszczała go od tej chwili. Marzeniem jego było umrzeć w dzień Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny, więc 15 sierpnia. Tradycja mówi, że Stanisław Kostka napisał list do Matki Boskiej, w którym błagał Ją, by go zabrała z tego świata w święto swojego Wniebowzięcia. Marja wysłuchała jego modłów. Wieczorem dnia 9 sierpnia wystąpiła gorączka. Św. Stanisław oświadczył braciom zakonnym, że umrze za kilka dni — w święto Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny. Popołudniu dn. 14 sierpnia choroba nagle się zaostrzyła; wystąpiły omdlenia. Czując zbliżającą się agonję, Stanisław zaczął całować obrazek Matki Boskiej, do rąk wziął różaniec. Ojcowie, otoczywszy łoże umierającego, odmawiali przepisane modlitwy, których słowa św. Stanisław powtarzał z przejęciem, trzymając w ręku krucyfiks. Pokorą wiedziony prosił usilnie, aby mu pozwolono umrzeć na podłodze. Życzeniu jego stało się zadość. Na podłodze rozścielono siennik i położono na nim konającego. Na chwilę przed śmiercią Stanisław zwierzył się zakonnikom, że widzi Najśw. Marję Pannę w towarzystwie świętych Dziewic, które przyszły go zabrać. O świcie dnia 15 sierpnia 1568 r., a więc w święto Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny, nastąpił zgon, tak cichy, spokojny, iż nikt z obecnych nie zauważył, że dusza Świętego już się z ciałem rozstała. [1])

Jak z tego widać Legros znał szczegóły zgonu św. Stanisława bądź z biografij, bądź z opowiadania jezuitów i uwzględnił je w miarę możności. Niewątpliwie on, a nie kto inny, jest twórcą tej rzeźby: mówi nam o tem jej styl,

---

dyrektora Bibljoteki Polskiej Akademji Umiejętności w Rzymie, z prośbą o łaskawe udzielenie mi dokładnego opisu barw marmurów. Na podstawie informacyj, otrzymanych od p. hr. Michałowskiego, podałem powyższy opis, a na tem miejscu składam Mu najgorętsze podziękowanie.

[1]) Ks. H. Koszutski, *Św. Stanisław Kostka I.* Poznań 1882. pp. 212—228.

istnieje także wiadomość, wprawdzie późniejsza, o autorstwie Piotra Legros w Lalande'a *Voyage d'un Français en Italie 1765—1766.*[1])

Piotr Legros Młodszy, syn rzeźbiarza tego samego imienia, urodzony w 1666 r., przybył 28 czerwca 1690 r. do Rzymu jako stypendysta rządu francuskiego w celu dalszego kształcenia się w rzeźbie.[2]) Były to już wprawdzie czasy, w których Francja zaczynała obejmować hegemonję w dziedzinie sztuki, a Paryż stawał się środowiskiem artystycznem o światowem znaczeniu, mającem aż po dziś dzień przyciągać artystów różnej narodowości, ale mimo to rola Rzymu nie była jeszcze skończona. Tradycje artystyczne, sięgające pontyfikatów Juljusza II, Leona X, Pawła III i Juljusza III, tych wielkich humanistów na tronie papieskim i schodząca się z ich panowaniem działalność Bramantego, Rafaela i Michała Anioła, a jeżeli idzie o barok, rozgłos artystów tej miary, jak Bernini i Borromini, którzy dodawali blasku pontyfikatowi Urbana VIII Barberiniego — zbyt jeszcze były żywe i silne, by Paryż Ludwika XIV był w stanie podciąć je w zupełności. Długo jeszcze, nawet przez cały wiek XVIII, do Rzymu jeździć będą artyści w celu uzupełniania swoich studjów.

Ten subjektywny kierunek w sztuce włoskiej XVII w., rzymskiej zwłaszcza, który mając za podłoże spotęgowane w epoce kontrreformacji — głównie za sprawą jezuitów — uczucie religijne i bujną, podnieconą wyobraźnię, przejawił się niepokojem form, malowniczością i często teatralnemi nawet efektami — nie znalazł uznania we Francji. Najlepszym wyrazem wspomnianego kierunku w rzeźbie są dzieła Berniniego, stojące na pograniczu malarstwa, a w architekturze odpowiadające im kościoły Borrominiego o skomplikowanych rzutach poziomych i wyginających się we wszystkich kierunkach płaszczyznach, ułatwiających grę światła i cienia, nieodłącznego warunku malowniczości i o niespokojnych fasadach, w których nie ostała się żadna linja prosta, czego przykładem choćby tylko S. Carlino alle Quatro

[1]) L. Courajod, *Leçons professées à l'Ecole du Louvre III.* Paris 1903. p. 166.

[2]) Ibidem, p. 166.

Fontane.[1]) W sztuce francuskiej za panowania Ludwika XIV intelekt walczy z uczuciem. Charakterystyczną cechą umysłowości francuskiej, tak dziś, jak i podówczas, jest dążność do wszystkiego co jasne, proste i konkretne. W sztuce odpowiadają tej tendencji kształty zwarte, wyraźnie ograniczone, logika i konsekwencja form. Przedewszystkiem *raison.* Malowniczy barok rzymski o formach płynnych i nieuchwytnych nie znalazł podatnego gruntu w takich warunkach. Przenikał co prawda tu i ówdzie do sztuki francuskiej, ale ulegał tam pewnemu uproszczeniu i uspokojeniu. W związku z tym stanem rzeczy zaznacza się we Francji ówczesnej silniejsze klasycyzowanie niż gdzieindziej. Chłodniejszą też naogół jest sztuka francuska za Ludwika XIV niż ówczesna włoska. Widać to już choćby tylko po posągach zdobiących park wersalski, które wyszły z pod dłóta Piotra Legros Starszego, Regnaudin'a, Tuby'ego, Coyzevox'a, braci Marsy i innych. Z bronzu lane alegorje rzek, które w spokojnych i na elegancję linij obliczonych pozach leżą na niskich krawężnikach sadzawek, mają swoich protoplastów w alegorjach rzymskich. Wśród wazonów z marmuru, bronzu czy ołowiu złoconego, ustawionych na terasach i wzdłuż Alei królewskiej, daje się zauważyć w kształtach i motywach zdobniczych tak silna zależność od waz greckich, że na pierwszy rzut oka możnaby je wziąć za dzieła z czasów Ludwika XVI, więc z epoki pseudoklasycyzmu.[2]) W takiem to środowisku wykształcony Legros Młodszy przybył w r. 1690 do Rzymu, do Akademji francuskiej. W pięć lat później zwrócił już widocznie na siebie uwagę w Rzymie, skoro od r. 1695 zaczął otrzymywać zamówienia, które też stały się powodem zamknięcia mu pensji przez Ludwika XIV i opuszczenia Akademji.[3])

Pierwszem większem zamówieniem, jakie Legros otrzymał w 1695 roku, była grupa z białego marmuru na temat

---

[1]) Reprod. C. Ricci, *Baukunst und dekorative Skulptur der Barockzeit in Italien. Bauformen-Bibliothek V.* Stuttgart 1922. p. 14.

[2]) Cf. reprod. E. Baldus, *Palais de Versailles.* Paris 1876. G. Geffroy, *Versailles.* Paris. P. de Nolhac, *Les jardins de Versailles.* Paris 1913.

[3]) L. Courajod, *Leçons professées à l'Ecole du Louvre III.* Paris 1903. p. 168.

La Religione che fulmina l'Eresia, [1]) jako pendent do grupy *La Fede adorata dai più barbari popoli,* którą powierzono drugiemu stypendyście francuskiemu, Théodon'owi. [2]) Wielkie te grupy ustawiono po obydwóch stronach wspaniałego, przez jezuitę Andrzeja Pozzo zaprojektowanego ołtarza św. Ignacego Loyoli w jezuickim kościele Gesù w Rzymie. [3]) Legros wykonał również srebrny posąg św. Ignacego w tymże ołtarzu, to jednak dzieło nie zachowało się; dzisiejsza statua z miedzi posrebrzanej jest tylko naśladownictwem oryginału. [4]) Wspomniana grupa *Religji ciskającej gromy na Herezję* jest kreacją w duchu rzymskiego baroku z czasu, w którym wpływ Berniniego, zmarłego w 1680 r., zataczał już coraz szersze kręgi. Dzieło to rozważane bez związku z architekturą ołtarza i przestrzenią, do której było komponowane, okazałoby się czczem i pustem. Patetyczne pozy i ruchy, teatralne ugrupowanie figur i ich wzajemne, na efekt obliczone relacje, wreszcie daremne wysiłki uzyskania silnego dramatycznego napięcia, wywoływałyby niesmak, gdyby nie to, że zadaniem tej, raczej dekoracyjnej grupy o bardzo żywej, ruchliwej sylwecie jest współdziałanie pod względem formalnym i ideowym z ołtarzem założyciela zakonu jezuitów, Ignacego Loyoli, którego synowie duchowi prowadzili walkę z różnowierstwem i szerzyli wiarę wśród pogan. Tę drugą stronę działalności jezuitów alegoryzował Théodon.

Jezuici popierają w dalszym ciągu naszego artystę. Około roku 1700 zamawiają u niego do jednego z ołtarzy w kościele św. Ignacego w Rzymie, wielką płaskorzeźbę z białego marmuru, przedstawiającą Apoteozę św. Alojzego Gonzagi. [5]) Jeden to z licznych reljefów, jakie w tym czasie

---

[1]) L. Courajod, *Leçons professées à l'Ecole du Louvre III.* Paris 1903. p. 168; reprod. F. Ingersoll Smouse, *Pierre Le Gros II et les sculpteurs français à Rome vers la fin du XVII-e siècle. Gazette des Beaux-Arts, 55-e année, II-e sem.* Paris 1913. p. 205.

[2]) A. E. Brinckmann, *Barockskulptur. Handbuch der Kunstwissenschaft.* Berlin-Neubabelsberg 1917. p. 271.

[3]) K. Escher, *Barock und Klassizismus.* Leipzig 1910. tabl. X a.

[4]) J. Burckhardt, *Der Cicerone II, 2.* (10 ed.) Leipzig 1909. p. 608.

[5]) F. Ingersoll Smouse, o. c. p. 212 i reprod. p. 213.

wstawiano w ołtarze zamiast obrazów olejnych. Malowniczość tych kompozycyj, których treścią są głównie wizje, ekstazy i męczeństwa świętych, świadczy, jak dalece po Berninim i za jego sprawą stały się płynnemi granice między rzeźbą a malarstwem. Bernini, przyjaciel generała jezuitów Jana Pawła Olivy, należał również do tych artystów, których działalność związała się do pewnego stopnia z potężnym zakonem jezuickim. Dla jezuitów wybudował on kościół św. Andrzeja na Kwirynale, od tego jednak ważniejszym ze względu na jego twórczość artystyczną jest fakt, że przejął się duchem, panującym w tym zakonie. Po czterdziestym roku swojego życia Bernini stał się bardzo nabożnym, odprawiał *Ćwiczenia duchowne* Loyoli i w praktyce stosował zawarte w nich rady, znane mu również były pisma mistyków średniowiecznych. Religijność Berniniego miała odcień mistyczny, tak zresztą znamienny dla ówczesnego życia religijnego.[1]) By móc należycie ocenić Śmierć św. Stanisława dłóta Piotra Legros, trzeba wziąć pod uwagę zakres ideowy sztuki kościelnej w epoce baroku. Najwięcej pouczające, także i przez wpływ, jaki wywarły, są w tym wypadku dwa dzieła Berniniego, Ekstaza św. Teresy i Śmierć bł. Ludwiki Albertone, jako doskonały wyraz głównego prądu duchowego oraz artystycznych aspiracyj barokowej sztuki kościelnej, której od wielkiego ruchu kontrreformacyjnego oderwać nie można.

Ekstaza św. Teresy karmelitanki w kościele S. Maria della Vittoria w Rzymie — to punkt kulminacyjny w twórczości Berniniego (fig. 2, 3). Z białego marmuru wykuta grupa, z lat 1644—1647, unosi się na obłokach w niszy różnobarwnemi marmurami wyłożonej, która zajmuje środek ołtarza. Z góry pada na nią złociste światło przez żółte szyby okienka, ukrytego za wygiętym gzymsem ołtarza. Bernini wybrał moment, w którym św. Teresa na widok anioła osunęła się na obłoki, tracąc przytomność. Lewa ręka i noga obwisły bezwładnie, głowa przegięła się w tył, palce prawej

---

[1]) W. Weibel, *Jesuitismus und Barockskulptur in Rom.* Strassburg 1909. pp. 7—8. Cf. A. E. Brinckmann, *Barockskulptur. Handbuch der Kunstwissenschaft.* Berlin-Neubabelsberg 1917. p. 243.

Fot. Sciamanna.

1. Piotr Legros Młodszy. Śmierć św. Stanisława Kostki. Rzym, klasztor przy kościele S. Andrea al Quirinale.

Fot. Anaerson.

2. Lorenzo Bernini. Ekstaza św. Teresy.
Rzym, kościół S. Maria della Vittoria.

3. Lorenzo Bernini. Ekstaza św. Teresy. Rzym, kościół S. Maria della Vittoria.
(Podług W. Weibla, *Jesuitismus und Barockskulptur in Rom.*)

Fot. Anderson.

4. Lorenzo Bernini. Śmierć bł. Ludwiki Albertone. — Rzym, kościół S. Francesco a Ripa.

Fot. Anderson.

5. Lorenzo Bernini Śmierć bł. Ludwiki Albertone. — Rzym, kościół S. Francesco a Ripa.

Fot. Alinari.

6. Piotr Legros Młodszy. Śmierć św. Stanisława Kostki. — Rzym, klasztor przy kościele S. Andrea al Quirinale.

Fot. Alinari.

7. Piotr Legros Młodszy. Śmierć św. Stanisława Kostki.
Rzym, klasztor przy kościele S. Andrea al Quirinale.

8. Carlo Maratta. Wizja św. Stanisława Kostki.
Rzym, kościół S. Andrea al Quirinale.

ręki zaciskają się kurczowo. Powieki przymknięte, skrzydełka nosowe z lekka drgają. Z ust nawpół otwartych zdaje się wydobywać jęk. W całej postaci, pozie i wyrazie twarzy, znać fizyczne i psychiczne wyczerpanie do ostatnich granic. Przed św. Teresą stoi młodziutki anioł, który włócznię z płonącym grotem kieruje w jej serce. Na ustach jego uśmiech zadowolenia.

Nie pierwsza to ekstaza w sztuce. Bernini miał już pod tym względem poprzednika choćby tylko w Sodomie, twórcy głęboko wzruszającej Ekstazy św. Katarzyny Sienejskiej (1525) w kościele św. Dominika w Sienie,[1]) a nawet — jeżeli idzie o same początki tego rodzaju wyobrażeń — w Rafaelu, w jego św. Cecylji (1514—1515, Pinakoteka w Bolonji[2]). Ekstaza św. Teresy zyskała jednak największy rozgłos, jako najlepszy plastyczny wyraz mistyczno-ekstatycznego kierunku, który był jednym z najbardziej znamiennych objawów życia religijnego w epoce kontrreformacji.[3]) Bernini odtworzył ekstazę św. Teresy do najdrobniejszego szczegółu wiernie podług jej własnego opisu: „...na takie wysokie nadprzyrodzone cierpienie, nie masz na tej ziemi lekarstwa! wszelkie środki ziemskie za niskie są, aby go mogły dosięgnąć. To jedno tylko ból duszy nieco uśmierza, i niejaką jej ulgę przynosi, gdy modlitwą zwróci się do Boga i błaga Go o lekarstwo na swoje cierpienie, a innego nie widzi żadnego, jedno śmierć, bo wie, że przez nią tylko dostąpi zupełnego posiadania dobra swego. Niekiedy ból do takiej gwałtowności się wzmaga, że już i modlitwa, i wszelka jakabądź czynność staje się niemożliwą; wszystko ciało kurczowo się ściąga, ręce i nogi tracą wszelką władzę, stojący już ustać nie może i pada jak martwy; oddech nawet ustaje, i z piersi tylko dobywają się jęki, słabe na pozór, bo głos zamiera, ale wewnętrznie bardzo silne, od bólu, który się niemi objawia".

[1]) W. Weisbach, *Der Barock als Kunst der Gegenreformation.* Berlin 1921. fig. 27 i 28.

[2]) G. Gronau, *Raffael. Klassiker der Kunst I.* Stuttgart und Berlin 1922. p. 117.

[3]) L. v. Pastor, *Teresa de Jesús und die Reform des Karmeliterordens* w *Charakterbilder katholischer Reformatoren des XVI Jahrhunderts.* Freiburg im Br. 1924. pp. 60—61.

„W tym stanie będąc, z łaski Pana miałam kilka razy takie widzenie: widziałam anioła, stojącego tuż przy mnie, z lewego boku, w postaci cielesnej. W taki sposób nigdy nie widuję aniołów, chyba bardzo rzadkim wyjątkiem. Choć często mi się ukazują, nigdy przecie nie widzę ich inaczej, jedno owym pierwszym rodzajem widzenia, o którym mówiłam, to jest widzeniem zgoła wewnętrznem, umysłowem. W tem widzeniu jednak tak się spodobało Panu, że anioł mi się zjawił w postaci widomej. Nie był wysokiego wzrostu, mały raczej, a bardzo piękny; z twarzy jego, niebieskim zapałem płonącej, znać było, że należy do najwyższego rzędu aniołów, całkiem jakoby w ogień przemienionych. Musiał być z rzędu tych, których zowią cherubinami, bo nazwiska swego żaden mi nie wymienia. Ale to widzę jasno, że taka jest w niebie różnica między jednymi aniołami a drugimi, i tymi znowu a innymi, że jej i wyrazić nie zdołam. Ujrzałam w ręku tego anioła długą włócznię złotą, a grot jej żelazny u samego końca był jakoby z ognia. Tą włócznią, zdało mi się, kilkoma nawrotami serce mi przebijał, zagłębiając ją aż do wnętrzności; za każdem wyciągnieniem włóczni, miałam to uczucie, jakby wraz z nią wnętrzności mi wyciągał; tak mię pozostawił całą gorejącą wielkim zapałem miłości Bożej. Tak wielki był ból tego przebicia, że wyrywał mi z piersi one jęki, o których wyżej wspomniałam; ale taką zarazem przewyższającą wszelki wyraz słodkość sprawuje mi to niewypowiedziane męczeństwo, że najmniejszego nie czuję w sobie pragnienia, by ono się skończyło, i w niczem innem dusza moja nie znajduje zadowolenia, jedno w Bogu samym. Nie jest to ból cielesny, ale duchowy, chociaż i ciało niejaki, owszem nawet znaczny ma w nim udział; ale taka mu towarzyszy słodka, między duszą a Bogiem wymiana oznak miłości, że jej opisać nie zdołam, tylko Boga proszę, aby w dobroci swojej dał zakosztować jej każdemu, ktoby mnie nie wierzył". [1])

Zadziwiającą w utworze Berniniego, a tylko w arcydziełach spotykaną, jest nadzwyczajna zgodność strony du-

[1]) *Księga Zmiłowań Pańskich czyli Życie św. Teresy napisane przez nią samą. Pisma św. Teresy I.* Przekład biskupa H. P. Kossowskiego Warszawa 1898. pp. 252—253.

chowej z formalną, zadziwiającą harmonja między najsilniejszem napięciem duchowem, rozkoszą duchową, będącą następstwem bezgranicznego ukochania Chrystusa i pragnienia zjednoczenia się z Nim już za życia, a wyrazem twarzy, ruchem jej mięśni, zarysem nawpół otwartych ust, przysłonięciem oczu powiekami, wreszcie całym układem ciała, które już wypowiada posłuszeństwo woli. Moment to najwyższego szczęścia duchowego, zobjektywizowany z fizjologiczną ścisłością. Tu, mojem zdaniem, tkwi od lat stu zgórą trwające nieporozumienie na punkcie interpretacji tego przepysznego dzieła. Ja nie widzę zmysłowości w ujęciu tej wizji, nie widzę tu „miłości ziemskiej" wbrew Stendhalowi, [1]) Taine'owi, [2]) Burckhardtowi, [3]) Weisbachowi, [4]) Brinckmannowi, [5]) i wielu innym, w mniejszej zaś mierze wbrew Weiblowi, [6]) którego sąd jest zresztą trochę chwiejny. Na twarzy św. Teresy wyraża się bezgraniczne upojenie duchowe, nie mające nic wspólnego ze zmysłowością, nie wolne jednak od bólu fizycznego. Sama Święta wyznaje, że i ciało jej w tym momencie bezgranicznego szczęścia do pewnego stopnia współdziałało, a z ust jej wydobywały się jęki. Św. Teresa dała więc Berniniemu w swoich szczerych wyznaniach całą treść duchową, cały zewnętrzny i wewnętrzny przebieg swojej wizji i ekstazy, a zadaniem artysty było dać odpowiednią formę tej prześlicznej, do głębi wzruszającej treści. Formę tę Bernini znalazł, a że wielki artysta w tem dziele wzniósł się o wiele wyżej niż we wszystkich swoich innych utworach, że przeszedł — rzec można — sam siebie, że wreszcie mógł to dzieło, i słusznie, uważać pod koniec życia za najlepsze, jakie stworzył, to zawdzięczał św. Teresie, jej głębokiej wierze, bezgranicznemu umiłowaniu Chrystusa i jej wielkiemu

[1]) M. de Stendhal, *Promenades dans Rome I.* Paris 1829. pp. 366—367.

[2]) H. Taine, *Voyage en Italie I.* Paris 1893. p. 298.

[3]) J. Burckhardt, *Der Cicerone II, 2.* (10 ed.) Leipzig 1909. p. 617.

[4]) W. Weisbach, *Der Barock als Kunst der Gegenreformation.* Berlin 1921. pp. 135—136.

[5]) A. E. Brinckmann, *Barockskulptur. Handbuch der Kunstwissenschaft.* Berlin-Neubabelsberg 1917. pp. 241—243.

[6]) W. Weibel, *Jesuitismus und Barockskulptur in Rom.* Strassburg 1909. pp. 83—92.

poetyckiemu uzdolnieniu. Mistrz formy i wirtuoz techniki, sam podówczas bardzo nabożny, zeszedł się tu z żarem uczucia religijnego hiszpańskiej ascetki a zarazem poetki. Współautorką tego dzieła jest niewątpliwie św. Teresa.

Święta pragnie umrzeć, by na wieki połączyć się z Chrystusem, dusza jej pragnie wyrwać się z więzów ciała, dlatego Święta cierpi:

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę,
Bo takie światy widzę tam, przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żałobą,
I tem umieram — że umrzeć nie mogę. [1])

Przepiękna to w poemacie Krasińskiego parafraza własnych słów św. Teresy:

Vivo sen vivir en mi
Y tan alta vida espero,
Que muero, porque no muero.

Tylko pozornie bliską śmierci jest omdlewająca w ekstazie św. Teresa, bliższą natomiast uwolnienia się z więzów ciała jest dusza Ludwiki Albertone. (fig. 4, 5) Bernini w kościele S. Francesco a Ripa w Rzymie odtworzył agonję błogosławionej Ludwiki (1675). Leżąca postać błogosławionej wykuta jest z białego marmuru. Głowa jej, w tył podana, spoczywa na poduszce. Ludwika Albertone przyciska ręce do piersi, na twarzy wyraża się ból, ale zarazem błogi zachwyt, gdyż dusza jednoczy się z Bogiem. Mimo podobieństwa wyrazu twarzy i zbliżonego stanu duchowego, nastrój tego dzieła nie jest tak silny, jak Ekstazy św. Teresy. W układzie postaci i w wyrazie twarzy niema już tej przedziwnie wysubtelnionej zgodności przeżycia mistycznego z formą zewnętrzną i fizjologicznej ścisłości w tym stopniu, jak w Ekstazie św. Teresy, opartej na jej własnem wyznaniu. Nieco to już płytsze ujęcie tematu, pewna afektacja widoczna. Bernini rzeźbiąc śmierć Ludwiki Albertone liczył już lat 77, nadto nie mógł on tym razem oprzeć się na równie poetycznem źródle literackiem. To dzieło mogło powstać tylko po Ekstazie św. Teresy, jako jej odblask, a nie ją poprzedzić.

[1]) *Ułamek naśladowany z głozy św. Teresy.* Pisma Zygmunta Krasińskiego. VI. Wydanie jubileuszowe. Kraków-Warszawa 1912. p. 252.

W rzeźbie i malarstwie epoki baroku ulubionym tematem, który tak ściśle wiązał się z mistycznem podłożem tych czasów, było odtwarzanie śmierci świętych. Wszak oni pragnęli jak najrychlej porzucić świat doczesny, który dla nich nie miał wartości i połączyć się z Bogiem na wieki, a gdy ta chwila się zbliżała, oblicza ich promieniały radością i upojeniem. Ileż to stanów duchowych i jak różnorodnych miał sposobność odtworzyć w takiem wizyjno-ekstatycznem dziele artysta silną intuicją obdarzony. Jednym z przykładów szczególniejszego umiłowania tego tematu jest Śmierć św. Stanisława, dłóta Legros (około r. 1700).

Wystarczy spojrzeć na Śmierć bł. Ludwiki Albertone (fig. 4, 5) i Śmierć św. Stanisława Kostki (fig. 6, 7), by zauważyć bynajmniej nie przypadkowy związek między temi tematowo identycznemi dziełami. Legros był najwyraźniej pod wpływem Śmierci Ludwiki Albertone, dłóta Berniniego, co zresztą już podniesiono,[1]) mojem jednak zdaniem wpływ ten dotyczy tylko strony zewnętrznej, jak układu postaci, posłania, na którem spoczywa, zastosowania różnobarwnych marmurów, dalej opracowania draperyj, wreszcie naturalistycznego odtworzenia akcesorjów. Z tem wszystkiem inny jest wyraz głowy św. Stanisława, inne ujęcie ekstazy. Legros wystrzegał się tym razem patosu i silniejszych akcentów dramatycznych. Stanisław Kostka nie cierpi fizycznie ani moralnie; oczy utkwił w oblicze Chrystusa, za chwilę przeniesie je na medaljon Madonny, który trzyma w drugiej ręce. Upragnionej śmierci, mającej wprowadzić go do krainy wiecznego szczęścia, wyczekuje z ufnością i spokojem. Cicha, spokojna ekstaza św. Stanisława jakże różni się od dramatycznych ekstaz św. Teresy i bł. Ludwiki Albertone w koncepcji Berniniego. Legros nie odstąpił od tradycji, mówiącej o zgonie tak dalece spokojnym, że zakonnicy, którzy otaczali konającego, nawet nie zauważyli, że Stanisław Kostka już nie żyje. „Tak snadnie i mile — jak pisze Skarga — ona dusza szczęśliwa z ciała, które zawżdy mu jako wierny

[1]) F. Ingersoll Smouse, *Pierre Le Gros II et les sculpteurs français à Rome vers la fin du XVII-e siècle. Gazette des Beaux-Arts, 55-e année, II-e sem.* Paris 1913. p. 213.

towarzysz usługowało, wychodziła, iż żywa barwa na twarzy, i w oczach jasność zostawała; drudzy zaś mniemali, aby jeszcze żywym był. I trwała na twarzy ona piękność miluchna, jakoby się pomału i wdzięcznie uśmiechał". [1]) Śmierć więc była taka, jakiem było życie tego łagodnego, przez wszystkich uwielbianego Młodzieniaszka, którego główki nie możemy sobie wyobrazić bez tej słodyczy, tego wdzięku kobiecego i uroku niewinności, których jej Legros nie szczędził. Legros dzięki temu, że się zastosował do opisów śmierci, przekazanych przez biografów na podstawie zeznań świadków, a zakomunikowanych mu niewątpliwie przez oo. jezuitów, ustrzegł się szablonu, cechującego naogół ekstazy, które nam sztuka barokowa w wielkiej ilości pozostawiła. Zawracanie oczyma do nieba, tak, że prawie tylko białka widać — niemieccy uczeni określają to słowem *himmeln* — a nadto ręka na sercu lub obydwie ręce ku niebu wzniesione, to — z wyjątkiem głębszych, niekiedy nawet bardzo przejmujących hiszpańskich tej treści utworów — czysto zewnętrzne, niejako umówione znaki stanów ekstatycznych, nie mogące zastąpić braku silnych subjektywnych przeżyć mistycznych, słowem — wewnętrznej pustki. Głównym winowajcą jest Guido Reni (1575—1642), on to spopularyzował motyw zawracania oczami do nieba, zyskując w nowszych czasach u jednych uznanie, u drugich wywołując niesmak. [2])

Ale i przy takiem zgodnem z przekazanemi nam wiadomościami odtworzeniu zgonu św. Stanisława i towarzyszącej mu ekstazy, przecież można było z tej główki wydobyć więcej wyrazu i głębi duchowej. Proporcje figury są bez zarzutu, rysunek — rąk i nóg zwłaszcza — czysty i pewny, draperje schematyczne, kształtowane pod wpływem Berniniego, jednak bez właściwego mu śmiałego cięcia i szerokiego modelunku.

Nad rzeźbą, tuż za głową św. Stanisława, umieszczono

---

[1]) Ks. P. Skarga, *Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu II.* Wiedeń 1843. p. 453.

[2]) W. Weisbach, *Der Barock als Kunst der Gegenreformation.* Berlin 1921. p. 132.

wielki, olejno na płótnie przez Tomasza Minardi'ego [1]) w XIX w. malowany obraz, którego treścią jest Objawienie się konającemu św. Stanisławowi Najśw. Marji Panny w otoczeniu świętych Dziewic i aniołów (fig. 1). Malowidło to ma się wiązać z rzeźbą pod względem ideowym i kompozycyjnym, słowem, tworzyć z nią jedną, nierozerwalną całość. Biografowie św. Stanisława opowiadają, że na chwilę przed śmiercią zwierzył się on otaczającym go zakonnikom, iż widzi Matkę Najświętszą z orszakiem świętych Dziewic, które przyszły go zabrać do nieba. [2]) Przyjęto właśnie ten moment przedśmiertnej ekstazy św. Stanisława. Niebo się otwarło. W powodzi światła aniołowie znoszą Madonnę ku św. Stanisławowi. Mnóstwo aniołków lata dokoła Niej w rozświetlonych obłokach. Marja wyciąga ku konającemu Stanisławowi ręce, by go zabrać do nieba. Ta grupa przypada najdalej od Świętego, który właśnie w tym kierunku ma pochyloną głowę. Między Świętym a Marją unoszą się na obłokach trzy święte Dziewice, Agnieszka z barankiem na rękach, Cecylja grająca na arfie i Dorota, która z kosza trzymanego przez pacholę wyjmuje kwiaty i rzuca je na św. Stanisława. Kilka kwiatów padło tuż koło jego głowy.

---

[1]) Wiadomość, że Minardi jest twórcą tego malowidła, podają: Ks. W. Smoczyński, *Rzym, jego kościoły i pomniki.* Kraków 1877. p. 163 i Ks. H. Koszutski, *Św. Stanisław Kostka II.* Poznań 1882. p. 275, a nadto — jak mnie informuje p. Józef hr. Michałowski — L. Callari, *Storia dell' arte contemporanea italiana.* Roma 1909. p. 170. Tomasz Minardi (1787—1871), prof. Akademji św. Łukasza w Rzymie, reprezentował kierunek polegający na zwrocie do starych mistrzów. (Cf. H. W. Singer, *Allgemeines Künstler-Lexicon III.* Frankfurt a. Main 1898. p. 212). Tem mogłoby się tłumaczyć dostosowanie malowidła do stylu epoki, w której pracował Legros. Natomiast Ks. I. Polkowski, *Groby i pamiątki polskie w Rzymie.* Drezno 1870. p. 8 wymienia, nie cytując źródła. Józefa Chiari'ego jako autora tego obrazu. Józef Chiari, urodzony w Rzymie w 1654 r. i zmarły tamże w r. 1727, a więc współczesny Piotrowi Legros, był uczniem Karola Maratty. (Cf. H. W. Singer, o. c. I. Frankfurt a. M. 1895. p. 254). Jedynie zbadanie oryginału mogłoby rozstrzygnąć wątpliwości co do autorstwa tego, zresztą nie pierwszorzędnego dzieła sztuki, to też jestem zmuszony ograniczyć się do zaznaczenia tej sprzeczności.

[2]) Ks. H. Koszutski, o. c. I. pp. 226—227.

Rzeźby ustawionej na tem samem miejscu, na którem zmarł Stanisław Kostka, nie można było, z tego właśnie powodu, przesunąć na środkową oś ściany, przeto Minardi kompozycję obrazu musiał rozwinąć w kierunku, w którym św. Stanisław pochylił głowę. Było to nawet korzystne, gdyż dzięki temu Madonna zbliża się z boku ku konającemu i wyciąga ku niemu ręce, nie schodząc przytem z pierwszego planu. Ustawienie figur na przekątni ułatwiło Minardi'emu uzyskanie malowniczości całej tej kompozycji, to jest obrazu łącznie z rzeźbą. Madonna z orszakiem świętych Dziewic tworzy łącznik między Świętym a otwartem niebem, z którego spływa światło. Za chwilę Stanisław Kostka wejdzie w tę krainę wiecznej światłości.

(Dokończenie nastąpi)

Juljan Pagaczewski.

Francja a Polska[1])

w latach 1674—1683.

Francję z Polską łączyły dwa silne czynniki: jeden polityczny, oparty na żywym antagoniźmie francusko-niemieckim i niemiecko-polskim, a drugi kulturalny, znajdujący swój wyraz w bliskiem pokrewieństwie dziejowej roli Polski a Francji. Jeśli Francja była krzewicielką kultury chrześcijańskiej w Europie i prawdziwym jej misjonarzem, to znowu Polska była rzeczywistą jej obronicielką, walecznym jej rycerzem chrześcijańskim, który z poświęceniem bronił tej kultury, zawsze z powodzeniem, najpierw przed nawałą tatarską, później turecką.

W niniejszym szkicu chodzi mi o podkreślenie czynnika politycznego.

Pierwsze zbliżenie Francji do Polski dokonało się w pierwszej połowie XVI stulecia (1524 r.), kiedyto Franciszek I szukał pomocy u naszego Zygmunta I w wojnie przeciw Karolowi V. Atoli intrygi cesarza rzymskiego i króla hiszpańskiego w Moskwie i Królewcu zmusiły Zygmunta do zmiany dotychczasowej swej francuskiej polityki na korzyść Habsburgów. Odtąd idzie już Polska stale za rydwanem polityki niemieckiej, za sprawą Wazów i Jezuitów, którzy w katolickich Habsburgach widzieli rękojmę obrony i religji i gra-

[1]) Umieszczając z przyjemnością ten wysoce interesujący artykuł, czujemy się jednak w obowiązku zauważyć, że naszem zdaniem w przedstawieniu Sz. Autora koło postaci Jana III trochę za silne nagromadziły się cienie. Być może, że przy uwzględnieniu całokształtu pozycji i psychologicznych możliwości nieszczęśliwego króla, decyzje jego z tych smutnych lat stanęłyby w nieco jaśniejszem świetle. *Redakcja.*

nic Rzeczypospolitej przed rosnącą potęgą turecką. Stanowczy zwrot nadał polityce polskiej dopiero Jan III, który zaraz po swej elekcji wystąpił otwarcie jako stronnik Francji i równocześnie jako wróg dworu wiedeńskiego i Brandenburgji.

Sytuacja zagraniczna była dla Polski niezmiernie korzystna; Francja i Szwecja prowadziły razem wojnę przeciw Hiszpanji, cesarzowi i Brandenburgji. Polska mogła decydującą odegrać rolę na Wschodzie i Północy, stojąc po stronie obu sprzymierzonych dworów, francuskiego i szweckiego. Atoli Polska zajęta była wojną turecką, toczącą się jeszcze od roku 1672, której zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem wcale nie zażegnało. Obaj ambasadorowie francuscy w Warszawie, biskup marsyljański, Franciszek Toussaint Forbin de Janson, i margrabia Franciszek de Béthune (ożeniony z siostrą Marji Kazimiery), starali się nakłonić Jana III do zawarcia pokoju z Portą i zwrócenia sił Rzpltej przeciw cesarzowi i Brandenburgji. Rezultatem tej akcji miało być odzyskanie Śląska i Prus książęcych, ugruntowanie przewagi Polski na południowym zachodzie i północnym wschodzie. Byłby to wspaniały ekwiwalent trwały za tymczasową utratę Podola i Ukrainy. Myśl tę popierał poseł szwedzki w Warszawie, baron Andrzej Liliehööck i niektórzy panowie polscy, przedewszystkiem Jan Wielopolski, stolnik kor. (w kilka lat potem kanclerz w. k.), Andrzej Morsztyn, podskarbi w. k., Stanisław Jabłonowski, hetman p. k., Lubomirscy (Aleksander, wda krak., głowa rodu i dwaj jego synowcy, Stanisław Herakljusz, marszałek ndw. i sta spiski, i Hieronim, kawaler maltański), Jan Gniński, Krzysztof Grzymułtowski i Jan Małachowski, biskup warmiński, później krakowski.

Atoli na straży interesów domu austrjackiego stał niemal cały episkopat polski, z biskupem krakowskim, Andrzejem Trzebickim, na czele (prymas ówczesny, Andrzej Olszowski, nie odgrywał poważniejszej roli politycznej, zresztą należał pozornie do stronnictwa francuskiego); bronili dworu wiedeńskiego bardzo gorliwie nuncjusz apostolski, Franciszek Bonvisi, i królowa-wdowa, Eleonora Wiśniowiecka, która pozostała w Polsce (mieszkała w Toruniu) i przy pomocy stronników austrjackich, pod wodzą ks. Dymitra Wi-

śniowieckiego, hetmana w. k., intrygowała potajemnie a bardzo skutecznie przeciw przymierzu z Francją. Wielkopolska zaś i Litwa stały po stronie Brandenburgji, za sprawą Jana Leszczyńskiego, kanclerza w. k., i obu Paców, starszego Krzysztofa, kanclerza w. l., i młodszego Michała (synowca Krzysztofa), hetmana w. l., śmiertelnego wroga Jana III a wielkiego przyjaciela Fryderyka Wilhelma, „wielkiego elektora", a zwłaszcza jego posła, Jana Hoverbecka, rodowitego Polaka z Prus książęcych (nazywał się Howerbecki), który przy pomocy całego sztabu tajnych agentów brandenburskich kierował całą akcją w Wielkopolsce i na Litwie tak przeciw Francji jak również i przeciw Janowi III.

Sytuacja wewnętrzna w Rzpltej, walki stronnictw i rozbieżność pylitycznej myśli polskiej, niweczyła korzyści, płynące dla Polski z konjuktury zagranicznej. Jan III, licząc się z tą namiętną walką stronnictw i wyczuwając dobrze niechęć narodu do przymierza z Francją, a zwłaszcza z Szwecją (której barbarzyństwa, dokonane w Polsce w czasie ostatniej wojny, były jeszcze zbyt świeżej daty), nie dał się nakłonić do wojny ani przeciw cesarzowi, ani przeciw Brandenburgji, lecz późną jesienią 1674 r. ruszył z nieliczną armją na Ukrainę, którą opuściły wojska tatarskie i tureckie, udając się za Dunaj na leża zimowe. Tylko nieliczne ich załogi pozostały w głównych fortecach ukraińskich, Barze i Kalniku, Pawołoczy, Niemirowie i Bracławiu. Kamieniec Podolski stanowił pod tym względem wyjątek; silna jego załoga składała się z wyborowych wojsk tureckich a forty jego, mocno obwarowane, pilnie były strzeżone. O jego zdobyciu nie mogło być mowy.

Jan III, jakkolwiek znał doskonale sposób wojowania Turków (którzy zimą opuszczali zwykle zajęte terytorja, aby z wiosną znowu je opanować), liczył tym razem na trwałe odzyskanie Ukrainy. Łudziła go swemi obietnicami Moskwa, która miała mu przyjść z pomocą, aby wspólnemi siłami zwalczać wspólnego nieprzyjaciela; liczył król również wiele i na pomoc samych Kozaków ukraińskich, którzy za hetmaństwa Piotra Doroszenki mocno byli z rządów tureckich niezadowoleni. Nie była, jego zdaniem, wykluczona pomoc i ze strony Kozaków Zadnieprskich, którym z ramienia Mo-

skwy przewodził Jan Samujłowicz; nie bez znaczenia były skromne posiłki, jakich dostarczyć obiecał Jan Sirko, ataman Kozaków Zaporozkich, szczery przyjaciel Polski i wielbiciel Jana III. Słowem cała Kozaczyzna mogła się ruszyć przeciw niewiernym, byle tylko znalazła w Polsce lub w Moskwie odpowiednią pomoc i opiekę. Najsilniejszym atoli bodźcem, który gnał Jana III na Ukrainę, to była chęć jego zmazania swej winy z powodu upadku Kamieńca i straty Podola i Ukrainy w r. 1672. Klęska ta i hańba wyłącznie jego była winą. Aby podkopać tron króla Michała, dopuścił Sobieski, wówczas jeszcze marszałek i hetman w. k., do upadku Kamieńca, łudząc się próżną nadzieją, że go wkrótce odzyska i, okryty sławą zwycięzcy niewiernych a obrońcy ojczyzny, wróci z triumfem do stolicy, aby zająć miejsce znienawidzonego powszechnie Michała I.

Wyprawa na Ukrainę nie miała oczywiście widoków trwałego powodzenia. Wprawdzie łatwo było wypędzić czy wyrżnąć słabe załogi tureckie w twierdzach ukraińskich, lecz z wiosną trzeba się było zmierzyć z olbrzymiemi siłami Turków i Tatarów. Moskwa, jak zawsze, zdradziła Polskę i tym razem i pomocy nie tylko nie dała, lecz za pośrednictwem Samujłowicza intrygowała przeciw Rzpltej wśród Kozaków polskich i Zaporozkich. Zawiódł w zupełności i Piotr Doroszenko, który niebawem, za sprawą Samujłowicza, poddał się Moskwie. Dopuścił się haniebnej zdrady Michał Pac, który z armią lit. opuścił samowolnie obóz królewski, udając się na leże zimowe do Litwy. Jan III, przezimowawszy w zdobytym Bracławiu, opuścił wczesną wiosną Ukrainę, aby ratować Ruś Czerwoną a zwłaszcza jej stolicę, poważnie już zagrożoną przez wojska tatarskie i tureckie. Zwycięska jego bitwa pod Lwowem (24 sierpnia 1675 r.) i bohaterska obrona Trembowli pod wodzą Jana Samuela Chrzanowskiego i jego żony, Niemki z pochodzenia, Anny Doroty von Fresen, położyły wreszcie kres tej nieszczęsnej kampanji, która obróciła w perzynę południową Ukrainę, Podole, Pokucie, część Rusi Czerwonej i Wołynia.

W czasie pobytu króla na Ukrainie toczyły się na zamku jaworowskim układy ambasadora francuskiego, de Janson (drugi ambasador francuski, margrabia de Béthune, bawił

przy boku królewskim w Bracławiu), z królową w sprawie przymierza polsko-francuskiego przeciw cesarzowi i przeciw Brandenburgji.

Podpisany 11 czerwca 1675 r. przez Jana III i obu ambasadorów francuskich, tworzył traktat jaworowski realną podstawę, na której miała wyróść niedaleka już, jak się zdawało, przyszła potęga polityczna i handlowa Rzpltej. Prusy książęce miały być stanowczo odebrane Brandenburgji a wcielone na zawsze do korony polskiej! Fatalną pomyłkę Jagiellonów i Wazów, którzy zaprzepaścili tę prowincję, miał naprawić Jan III, ostatni król wolno obrany przez naród. Buta Fryderyka Wilhelma, który zdradą wydarł ją Polsce, miała być złamana i upokorzona! Królewiec miał wrócić do Polski! Nie ulegało zaś wątpliwości, że, wobec stanowczej przewagi Rzeczypospolitej nad Bałtykiem, złamane zostanie zbyt samodzielne stanowisko Gdańska, który jawnie sympatyzował z Brandenburgją na szkodę Polski.

Gdyby Sobieski był dokonał tego dzieła, które samo niemal cisnęło się mu do rąk, zyskałby słuszną podstawę do nieśmiertelnej sławy i głębokiej wdzięczności całego narodu po wszystkie wieki. Ale Jan III nie uczynił tego a przyczyną, dla której tak postąpił, była jego chorobliwa chciwość złota. Dla złota poświęcił najżywotniejszy interes Rzeczypospolitej, swą sławę, a nawet i swój honor! Bo i czemże był w rzeczy samej traktat jaworowski? Byłże on przymierzem Polski z Francją przeciwko Niemcom? Pozornie tak wyglądało a Francja zapewniała Polsce ogromne korzyści, Prusy książęce a nawet Śląsk, w rzeczywistości zaś był ten traktat tylko prywatną umową Jana III z Ludwikiem XIV. Między tym układem a prawdziwem przymierzem była właśnie taka różnica, jak między Janem III a Ludwikiem XIV. Jan III schodził tu do nędznej roli kondotiera, który za pieniądze podejmował się zrobić dywersję przeciw Brandenburgji, bez wiedzy, a nawet wbrew woli Rzpltej, zupełnie prywatnie, na własną rękę! Podpisując ten układ w najgłębszej tajemnicy przed stanami, nawet przed najbliższymi swymi przyjaciółmi, składał król dowód, że o współdziałaniu Rzpltej ani myślał nawet, że chodziło mu tylko o osobistą

korzyść, ale nie o dobro Polski. Powtóre składał król dowód, że swego zadania nie bierze poważnie, gdyż odebranie elektorowi Prus książęcych przerastało jego prywatne siły, tem bardziej, że było jasnem aż nadto, iż za jego przykładem pójdą także panowie polscy, Pacowie na Litwie, Leszczyńscy w Wielkopolsce, a Wiśniowieccy w Małopolsce, którzy za pieniądze brandenburskie i austrjackie będą, podobnie jak król, robili zaciągi w Rzpltej na rzecz cesarza i elektora. Że tak będzie, wiedział Jan III aż nadto dobrze i właśnie dlatego działał w tak głębokiej tajemnicy, aby swych przeciwników wyprzedzić i przeszkodzić im w zaciąganiu większej liczby polskiego żołnierza. Działał tedy król nieszczerze już nie tylko w stosunku do stanów Rzpltej, lecz także i w stosunku do Ludwika XIV, którego chciał wyprowadzić w pole, wycisnąć od niego nieco złota, potem całą sprawę pogrzebać, a winę za niepowodzenie złożyć na barki stronników brandenburskich i austrjackich.

Gdyby król był myślał inaczej, to oczywiście nie byłby ukrywał tej sprawy pod korcem, ale postawił rzecz całą jasno i szczerze przed oczy zgromadzonej Rzpltej na sejmie. Odzyskanie Prus ks. mogło nastąpić tylko w drodze otwartej wojny Polski z Brandenburgją, w drodze współdziałania, a nawet wysiłku całego narodu a nie w drodze tajnych konszachtów królewskich z Ludwikiem XIV. To była jedyna droga, która prowadziła do celu. Jawna, otwarta wojna przeciw znienawidzonemu elektorowi, wojna narodowa przeciw Brandenburgji o wyzwolenie braci-szlachty z pod twardego jarzma Hohenzollernów, wojna o przystęp do Bałtyku, byłaby zjednoczyła cały naród w wspólnym wysiłku, byłaby ułatwiła królowi udaremnienienie intryg przeciwników jego w Wielkopolsce i na Litwie. Cały naród był moralnie jeszcze zdrowy a od króla swego wyczekiwał czynu wielkiego, godnego wielkiego narodu. Tymczasem Jan III prowadził w ślepym uporze i na przekór całemu narodowi beznadziejną wojnę przeciw Turkom, których bez pomocy Moskwy i Wiednia pokonać przecież nie mógł a o odzyskaniu Prus książęcych nigdy poważnie nie myślał. Cały tedy traktat jaworowski rzuca ponury cień na charakter Jana III, który swem zaprzedaniem się Ludwikowi XIV zawichrzył do głębi całą

Rzpltą i zniechęcił ją do Francji; nie wyszedł on również i na korzyść Francji, która właśnie dzięki warunkom, zawartym w tym układzie, straciła w Polsce swą naturalną przyjaciółkę i aljantkę. Atoli winę za to zerwanie naturalnej przyjaźni polsko-francuskiej ponosi nie tylko Jan III, lecz i Ludwik XIV, który szafował hojnie obietnicami pieniężnemi, byle tylko wciągnąć króla polskiego w zawieruchę wojenną, zastraszyć nim swych wrogów, odnieść za jego pośrednictwem chwilowe i dorywcze korzyści militarne i polityczne a potem wycofać się z całej sprawy, nie spełniwszy ani jednego przyrzeczenia i obietnicy.

Ludwik XIV ponosi nawet większą winę, aniżeli Jan III; król francuski bowiem, podpisując traktat jaworowski, podpisywał go w imieniu Francji, którą reprezentował i ucieleśniał we własnej osobie. Zrobionych obietnic mógł dotrzymać, gdyż jako absolutny król mógł Ludwik XIV wycisnąć z Francji tyle, ile było mu potrzeba, mógł ją poprowadzić tam, kędy chciał. Inaczej Jan III; król polski, elekcyjny władca wolnej Rzpltej, miał ręce związane przez *pacta conventa*, nic mu nie było wolno robić na własną rękę, a wszystko, co czynił, winien był czynić za wiedzą i zgodą stanów, więc Jan III, nawet gdyby był miał szczere chęci dotrzymania warunków traktatu jaworowskiego, to nie mógłby, gdyż na przeszkodzie stawały mu prawa Rzpltej, stawali w kraju przeciwnicy i wrogowie, którzy akcję jego mogli sparaliżować w każdej chwili. O tem winna była pamiętać dyplomacja francuska, jeśli chciała, aby zawarty układ miał jakąś realną wartość.

A tak stało się, że traktat jaworowski, poczęty w obłudzie Ludwika XIV i chciwości Jana III, zamiast zbliżyć oba dwory i państwa ku sobie i natchnąć je jedną myślą wspólnej akcji przeciw Niemcom, stał się zarzewiem wielkich niesnasek najpierw między obu dworami a następnie doprowadził do zupełnego zerwania już nie tylko przyjaźni polsko-francuskiej, ale nawet do zerwania stosunków dyplomatycznych na lat kilkadziesiąt. Doszło nawet do tego, że Francja występowała wrogo wobec Polski i, połączywszy się przymierzem z Brandenburgją, szkodziła jej w stosunkach mię-

dzynarodowych a nawet w pracy nad konsolidacją jej własnych spraw wewnętrznych.[1])

Lecz czas najwyższy zaznajomić czytelnika cokolwiek bliżej z warunkami wspomnianego traktatu i wyprowadzić go z mniemania, że podaję mu własne tylko uwagi i sądy. Niechże tedy realne dane, zaczerpnięte wprost u źródła, mówią same za siebie.

Król francuski — czytamy w traktacie jaworowskim — zobowiązał się płacić rocznie królowi polskiemu dwieście tysięcy talarów (600.000 złp) „dobrej monety", w czterech równych ratach, skoro tylko rozpocznie Jan III akcję wojenną przeciw Brandenburgji. Gdyby zaś król polski podjął się wyprawy także i na Śląsk, albo wogóle do krajów dziedzicznych cesarskich, obiecał mu Ludwik XIV podobny zasiłek pieniężny, jak i w wyprawie przeciw Brandenburgji.

Ponieważ król francuski dobrze wiedział, że Jan III nie podejmie się powyższych zadań, dopóki nie zakończy wojny tureckiej, więc na ułatwienie zawarcia pokoju z Portą przyrzekał Ludwik XIV ofiarować 200 tysięcy liwrów (200.000 złp) „dobrej monety gdańskiej", płatnych raz jeden, w dwóch ratach. Królowej polskiej zaś przyrzeczona była osobna gratyfikacja w kwocie 60 tysięcy liwrów za jej pomoc w układach. Miała być ta suma wypłacona w dwa miesiące po rozpoczęciu akcji wojennej przeciw elektorowi.

Za tę pomoc pieniężną, która była osobistą nagrodą dla Jana III a nie subsydjami dla Rzpltej, zobowiązał się król polski wypowiedzieć natychmiast wojnę Brandenburgji, skoro tylko zawarty będzie pokój z Portą, nadto przyrzekał, że będzie popierał we wszystkich prowincjach Rzpltej zaciągi wojskowe na rzecz Francji, na które nie pozwoli żadną miarą nikomu z jej nieprzyjaciół ani pośrednio, ani bezpośrednio.

O dotrzymaniu tego warunku nie mogło być mowy; skoro bowiem król sam omijał prawa Rzpltej, organizując zaciągi na własną rękę na rzecz Francji, to tem samem musiał patrzeć przez palce, jak to samo czynili jego przeciwnicy na rzecz dworu wiedeńskiego i Brandenburgji. Król tedy sam, niewątpliwie wbrew swej woli, zrobił z Polski kolonję werbun-

[1]) M. Skibiński: Europa a Polska I, rozdział IX, sejm grodzieński 1744 r.

kową, z której sąsiedzi czerpali pełną dłonią potrzebny im materjał ludzki, dla oszczędzenia krwi własnych żołnierzy! A działo się to w czasie, kiedy król, trawiony dziwną żądzą walki z półksiężycem, myślał o nowej przeciw Turkom wyprawie! Sejm koronacyjny (od lutego do kwietnia 1676 r.) uchwalił ją na stanowcze żądanie Jana III. Przeciwnicy królewscy, Pacowie i Leszczyńscy, z którymi działał potajemnie prymas Olszowski, chętnie patrzyli na tę wyprawę, byle tylko podkopać do reszty zaufanie narodu do króla i byle go zaprzątnąć wojną (o której nikt dobrze nie wróżył), a sobie zostawić swobodne ręce w zawiązaniu tajnej akcji z Brandenburgją przeciw Janowi III. Jasnem więc było, że nowa wojna turecka leżała tylko w interesie elektora, który, wolny na razie od większej troski ze strony polskiej, mógł spokojnie walczyć nad Renem przeciw Francji i na Pomorzu przeciw Szwedom.

Kampanja żórawińska, jak było do przewidzenia, przyniosła Polsce tylko nową klęskę i upokorzenie. Bohaterskie wojska polskie musiały kapitulować. Michał Pac dopuścił się nowej zdrady i w krytycznej chwili opuścił obóz królewski wraz z swymi Litwinami, podobnie jak to był uczynił przed rokiem w obozie królewskim pod Bracławiem. Warunki, podyktowane pod Żórawnem, przypominają żywo traktat buczacki z r. 1672. Z całej Ukrainy wracały do Polski tylko Pawołocz i Białacerkiew, reszta pozostała przy Porcie. Atoli o haraczu (22.000 czerwonych złp.), który Rzplta miała płacić na podstawie traktatu buczackiego, nie było już obecnie, w nowym traktacie, najmniejszej nawet wzmianki. Był to jedyny rezultat kampanji żórawińskiej.

Oprócz układu pisemnego, korzystnego dla Porty, zawarty był w Żórawnie traktat ustny, korzystny dla Polski. Seraskier, Ibrahim pasza, „Szejtan" i han krymski, Selim Gerej, zapewniali komisarzy polskich, którzy układali się o pokój, „słowem bisurmańskiem", że pisany traktat żórawiński, tak niekorzystny dla Polski, chce mieć Porta tylko *„ad gloriam* i na zatarcie"[1]) dla samego tylko zaszczytu i chluby wobec Turków, ale w rzeczy samej traktat ten nie wejdzie

[1]) Fr. Pułaski: Źródła do poselstwa Jana Gnińskiego, s. 460.

w życie; Porta, z przyjaźni dla Rzpltej, poznosi wszystkie niewygodne dla niej warunki, więc król nic nie straci, jeśli przyjmie tak niekorzystny, na papierze tylko, traktat pokojowy. Wielkie poselstwo polskie przyniesie z pewnością pokój zaszczytny dla króla a korzystny dla Rzpltej.

Na podstawie tego ustnego układu urosła wówczas legenda, która do dziś utrzymuje się w naszych podręcznikach szkolnych, że Sobieski wywalczył na Porcie swą kampanją żórawińską dwie trzecie Ukrainy! Jak zaś Turcy umieli szanować swe „bisurmańskie słowo", przekonamy się o tem niebawem, gdy będzie mowa o wielkiem poselstwie polskiem do Konstantynopola.

II.

Traktat żórawiński był tylko przedwstępnym krokiem do pokoju polsko-tureckiego, który po kilkuletnich zapasach (1672—1676) miał przywrócić normalne stosunki między Portą a Rzpltą. Wielkie poselstwo polskie wybrało się w tym celu pod wodzą Jana Gnińskiego, wdy chełmińskiego, do Konstantynopola. Zdawałoby się, że Jan III, wolny obecnie od wojny tureckiej, rozpocznie teraz poważną akcję bądź przeciw cesarzowi, bądź też przeciw Brandeburgji. Ambasador francuski, margrabia de Béthune, przypomniał królowi ten obowiązek, wynikający z traktatu jaworowskiego. Sposobność ku temu była wyborna; właśnie nadzwyczajny sejm warszawski (styczeń - maj 1677 r.) uchwalił redukcję armji koronnej, ze względu na zbliżający się trwały pokój polsko-turecki. Rozwiązane pułki wcielał król do swych prywatnych zaciągów, które, pod wodzą kawalera Lubomirskiego, wyprawił częścią na Węgry, na pomoc tamtejszym powstańcom przeciw cesarzowi, częścią zaś wyprawił je do Prus królewskich i pod granicę Prus książęcych, dla zastraszenia Fryderyka Wilhelma i zaszachowania znacznej części armji brandenburskiej w Prusiech ks. Dla dodania zaś wagi swej akcji przeciw elektorowi, wybrał się Jan III wraz z królową i nielicznym dworem do Gdańska, pod pozorem stłumienia zaburzeń religijnych i zatargów ludu gdańskiego z Radą wolnego miasta i patrycjuszami.

Jan III trawił bezczynnie drogi czas w Gdańsku a tym-

czasem Michał Pac, który nie dopuścił do rozwiązania swej armji litewskiej czuwał pod granicą inflancką, aby armja szwedzka, zgromadzona pod wodzą Gustawa Horna w Inflantach, nie rozpoczęła marszu przez Kurlandję i Litwę do Prus książęcych. Właśnie tę prowincję zamierzała Szwecja zdobyć przy pomocy owych zaciągów polskich, stojących w ekonomjach królewskich na granicy brandenburskiej. Szwecja działała w myśl tajnego układu, jaki zawarła z Janem III, 21 sierpnia 1677 r. w Gdańsku, za pośrednictwem oczywiście Francji, mianowicie margrabiego de Béthune, który towarzyszył królowi do Gdańska. Prusy książęce, zdobyte wspólnemi siłami, polsko-szwedzkiemi, wrócić miały do Polski a tylko Kłajpeda zastrzeżona była dla Szwecji. Tą drogą usiłował dwór sztokholmski uratować swe Pomorze, które opanowały już były niemal w zupełności wojska brandenburskie pod osobistem dowództwem Fryderyka Wilhelma. Tylko Szczecin bronił się dzielnie i wytrwale oczekując odsieczy ze strony Horna i poważnej akcji z strony Jana III.

Sytuacja i w Królewcu i pod Szczecinem była poważna, prawie groźna; stanowcza akcja Jana III mogła ją rozwiązać na korzyść Polski przez zajęcie bezbronnego Królewca, którego ludność z tęsknotą wyczekiwała wkroczenia wojsk polskich, i na korzyść Szwecji, przez ocalenie Szczecina. Chwiejność króla, który się natarczywie domagał pieniędzy z Francji dla opłacenia zaciągów polskich, popsuła wszystko. Jan III, który z lekkiem sercem, bez należytego przygotowania, rozpoczynał kampanje tureckie, nie mógł żadną miarą zdobyć się na akcję przeciw „wielkiemu elektorowi". Można zaryzykować twierdzenie, że nie zbytnia ostrożność, ale wielka chciwość królewska była powodem, iż Prusy książęce nie zostały zdobyte dla Polski. Całą bowiem wyprawę przeciw Brandenburgji uważał Jan III za sprawę i interes wyłącznie francuski, a siebie tylko za mandatarjusza francuskiego. Skoro tedy Ludwik XIV nie dostarczał obiecanych pieniędzy na utrzymanie owych zaciągów (które żyły kosztem Jana III w jego ekonomjach pomorskich), a nawet nie wypłacił mu owych dwustu tysięcy liwrów za zawarcie pokoju tureckiego, to Jan III uważał za właściwe zlikwidować całe to przedsięwzięcie i z czystem sumieniem wrócić do

Warszawy, zwalając oczywiście całą winę na Francję i na Szwecję, a ta ostatnia na Michała Paca. Interes polski, potrzeba zdobycia dla Rzpltej szerszego przystępu do morza, konieczność zduszenia żmiji brandenburskiej, która podgryzała już fundamenty państwa polskiego, nie istniały wcale dla niego. Te sprawy nie obchodziły go wcale. Jedyna rzecz, która go interesowała, to było złoto a skoro Ludwik XIV zrobił mu pod tym względem zawód, to i on nie miał najmniejszego obowiązku łamać rosnącą potęgę brandenburską!

Z dywersją węgierską działo się podobnie jak i z pruską, z tą tylko różnicą, że obaj sprzymieżeni królowie, Ludwik XIV i Jan III, zupełnie nie brali jej poważnie. Sprawa węgierska w tym czasie, to ciemna karta w dziejach dyplomacji francuskiej i polskiej. Ludwik XIV nie myślał nigdy poważnie o wyzwoleniu austrjackich Węgier z pod panowania dworu wiedeńskiego a jednak podniecał powstańców węgierskich do beznadziejnej walki przeciw cesarzowi, byle tylko część sił austrjackich uwięzić na Węgrzech i ułatwić tem samem swe zadanie nad Renem. Nie chcę przez to powiedzić, że król francuski odnosił się do Węgrów z szczególniejszą jąkąś niechęcią czy obłudą, ale nie wierzył, żeby Górne Węgry, „cesarskie", wyzwoliwszy się z jarzma austrjackiego, mogły się ostać jako niepodległe państwo. Z konieczności musiałyby szukać oparcia bądź w Turcji, bądź też w Polsce. A ponieważ do powiększenia potęgi tureckiej na Węgrzech nie mógł Ludwik XIV dopuścić ze względu na Polskę (która słusznie czułaby się zaniepokojoną w tak bezpośredniem sąsiedztwie posiadłości tureckich na tak olbrzymiej przestrzeni), unję zaś węgiersko-polską uważał za rzecz nierealną, więc też dlatego wolał uczynić z Górnych Węgier wiecznie krwawiącą ranę na organizmie państwa habsburskiego, byle przez nią osłabiać siły swego przeciwnika nad Renem!

Jan III wiedział doskonale, czem jest powstanie Węgrów w ręku Ludwika XIV, a jednak nie zawahał się ani na chwilę popierać jego nikczemnej polityki, nawskróś samolubnej. Z jego też polecenia udał się Hieronim Lubomirski na czele trzech tysięcy zaciężnego żołnierza polskiego przez Skole na Węgry, budząc wśród nieszczęśliwych powstańców

nadzieję, że wkrótce przyjdzie im Polska z wydatniejszą pomocą a Francja dostarczy podostatkiem pieniędzy. Rozumie się samo przez się, że w czasie pobytu Jana III w Gdańsku robili stronnicy austrjaccy w Polsce wszystko, aby do dalszych zaciągów na rzecz Węgrów niedopuścić. Czynił to przedewszystkiem biskup krak., Trzebicki, który polecił całemu duchowieństwu świeckiemu i zakonnemu swej rozległej diecezji, aby głosiło wśród szlachty i ludu, iż każdy winien należeć do stronnictwa austrjackiego, a ktoby poszedł walczyć na Węgry po stronie heretyków (Węgrzy byli przeważnie kalwinami) a przeciw cesarzowi, ten będzie potępiony, więc póki jeszcze czas, niech się każdy opamięta i wróci na drogę wiary i obowiązku wobec Kościoła i Ojczyzny.

Trzebicki działał z przekonania nie bez podniety jednak ze strony nuncjusza papieskiego.[1]) Dymitr Wiśniowiecki zaś, hetman w. k., pozyskany przez dwór wiedeński obietnicą stu tysięcy talarów, zakazał Lubomirskiemu, na mocy swej hetmańskiej władzy, dalszych werbunków na rzecz Węgrów. W tych warunkach dywersja polska na Węgrzech nie wiele zaszkodziła wojskom austrjackim, natomiast w wysokim stopniu szkodziła interesom Rzpltej, gdyż pogłębiła przepaść między stronnictwami, francuskiem i austrackiem, podnieciła przeciw królowi cały niemal episkopat, rozpętała na nowo nienawiść dworu wiedeńskiego przeciw Janowi III w Polsce, a przeciw Polsce zagranicą a zwłaszcza w Rzymie i Moskwie, tudzież w Konstantynopolu. Nowy nuncjusz papieski w Warszawie, Franciszek Martelli, szedł zupełnie na rękę rezydentowi austrjackiemu, Krzysztofowi br. Zierowskiemu, rodowitemu Polakowi (ze Śląska), który wraz z Hoverbeckiem, Wiśniowieckimi i Pacami, podburzał szlachtę w całej Rzpltej przeciw dworowi polskiemu.

Wobec tych niepokojących wieści z kraju, a zwłaszcza wobec fatalnych wprost wiadomości o układach Jana Gnińskiego w Konstantynopolu, wrócił Jan III (z końcem lutego 1678 r.) do Polski, naznaczywszy już poprzednio Radę Senatu do Lublina (na połowę marca). Rada Senatu nic królowi oczywiście pomóc nie mogła. Porta, widząc Polskę zupełnie

[1]) Fran. Martelli.

rozbrojoną, zapomniała w zupełności o swem „bisurmańskiem słowie" i o żadnym ustnym układzie żórawińskim słyszeć nie chciała, czyli innemi słowy wchodził w życie tylko pisany traktat z swemi bardzo twardemi warunkami. Prośby i zaklęcia Gnińskiego, nie poparte siłą, nie robiły żadnego wrażenia na brutalnym i cynicznym wezyrze Kara-Mustafie, który rządził samowolnie w imieniu niedołężnego Mahometa IV. Przygnieciony twardą koniecznością, wydał Jan III rozkaz pułkownikowi Łasce, aby opróżnił twierdze ukraińskie, w których dotąd stały jeszcze załogi polskie i oddał je oficerom tureckim! W grudniu 1678 r. wrócił Gniński do Polski z trwałym pokojem konstantynopolitańskim, który był tylko powtórzeniem i dosłowną kopją traktatu żórawińskiego. Obie dywersje, węgierska i pruska, osobiste dzieło Jana III, przyprawiły Polskę o sromotny pokój turecki.

III.

Zdawałoby się, że wobec tylu zawodów i klęsk, jakich doznał Jan III w przeciągu tych kilku lat swego panowania, nastąpi stanowcza zmiana w polityce królewskiej. Oziębiły się istotnie i bardzo poważnie stosunki między obu dworami, polskim i francuskim, ale o zerwaniu z Francją a zbliżeniu do Wiednia jeszcze niema w tym czasie mowy. Żale i pretensje Jana III, a zwłaszcza Marji Kazimiery, do Ludwika XIV są szczere, głębokie i co ważniejsza, zupełnie uzasadnione. Dywersje, węgierska i pruska, jakkolwiek nie przeprowadzone na wielką skalę, oddały jednak niemałą usługę Ludwikowi XIV, albowiem siły cesarskie i brandenburskie zostały przez nie mocno zaabsorbowane, tem bardziej, że ani dwór wiedeński, ani berliński, nie mogły przewidzieć, czy dywersje polskie nie urosną do poważnej akcji wojennej. Jan III rozumiał dobrze wartość tej przysługi i domagał się za nią wynagrodzenia, którego wysokość oznaczona była traktatem jaworowskim. Królowa zaś miała wieczne pretensje do króla francuskiego w sprawie tytułu książęcego dla swego ojca, markiza Henryka d'Arqien, który, wzgardzony na wersalskim dworze, szukał przytułku w Polsce u swego królewskiego zięcia. Popierał te żądania i Jan III, któremu wstyd

było, iż teść jego jest sobie zwykłym, zubożałym szlachcicem francuskim, znienawidzonym w dodatku przez Ludwika XIV.

Król francuski wychodził z innego punktu widzenia — twierdził uporczywie, że Jan III nie wypełnił warunków traktatu, gdyż nie wypowiedział wojny ani cesarzowi, ani Brandenburgji, nie może przeto i nie wolno mu płacić za to, co nie zostało wykonane. Jeśli jednak król polski zdecyduje się wreszcie na stanowczą akcję bądź przeciw domowi austrjackiemu, bądź też przeciw elektorowi, to Ludwik XIV nie tylko, że wyrówna wszystkie jego pieniężne pretensje, ale nadto będzie popierał, w przyszłem bezkrólewiu, elekcję jego syna, ks. Jakóba, a ojcu królowej nada upragniony tytuł książęcy.

Co skłoniło Ludwika XIV do tak poważnej oferty i nowych pieniężnych obietnic?

Wojna na Zachodzie miała się ku końcowi; elektor brandenburski, zdobywszy Szczecin (w grudniu 1677 r.), stał się panem całego Pomorza szweckiego. Mógł teraz przyjść z większą pomocą wojskom cesarskim, walczącym z Francuzami nad Renem. Tylko zajęcie Prus książęcych przez Polskę mogło go powstrzymać od tego zamiaru, a nawet było wielkie prawdopodobieństwo, że Fryderyk Wilhelm, dla uratowania Królewca, poświęci ostatecznie świeżo zdobyty Szczecin i całe Pomorze. Interes Francji schodził się tu zupełnie z interesem Szwecji; zresztą Ludwik XIV nie mógł nie bronić Szwecji, skoro była ona jego jedyną aljantką, która ponosiła tak ciężkie ofiary wojenne z powodu swej wierności dla Francji.

Współudział Polski w obecnym okresie wojny był konieczny, wprost nieodzowny dla Francji, jeśli klęska Szwecji miała być powetowana a Ludwik XIV miał wyjść z honorem i zwycięstwem. Ustępstwa jego wobec dworu polskiego są teraz jasne i zrozumiałe. W tej chwili staje Ludwik XIV szczerze na stanowisku polskiem i przez usta margrabiego de Béthune tłumaczy Janowi III dobitnie i wyraźnie, że jestto jedyna chwila dziejowa dla Rzpltej, w której Polska może odzyskać Prusy książęce i zapewnić sobie wspaniałą przyszłość. Niechże tedy korzysta z niej król polski i zdobywa Prusy, gdyż jestto najpewniejsza droga do zapewnienia

ks. Jakubowi korony królewskiej. A mimo, iż sprawa odzyskania Prus jest najżywotniejszym interesem Rzpltej i dworu polskiego i z tego powodu, on, król francuski, niema najmniejszego obowiązku wypłacania królowi polskiemu jakichkolwiek subsydjów, to jednak dotrzyma słowa i wypełni warunki traktatu jaworowskiego, byle tylko i on, Jan III, rozpoczął wreszcie akcję przeciw Brandenburgji.

Jan III był zaskoczony tą propozycją Ludwika XIV; tłumaczył się, że cała sprawa jest już przesądzona, gdyż Prusy można było odzyskać wtedy, gdy bawił w Gdańsku; wskazywał na pewne komplikacje dla Polski z powodu wojny Porty z Moskwą.

Istotnie tworzyły się dla Polski pewne widoki korzystne z powodu wojny turecko-moskiewskiej. Po poddaniu się Piotra Doroszenki Moskwie, rozpoczęła Porta wojnę o Ukrainę. Polska miała więc teraz dobrą sposobność do wzięcia odwetu za sromotny pokój turecki, który właśnie przywiózł na sejm do Grodna (grudzień 1678 — maj 1679) Jan Gniński. Ale Rzplta była bezsilna, Moskwa zaś nie chciała z nią żadnego współdziałania, chyba za cenę „wieczystego pokoju", na podstawie rozejmu andruszowskiego z 1667 r., t. j. za cenę wieczystego zrzeczenia się Kijowa, Czernichowa i Smoleńska. W tej sprawie przybyli nawet posłowie moskiewscy, Czadajew i Buturlin. Jan III powziął plan kapitalny; pod wpływem nęcących obietnic Ludwika XIV, postanowił próbować jeszcze raz szczęścia na północy, decydując się na wojnę brandenburską. I znowu zamiast działać otwarcie i wytłumaczyć stanom, że współdziałanie z Moskwą z powodu jej uroszczeń jest niemożliwe, a łamanie pokoju tureckiego niebezpieczne, gdyż oburzona Porta, która ponosiła straszliwe klęski w wojnie z Moskwą, mogłaby się łatwo porozumieć z nią kosztem Polski, jedynem zaś przedsięwzięciem, które przyniosłoby Polsce istotną korzyść, to byłoby odzyskanie Prus książęcych, zamiast więc postawić tę sprawę jasno i otwarcie, Jan III głosił pompatycznie, że wybiła godzina zemsty przeciw Turkom! Czynił to oczywiście nieszczerze, aby pod pozorem wojny tureckiej przygotować akcję do wojny przeciw Brandenburgji. Do nowej wyprawy czynił gorączkowe przygotowania; od sejmu zażądał znacznego powiększenia

armji i pełnomocnictwa dla siebie, aby mu wolno było zawierać na własną rękę traktaty z ościennemi państwami przeciw Porcie. Nuncjusz Martelli zachwycony był tą niezwykłą gorliwością królewską; za jego wpływem stanął po stronie króla cały senat duchowny, który porwał za sobą znaczną część senatorów świeckich.

Wojna przeciw Porcie była postanowiona, uchwalono również wielką armję i powiększono władzę królewską. Jan III wyprawił wielkie poselstwo: do Wiednia, Wenecji i Rzymu ks. Michała Radziwiłła (ożenionego z siostrą królewską Katarzyną), hetmana p. l.; do Paryża Andrzeja Morsztyna, podskarbiego w. k.; do Moskwy Cyprjana Brzostowskiego, referendarza lit. Świat był zdumiony tą niezwykłą ruchliwością i energją, jaką obecnie król rozwinął. Razem z Radziwiłłem wyjechali do Wiednia obaj posłowie moskiewscy, Czadajew i Buturlin, którzy bawili dotąd w Polsce. Wszyscy byli przekonani święcie, że Jan III myśli istotnie o wojnie tureckiej, gdyż rozwinął tak żywą w tej sprawie akcję dyplomatyczną, która miała zapewnić Polsce pomoc militarną i pieniężną. Bardziej jeszcze wierzono i dlatego, że między Francją a cesarzem nastąpił pokój w Nimwedze 6 lutego 1679 r. właśnie w czasie gorących rozpraw sejmu polskiego w Grodnie nad wojną turecką. Nikomu na myśl nie przyszło, żeby w takiej chwili, kiedy całe prawie chrześcijaństwo uspokoiło się na Zachodzie, rozpoczynać wojnę przeciw elektorowi, który sam jeden zmagał się z Francuzami i Szwedami nad Renem ostatnim wysiłkiem. Jan III zrozumiał tę chwilę, że niewielka nawet akcja mogła była przyprawić Brandenburgję o zupełną ruinę, ale dopóki trwały obrady sejmu nic sam zrobić nie mógł z obawy, aby nie ściągnąć na siebie oburzenia i Polski i całego świata chrześcijańskiego, do którego ofiarności i pomocy odwoływał się przecież z powodu zamierzonej „świętej wojny“ przeciw niewiernym!

Ludwik XIV, nie mogąc się doczekać pomocy ze strony Polski, zawarł pokój z elektorem, w czerwcu 1679 r. w St. Germain. Fryderyk Wilhelm, oburzony do ostateczności na cesarza (który w tajemnicy przed swymi sprzymierzeńcami, a zwłaszcza przed elektorem brandenburskim, zawarł był pokój z Francją), podpisał pokój w St. Germain i zrzekł się

zdobytego Pomorza, aby pospieszyć czemprędzej do Królewca, zagrożonego przez zbliżający się korpus szwedzki w sile 16.000 ludzi, pod wodzą Henryka Horna, brata zmarłego Gustawa. Zimą 1679 na 1680 r., wśród największych trudności, podążał sędziwy Fryderyk Wilhelm przez Berlin i polskie Prusy do Królewca, aby ostatnim wysiłkiem zebrać odpowiednią armję, z którą 30 stycznia 1680 r. rozbił Szwedów pod Kuckernese obok Tylży. Horn, zostawiwszy działa na Litwie, umykał pospiesznie, ścigany przez Michała Paca, hetmana w. l., przez Kurlandję do Inflant.

Kampanja pruska była skończona; Polska straciła ostatnią sposobność do odzyskania Prus książęcych.

Pokój francusko-brandenburski przemienił się wkrótce w tajne przymierze, wymierzone z jednej strony przeciw domowi austrjackiemu, któremu elektor poprzysiągł zemstę, z drugiej przeciw Polsce, którą Brandenburgja miała trzymać w karbach posłuszeństwa dla Francji! Pokój nimweski z cesarzem był oczywiście powierzchowny i krótkotrwały. Ludwik XIV, zająwszy w r. 1681 Strasburg, rozpoczął nową wojnę z Leopoldem I. Polska była mu oczywiście dalej potrzebna, tym razem już tylko wyłącznie przeciw dworowi wiedeńskiemu. Atoli położenie w Rzpltej zmieniło się na niekorzyść Jana III; Michał Pac odkrył tajne zamysły królewskie w sprawie zamierzonej wojny brandeburskiej i przebudowy Rzpltej w dziedziczne królestwo przy pomocy Francji. Rosła niechęć nie tylko przeciw królowi, ale i przeciw Francji, której przypisywano wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na Polskę za panowania Jana III. Przyczynił się do tego niepomyślny wynik wszystkich układów posłów polskich zagranicą. Rzym obiecał pomoc o ile przyjdzie do skutku liga polsko-austrjacko-moskiewska. Dwór wiedeński zasłaniał się wyczerpaniem w ostatniej wojnie z Francją i nową jej napaścią na Alzację. Ludwik XIV zaś przyrzekał pomoc, ale tylko wówczas, gdyby Turcy uderzyli na Polskę, pozatem odmawiał wszelkiej czynnej akcji przeciw Porcie z obawy o swe interesa handlowe na tureckim Wschodzie. Brzostowski wrócił z niczem z Moskwy, która w najgłębszej tajemnicy przed Polską układała się już o pokój z Turcją, zawarty niebawem, 10 stycznia 1681 r. W tych warunkach

nie można było myśleć o dalszej przyjaźni z Ludwikiem XIV, który w chwili najkrytyczniejszej dla Francji (w stosunku oczywiście do Polski) odwołał światłego i zręcznego margrabiego de Béthune, a na jego miejsce przysłał zupełnie nieudolnego margrabiego de Vitry, który Polski zupełnie nie znał i nie dorastał bynajmniej do swego wielkiego zadania, aby podtrzymać dawną przewagę stronnictwa francuskiego. Znaczenie jego upadało z dniem każdym, a rosło natomiast stronnictwo austrjackie za sprawą Rzymu, episkopatu polskiego i Jezuitów. Utrwalało się w społeczeństwie przekonanie, że tylko liga z domem austrjackim może zasłonić Polskę przed zemstą Porty, która, po zawarciu pokoju z Moskwą, czyniła gorączkowe przygotowania wojenne.

Innego atoli zdania był Jan III; wprawdzie o przywróceniu dawnych z Francją stosunków nie mogło być mowy; kto bowiem był przyjacielem Brandenburgji, nie mógł być przyjacielem Polski, wspólna zaś akcja nowego ambasadora francuskiego z posłem brandenburskim dawała dworowi polskiemu dużo do myślenia, Jan III, chociaż nie znał na razie warunków tajnego układu francusko-brandenburskiego (z 25 paźdz. 1679 r. i 11 stycznia 1681 r.), to jednak z rezultatów wspólnej pracy obu wspomnianych posłów przekonał się snadnie, że Francja dąży do stworzenia w Polsce zupełnie nowego stronnictwa, od niego zupełnie niezależnego. Jakoż istotnie tak było. Nowe a tajne stronnictwo francuskie było już zorganizowane, a twórcą jego był Andrzej Morsztyn, niedawny ambasador polski w Paryżu, który, ujęty olbrzymiemi dobrami ziemskiemi we Francji (Chasteauvillain, Marmesse, Coupray, Espillon, Creancey, Blessonville, d'Orges i Montrouge), jakie za zezwoleniem Ludwika XIV i częścią za jego pieniądze kupił był sobie w czasie swej ambasady, służył teraz Francji ku szkodzie własnej ojczyzny i z krzywdą własnego króla. Do nowego stronnictwa wciągnął Morsztyn Stanisława Jabłonowskiego, hetmana w. k.,[1]) wdę ruskiego, który był bożyszczem szlachty i żołnierzy. Ludwik XIV wysuwał go na przyszłego króla polskiego, w razie gdyby Jan III zbliżył się do Wiednia i dopuścił do ligi z cesarzem.

[1]) Po śmierci Dymitra Wiśniowieckiego.

Król polski, jakkolwiek mocne już miał zastrzeżenia przeciw obecnej polityce francuskiej w Polsce, to jednak odżegnywał się od ligi z cesarzem, pamiętając o tem dobrze, że nienawiść Leopolda I do niego, zarówno jak i królowej Eleonory i jej męża, ks. Karola lotaryńskiego, tytularnego króla jerozolimskiego, jest nieubłagana, że przed kilku zaledwie laty uknuł był dwór wiedeński przeciw niemu spisek przy pomocy Wiśniowieckich, że się nie cofał nawet przed pospolitą zbrodnią, która miała go usunąć z widowni, byle tylko utorować drogę do tronu Eleonorze i jej mężowi. Dlatego też Jan III nie zawahał się zerwać sejm warszawski (styczeń — maj 1681 r.) w ostatnim dniu jego obrad (przy pomocy wdy pozn. Grzymułtowskiego i posła pozn. Wł. Przyjemskiego), byle tylko niedopuścić do ligi z dworem wiedeńskim, którą właśnie sejm ten już był uchwalił. Wolał król ściągnąć na siebie niesławę u współczesnych i potomnych, niż się zbliżyć do dworu cesarskiego, którym miał prawo pogardzać.

A jednak Ludwik XIV nie poznał się na tym niezwykłym kroku, pełnym samozaparcia się i poniżenia; dlatego najmniejszego nawet ustępstwa nie chciał zrobić dla swego niedawnego sprzymierzeńca i przyjaciela. Nie przyznał mu nawet takiej drobnostki, jak książęcy tytuł dla jego teścia, lecz ufny w wszechwładne wpływy Morsztyna i Jabłonowskiego lekceważył jawnie cały dwór polski.

Zdrada Morsztyna została odkryta; Marja Kazimiera, przekupiwszy sekretarza ambasady francuskiej w Warszawie, dostała w swe ręce całą korespodencję margrabiego de Vitry i Morsztyna z Ludwikiem XIV. Wrażenie było piorunujące i dla Jana III i Ludwika XIV! Spełniły się najgorsze przypuszczenia dworu polskiego — Jabłonowski i Morsztyn zdrajcami króla i Rzpltej! Z Węgier przyszły również ponure wieści: w połowie lipca 1682 r. zdobyli powstańcy węgierscy, przy pomocy tureckiej, Koszyce, najsilniejszą twierdzę cesarską w Górnych Węgrzech. Turcy zagrażali już teraz Krakowowi, który oddalony był od Koszyc zaledwie o trzy dni drogi. Nowy sejm wzrszawski 1683 r. nie napotkał już żadnych trudności ze strony króla, który, w oburzeniu na Ludwika XIV i przerażony rosnącą potęgą Porty, podpisał 17 marca ligę św.

z najwstrętniejszym swym wrogiem, Leopoldem I. Stosunki z Francją zostały zerwane; Morsztyn ułaskawiony wyjechał do Francji, Jabłonowski zaś, przebłagawszy króla na klęczkach, zajął się gorliwie organizacją armji polskiej, którą wraz z królem poprowadził na odsiecz Wiednia.

Dr. Mieczysław Skibiński.

Władysław Reymont.

Człowiek i twórczość.

(Dokończenie.)

Rok 1912 rozpoczyna trzeci okres w życiu wielkiego pisarza. Rocznica Napoleońska wzbudza w nim zadumę historyczną. Życie bieżące, przyjaźń z Romanem Dmowskim nasuwa szereg zagadnień politycznych. Słowem występują nowe wartości. Z tych historyzm jest najważniejszy. Zresztą po generalnem wyładowaniu energji duchowej w „Chłopach" musiał nastąpić zwrot w kierunku refleksji i opanowania. Musiała pociągnąć artystę twórczość, wymagająca oprócz żywiołowego natchnienia — skupionej, rozważnej intuicji dziejowej. [1])

Inna sprawa, że w ocenie zjawisk dziejowych Reymont pójdzie za swoim temperamentem. Ciekawy przykład tego rodzaju oceny podaje Wojciech Dąbrowski. „Raz, pisze, a było to dawno, bardzo nawet dawno, bo właśnie kiedy druk „Chłopów" dopiero się rozpoczynał, siedzieliśmy przy

[1]) 7 lutego 1910 r. Reymont pisał do Pawła Cazina: „Mam zamiar napisać cały cykl powieści z dziejów naszych ostatnich powstań", a przedtem, „Przybędziemy w maju i mamy nadzieję zostać całą zimę w Paryżu, tembardziej, że zabieram się do wielkiej pracy historycznej (*Wiad. Liter.* 1926 Nr. 7). Wiosnę roku 1910 spędza Reymont w Paryżu. Studjuje historję. Świadomość historyczna rośnie, mnóstwo materjału wymaga syntezy. W czasie pisania „Ostatniego Sejmu" bezwarunkowo nasuwały się raz po raz zagadnienia historyczne. Metoda pracy była zupełnie inna, niż przy pisaniu „Chłopów". Wraz z nową powieścią (rok 1910—1911) tworzył się prawdopodobnie nowy człowiek, występowały nowe wartości. Koniec tego procesu przypada według nas na rok 1912. I dlatego tę datę uważamy za słup graniczny między jednym okresem życia a drugim.

stole restauracyjnym, mówiąc o dalszych jego planach. Rozmowa się urwała, upadła i nastąpiła chwila milczenia. Nagle Reymont się zerwał i, wszystkiemi dziesięcioma palcami odgarniając czuprynę w tył, zawołał.

Ot, wiecie co? Wyszlijcie mnie do Włoch, a ja Wam będę stamtąd pisał, i systematycznie, miasto po mieście, będę niszczył, niszczył i niszczył renesans.

— No, tak nie można. Są przecież rzeczy ładne...

— Ładne, ładne. Powiedzmy nawet piękne, nawet śliczne, ale to i wszystko. Co nam dał renesans? Dużo, bardzo dużo ładnych budynków, ładnych rzeźb, ładnych obrazów. których wadą zasadniczą jest, że ich jest za dużo, cała powódź domów, kościołów, posągów i obrazów. Rzeka zimna, zamarznięta, z pod której lodu nie mogła wydobyć się prawdziwa twórczość oryginalna. Co jest wadą i winą renesansu? To właśnie, że jest renesansem, że jest „odrodzeniem", powtarzaniem, naśladownictwem a nie oryginalną „twórczością"

Ile w tym sądzie jednostronności i uprzedzenia łatwo się domyśleć. Z Pamiętników Benwenuta Celiniego dowiadujemy się takich zawadjackich, burzliwych, łobuzerskich, warcholskich, kawalerskich historyj, że niechaj się Imć pan Pasek ze wstydu do mysiej dziury zaszyje. Przy odrobinie chęci i cierpliwych szperań erudycyjnych — mógł renesans wprost olśnić Reymonta, jako przejaw jurnej, trochę dzikawej rasy. Ale to tylko na marginesie. Z anegdoty Dąbrowskiego wynika, jasno jak na dłoni, że Reymont w zjawiskach historycznych dopatrywać się będzie przedewszystkiem samorodnej siły plemiennej. Zaimponuje mu zawsze wigor, tupet, rasa. Od małpowania, bierności, od rozlazłego kosmopolityzmu odwróci się ze wzgardą. Więcej waży sobie dzikość, niż mazgajskie przecywilizowanie. Oto zakończenie druzgoczącej filipiki Reymonta przeciwko renesansowi: „A że był tak niezwykle płodny, tem gorzej. Bo ciężarem tej swojej płodności przygniótł całą twórczość europejską, zabił na setki lat odrębność sztuk narodowych, zubożył sztukę międzynarodową, odbierając indywidualność i rozmaitość jej części składowych".

Wiemy już o tem, że Reymont wyrósł w atmosferze „Głosu" warszawskiego. Najwybitniejszy pisarz i działacz po-

lityczny tego obozu, Roman Dmowski, wyobraża swoisty typ umysłowości. Jasność i prostota łączy się w nim z głębią; ścisłość — ze szczególnym polotem, który sprawia, że pisma Dmowskiego wprowadzają nas bezpośrednio w tok życia politycznego minionej epoki. Nie są to dzieje partji. Raczej dzieje pewnych prądów społecznych, dzieje powstania i rozrostu nowożytnego społeczeństwa w Polsce. Dmowski w opowieści swej zachowuje spokój przyrodnika. Posiada zmysł epicki. Proces demokratyzacji i uświadomienia narodowego bada biologicznie. Reymont (śmiem twierdzić) ujawnia pokrewne nastawienie psychiczne w stosunku do zagadnień życia bieżącego i do przeszłości. Nie turbuje społeczeństwa koszmarami pesymizmu, nie rozbija tablic z przykazaniami, nie ściąga gromów. Zachowuje spokój. Jest objektywnym kronikarzem rasy. Uwagę jego pochłania dziejowy rozwój różnych warstw bytu współczesnego. Istny geolog. Nie ulega wątpliwości, że chłopstwo stanowi warstwę najgrubszą. W niem się nagromadziła największa ilość soków żywotnych. Ponadto, gdzie szukać źródeł heroicznej energji narodowej, której przemóc nie mogły lata niewoli? Wypłynęła ona niezawodnie także z dawnej szlachetczyzny. I oto tutaj myśl Reymonta zwróciła się do chwili — a była to chwila narodzin Polski nowożytnej — w której szlachetczyzna i chłopstwo wspólnym wysiłkiem dźwigały ojczyznę, chylącą się do upadku! Tak powstało drugie po „Chłopach" dzieło, opiewające wspaniałość rasy polskiej: trylogja historyczna „Rok 1794".

Zaciężył nad nią urok artyzmu Sienkiewiczowskiego, artyzmu, który lubuje się w roztaczaniu szerokich horyzontów, wypełnionych szczelnie tłumem ludzkim i w wydobywaniu świateł z mroków powszechnego upadku, rozstroju, obyczajowej zgnilizny. Reymont, jak ongi Sienkiewicz, wyczuwa w dziejach przedewszystkiem zwycięską rasę i na tem doznaniu buduje wysoce znamienną wiarę w żywotność narodową, wiarę, którą możnaby nazwać biologicznym optymizmem. Z rycerzami z pod Baru i z pod Częstochowy obcował Reymont od zarania lat młodzieńczych. Podobno rozczytywanie się w „Panu Wołodyjowskim" zachęciło go do zawarcia aljansu z Muzą powieściową. Zresztą w „Roku 1794" tu i ówdzie przewinie się jakaś postać, zabłyśnie jakieś

światło, zdradzające zachwyt dla dostojnego mistrza. Wszak czupurna, kawalersko usposobiona Ceśka, odrazu przywodzi na myśl Baśkę Wołodyjowską; Sewer wpada od czasu do czasu w ton Kmicicowego animuszu (n. p. zwarjowana sanna) lub rycerskiej cnotliwości Skrzetuskiego, a duchowe zmagania się Kościuszki, jego okrutna, samotna męczarnia, zamieniająca noc w katownię, a godziny — w narzędzia tortur, żywo przypominają wewnętrzną tragedję księcia Jeremiego Wiśniowieckiego.

Genezę trylogji Reymontowskiej, jej założenie ideowe — wyjaśniają w znacznej mierze następujące wspomnienia Zygmunta Wasilewskiego. „Pytałem go, co po „Chłopach" zamierza pisać: Powieść historyczną, odrzekł. Przy tem odrzucił nerwowo obu rękami włosy od skroni i rzucił okiem na obecnych, jakie to zrobi wrażenie. Wiedział, że każdy będzie zdziwiony. Pytałem, co to będzie. Miała to być trylogja taka: rok 1794—1830—1863. Wydało mi się to w twórczości Reymonta logicznem. „Chłopi", „Z Ziemi Chełmskiej", studja poprzednie nad społeczeństwem nowożytnem polskiem, jak „Ziemia Obiecana" to były przygotowania do epopei Polski nowożytnej... Z opowiadania jego, z kilku urywanych wyznań było widać, że paliła się w nim żądza pokazania społeczeństwa, które zna, którem żyje, w jego ewolucji ostatniej. Miały to być dzieje powstania nowożytnego społeczeństwa polskiego. Pociągał go w tę stronę nie kult dla tej lub innej postaci historycznej, czy też dla jakiegoś szczególnego momentu wydarzeń, lecz ogół zjawiska, cały proces ruchu narodowego. To było w jego wyznaniach charakterystyczne, że właściwie pałał chęcią dokonania studjum nad szlachtą. Po chłopach szlachta. W dziejach nowożytnych widział chlubną kartę życia szlachty, która zalewała się krwią w powstaniach".

Charakterystyka szlachetczyzny wypadła w trylogji po Reymontowsku — bujnie, hucznie, soczyście i, trzeba dodać, wszechstronnie. Wchodzimy w duszę ówczesnego pokolenia. Czujemy tchnienie innych czasów. Mistrz dobrał do swego wizerunku farb najstosowniejszych. Wykazał pędzel zgoła Matejkowski, nieoszczędny w szafowaniu tłumem i ogromem. Wystawił mniej więcej wszystko, cokolwiek było w Polsce

przedinsurekcyjnej: warcholstwo, sarmatyzm, jurgieltnictwo, pieniactwo, prywatę, zgniliznę moralną — aż do heroizmu i oddania się duszą i ciałem Ojczyźnie. Poszedł wgłąb. Wczuł się w kulturalną atmosferę epoki. Zobrazował wzrost, rozwój, upadek i wzajemne oddziaływania — różnych prądów przyzwyczajeń i mód. Możemy zdejmować z duszy ówczesnego pokolenia warstwę po warstwie, a więc: ostatki Sasczyzny, ideologję encyklopedystów i Sejmu Czteroletniego, wierzenia Barszczan, kosmopolityczny epikureizm wieku Oświecenia, wpływ haseł Wielkiej Rewolucji, doktrynerję masońską i tak dalej — aż do najgłębszych pokładów, do cech pierwotnych, rasowych. Rasa zaś jest zawsze ta sama — oporna, żylasta, rogata. Djabła nosi za pazuchą. Wprost odruchowo przypominamy sobie znamienny epizod z pierwszej księgi Reymontowego eposu: bal u Siewersa. Tłum jurgieltników, oczajduszów, zgniłków, poświeciuchów, totumfackich, zauszników, bukiet kurtyzan, plotkarek, naiwnych cieciorek, dewotek, wolterjanek, ciżba lokajska, orgja świateł, bachanalja strojów, obsianych klejnotami — w złoconych zwierciadlanych komnatach ambasadorskich. Wśród nich — Zaręba, rycerz sprawy insurekcyjnej, błąka się z kąta w kąt. Obziera tancerzy. „Zaręba obzierał ich z niemałem ukontentowaniem i niechybnemi oczyma werbownika obmacywał te bycze karki, spowinięte muślinami halstuchów, rozrośnięte mocarnie gnaty, opięte w przyciasne fraczki, sprężyste jelenie nogi, żylaste ręce i otwarte, szczere twarze, przerobione na pokaz i modną manierę. I z radością myślał, jak ktoś władnie krzyknie na całą Rzeczpospolitą: „Do broni! Na koń“ — jak to w mig oblecą z nich barwiste szatki, krew zagra, serca sprężą się męstwem i znajdą się tam wszyscy, gdzie być powinni, w polu, nieustraszenie zastawiając drogę wrogowi“.

„Rok 1794“ jest epopeą — syntetyczną. Syntetyzuje szereg żmudnych wysiłków myślowych, syntetyzuje metodę twórczą i właściwości artyzmu Reymonta. „Ziemia Obiecana“ i „Chłopi“ wyniknęły z analizy poszczególnego stanu lub poszczególnego zjawiska społecznego, trylogja obejmuje wiele stanów: szlachtę, chłopstwo, mieszczaństwo i cały zespół zjawisk społeczno-kulturalnych. W „Chłopach“ i w „Ziemi Obiecanej“ — Reymont cieniuje wszystkie szczegóły akcji, w try-

logji posługuje się metodą skrótów. W „Chłopach" i w „Ziemi Obiecanej" jednostki wyobrażają charakter pewnej warstwy społecznej i pewnego środowiska kulturalnego, w „trylogji" charakter kulturalny i społeczny pewnej epoki scharakteryzowany jest za pomocą odpowiednio dobranych jednostek. W „Chłopach" przyroda jest zanalizowana przez pryzmat duszy chłopskiej, w trylogji występuje jako syntetycznie zarysowane tło akcji. W „Chłopach" i w „Ziemi Obiecanej" pierwiastek bukoliczny i urbanistyczny występowały samoistnie, w trylogji przeplatają się nawzajem. Styl „Chłopów" i „Ziemi Obiecanej" usiłował wydążyć za wszystkiemi odcieniami, odtwarzanej artystycznie rzeczywistości, w trylogji zabiega o podporządkowanie szczegółów cechom typowym; tamten bywał niekiedy rozwlekły ten jest zawsze lapidarny.

Wreszcie trylogja jest jedynym, a dodajmy, wspaniałym, objawem zamiłowania Reymonta do wątków historycznych i historycznego na świat spojrzenia. „Widziałem go przy pracy, mówi Dębicki. Widziałem go obłożonego stosem kalendarzy z wieku XVIII-go, pochodzących z jedynej tego rodzaju kolekcji Józefa Weyssenhofa — niestety dzisiaj już rozbitej, wędrującej po atykwarniach. Czego szukał Reymont w tych kalendarzach? Oto rozglądał się przedewszystkiem w ogłoszeniach, w anonsach ówczesnych, „kafeehauzów" sklepów, miejsc rozrywek. Notował nazwiska, adresy. W ten sposób wchodził w „realne" życie ówczesnej Warszawy, odtwarzał, a gdzie nie mógł odtworzyć, tam odgadywał Warszawę z czasów Stanisława Augusta i Kilińskiego".

Byłoby jednak rzeczą nierozsądną zamykać oczy na niedostatki powieści. Są one nazbyt widoczne. Przedewszystkiem razi brak filozoficznego pogłębienia epoki, brak indywidualnej syntezy historjozoficznej. Dzieło sprawia wrażenie galerji luźnie ze sobą powiązanych obrazów. Ostatecznie chodzimy od malowidła do malowidła, zachwycamy się żywością barw, przepychem artyzmu, ale nie umiemy wywołać w sobie poczucia organicznej całości. Między Reymontem a dobą przedinsurekcyjną stanęła, jak złowrogie widmo: papierowa wiedza historyczna. Reymont bywa nadmiernie pokorny wobec historycznego komunału. Powtarza oklepanki, znane z podręczników (n. p. w opisie Sejmu Grodzieńskiego),

wygłasza sądy utarte i wyświechtane (n. p. w zakończeniu „Insurekcji") puszcza się na płytką wodę morałów, wątpliwej oryginalności (rozsiane są one na wszystkich niemal stronicach trylogji). Czujemy, że przedmiot jest dla „Niego" obcy. Odnosi się to zwłaszcza do „Insurekcji". Rozmach epiczny słabnie tu najwyraźniej. Coraz częściej trafiamy na martwe punkty. A rzecz znamienna, iż wypadają one właśnie wtedy, gdy wysuwa się konieczność odrzucenia pędzli malarskich, a wzięcia do rąk lancetu analizy psychologicznej. Cięcie zawodzi prawie zawsze. Krew nie wypływa. Zdania — ciurkają letnią wodą bladych ogólników i spowszedniałych sentencyj. O ile świetnie na kartach trylogji zarysowuje się biologiczna jurność narodu, o tyle niedokrwiście i wątło przedstawia się tam jego wartość intelektualna, jego najgłębszy tragizm, który wynikał ze świadomego staczania się w otchłań upadku i hańby. Reymont nie odbolał w dostatecznym stopniu epoki. Chwalebny skądinąd optymizm gniewa nas w danym razie. W dodatku pisarz go nie uzasadnił. Musimy wierzyć mu na słowo. Ostatecznie bowiem insurekcja skończyła się w dziejach — klęską. Trudno o tem zapomnieć przy czytaniu powieści, w której nie oszczędzano barw czarnych jak sadza, i z zaciekłością piętnowano upodlenie społeczeństwa. A było tego niemało! Wreszcie trudno darować Reymontowi, nieskazitelnemu artyście, że obok wykwintnych gobelinów (ogród Siewersa, wnętrze mieszkania Barssów), zawiesza mizerne oleodruki (przysięga Kościuszki na Rynku Krakowskim), że zamiast oprzeć się na bezpośredniem wżyciu się, wolał sięgać po zapylone rekwizyty do lamusa historycznej erudycji. Zasadnicza wada trylogji zawiera się w nieopanowaniu materjału przez twórcze, oparte na wysiłku intuicji, przeżycie. Przedmiot okazał się dłuższy od przeżycia. Powtórzyła się stara legenda o łożu Prokrusta, z tem zastrzeżeniem, że tutaj należało użyć jednego tylko sposobu, mianowicie: obciąć przedmiot.

Reymont był szczerze przywiązany do swego dzieła, owocu długiej krzątaniny i długich rozmyślań. Czuł się dotknięty obojętnością krytyki i czytelników na artystyczny urok oraz dostojność myślową swej historycznej epopei.

„Rok 1794" drukowany był w *Tygodniku Ilustrowanym*

od r. 1913 do r. 1918. Reymont snuł swoją epopeę przy odgłosie armat i w chwilach najstraszliwszego rozpętania żywiołów zła i upodlenia. Tem większy podziw wzbudza szlachetny optymizm, spiżowy hart, oraz niezłomna wiara w zwycięstwo ojczystego plemienia, które wieją z kart tej rycerskiej księgi.

* * *

Wojna skołatała Reymonta. I chociaż był zdala od pobojowisk, bo czas wojenny spędził częścią w Warszawie, częścią w Zakopanem, wyniósł z niej poszarpane serce inwalidy. Bo jakżeż? Wróg zamieniał w perzynę wsie. Trzebił miasta. Tuczył się krzywdą. Konie najedźców tratowały złotokłose żyta. Chłop szedł w poniewierkę. Wychodził z chałupy zdrów i cały. Wracał — kuternogą, kaleką, połamańcem, albo ślepia miał wyżarte przez złośliwe dymy. Ludzie siedzieli tygodnie i miesiące w norach, w dołach kartoflanych. Na polach gospodarowały kule armatnie. A tu trzeba było orać i siać. Reymont zrozumiał, dotarł aż do dna wojennej chłopskiej filozofji. Opisał ją w szeregu nowel, objętych później wspólnym tytułem „Za frontem" (1919 r.). Są to dokumenty bohaterstwa i upodlenia pisane krwią serdeczną. Cyrograf, wystawiony barbarzyństwu i wzniosłości. Wojna, jak to się widzi w nowelach Reymonta, wydobywa z duszy ludzkiej wszystko: lęk mistyczny, upór przetrwania, cynizm i okrucieństwo, graniczące ze zwierzęcością. Jakkolwiek *Za frontem* powstało głównie dla upamiętnienia dramatu wsi polskiej — posiada jednak wartość ogólno-ludzką jako monument zwycięskiej energji twórczej nad żywiołami doszczętnej zagłady. Przeciwko Lucyferowi wojny występuje Michał Kozioł, gospodarz ze wsi, obstrzeliwanej zewsząd przez wroga: Michał Kozioł, który zakłada veto przeciw kulom, chichoczącym na jego polu i orze zagon ojcowski dotąd, póki go nie wytropi śmierć nielitościwa. Przeciwko Lucyferowi wojny — występuje garstka mistyków, wynosząca z rozwalonego granatami kościółka Sanctissimum i niosąca je gdzieś w bezkres przy chichocie zbłąkanych pocisków, przeciwko Lucyferowi wojny występują ci wszyscy nędzarze, bez dachu nad głową, bez łyżki gorącej strawy, którzy mimo wszystko oburącz trzymają się ludzkiej godności i twardego obowiązku. Z kart

wojennej księgi Reymonta przemawia optymizm, graniczący z tragizmem, optymizm wydobyty tragicznym wysiłkiem woli z rumowisk świata.

Po Traktacie Wersalskim — Reymont stał się chlubą wielkiej niepodległej Ojczyzny. Pomyślano o jego sławie. „Na wiosnę 1918 r., pisze Stanisław Wędkiewicz, „Akademja Umiejętności" w Krakowie przedstawiła Szwedzkiej Akademji kandydaturę Władysława Reymonta. Bawiłem wówczas w Sztokholmie i otrzymałem od ś. p. Ulanowskiego, generalnego sekretarza krakowskiej Instytucji, polecenie wręczenia komu należy dotyczących papierów, zarazem zaś wybadania, jak przedstawiają się szanse polskiego autora. Zacząłem wywiad od życzliwego polakom, znawcy słowiańskich języków i literatur wice-dyrektora Bibljoteki Nobla — Alfreda Jensena. Wiedziałem, że on to sporządza referaty z zakresu słowiańszczyzny, że więc jego opinja i pomoc w pierwszym rzędzie wchodzą w rachubę. Jensen czytał „Chłopów" w oryginale i odrazu uznał wybór „Akademji Umiejętności" za trafny, chociaż nieukrywał, że trudności będą niemałe. Odznaczenie Sienkiewicza w świeżej było pamięci, zwycięstwo więc drugiego polaka nie wydawało się prawdopodobne, tem więcej, że żaden z innych narodów słowiańskich nie zdobył jeszcze laurów Nobla.

Prezesem Komitetu Nobla był podówczas prof. Uniwersytetu w Upsali Harald Hjärne. Mąż wielce szacowny, umysł trzeźwy (stąd jego niechęć do romantycznych mrzonek piśmiennictwa polskiego), znawca rzeczy, dotyczących Polski, Rosji, a nawet Dalekiego Wschodu. Zażywał też niemało rozgłosu. Zdanie jego bodaj że rozstrzygało wszelkie spory, wchodzące w zakres działalności Komitetu. Do niego wtedy zwrócił się Stanisław Wędkiewicz z zamiarem wybadania wszelkich okoliczności, zarówno przyjaznych jak wrogich polskiemu kandydatowi. Prof. Hjärne oświadczył bez namysłu:

„Reymonta nie czytał, nic o nim dotychczas nie słyszał. Nagrody Nobla podczas trwania wojny Polak nie uzyska, gdyż bądź co bądź widzianoby w tem manifestację polityczną, niedogodną dla neutralnej Szwecji. Po ukończeniu zawieruchy bojowej nie jest to wykluczone. On sam do ro-

syjskiej literatury czuje niechęć, jako do rozsadnika anarchji społecznej i nie chciałby Rosjan odznaczać. Literaturę polską zna i stawia jej ideologję bardzo wysoko. Trzeba tedy niezwłocznie zorganizować kampanję w Szwecji. A mianowicie zacząć od przekładu „Chłopów".

W ten sposób całą sprawę odłożono do stosowniejszych okoliczności, a tymczasem zakrzątnięto się około przekładu pism Reymonta. Przekład niemiecki już istniał, w dodatku wyśmienity. Dokonał go Jan Kaczkowski (pseudonim Jean Paul Ardeschah) późniejszy konsul w Rotterdamie. *Die polnischen Bauern* wyszły z pod prasy w Jenie, sumptem niejakiego Diederichsa, na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Z racji wojennych zamieszek pan Diederichs nie mógł rozsprzedać całego nakładu, na co się mocno użalał jeszcze w ubiegłym roku. Bądź co bądź on to, wespół z Kaczkowskim, ufundował zagraniczną sławę Reymonta. Dokonania przekładu „Chłopów" na angielszczyznę podjął się Dziewicki, lektor Wszechnicy Jagiellońskiej. Ale firmy zaczęły grymasić, dojutrkować i przekład ugrzązł aż do roku 1924. Z francuzów wsławił swoje pióro przekładem „Chłopów" Frank L. Schoell. Niestety, było to już po przyznaniu Reymontowi nagrody Nobla. Paweł Cazin, świetny stylista, niezrównany tłumacz „Pamiętników" Jana Chryzostoma Paska — wyraża się o tym przekładzie z uznaniem. Bardziej wytrawnego znawcy daremniebyśmy szukali. Cazin humanistów polskich czytuje do poduszki. Głównie jednak chodziło o poruszenie opinji szwedzkiej.

Oczy polskich medjatorów spoczęły na prof. Böoku. Wysunął się on podówczas na czoło intelektualnego świata Szwecji. Po śmierci prof. Hjärne wybrany został na członka szwedzkiej Akademji. Zyskał sobie rozgłos pracami naukowemi, zwłaszcza znakomitą monografją o Ezajaszu Tegnerze. Był też świetnym, błyskotliwym publicystą i zamiłowanym podróżnikiem. Zwiedził Polskę w czasie okupacji i wrażenia z tej wycieczki opisał w *Resa till Tyskland och Polen* (1916). Prof. Böok pochodzi z ludu. Jest zapalonym demokratą. Żywi sentyment dla motywów ludowych w piśmiennictwie. „Chłopi" Reymonta zachwycili go. Wyraził też swój podziw dla arcydzieła w czwartym tomie *Szkiców krytycznych*. Opinja

prof. Böoka utorowała Reymontowi drogę do kieszeni wydawców szwedzkich.

W dziejach światowej sławy Reymonta, imię pani Ellen Wester zapisało się złotemi głoskami. Ona to, nie szczędząc wysiłku, dokonała przekładu „Chłopów" na język szwedzki. Włożyła w tę pracę ogrom entuzjazmu, ogrom erudycji językoznawczej. Dzięki niej Reymont stał się pisarzem znanym w Ojczyźnie Nobla. Jednocześnie z wypuszczeniem w świat pierwszego tomu przekładu (1920 r.) pani Wester, zaszły wypadki, które obok Reymonta wysunęły Żeromskiego, jako drugiego kandydata do nagrody Nobla. Głównym powodem tej nagłej zmiany był obfity napływ powieści chłopskich z Norwegji i to nie byle jakich autorów, bo Knuta Hamsuna, Olafa Duuna i Sigfridy Undset. Obawiano się spowszednienia tematów chłopskich. Wspomniany już raz Jensen oraz młody slawista, docent Högskola w Göte-bergu, Stender Petersen, popierali kandydaturę autora „Popiołów". Jensen zetknął się osobiście z Żeromskim w letnich miesiącach roku 1921, i był oczarowany Jego osobistością. Ale prof. Böok nie podzielał entuzjazmu swoich kolegów. Raził go w pismach Żeromskiego liryczny chaos, czad społecznictwa, a przedewszystkiem „bezgraniczny nacjonalizm". Stender Petersen stoczył z prof. Böokiem ostrą batalję. Mimo wszystko, „szanse Żeromskiego zmalały do zera". Pozostał tylko Reymont.

Prywatne życie wielkiego pisarza układało się teraz dosyć pomyślnie. Wkrótce po wojnie nabył majątek Kołaczków, opodal Wrześni, wsławionej katowaniem dzieci polskich. Większą część roku spędzał w zacisznym dworze. Pozatem odwiedzał Warszawę i jeździł zagranicę. Dwór w Kołaczkowie zyskał sobie rozgłos staropolską gościnnością. Ściany jego rozszerzały się na przyjęcie zbłąkanych wędrowców a drzwi były zawsze otwarte. Kwitł tam obyczaj, opisany w „Pieśni o ziemi naszej" Wincentego Pola. „Nie można zaś uczynić większej radości Reymontowi, wspomina Kornel Makuszyński, jak odwiedziwszy go w jego Kołaczkowie, majątęczku ślicznym, niedaleko Wrześni. „Pan dziedzic" wpada wtedy w roztkliwienie i jest rzewny... Byłem tam niedawno, bo w sierpniu (1924 r.) i widziałem na własne oczy tę opętańczą, cudowną gościnność, a tak prostą, że się

człowiekowi dobrze czyni na duszy... Śliczny dom, och naprawdę śliczny, wśród bukietów drzew, pełen jest złotej poświaty, w dzień naprażony słońcem, wieczorem zaś złotem, migotliwem i najmilszem światłem woskowych świec, co po całym domu się wałęsa, przed gościem bieży i pokazuje mu śliczne rzeczy: stare mahonie, połyskujące złocone grzbiety niezliczonych książek, obrazy, w świetle tem tęczowe szmatki różnobarwne, porozwieszane na ścianach i wszędzie, kwiaty, kwiaty, kwiaty".

W życiu codziennem, w gronie przyjacielskiem, Reymont był niesłychanie miły, serdeczny i prosty. Zniewalał serca wszystkich, którzy mieli sposobność z nim się zetknąć. Szczególną sympatją otaczał „młodą literaturę", która też baraszkowała w Jego domu, jak u siebie. Działo się to zwłaszcza wtedy, gdy Reymont zjeżdżał do swojej warszawskiej kwatery na wieży domu Gebethnerów i Wolffów. Była to kwatera, jak powiada Makuszyński, nieco zwarjowana i tak mizerna, że człowiek nie mógł się wydziwić, jak zdołał w niej Reymont napisać takie ogromne książki. Ale za to czas upływał tam wesoło na gawędach i facecjach, jak nigdzie w świecie. Reymont lubił koncepta i anegdoty; w myśl staropolskiej maksymy „dobry żart tynfa wart", za żart płacił żartem i zaśmiewał się do łez. „Wiele stracił, wspomina Makuszyński, ten, kto nie widział zwarjowanych posiedzeń w kąciku Loursea przez kilka lat ostatnich. Literaty, aktory, malarze i Reymont — pociecha pociech. Mieczysław Frenkiel „prezes stołu" z nosem, o którym Grano powiada, że „idzie przed nim jakiś kwadrans drogi" opowiada anegdotę, albo udaje śmiertelną kłótnię z Kazimierzem Kamińskim. To były jedyne wesołe chwile Reymonta, mrużącego oczy od nadmiaru radości i targającego czuprynę z nadludzkiej uciechy. „Zasiadając do biurka, Reymont natychmiast się zmieniał. Twarz posępniała. Bił z niej upór i zaciętość twórcza. Nikł dobrotliwy uśmiech. Reymont skupiał się, mobilizował myśli i pisał. Pisał zawzięcie dniem i nocą, wypalając setki papierosów" stawiał uparcie, nieznużenie litery staranne, dziwacznego charakteru, prawie prostopadłe, do klinowego pisma podobne.

Wiadomość o nagrodzie Nobla ucieszyła Reymonta

głównie ze względu na zaszczyt, jaki spływał stąd na polskie piśmiennictwo. Jak mógł wykręcał się od wszelkich wywiadów i uroczystości. Paryż, do którego zajechał, wracając z Riviery do kraju, wymęczył go nad wyraz. Poeta rad schronił się w zaciszu wiejskiem.

Decyzja Akademji szwedzkiej była dużą niespodzianką dla zagranicy. Prasa angielska i szwedzka dosyć ostro wyrażały swoje niezadowolenie. Posypały się przycinki i sarkazmy. Jesienią roku 1924 wiedziano wprawdzie, że Reymont jest bardzo poważnym kandydatem, ale doprawdy nikt nie przypuszczał, aby pobił swoich współzawodników i z kandydata wyrósł na zwycięzcę. Tembardziej, że współzawodnicy posiadali głośne w Europie imiona, a nadto, rzecz niezmiernie ważna: poparcie własnych rządów. Krótko mówiąc, robiono im sławę, nie szczędząc wydatków i gardła. Pod tym względem polski kandydat wyglądał jak kopciuszek. Deptano mu po palcach. Trącano. Ustawicznie lekceważono jego obecność. Wszystkie szowinizmy sprzysięgały się przeciw niemu. Hiszpanie wysunęli Blasco-Ibaneza, frankofila, pisarza o wulgarnem zacięciu, Niemcy — Tomasza Manna, trubadura pangermanizmu, znawcę życia narodowego, świetnego artystę, Rosjanie — Maksyma Gorkiego, czerwonego radykała, niezrównanego malarza typów i okolic nadwołżańskich. Norwegowie — Sigfridę Undset — poetę wsi norwegskiej i cichych fiordów. A jednak wszystkie te nazwiska odpadły. Gorkij — za radykalny, Ibanez — zbyt jaskrawy, jak oleodruk, Mann — (było to jeszcze przed Locarno) — bądź co bądź nie wypada. Ostatecznie uwaga Komitetu skupiła się na dwóch rywalach, Hardym i Reymoncie. Tomasz Hardy, ośmdziesięcio-pięcioletni starzec, zajął w piśmiennictwie angielskiem lat ostatnich, stanowisko odrębne i samoistne. Jego twórczość tchnie grozą i posępną wiarą w ślepe działanie przypadku, nadomiar takiego przypadku, który jest niejako celowy w swem okrucieństwie. Źródłem natchnienia było dla niego bardzo często rodzinne ustronie wiejskie i prosty obyczaj chłopski. Chłop w powieści Hardyego uosabia tragiczny związek duszy ludzkiej z siłami materjalnemi. Nie burzy się jednak angielski poeta przeciwko temu związkowi. Nie podejmuje walki z szatanem. Jest sceptykiem.

W dziedzinie spraw etycznych — amoralistą. Umysł posiada głęboki, wypróbowany w ogniu najwyższej kultury. Artyzm jego sięga tych wyżyn, gdzie treść i słowo są czemś jednoznacznem jak kwiat i zapach. Mniemano powszechnie, iż aury Nobla ozdobią skronie sędziwego mistrza. Tymczasem dnia 13 listopada 1924 r., w czwartek, Akademja szwedzka ogłosiła zwycięzcą Władysława Stanisława Reymonta.

Pisarz polski zjednał sobie areopag idealizmem i religijną wzniosłością chłopskiej epopei. Prasa skandynawska przyjęła laureata niezbyt gościnnie. Zarzucała Akademji chłopomanję i to dosyć gruboskórną. „Idealnym typem chłopa pisał sztokholmski *Social Demokraten*, jest podług Akademji nie chłop, pragnący oświaty, chłop ze Szwecji, Norwegji lub Danji, lecz obojętnie lub zupełnie wrogo w stosunku do nauki usposobiony chłop hiszpański, polski, lub wschodniogotlandzki. Anglja zachowała się politycznie. Nie mogąc zbyt jawnie ukazać rogów obrażonego szowinizmu, wzięła pod swój protektorat... Gorkiego, coś jakby egzotyczną kolonję osobistego rankoru. Najpoważniejsze artykuły zjawiały się w prasie niemieckiej. Czytało się tam prace świetne zarówno pod względem treści, jak i sposobu ujęcia. Stender Petersen, szwedzki przyjaciel autora „Popiołów", skreślił nazajutrz po ogłoszeniu decyzji Akademji, charakterystykę porównawczą Reymonta i Żeromskiego. Głównym zrębem tej charakterystyki jest antyteza, użyta zręcznie a przeprowadzona umiejętnie. „Z pośród współczesnych polskich autorów, pisze młody slawista, dwóch tylko mogło uchodzić i uchodziło istotnie za kandydatów do nagrody Nobla. Jednym był Reymont, a drugim Żeromski... Żeromski pełen kontrastów, egocentrycznie zorjentowany, badacz nierozwiązanych problemów i zawiłych wątpliwości, jest namiętnym niespokojnym intelektualistą, Reymont — to stateczny i harmonijny poeta, który zdobył jednolite i konsekwentne spojrzenie na świat i we własnej duszy zawarł ośrodek zagadnień. Nigdy nie powiodło się Żeromskiemu osiągnąć Reymontowej mocy w tworzeniu zwartych, z jednej bryły ukutych, arcydzieł, ani też z nim razem przeniknąć świata zjawisk na podstawie spokojnej, niczem niezmąconej poetyckiej wizji, natomiast zawsze przewyższa Żeromski Rey-

monta głębią uczucia, wielostronnością artyzmu i wspaniałością języka".

Takie są dzieje światowej sławy Reymonta. Zdobyła ona dla naszego piśmiennictwa stanowisko mocarstwowe. Zmusiła Zachód do głębszego zajęcia się kulturą polską. Imię Reymonta uczyniła symbolem, skrótem niejako pewnego okresu narodowej cywilizacji, mianowicie tego okresu, który łączył lata osiemdziesiąte z początkiem istnienia Rzeczypospolitej wyzwolonej... Powieść Reymonta — to jakby wykres wszystkich sił, które działały wtedy w narodzie. Dzięki niej wchodzimy w istotę procesu rozwojowego, więc zgłębiamy zagadkę fenomenalnego rozrostu industrji, oraz jego wpływu na budowę społeczeństwa (Ziemia Obiecana), docieramy do najpierwotniejszych instyktów rasy i oburącz próbujemy wytrwałości najszerszej demokratycznej postawy narodu — chłopstwa (Chłopi), wreszcie wstrząśnięci rokiem 1905 i męczeństwem unitów, uczymy się trzeźwej oceny wypadków bieżących, wiążąc je z całością dziejów narodowych i stwierdzając, że mimo najokropniejszych prześladowań, życie narodowe nie zamiera i nie zamrze, gdyż jest nieśmiertelne. W ten sposób w pismach Reymonta ma Europa obraz Polski heroicznej, niezłomnej w swym ustawicznym wysiłku do rozwijania pełni energji plemiennej, nawet w tych okolicznościach, które zagrażają wszystkiemu śmiercią.

* * *

Pomiędzy rokiem 1923 a 1925 dokonała się w duszy Reymonta głęboka, acz nieuchwytna zrazu, przemiana. Spowodowały ją różne czynniki. Przedewszystkiem układ stosunków w Polsce niepodległej. Reymont był niesłychanie wrażliwy na wszelkie niedomagania Ojczyzny. Odbolał każde niepowodzenie. Duszę jego zasępiały mrokiem pożogi wojenne, szalejące u granic Rzeczypospolitej. A gdy w r. 1920 barbarzyństwo wschodnie docierało już do stolicy, wówczas Jego wylękłym oczom zamajaczyły apokaliptyczne, złowrogie obrazy. Przytem nawiedził go mistycyzm, umacniany ówczesną zbiorową ekstazą religijną. Patrząc na Gehennę współczesnej Rosji, Reymont jakby stracił na chwilę

wiarę w dostojność rodu ludzkiego. Zjawił się w jego duszy gość, dotąd niewidziany — pesymizm. [1])

Kłótnie i warcholstwa sejmowe, wyuzdane lichwy i zdzierstwa, wśród ludności ostatecznie znędzniałej, niechlujność etyczna jednostek czołowych, rozwydrzenie demagogji, grasowanie próżniactwa, jątrzenie się sprawy żydowskiej — wszystko to jeszcze bardziej pogłębiało ów nastrój mistyczny.

W takiem rozgoryczeniu, w takiem rozbiciu ducha — zasiadł Reymont do pisania fantastycznej klechdy zwierzęcej p. n. „Bunt". Snują się tutaj w tej dziwnej opowieści o dziejach zrewoltowanego motłochu zwierząt, echa osobistych zawodów, odgłosy bolesnego zwątpienia, cienie gorzkiej niewiary w kulturę współczesną. W ostatecznej swej konsekwencji, alegorja Reymontowska wyraża skrajny pesymizm, pesymizm wynikający z przypuszczenia, że jednak ludzkość może kiedyś, odwrócić się od człowieczeństwa, zbuntować się przeciw niemu i ogłosić triumf zwierzęcych instynktów. Był to zaiste wprost katastrofalny przewrót w pojęciach twórcy, który dotąd wznosił ołtarze i rozpalał ognie ofiarne ku czci najwznioślejszej ludzkości, to jest tej, która z dnia na dzień mozolnym wysiłkiem dorabia się coraz doskonalszej cywilizacji. Przepaść istotnie nieprzebyta dzieli jego entuzjazm, z czasów *Nil desperandum,* od melancholji, zaczajonej między wierszami „Buntu".

„Święte maksymy, pisał w tryloġji Kościuszkowskiej, niby orłowie, wynosiły się z kurzawy bitew i krwawych zamętów i niosły dobre nowiny po rubieżach dalekich ziem i ludach jęczących w niewoli. Paryż stawał się już mózgiem i ramieniem uciśnionych miljonów. Stawał się także dręczącym koszmarem ciemiężców, a słodkim snem o wiśniowych sadach, rozkwitłych na wiosnę dla ciemiężonych".

---

[1]) W r. 1924 dn. 18 stycznia, Paweł Cazin świetny znawca kultury polskiej, serdeczny przyjaciel Reymonta, otrzymał od niego smutny dosyć list. Autor „Chłopów" zwierzał się tam ciepło i rzewnie, ze swoich goryczy i ze swych uczuć religijnych.

„Otrzymałem *La Revue Bleue* i tę wspaniałą *Vie-catholique*. Tak, mówię to otwarcie, jestem wierzącym i katolikiem... Czasy, które przeżywamy, zasmucają mnie, i boję się jeszcze gorszych, ale nadzieja moja w tem, że może ja ich nie doczekam". (*Wiad. Liter.* 1926 Nr. 7).

Niekiedy w tej tytanicznej walce z szatanem przybierał nieubłaganą postać kata, lecz jeszcze i wtedy, szarpiąc własne wnętrzności, zbawiał człowieczeństwo *(Nil desperandum).*

W „Buncie" ani śladu owej promiennej wiary w zbawczą siłę przewrotu. Raczej przeciwnie. Reymont ze smutkiem wyznaje, iż z kałuży krwi rozlanej w imię rzekomego uszczęśliwienia miljonów, podnosi najczęściej swój łeb ohydny hydra zbydlęcenia.

Adolf Nowaczyński, pisarz dostatecznie spoufalony z Reymontem, aby mógł wyrozumieć jego intencje, uważa „Bunt" za kassandryczne veto — autora „Chłopów" przeciw współczesności, obmierzłej niekiedy giełdziarskim wrzaskiem i licytacją ideałów.

Tu trzeba zwrócić tylko uwagę, pisze, tych współczesnych, co Go przeżyli, na jedno, jeszcze na jedno.

Pisarz, który przed wskrzeszeniem niepodległej Polski, dał jednej z powieści swoich tytuł *Nil desperandum,* po sześciu latach niepodległego państwa, pisze posępną alegorję, w której grozi zagładą cywilizacji, coprawda całej ludzkości, ale wywodzi swe prawo do groźby i opiera swój horoskop, swoje kassandryczne wrażenie, swoje desperandum... na tem, co widzi, na co patrzy dookoła u swoich, w pobliżu".

Drugim czynnikiem, który wzmagał pesymizm — była choroba. Osłabione nerwy odmawiały częstokroć posłuszeństwa. Skołatane serce biło obawą o los plemienia, dla którego wypaliło się w ofierze całopalnej, bezsenne oczy widziały okropności nieistniejące, a myśl świadoma nadchodzącego kresu, oswajała się z wiecznością.

„Cały czas choroby, mówi naoczny świadek, Reymont spędzał na czytaniu; rzecz ciekawa, że lekturę Jego stanowiły wyłącznie dzieła, traktujące o życiu pozagrobowem, oraz Ewangelja. Pod wpływem ich Reymont doznać musiał poważnych przeobrażeń wewnętrznych, stale bowiem wyrażał żal, że nie ma już teraz sił, teraz, gdy „właśnie poznał prawdę, gdy dopiero dowiedział się, co należy powiedzieć". O swej dotychczasowej działalności Reymont wyrażał się z lekceważeniem „wszystko com dotąd zrobił — było głupstwem, teraz dopiero przejrzałem i wiem, jak należy pracować".

Zagłębiając się w mistycznym sensie bytu, Reymont

dochodził do tej wyżyny poznania, skąd widzi się całokształt spraw ludzkich zdumiewająco uproszczony. Nikną wątpliwości. Sprzeczność ustępuje miejsca dogmatycznemu przeświadczeniu. Nierozwikłane dręczące zagadki — wydają się zabawnem dziecińśtwem w świetle odwiecznej prawdy.

I nic dziwnego, że Reymont teraz zaczyna poszukiwać najprostszych form artystycznych, dla wyrażenia swojej treści duchowej. W tece pośmiertnej spoczywa, według relacji najbliższych z otoczenia poety, jakiś niewykończony dramat mistyczny, wzorowany na średniowiecznych misterjach. Ponadto autor „Chłopów" przygotował do druku ludowe legendy o Chrystusie. Posługiwał się tedy najbardziej pierwotnemi typami utworu literackiego. Da się to wytłumaczyć jedynie w związku z duchową pracą Reymonta, zmierzającą do osiągnięcia jedności w poglądzie na świat, oraz w związku z usiłowaniem zdobycia tej prostoty i głębi wyrazu, jaka cechuje utwory, zrodzone z bezpośrednich natchnień religijnych. Nad Jego duszą snuły się myśli mistyczne, jak mgły poranne nad tonią wodną. Lada chwila miały się oderwać i ulecieć w niebiosa. Widocznym kształtem tych myśli były dwie książki, przetkane światłami nadziemskich tajemnic „Legenda" i „Osądzona". I w jednej i w drugiej, osnową wydarzeń — jest stosunek prostaczka do nadprzyrodzonej treści życia. Religijność wchodzi do kmiecej duszy jak aniołowie do zagrody Piasta: rozlewa łagodne blaski i darzy królewskością. Zwyczajną chłopkę czyni „mistrzynią bolesnych tonów, czarownego rymu". Reymonta pociągnął naiwny urok wnętrza dusz prostych, zamyślonych o Bogu, jak przydrożne kapliczki wiejskie. Patrzał w nie, jak w obrazy skromnego Fra Angelica, gdzie szary osiołek, poważny wół i garbaty wielbłąd zbożnie klęczą przed żłóbkiem Jezusa. Wszystko zapowiadało, że Reymont stanie się poetą religijnego prymitywu, że stworzy nowy rodzaj religijnej powieści ludowej.

Raz jeszcze wrócił myślą do Ziemi Chełmskiej. Chciał pisać epos o martyrologji Unitów. Dzieje bohaterstwa religijnego miały dla niego obecnie słodki urok. Jako człowiek opętany rzeczywistością gromadził fakta, notował drobne wypadki, skrzętnie zbierał szczegóły z dziejów Unji. Nawet w mistycyzmie był realistą...

A tymczasem stan zdrowia pogarszał się. Brakowało tchu. Reymont znosił jednak wszystkie dolegliwości z gołębią prostotą i łagodnością. Nie chciał, żeby przy nim czuwano. Lekarze zalecili spokój i wypoczynek. W ścianach swego dworku w Kołaczkowie znalazł jedno i drugie. Przynajmniej napozór.

W lecie roku ubiegłego (1925) Wincenty Witos urządził w Wierzchosławicach obchód na cześć wielkiego pisarza, Homera wsi polskiej.

„Znajomi, pisze kilkakrotnie cytowany J. W., odradzali wyjazd do Wierzchosławic... Lecz wielki pisarz bardzo pragnął tego wyjazdu. Mówił, że chce się przekonać, czy też Jego praca naprawdę nie poszła na marne. Dotąd bowiem stale podkreślał pewien żal do społeczeństwa, że Go nie zna, że go nie rozumie, że niema żadnego uznania dla Jego pracy, to też mówił nawpół żartobliwie, iż pojedzie do Wierzchosławic, gdyż pragnie zobaczyć swój własny, świecki pogrzeb.

Obchód ten nietylko obalił wszelkie podejrzenia i wątpliwości, wielkiego pisarza, ale dał widać prócz tego wiele radości, wrócił bowiem z niego Reymont, szczęśliwy niewypowiedzianie. Ten błogi stan ducha nie szedł jednak w parze ze zdrowiem fizycznem, to też wielki pisarz wprost z Wierzchosławic musiał udać się do sanatorjum, wybrał jednak w tym celu Poznań, licząc na to, że stamtąd łatwiej będzie mu dojechać do „miłego zacisza w Kołaczkowie".

Reymont czuł, że dogorywa. Bezwiednie opanowały go wspomnienia dalekiej młodości. Pierwsze lata włóczęgi i pisaniny w redakcji *Głosu,* zapalczywe dysputy kawiarniane, atmosfera „Młodej Polski". Młode pokolenie twórców przypadło Reymontowi do serca. Rozumiał je. Rozumiano też jego. Z Nicei, gdzie przebywał na kuracji, pisywał swego czasu szczerze przyjazne listy do redaktora *Wiadomości Literackich.* Homagjalny numer tego pisma sprawił mu wiele uciechy.

Aprobował tedy, jak widać entuzjastyczną opinję młodych krytyków, wysławiającą Go, jako herolda pracy, zwiastuna nowej sztuki, bohatera współczesnej Iljas z pioropuszem dymów fabrycznych nad rycerskim szyszakiem. Istotnie,

dopiero ostatnie pokolenie literackie stworzyło sobie realną syntentyczną wizję — Reymonta.

Swoją przyszłość mógł zatem widzieć w jasnych kolorach. Ale jednocześnie z pogarszaniem się zdrowia, coraz częściej napastowały Go wspomnienia z odbytej wędrówki życiowej. Stwierdzał jak gdyby powrót do tego miejsca, skąd wyszedł przed laty. Uważał, iż życie człowieka zakreśla koło i że dlatego punkt początkowy i końcowy pokrywają się nawzajem.

„Mój drogi, pisał do Zygmunta Wasilewskiego, 19 września 1925 r., daruj mi, że piszę na karcie, ale piszę ze szpitala, gdzie jestem od trzech tygodni. Dr. Meissner chce, bym jeszcze siedział ze trzy. Zapadłem w początkach sierpnia a „dożynki" dorżnęły mnie. Mój drogi, serdecznie dziękuję Ci za zaproszenie do Myśli. Tak zaczynaliśmy razem i kończymy razem. I czy nie na tem zamykamy koło, czem rozpoczynaliśmy? Nietylko się godzę na współpracę, ale zapowiadam, że w październiku dam Ci krótką rzecz, jaką właśnie koncypuję. W końcu września sprowadzam się do Warszawy na zimę, nie chcę w tym roku jechać nigdzie, wolę zdychać między swoimi".

Jakoż rozgościł się w stolicy na kwaterze przy Górnośląskiej Nr. 16. Z domu nie wychodził. Pogrążył się w czytaniu. Pióra z rąk nie wypuszczał do 28 listopada. Projektował różne dzieła. Między innemi romans o chłopie zagnanym przez los do Ameryki, o chłopie, którego żre tęsknota za ojcowizną i za swojakami. Brał do serca wszystkie wiadomości aktualne. Zgryzł się przesileniem gabinetowem i matactwami czarnej giełdy. Śmierć Żeromskiego wydała mu się złowróżbną. Nie mógł się z nią pogodzić. Drżącą ręką kreślił tragiczne pismo żałobne.

W poniedziałek 30 listopada nastąpił kryzys.

„W dniu tym, pisze J. W., chory dostał pierwszego ataku, nastąpił obrzęk płuc, a wskutek tego ciągłe duszenie... chory zasypiał tylko pod wpływem morfiny. Gdy we środę 2 grudnia przybył w odwiedziny ks. prof. Szczepański, chory skorzystał ze sposobności, by się wyspowiadać, następnego dnia komunikować. Od czwartku zrana zaczęła się już agonja. Chory jednak nie przestał interesować się

życiem, bo gdy w piątek odwiedził Go, wracając z Sejmu, ks. Kaczyński, Reymont zapytał „a jak tam dolar?" Gdy zaś ten, by chorego uspokoić odpowiedział, „już tylko siedem złotych" — Reymont bardzo się ucieszył i zauważył „A to dobrze, bo może tych spekulantów raz wreszcie djabli wezmą".

Zmarł 5 grudnia 1925 r. o godz. 2. 30 w nocy.

Zwłoki jego wystawiono na widok publiczny w archikatedrze św. Jana. W pogrzebie wzięła udział Rzeczpospolita.

* * *

Dzieła Reymonta stanowią pomnik niezniszczalnego piękna. Wzniesione doryckim porządkiem ogromne, surowe, są arcydziełem doskonałej harmonji, oraz prostoty. Zamysł architektoniczny zwycięża zawsze w nich bezład wzburzonych uczuć i swawolę rozpalonej wyobraźni autorskiej. Reymont ginie w dziele, oddaje mu się bez zastrzeżeń. Nigdy nie załamuje w niem marginesu dla osobistych wypominków. Nie podpowiada swoim bohaterom zdań, które obce są im duchem i treścią, natomiast bliskie zawodom i goryczom samego twórcy. Jest klasykiem, o ile zgodzimy się na twierdzenie *Lemaitre'a,* że klasycyzm oznacza metodę, za pomocą której najwyższe wrażenia estetyczne wywołujemy drogą użycia najprostszych środków. Dzieło Reymonta mówi samo za siebie. Porusza się w obrębie spraw i zagadnień powszechnie zrozumiałych, dostępnych bez szczudeł wyjaśnień, dopisków i egzegezy. Nawskróś polskie, żywcem zaprzedane w niewolę bujnej mocy plemiennej, jest wszakże zarazem ogólno ludzkie, jak rzadko które w naszem piśmiennictwie. Dzieje Boryny, dzieje Antka i Jagny, dzieje Zaręby, lub Monitza Welta są dla cudoziemca równie zrozumiałe, jak Szekspirowskie historje o królu Learze, Romeo i Julji, Brutusie lub Shylocku. Reymont podobnie jak Szekspir, stawia swych bohaterów w obliczu sił pierwotnych lub oddaje ich na pastwę nieposkromionych namiętności. Spiętrza wypadki, które odsłaniają w całej nagości ich dusze. Przyczem, jak dramaturg, odosabnia i wyolbrzymia poszczególną namiętnością, pozwalając jej urość do rozmiarów symbolu. (Boryna, Jagna, Antek, Iza, Michał Kozioł, Rocho, Zaręba i t. p.).

Reymont stroni od wątków zaściankowych od tych spraw bolesnych, owianych słodkim urokiem, które drzemią w niejednej mogile powstańczej, od tej klechdy przedziwnej, która schroniła się do dworków szlacheckich przed ciosami wroga, od tej myśli więzionej a zbawiającej ludy marzeniem, gdy Polska chodziła w łachmanach. Wyobraźnię Reymonta zniewoliła jurność narodowa. Zniewoliła, pociągnęła ku sobie, oczarowała na całe życie. Reymont jest w każdym calu wielkim budowniczym. Jego treść duchowa i jego artyzm wznoszą się stopniowo od szarej gleby ziemskiej ku niedosiężnym gwiazdom. Do opanowania rzeczywistości szedł zbrojny, wypróbowany doświadczeniem, w miarę gorzkim, aby uchronić od złudzeń. Zgłębił istotę rozwoju nowożytnego społeczeństwa w Polsce. Jako człowiek mocny, ujmował dzieje tych przemian ze stanowiska walki o byt plemienny. Sławił rasę, jestestwo nieśmiertelne, niepodległe spaczeniu i zagładzie. Był fanatykiem piękna. Ślęczał godzinami nad pokreślonym rękopisem i dobierał słów, któreby odpowiadały zamysłowi, jak muzyka pieśni. Wiązał te myśli w zdaniach, zabiegliwie rzeźbionych, niby drogocenne kamee. Chciał, żeby widniały oczom ludzkim w całej krasie, jak motyle zastygłe w bursztynach. Reymont styl swój budował, wznosił powoli, dbając o kierunek pionu i rozkład ciążenia. Gdy u innych mistrzów pióra słowo unosi się nad treścią jak obłok różnobarwny, błąka się jak sen czarodziejski, wyprzedzając chyżym lotem ociężałą logikę rzeczywistości, u Reymonta słowo idzie pracowicie za treścią, jak pług za wołem. Worywa się w rzeczywistość, wyważa jej zawartość najistotniejszą i dopiero wtedy ucieka w niebiosa jak skowronek, by rychło spaść znowu na czarną skibę powszedniości.

Pisarze zagraniczni już dosyć dawno, bo około roku 1910, zwrócili uwagę na mistrzowską budowę powieści Reymonta. Wtedy to właśnie znakomity uczony francuski, potomek polskiego wychodźcy, Teodor de Vyzeva pisał w *Revue des deux mondes*: „powieści te nie uderzałyby nas zupełnym brakiem równowagi w kompozycji jak utwory Sienkiewicza lub Prusa. Nawet najdłuższe z tych książek nie są nigdy stłoczone, powietrze i światło krąży w nich swobodnie". Mniej więcej tak samo się wyrażali prof. Böok, Stender Pe-

tersen i wielu innych. Istotnie powieść Reymonta może być wzorem starannego obmyślenia szczegółów i harmonijnej całości. Jeden rozdział wynika z drugiego, jak wniosek z przesłanek. Pisarz nie folguje rozgrzanej imaginacji, nie zajeżdża w głębokie epizody, które dla niejednego autora bywają ponętną okazją do zachwycających harców pomysłowości i artyzmu. Wiele naszych powieści „nierządem stoi". Najświetniejsze, najwymowniejsze są w nich karty, poświęcone epizodom, gawędom i wszelakim awanturniczo-rycerskim wycieczkom z bitego gościńca fabuły. Reymont strzeże się jak ognia nieskładnej jazdy naoklep po wertepach dorywczego fantazjowania. Jest ścisły, surowy, nieustępliwy. Postacie i wydarzenia muszą go słuchać. Stąd też w jego powieściach panuje osobliwy despotyzm architektonicznego zamysłu. Nawet drugorzędne figury nie plączą się jak gapie na odpuście. Są nieodzownym składnikiem ogólnej wizji artystycznej danego środowiska lub danej epoki historycznej. Epoka i środowisko biorą w karby jednostkę i ponadczasowy świat indywidualny, świat nieobliczalnych marzeń i cudotwórczych wysiłków samotnej myśli. Powieść Reymonta, jak stary epicki rapsod, opowiada o jednostkach tęgich, mocnych, ogromnych, które są chwałą rasy, ozdobą plemienia, znamieniem danego czasu i jego obyczaju. Dlatego w gruncie rzeczy bohaterem „Chłopów" nie jest ani Boryna, ani Antek, ani Jagna — tylko wieś i chłopstwo. Bohaterem trylogji „Rok 1794" nie jest ani Zaręba, ani Miecznik, ani Kościuszko, ale ówczesna doba historyczna i społeczeństwo polskie w przededniu insurekcji.

Reymont zasiadając do pisania, jakiejś powieści, ma zawsze przed oczyma wizję socjologiczną, wizję życia gromadnego. Byt jednostki ograniczony jest zewsząd przez Fatum społeczne. Prawo gromadzkie działa bezlitośnie jak gilotyna. Ścina łby na prawo i na lewo. Próżno człowiek mocny usiłuje zdobyć sobie niezależność, daremnie wypowiada wojnę żelaznej konieczności gromadzkiego współżycia. Jego duma rychło doznaje porażki. A to wszystko, o co zabiegał, co wydawało mu się godnem szczytnych poświęceń, owo szczęście osobiste, brodzące samopas, owo marzenie lotne, jak chmury wiosenne, lub jak odbicie niebios w toni wodnej —

to wszystko obraca się przeciwko niemu. W godzinach rozrachunku gorzko żałuje samowolnych uniesień. Wkłada na plecy jarzmo społecznego obowiązku. I wtedy osiąga spokój. Takie są przecież dzieje Antka Boryny, Macieja Boryny, Szymka Paczesia, Hanki Borynowej, Sewera Zaręby i wielu, wielu bohaterek oraz bohaterów Reymonta.

Mimo grożącej klęski, nigdy jednostka silna nie wyrzeknie się tej rozkoszy, jaką sprawia wydarcie z pazurów Fatum choćby jednej chwili szczęścia. W tej chwili krótkiej, jak mgnienie powiek, zawiera się cała nieskończoność radosnego zachwytu. Człowiek wyzwala się z pęt ziemskości. Jak duch wzbija się na wyżyny, skąd ogarnia wzrokiem szerokie horyzonty spraw zaświatowych. Niestety, w surowym świecie Reymonta tego rodzaju szczęście jest grzechem. W swej najprostszej postaci występuje ono jako szał miłosny. Jagna z „Chłopów", Iza z trylogji, uosabiają tę dziwną potęgę, utkaną z samych sprzeczności. Bierność graniczy w niej z despotyzmem, zachwyt ze wzgardą, upojenie z bólem, wierność z wiarołomstwem, słodycz z goryczą. Gdy ona zawoła, pod nogami wybrańców otwiera się otchłań, wciąga ich w swoje szaleńcze wiry, a później wyrzuca na świat — zgorzkniałych i strawionych gorączką. Tak tedy jest to moc złowroga, przeciwna ładowi społecznemu. Szczęście, którem darzy, roi się od zdradzieckich potrzasków. Rozkosz graniczy z cierpieniem, a zapamiętanie uwodzi na manowce społecznego zdziczenia, gdzie człowiek tuła się, jak wilk bez stada, myśląc o sobie i o swoich przygodach. Czy prędzej, czy później, prawo gromadzkie zażąda ukarania winnych. I wówczas przed sądem pospólstwa staną Jagna, oraz Iza, rzekome sprawczynie klęsk i nieszczęść, a w istocie rzeczy bierne ofiary potęgi kosmicznej. Gromada je wyklnie, sponiewiera i ciśnie bez miłosierdzia za obręb człowieczeństwa. „Zaś Jagusia, w postronkach, na gnoju, zbita, we krwi, w porwanem odzieniu, pohańbiona na wieki, skrzywdzona ponad człowiecze wyrozumienie i nieszczęsna ponad wszystko, leżała jakby już nie słysząc, nie czując, co się dzieje dokoła... Biły w nią głosy, grudy ziemi, kamienie i przygarście piachu, a ona leżała kiej kłoda, zapatrzona jeno w rozkolebane nad sobą drzewa". Mimo okrucieństwa wyrok gromady jest spra-

wiedliwy, zwraca się bowiem nietyle przeciw jednostkom, co przeciw złu w nich zakorzenionemu, złu, które wprowadza zamęt i bezład tam, gdzie od wieków panuje, uświęcony obyczajem, ład i karność. Współczucie Reymonta milczy. Zresztą cóż waży sentyment, jaki zysk dać może tam, gdzie człowiek zmaga się z bytem twardo, zapamiętale, okrutnie. Życie — jak samowładca, dyktuje prawa, a wszelki stwór musi ich słuchać. Oto i wszystko. Jedynym orężem w ręku człowieka jest — wola. Ona przeobraża świat dookoła. Wznosi potworne miasta. Obsiewa ziemię żywicielkę. Trzebi nieużytki. Karczuje głuche, niezbrodzone lasy, aby im wydrzeć z gardzieli kawał urodzajnego pola. Ona wreszcie działa w historji, niwecząc tyranję, wznosząc gilotyny dla łbów opornych ciemięzców, zdobywając nieśmiertelną sławę we krwi, w poniewieraniu, w swędzie dymów prochowych. Powieść Reymonta spisuje niejako dzieje niezłomnej, upartej, zaciętej woli ludzkiej. Słychać w niej, niby w bezdennej topieli morskiej, wiecznie pracującą energję. W jej głębiach graniczą ze sobą dwa światy: świat wzniosłego mitu i nagiej rzeczywistości. Zaglądamy w otchłań spraw wiecznych, aby wkrótce wpaść między ludzi starych, pospolitych, zgryzionych zgoła ziemskiemi turbacjami. A jednak stąd właśnie, z tych szarych ludzi wykwita piękno życia, mit wzniosły i dostojny. I to zarówno, czy patrzeć na świat przez bławe okna chłopskiej chałupy, czy przez zwierciadlane szyby magnackich dworów. Zewsząd ten sam widok doczesności, która zwolna wchodzi w wieczność. „Wnet jednak zapomniał o wszystkiem, zatapiając oczy w wyobrażeniu Chrystusa nad ołtarzem. Wisiał na krzyżu na dnie chmurnego nieba i błyskawic, rozdzierających ciemności w pokrwawionych łachmanach ciała, opuszczony od wszelkiego stworzenia, sam w granicach widomego świata... Był obrazem człowieczego żywota, zawieszonego między nędzą bytowania, a nadzieją wieczności" *(Nil desperandum)*. W obliczu tajemnicy i grozy człowiek traci cechy nieistotne. Duch jego wyzwala się z pod ucisku zmiennych okoliczności, przygodnych uczuć, łudzących wrażeń, upraszcza się. Olbrzymieje. Urasta w mit. Wszak mrący na ojcowskim zagonie Boryna — przywodzi na myśl mitycznych herosów. Tak samo Michał Kozioł,

i Miecznik i Jagna. Dlaczego? Bo zawarli w sobie odwieczne czynniki ładu ziemskiego: Trochę siewcy i oracza, tężyznę plemienną i żywioł miłosny. Boryna zamrze, a nie wypuści z garści okrucha ziemi; Miecznik każe przed zgonem rżnąć kapeli, hulać gościom i sprawiać zaręczyny synowskie. Jagna w ostatecznej poniewierce nie zaniecha słodkich marzeń miłosnych. W powieściach Reymonta, jak w mitach greckich lub ruskich bylinach, niektóre postacie mają sens dwojaki: zwykły, prosty, wynikający z logiki ich osobowości, oraz głębszy, symboliczny, w którym streszcza się działanie jakiejś potęgi, kształtującej byt ludzki. W ten sposób realizm zespala się z idealizmem, wynoszącym na piedestał chwały życie, kipiące nadmiarem energji. Rys ten, tak znamienny dla poetyckiej twórczości Reymonta zyskał uznanie i wzbudził zachwyt członków Akademji szwedzkiej. Prof. Böok podkreślał niejednokrotnie, że wzniosłość etyczna, i duch idealizmu obok świetnych zalet artystycznych są najwspanialszą ozdobą pism autora „Chłopów".

I cudzoziemiec zatem dostrzegł, że w tym świecie, który powoła do istnienia wyobraźnia Reymonta w tym świecie nadludzkich wysiłków i zwycięskiego piękna, graniczą ze sobą dwie potęgi. Surowy instynkt moralny i czarodziejski artyzm.

Artyzm harmonizuje sprzeczności bytu, łagodzi okrucieństwo istnienia, poskramia brzydotę, wznosi oręż przeciwko ohydzie ponurych zjawisk życiowych. On jest niewątpliwie jedną z podstaw Reymontowego optymizmu. Jeżeli bowiem, mimo wszystko, piękno istnienia w końcu zwycięża i triumfuje, to oczywiście najbardziej uzasadnioną podstawą wobec świata musi być optymizm. Tembardziej uzasadnioną, gdy się w swoim stosunku do życia nie pominęło mroków i cierpienia. A przecież fanatyczny realizm Reymonta był niesłychanie daleki od jednostronności. Raczej przeciwnie — zgromadzał mroki, skupiał posępne, groźne rysy bytu, aby je później rozproszyć i przemóc wiarą w ostateczne zwycięstwo światła i harmonji. Nieulękłe zawieszał mosty nad przepaściami, aby zaś to osiągnąć nie posługiwał się ani marmurem, ani granitem, ani żelazem. Bezdenna otchłań wciągnęłaby w siebie bez śladu ten ciężki budulec. Ponad marmur,

granit i żelazo — Reymont artysta wyżej stawi światło i barwę. Jest czarodziejem światła i barwy. Maluje stronnice swoich książek najżywszemi farbami, pisze na nich blaskami słońca jakieś brylantowe i opalowe historje, że majaczeją oczom ludzkim czas długi, jak witraże w mrocznej głębi kościoła. Jego wizja świata jest wizją nawskróś malarską. Jego malarskość — to najczystszy impresjonizm, dla którego, jak powiada Witkiewicz „żadna farba w naturze nie ma całkiem stałego, bezwzględnego, niezmiennego tonu. Biała plama na tle jaskrawo-zielonem będzie się zdawała różową i naodwrót w stosunku do tła różowego — zieloną. Biała ściana domu w stosunku do czystej kartki białego piapieru — brudnawo-żółtą" tem bielszą zaś w stosunku do „ciemnej zieleni topoli".

Weźmy dla przykładu kilka opisów.

„Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi, zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ojciec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli, a pośrodku sama Częstochowska w złocistem obleczeniu patrzyła na niego... a ze ścian i okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte surowe twarze i smugi złota, purpury, fioletu, niby tęcza padały na jego twarz i głowę całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę". (Chłopi t. I). Albo:

„I nie słuchając dalszych relacyj poszedł na salę, zalaną jarzącem światłem licznych pająków, kapela pod wodzą Trzaski wygrywała jakoweś czułe arje i opery, zaś Miecznik, przybrany w paradny czerwony kontusz spacerował sam jeden w ogromnej sali po lśniących pawimentach". (Nil desperandum str. 84).

Światło przeobraża rzeczywistość w złudzenie, światło unosi duszę wiejskiego parobka ku Bogu. Ono towarzyszy ostatnim chwilom Miecznika. „Jakby brał w siebie z Ciała i Krwi Pańskiej — wiatyk święty wschodzącego słońca". Ono bywa źródłem niebiańskich wzlotów i zachwytów, a walcząc z mrokiem daje widowisko, godne bogów. Reymont wyśpiewuje hymny na cześć światła, pierwiastka życiodajnego, a zarazem najwyższej piękności świata. Słońce, źródło wszelkiej energji świetlnej, jest dla niego przedmiotem kultu niemal religijnego.

„Dzwoniła spieczona ziemia, dzwoniły sady pod cię-

żarem owoców, dzwoniły bory dalekie i te wędrujące chmury i ta przenajświętsza hostja słońca, wyniesiona nad światem„. (Chłopi t. IV).

Światło ożywia barwę. Ono jest duszą krajobrazów. Barwy mienią się pod jego zaklęciem i współzawodniczą ze sobą o pierwszeństwo. Niekiedy wszakże farba zdobywa sobie wartość samoistną, niezależną od dopływu i natężenia światła. Powstają wówczas opisy, warte zestawienia z płótnami starych mistrzów klasycznych, dla których w malarstwie istniały przedewszystkiem: kształt i barwa. Naprzykład.

„Na marmurowych szerokich schodach, prowadzących do królewskich pokojów, zasłanych szkarłatnem suknem, przybranych w gobeliny, pomarańczowe drzewa i liberję w czerwonych frakach, stojącą na stopniach, uczynił się niemały ścisk i gwar. U szczytu tej barwistej drabiny — wielkie złocone podwoje były otwarte, stali w nich kadeci w paradnych koletach, w białych kulotach i ze strusiemi pióropuszami na głowach, honorując wchodzących obnażonemi szpadami". (Nil desperandum str. 268).

Ale ostatnim wyrazem kunsztu malarskiego są te opisy, w których światło, barwa i ruch zespalają się w harmonijną całość, podobnie jak głosy wielu instrumentów łącza się w symfonję. Powstają wówczas arcydzieła rytmu i kolorytu. Słowa toczą się, grają i świecą. Wzrasta napięcie dramatyczne i wyciska na całej wizji, mimo chaosu nagromadzonych w niej pierwiastków, niezatarte piętno jednolitości. Do takich niewątpliwych arcydzieł ruchu, światła i barwy zaliczyć trzeba: opis wesela Boryny, opis bójki chłopów w lesie, opis kuligu w *Nil Desperandum*, opis procesji wielkanocnej w „Chłopach", dwa opisy szalonej jazdy sanną jeden w „Fermentach", drugi w *Nil Desperandum*. Pozatem zresztą cały szereg mistrzowskich epizodów. Dla przykładu weźmy urywek z opisu kuligu. Kulig ten, jak huragan zwalił się w gościnne progi dworu Zarębów, gdzie dogorywa Miecznik, ojciec Sewera Zaręby, głównego bohatera w trylogji Kościuszkowskiej.

„Po chwili pochodnie wystrzeliły w mrokach rozmigotanemi, krwawemi miotłami, długi, kręty wąż sani zaczerniał na śniegach, jezdni pędzili na oślep przez zaspy i pola, zabrzęczały dzwonki i janczary, huknęły śpiewania i muzyka

urżnęła od ucha, siarczyście na bij zabij. Hej kuligiem jechali, kuligiem nad kuligami. Sto sań skrzypiało po śnieżystej grudzie, sto sań leciało z wichrami w zawody, sto sań niosło się z grzmotem, jak burza rozśpiewana weselem, pijana mocą i radością oszalała. Konie widziały się podobne smokom, w brzękadłach, w siatkach pozłocistych, w rzędach i wstęgach barwistych, puszczonych na wiatr, rwały aż ziemia jęczała i z pod kopyt śniegi tryskały fontanami. Na przodzie w siwe ogiery w purpurowych siatkach i pióropuszach, jechał weselny starosta wraz ze starościną, za niemi żydy muzykanty grały ze wszystkiej mocy. A potem migotał nieskończony łańcuch: sanie za saniami, para za parą, sunęły rozgłośnie, rzęsiście i bujnie, przysłonięte płomienistemi wichrami pochodni. Jakoby zjawiona w nocnej godzinie bajka o zaklętych korowodach mar i upiorów". (Nil Desperandum).

Drugim czynnikiem konstruktywnym w twórczości Reymonta jest, obok artyzmu surowy instynkt moralny. Przyczem oba te czynniki artyzm i zmysł moralny uzupełniają się nawzajem w sposób harmonijny. Wzniosła, czysta jak śnieg na wyżynach treść etyczna mieści się całkowicie w formach artystycznych, niby szlachetny trunek w misternie rzeźbionej wazie. I nigdy się tak nie zdarza, aby morał wyznaczał drogi artyzmu, lub żeby artyzm wciągał w swe zaklęte koło zjawiska, niezgodne z moralną podstawą twórcy wobec świata. Zawsze panuje umiar, zawsze duch treści harmonizuje z cechami artyzmu.

Świat moralny wyobrażony w powieściach Reymonta, owiany jest tchnieniem surowej etyki społecznej. Człowiek musi tak działać, aby przysparzać najwięcej szczęścia gromadzie, w której żyje, kto zejdzie z tej twardej drogi obowiązku, pada ofiarą własnych nieokreślonych zapędów, które spychają go nielitościwie na dno upadku. Sprawy osobiste muszą ustąpić, wobec żywotnych praw ogółu. W trylogji Kościuszkowskiej Reymont wystawił cnocie obywatelskiej pomnik mocniejszy od spiżu, pomnik, którego nie strawi ani czas, ani słota. Był to najwyższy objaw zmysłu społecznego u autora, który swym bohaterom kazał stopniowo podporządkowywać się — najpierw w drobnej kaście wędrownych aktorów,

później interesom wielkiego przemysłu, później ogromnej, żywotnej warstwie chłopskiej, wreszcie — narodowi. W *Nil Desperandum* czytamy słowa, które zakres obowiązku jednostki rozszerzają na całą ludzkość, a w „Buncie", mamy realny dowód, że myśl naszego pisarza, wznosiła się już w okręg najwyższy, obejmując dzieje świata i dzieje człowieczeństwa w ogólności. Łopot skrzydeł ducha, który rwie się ku tym wyżynom słychać wyraźnie w następującem Confiteor.

„Z woli człowieczej powstają światy. Trzeba przezwyciężyć samego siebie. I podnieść krucjatę o najświętsze dobra ludzkości, choćby się miało paść w nierównej walce i tylko swoją śmiercią dało świadectwo prawdzie i hasło przyszłym pokoleniom — niechaj powstają jedno po drugiem, niechaj walczą póki dusza narodu nie wykuje się w cierpieniach na kształt doskonalszy i obrazem cnót i męstwa się nie stanie". (Nil Desperandum).

Przypomnijmy sobie, jak kończy się trylogja. „O wczesnej dosyć porze zjawili się Zaręba i Ceśka ze stryjem, którzy byli zjechali do Warszawy wczoraj po południu. Porucznik, stratą tylu przyjaciół dotknięty, dawał postać wielce przygnębionego. Ceśka zaszlochała przy trumnach, zapłakał i stryj Onufry, dawny towarzysz pancerny starego Radzimińskiego. Wreszcie przemógłszy żałość, poszli do ojca Serafina, dogorywającego w swojej cichej samotnej celi. Powaliły go śmiertelne rany". (Insurekcja).

Insurekcja rozbiła, zdruzgotała szczęście wielu jednostek, zadała cios śmiertelny niejednemu sercu, krwią ofiarną zalała bruk stołeczny, oświeciła go pożogą, usłała trupami. Mimo to jednak „o zmierzchu rozbłysły rzęsiste iluminacje, powywieszano transparenty, po oknach ukazywały się ogniste kolumny z napisami, z portretów Kościuszki uczyniono jakby ołtarze, pełne świateł i kwiatów. Tu i ówdzie zagrały kapele".

Tak tedy duchem, który ożywia ostatnie wielkie dzieło Reymonta — jest starorzymska virtus, męska cnota publiczna. Imiona obywateli — nią ozdobionych ryto zawsze na płytach marmurowych, aby po wszystkie czasy utrwaliły się w sercu potomnych.

Zygmunt Falkowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Corpus Catholicorum. Werke katholischer Schriftsteller im Zeitalter der Glaubensspaltung. N. 1–11. Verlag der Aschendorffschen Verlagsbuchhandlung.

Przez długie dziesiątki lat okres t. zw. Reformacji, a raczej rewolucji religijnej XVI w. nie pociągał historyków katolickich. Psychologicznie, było to dosyć zrozumiałe, jak z drugiej strony równie łatwo zrozumiałem jest zainteresowanie i pietyzm, jakim protestanccy historycy ten właśnie okres otoczyli. Zrobiono na tem polu bardzo wiele; korzyści, jakie zdobyto dla nauki historycznej, są bardzo poważne; cały ten jednak dorobek ma także i duże braki, wśród nich najważniejszym jest jednostronność. Prawda zawsze leży w środku i nie znajdzie się jej, nie zbadawszy zagadnienia należycie z różnych, nawet sprzecznych i przeciwnych punktów widzenia. Ta sama jednostronność musi się wybijać namacalnie nie tylko w ocenach i ostatecznych wynikach badań, ale także na wydawnictwach materjałów źródłowych. Nie dlatego, jakoby same wydawnictwa nie były krytyczne i traktowane ściśle naukowo. Pod tym względem zdobywano się nawet na zupełną objektywność! Ale z natury rzeczy protestanccy historycy raczej skłaniali się do wydawania pism i korespodencyj reformatorów, gdy natomiast pisma i listy katolickich ich przeciwników po dziś dzień jeszcze leżą po bibljotekach i archiwach, całkiem nieznane lub bardzo trudno dostępne. Wystarczy przytoczyć na olbrzymią skalę zakrojone wydawnictwo: „Corpus Reformatorum“, rozpoczęte już w r. 1834. Liczy ono prawie setkę tomów i obejmuje pisma Melanchtona, Kalwina, Zwinglego. Pisma i korespodencja Lutra wyszły w osobnych, kompletnych wydaniach. Prócz tych wydawnictw mamy jeszcze inne, takie jak „Corpus Schwenckfeldianorum, Bibliotheca reformatoria Neerlandica“, nie mówiąc już o tej olbrzymiej wprost masie materjału, rozproszonego po rocznikach czasopism, rocznikach wydawnictw przeróżnych towarzystw naukowych itd. Temu wszystkiemu katoliccy uczeni mogli przeciwstawić zaledwie drobne, skromne próby. Dopiero gdy w ostatnich dziesiątkach lat

zainteresowanie dziejami rewolucji religijnej wzrosło, zaczęto odczuwać coraz dotkliwiej ten brak i w konsekwencji myśleć o naukowem, krytycznem wydaniu pism katolickich polemistów i pisarzy z tych czasów.

W r. 1901, znane, niemieckie katolickie „Towarzystwo naukowe Görresa" święciło swe pierwsze 25-lecie pracy. Na zjeździe jubileuszowym w Koblencji, młody podówczas docent historji kościelnej na uniwersytecie w Bon, Józef Greving rzucił myśl stworzenia *Corpus Catholicorum.* Myśl tę przyjęto z aplauzem. Rozpoczęły się rozmowy, narady, niewielkiego z początku grona historyków, a duszą całego przedsięwzięcia był Ks. Greving. Wstępem niejako do wielkiego dzieła wydawania pism katolickich polemistów i pisarzy z XVI w. stało się wydawnictwo „Reformationsgeschichtlichen Studien und Texte", zainicjowane przez Ks. Greving w r. 1906. Po dzień dzisiejszy wydano prawie 50 zeszytów studjów, dokumentów historycznych i korespodencyj. Właściwa myśl zaczęła się urzeczywistniać z końcem r. 1915. Ogłoszono wtedy plan wydawnictwa, wezwano historyków do współpracy i zawiązano Towarzystwo, mające wydawać „Corpus Catholicorum". Apel inicjatorów wywołał żywe echo, tak że w r. 1917 mogło się odbyć pierwsze konstytucyjne zebranie członków towarzystwa w Monasterze Westf. Wybrano zarząd i komitet redakcyjny, do którego wśród wielu innych weszli znani historycy: Grisar H. T. J., Kirch K. T. J., Grabmann M., Mausbach J., Pastor L. etc. Prezesem i naczelnym redaktorem został inicjator dzieła Ks. Greving. Wedle ułożonego planu „Corpus Cath." ma obejmować zasadniczo dzieła katolickich pisarzy niemieckich i obcych z czasów od wystąpienia Lutra aż po koniec Soboru Trydenckiego (1517—1563), o ile rozumie się dzieła te związane są z całym ruchem religijnym. Z tego też względu pewne dzieła czy to poprzedzające ten okres, czy też wydane po Soborze, o ile przyczyniają się do oświetlenia przewrotu religijnego, mogą być włączone w wydawnictwo. Oprócz pism „Corpus" obejmował będzie kompletne zbiory korespodencji. Ponieważ jednak krytyczne przygotowanie takich pełnych kolekcyj wymaga długoletniej pracy, przeto drobniejsze zbiory listów i nowo odkryte fragmenty korespodencji będę się tymczasowo ukazywać w wydawnictwie: „Reformationsgeschichtlichen Studien und Texten". Tam też wychodzić będą prace, monografje i mniejsze studja z dziejów Reformacji. Dla utrzymania jednolitości wydawnictwa, naczelny redaktor Ks. Greving, pierwszy zeszyt, zawierający J. Eck'a: Defensio contra amarulentas D. A. Bodenstein Carolstatini invectiones (1518), poprzedził wyczerpującą instrukcją, zawierającą zasady wydawania tekstów. Instrukcja ta jest wprost świetna i odznacza się wielką jasnością i ścisłością ujęcia. Przykładem jej zastosowania jest wspomniany wyżej pierwszy zeszyt „Corpus Cath." przygotowany przez Ks. Greving'a.

Mówimy rozmyślnie: przygotowany, ponieważ wydania jego ten wielki entuzjasta nauki nie doczekał się. 6 maja 1919 r. umiera nagle, skończywszy w przeddzień śmierci spis osób i rzeczy. W tej przedwczesnej śmierci uczonego w sile wieku leży naprawdę niezwykły tragizm. W chwili, gdy marzenia i trud całego życia zaczynał mu się przyoblekać w rzeczywistości kształty, odchodzi wezwany wyrokiem Najwyższego, dzieło swe pozostawiając niepewnym losom. Losy te okazały się w tym wypadku pomyślne. Wydawnictwo, oparte na Towarzystwie i pokaźnych podstawach finansowych, a przedewsystkiem na grupie ludzi, którym sprawa leżała na sercu, nie upadło, ale powoli, z powodu ciężkich warunków ekonomicznych, postępuje naprzód. Obecnie mamy przed sobą 11 zeszytów Corpus Catholicorum, ostatni wydany w r. 1926. Nie podobna nam przechodzić wszystkich, minęłoby się to z resztą z celem tej notatki. Dla informacji podajemy, że wydano 3 pisma Ecka: wspomnianą wyżej *Defensio,* dalej *Epistola de ratione studiorum suorum,* (1538), *Disputatio Viennae Pannoniae habita* 1517; Jana Cochleusa: *Adversus cucullatum Minotaurem Wittenbergensem de sacramentorum gratia iterum* (1523) Erazma Wolpha: *De obitu J. Eckii* (1543); H. Emsera: *De disputatione zipsicensi, quantum ad Boemos obidter reflexa est* (1519) i *A venatione Luteriana aegocerotis assertio* (1919); Kaspra Schatzgeyer'a: *Scrutinium divinae Scripturae pro conciliatione dissidentium dogmatum* (1522); Kardynała Contarini'ego pisma polemiczne, Kaspra Latomus'a dwa pisemka przeciw Buccerowi (*Responsio ad epistolam* 1543 i *Adersus M. B. defensio* 1545); J. Fischer'a: *Sacri sacerdotii defensio contra Lutherum* (1525); Tomasza Cajetana O. Pr.: *De divina institutione pontificatus Romani Pontificis* (1521) i wreszcie dwa pisma niemieckie Augustyna Alfelda: *Wyder den Wittenbergischen Abgot M. Luther* (1524) i *Erklärung des Salve Regina* (1527).

Podajemy tę nieco dłuższą notatkę o wydawnictwie: „Corpus Catholicorum", w dotychczasowym dorobku wprawdzie jeszcze skromnem, ale obmyślanem poważnie i na szeroką skalę, ponieważ, o ile wiemy, w Polsce jest ono bardzo mało znanem.[1]) Wprawdzie, jak dotąd, dla studjów nad polską Reformacją „Corpus Catholicorum" bezpośrednio nie przynosi specjalnego materjału, ale po wstępach i notach rozrzucone jest całe mnóstwo drobnych wiadomości biograficznych i bibljograficznych o osobach, które w polskim ruchu reformacyjnym odegrały nawet znaczniejszą rolę, a przynajmniej z naszymi „nowinkarzami" i polemistami w czasie zagranicznych studjów lub później przez korespodencję nawiązały stosunki. *Ks. St. Bednarski T. J.*

[1]) Wśród subskrybentów znajdujemy tylko nazwisko ś. p. ks. Prymasa Dalbora, Uniwersytecką bibljotekę w Poznaniu, jeszcze podówczas niemiecką i kilka księży ze Śląska.

O. Edward Hugon O. P. Zasady filozofji i dwadzieścia cztery tezy tomistyczne. Przetłumaczył i przedmową poprzedził Ks. Dr. A. Żychliński. Św. Wojciech 1926, Str. XXXIV i 274 in 8°.

Autor niniejszego studjum jest zbyt znany w nauce katolickiej, by potrzeba było głosić jego pochwały. Wystarczy powiedzieć, że, jak w innych dziełach, tak i w tem, które omawiamy w tej chwili, towarzyszy mu wielka głębokość myśli, ścisłość wyrażeń, znakomita orjentacja w całej współczesnej wiedzy. Kto zada sobie pracę przestudjowania tej książki, znajdzie w niej wyborny skrót katolickiej filozofji, z uwydatnieniem punktów, w których prawda rozumowa styka się z nauką objawioną. Jeżeli jednak dla tych swoich zalet dzieło to odda umysłom, szukającym prawdy, niepospolite usługi, z innej strony ma ono pewien brak, który wartość jego znacznie umniejsza. Oto niepotrzebnie tak Autor jak Tłumacz nadają swej pracy nietylko już polemiczny, ale agresywny charakter. Obaj mianowicie do tego kierują swe wywody, żeby wykazać, że jedyną formą zasługującego na to miano, pełnego i konsekwentnego tomizmu jest system, który przyjmuje bez restrykcyj głośnych 24 tez opublikowanych w r. 1914 przez św. Kongregację Studjów. Pytam się, dlaczego tak było robić? Czy nie można było rozwinąć tych samych pięknych, głębokich myśli bez owego zaczepnego ostrza? Czy dobrze jest swoj własny i szkoły swojej pogląd erygować na jakiś kanon filozoficzny, przed którym wszyscy muszą się ugiąć? Zdaje się nam, że to jest niewłaściwie i niepotrzebnie i że taką wygórowaną apodyktycznością szkodzi się nietylko miłości chrześcijańskiej, ale prawdziwemu postępowi katolickiej nauki. Że zaś tak O. Hugon, jak ks. Żychliński mylą się, sądząc, że walcząc o owe 24 tez, walczą czy to o prawdziwą naukę św. Tomasza, czy o naukę katolickiego Kościoła, to niech uwidocznią następujące zestawienia:

O. Hugon stara się udowodnić, że trzymanie się 24 tez jest dla katolika obowiązkiem, nałożonym nawet przez prawo kanoniczne (str. 4); Benedykt XV osobnem *breve* z d. 19 marca 1917 r. aprobuje tłumaczenie, że *S. Congregatio proponendo illas theses veluti tutas normas directivas, propterea minime negavit oppositas quoque tutas dici posse, plenam proinde remanere potestatem iis, qui doctrinam S. Thomae sequuntur quasdam oppositas defendendi.*

Ks. Żychliński twierdzi, że nie można być tomistą, jeśli się choć jedną z tych tez odrzuca (str. 267); Benedykt XV l. c. powiada, że *satis Angelico Doctori adhaerent, qui universas de Thomae doctrina theses perinde proponendas censent, ac tutas ad dirigendum normas, nullo scl. omnium amplectendarum thesium imposito officio.*

Tak Autor, jak Tłumacz, twierdzą za O. Del Prado, że realna różnica między istotą, a istnieniem rzeczy stworzonych, jest prawdą fundamentalną filozofji a nawet teologji chrześcijań-

skiej (str. XXVII i 20); Benedykt XV dnia 9 marca 1915 r. na piśmie oświadcza: *Approbamus et nostrum omnino facimus responsum quo dicitur: sententiam realis distinctionis inter essentiam et existentiam liberam esse et unicuique licere eam sequi et docere, dummodo ne eam quasi fundamentum faciat totius philosophiae christianae.*

Stąd, żeby wiele innych dokumentów pominąć, gdy na międzynarodowym kongresie tomistycznym, odbytym w Rzymie od 15 do 20 kwietnia 1925 r. O. Szabo O. P. zaproponował, by za podstawę i punkt wyjścia przyszłych kongresów obrać owe 24 tez, wniosek ten wśród ogromnego aplauzu został odrzucony, bo, jak oświadczył przewodniczący (sam tomista) Ks. Bisk. Janssens, jeśli trzeba się trzymać dekretów Stolicy św. o przestrzeganiu nauki św. Tomasza, to z niemniejszą gotowością trzeba przyjąć i te inne *monita pontificia,* które *in iis de quibus disputare licet, sancte retineri volunt iustam disputandi libertatem.* (Acta Congr. p. 310). I słusznie, bo wśród wielu innych oświadczeń, jeszcze w r. 1923 w encyklice z dn. 5 lipca orzekł Pius XI: *Neque enim in iis rebus, de quibus in scholis catholicis, inter melioris notae auctores, in contrarias partes disceptari solet quispiam prohibendus est eam sequi sententiam, quae sibi verisimilior videatur.*

A więc, kto je uważa za prawdę, niech się trzyma i broni owych 24 tez tomistycznych; niech rozwija na ich temat równie piękne i głębokie, jak te, które niniejsza książka zawiera, spekulacje, ale niech pamięta, że to są w przeważnej mierze zasady, a niekiedy opinje jednej tylko, lecz bynajmniej nie jedynej szkoły, obok której mogą istnieć inne równie dobrze uprawnione i św. Tomaszowi nie mniej oddane.

Co do zewnętrznych stron omawianego dzieła konstatujemy z przyjemnością, że przekład jest bardzo dobry, a wydanie wzorowo staranne.

Ks. J. Rostworowski. T. J.

X. Dr. Kazimierz Wais, prof. Uniwersytetu Lwowskiego: Ontologja czyli Metafizyka ogólna. „Bibljoteka religijna". Lwów 1926. Str. 323. Cena: 7 zł.

Po czterotomowej Psychologji (Warszawa 1902—1905), po Kosmologji ogólnej (Warszawa 1907), po zarysie teodycei p. t.: „Czy i jak Bóg jest"? (Przemyśl 1912), po studjum o duszy ludzkiej (Kraków 1917), po cennych rozprawach o hipnotyźmie, o spirytyźmie, o teozofji, o scholastyce i neoscholastyce, o Dantem — wydał Nestor neoscholastyków polskich, ks. Prof. Wais Ontologję, zapowiadając w niej bliskie ukazanie się Kosmologji szczegółowej (por. str. 160, 211). Powoli więc zaokrągla systematyczny kurs filozofji neoscholastycznej, zapełniając przez to ważną lukę w naszej literaturze filozoficznej. Kurs bowiem ś. p. Ks. Dra Gabryla

zupełnie wyczerpany, a chęć zapoznania się ze systemem scholastycznym pod wpływem Zachodu i w Polsce rośnie. Każdy więc dorobek w tym względzie należy witać z wdzięcznością, zwłaszcza, jeśli on tak wartościowy, jak wogóle wszystkie rozprawy Ks. Prof. Waisa.

Ontologja świeżo wydana jest podręcznikiem, ułatwiającym studjum najważniejszych, bo najbardziej zasadniczych, pojęć filozoficznych. Rozpada się ona, — po Wstępie, podającym określenie, historję, możliwość i konieczność oraz podział metafizyki ogólnej, — na cztery części. Pierwsza omawia byt w ogólności, zatem naturę bytu, pierwsze oznaczenie bytu (akt i możność, istotę i istnienie, pojęcie możliwości), transcendentalne właściwości bytu, jako to: jedność i mnogość, tożsamość i rożnicę, prawdę i fałsz, dobro i zło. Część druga zaznajamia z kategorjami bytu: substancją, przypadłościami, a wśród nich z jakością, stosunkiem, czasem i przestrzenią. Część trzecia rozbiera pojęcie przyczyny i jego wartość przedmiotową, zwłaszcza przyczyny sprawczej i celowej. Czwarta zajmuje się doskonałością bytu, przyczem wyjaśnia dość obszernie pojęcia skończoności i nieskończoności oraz piękna.

W zapatrywaniach przechyla się Szanowny Autor na ogół na stronę tomistów, jest jednak bardzo umiarkowany, a gdzie tylko można, bardzo pojednawczy. Wykład jest jasny i przedmiotowy, przedstawiający dowody różnych filozofów, nie narzucający przemocą swego zdania, odróżniający pewne od niepewnego, ważne, bo zasadnicze, od mniej ważnego, pozwalający czytelnikowi, a raczej studentowi, na wyrobienie sobie własnego zapatrywania. Chociaż tu i ówdzie zaznacza Autor, że nie ma zamiaru rozstrzygać zbyt subtelnych kwestyj (por. str. 227), to jednak porusza i bardzo delikatne zagadnienia, n. p. różnicy między istotą a istnieniem w bytach stworzonych, podstawy jednostkowości bytów (str. 82 nn. pojęcia osobowości (str. 137 nn.), przenikliwości ciał i równoczesnej obecności na kilku miejscach (212—214) i t. d. Co chwila rozprawia się Autor z zapatrywaniami najnowszych filozofów tak scholastycznych, jak i neoscholastycznych, co czyni z jego dzieła książkę prawdziwie aktualną. Odda ona usługę niewątpliwą nie tylko słuchaczom teologji, lecz także i filozofji a nadto wszystkim, którzy zajmują się u nas zagadnieniami filozoficznemi. Dla neoscholastyki zaś w Polsce będzie mieć to znaczenie, że wpłynie na ustalenie wielu wyrażeń scholastycznych, oddanych w trafnem polskiem brzmieniu.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

P. Pourrat: La spiritualité chrétienne. III. Les temps modernes. 1-e partie: De la Renaissance au jansénisme. Paris 1925, J. Gabalda. Str. X i 607.

Pourrat podjął się dzieła ogromnej użyteczności dla nauki wogóle, a szczególnie dla poznania chrześcijańskiej pobożności,

będącej wykwitem całej działalności Kościoła. Postanowił napisać historję literatury ascetycznej i mistycznej, zaczynając od Ewangelji a skończywszy na obecnym wieku. Historję, a zatem nie tylko kronikarskie zrejestrowanie najwybitniejszych autorów i ich dzieł, ale ich genezę, charakterystykę, wzajemną zależność, względnie oryginalność, ich stosunek do innych prądów duchowych i t. d.

Przedsięwzięcie to wprost olbrzymie, gdyż literatura ascetyczno-mistyczna nie ustępuje chyba żadnej pod względem obfitości i różnorodności. W jej kolosalnym, gęstym borze poprzecinać orjentacyjne ścieżki, *dégager les grandes lignes,* praca to niezmiernie śmiała, która imię Pourrata uczyni w tej dziedzinie niezapomnianem. Z pewnością niejedna z tych *les grandes lignes* zostanie przez następnych badaczy nieco w innym kierunku nastawiona, ale samo ich wytyczenie pozostanie wielką zasługą Pourrata.

Dwa poprzednie tomy, o których już wspominaliśmy na łamach *Przegl. Pow.,* omawiają *la spiritualité chrétienne* od początku Kościoła do średniowiecza i w ciągu samego średniowiecza. Pierwsza część trzeciego tomu obejmuje okres od Renesansu do jansenizmu, mniej więcej od połowy XV w. do połowy XVII w. Ogromnie żywy i bogaty ruch ascetyczno-mistyczny, właściwy temu okresowi, grupuje autor w 4 szkoły: hiszpańską, włoską, św. Franciszka Salezego i francuską.

Do szkoły hiszpańskiej wlicza takie potężne postacie, jak św. Ignacego Loyolę z jego „Ćwiczeniami Duchownemi", św. Teresę, reformatorkę Karmelu, św. Jana od Krzyża, Ludwika z Grenady, bł. Jana z Awili, jezuitów Baltazara Alwareza, Alfonsa Rodrigueza z jego klasycznem dziełem: „O doskonałości chrześcijańskiej", Ludwika de Ponte, św. Alfonsa Rodrigueza, Marję Agredę z jej „Mistycznem miastem bożem", tak silnie zwalczanem przez Sorbonę i Bossueta.

Szkołę włoską cechuje przedewszystkiem walka przeciw pogańskiemu renesansowi i pseudo-reformacji. Klasycznym wyrazem tej walki na terenie duszy jest słynne dziełko, przypisywane teatynowi Wawrzyńcowi Scupoli p. t.: Walka duchowna. Jan Carioni, Serafin de Fermo, św. Magdalena de Pazzis, św. Katarzyna de Ricci, jezuici bł. Bellarmin i Klaudjusz Akwawiwa — oto głośni reprezentanci szkoły włoskiej. Mimowoli budzi się tutaj pytanie, czy jednak kierunek ascetyczny, reprezentowany przez generała jezuitów Klaudjusza Akwawiwę i św. Magdalenę, karmelitankę, jest na tyle jednorodny, żeby go można wliczać do tejże samej szkoły? Czy nie lepiej byłoby kierunki ascetyczne XVI i XVIII w. usystematyzować nie wedle narodowości, ale np. według wielkich rodzin zakonnych, lub innych grup. Ta sama wątpliwość powstaje przy takich reprezentantach szkoły hiszpań-

skiej jak Rodrycjusz i św. Jan od Krzyża. Zbyt odmienna ich asceza, żeby mogła tworzyć tę samą szkołę.

Osobną grupę stanowi dla siebie św. Franciszek Salezy. Jego wielką zasługą jest ostateczne pokonanie tego uprzedzenia, jakoby tylko w klasztorze można było prowadzić życie doskonałe. Uczynił to przedewszystkiem przez nieśmiertelną „Filoteę", w której uczy, jak ludzie świeccy mogą i mają prowadzić życie doskonałe. Mistyka św. Salezego znajduje klasyczny swój wyraz w „Traktacie o miłości bożej".

Na czele t. zw. szkoły francuskiej stoi Piotr de Berulle, który z tajemnicy Wcielenia uczynił kamień węgielny pod całą ascezę swoją. Najwybitniejsi uczniowie jego to Condren, Olier, bł. Eudes, Ludwik Grignon de Monfort, a po części Bossuet. Św. Wincenty à Paulo powinienby raczej być zaliczony do szkoły ignacjańskiej, niż do zwolenników Berulle'a.

Lektura tego tomu „Spiritualité chrétienne" jak i poprzednik uświadamia nam, jak bogatą jest tradycja pobożności chrześcijańskiej, jak mimo swej zasadniczej jedności, wykazuje równocześnie przedziwne zróżniczkowanie. Uczy nas wielkiej szerokości ducha, nie pozwalającej się zasklepiać do własnego jedynie podwórka, boć przecież niesposób twierdzić, że tylko w „moim" kierunku ascetycznym widać działanie Ducha Świętego.

J. Andrasz.

Ks. Józef Winkowski: Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej. Zakopane 1927, str. XI i 219 małe 8°.

Choć główny zrąb niniejszego dziełka stanowią dwie serje konferencyj, wygłoszonych przez Autora na wakacyjnych kursach Księży Prefektów w Wilnie i Lublinie, opracowanie tematu jest w znacznej mierze nowe, co zresztą tak treść, jak forma tej książki wyraźnie zdradzają. To bowiem, co nam Sz. Autor w swej pracy podaje, to nie są jakieś luźne uwagi o pewnych stronach zadań katechety szkoły średniej, ale metodyczny i — można śmiało powiedzieć — kompletny a znakomity Przewodnik w trudnem dziele gimnazjalnego duszpasterstwa. Wprowadziwszy najpierw w rozległy przedmiot przejrzyste podziały, omawia Autor kolejno chyba wszystkie kwestje, dla myślącego katechety doniosłe. Począwszy od określenia stanowiska jego, jako rzeczywistego duszpasterza młodzieży, poucza o stosunku do miejscowego proboszcza, do domu rodzicielskiego, do współnauczycieli; daje wyborne wskazówki dotyczące osoby katechety i osobistego z uczniami kontaktu, wprowadza w tajniki pracy wewnętrznej w duszach i w zrozumienie głównych jej środków, jak modlitwy, wspólnych nabożeństw, egzort, spowiedzi, komunji świętej, rekolekcyj i t. d.; traktuje wreszcie szeroko i *con amore* dzieło, w którem sam z największem powodzeniem pracuje t. j. sodalicję gimnazjalną, doprowadzając jej wyjaśnienie aż do

punktu, gdzie zaczyna się już duszpasterstwo akademickie. We wszystkich tych kierunkach dostarcza książka całe mnóstwo wskazówek często głębokich i uderzająco trafnych, zawsze świeżych a duchownych, pełnych taktu i umiarkowania. A ten takt jest tem cenniejszy, że Autor najdelikatniejszym nawet problemom z drogi nie schodzi, ale roztrząsa je bez obawy czy to ludzi, czy utartych teoryj. Materjału do tych wybornych uwag dostarcza mu w pewnej mierze lektura i studjum, ale w dużo wyższym stopniu obserwacja i doświadczenie. Obdarzony przez Boga niemałym do pracy nad młodzieżą talentem, studjuje Autor młody świat, wśród którego się obraca z wielką dozą subtelnego, spostrzegawczego zmysłu, z największą delikatnością, a przedewszystkiem z najżywszą miłością. Ponieważ zaś „miłość wszystkiemu wierzy", on ufa swym chłopcom, ma o nich, mimo wszystko, dobre pojęcia i jeszcze lepsze nadzieje, a ten swój zdrowy i szlachetny optymizm przelewa w swą książkę tak obficie, że nie może oprzeć się czytelnik panującemu w niej nastrojowi pogody i ufności. O niektóre — nieliczne zresztą — twierdzenia możnaby się spierać i niezawodnie poruszą te punkty fachowe czasopisma, sądzimy jednak, że co do ogólnego sądu będą z nami zgodne, że Ks. Winkowski dał nam podręcznik bardzo wybitny, doskonale pojęty i napisany, bogaty w myśli, pełen prawdziwej duchowej kultury. Dla poczynających zwłaszcza katechetów będzie ta książka nieocenionym poradnikiem, który im dostarczy i świateł i podniet.

Ale — bo każda rzecz ludzka ma swoje „ale" — sądzimy, że obok tych pierwszorzędnych zalet ma praca Ks. Winkowskiego jeden brak, który w praktyce może nieco zaszkodzić wielkiemu dziełu, jakiemu chce służyć. Zdaje się nam mianowicie, że zanadto wyśrubowana jest zasada: P r e f e k t j e s t w s z y s t k i e m. Że on sam ma mówić egzorty, sam kierować sodalicją, sam opiekować się pozaszkolnem życiem młodzieży i t. d. i t. d. — to oczywiście zrozumiałe i wskazane. Czy jednak jest równie wskazane by sam dawał rekolekcje, a zwłaszcza sam spowiadał??? Czy zadał sobie Autor pytanie ilu jest katechetów, którym, już nie mówię inne dane, ale poprostu siły fizyczne pozwolą, to wszystko z k o r z y ś c i ą dla młodzieży wypełnić? A jeśli katecheta, którego na ten niezmierny wysiłek nie stać, będzie jednak próbował, wedle przepisów Autora, być sam w s z y s t k i e m, czy nie doprowadzi z konieczności do tego, że życie religijne swych uczniów zuboży a może i wypaczy? Dlatego sądzimy, że lepiejby było powiedzieć: Możesz sam, to zrób sam, ale jeśli sam dobrze rzeczy zrobić nie potrafisz, to wiedz, że istnieją jednak w Kościele kapłani — i to nietylko świeccy — którzy mogą tobie i twoim uczniom być pomocni. Na jakiejś najlżejszej wzmiance o możliwości pomocy ze strony zakonników nie straciłaby, sądzę, ani książka, ani sprawa, której książka służy. Ale jeśli to są braki, są one w stosunku do przymiotów minimalne. Życzymy

więc tej książce najserdeczniej, by jej Bóg dał największe rozpowszechnienie i najdzielniejszą skuteczność. Do tego rozpowszechnienia przyczyni się niezawodnie miła forma zewnętrzna, jaką pracy drukarnia Anczyca nadała. Szkoda tylko, że w wyborny zresztą papier, wkradł się przypadkiem z arkuszem jedynastym dużo mniej wartościowy intruz.

Ks. J. Rostworowski. T. J.

Stan. Czosnowski: Unja międzyparlamentarna, jej powstanie, organizacja i działalność. Wilno 1926, nakł. L. Chomińskiego, str. 75.

Z szerszej publiczności mało komu wiadomo o istnieniu w Europie już od roku 1872 organizacji „unji międzyparlamentarnej", do której — jak sama nazwa mówi — należą parlamentarzyści, a więc posłowie i senatorzy różnych krajów. Od r. 1922 należy do niej także duża grupa parlamentarzystów polskich; broszura podaje ich listę w liczbie 384 osób, co stanowi blisko trzy czwarte naszych senatorów i posłów. Z żadnego pono kraju udział parlamentarzystów w Unji nie jest stosunkowo tak liczny. Autor kreśli historję Unji, wylicza jej zasługi dla sprawy pokoju i różnych zagadnień politycznych i humanitarnych, podaje wreszcie statut organizacji. Przedmowa do broszury pochodzi z pod pióra prof. Bron. Dembińskiego, prezesa polskiej grupy w organizacji, podczas gdy autor jest tej grupy sekretarzem. Zanotujmy tutaj, że tenże autor umieścił niedawno w *Kurjerze Warszawskim* artykuł o „polsko-francuskiej grupie parlamentarnej". Organizacje te są jakby uzupełnieniem Ligi narodów, w której reprezentowane są państwa raczej przez swe rządy, niż przez swe ciała parlamentarne. W broszurze może trochę przeceniono zasługi organizacji, o jakiej traktuje; może za wiele w niej optymizmu i pacyfizmu, który obecnie wszędzie, z wyjątkiem pono Niemiec, jest jakby w modzie. W każdym razie broszura poucza o rzeczach, które nie mogą być obojętne dla każdego świadomego obywatela demokratycznego kraju, o rzeczach, do których tak czy inaczej musi się ustosunkować jego umysł.

Ks. J. Urban.

Stanisław Kot: Hugo Grotius a Polska. Odbitka z IV rocznika *Reformacji w Polsce,* Kraków, Krakowska Spółka Wyd., 1926, str. 50.

Rozprawa powstała z okazji 300-lecia dzieła Grotiusa „O prawie wojny i pokoju", a opowiada o stosunkach osobistych i listownych znakomitego myśliciela i teologa protestanckiego z Polakami i o jego sympatjach dla Rzeczypospolitej i jej publicznych urządzeń. Zaznaczone jest, jak swem ironicznem usposobieniem i działalnością w kierunku zjednoczenia wyznań chrześcijańskich przyczynił się do rozkładu protestantyzmu w Polsce w dobie potężnego już odrodzenia się u nas katolicyzmu. — W dodatku znajdujemy rozprawkę o stanowisku rodu Słupeckich w ruchu refor-

macyjnym. Historja tego rodu może służyć jako typowa dla udziału możnowładztwa i szlachty polskiej w reformacji, pouczając o wzroście, przesilaniu się i upadku reformacji w Polsce. Na obrazie trzech pokoleń widzimy gorący zapał dziadów z czasów Zygmuntowskich dla haseł protestanckich, załamanie się synów pod wpływem atmosfery Zygmunta Wazy i odstępstwo wnuków za Władysława IV, niekoniecznie wywołane naciskiem zewnętrznym, bo w znacznej mierze restauracją myśli katolickiej XVII w. Historja konwersji Słupeckich pouczająca jest i z tego względu, że w niej nie brali żadnego udziału Jezuici, że była rezultatem poważnych osobistych studjów i dumań teologicznych Feliksa Słupeckiego i jego syna Jerzego, ucznia Grotiusa.

Ks. J. U.

Leopold Caro: Myśli Japończyka o Polsce. Wydawn. Zakł. narodowego im. Ossolińskich, Lwów-Warszawa-Kraków, 1926, str. 145.

Japoński przyjaciel i niegdyś kolega Dra Caro na uniwersytecie wypowiada i ustnie przy spotkaniu się z lwowskim profesorem i w listach do niego szereg myśli, godnych zastanowienia, nie tylko o naszej polityce, ale i bardziej ogólnych o kwestji mniejszości narodowych, o polityce kolonjalnej państw europejskich, o kwestji żydowskiej, o nacjonaliźmie, faszyźmie, pacyfiźmie i t. d. Bar. Joshi (nazwisko fikcyjne) jest katolikiem i to z przekonania, zna naukę św. Tomasza z Akwinu, więc nic dziwnego, że jego poglądy na zagadnienia społeczne i polityczne pokrywają się przeważnie z przekonaniami prof. Caro, wytrwałego u nas rzecznika socjologji chrześcijańskiej i potrzeby przesycenia etyką zarówno polityki, jak gospodarstwa narodowego. Jednak wypowiadając ujemne sądy o przesadnym nacjonaliźmie wśród społeczeństw europejskich, nie umie br. Joshi dość umiarkować swego nacjonalizmu japońskiego. Ciekawy jest list, w którym streszcza koncepcję Belloca o „państwie niewolników" i drugi, w którym wypowiada krytyczne uwagi o wartości pomysłów „paneuropejskich" Coudenhovego, kryjących podobno wcale nie „paneuropejskie" ale germańskie aspiracje.

Do listów Japończyka dołączył Dr Caro w broszurze cztery swoje rozprawki, drukowane w ostatnich czasach w różnych czasopismach. Cechuje je, jak zawsze u autora, gorąca propaganda idej społecznych i ekonomicznych, wysnutych z nauki katolickiej, zarówno zwalczających klasyczny liberalizm i grożący socjalizm. Broszurę czyta się z żywem zainteresowaniem.

Ks. J. Urban.

Ks. Dr. Władysław Wicher: Ks. Szymon Stanisław Makowski, teolog moralista polski z XVII w. Kielce. Nakładem autora. 1926. Str. 248 in 8°.

Pomimo głębokiej religijności narodu, wybitnych teologów mieliśmy mało. Wśród mnóstwa tak świeckich, jak zakonnych

autorów, którzy pisali o rzeczach religijnych, niewielu da się znaleźć uczonych większej miary, którzy samodzielną pracą byliby wpłynęli na postęp wiedzy. Jeżeli jednak brakło nam prawdziwie wielkich, nie mało mieliśmy średnich, z których niejeden zasługuje na to, by przez sumiennego badacza wydobyty został z pyłu zapomnienia. Taki dobry uczynek spełnił Ks. Dr. Wicher względem teologa krakowskiego z XVII w., który, lubo średniej miary nie przekracza, jest z niejednego względu ciekawą i pouczającą postacią. Szymon Stanisław Makowski (* ok. 1610 † 1683) najpierw uczeń, potem profesor i przez czas jakiś rektor uniwersytetu Jagiellońskiego, pracował w dziedzinie filozofji, teologji dogmatycznej i moralnej i kaznodziejstwa, a nadto wpleciony był w całe ówczesne życie akademickie, z jego różnorodnemi zawikłaniami na wewnątrz, a sporami na zewnątrz. Człowiek pracowity i niespożytej energji, nie umiejący trzymać się na uboczu, ale skłonny do zaznaczania w życiu swych przekonań i swej bujnej indywidualności, nadawał się Ks. Szymon doskonale na przedmiot ciekawego studjum o krakowskich akademickich stosunkach drugiej połowy XVII w. Istotnie, choć ten wiek z mnóstwa innych źródeł doskonale jest znany, z pod sumiennej, dokładnej ręki Autora wychodzą raz po raz bardzo interesujące obrazki, które korzystnie dopełniają ogólny zarys dziejów uniwersytetu, który dla tej epoki i tego wydziału K. Morawski raczej był naszkicował niż wyczerpująco nakreślił. Niestety, dowiadujemy się przedewszystkiem, jakie były „spory w one lata", bo zatargów i dużych i małych nie brakło, ale oczywiście Autor musi to brać, co mu historja daje, a z drugiej strony i dzieje tych kłótni dużo mówią o ludziach i czasach. Najciekawszym momentem jest staranne zbadanie stosunku Makowskiego do współczesnej teologji i jej wielkich zagadnień. Dowiadujemy się z tego dociekania, że jeśli w teologji dogmatycznej panował wogóle na katedrach krakowskich bardzo skrajny tomizm, to w kwestjach moralnych jednak otwierano drzwi i wielkim jezuickim autorom. Ciekawe jest też stanowisko Makowskiego jako kaznodziei i pewna ewolucja, jaka się w nim stopniowo zaznacza. Za całe to studjum bardzo pilne, bardzo poważne, a bezstronne należy się Ks. Dr. Wichrowi szczera wdzięczność. Gdyby więcej takich prac u nas się pojawiało, możnaby wreszcie utworzyć sobie jasne pojęcie o falach wpływów teologicznych, które o nasz kraj uderzały i u nas się rozchodziły. Język rozprawy, zwłaszcza z początku, zupełnie dobry, przejrzysty, nic a nic nie manjerowany. Pod koniec, jak to często bywa, znać już pewne znużenie. Zewnętrzna szata dzieła bez zarzutu. Dodatki źródłowe dają bardzo interesujące próbki ówczesnego stylu, lub twórczości Makowskiego. Całość jest dla naszej literatury teologicznej i historycznej bardzo cennym przyczynkiem.

Ks. J. Rostworowski. T. J.

Rozmyślania dla zakonnic według metody św. Ignacego. T. I. Okres Bożego Narodzenia. Str. 323. 1926. Drukarnia J. B. Lange.

Zakonnice stanowią w Kościele potężną armję, oddającą mu bardzo poważne usługi na różnych polach, zwłaszcza w dziedzinie akcji charytatywnej i wychowawczej. Żeby pracę swoją spełniały dobrze, trzeba im fachowego wyszkolenia. Dzięki Bogu, coraz więcej zgromadzeń żeńskich rozumie tę potrzebę. Żeby swoją pracę wykonywały w duchu nadprzyrodzonym, tak żeby równocześnie przez nią dusze swoje uświęcały, potrzebne im wyrobienie wewnętrzne.

Jednym z warsztatów, gdzie się dusza przerabia na wzór Chrystusa, to codzienne rozmyślanie. Potrzebne do niego t. zw. punkta, dostosowane do stanu rozmyślającego. I oto ktoś bardzo skromny, bo nazwiska swego nie podał na karcie tytułowej, przychodzi z pomocą licznej rzeszy dusz zakonnych w Polsce, a z pomocą dobrą i wcale umiejętną. Rozmyślania te nie odznaczają się wprawdzie niezwykłą oryginalnością, szerokością horyzontów, świeżością ujęcia tematów (jak np. „Rozmyślania o Ewangelji" Prohászki), ale wieje z nich szczera pobożność, ciągła troska o udoskonalenie duszy rozmyślającej. Odznaczają się zdrową, nieprześrubowaną ascezą; jest w nich serdeczność, ale bez ckliwego sentymentalizmu. Myślimy, że wielu duszom, nietylko zakonnym, oddadzą dobrą przysługę. — Autorce życzymy, żeby w tym duchu przeprowadziła i następne tomy.

J. Andrasz.

Dom. S. Louismet O. S. B.: Życie mistyczne. Przełożyła W. Grafczyńska, Lwów „Bibljoteka religijna" 1927. str. 220 w 12-ce.

Przy lwowskiem towarzystwie „Bibljoteka religijna" zawiązała się także pod kierunkiem Ks. Ks. A. Bogdanowicza i K. Csesznáka specjalna „Bibljoteka przekładów". Niniejsze dziełko O. Louismeta jest początkiem tego wydawnictwa, które witamy ze szczerą radością jako poważne wzbogacenie naszej literatury religijnej. Rzecz jest wydana bardzo starannie, format miły, wyborny druk i papier, wzorowe tłumaczenie. Niestety jednak co do treści dziełka musimy zrobić poważne zastrzeżenia. Wydawca sądzi, że O. Louismet trzyma się pewnego specjalnego poglądu na mistykę. My mamy głębokie przekonanie, że niema tam specjalnego poglądu, tylko konsekwentne a tendencyjne mieszanie dwóch znaczeń słowa „mistyczny", pokrewnych, ale głęboko różnych. Nie ulega mianowicie wątpliwości, że wszelkie działanie łaski Bożej, a zatem wszelkie, z tej łaski płynące życie wewnętrzne, jest pod pewnym względem mistyczne, t. j. w nadprzyrodzony sposób tajemnicze. Ale oprócz tej mistyczności, wszystkim aktom zbawiennym wspólnej, a pod horyzontem świadomości ukrytej, jest inna, zaczynająca się tam, gdzie dusza wchodzi w sferę doświadczalnego z Bogiem obcowania. Otóż te dwa najróżniejsze

rodzaje mistyki, zgoła do siebie niepodobne, zacny O. Louismet nielitościwie gmatwa i miesza. A czyni to z jednej strony tak naiwnie, z drugiej, z taką zamaszystością i brakiem finezji starego misjonarza, że zarazem i gniewa i rozbraja i śmieszy i żalem napełnia. W rezultacie jednak to ostatnie uczucie zwycięża, bo szkoda tej książeczki, która, tak, jak jest, jest nieuleczalnie zepsuta. Gdyby autor był skromnie powiedział, że chce nieco wyjaśnić i praktycznemi uwagami opatrzyć teorję życia cnoty chrześcijańskiej, wiele z jego myśli czytałoby się z przyjemnością i pożytkiem. Ale, że upiera się, by to wszystko traktować jako mistykę — i to jako mistykę jedynie prawdziwą, stworzył rzecz, która mało komu dopomoże, a w niejednej duszy wywoła zamęt a może i spaczenie kierunku.

Ks. J. Rostworowski T. J.

O. Wł. Szołdrski C. SS. R.: Dzieje Misyj katolickich w zarysie. Kraków 1927, Wyd. Ks. Jezuitów, str. 174.

Dziełka, któreby obejmowało całokształt działalności misyjnej Kościoła w krajach zamorskich i wśród inowierców, brakowało dotąd zupełnie u nas. Tę dotkliwą lukę wypełnia książeczka O. Szołdrskiego. Skromna ona, bo na 170 stronach musiała coś powiedzieć o szerzeniu się wiary chrześcijańskiej w ciągu wszystkich wieków, potem dać zarys historji misyjnej w ostatnich wiekach, zwłaszcza ubiegłym, podać przegląd ostatnich terenów misyjnych w różnych częściach świata, wyliczyć kościoły wschodnie, tak zjednoczone z Rzymem, jak i w schizmie pozostające, wreszcie zakończyć wzmianką o stosunku Polski do prac misyjnych Kościoła w czasach nowożytnych. Jest to więc tylko „zarys", bardzo sumaryczny, niemniej — możliwie dokładny. Dla zwolenników szerzącego się już i u nas zainteresowania misjami książeczka ta będzie miłym podarkiem.

J. U.

Zdzisław Dębicki: Z Północy i Południa. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 334.

Zbiór listów, jakie autor pisał ze swych podróży po obcych krajach. Niektóre są jeszcze z przed wojny z lat 1907 i 1909, z Finlandji i Włoch, inne z lat ostatnich, ze Szwecji, Rumunji i Turcji. Starsze pisane były przez prywatnego turystę-dziennikarza, ostatnie pochodzą z wycieczek zbiorowych, w których autor brał udział jakoby oficjalny — imieniem dziennikarstwa polskiego. Z różnicy czasu, kiedy były pisane i dostępności, że się tak wyrazimy, kraju dla obserwacji, zainteresowanie tych listów jest różne. Najciekawsze są ze Szwecji, gdzie autor był podejmowany jako członek wycieczki międzynarodowej dziennikarzy i literatów, przez tamtejszy świat literacki, artystyczny i dwór. Dużo można się dowiedzieć ciekawych rzeczy o prze-

myśle Szwecji, o kulturalnym rozwoju tego kraju. Z Rumunji dowiadujemy się o życiu i warunkach pracy tamtejszej Polonji w różnych miejscowościach. Listy z Turcji może tchną zbyt wielką sympatją dla powojennej, skrajnie nacjonalistycznej zarazem i radykalnej Turcji, co stało się poniekąd modą w publicystyce polskiej.

Ks. J. U.

Joseph Braun S. I.: Handlexikon der katholischen Dogmatik. Herder 1926, podwójn. stron. VIII i 356, małe 8°.

Profesorowie fakultetu teologicznego prow. niem. Tow. Jez. w Valkenburgu (Braun, Brust, Deneffe, Dieckmann, Hürth, Lange, Lennerz) stworzyli dla całej dogmatyki katolickiej małą podręczną encyklopedję, która w alfabetycznym porządku wszystkie ważniejsze kwestje treściwie omawia. Literatura zasadniczo nie jest cytowana, w historję dogmatów bardzo mało się wchodzi, sporne kwestje traktuje się zwięźle. Celem podręcznika jest doskonale wytłumaczyć pojęcia i słowa, a zapomocą odnośników uwydatnić związek prawd wzajemny. Przedstawienie jest wogóle jasne i gruntowne, niekiedy może zanadto jałowe. Rzecz może być bardzo pożyteczna tak dla ludzi świeckich, szukających wyjaśnienia nasuwających się zagadnień z dziedziny dogmatu, jak dla teologów, gdy potrzebują krótkiego zestawienia pojęć. Druk, chociaż drobny, jest bardzo czytelny; format miły i dogodny. Na końcu skorowidz łacińskich teologicznych wyrażeń.

J.

Robert Lais: Auf der Spur des Urmenschen. Herder 1926, str. 183.

Niezmordowana w pomysłach firma Herdera zaczyna niniejszym tomikiem szereg popularnych publikacyj z zakresu nauk przyrodniczych, którym nadaje wspólny tytuł *Der Weg zur Natur*. Zadaniem bowiem tych dziełek jest nie tyle teoretycznie uczyć, ile raczej wprowadzać czytelnika w kontakt z samą przyrodą, aby przez lepsze jej poznanie uczył się dźwigać myślą do Stwórcy. Pierwszy ten tom ma za przedmiot tak niezmiernie interesującą i tak niesłychanie omawianą prahistorję człowieka. Po krótkim rzucie oka na okresy przedhistorycznych czasów, daje autor pogląd na naturę i rodzaje zabytków pozostałych po pierwotnym człowieku i uczy jak tych jego śladów należy poszukiwać, potem szeroko omawia i wielu ilustracjami objaśnia same różnorodne te szczątki, wreszcie, po treściwych wskazówkach o zbieraniu i przechowywaniu wykopalisk, kończy syntetycznem przedstawieniem, jak przedhistoryczny człowiek przypuszczalnie mógł wyglądać, jak żył wewnętrznie i zewnętrznie, w co wierzył. Rzecz cała utrzymana w tonie nadzwyczaj popularnym a przytem zupełnie gruntowna, zasługuje na polecenie jako lektura dla starszej

młodzieży, albo dla ludzi pragnących zorjentować się w kwestji bez wielu studjów. Dodawać nie potrzeba, że treść jest w zupełnej harmonji z filozofją i teologją katolicką.

R.

Dr. Antoni Peretiatkowicz: Współczesna Encyklopedja Polityczna. M. 8. Str. 537. Gebethner i Wollf 1926.

Niewielka ta rozmiarami książka mieści jednak obfity materjał informacyjny, który pozwoli każdemu, interesującemu się sprawami publicznemi, zapoznać się nie tylko ze słownictwem, ale także z problemami i osobami, które zaważyły więcej na szali wypadków, zwłaszcza po wojnie światowej. Objaśnienia rzeczowe, historyczne i statystyczne, obejmujące różne kraje, instytucje i ludzi, podane są tu treściwie i jasno. Oczywiście przedewszystkiem uwzględniona została Polska, jej zagadnienia polityczne, gospodarcze i społeczne, stronnictwa i wybitniejsze osobistości; tu i ówdzie dodana jest najważniejsza literatura uzupełniająca. Dziełko to, obliczone na najszersze warstwy inteligentne, zasługuje na polecenie i powinno się znaleźć w każdej bibljotece podręcznej, publicznej czy szkolnej. *P.*

Chrześcijanin-katolik na łożu boleści. Wskazówki, modlitwy i rozmyślania w chorobie. Ułożył ks. R. Tomanek. Cieszyn. 1927. „Dziedz. Bł. Sarkandra". Str. 318 i XV in 48.

Nadzwyczaj pożyteczna książeczka tak dla chorych, jak dla ich rodzin i odwiedzających chorego kapłanów. Modlitwy liturgiczne przy chorych po łacinie i po polsku. Całe mnóstwo uwag praktycznych i głęboko duchowych myśli oraz modlitw. Maleńka ta książeczka dopomoże wielu chorym do uświęcenia czasu niemocy i przygotowania się na śmierć. *J. R.*

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności.

— Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademji Umiejętności. T. XXXI. Listopad 1926. Nr 9.

— Bulletin international de L'Académie Polonaise des sciences et des lettres. Série A: sciences mathématiques. Octobre 1926. Série B: Sciences naturelles. Mars-Avril 1926.

H. Windakiewiczowa: Wzory ludowej muzyki polskiej w mazurkach Fryd. Chopina. Studjum muzykologiczne. Kraków 1926. Str. 50.

Nakładem Książnica-Atlas.

Georg Kerschensteiner: Pojęcie szkoły pracy. T. 4. Bibljoteki przekładów dzieł pedagogicznych. Przekładu dokonała Aniela Kierska. Lwów—Warszawa, 1926. Str. 124.

Prof. dr Leon Wachholz: O zaburzeniach umysłowych u dzieci i młodzieży. Lwów—Warszawa, 1927. Str. 140.

Ks. Tomasz Gunia: Zasady wiary katolickiej na tle dziejów biblijnych, część II. Lwów—Warszawa, 1926. Str. 139.

Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Józef Jankowski: Miłość artysty. Szopen i Pani Sand. Warszawa, 1927. Str. 148.

Władysław Grabski: O własnych siłach. Zbiór artykułów na czasie. Warszawa, 1926. Str. 118.

Roman Rybarski: Naród, jednostka i klasa. Warszawa, 1926. Str. 276.

Włodzimierz Perzyński: Uśmiech losu. Komedja w 4 aktach. Warszawa, 1927. Str. 148.

Zofja R. Nałkowska: Choucas. Powieść internacjonalna. Warszawa, 1927. Str. 233.

— Roman Sanguszko. W świetle pamiętnika matki ks. Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej oraz korespondencji współczesnej. Z niewydanych dokumentów tłumaczyła i przypisami opatrzyła K. Firlej Bielańska. Słowo wstępne Józefa hr. Potockiego. Przedmowa Henryka Mościckiego. Warszawa, 1927. Str. XIII+210. 15 ilustr. w tekście i 2 mapki.

Nakładem Herdera, Freiburg im Breisgau.

Dr Albert M. Koeniger: Katolisches Kirchenrecht, mit Berücksichtigung des deutschen Staatskirchenrechtes, 1926. Str. 314.

Heinrich Gassert: Studentisches Taschenliederbuch, 1927. Str. 222 in 16.

Benedikt Kraft: Die Zeichen für die wichtigeren Handschriften des griechischen Neuen Testaments. 1926. Str. 24 in 16.

Heinrich Mohr: Das Himmelreich auf Erden, 1926. Str. 252 in 16.

Johann Peter Kirsch: Die Stationskirchen des Missale Romanum. 1926. Str. 272.

Dr Edmund Jehle: Katechesen für die Oberstufe, erster Teil: Glaubenslehre, 1926. Str. 194.

Josephus Hontheim S. J.: Theodicea sive theologia naturalis in usum scholarum, 1926. Str. 323.

Alfred O' Rahilly: Verborgenes Heldentum P. Wilhelm Doyle S. J. 2 und 3 Auflage, 1926. Str. 446.

Nakładem różnych.

Naczelne zagadnienia Sodalicji młodzieży w chwili obecnej. Referaty, wygłoszone na VIII Zjeździe Związku Sodalicyj Marjańskich Uczniów Szkół Średnich w Polsce, w Wilnie w r. 1926. Nakł. Związku Sod. Marj. Zakopane, 1927. Str. 38.

Józef Tyszkiewicz: Czy wiedza odbiera wiarę. Warszawa, 1917. Str. 78. (Druk. Jan Swiętoński, Kopernika 34).

Bolesław Brežego: Muzea witebskie. Warszawa 1926. Str. 30. (Druk. Jan Swiętoński, Kopernika 34).

Henri Fontanille: L'oevre sociale d'Albert de Mun. „Editions Spes", Paris, 1926. Str. 274.

Generał Herr: Artylerja. Przełożył z francuskiego Włodzimierz O' Nacewicz. Nakł. Wojskowego Instytutu naukowo-wydawniczego. Warszawa 1926. Str. 356.

Adam Czartkowski: Obłąkania serdeczne. Cyklu: Gawędy o dawnym obyczaju tom VII. Nakładem Wydawnictwa Polskiego, Lwów—Poznań. Str. 270.

Mussolini: Mowy. Wybrał, przełożył i przedmową poprzedził Władysław Jabłonowski. Nakład „Myśli Narod.". Warszawa, 1927. Str. 70.

M. H. Szpyrkówna: Maleńka Święta Terenia. Nakład „Księgarni Kroniki Rodzinnej". Warszawa, 1927. Str. 32.

Boecjusz: O pociechach filozofji oraz traktaty teologiczne. Tom V cyklu: Pisma Ojców Kościoła. Z łaciny tłumaczył, dał wstęp i objaśnienia ks. dr. Tadeusz Jachimowski. Księgarnia Uniwersytecka. Poznań, 1927. Str. XXXVII+266.

Dr Ignacy Czuma: Skarbowa sylwetka Staszica. Odbitka z księgi zbiorowej: „Stanisław Staszyc". Lublin, 1926. Str. 12 in fol.

Ignacy Czuma: Z nauki o organizacji pracy. Odbitka z „Przeglądu Współczesnego" nr 50. Kraków 1926. Str. 11.

Mgr. Laveille: Le Cardinal Mercier, archevêque de Malines (1851—1926) „Editions Spes", rue Soufflot, Paris, 1926. Str. 240.

Wacław Zajikyn: Chrześcijaństwo w Europie wschodniej od czasów apostolskich do księcia Igora Starego. Warszawa, 1926. Str. 30.

Arnold J. Kwietniowski: T. G. Masaryk. Życie i dzieło. Z przedmową Zdzisława Dębickiego. Nakł. Księgarni Teofila Firuta we Fryszt acie, 1926. Str. 200.

Ks. Walerjan Adamski: Zjednoczenie Młodzieży Polskiej, ustrój i działalność. Poznań 1926, „Ostoja". Str. 20.

— VII Sprawozdanie Zjednoczenia Młodzieży Polskiej za r. 1925. Poznań 1926, „Ostoja". Str. 60.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Odznaczenie przedstawiciela Stolicy św. w Polsce. — Rozwój sprawy *Action française* i płynące z niej ważne nauki. — Dekret ministerjalny o nauczaniu religji w naszych szkołach. — Odstępstwo archimandryty Morozowa — Warszawski zjazd delegatów prawosławnych eparchij.

Prawie w chwili, gdy słowa, jakie piszemy obecnie, wychodzić będą z pod prasy, na zamku warszawskim dokana się rzadka a podniosła uroczystość. Korzystając z prawa, przyznawanego zazwyczaj zwierzchnikom państw katolickich, Prezydent Rzeczypospolitej wręczy biret czerwony dotychczasowemu nuncjuszowi Stolicy św. w Warszawie, J. E. ks. kardynałowi Wawrzyńcowi Lauriemu.

Bezpośrednie podniesienie posła papieskiego w Polsce na najwyższy, po biskupstwie rzymskiem, szczebel godności kościelnej jest wielką łaską nietylko dla dostojnego purpurata, ale i dla naszej ojczyzny. Bo z jednej strony przez ten swój wybór daje nam Ojciec św. dowód, że zaczyna na nas patrzeć, jako na prawdziwie katolickie, z Kościołem Chrystusowym ściśle złączone państwo, z drugiej daje nam sposobność, żeby, razem z symbolem nowej godności, cały kraj, przez ręce swego prezydenta, oddał byłemu nuncjuszowi należny mu hołd wdzięczności i uznania. Nie ulega bowiem wątpliwości, że J. E. ks. kardynał Lauri dobrze się zasłużył około naszego Kościoła. Objąwszy po swoim wielkim poprzedniku przedstawicielstwo Stolicy św. w naszym kraju, sprawował je w niełatwych warunkach bardzo spokojnie i roztropnie, a z szczerą dla narodu naszego życzliwością. Pomimo że niegdyś pracował w krajach i warunkach zupełnie odmiennych, w niedługim czasie zorjentował się w polskich stosunkach i niewątpliwie wpłynął na szereg decyzyj bardzo zbawiennych dla naszego prawdziwego dobra. Życzymy Mu najserdeczniej, żeby w dalszej służbie Kościoła mógł zdobyć

sobie jak największe zasługi i żeby o nas zachował zawsze to wspomnienie, któremu dał wyraz w pięknem przemówieniu do papieskiego delegata, hr. Petruzzi: „Witam cię, dostojny Panie, wśród tego szlachetnego narodu polskiego, w tym kraju tak pobożnym, tak religijnym, który był zawsze przedmurzem Europy wschodniej przeciw barbarzyństwu i odszczepieństwu".

Głośny list kard. Andrieu w sprawie *Action française* oraz list Ojca św. z dn. 5 września ub. r. w tym samym przedmiocie podziałały na szerokie koła katolików francuskich jak potężny kamień, rzucony w toń głębokiego jeziora. Choć minęło już od wydania pierwszej z tych enuncjacyj całych pięć miesięcy, aż do tej chwili nie mogą uspokoić się fale myśli i uczuć. Napisano już o tej kwestji tysiące artykułów i rozpraw, wydano o niej długi szereg, przeważnie zgodnych co do treści, listów pasterskich, odbyto mnóstwo narad i zebrań, a poruszenie opinji wciąż jeszcze trwa i nieprędko chyba ustanie. Znać, że skalpel rządców Kościoła uderzył we wrzód bardzo głęboki, z którym, jakby splot nerwów, łączył się kłąb zagadnień równie skomplikowanych, jak aktualnych.

W samym obozie, w który silny ten cios był wymierzony, nastąpił rozłam. Część jego członków, prawdopodobnie ta, z której łona wyszło skierowane do kard. Andrieu zapytanie, poddała się bez zastrzeżeń; inna część, nie wypowiadając zasadniczo posłuszeństwa dla Kościoła, obwinęła się jednak w całą chmurę żalów i gorzkich niechęci; sam sztab stronnictwa z Maurras'em na czele, dotknięty do żywego w swoich, nie tyle religijnych, ile partyjnych przekonaniach, zajął stanowisko wyraźnie opozycyjne. Dla pozyskania tych zbłąkanych i dla wyjaśnienia fałszywych interpretacyj, któremi oni tendencyjnie przekręcali myśli Kościoła, nie szczędził jeszcze Ojciec św. upomnień, czy to w formie wskazówek dawanych biskupom francuskim, czy w formie artykułów w *Osservatore Romano*, ale gdy wszystkie te ostrzeżenia były daremne, widział się zmuszonym użyć silniejszego środka. W allokucji konsystorjalnej z dn. 20 grudnia ub. r. poświęcił Papież cały długi ustęp sprawie *Action française* i to ustęp nacechowany szczególną jakąś i ścisłością i powagą. Podniósłszy z uznaniem usposobienie i zachowanie całego szeregu tak duchownych jak świeckich, którzy sądowi Stolicy św. poddali się z ochotą, przechodzi Pius XI do tych innych, którym dotychczasowe wskazówki nie wydały się dosyć dokładne i jasne. „Jeśli są tacy", powiada dosłownie, „których umysł wymaga jeszcze silniejszego światła, niż to, którego dostarczyliśmy aż dotąd, do-

dajemy, że katolikom żadną miarą nie wolno przystępować do uczestnictwa w przedsięwzięciach i wchodzić niejako w szkołę takich ludzi, co swoje partyjne dążenia stawiając ponad religją *(qui studia partium religioni anteponunt)* chcą, żeby religja służyła stronniczym celom. I owszem, nie wolno ani siebie, ani zwłaszcza młodzieży poddawać pod wpływ takich powag i nauk, które mogłyby być niebezpieczne czy to dla czystości wiary lub obyczajów, czy dla katolickiego wychowania młodych pokoleń. A w tej mierze — żeby już żadnego z postawionych nam pytań nie pominąć — nie wolno katolikom podtrzymywać, popierać i czytać dzienników, wydawanych przez ludzi, których pisma, z nauką naszą o wierze i moralności niezgodne, nie mogą na potępienie nie zasługiwać".

Słowa papieskie wymierzone były tym razem z taką precyzją, że nie mogło być mowy o sparowaniu ciosu. To też Maurras nie szukał wybiegów. Zaledwie tekst allokucji doszedł do Francji, ukazał się w *Action française* zuchwały artykuł, zatytułowany *Non possumus*, w którym wodzowie partji, pod pozorem, że Papież wdaje się w politykę, decydują się postępować wbrew jego upomnieniom. Ale i Rzym postanowił na raz obranej drodze iść dalej. Dn. 29 grudnia tegoż roku wychodził dekret św. Officium, w którym szereg książek Maurras'a *(Le chemin du Paradis, Anthinéa, Les amants de Venise, Trois idées politiques* etc.), a przedewszystkiem dziennik *Action Française* z wyraźnem wymienieniem artykułów Maurras'a i Leona Daudet'a, były potępione i zakazane. Po tym akcie papieskim rozpoczął napiętnowany obóz niesmaczną kampanję inwektyw i oszczerstw przeciw Głowie Kościoła i domniemanym sprawcom oskarżenia, ale przez to oczywiście w oczach wszystkich uświadomionych katolików do reszty zdyskredytował swą sprawę. Dzieje partji jako stronnictwa k a t o l i c k i e g o, a przynajmniej dozwolonego katolikom, zostały z końcem ubiegłego roku nieodwołalnie zamknięte.

Pozostaje tylko wyjaśnić kwestję, która i w polskiej prasie bardzo silny znalazła oddźwięk, co właściwie zostało potępione w *Action Française* i na czem polega ten fałsz, który Stolica św. uznała za stosowne tak silnie i tak stanowczo napiętnować.

Jeśli chodzi o ścisłe określenie samej istoty błędu, dotkniętego wyrokiem Kościoła, nie ulega żadnej wątpliwości, że potępioną została zasada, jakoby względy polityczne czy narodowe można kiedykolwiek stawiać wyżej niż względy religijne i jakoby religja mogła uchodzić za środek czy za pomoc do osiągnięcia partyjnych celów. Do stronnictwa, które w teorji czy w praktyce przyznawałoby się do zasady

politique d'abord, katolikom przystępować, ani też w niem pozostawać żadną miarą nie wolno. Nie wolno też trzymać się żadnych powag, które te zasady głoszą, ani też prenumerować czy w inny sposób popierać pism i książek, które w ten sposób wywracają hierarchję dóbr, na samej istocie chrześcijaństwa opartą. Dobro bowiem religijne i związane z tem dobrem prawo albo jest bezwarunkowo najwyższe i dlatego nie może ustąpić względom na żadne inne dobra, albo jest czczą jakąś konwencją, której niepodobna brać zupełnie na serjo. Ponieważ w tej drugiej alternatywie wszelka rzeczywista religja, istnieć przestaje albo zamienia się na jakąś formę bez treści, czy też na dowolny dodatek do innych życiowych wartości, Najwyższy Stróż wiary i moralności całą swą mocą i powagą staje po stronie alternatywy pierwszej i wszystkie przeciwne jej zasady odrzuca.

A więc — taki stąd wypływa nieodbity wniosek — wolno wprawdzie katolikom trzymać się w polityce tych lub innych przekonań i obozów, ale n i e w o l n o im wyznawać takich przekonań i należeć do takich stronnictw, które z samą podstawą katolickiego na świat poglądu są niezgodne. Czy ustrój państwa ma być republikański czy monarchiczny, czy taka ma być lub inna ordynacja wyborcza — te i tym podobne przeróżne zagadnienia są dla wiary i zbawienia dusz obojętne i dlatego Kościół się w nie nie miesza, pozostawiając co do nich ludziom czy partjom pełną swobodę poglądów i dążeń. Ale czy Bóg, jego prawda i prawo w ocenie różnych dóbr mają zachować miejsce istotnie pierwsze, czy też przeciwnie mają być zepchnięte na bok przez inne dobra, np. przez naród, czy państwo, czy człowieczeństwo, czy jakąkolwiek inną rzecz skończoną, na to Kościół obojętnie patrzeć nie może i musi wszelkie przewrócenie porządku tak potępić, jak je świeżo potępił.

A więc, powtóre, żeby katolik mógł ze spokojnem sumieniem trzymać się jakiegoś politycznego stronnictwa, n i e w y s t a r c z y, żeby to stronnictwo zachowywało z Kościołem zewnętrznie poprawne stosunki. To robiła *Action Française*, nawet w bardzo obfitej mierze. Ponieważ jednak broniąc katolicyzmu, zalecając katolicyzm i oddając mu przeróżne usługi, patrzała nań zawsze i jedynie jako na ś r o d e k do swych politycznych zamierzeń, Kościół nie zawahał się wyrzec się tego przymierza i zrezygnować ze wszystkich, jakie zeń spłynąć mogły, korzyści. Bo prawdziwym sprzymierzeńcem Kościoła może być tylko ten, kto, trzymając się w czysto politycznej dziedzinie jakichkolwiek zasad, wszystko i zawsze wewnętrznym aktem wiary podporządkowuje Bogu. Żeby jakieś stronnictwo polityczne było dla katolików praw-

dziwie bezpieczne, a więc dozwolone, musi tej wierze przynajmniej niczem się nie sprzeciwiać.

Ale — po trzecie — ponieważ Ojciec św. doskonale zdaje sobie sprawę, że czysto polityczny teren, przy panującej dzisiaj rozbieżności poglądów, byłby w każdym razie niebezpieczny dla tak niezmiernie potrzebnej katolikom jedności i zgody, w tej samej allokucji, w której potępia *Action Française*, zaleca najusilniej inną formę zrzeszenia. Poleca mianowicie łączenie się ludzi dobrej woli na terenie czysto religijnym, jedynie i wyłącznie dla obrony praw Chrystusa i Kościoła. „Niech każdy — powiada Papież — ma takie lub inne poglądy na sposób rządzenia państwem, byleby te poglądy z porządkiem Bożym nie stały w sprzeczności, ale niech wszyscy przy tem łączą się ściśle na polu religijnem dla obrony praw Kościoła, chrześcijańskiego małżeństwa, rodziny, wychowania dzieci i młodzieży, słowem tych wszystkich swobód, które zabezpieczają same podstawy ludzkich społeczeństw".

Ojciec św. nie nazywa tu rzeczy po imieniu, ale z innych dokumentów, zwłaszcza z listu do Gen. Castelnau, wydanego 23 listopada ub. r., a ogłoszonego we Francji 15 grudnia, jasno wynika, że przeciwstawia tu potępionej *Action Française* wspaniały związek, noszący miano *Fédération Nationale Catholique.* Zrzeszenie to bowiem, liczące dzisiaj dwa i pół miljona rzeczywistych członków jest właśnie takiem stowarzyszeniem, które, jednocząc wiernych w celach czysto religijnych, pozostawia każdemu pełną swobodę godziwych politycznych przekonań.

O naturze i działalności tego związku, który cieszy się tak wyraźną sympatją Stolicy św. wypadnie pomówić innym razem. Dziś trzeba nam tylko wyrazić życzenie, żeby ważne, a nam bardzo pożyteczne nauki z potępienia *Action Française* wypływające i u nas zostały zrozumiane i przyjęte.

Wśród wielu objawów mało pocieszających, jest do zanotowania w naszem życiu religijnem jeden fakt stanowczo pomyślny. Pierwszy tegoroczny zeszyt Dziennika Ustaw Rzeczypospolitej przyniósł podpisane jeszcze dnia 9 grudnia, ale opublikowane 8 stycznia rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. o nauce szkolnej religji katolickiej. Rozporządzenie to, określające wykonanie art. 120 Ustawy konstytucyjnej i art. 13 konkordatu, odpowiada w zupełności, co z przyjemnością stwierdzić musimy, tak charakterowi Polski, jako katolickiego państwa, jak prawom Kościoła, jak też potrzebom i tradycjom ludności. Winszujemy szczerze P. Bartlowi, że na tym ważnym dokumencie widnieje i długo zapewne widnieć będzie jego nazwisko.

Na całe rozporządzenie składa się 11 paragrafów, z których ważniejsze podajemy tu w streszczeniu:

§ 1. stanowi, że nauka religji katolickiej jest obowiązkową dla uczniów katolików we wszystkich szkołach, z wyjątkiem wyższych, tak państwowych, jak prywatnych, mających prawa publiczności lub korzystających z zasiłków państwowych. § 3. Ilość godzin i plan nauki religji katolickiej ustala Minister W. R. i O. P. w porozumieniu z kompetentnemi władzami kościelnemi. Podręczniki do nauki religji mają mieć, prócz aprobaty Ministra W. R. i O. P., aprobatę kościelną i polecenie przez diecezjalnego Biskupa. §§ 5, 6. Właściwą wizytację godzin nauki religji sprawuje Biskup diecezjalny bądź osobiście, bądź przez naznaczonych na wizytatorów kapłanów, podczas gdy świeckim wizytatorom, inspektorom i kierownikom wolno tylko robić uwagi pedagogiczno-dydaktyczne — tak w szkołach średnich, a w szkołach niższych mogą te uwagi robić tylko inspektorowie lub wyżsi zwierzchnicy, nie zaś kierownicy. § 7 orzeka, że praktyki religijne młodzieży szkolnej katolickiej należą do całości nauczania i wychowania religijnego, przeto młodzież szkolna obowiązana jest brać w nich udział. Do praktyk tych, unormowanych przez władzę duchowną w porozumieniu z Ministrem W. R. i O. P. należą: a. wspólne nabożeństwa i egzorty we wszystkie niedziele i święta, oraz na początku i na końcu roku szkolnego; b. co roku wspólne trzydniowe rekolekcje; c. trzy razy do roku wspólna spowiedź i Komunja św. dla młodzieży; d. wspólna modlitwa przed lekcjami i po lekcjach, przez władzę kościelną przepisana, a przez władze szkolne wprowadzona. § 8. wreszcie postanawia, że księża prefekci są nietylko nauczycielami, ale w zakresie życia szkolnego duszpasterzami młodzieży i że skutkiem tego powinni osobiście czuwać nad życiem jej religijnem i wychowaniem moralnem, a zatem też brać udział we wszystkich konferencjach, sprawę wychowania uczniów mających na oku.

Otóż tym wszystkim przepisom, choć w kilku drobniejszych punktach wymagałyby dokładniejszego określenia, musimy szczerze przyklasnąć, bo one religji i jej przedstawicielom dają istotnie to miejsce, jakie w naszej polskiej szkole im się należy. Co zaś przedewszystkiem musimy ocenić, to to, że nietylko lekcje, ale praktyki religji zostały uznane za należące do całości wychowania i że katechecie wyraźnie przyznano duszpasterskie względem młodzieży i obowiązki i prawa. Jest to ogromny krok naprzód, który, nie nadając jeszcze naszej szkole ściśle wyznaniowego charakteru, robi ją *de facto* katolicką, a więc taką, jakiej olbrzymia większość mieszkańców Polski najsłuszniej żąda. Nasza

szkoła odtąd publicznie i oficjalnie uznaje Boga i Chrystusa oraz jego Kościół i chce to uznanie wkorzenić w uczniów, aby dać im w religji praktykowanej pewną ostoję życiową. Dobre owoce, jakie z tego rozporządzenia najniezawodniej wypłyną, będą dla jego twórców nagrodą, a dla rodzin polskich tytułem do głębokiej wdzięczności.

Jeżeli zaś kilka czasopism naszych, między innemi i dziennik uchodzący za organ w pewnej mierze rządowy, wyraziło wątpliwość, czy P. Minister miał prawo wydać takie zwłaszcza przepisy, jakie zawiera streszczony powyżej § 7 — możemy je w zupełności uspokoić. Religja bowiem katolicka z najgłębszej swej istoty nie jest tylko teoretyczną wiedzą, ale przedewszystkiem praktyką życia. Jeżeli więc szkoła, wedle art. 120 konstytucji i 13 konkordatu, ma tej religji uczyć, musi zarazem w obowiązkowy sposób do praktyk jej zaprawiać. Minister więc, wprowadzający te praktyki do życia szkolnego, nic innego nie robi, tylko lojalnie wykonywa to, czego żąda zasadnicza ustawa Rzeczypospolitej i zawarty ze Stolicą św. konkordat. Jeżeli zaś pewnym redakcjom zdaje się, że one lepiej rozumieją istotę religji i że w tem ich rozumieniu praktyki religijne są zbyteczne — nie wdając się w długą dyskusję, możemy je poprosić, aby i co do sądu o naturze religji pozwoliły łaskawie Kościołowi rządzić się swojemi prawami, co mu również konstytucja polska w art. 114 poręcza.

Miłośnikom wielkiej idei połączenia Kościołów przyniósł sam początek bieżącego roku niemałe rozczarowanie i ciężką przykrość. Po kilku nie zupełnie pewnych pogłoskach, przyniosły nareszcie dzienniki niewątpliwą wiadomość, że archimandryta Filip Morozow, o którego nawróceniu donosiliśmy niegdyś w naszem piśmie, po półtorarocznym pobycie w Kościele katolickim, za przykładem kilku innych prawosławnych duchownych, napowrót odpadł do schizmy.

Że na wytłumaczenie tego bolesnego faktu znalazłoby się w psychologji i życiu nieszczęśliwego kapłana aż nadto materjału, tego niezbicie dowodzi choćby tylko list otwarty niekatolika, P. Zygmunta Kucharskiego, zamieszczony w *Dzienniku Wileńskim* z dnia 8 stycznia, albo i cały szereg wiadomości, zaczerpniętych od osób, które stykały się zbliska z konwertytą-renegatem. Nie o to jednak nam chodzi, żeby pokazać, że w liście pożegnalnym do katolickiego duchowieństwa trochę za śmiało wyraził się Morozow, mówiąc: „Odchodzę od was z czystem sercem". Pragniemy raczej podzielić się z czytelnikami garścią refleksyj, jaką smutny ten fakt nam nasuwa.

Otóż przedewszystkiem całe to zdarzenie rzuca nowe a bardzo jasne światło na głębokość i szerokość tej przepaści, jaka dzieli Wschód prawosławny od rzymskiego, nietylko już łacińskiego, ale powszechnego Kościoła. Inny świat pojęć i uczuć; inaczej urobione dusze. Doprawdy ma się wrażenie, że ta psyche prawosławna różni się od katolickiej w samych kryterjach prawdy i normach oceny wartości, w najgłębszych prawach myśli i wzajemnem ustosunkowaniu władz ducha. Czyż bowiem da się to naszemi pojęciami wyrozumieć, co archimandryta pisze świeżo do wileńskiego archiereja Teodozjusza, iż „nigdy nie wyrzekał się prawosławia, a uznawał tylko za głowę Kościoła powszechnego biskupa rzymskiego"? Czy da się odnaleźć jasny wątek myśli w długim, na pozór dość szczerze dźwięczącym, memorjale, który Morozow na miesiąc zgórą przed swem odstępstwem skierował do ks. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego, prosząc go rzekomo o pomoc i opiekę?[1]) Inne kategorje myślenia, inne punkty wyjścia, inne konkluzje.

Ale powtóre wypływa z powyższej kilka innych uwag bardzo doniosłych. Pierwsza jest ta, że w dziele nawracania prawosławnych trzeba wielki kłaść nacisk na rzeczywiste p r z e r o b i e n i e d u s z y. Są tacy, a należą tu głównie ludzie wychowani na prostolinijnej kulturze łacińskiej, którzy uważają, że dzieło przystąpienia do unji załatwia się w zupełności doraźnym aktem uznania kilku dogmatów spornych, a przedewszystkiem papieskiego prymatu. Tymczasem nawet po przyjęciu takich dogmatów, jak to w klasyczny sposób przykład Morozowa potwierdza, dusza może pozostać rzeczywiście i głęboko prawosławną, t. j. nietylko nie łacińską, ale n i e k a t o l i c k ą, nie prawowierną, nie Chrystusową. Bo tu trzeba zauważyć, że chociaż prawosławni — Morozow pierwszy — ogromnie wiele opowiadają o odrębności psychologji Wschodu i Zachodu, do tej „psychologji" zaliczają w praktyce nietylko jakieś usposobienia, odczucia, nastroje, przyzwyczajenia i t. p., ale pewne niewątpliwe b r a k i m o r a l n e i ustępstwa na korzyść natury z nadprzyrodzonych chrześcijańskich wymagań. Otóż tu trzeba stanowczo i zasadniczo wyjaśniać, że wprawdzie odrębna p s y c h o l o g j a ludzi wschodnich uszanowana być może, ale, że ta „psychologja" nie może ich uprawniać do zachowania, jak to nieraz bywało, zimnej, twardej, zmysłowej czy dwoistej duszy. A do tego głębokiego przerobienia dusz trzeba dążyć, częścią przed nawróceniem, częścią po niem, ale konsekwentnie i systematycznie, bo bez niego mogą rosnąć rejestry nawró-

[1]) Memorjał ten wydrukowało w całości włocławskie „Ateneum Kapłańskie" w n-rze grudniowym 1926 r., a omawia go „Gazeta Kościelna" 1927 r. nr 3 z dnia 16 stycznia.

conych, ale wewnętrzne Królestwo Boże się nie rozszerzy, a nieraz przyjdzie do bolesnych i wstydliwych dezercyj.

Po drugie jednak nie można zapominać, co z omawianego wypadku niemniej jest widoczne, że jeśli prawdziwe i zupełne nawrócenie zawsze jest trudne, to dla prawosławnych, właśnie z powodu wielkiego ich oddalenia, trudności te potęgują się do ogromnych rozmiarów. Dlatego nie trzeba niczego od nich żądać, poza tem, czego wymaga rzeczywisty zwrot do Boga i Kościoła, i trzeba się starać niczem zgoła im nie utrudniać kroku, który ich bez tego tak wiele kosztuje. I w tej mierze nigdy nie dość z naszej strony gruntownego rachunku sumienia, czy przypadkiem w sposobie patrzenia na nawracających się prawosławnych i w sposobie ich traktowania nie występują u nas objawy jakiejkolwiek nieżyczliwości, nieustępliwości, ciasnoty, a zwłaszcza zbytniej drażliwości narodowej. Gdyby to nie była rzecz już dawniej stwierdzona, z najkompetentniejszej katolickiej strony, miłoby było móc uważać za oszczerstwo zarzut Morozowa, że pewne sfery naszego społeczeństwa nieomal życzliwiej się odnoszą do prawosławnego na ziemiach naszych Kościoła, niż do poczynającego się na nowo, a tak mozolnie rozwijającego się dzieła unji. Boli nas i słusznie boli, że katolicka zagranica oskarża nas o utrudnianie nawrócenia Rosji, ale trzeba się rzeczywiście starać, by do tych oskarżeń żadnej nie dawać podstawy. Do tego zaś potrzeba dużo więcej, niż jej było dotąd, propagandy idei unijnej, studjowania związanych z nią zagadnień, a nadewszystko gorącej modlitwy, bo tylko szczególna łaska Boża może zarównać przepaść, jaką wykopały długie wieki win i nieporozumień.

Równocześnie ze smutnemi wypadkami w Wilnie przyszedł do skutku w Warszawie pierwszy zjazd delegatów prawosławnych eparchij. Zwołany przez metropolitę Dionizego bardzo nagle, z zachowaniem do ostatniej chwili ścisłego sekretu, był on rodzajem cerkiewnego zamachu stanu. Od dłuższego czasu mianowicie z łona świeckich wyznawców prawosławia i niższego parafjalnego kleru odzywały się żądania, żeby autokefalicznemu Kościołowi w państwie polskiem, zamiast, wzorowanego na carskiej Rosji, synodalnego ustroju, nadać ustrój soborny, oparty o szeroką demokratyczną podstawę, zwłaszcza o bractwa cerkiewne, w ich dawnym charakterze. Wyższe duchowieństwo natomiast było tym reformom stanowczo przeciwne i było za zachowaniem tej niejako arystokratycznej formy rządów, jaką stanowił t. zw. św. synod. Otóż zjazd warszawski miał na celu uprzedzić niebezpieczeństwo i postawić zwolenników reformy

przed faktem dokonanym. W tym celu zwołano około 60 delegatów tak duchownych jak świeckich z wszystkich pięciu polskich eparchij, ugoszczono ich bezpłatnie w internacie prawosławnego fakultetu przy ul. Bielańskiej i tutaj na naradach mianych od 10—13 stycznia pod kierunkiem metropolity Dionizego i episkopa grodzieńskiego Aleksego przyjęto t. zw. statut t. j. jakby konstytucję cerkwi prawosławnej w Polsce, o której definitywną aprobatę zwrócono się zaraz do Rządu. „Statut" zaś sankcjonuje ustrój nie „soborny", jakiego życzyło sobie wielu, ale „synodalny", pozostawiający znacznie większy wpływ biskupom. Jak się do tego kroku swej władzy duchownej odniesie prawosławna ludność, tego przewidzieć dziś nie można: mocno zirytowany dziennik „Za swobodu" przewiduje nawet możliwość „raskołu" czyli odszczepieństwa. Czy z tych wewnętrznych tarć w łonie schizmy nie mogłaby zebrać korzyści propaganda katolicka, to przyszłość pokaże. Rządowi polskiemu w każdym razie, zwłaszcza wobec ostatnich zajść na kresach wschodnich, potrzeba dużo rozwagi, by w stosunku do żądań prawosławnego zjazdu i do życzeń ludności zajął odpowiednie stanowisko.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Pielgrzymka młodzieży polskiej do Rzymu.

W dniach od 19 grudnia 1926 r. do 5 stycznia 1927 r. odbyła się pielgrzymka młodzieży polskiej do Rzymu celem wzięcia udziału w uroczystościach jubileuszu 200-letniego kanonizacji śś. Stanisława Kostki i Alojzego Gonzagi.

Liczba uczestników wynosiła około 260 osób przeważnie młodzieży szkół średnich z całej Polski, ale nie brakło też reprezentantów młodzieży akademickiej. Młodzież rękodzielniczą przedstawiała orkiestra Związku katolickiej młodzieży polskiej, która pod przewodnictwem ks. Kuznowicza, prezesa Związku, wzięła udział w pielgrzymce. Kierownikiem całej grupy polskiej był ks. Prałat Feliks de Ville, a jej najłaskawszym protektorem i czynnym opiekunem był J. E. ks. kardynał Kakowski.

Po drodze do Rzymu zatrzymała się pielgrzymka dwa dni w Wenecji. Tu, uproszony przez konsula polskiego, Patrjarcha wenecki, J. E. kardynał La Fontaine odprawił u św. Marka mszę św. dla naszej młodzieży i powitał ją podniosłą przemową, wspominając stosunki dawne, łączące Polskę z Wenecją, wyraził radość ze zmartwychwstania Polski, którą za przyczyną Matki Najśw. — stosownie do przepowiedni bł. Andrzeja Boboli — Bóg do nowego i oby szczęśliwego życia powołał. Zachęcił dalej mło-

dzież do korzystania z pobytu w Rzymie nie tyle dla zaspokojenia ciekawości, co dla pogłębienia i ożywienia wiary przy grobach męczenników i świętych. Po zwiedzeniu, choć z konieczności bardzo pobieżnem, Wenecji, krótkiej wycieczce stateczkiem do Lido i Murano, wieczorem drugiego dnia wyruszyła pielgrzymka w dalszą drogę do Rzymu.

W Rzymie przeważna część uczestników znalazła umieszczenie w hospicjum św. Marty, przylegającem do kościoła św. Piotra i Watykanu.

Ponieważ uroczystości jubileuszowe rzymskie obracały się niemal wyłącznie około osoby św. Alojzego, więc pielgrzymka polska, celem oddania również czci św. Stanisławowi, nie opuszczając ogólnych uroczystości, stworzyła sobie nieco odrębny program. Głównym momentem tegoż było złożenie srebrnej lilji i adresów pamiątkowych na trumnie św. Stanisława Kostki, uroczyste nieszpory z kazaniem, odprawiane codzień przez trzy dni w kościele św. Andrzeja na Kwirynale przez J. E. ks. kardynała Kakowskiego i innych w Rzymie bawiących biskupów polskich, a czwartego dnia wspólna komunja św. w kościele św. Piotra.

Bardzo miłe wrażenie robiły w małym kościółku, rzęsiście oświeconym, te wieczorne nabożeństwa, w czasie których orkiestra młodzieży rękodzielniczej przygrywała kolendy, kończąc stale hymnem „Boże, coś Polskę", by polecić naszą młodzież i związane z nią losy Ojczyzny orędownictwu największego z młodych Polaków.

Uroczystości polskie nie przeszkadzały udziałowi w ogólnych uroczystościach alojzjańskich. Te miały jakby cztery główne momenty:

Pierwszym było sprowadzenie do Rzymu głównej relikwji, t. j. głowy św. Alojzego. Od dworca do Instituto Massimo, gdzie relikwje miały być chwilowo zdeponowane, szpaler tworzyli faszyści, młodzież, wśród niej i polska pielgrzymka z muzyką zebrała się w obszernem podwórzu Instytutu. Tu oprowadzono w uroczystym pochodzie relikwje, złożone w szklannej ze srebrnemi okuciami trumience, na noszach, które na ramionach nieśli klerycy, i po krótkiem wystawieniu ich na ołtarzu w podwórzu złożono je w kaplicy Instytutu — skąd na drugi dzień miano je przewieźć do kościoła św. Ignacego — stanowi to drugi punkt programu jubileuszowego.

Przewożenie to wypadło wspaniale. Około stu automobilów towarzyszyło samochodowi wiozącemu relikwje, i wśród licznie zgromadzonej publiczności przewijało się długim wężem przez ulice Rzymu aż do kościoła św. Ignacego.

W tym punkcie programu oczywiście pielgrzymka polska, in gremio, udziału wziąć nie mogła, ale była reprezentowana w jednym z automobilów przez swoich delegatów ze sztandarami.

Trzecim uroczystym momentem było złożenie hołdu patronowi młodzieży przez delegatów poszczególnych narodowości w języku ojczystym. Była to jakby uroczysta akademja w kościele św. Ignacego przy relikwjach św. Alojzego.

Wszystkie pielgrzymki, które reprezentowały rzeczywiście młodzież całego świata, bo przyjechali Kanadyjczycy, młodzież Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Południowej Ameryki, Japończycy, Chińczycy, nie mówiąc już o całej prawie Europie, zapełniły ogromny i wspaniale przyozdobiony kościół. Czerwone draperje zwieszały się od sklepienia do posadzki, a setki świeczników elektrycznych rozjaśniło dość mroczny zazwyczaj kościół. W wielkim ołtarzu umieszczono obraz, przedstawiający obu świętych młodzieniaszków w chwale niebieskiej.

Na mownicę, ustawioną naprzeciw ołtarza św. Alojzego, na którym spoczywały wystawione relikwje, wychodzili po kolei przedstawiciele młodzieży wszystkich narodowości, i każdy w krótkich słowach w ojczystym języku składał hołd św. relikwjom, przyczem przedstawiciel Polski nie zapomniał o św. Stanisławie. Pięknym momentem było wejście przedstawiciela Meksyku, którego powitano długotrwałemi oklaskami.

Zakończeniem uroczystości alojzjańskich była jeszcze jedna procesja, a mianowicie przeniesienie relikwij do św. Piotra. W tej uroczystości wzięła udział pielgrzymka polska, tworząc szpaler na placu św. Piotra. Pochód wyglądał wspaniale. Z pomiędzy iluminowanych domów wysunął się długi szereg migocących świateł i między ciemnemi masami tłumu, przy blasku palonych ogni bengalskich, poruszał się przez olbrzymi plac ku bazylice. Na stopniach przed bramą kościoła nastąpiło błogosławieństwo relikwjami zebranych tłumów, poczem już bez uroczystości bocznem wejściem wniesiono relikwje do zakrystji.

Zebraną na tę uroczystość młodzieżą interesował się żywo i z prawdziwie ojcowską dobrotliwością pozwolił jej zbliżyć się do siebie Ojciec św. Pius XI. Kilka razy miała młodzież okazję widzieć papieża.

Po raz pierwszy na mszy papieskiej, odprawionej dla pielgrzymek w sali della Beatificazione. Był to jakby odległy widok i zapowiedź tego bliskiego zetknięcia, jakie miało nastąpić przy audjencji, udzielonej poszczególnym pielgrzymkom, a którego zakończeniem triumfalnem była wspaniała wizja celebry papieskiej u św. Piotra.

Audjencji udzielił Ojciec św. wszystkim pielgrzymkom poszczególnie. Pierwszą z rzędu była pielgrzymka polska. Wszedł Papież do sali, gdzie uczestnicy pielgrzymki ustawieni byli w szeregach, dozwalających na swobodne przejście między niemi — w asyście J. E. ks. kardynała Kakowskiego, polskich biskupów i O. Jenerała Zakonu OO. Jezuitów, i pochwaliwszy Boga sło-

wami: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", przechodził kolejno wśród klęczących szeregów, dając każdemu do pocałowania rękę, zaszczycając niektórych kilku słowami rozmowy. Na sztandarze jednego z gimn. warszawskich zawiesił własnoręcznie podane mu szarfy o barwach papieskich. Szedł, zatrzymywał się, patrzał, rozmawiał. On, Ojciec chrześcijaństwa, w którego rękach spoczywają losy całego Kościoła, miał czas, myśl i serce dla garstki swoich dzieci z dalekiej Polski. Odczuła to młodzież; to też gdy wreszcie opuszczał salę, by się udać do innych pielgrzymek, czuć było szczere i gorące uczucie w okrzykach, na jego cześć wznoszonych.

Audjencje poszczególnych narodowości były jakby wstępem do audjencji ogólnej wszystkich pielgrzymek, które zebrały się razem znowu w sali della Beatificazione. Wśród oklasków i okrzyków szedł Papież i, usiadłszy na tronie, zaczął przemawiać. Mówił po łacinie, wolno, dobitnie, głosem silnym. Przemawiał niezwykle długo, jakie trzy kwadranse. Ojciec św. uczył i zachęcał dzieci. Niestety, okna były otwarte, u św. Piotra zaczęto dzwonić, tak że mimo donośnego głosu Papieża dalej stojący nie wszystko usłyszeć mogli. Mówił o modlitwie, pracy i czystości. Wspomniał kilkakrotnie o św. Stanisławie i o Polsce, wreszcie, błogosławiąc młodzież, serdecznemi okrzykami żegnany, wyszedł ze sali.

Trzeci raz widzieliśmy go w majestacie głowy Kościoła, sprawującego święte tajemnice. Obraz niezapomniany, ale też nie dający się opisać, mogący się mieścić tylko w tych ramach, jakie dlań wystawili Bramante i Michał Anioł. I kiedy wśród tego całego przepychu nad pochylonemi głowami chowa się w rękach papieża mała biała Hostja, umysł mimowoli pyta się, jak ludzie nad jeziorem Galilejskiem: „Kimże jest ten, wobec którego cała świetność jest tylko prochem podnóżka stóp Jego?"

Tak nam dobiegał do końca rok 1926. Na samo zakończenie roku po południu odprawiła pielgrzymka drogę krzyżową w Colosseum. Szli wszyscy ze świecami w rękach wśród ruin potężnych gmachów, wywołując jakąś wizję pierwszych czasów chrześcijaństwa.

W miarę wolnego czasu i sił fizycznych, przez czas pobytu w Rzymie zwiedzała młodzież zabytki starożytnego i chrześcijańskiego Rzymu pod przewodnictwem przeważnie księży i kleryków Polaków, studjujących w Rzymie.

Przed odjazdem złożyła pielgrzymka polska hołd Generałowi Jezuitów, O. Ledóchowskiemu, który jak przez cały czas pobytu otaczał ją najszczególniejszą opieką i życzliwością, tak przyjął ją bardzo łaskawie, ze wszystkimi prawie uczestnikami rozmawiał i wszystkim na pamiątkę wręczył medaliki i obrazki św. Stanisława.

Zatrzymując się w drodze powrotnej dzień jeden w Wiedniu, na wigilję Trzech Króli powróciła pielgrzymka do kraju.

Oby to zbliżenie do Głowy Kościoła, widok kopuły św. Piotra nad gruzami Forum i Palatynu dało naszej młodzieży głębsze poczucie katolicyzmu — oby jej dało zrozumienie, gdzie szukać oparcia w pracy nad szczęściem własnem i wielkością Ojczyzny.

Ks. Paweł Dzieduszycki T. J.

Zakłady wychowawcze w Pruszkowie.

Niema może w całym kraju drugiej miejscowości, w którejby tyle zdziałano na polu opieki i wychowania opuszczonej młodzieży, jak w oddalonym o parę stacyj od Warszawy mieście Pruszkowie. Wystawiony z powodu swego położenia na wszystkie okropności wojny, a potem uciążliwej okupacji niemieckiej, stał się ten, ożywiony przed wojną i liczący około 20.000 zamożnych mieszkańców podmiejski ośrodek przemysłowy już z końcem 1914 r. jednem opustoszałem pobojowiskiem. Zorganizowany samorzutnie już na początku wojny miejcowy Komitet Obywatelski rozpoczął zaraz akcję ratunkową, która wobec nędzy pozostałych rodzin i ciężkich warunków ogólnych musiała objąć na wszystkich polach opiekę nad ludnością miejscową. Z poprawą stosunków zakres jej zacieśniał się coraz bardziej, działalność Komitetu jednak nie ustawała i po dwukrotnem przekształceniu, działa on dotychczas, na mocy statutu zatwierdzonego w styczniu 1922 r., jako Rada Opiekuńcza m. Pruszkowa.

Nie będziemy wchodzili w historję i szczegóły wielostronnej akcji tej instytucji, uwagę naszą zajmie najważniejsza i w przyszłości najprawdopodobniej wyłączna jej część: praca na polu wychowania i opieki nad młodzieżą.

Rozpoczęła się ona od pierwszych dni istnienia Komitetu Ob. Dla młodzieży, opuszczonej przez uchodzących do Rosji, ewakuowanych, lub zabranych na prace ojców rodzin, otwarto stopniowo szereg ochron (12), schronisk i zakładów dla sierot, szpitale, żłóbek dla przychodnich, przytułki dla matek rodzących i karmiących. W lecie 1919 r. zorganizowano również akcję dożywiania dzieci przez Amerykański Wydział Ratunkowy i w 6 jadłodajniach żywiono 6.000 najbiedniejszych dzieci; liczba ta malała potem aż do zupełnego zlikwidowania dzieła w końcu 1923 r. — W celach kształcenia założono wielką szkołę powszechną oraz liceum, przekształcone następnie na gimnazjum i upaństwowione z początkiem roku szkolnego 1921/2; nadto zorganizowano kursa dokształcające, szkoły zawodowe i różne warsztaty.

Największem z powyższych dzieł było stworzenie olbrzymich zakładów wychowawczych zamkniętych. Otwarte narazie tylko na rok, przetrwały do dziś dnia, początkowo z powodu inwazji bolszewickiej, a później wskutek napływających ciągle z kresów sierot, dla których brakło miejsca w instytucjach wewnątrz kraju. W roku ubiegłym w opiece Rady Op. m. Pruszkowa znajdowało się mniej więcej półtora tysiąca dzieci, z czego około 1.100 mieściło się w zakładach wychowawczych. Te ostatnie dzieci składały się w 80% z sierót zupełnych, w 15% z półsierót, a w 5% z sierót w sensie moralnym (zaniedbanych przez rodziców).

Olbrzymia ta liczba młodzieży została rozbita na 15 zakładów wychowawczych, poza dwoma — w Żyrardowie i Brzeziu (pod Włocławkiem), rozrzuconych w samym Pruszkowie. Z nich 8 jest przeznaczonych dla chłopców, 5 dla dziewcząt; koedukację zastosowano tylko w dwóch zakładach, żyrardowskim i jednym pruszkowskim, w którym przyjmuje się jednak chłopców tylko do 12 lat. Podziału młodzieży pomiędzy poszczególne zakłady dokonano podług płci, wykształcenia i stanu zdrowia; kształcący się n. p. zawodowo chłopcy i dziewczęta pomieszczeni są w osobnych schroniskach, podobnie jak dzieci, zarażone jaglicą lub anormalne.

Dzięki nadzwyczajnej uprzejmości naczelnego dyrektora pracy wychowawczej, p. J. Cz. Babickiego, oraz prezesa p. Zen. Rutkowskiego — którzy wraz z inż. p. Józ. Troetzerem stanowią dziś główny Zarząd Rady Op. — mogłem we wrześniu ub. roku zwiedzić szereg zakładów, szpital i różne instytucje pomocnicze, i wejrzeć w każdy niemal ich szczegół. Widok ten uderzył mnie z początku. Kiedy przed rokiem zwiedzałem ogromny również, bo na 300 dzieci syberyjskich przeznaczony, zakład wychowawczy w Wejherowie na Pomorzu, zastałem okazałe gmachy, z wielkiemi, jasnemi salami, o podłogach wyścielonych w wielkiej części wybornem linoleum, rozległy plac i park do zabaw. Zupełnie inaczej przedstawiała się rzecz w Pruszkowie. Ilekroć bryczka zatrzymała się przed jednym z zakładów, oczom naszym ukazywała się mniejsza lub większa zwyczajna kamienica lub ich kompleks, niekiedy zaledwie ze skromnym dziedzińcem. Wewnątrz też dość ubogo, podłogi, ściany i całe urządzenie proste, szpital, składy, kuchnie utrzymane czysto, ale zaopatrzone tylko w niezbędne przedmioty.

Po objaśnieniach, zamieszczonych na wstępie, ten stan rzeczy jest wszakże zupełnie zrozumiały. Zakłady pruszkowskie powstały dobrą wolą i energją grona osób, które nie otrzymały żadnych fundacyj i wogóle nie myślały o tworzeniu stałej instytucji wychowawczej, lecz zmuszone do tego siłą rzeczy starały się uczynić wszystko możliwe, by przyjść z pomocą młodzieży i społeczeństwu. Otwarte zakłady wychowawcze musiano więc z konieczności pomieścić w zwyczajnych domach mieszkalnych, które przystosowano, o ile się dało, do ich nowego przeznaczenia; dopiero

przyszłość pozwoli może na wystawienie odpowiednich budynków na innym terenie.

Już to zresztą wymagało niesłychanych wysiłków ze względu na trudności materjalne. Póki istniała Centrala Rady Głównej Op. mogła pruszkowska Rada liczyć na jej moralne i finansowe poparcie; po zlikwidowaniu jej jednak znalazła się w ciężkiem położeniu, zwłaszcza że równocześnie ustawała pomoc zagranicy, a prawodawstwo w dziedzinie samorządów, oraz opieki nad młodzieżą znajdowało się jeszcze w powijakach. Szczęściem Ministerstwo Pracy i Opieki Społ. przyrzekło utrzymać w okresie przejściowym zakłady wychowawcze, mieszczące sieroty po repatrjantach i ofiarach wojny. Subwencje Rządu, niewielkie zresztą wobec ogólnych trudności finansowych, stanowią też dotychczas główną podstawę utrzymania zakładów pruszkowskich. Resztę uzupełniają ofiary instytucyj krajowych i zagranicznych, oraz własne handlowo-przemysłowe przedsiębiorstwa Rady Op. Stworzenie tych ostatnich staje się zresztą koniecznem wobec nieuniknionego faktu, że w przyszłości subwencje rządowe będą malały, a koszta utrzymania muszą przejąć samorządy, społeczeństwo i sama instytucja.

Im w trudniejszych warunkach materjalnych znajdują się jednak zakłady opiekuńcze pruszowskie, tem większy podziw budzi praca, jaka się w nich dokonuje.

Nie będę się zatrzymywał nad jej ogólnym programem. Wyrobienie samodzielności, inicjatywy i samowystarczalności, wpajanie gruntownych zasad i odporności na złe wpływy, odpowiednie wreszcie wykształcenie, by z młodzieży wyrobić dobrych obywateli kraju — plan taki wytycza sobie zasadniczo każda instytucja wychowawcza. O rzeczywistej jej wartości świadczy dopiero bliższe rozprowadzenie i wykonanie tego planu. Otóż to, co widziałem i słyszałem na miejscu, oraz leżące przedemną różne zestawienia i instrukcje dla tamtejszych wychowawców są dowodem, że Zarząd zakładów pruszkowskich spełnia swe zadanie z niezwykłą umiejętnością, zamiłowaniem i poświęceniem. Dość powiedzieć, że obok ogólnego planu „Środków i metod wychowawczych, stosowanych w zakładach wych. R. O. m. P.", wydaje się na każdy rok szkolny specjalny „Ogólny program ramowy wychowania", a co miesiąc jeszcze dodatkowy, przeciętnie 3 stronowy, „Plan pracy", zawierający szczegóły, na które w tym okresie szczególnie trzeba zwrócić uwagę. Przegląd tych instrukcyj wykazuje, że ich redaktor zna doskonale metody wychowania i, opierając je zasadniczo na podłożu moralno-religijnem, usiłuje wciągnąć także wszelkie inne rozporządzalne czynniki. Do wykonania ścisłego tych planów pomaga skutecznie znakomity aparat administracyjny i umiejętna kontrola, o duchu zaś metod wychowawczych świadczy choćby ta okoliczność, że w instytucji tak olbrzymiej i mieszczącej sporo zaniedbanej młodzieży, wykluczone są wszelkie

kary fizyczne (także pozbawianie posiłku i spoczynku), a jednak rezultaty wychowawcze i naukowe są wogóle dodatnie.

Największą trudność, jaką jest z natury rzeczy liczny internat, ominięto przez rozbicie młodzieży na kilkanaście zakładów i podział mieszkańców poszczególnych z nich na grupy, zorganizowane na podstawach samorządu. Drugi główny punkt załatwiono przez należyty dobór i wyszkolenie wychowawców. Na czele każdego zakładu stoi kierownik (-czka), którzy kierują pracą pozostałego personalu wychowawczego, składającego się z reguły z dwóch osób. Kierownicy ci mają autonomję pracy wychowawczej, jednakże w obrębie ram, ustalonych przez dyrektora i jego zastępcę na wspólnych posiedzeniach z personalem każdego zakładu; poza tem podlegają oni szefowi biura w zakresie administracyjno-gospodarczym, oraz naczelnemu lekarzowi w zakresie sanitarno-lekarskim. Prowadzą oni regularnie dziennik czynności, który przysyłają codziennie zastępcy dyrektora dla skontrolowania, a oprócz tego mają co tydzień konferencje sprawozdawcze; nadto co pewien czas osobna komisja wizytuje wszystkie zakłady, badając ich stan i gospodarkę. Dla dokształcania personalu wychowawczego odbywają się specjalne zebrania dyskusyjne.

Nie mniej starannie zorganizowane są studja młodzieży zakładowej. Najmłodsze dzieci uczęszczają do przedszkola, większe uczą się w zakładowej szkole powszechnej, która w r. 1925/6 mieściła w 15 oddziałach 628 uczniów i uczenic; dla 22 dzieci nienormalnych prowadzono osobną klasę, a dla dorastających i nieuczęszczających do szkoły wychowanków zorganizowano dwa kursy dokształcające, niższy na poziomie 4-o a wyższy 6-o klasowej szkoły powszechnej. Po ukończeniu szkoły powszechnej młodzież, zależnie od wieku, zdolności i zamiłowania przechodzi albo do miejscowego gimnazjum albo do szkoły technicznej, względnie innych zawodowych.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje wreszcie organizacja higjeniczno-lekarskiej opieki nad młodzieżą. Każde zdrowe dziecko musi się stawić raz na miesiąc do zbadania przez lekarza, zważenia i zmierzenia; wyniki te, notowane na osobnej karcie zdrowia i porównywane ze sobą, pozwalają dostrzec wszelką zmianę na gorsze i zabrać się zawczasu do leczenia w szpitaliku zakładowym, urządzonym na 50 dzieci. Poza tem instytucja posiada własną przychodnię dentystyczną, gabinet lamp kwarcowych, aptekę, zakład dezynfekcyjny i kąpiele (dzieci są kąpane przeciętnie trzy razy miesięcznie). — Specjalną opieką otoczono liczne stosunkowo dzieci, zarażone jaglicą. Otwarto dla nich osobny szpital, z własnym lekarzem i sanitarjuszkami, oraz oddzielną szkołę. Po przejściu okresu zaraźliwego umieszcza się je w izolatorach-schroniskach, gdzie pozostają stale pod opieką lekarską, ale mogą już uczęszczać do szkoły z dziećmi zdrowemi. Od połowy 1919 r. do

1926 r. przeszło przez Pruszków ponad 2.000 dzieci jagliczych, z nich około 1.700 wyleczono do końca września 1925 r.

Dane powyższe są rzeczywiście chlubnem świadectwem dla organizatorów i kierowników zakładów pruszkowskich. Zestawione w sprawozdaniach rezultaty, miły wogóle wygląd młodzieży i poważne traktowanie pracy przez personal wychowawczy świadczą, iż obecny Zarząd posunął się bardzo daleko na drodze rozwiązania tak trudnego zagadnienia, jakiem jest wychowanie młodzieży w zakładach zamkniętych. Nic dziwnego, że z całego kraju zjeżdżają tu znawcy, by przyjrzeć się, jak prostemi a zdrowemi środkami można zapewnić przyszłość tysiącom młodzieży, pozbawionej opieki rodzinnej.

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 31 stycznia 1927 r.

O kanonizację Bł. Andrzeja Boboli.

Kiedy za dni Achaba króla, wedle opowieści ksiąg królewskich, przez trzy i pół lat nie spadł deszcz na ziemię, pod koniec tego czasu klęski, weszedł Eljasz na górę Karmel i zaczął żarliwie się modlić. A gdy już wylał duszę swoją przed Bogiem, rzekł do sługi: *Wstąp, a spojrzyj ku morzu! Który gdy wstąpił i obejrzał, rzekł: Niemasz nic. I zasię rzekł mu prorok: Wracaj się po siedm kroć* i patrzaj. Uczynił tak wierny sługa, ale za każdym razem równie daremnie błądziły oczy jego po dalekim horyzoncie. Od zachodniej strony nie rysowało się nic w oddali, prócz sinej linji fal morskich, zlewających się na nieboskłonie z pogodnym błękitem przestworza. *Aliści za siódmym razem obłoczek mały jako stopa człowiecza* ukazał się na niebie. I podniósłszy Eljasz głowę od ziemi, rzekł słudze: *Idź, a mów Achabowi: zaprzęgaj wóz twój a ujeżdżaj, aby cię deszcz nie zastał.* Istotnie, ledwie chwila minęła, a obłoczek rozrósł się w ogromną chmurę, *niebo się zaćmiło i stał się deszcz wielki.* [1])

Kiedy w gorzkich czasach wiekowej niewoli wytężaliśmy wzrok ku górze, wyglądając z tęsknotą znaków Bożego nad ojczyzną naszą zmiłowania, przez wiele lat patrzeliśmy daremnie. Niebo zdawało się na prośby nasze zamknięte, a na ziemi nie słychać było nic, prócz urągań naszym nadziejom i oczywistych, zdawać się mogło, dowodzeń, że wszelka myśl o zmartwychwstaniu jest czczą tylko mrzonką i daleką od rzeczywistości ułudą. A jednak wśród tej ponurej bezna-

[1]) 3. Król. 18, 42—45.

dziejności, która jakby gnębiąca posucha zaciężyła nad ziemią serc, pojawił się nieznacznie na niebie jakiś pierwszy obłoczek nadziei. Maleńki on był jak *stopa człowiecza,* ale przecież powiało od niego w dusze jakieś tchnienie lepszej otuchy. Opowiadano sobie po cichu, że, kiedy po ludzku robiło się koło nas coraz smutniej i ciemniej, odezwał się głos z za świata, który przyniósł słodką pociechę. Mówiono, że ukazał się w Wilnie wiernemu Bożemu słudze, dawno umęczony za wiarę wyznawca, kapłan Towarzystwa Jezusowego, Wielebny Ojciec Andrzej Bobola i zapowiedział przyszłe zmartwychwstanie. Okoliczności przepowiedni były dosyć dziwne: jakaś straszliwa wojna wszystkich narodów miała rozpętać się nad światem, linja pola olbrzymiej bitwy miała przeciąć pole apostolskiej pracy Męczennika, pińskie lasy i bagna, ale po tej wojnie miała Polska wrócić do samodzielnego bytu, a zwiastun wskrzeszenia, ozdobiony aureolą świętych, miał stać się jednym z głównych jej patronów.

Wieść o widzeniu O. Korzeniewskiego i przepowiedni Wielebnego Andrzeja Boboli, rozchodziła się zrazu drogą ustnych opowiadań, potem opublikowana przez jednego z wybitnych, a doskonale poinformowanych, białoruskich jezuitów, potrochu stała się cząstką narodowych tradycyj i nadziei. Nieraz niedobrze już znano samo źródło podania i komunikowano je w przekształconych formach, ale po całej Polsce uporczywie utrzymywała się legenda, wiążąca spodziewane zmartwychwstanie ojczyzny z nazwiskiem pińskiego Apostoła.

Tymczasem jednak święte zwłoki Męczennika spały cicho, zrazu w Pińsku, potem w jezuickim, a wreszcie podominikańskim kościele w Połocku i nic nie zwiastowało chwili spodziewanego triumfu. Otrzymywano u trumny Bohatera liczne łaski i otaczano ją, zwłaszcza od dnia uroczystej beatyfikacji w r. 1853, czcią coraz żywszą, ale na dziejach narodu nie znać było najmniejszego wpływu wstawiennictwa przyszłego Patrona. Załamało się było jedno i drugie powstanie; Litwa pławiła się we krwi pod rządami Murawiewa; w Królestwie wzrastał ucisk i prowadziła się konsekwentna walka ze wszystkiem, co polskie; zdawało się, że „ten grób, co stoi wśród świata", zamknięty jest szczelniej niż kiedy-

kolwiek i że trochę jeszcze, a zostanie w nim chyba samo tylko próchno.

Ale w tej właśnie chwili, gdy już niektórzy wyrzekali się wszelkiej nadziei, zaczęło coś ruszać się w świecie i przemieniać się, i ważyć. Najpierw zatrzeszczał kolos rosyjski od huku dział japońskich i zadrgał konwulsją rewolucyjnych ruchów; potem czuć było jakiś niepokój w przeładowanej elektrycznością atmosferze świata i od czasu do czasu dochodził głos dalekiego gromu; aż nareszcie rozszalała się burza. Uzbroiły się przeciw sobie niemal wszystkie narody i rozsrożyła się nad Europą zawierucha niewidzianej w dziejach, nad wszystkie pojęcia straszliwszej wojny. Lecz w samym ogniu tej walki stał się dziw: wypadki zaczęły układać się zupełnie tak, jak brzmiała niegdyś zapowiedź Męczennika w wileńskim, dominikańskim klasztorze. Linja olbrzymiego frontu przecięła same pińskie równiny i zamieniła je na pole, miesiącami całemi trwającej, bitwy, a kiedy wreszcie umilkły armaty, dokonała się ta rzecz, którą cały niemal świat miał za chorobliwy sen szaleńców: rozerwana, zgnębiona, tysiącem ran skrwawiona Polska powstała i zaczęła żyć. Historja kłam zadała nieodbitej, zdawać się mogło, argumentacji Bismarcka, że nie możemy nigdy zmartwychwstać, bo trzebaby na to rzeczy niemożliwej, by wszystkie trzy mocarstwa zaborcze przegrały wojnę. Ta rzecz niemożliwa stała się rzeczywistością: dwa państwa legły pokonane na polu bitwy, Rosja przegrała w walce z bolszewizmem i ojczyzna nasza cudownie wyzwolona z pod dziesięćkroć silniejszej przemocy, wróciła do niezawisłego, państwowego istnienia.

Rzecz dziwna wszakże, w chwili, kiedy te wielkie zmiany dokonywały się na karcie dziejów, skończył się, rzekłbyś, spokojny sen Męczennika w połockim kościele. Nieruchomy od wieku Bł. Andrzej zaczął nagle jakby się ruszać — cudzemi rękoma, ale pod wyraźnem działaniem Opatrzności Bożej. Najpierw 17 września 1917 r. dokonano z ogromną uroczystością oględzin ciała i przełożenia relikwij do nowej trumny. 23-go czerwca 1922 r. odbyła się świętokradzka inspekcja zwłok przez bolszewickie władze i wnet potem 20-go lipca przewiezienie ich do muzeum hygjenicznego w Mo-

skwie; 3 października 1923 r. wyjechało ciało Błogosławionego z Moskwy, by morską drogą na Odessę, Konstantynopol, Brindisi dostać się do Rzymu; 18 maja 1924 r. przeniesione zostało z niezmierną pompą z Watykanu, gdzie spoczywało od 1 listopada ub. r., do kościoła al Gesù, gdzie do tej chwili najżywszą cześć odbiera. Jeżeli zaś do tych przenosin dodamy dwa inne wspaniałe obchody t. j. w maju 1918 r. wprowadzenie wielkich relikwij do kościoła św. Barbary w Krakowie i w sierpniu r. 1920 obnoszenie ich po Warszawie w uroczystej procesji dla uproszenia zwycięstwa nad bolszewikami, to dojdziemy do przekonania, że koło ciała Błogosławionego więcej było ruchu w ciągu tych kilku lat niż przedtem w ciągu paru wieków.

Równocześnie zaś z tem dziwnem jakby ożyciem Świętego zaczęły dziać się liczne, jeśli nie wyraźne cuda, to bardzo wybitne łaski. I tak przedewszystkiem niesłychanie podziwienia godny jest sposób, w jaki nasz Błogosławiony wyjechał z Połocka. Gdyby rzecz była pozostawiona zwyczajnemu biegowi wypadków, byłoby prawie niemożliwe wywieźć ciało Męczennika z miasta, gdzie od stu zgórą lat był źródłem łask oraz przedmiotem dumy i miłości. Protestowałoby przeciw temu wywiezieniu nietylko całe duchowieństwo z ludem wiernym, [1]) ale nawet prawosławni, którzy zwykli byli Bł. Andrzejowi gorąco się polecać. Tymczasem Bóg tu użył za narzędzie rąk zbrodniczych; pozwolił, by święte zwłoki przez bolszewików zawiezione były do Moskwy; sprawił, że znalazł się tam, jako delegat papieski, zakonny brat Męczennika, który potrafił ciało jego odszukać i wydostać; zrządził wreszcie, że drogi depozyt cały, nienaruszony, bezpieczny dostał się do Rzymu, skąd wedle wyraźnej obietnicy Ojca chrześcijaństwa, w stosownej chwili powróci do swej ojczyzny.

A cóż dopiero powiedzieć o innych łaskach i znakach! Nie można wątpić, że modły Błogosławionego miały swój udział w wyproszeniu wielkiego „cudu nad Wisłą", który nastąpił bezpośrednio po uroczystej warszawskiej procesji,

[1]) Porównaj artykuł ks. A. Kwiatkowskiego, którego początek dajemy w niniejszym zeszycie.

ale i poza tą ogólnej natury łaską, było całe mnóstwo prywatnych wysłuchań. Z całych ziem polskich dałoby się zebrać wiele dowodów bardzo wyraźnej pomocy Męczennika, w Rzymie zaś, w ciągu niespełna dwóch lat, odkąd święte ciało wystawiono w kościele al Gesù, cały rój ex-votów świadczy o mnóstwie wysłuchanych próśb. A wśród tych wysłuchań są niektóre tak zadziwiające, że zapewne będą mogły być użyte przy spodziewanym kanonizacyjnym procesie.

I oto z tym wyrazem dochodzimy do właściwego celu i treści niniejszej odezwy. Chodzi o to — a któremuż polskiemu sercu o to by nie chodziło — żeby przyspieszyć ten dzień, kiedy nasz Błogosławiony Męczennik stanie przed całym Kościołem w pełnej chwale świętych. Należy mu się to nietylko za prześliczne, Bogu oddane życie i niesłychane, nawet w dziejach martyrologji chrześcijańskiej uderzające, bohaterstwo w śmierci, ale za tę miłość, z jaką stał się słodkim pocieszycielem narodu w nieszczęściu. Bo któż w całej Polsce nie czuje, że w tych umęczonych piersiach biło serce wielkiego „miłośnika braci" i niezmordowanego przyczyńcy? Któż jest, coby z najżywszą ufnością nie wyglądał owoców jego orędownictwa i opieki?

Otóż czas nadszedł, by całem sercem wziąć się do dzieła. W uwielbieniu swych świętych Bóg posługuje się ludzkiemi narzędziami, dlatego też każdy naród miłością, ufnością, modlitwą przyczynia się do wyniesienia na ołtarze swych rodaków. Niech więc nie będzie tego, żeby wszystkie ludy poruszały niebo i ziemię dla uczczenia swych bohaterów, a jeden Bł. Andrzej nie miał poparcia od własnych swych ziomków. Sprawa kanonizacji stoi w Rzymie jak najpomyślniej, bo Ojciec św. jest jej przychylny i całe Wieczne Miasto żywi gorące nabożeństwo do Bł. Męczennika, ale oglądają się na nas, na Polskę, na umiłowaną ojczyznę Bohatera. Naszą rolą jest przez szerzenie jego czci, przez ufność i usilne wzywanie jego pomocy wyjednać ten cud, jakiego uroczysta kanonizacja jeszcze wymaga. Episkopat polski podał już prośbę o tę kanonizację 28 lipca 1920 roku; w ślad za tą prośbą popłynęły do Stolicy św. inne błagania, ale koniecznie potrzeba przynajmniej jednego, wyraźnie stwier-

dzonego cudu. Niechże do uproszenia tej łaski przyczynia się gorliwość kapłanów i święta natarczywość wiernych; niech już nadejdzie ten dzień, w którym nasz Błogosławiony Andrzej wróci do ojczystej ziemi z aureolą świętych na skroni. A kiedy w ten sposób ziści się ostatek jego przepowiedni, że po wskrzeszeniu Polski będzie uznany za jednego z głównych jej patronów, niezawodnie uprosi nam obfite łaski i wątły gmach naszego państwowego życia mocnem podeprze ramieniem. I powtórzy się znak, który się stał za Eljasza proroka, że „mały obłoczek", który po długiej suszy ukazał się na niebie, rozrósł się w chmurę wielką, z której popłynął obfity deszcz łask i darów.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Pierścień Szajloka i Pierścień Nibelunga.

(Dokończenie).

VIII.

Daliśmy wyjaśnienie tragicznego smutku Antonia, lecz to wyjaśnienie niemal rozrywa łańcuchy, utrzymujące „Kupca weneckiego" w granicach czysto ludzkiej tragedji. Na równi z Antoniem i jego przeciwnik Szajlok wyrasta do rozmiarów olbrzyma; to już nie godny pogardy lichwiarz, gotujący się ukąsić w piętę depczącego go człowieka; to wielki wróg i przeciwnik radości jako takiej, wszystkiego jasnego i pięknego, co tylko jest na świecie; to czarny bóg, gotujący zagładę jasnemu państwu „łatwo żyjących" białych bogów.

I tu porzucimy na pewien czas środowisko tragedji szekspirowskiej. Idąc dalej w wyznaczonym dopiero co kierunku, doprowadzając do końca rzucone myśli, dojdziemy do największej „boskiej komedji" ostatnich czasów — do „Pierścienia Nibelunga" Ryszarda Wagnera.

Na szczytach niebotycznych gór rozciąga się królestwo radości i miłości. Żyją tu w wiecznem szczęściu piękni biali bogowie, bronieni nieskruszoną włócznią swego władcy Wotana, którego runom posłuszne są wszystkie siły ziemi. Rumieniec nie schodzi z ich lic, zmarszczki nie ryją ich czół: codziennie odnawiają oni swą młodość, spożywając czarodziejskie jabłka swej siostry, Frei, bogini młodości i piękna.

A tam, głęboko, na dnie modrego Renu, śpi snem niewinności jasne złoto. Nikt nie wyciąga po nie chciwych rąk; tylko rusałki, córy starca rzecznego, igrają przy jego mglistym blasku, kiedy zgubiony w głębinie promień słońca popieści jego gładką powierzchnię.

Lecz i nad niem ciąży los. Władzę nad światem zdobędzie śmiałek, który wykuje sobie pierścień z jego błyszczącego metalu. Lecz czyż taki się znajdzie? Tylko temu uda się próba, kto przeklnie miłość. A jakaż żywa istota przyjmie ten warunek? Czyż nie miłością żyje wszystko, co żyje na powierzchni i w głębiach ziemi?

A jednak taki się znalazł. Czarny bóg Alberyk, zawistny i szpetny, odepchnięty przez królestwo piękna i miłości, wyrzeka się tych, którzy się jego wyrzekli. On zdobywa złoto; gasi niewinne światło, opromieniające igraszki niewinności w głębiach rzecznych, i wzgardzony złodziej schodzi do swego podziemnego królestwa, aby wykuć sobie pierścień, który go uczyni władcą świata.

Pierścień został wykuty, karły podziemne krzątają się, wyciągając ze wszystkich żył ziemi złoto dla swego okrutnego pana. Ze zdziwieniem widzi Wotan, odwiedzając swego potężnego przeciwnika, jego rosnące bogactwa. Lecz na co mu to wszystko tutaj?

Lecz na cóż zda ci się skarb
W ponurem twem państwie?
Nie kupisz za złoto swe nic!

Lecz czarny bóg wie, co robi.

Skarby tu zebrać
I skarby przechować
Pomoże podziemna mi noc.
Gdy tylko skarb
W jaskini zgromadzę na stos,
Cudów z nim wtedy dokonam!
Cały ten świat
Wnet moją się stanie własnością.
Łagodny was pieści wietrzyk
I dla was lśni
Miłość i śmiech:
Lecz złota ma pięść
Was, bogów, wszystkich pochwyci!
Jakem ja się wyrzekł miłości,
Wszystko, co żyje,
Jej się wyrzeknie:
Złota niech dźwięk
I złota blask niech was wabi.
W zorzy promieniach

W szczęścia beztrosce
Pędzicie wy dni;
Mną, czarnym karłem,
Gardzicie, wy boscy hulacy:
Strzeż się!
Strzeż się!
Bo was, mężowie,
Wezmę w swą moc,
Lecz piękne niewiasty,
Co mnie odrzuciły —
Z nich wydrę ja rozkosz przez gwałt,
Gdy miłość nie chce mnie znać.
Ha ha! Ha ha!
Słyszycie mnie?
Strzeż się!
Strzeż się mych mrocznych zastępów,
Kiedy z milczących czeluści
Wyjdzie me złoto na świat!

Triumf jego jest jednak przedwczesny. Rozum jego jeszcze nie dojrzał wraz z jego siłą; zostaje związany i aby odzyskać wolność, musi oddać Wotanowi wraz ze swem złotem również rękojmię swej władzy, fatalny pierścień. Jedno mu tylko zostało — siła nienawiści i złości, wyrosła pod wpływem niesłychanej krzywdy.

Jak przekleństwem zdobyłem cię,
Przeklęty bądź, pierścieniu mój!

I Wotanowi nie udaje się zatrzymać pierścienia: idzie on na wykupienie Frei, bogini młodości i miłości, której olbrzymi żądali jako nagrody za zbudowanie Walhalli, twierdzy bogów, rękojmi ich władzy. Wszędzie jeden i ten sam dylemat: albo miłość, albo władza. Wyrzeknij się miłości, skoro miła ci jest władza.

Lecz nie; teraz jak gdyby fatalny dylemat został zwyciężony: Freja wróciła do bogów i Walhalla stoi. Któż może być szczęśliwszym od Wotana? Niestety, on jeden nie czuje się szczęśliwym. Niech inni bogowie, plemię wybrane, ucztują i kochają w blasku uśmiechu Frei w głośnych salach Walhalli; dla niego niema już radości, odkąd usłyszał on śmiech zawistnego triumfu z ust swego wroga Nibelunga, czarnego boga, Alberyka. On wie: przeciw jego władzy,

twardej i niezmiennej, powstała inna, na razie dopiero w zarodku, lecz zdolna wyrosnąć do olbrzymich rozmiarów.

Niebezpieczeństwo jest jeszcze daleko: fatalny pierścień posiada smok-olbrzym; on spokojnie drzemie nad nim, upajając się marzeniami o swej bezgranicznej, lecz nieurzeczywistnionej władzy. Lecz co będzie, kiedy chciwy i chytry czarny bóg znów zdobędzie swój dawny skarb? Wotan przypomina sobie niezapomniane, straszne słowa:

Strzeż się!
Strzeż się mych mrocznych zastępów,
Kiedy z milczących czeluści
Wyjdzie me złoto na świat!

Temu on nie jest w mocy przeszkodzić: władza jego oparta jest na przymierzu, którego runy są wyryte na drzewcu jego włóczni; na mocy tego przymierza Freja dostała się niegdyś olbrzymom, na mocy tego przymierza teraz pierścień pozostał we władzy drzemiącego nad nim smoka. I oto w umyśle Wotana błysnęła nowa idea — idea miecza. Gdyby mu się udało zrodzić syna, który, odziedziczywszy po nim siłę, nie odziedziczyłby jego skrępowania przymierzem; gdyby jego miecz skruszył włócznię z runami przymierza...

On schodzi do śmiertelnej niewiasty; oddaje przyszłość w ręce swojego i jej potomka, pół-boga. Gdyby ten syn spełnił to, czego on od niego oczekuje — wtedy nastąpiłby koniec „niedoli bogów", *Götternot*, wtedy nad szczątkami włóczni i zastygłego jej przymierza zajaśniałoby słońce czystej, bezgranicznej władzy, władzy miecza.

Lecz i temu marzeniu staje na przeszkodzie przymierze. Jak niegdyś pod osłoną jego run fatalny pierścień przeszedł do wrogów, tak i teraz, opierając się na niem, boska małżonka Wotana zamyka w granicach prawa jego rwącą się na swobodę myśl:

Dotknąłem pierścienia karła,
Chciwie porwałem za skarb!
Od przekleństwa jam uciekł —
Dziś ono ściga mię znów —
Co kocham, muszę porzucić,
Zgubić, kogo miłuję,

Zdradzić podstępnie,
Kto ufa mi! *(Z rozpaczą).*
Żegnam dziś więc
Władzy mej blask,
Boskiej świetności,
Chełpliwy wstyd!
Com niegdyś stworzył,
Niech padnie w gruz!
Porzucam swój czyn,
Jednego dziś chcę,
Zagłady —
Zagłady! *(W zamyśleniu).*
Ach, o zagładzie
Myśli Alberyk!
Pojąłem dziś
Tajemną myśl
Groźnych wyrzeczeń Wali:
„Gdy czarny miłości wróg
Syna wyda na świat,
Koniec szczęśliwych
Nastąpi wraz". —
O Nibelungum ja
Dziwną usłyszał wieść,
Niewiastę karzeł zniewolił,
Rozkosz zdobył za skarb:
Zawiści płód
Hoduje więc
I złości moc
W łonie ma swem:
Spełniło się cudo
Dla pasierba miłości,
Lecz mnie miłości rozkosze
Wolnego nie mogą dziś dać! *(Z wściekłością).*
Więc witam cię,
Nibelunga synu,
Co mnie tak dręczy,
Daję ci w dziedzictwie, —
Pusty boskości blask
Niech zawiść pożera twa!

Tak więc i czarny bóg poszedł za przykładem swego promiennego przeciwnika; tam, nad Renem, w zamku potężnego Gibicha, obok jego własnych dzieci rośnie owoc chciwości jego żony i nienawiści jej uwodziciela — Hagen, ponury syn Nibelunga. Stopniowo nici wypadków zbiegają się w jego rękach. Jasny Zygfryd zabił smoka i zdobył pier-

ścień; lecz, zdobywszy go, podarował lekkomyślnie swej wieszczej narzeczonej, wyzwolonej przez siebie walkirji Brunhildzie. Teraz znów jedzie po niego; otumaniony czarami Hagena, zapomniał on o narzeczonej i zakochał się w przyrodniej siostrze syna Nibelunga, a poprzednią, zapomnianą narzeczoną chce zdobyć dla jego przyrodniego brata, Guntera. Jeszcze kilka godzin — i fatalny pierścień znajdzie się w bezpośredniej bliskości z synem tego, który go niegdyś posiadał. Tej nocy Alberyk zjawia się synowi we śnie, aby przypomnieć mu o czynie, dla którego go zrodził.

Alberyk.

Ty śpisz, Hagenie, mój synu,
Ty śpisz i nie słyszysz mnie,
Choć mnie spokój opuścił i sen?

Hagen

Słyszę cię, czarny bogu:
Co powiesz mi we śnie?

Alberyk.

Pamiętaj o sile,
Którą ty władasz,
Jeśliś tak dzielny,
Jak matka mi ciebie zrodziła!

Hagen.

Choć dała mi matka moc,
Nigdy jej wdzięcznie nie wspomnę,
Żeś ty zdołał uwieść ją:
Choć młody, bladym i stary —
Unikam radosnych,
Nie śmieję się nigdy!

Alberyk.

Hagenie, synu,
Unikaj radosnych,
Mnie, com rozpaczą
Pognębion i bólem,
Kochasz dziś tak, jakem chciał!

Tak, ojciec ma zapewnioną wierność syna. Coraz ciaśniej i ciaśniej zaciska się sieć podstępu nad głową beztroskiego syna radości, jasnego Zygfryda; oto już padł on ofiarą zazdrości tej, która go ukochała ponad wszystko na świecie. Lecz napróżno Hagen usiłuje zdobyć jego dziedzictwo, pier-

ścień Nibelunga: bierze go, przejrzawszy, Brunhilda, a wziąwszy, wrzuca z powrotem do Renu. Hagen, wskoczywszy w ślad za nim, tonie, pociągnięty w przepaść przez rusałki, córy starca rzecznego. Znów odkupione złoto będzie opromieniało swym blaskiem ich niewinne zabawy; Walhalla wraz z bogami spala się w falach pożaru, który się zajął od stosu Zygfryda.

IX.

Wzięliśmy z bogatego treścią dramatu mitycznego Wagnera tylko jeden rys — zresztą, jeden z najbardziej istotnych. Jest to antagonizm pomiędzy jasnem królestwem radości a ponurem państwem opartej na złocie władzy. Czy jest to jednocześnie antagonizm między radością i złotem? Nie. Złoto, według swego pierwotnego przeznaczenia, jest sługą radości, ozdobą piękna. Jest to stan niewinności człowieczeństwa. Jego fatalne, zgubne znaczenie objawiło się temu, kto pierwszy zrozumiał, że jest ono rękojmią władzy, lub raczej, skostniałą władzą. Lecz zmienić w nią złoto może tylko ten, kto wyrzekł się miłości i nieodłącznych od niej piękności i radości. Tylko wróg miłości zyskuje sobie pierścień, który ma mu zdobyć bezgraniczną władzę — oto tajemnica Nibelunga.

Musieliśmy zbadać rozwój tej myśli u poety, u którego ona wyrosła do swych rozmiarów naturalnych, aby zrozumieć ją u tego, kto ją tylko rzucił. Idee mają swe warunki poczęcia i rozwoju; kto to wie, temu nie wyda się dziwnem, że Szekspir nie mógł dać pełnego rozwoju tej idei, którą niejasno przeczuwał w duszy, i że dał go jej Wagner, bynajmniej nie zależąc w tem od Szekspira. I podobnie, jak lepiej zrozumiemy pączek róży, zbadawszy jej rozwinięty kwiat, tak właśnie dopiero teraz, gdy przed naszemi oczyma przeszła tragedja Wotana i Nibelunga, możemy się zorjentować w zarodku tej samej myśli rzuconej przez Szekspira — w jego „Kupcu weneckim".

A teraz powróćmy już na dobre do tego ostatniego.

Staraliśmy się dać wyżej odpowiedź na pytanie o przyczynę tragicznego smutku Antonia; teraz możemy również dać mu imię. Jest to ta sama „niedola bogów", *Götternot.*

Jak Wotan nie może się rozkoszować beztroskiem szczęściem żyjących pod jego osłoną bogów, gospodarzy szczęśliwej Walhalli, tak i dla Antonia przestało być dostępne szczęście jego beztroskich przyjaciół, weselących się spokojnie pod władzą pięknej królowej mórz, Wenecji. Obydwom straszne widmo zatruwa radość. Wotan nie może zapomnieć groźnych słów, rzuconych mu niegdyś przez złego wroga w nadziei bliskiego triumfu:

Strzeż się!
Strzeż się mych mrocznych zastępów,
Kiedy z milczących czeluści
Wyjdzie me złoto na świat!

Antonio też nie może zapomnieć przysięgłego wroga radosnej i kochającej Wenecji — Szajloka.

Musimy się nim zająć teraz — i w tym celu postaramy się uprzednio oczyścić grunt z tej mgły, którą wytworzył Heine przez swe tendencyjne objaśnienia.

Heine zaczyna swą charakterystykę od Szajloka. „Gdy patrzyłem na przedstawienie tego dramatu w teatrze Drury-Lane, za mną, w loży stała piękna blada Angielka, która w końcu czwartego aktu gorzko płakała i wielokrotnie powtarzała: The poor man is wronged („biedaka skrzywdzono")! Była to twarz o najszlachetniejszych greckich rysach i o wielkich czarnych oczach. Nie mogłem nigdy zapomnieć tych czarnych oczu, wylewających łzy nad Szajlokiem".

Widocznie Heine przypisuje wielkie znaczenie temu, że wielbicielka Szajloka była pięknością o wielkich czarnych oczach; lecz tem samem daje nam prawo krytykować swój stosunek do niej. I zdaje mi się, że on zupełnie źle postąpił. Powinien był jej dowieść, że nieuważnie słuchała rozmów osób działających, jeśli się jej wydało, że Szajlok jest tak strasznie skrzywdzony. Istotnie, przed wyrokiem Porcji, zbawczym dla Antonia, nie może być wogóle mowy o krzywdzie Szajloka: kilka razy proponowano mu oddanie sumy wiele razy większej od tej, którą Antonio od niego pożyczył, i on się tego wyrzekł, nad wszystko przenosząc swą zemstę; — nie pora mu teraz wyrzekać, że mu się odmawia tego, czego on sam tak uporczywie się wyrzekał. Lecz druga

część wyroku: ogłasza mu się, że za zamach na życie obywatela Wenecji

strona, przeciw której działał,
Ma w posiadanie otrzymać połowę
Jego fortuny; druga jej połowa
Na skarb przechodzi, życie zaś winnego
Zależeć będzie jedynie od łaski
Samego doży.

Tak, to jest istotnie okrutne; lecz wszak do tego nie dochodzi. Doża odrazu darowuje mu nietylko życie, lecz i połowę jego majątku, kontentując się grzywną; co się zaś tyczy Antonia, oto są jego słowa:

Jeśli się pan nasz i sąd zgodzi przyjąć
Grzywny, za jednę jego dóbr połowę,
Dla mnie dość będzie, skoro mi dozwoli
Drugą połową tak rozrządzić, iżby
Po jego śmierci przypadła na własność
Temu młodemu Wenecjaninowi,
Który mu świeżo wykradł córkę.

On doskonale wiedział, że Szajlok pozbawi swą zbiegłą córkę dziedzictwa; pragnąc w miarę swych sił uratować je dla niej, on godzi się zostawić je u siebie do śmierci właściciela, lecz tylko jako sumę pożyczoną. Tak więc do końca życia Szajlok zachowa cały swój majątek, posiadając jedną połowę prawem właściciela, a z drugiej otrzymując procenty. Oto i cała krzywda — jak widać, nie taka straszna.

Wprawdzie Antonio stawia jeden warunek, który dla naszych uszu istotnie brzmi niemiło:

ażeby za to dobrodziejstwo
Bez ociągania chrzest przyjął...

Lecz istnieje coś, co się nazywa perspektywą historyczną: Antonio był bezwarunkowo przekonany, że, czyniąc Szajloka chrześcijaninem, wyświadcza mu tem samem największe dobrodziejstwo — i ja mam mocne podejrzenie, że Szekspir podzielał to jego przekonanie.

Nie, radosna Wenecja i tu nie uchybiła swej godności; nie upierając się przy swym wekslu, ona lekkomyślnie wypuściła z rąk swego wroga. Lecz jest to sprawa drugorzędna; główna to — czem jest Szajlok według zdania Szekspira?

Posłuchajmy znów Heinego. „Genjusz Szekspira wznosi się nad małostkowości dwu partyj wyznaniowych, i dramat jego nie pokazuje nam właściwie ani żydów, ani chrześcijan, lecz gnębicieli i pognębionych, oraz niezmiernie bolesny triumf tych ostatnich, gdy mogą z lichwą zapłacić swym dumnym dręczycielom za doznane od nich krzywdy". Rozumiem, że to objaśnienie mogło się spodobać w Niemczech w epoce reakcyjnej; lecz nie znajduję, żeby w niem była choć najmniejsza doza prawdy. Szajlok jest gnębiony? Gnębiony w Wenecji? Zobaczmy!

Po upływie terminu, Antonia zamknięto do więzienia; on prosi o możność porozmawiania z Szajlokiem. Ten napada na dozorcę więzienia:

> Dziwię się, dozorco,
> Ślamazarności twojej: po co było
> Wyjść z nim na miasto? (akt III sc. III).

Lecz co mówić o dozorcy!

> (Szajlok) dzień i noc się wiesza
> Przy uszach doży, prawi o zgwałceniu
> Publicznych swobód, jeśli mu odmówią
> Sprawiedliwości.

Jessyka uciekła. Co robi Szajlok? Powie to nam Solanio (akt II sc. VIII):

> Ten żyd szubrawiec krzykiem skłonił dożę,
> Pójść z nim i okręt Bassania przetrząsnąć. —

aby się przekonać, czy Lorenzo i Jessyka nie uciekają razem z nim.

Poprostu zdaje się, że głowa rzeczypospolitej jest na usługach Szajloka. I takiego Szajloka Heine uważa za gnębionego!

Nie, oczywiście, wcale nie o to chodzi. I wcale nie swego gnębiciela widział i nienawidził Szajlok w Antoniu. Wprawdzie w oczy jemu skarży się on na pogardliwy stosunek do siebie patrycjusza weneckiego, ale tylko w oczy; używa podstępu, aby go zwabić w zasadzkę. Lecz sobie w duszy i innym mówi zupełnie coś innego, — i zbyteczna dowodzić, że tam właśnie wypowiada swoje prawdziwe zdanie. A więc, za cóż nienawidzi Szajlok Antonia?

Mówi nam to zaraz w pierwszej scenie, w której spotyka się z Antoniem; poecie tak zależało na tem umotywowaniu, że podał je do naszej wiadomości drogą dosyć niedramatycznego monologu, który Szajlok wypowiada „na stronie" przy zbliżeniu się swego przeciwnika:

Szajlok (na stronie) —
Nienawidzę go, bo jest chrześcijaninem —

Lecz tym grzechem grzeszyła cała Wenecja; posłuchajmy więc dalej:

Lecz bardziej jeszcze za to, że z nikczemnej
Prostoduszności gratis borgi daje
I nam tu stopę procentów obniża.

Tu jest istotnie całe jądro sprawy. Dlatego to w swej rozmowie z Antoniem o interesach powołuje się Szajlok na przykład biblijnego Jakóba, aby usprawiedliwić swój przeklęty przez psalmistę proceder. Dlatego też triumfuje przy pierwszej wiadomości o nieszczęściu, które spotkało Antonia: „Zwykł był pożyczać przez miłość chrześcijańską, niech się ogląda na swój oblig!" (akt III sc. I). Dlatego mówi do Tubala w tej samej scenie: „Muszę mieć jego serce, jeśli nie dotrzyma terminu; bo jak go raz nie będzie w Wenecji, to będę mógł prowadzić mój handel, jak zechcę". Dlatego też przy spotkaniu z Antoniem-więźniem mówi dozorcy (akt III sc. III):

Dozorco, pilnuj go: nie pleć o względach.
Ten głupiec darmo borgował; powtarzam,
Pilnuj go.

Czy dosyć jasno dał nam poeta do poznania, gdzie kryje się prawdziwa przyczyna nienawiści Szajloka do Antonia?

X.

I, oczywiście, tak jasno wyrażone i podkreślone przez poetę umotywowanie nie mogłoby pozostać tajemnicą dla jego krytyka, gdyby nie pewien wzgląd, którego się zresztą możemy tylko domyślać. Widocznie idea krwawej nienawiści, wywołanej przez bezprocentowe pożyczki, wydała się zbyt małostkową i prozaiczną; o ileż szlachetniej było zmie-

nić Szajloka z zacietrzewionego konkurenta w pognębionego mściciela za krzywdy swoje a zarazem wszystkich uciśnionych całego świata.

Szlachetniej, być może. Lecz mimo to rozumiem, że Szekspir zgóry by podziękował swym przyszłym krytykom za taką szlachetność. Wątpię, czy byłby on skłonny oddać za trywialny i utarty motyw zemsty uciśnionego ową zdumiewająco słuszną i zdumiewająco głęboką ideę, która jest podstawą jego dramatu.

Proszę raz i raz jeszcze przypomnieć sobie cały sens Wenecji szekspirowskiej — lub, co jest jedno i to samo, Wenecji Tycjana, Paola, Palmy, Tintoretta, Bonifazia, tej symfonji barw, tego morza blasku i radości. Tu wcześniej, niż gdziekolwiek, ciepła osłona legalności dała schron umęczonej ludzkości; tu, pod tą osłoną, bujniej, niż gdzieindziej, wykwitła radość życia. Goście z bajecznego wschodu — oni nietylko przynosili bogate dochody „królewskim kupcom"; oni w równej mierze cieszyli oczy i uskrzydlali fantazję, każąc jej w otaczającem środowisku urzeczywistniać wyśnioną baśń krajów zamorskich. Gdzie karnawał był weselszy, świetniejszy, bardziej szalony, niż w Wenecji szesnastego wieku? Ten Canal grande, wijący się szeroką wstęgą między obiema połowami cudownego miasta — czemże on był, jeśli nie świętą drogą radości? Te ozdobne pałace, całą swą fasadą wychodzące na tę wodną drogę, — pocóż się one wystroiły, jeżeli nie poto, aby przyjąć i oddać pozdrowienie radości? U ich drzwi sterczą ku górze różnobarwne pale — tu wieczorem będą przywiązane gondole, które przywiozły swych właścicieli na jedno z wesołych świąt Królowej mórz. Wtedy kanał zapłonie ogniami, wtedy triumfalnej muzyce w złoconych salach odpowiedzą pieśni — pieśni radosnej, triumfującej miłości. A potem zamilkną pieśni święta, księżyc wzejdzie nad senną laguną, i opustoszeje srebrna wstęga; tylko zrzadka gondolier, zamarzywszy się w zakrętach kanaliku, zaciągnie swą piosnkę:

O Venezia benedetta!

I tak aż do rana, dopóki się nie rozlegnie, pełen radosnego zamyślenia, głos dzwonów św. Marka, i nie zacznie

się nowa praca w oczekiwaniu nowych świąt, nowej radości i miłości.

I w tej Wenecji nagle Szajlok! Cóż mu do Wenecji, i co jej do niego? Nie on będzie witał we wzorzystej loggji nadjeżdżające gondole i dziękował za dźwięczną daninę radości z ust strojnych śpiewaków; nie na niego zwróci łaskawe oczy w kościele S. Maria Formosa święta Barbara, uwieńczona piękność raju; nie dla niego zahuczą w podniebnych wyżynach dzwony świętego Marka. Cóż mu do Wenecji, i co jej do niego? On czuje się odepchniętym przez tę radość, którą jest przesycona cała atmosfera miasta, i to odepchniętym na zawsze. „Gotów jestem z wami mieć stosunki i rachunki, układać się i gadać, ale jeść z wami, pić z wami i modlić się z wami, nigdy", tak odpowiada Szajlok, gdy się go zaprasza na jedno ze świąt weneckich. Lecz jeśli tak, to pocóż żyć? Na cóż kupować i handlować, kiedy i tak nie kupi się radości, nie kupi się święta? Na cóż ma Szajlok handlować w Wenecji? Po to, aby ją kupić, — i kupiwszy, zniszczyć.

Tak, mocne i niezachwiane jest prawo w Wenecji — nie są bardziej niezachwiane runy przymierza na włóczni Wotana. Pod osłoną tego prawa, wykluczającego despotyzm i przemoc, rozkwitła radość wenecka, wyrosły marmurowe pałace Wielkiego Kanału. Lecz pod osłoną tegoż prawa, jak gad pod promieniami słońca, rozwija się także lichwiarski proceder Szajloka, odbywa się stopniowe i nieuniknione przejście weneckiego złota do jego piwnic. I on zna moc tego prawa, on opiera się na niem, jak na granitowej skale:

ten marny funt mięsa,
Którego żądam, moją jest własnością,
Drogom go kupił i chcę go posiadać;
Jeśli mi tego odmówicie, hańba
Waszemu prawu! Ustawy Wenecji
Są czczą literą, mocy nie mającą.

Wenecja związała siebie swemi prawami; ona nie jest w stanie ocalić swych synów od zguby. Chcesz radości i jej znaków zewnętrznych — przepychu, przyjęć, przejażdżek, świąt? Do tego potrzebne jest złoto; złoto da ci Szajlok, lecz przy zwrocie ty dasz mu więcej. I oto to „więcej", cią-

gle się gromadząc i gromadząc, tworzy setki dukatów, — tysiące, — dziesiątki, setki tysięcy. I tak z roku na rok, z pokolenia na pokolenie. W piwnicach Szajloka, w głębiach jego ponurego domu rośnie ów złoty ciężar, który, dorósłszy do zamierzonych rozmiarów, ruszy Wenecję z jej żelaznych podstaw.

I oto, niewidocznie dla oka zwykłych obywateli, zaczął błądzić po ulicach i wzdłuż kanałów Wenecji upiór — straszny upiór w żółtym płaszczu. Dochodził on do szczytu Rialto, wpatrywał się w srebrną wstęgę świętej drogi radości i posyłał jej swe głuche, niedosłyszalne dla ucha zwykłego obywatela powitanie:

„Biada ci, wesoła rzeko, biada twym strojnym gondolom, twoim ogniom i pieśniom! Twe ognie pogasną, twe pieśni zamilkną, i tylko ładunki mych zysków będą się ślizgały po twych ujarzmionych falach. Biada wam, młodzieńcy i dziewice, chwytający szept miłości pod swawolną maską karnawału! Będziecie jęczeć pod ciężarem bezcelowej, nie uwieńczonej radością pracy. Biada wam, strojne pałace, wdychające powiew radości przez wasze otwarte, wzorzyste okna! Opadnie złocenie waszych sal, nie będzie w nich słychać głośnego gwaru gości, tylko ochrypły krzyk handlu będzie się rozlegał w kantorach i magazynach, które my urządzimy pod waszym dachem. Biada ci, święta Barbaro, uwieńczona piękności raju! Zerwą cię z ołtarza twego wspaniałego kościoła, i obrzydła pustka zapanuje w jego shańbionych murach. Biada wam, beztroscy obywatele, tak dumnie wznoszący głowy pod łagodną władzą waszego przesławnego prawa! Mnie oddacie wszystko, co nazywacie swojem, i zachowacie życie pod warunkiem przysięgi — nienawidzieć radości, nie śmiać się nigdy. Biada ci, pełny radosnego zamyślenia dzwonie świętego Marka! Zamilkniesz na wieki, odśpiewawszy swą ostatnią pieśń po ostatnim wenecjaninie. Biada ci, Wenecjo, cudo mórz!

Strzeż się mych mrocznych zastępów,
Kiedy z milczących czeluści
Wyjdzie me złoto na świat!“

XI.

Nikt ze zwykłych obywateli nie widział żółtego upiora, nie słyszał jego słów; widział go i słyszał tylko jeden Antonio. On przerósł swą potężną głową złotą zasłonę, pod którą weselili się i kochali jego młodzi przyjaciele, synowie błogosławionej Wenecji, i jemu objawiło się to, co było tajemnicą dla innych.

Od tego czasu radość go opuściła. W każdym błysku roześmianych oczu, w każdym wybuchu dźwięcznego młodego śmiechu widział on i słyszał pracę kilofu, który kopał mogiłę wszystkiemu, co było pięknem na ziemi. Grunt ukochanej Wenecji chwiał się pod jego ciosami.

Lecz Antonio był młody; postanowił przyjąć wyzwanie i walczyć. Trzeba było wydrzeć przyszłą władzę czarnemu bogu, odebrać mu ów pierścień Nibelunga, który on zdobył dzięki swemu wyrzeczeniu się radości i miłości. I oto okręty Antonia odpłynęły w dal — do Indyj, do Tripolis, do Meksyku; wróciły naładowane towarami, te towary otworzyły drogę złotu do jego wzorzystego pałacu nad Wielkim Kanałem. Tak, złoto polało się tędy obfitym strumieniem, lecz nie po to, aby stworzyć dzieci i wnuki, zwane procentami i procentami od procentów. To złoto było dla Antonia bronią w walce z Szajlokiem, — o ile zaś ta walka była skuteczna, mamy na to świadectwo wroga (Akt III sc. I). „On mię skrzywdził, wydarł mi na jakie pół miljona spodziewanych korzyści". Na tyle więc oblicza lichwiarz procenty, które go ominęły dzięki wspaniałomyślnej interwencji przeciwnika. I na to właśnie Antoniowi były potrzebne pieniądze. Sam on był nieżonaty, bezdzietny, bez potrzeb, z duszą po rzymsku prostą i surową; stał się budowniczym radości dla innych. Wystarczyło, żeby jakiś Bassanio popadł w kłopoty — zaraz przychodził mu z pomocą Antonio, dawał mu pieniędzy, nie żądając procentów i niezbyt upominając się o kapitał. I gdybyśmy zapytali innych — Solania, Salarina i t. d., — napewno ich również znaleźlibyśmy w liczbie dłużników Antonia. Bez niego poszliby oni do Szajloka, zastawiliby u niego swój majątek, swe pałace — Antonio ich uratował. A więc, wesel się, beztroska, świetna signorjo:

za ciebie czuwa ten, kto za cenę swej własnej radości uratował twoją. Uratował — czy na długo?

Przecież właśnie na tem polega fatalna rękojmia siły Szajloka, że przy jego obrotach kapitał sam się mnoży, podczas gdy wobec sposobu postępowania Antonia potrzebny jest ciągły napływ z zewnątrz. Handel Szajloka spoczywa na granitowej podstawie praw weneckich, podczas gdy handel Antonia zależy od wszystkich przypadków wiatrów i fal, którym zostały powierzone jego okręty. On szuka zabezpieczenia swych obrotów w prowadzeniu ich na wielką skalę:

Widoki moje nie są przywiązane
Ani wyłącznie do jednego statku,
Ani wyłącznie do jednego miejsca,
Ani też mienie moje nie zawisło
Od powodzenia w tym jedynie roku.

Tak, jeśli ginie tylko jeden statek, lub dwa, strata jest znośna; ale, jeśli zginie kilka, — jeśli zginą wszystkie? Wtedy Szajlok, pod osłoną praw weneckich, zapuści swój nóż głęboko w serce swego nienawistnego wroga. Zabraknie tego, kto wedle jego słów, przeszkadzał jego handlowi, i złoto szlachty weneckiej pod osłoną ciągle tych samych praw będzie znów bez przeszkód przechodzić do piwnic najzaciętszego wroga Wenecji.

A potem — nie po jednem, nie po dwu pokoleniach, lecz później... Kto wie, kiedy? Później nastąpi czas, kiedy nagromadzone w piwnicach złoto znów wyjdzie na światło dnia, aby zmienić się w to, czego symbolem ono dotąd było. Wtedy dopiero zostanie poznana straszna siła milczącego wroga, a Wenecja udusi się w kleszczach otaczającego ją złotego łańcucha.

Czy zrozumiała jest teraz nienawiść Szajloka do tego, kto „pożyczał pieniądze bez procentów", kto „przeszkadzał mu w handlu", stając jako przeszkoda złotu weneckiemu na drodze do jego piwnic? Czy jest zrozumiałe, dlaczego funt mięsa „bliżej serca" był dla niego droższy, niż trzy tysiące, sześć tysięcy, sześćdziesiąt tysięcy dukatów? Czy zrozumiałe jest, dlaczego ten temat — walka radości z bezradosnem złotem — była dla Szekspira droższa, niż trywjalny w swej nieokreśloności motyw walki uciśnionych z gnębicielami?

Lecz gdzież jest wynik tej walki? Przecież jest jasne dla każdego, że sposób postępowania Antonia nosi sam w sobie rękojmię swej krótkotrwałości, że podtrzymywanemu z zewnątrz kapitałowi Antonia sądzona jest zguba ze strony wzrastającego przez się kapitału Szajloka. Wprawdzie teraz dowcipna Porcja pobiła Szajloka jego własną bronią, wyrwała Antonia z jego rąk — więc cóż? na przyszły raz będzie on ostrożniejszy. Nie zapomni zastrzec sobie oprócz funta mięsa, również odpowiedniej miary krwi; nie zapomni dopisać przezornej klauzuli prawa rzymskiego: *si plus minusve secassit, se fraude esto.* I wtedy nie tylko Porcja, lecz i sam mądry Bellario nic nie wymyśli: niezachwiane prawo weneckie posłusznie wyda Antonia Szajlokowi na ofiarę, posłusznie wykopie przepaść, która pochłonie z czasem i je samo wraz z jego Wenecją.

Nie, jest jasne, że na tej drodze niema ocalenia. Wybawczynią Wenecji będzie nie Porcja, lecz — Jessyka.

XII.

Wprawdzie, w stosunku do Jessyki muszę się zastrzec: jest ona jeszcze w znacznym stopniu dziewczynką, młodziutką, „ledwie opierzoną" — tak o niej mówią wenecjanie — ona nie odrazu może się oswoić z ową atmosferą radości, która ogarnęła ją nagle, po długiem zamknięciu w ponurym domu ojca. Atmosfera ta ją oszałamia. Przetrwania w Genui ośmdziesiąt dukatów z tych, które wzięła z piwnic ojca; to, naturalnie, nie zasługuje na pochwałę. Jeszcze mniej godny pochwały jest rys następujący... Lecz posłuchajmy o tem samego Szajloka, gdyż jest to jedyne miejsce, gdzie iskra czułości wyrywa się z twardego serca starego lichwiarza (akt III sc. I):

Tubal. Jeden z nich (genueńskich wierzycieli Antonia) pokazywał mi pierścień, który mu wasza córka dała za małpę.

Szajlok. Niech będzie przeklęta! Tubal, torturujesz mnie: to był mój turkus: dostałem go od Lei, kiedy byłem jeszcze narzeczonym; nie byłbym go oddał za cały las małp.

Któż to jest ta Lea? Widocznie, żona Szajloka, — i, naturalnie, nieboszczka, gdyż teraz gospodynią domu jest Jes-

syka, i jej daje on klucze, gdy wychodzi. Lea podarowała Szajlokowi ten pierścień, gdy był on jeszcze kawalerem, — innemi słowy, gdy ona była jego narzeczoną. To wspomnienie Szajloka, to nikły promień światła, który opromienił jego przeszłe życie; pragnęlibyśmy, aby ten promień światła się zatrzymał: życie Szajloka jest dla nas bardzo ciekawe. Oto proste, choć nie ubogie umeblowanie zamożnego domu żydowskiego. Ojciec Lei, szukając męża dla swej córki, zatrzymał się na niemłodym już, lecz praktycznym Szajloku; ten człowiek za cenę długich, uporczywych wysiłków, odmawiając sobie wszystkiego, powiększył w dziesięcioro skromną spuściznę ojcowską, on też potrafi zachować i pomnożyć kapitały teścia. I oto Szajlok otrzymuje pozwolenie odwiedzić obiecaną dziewczynę. Czy ona go kocha, lub też on ją? Wystarczy, że ojciec i narzeczony doszli do porozumienia; przyzwyczajenie, obcowanie dokonają reszty. Ze wstydliwym rumieńcem na twarzy narzeczona daje Szajlokowi rękojmię siebie samej — pierścień turkusowy. Oczywiście Szajlok na wieki zapamiętał ten dar: pierścień ten stał się dla niego najcenniejszym wśród darów, któremi go hojniej, niż kogokolwiek obsypała łaska Jehowy. Od tego czasu właśnie złoto szerokim strumieniem polało się do jego skrzyń: tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy dukatów... Dodawszy kapitały teścia do swoich, zyskał on możność dokonywania obrotów na wielką skalę. Coraz obficiej i obficiej bogactwa wesołej Wenecji gromadziły się w jego piwnicach: zebrałby on cały miljon — gdyby nie Antonio.

Nie, stanowczo, ja nie usprawiedliwiam Jessyki: przepuścić pierścień Szajloka za małpę! Zygfryd też miał w rękach pierścień Nibelunga, którego też omal nie podarował lekkomyślnie na skraju lasu, przyglądając się córom Renu. Ale w każdym razie nie za małpę!

Wybiegliśmy naprzód; miałoby się ochotę wyobrazić sobie jak najplastyczniej wesele Szajloka. Wesele Szajloka! Jakoś trudno jest powiązać te dwa pojęcia; lecz oczywiście, musiało ono być odprawione, i naturalnie, z prostotą i surowością, bez żadnego przepychu i wystawy. Nie na przystrojonej gondoli przywieziono Szajlokowi narzeczoną, nie grzmiała muzyka nad kołyszącemi się falami Wielkiego Ka-

nału: do wesołości chrześcijan surowy dom Lei żywił taki sam wstręt, jak Szajlok...

Nie, omyliliśmy się: były i gondole, i muzyka, i pieśni na Wielkim Kanale, były one jednak nie dla Szajloka, tylko dla jednego z jego obecnych nieprzyjaciół a przyszłych ofiar, wyprawiającego jakieś swoje święto, jedno z niezliczonych świąt weneckich. Niemało trudu kosztowało czarną gondolę, wiozącą Leę, przedostać się przez barwne szeregi gondol, ubranych kwiatami, pod gradem płaskich dowcipów, skierowanych pod adresem „żydówki" i jej wesela. I napróżno państwo młodzi, zostawszy sami, starali się zasłonić od świątecznych ogni, schronić się przed grzmiącą pod ich oknami muzyką. Całą noc bez przerwy grzmiała ta muzyka, całą noc słychać było radosne dźwięki pieśni weneckiej:

O Venezia benedetta!

Dźwięki te przenikały do wszelkich szpar, wszelkich szczelin; żadne okiennice, żadne poduszki nie mogły od nich uchronić: chwytały słuch, czarowały serce, podbijały wolę. Lea nie mogła się bronić. Spełniło się misterjum — nieuniknione, niepojęte: dwie mocne nici ściśle żydowskich tradycyj, splecione ze sobą, zostały rozcięte swawolnemi dźwiękami pieśni weneckiej.

Tak w żydowskiej rodzinie została poczęta wenecjanka-Jessyka.

XIII.

Oczywiście, jest to wszystko fantazja, lecz przynajmniej fantazja w duchu poety i jego poematu.

Czy można powiedzieć to samo o fantazji, którą Heine zakończył swe szkice o „Kupcu weneckim"? Heine przenosi się duszą do synagogi weneckiej; tam słyszy rozdzierający płacz. „I głos ten wydał mi się znajomy; wydało mi się, jakobym go już raz słyszał, gdy on tak samo rozdzierająco jęczał: „Jessyko, dziecię moje!"

„Jessyko, dziecię moje"...

U Szekspira niema tych słów, lecz ja chętnie wierzę, że Heine je słyszał, — być może, w tym samym teatrze Drury Lane, gdzie Angielka o czarnych oczach wylewała łzy nad krzywdą, wyrządzoną Szajlokowi. Ja również je słysza-

łem. Chodzi o to, że scena ucieczki Jessyki według tradycji aktorskiej — nie wiem, jak starej — przedstawia się w sposób następujący.

Szajlok, zaproszony na ucztę do Bassania, żegna się z Jessyką, pozostawiając w jej rękach klucze. Jemu nie chce się odchodzić, dręczy go złe przeczucie. Obecny przy tem Lancelot, posłaniec Bassania, z naciskiem powtarza zaproszenie i mimochodem dodaje, że szykuje się maskarada. Ta perspektywa doprowadza zniecierpliwienie Szajloka do ostateczności:

> Co? maskarada ma być? Maskarada?
> Pozamykajże drzwi szczelnie, Jessyko;
> A jak usłyszysz odgłos tarabana,
> I kwik przeklęty kośławej piszczałki,
> To mi się wtedy nie wieszaj u okien,
> Ani wyścibiaj głowy na ulicę,
> Aby się gapić na tych chrześcijańskich
> Błaznów, z twarzami pomalowanemi;
> Ale zaszpuntuj uszy mego domu,
> Rozumiem przez to okna; i nie wpuszczaj
> Dźwięku tej głupiej, szalonej rozpusty
> Do uczciwego mego domu.

Wydawszy córce ten surowy nakaz i zamieniwszy jeszcze kilka słów z nią i Lancelotem, wychodzi w towarzystwie tego ostatniego. Jessyka odchodzi do domu. Wkrótce potem słychać wesołą muzykę, z początku zdaleka, potem coraz bliżej; zjawiają się ognie, maski; maski tańczą, wywracają koziołki. Oto przychodzą zaproszeni przez Lorenza przyjaciele, Salarino i Graziano, z nimi pachołkowie z pochodniami. Nareszcie przychodzi Lorenzo. Muzyka gra co sił. Na wezwanie Lorenza w oknie domu ukazuje się Jessyka. Poznawszy Lorenza —

> Lorenzo, tak, mój kochanek: bo kogoż
> Serdeczniej kocham?

rzuca mu skrzynkę z dukatami, potem idzie do piwnicy po inne i wreszcie, w stroju pazia, wychodzi z domu. Muzyka grzmi po dawnemu. Lorenzo przynagla kochankę: chodźmy, czekają na nas. Odchodzą, a za nimi wychodzi reszta z pochodniami. Muzyka się oddala; słychać ją coraz słabiej, wreszcie zupełnie milknie. Przez pewien czas na scenie jest

zupełna cisza i ciemność. Nareszcie zjawia się Szajlok. Puka; niema odpowiedzi. Puka po raz drugi i woła na Jessykę — wszystko milczy. Pcha drzwi — otwierają się same. W najwyższym stopniu zaniepokojony rzuca się do domu, pędzi na górę, słyszymy rozpaczliwe wołania: „Jessyko, Jessyko!", słyszymy jakiś huk, upadek czegoś ciężkiego; następnie w drzwiach znów ukazuje się Szajlok, chwieje się, pada na progu swego domu: „Jessyko, dziecię moje!" Zasłona spada.

Nie podaję bynajmniej w wątpliwość dramatycznej efektowności tej inscenizacji i doskonale rozumiem, że aktorom jest ona droga; nie dość na tem: gotów jestem przyznać, że na temat: „Jessyko, dziecię moje!" można napisać tragedję niemniej prawdziwą, niż nasza; lecz fakt faktem, że sceny powtórnego zjawienia się Szajloka u Szekspira niema. Dodam: i być nie mogło. Dlaczego nie mogło? Dlatego, że to „Jessyko, dziecię moje!" z ust złamanego nieszczęściem starego ojca byłoby osądzeniem całej ucieczki z jej wesołą muzyką. Tego zaś osądzenia Szekspir nie chciał; nie chciał dlatego, że on z tą ucieczką sympatyzował.

Nie, Jessykę unosi wicher pieśni weneckiej i jej radości; ona spełnia to, po co była zrodzona. Żebyśmy zaś zupełnie z nią współczuli, żeby naszej radości nie mroczyła myśl o opuszczonym jej ojcu, dlatego zostają potem przytoczone okrzyki tego ojca, jego prawdziwe okrzyki, któremi on ścigał swą uchodzącą córkę. Jakież to były okrzyki? „Jessyko, dziecię moje"? Nic podobnego:

Moje dukaty! wołał — Moja córka!
O, moja córko! — O, moje dukaty!
Uciekła z chrześcijaninem! — O, chrześcijańskie
Moje dukaty! O, sprawiedliwości,
O, córko, o, dukaty! Cały worek!
Sprawiedliwości, znajdźcie mi tę dziewkę!
Oddajcie mi ją — Ona ma przy sobie
Moje kamienie i moje dukaty!

Komu zaś nie wystarczą te okrzyki, niech wniknie w sens strasznych słów, które mówi on do Tubala: „Wolałbym, żeby moja córka leżała trupem u nóg moich, a żeby miała w uszach te klejnoty. Wolałbym, żeby leżała na marach u nóg moich, a w trumnie miała owe dukaty".

Nie, napróżno Heine usiłuje nas przekonać, że Szajlok kochał swą córkę więcej niż swe dukaty. Sądził on, że tym rysem zrobi nam Szajloka sympatycznym, w rzeczywistości jednak on nim zepsuł zdumiewająco jednolitą w swym ponurym majestacie postać czarnego boga. Szajlok nikogo i niczego na świecie nie kocha więcej od swoich dukatów; są one u niego na pierwszym planie, córka i reszta na drugim. I tak być powinno. Nie zapominajmy, że dla Szajloka dukaty, to rękojmia przyszłej potęgi jego rodu, rękojmia jego władzy nad tą nienawistną Wenecją z jej radością, miłością i — pięknem. Córka — tak, oczywiście, i dla niej była rola w jego życiowym dramacie. Ona była jego dziedziczką, a więc i spadkobierczynią jego bogactw. On wyszuka już dla niej męża — być może, tego samego Tubala, którego wysyła na jej poszukiwanie. Wyda za niego Jessykę, tak samo, jak niegdyś jego nieboszczyk teść wydał Leę za niego — według ścisłego wyrachowania, według starego obrządku. Tak, przez Jessykę, jego kapitały połączą się z kapitałami Tubala. Sprawy pójdą jeszcze prędzej, i już Wenecja nie zdoła się wyrwać ze złotego odmętu tych połączonych dwu potoków. Jako taką, on istotnie kochał swoją córkę — jako posłuszną wykonawczynię jego wielkich, ponurych zamysłów. I jak czarny bóg — Alberyk powtarzał synowi, aby nienawidził radosnych, nie radował się nigdy:

Hasse die Frohen,
Freue dich nie!

Tak i Szajlok zapowiadał Jessyce, aby nie śmiała zbliżać się do okna, gdy się zjawią przebrani wenecjanie, aby zamknęła uszy jego uczciwego domu przed hałasem głupiej, szalonej rozpusty.

XIV.

Głupiej rozpusty... A jednak do niej, do tej głupiej rozpusty ciągnęło biedną Jessykę przez całe życie. Dlaczego w córce Szajloka jest taki dziwny rys? Jakże to można wiedzieć! Widocznie w chwili jej narodzin radość Odrodzenia unosiła się nad Wenecją; ona dotknęła ustami nowonarodzonej i rzekła jej: „Będziesz wenecjanką".

Ten typ „córki żyda" nie jest odosobniony. Przypomina mi się stara piosenka niemiecka — podana u Eicka w jego *Liederhort* (Nr 98) — mniej więcej z tego samego czasu:

Es war eine stolze Jüdin,
Ein wunderschönes Weib.
Die hatt' eine schöne Tochter:
Ihr Haar war glatt geflochten,
Zum Tanz war sie bereit.

O tym tańcu surowa matka nawet słyszeć nie chce; pieśń wkłada jej w usta twardy zakaz:

Es wär' ja eine Schande
Für's ganze jüdische Lande,
Wenn du zum Tanz wolltst geh'n.

Ten sam konflikt, co i tam: młoda, piękna dziewczyna czuje niepowstrzymany pociąg do tego, co jej surowo wzbrania „prawo domu rodzicielskiego" — do „tańca", do zabawy, do radości. I tak samo jak tam, dążenie do radości oddaje żydowską dziewczynę we władzę narzeczonego-chrześcijanina:

Du musst dich lassen taufen:
Susanna sollst du heissen,
Mein Eigen sollst du sein.

Tak, na tem polega istotna różnica między pierścieniem Nibelunga i pierścieniem Szajloka. Tam syn czarnego boga dochował wiary do końca; z jego ręki zginął losem wyznaczony zbawca królestwa bogów, i od płomieni stosu zabitego spłonęła Walhalla. Tu, w samym domu czarnego boga zarodziło się ziarno protestu przeciw niemu; wykarmione ciepłemi promieniami renesansowego słońca, ono wyrosło, wyrósłszy, ocaliło Wenecję, a pierścień Szajloka został zamieniony na małpę.

Ciekawy jest widok, jak stopniowo maleje państwo czarnego boga. Wesoły błazen Lancelot, to pierwszy przykład. On służy Szajlokowi, jemu stary lichwiarz powierza opiekę nad swym domem podczas swej nieobecności. Dobrze mu w bogatym domu — jest syty, odziany, obuty; a jednak ciągnie go stamtąd, ciągnie do biednego szlachcica Bassania. Dlaczego? Bo tam jest radość. Ucieczka Lancelota, to preludjum do ucieczki Jessyki; piekło jej domu

rodzicielskiego jest jeszcze bardziej ponure od chwili, gdy je opuścił ten jedyny „wesoły djabeł".

Coraz mocniej i mocniej palą promienie radości — po Lancelocie ucieka i Jessyka. Co prawda, jej ucieczka, to tylko pierwszy krok do jej nawrócenia. Widzieliśmy przecież: jest ona jeszcze dziewczynką, oszałamia ją ta atmosfera radości, w której pogrążyła się tak nagle po długiej wegetacji w beznadziejnym mroku domu ojcowskiego. Z początku jest ona jak niewolnik, co wyrwał się na wolność i chce zniszczyć wszelkie ślady swych kajdanów. Lecz tylko z początku. Po szalonej nocy w Genui młoda para wraca na ziemię św. Marka. Przypadek zbliża ich do Bassania i Porcji w Belmoncie. Tu, w towarzystwie tej prawdziwej weneçjanki i córy Odrodzenia, Jessyka zrzuca resztki swego niewolnictwa; w Porcji widzi swój wzór. Bezwątpienia, dorośnie ona do niego; za to ręczy nam jej cudna, swawolna i marzycielska rozmowa z Lorenzem „w taką to noc".

XV.

I bez względu na to, co się dalej stanie, nie boimy się już o Wenecję. Mocno wznosi się gmach szczęścia tam, gdzie związana siła wroga; jeszcze mocniej tam, gdzie uległa czarowi jego wola. W osobie Jessyki wola czarnego boga uznała się za zwyciężoną blaskiem i pięknością jego wrogów i przeszła radośnie do ich obozu. Walhalla zginęła dlatego, że nie mogła wzbudzić do siebie miłości w potomku swego zaprzysiężonego przeciwnika; Wenecji to się udało, i została uratowana.

Walhalla, Wenecja... Teraz jest już jasne dla wszystkich, że są to tylko symbole, i jeżeli ktoś przedtem mógł podawać w wątpliwość słuszność mojej uwagi na początku tego artykułu, że dla nas i żydostwo Szajloka jest takim samym symbolem, jak jego żółty płaszcz, spodziewam się, że teraz cofnie swoje wątpliwości. Przecież nie był żydem Alberyk — czarny bóg Walhalli.

Walhalla, Wenecja... czyż nie spróbujemy odrzucić tych symboli i wypowiedzieć jasnemi słowami nauki, która jest w nich zawarta? Oczywiście, zastrzeżenie jest niezbędne:

symbol, to nie to samo, co alegorja, jest on zawsze o wiele bogatszy od abstrakcyjnej treści, którą z niego wyciągamy. Należy o tem pamiętać: nie powinniśmy nawet myśleć o tem, aby oderwane rozumowanie mogło wyczerpać treść tak bogatego dramatu, jak nasz. Lecz w ramach tego zastrzeżenia próba nasza będzie dozwolona i legalna.

Nazwijmy więc własnem imieniem ten pierwiastek, tę ideę, której symbolem była dla nas renesansowa Wenecja Szekspira, jako żywa przedstawicielka radości, piękna i miłości. Co do tego imienia nie może być wahań, skorośmy słusznie nazwali tę Wenecję — renesansową: przecież była ona odrodzeniem starożytnego h e l l e n i z m u.

W hellenizmie po raz pierwszy stanęła przed ludzkością, związaną ukutemi przez siebie więzami, upajająca trójca — radość, piękno i miłość jako najwyższa wartość ziemskiego, a w pewnym sensie, wszelkiego życia. Stanęła w jakim celu? Czy po to, aby zginąć pod naporem wrogów? Wrogów było wielu — i na zachodzie, i na wschodzie, i na północy.

Pierwszy obudził się wróg na zachodzie. Podczas gdy w beztroskiej Helladzie szlachta rycerska VII i VI w. zdobywała trofea radości w Olimpji i Delfach, podczas gdy w V w. dłuto Fidjasza urzeczywistniało na ziemi ideał życiowego piękna, podczas gdy w IV w. największy poeta, Platon, wtajemniczał swych uczniów w misterja prawdziwej twórczej miłości — tam, daleko na zachodzie wyrachowany Rzym, w swych zadymionych atrjach, kamień po kamieniu, budował gmach swej ponurej władzy nad światem, stopniowo rozszerzając swe mocarstwo, dołączając doń po kolei Lacjum, góry Samnickie, równię Tarentu, Sycylję. Przyszła kolej na Helladę; spotkali się na polu bitwy dwaj nierówni wrogowie: zakuci w spiżowe pancerze legjoniści i nieudolne pospolite ruszenie miast greckich. Zguba wydawała się bliska — a jednak nie nastąpiła. Pozornie zatriumfował Rzym, lecz w rzeczy samej — jego czarująca przeciwniczka,

Co zwycięzcę w twardej zbroi
Zwyciężyła pięknem swem.

Jej uroki okazały się nieprzeparte; one zachwyciły Jessykę w domu surowego władcy zachodniego; dzięki kołu

Scypjona młodszego, Rzym zbliżył się do kultury greckiej, wessał ją, przetworzył w sobie, i dopiero wtedy został władcą świata, gdy jego synowie sami zgodzili się być przedstawicielami idei zwyciężonego wroga, helleńskiej radości, helleńskiego piękna, helleńskiej miłości. Radosny wiek Augusta zakończył ten rozwój.

Drugi wróg powstał na Wschodzie — i tu nawet możemy zostawić Szajlokowi jego koloryt plemienny. Znajdując się na pograniczu dwu cywilizacyj i pałając jednakową nienawiścią dla obu, surowy judaizm drugiej Jerozolimy cierpliwie wznosił ogrodzenie wokoło swego ponurego prawa, starannie chroniąc je przed wtargnięciem trzech uwodzicielek helleńskich. Jednocześnie zapuszcza on szpony w ciało wroga w postaci gmin swego „rozproszenia", zbierał wokoło tych gmin coraz bardziej wzrastające koła prozelitów, ucząc ich odpychania pokus zwodzicielek helleńskich, ucząc „nienawidzieć radosnych, nie śmiać się nigdy"... Zwycięstwo zdawało się bliskie — a jednak nie nastąpiło. Znów w domu Szajloka wyrosła krnąbrna Jessyka, która potrafiła odczuć, co było prawdziwie pięknem w helleńskiej kulturze i dla tego piękna porzuciła ciasne i sztywne więzy żydowskiego prawa. Władzę nad światem przejęło od judaizmu chrześcijaństwo, owo chrześcijaństwo, które bardzo prędko przywdziało na siebie helleńskie barwy i w tych barwach zostało nauczycielem nowego świata.

Trzeci obudził się wróg na Północy — dzikie plemiona germańskie, uderzające o „rubież" rzymską coraz częstszym i rosnącym przypływem. Długo trzymała się rubież, nareszcie została przerwana. Niepowstrzymanym potokiem wtargnęło barbarzyństwo na błogosławione niwy Italji, wszystko zatapiając i pustosząc na swej drodze. Na swej drodze, tak; lecz żeby niszczący potok się zatrzymał, wystarczyło, by barbarzyńcy baczniej przyjrzeli się wszystkiemu temu, co mieli zamiar zetrzeć z oblicza ziemi — i znów w ich gronie znalazła się wrażliwa Jessyka; ona odeszła od nich, zapomniała o prawach swych ojców i całą duszą oddała się pięknu pustoszonego przez nich świata! Jak się nazywała? Czy to nie wszystko jedno? Teodoryk, Alfred, Karol Wielki — wszyscy oni, i wielu innych — byli przedstawicielami jej

nakazów, wszyscy ci, dzięki którym złoto Szajloka zostało oddane na służbę owemu odbiciu piękna helleńskiego, jakie jeszcze jaśniało na ziemi.

I czyż warto mówić o tem, ile razy od tego czasu widok ten powtarzał się w historji nowego świata? Wszystkie odrodzenia, chronicznie oczyszczające atmosferę kultury europejskiej — cóż możemy w nich widzieć, jeżeli nie tę samą Jessykę, porzucającą ponury dom ojca w poszukiwaniu prawdziwego piękna, radości, miłości? Wprawdzie i Szajlokowie odradzają się pod różnemi imionami. Lecz to nie powinno nas trwożyć: nie było dotąd Szajloka, któryby nie miał swej Jessyki.

Wniosek stąd jasny. Niech nas straszy wróg groźbą podziemnych swych sił, gdy jego moc z tajemnych głębin, gdzie on ją teraz gromadzi, wyjdzie na Boże światło — nie będziemy z nim walczyć jego bronią. Na tę walkę nie starczy nam sił, i wszelkie usiłowanie będzie daremną stratą czasu. Nie; będziemy natomiast gorliwie, nie pokładając rąk, budować gmach naszej radości, naszego piękna, naszej miłości. Musimy uczynić go tak olśniewająco pięknym, aby zachwycił on Jessykę, krew z krwi i kość z kości naszych wrogów, aby ona została naszą, zabezpieczając przez to i swoje szczęście i trwałość naszego dzieła.

Jeszcze i jeszcze raz: nie boimy się o Wenecję. Jej wieczność została zapewniona w chwili, kiedy pustka zapanowała w ponurym domu na Rialto, i kiedy tam, na brzegu laguny uroczyście zahuczał, uświęcając związek wenecjanina ze zbiegłą dziewczyną, radośnie zamyślony dźwięk dzwonów św. Marka.

Prof. Tadeusz Zieliński.

Problem ludów pigmejskich.

(Dokończenie)

III. Wiek pigmejskiej rasy w świetle prehistorji.

Najstarsze szczątki kopalne, świadczące o niezawodnem istnieniu człowieka, znajdują się, jak wiadomo, w dolnych pokładach czwartorzędowych. Obecnie znamy dość liczne ogniska kultury paleolitycznej w zachodniej Europie oraz we wschodniej Azji. Najstarsze zabytki odkryto w Mauer koło Heidelbergu, w Chelles w pobliżu Paryża, w St. Acheul koło Amiens, wreszcie w Piltdown w prowincji Sussex w Anglji. Ani w Chelles ani też w St. Acheul, podobnie jak w paleolitycznych ogniskach wschodniej Azji, [1]) nie znaleziono kości ludzkich, tak, iż cała nasza paleoantropologiczna znajomość epoki szelleńskiej opiera się na zredukowanych prawie do minimum szczątkach kostnych człowieka z Piltdown oraz Mauer.

W r. 1907 w Mauer odkryto jedynie dolną szczękę o budowie anatomicznej przypominającej niewątpliwie małpy antropoidalne i to w wyższym stopniu, aniżeli późniejsze szkielety człowieka z Neanderthal. Natomiast w Piltdown, w pokładach geologicznie albo współczesnych człowiekowi z Mauer albo też nieco późniejszych, znaleziono w r. 1912 czerep czaszki ludzkiej, stojącej pod względem anatomicz-

[1]) Najświeższe i bardzo doniosłe odkrycia paleontologiczne dokonane na terenie wschodniej Azji przez misję francuską, której kierownikiem jest Ks. Emil Licent T. J., opisaliśmy w „Przeglądzie Pow." t. 171 (1926): „Śladami wielkiego odkrywcy" str. 182—202.

nym znacznie wyżej niż czaszki neandertalskie. Stąd wniosek dość oczywisty, iż już w epoce szelleńskiej, której wysoka starożytność nie ulega wątpliwości, żyły w krajach zachodnio europejskich przynajmniej dwie rasy odmienne i silnie zróżnicowane.

W Piltdown znaleziono nadto w tych samych pokładach dolną szczękę oraz kilka zębów o charakterze tak wybitnie małpim, iż znany paleontolog francuski M. Boule uważa je za kostne szczątki szympansa.[1]) Człowiek zatem i szympans byliby sąsiadami już w owej epoce. M. Smith Woodward,[2]) wybitny anatom M. Keith[3]) i naogół uczeni angielscy sądzą przeciwnie, iż czerep czaszki i szczęka należą do jednego osobnika. Naówczas człowiek z Piltdown, nazwany szumnie a przedwcześnie „*Eoanthropus Dawsoni*", wykazywałby charakter złożony; bardzo ludzki ze względu na komorę mózgową, natomiast wybitnie małpi wobec anatomicznych cech dolnej szczęki.

Jakkolwiek zatem problem człowieka z Piltdown nie jest rozstrzygnięty, możemy postawić wniosek, iż jeśli chodzi o epokę szelleńską, czyli pierwsze stadja kultury paleolitycznej, to opierając się na danych prehistorycznych, należy stwierdzić, że „*homo heidelbergensis*", ze swą silnie rozwiniętą dolną szczęką różni się wybitnie od znanych nam dzisiaj Pigmejczyków; natomiast czaszka z Piltdown ze względu na strome czoło, na silnie rozwinięte sklepienie oraz objętość komory mózgowej (prawie 300 cm.[3]) przypomina w pewnej mierze dzisiejszych Buszmenów i Andamańczyków.[4])

Jeszcze mniej pomyślnie dla teorji Kollmann'a i ks. Schmidt'a przedstawia się perspektywa, jeśli chodzi o na-

---

[1]) Marcelin Boule: „Les hommes fossiles". Éléments de Paléontologie humaine. In 8° Paris 1921. str. 171.

[2]) C. Dawson i A. S. Woodward: „On the discovery of a paleolithic skull and mandible... at Piltdown... with an Appendix by Elliot Smith (Quarterly Journal of the Geol. Society of London. t. LXIX (1913). Cyt. Boule op. c. str. 158 n. (1).

[3]) Arthur Keith: „The Antiquity of Man". in 8° London 1920. str. 293—336.

[4]) M. Boule op. c. str. 166.

stępną epokę musteryjską (średni pleistocen) i żyjącego w niej człowieka z Neanderthal.

Wykopaliska w Neanderthal (r. 1856), w La Naulette (r. 1866), w Spy (r. 1886), w Krapinie (r. 1899), w Chapelle-aux-Saints (r. 1908), w Le Moustier (r. 1908) i t. d., a świeżo w Broken-Hill w Rodezji (r. 1921), dostarczyły bogatego materjału antropologicznego. Toteż znamy dzisiaj prawie dokładnie anatomiczną budowę człowieka owej zamierzchłej epoki. [1])

Otóż nie ulega wątpliwości, iż *„homo neanderthalensis"* nie może być ani bezpośrednim potomkiem ani też przodkiem Pigmejczyków. Silnie rozwinięte łuki brwiowe, czoło pochylone i spłaszczone, średni wzrost 155 cm., i inne cechy anatomiczne jak uzębienie, budowa kręgosłupa i t. d. są w tym względzie decydującym dowodem. Człowiek z Neanderthal i przedstawiciele dzisiejszych szczepów pigmejskich nie mogą należeć do jednej i tej samej rasy.

Jeśli tedy rozglądniemy się wśród współczesnych nam ludów, szukając typu najbardziej zbliżonego do form ludzkich z epoki szelleńskiej i musteryjskiej to, zdaniem większości antropologów, jedynie Australczycy a nie Pigmejczycy przedstawialiby żyjące szczątki najpierwotniejszej ludzkości. To też Boule, zgodnie zresztą z opinją włoskiego antropologa Giuffrida-Ruggeri, uważa tezę Kollmann'a i ks. Schmidt'a, która w Pigmejczykach widzi najstarszą warstwę ludzkości, za twierdzenie nie dające się utrzymać z punktu widzenia antropologji i morfologji. [2]) Tę samą opinję, choć w nieco mniej kategorycznej formie, podtrzymuje świeżo niemiecki paleontolog A. Padtberg. Zdaniem tego uczonego prehistorja, jeśli się chce jasno wy-

---

[1]) M. Boule op. c. str. 176—246; nadto: „L'homme fossile de la Chapelle-aux-Saints" 1911—1913.

[2]) M. Boule omawiając dzieło G. Ruggeri: „Sull origine dell' Uomo" in 8° Bologna 1921: „D'après cela, les Pygmées ne sauraient constituer, comme le veulent certains auteurs, le stock fondamental de l'Humanité, thèse insoutenable aussi bien du point de vue paléontologique que du point de vue morphologique", w „L'Anthropologie" r. 1923, str. 391.

znać prawdę, nie sprzyja teorji o archaicznym wieku pigmejskiej rasy. [1])

Te i tym podobne twierdzenia dość licznych antropologów i prehistoryków sięgają jednak, mimo pozornie solidnych dowodów, poza ramy faktycznych przesłanek.

Zbyt łatwo zapominamy, iż olbrzymie roczniki prehistoryczne zaginęły może bezpowrotnie, podczas gdy cała nasza uwaga skupia się na kilkunastu luźnych stronicach, być może wcale podrzędnych, ba nawet nieraz na kilku nieczytelnych wierszach. Z tych ocalonych fragmentów pragniemy odczytać najdalszą przeszłość człowieka, zastępując zbyt łatwo śmiałą hipotezą olbrzymie luki w materjale dowodowym. Jedna dolna szczęka lub też niekompletne szczątki czaszki (Mauer, Piltdown) stają się „naukową" podstawą rekonstrukcji całego człowieka. Co więcej, zrekonstruowany w ten sposób osobnik jest tem samem uważany za typ, reprezentujący całą daną rasę, choć nie brak najoczywistszych dowodów, jak wielkie różnice w wyglądzie fizycznym, objętości mózgu i t. d. mogą istnieć w łonie jednej rasy, czy nawet pojedynczego plemienia. Ale oto z kolei porównuje się już nie jednostki, ale całe rasy wymarłe w zamierzchłej przeszłości, wygłaszając śmiałe opinje o ich wieku, względnem pokrewieństwie, roli jaką odegrały w dziejach rozwoju ludzkości. Prawie trudno uwierzyć, iż za całą podstawę podobnych wniosków i rozumowań subtelnych służy n. p. kopalna szczęka czy też fragmenty czerepu.

Przyjmijmy zresztą za fakt oczywisty, iż w epoce szelleńskiej, czyli nazajutrz po międzylodowcowej fazie rissieńskiej, ludy żyjące w zachodnim skrawku Europy nie posiadały cech charakteryzujących dzisiejsze szczepy pigmejskie. Czyż z tego wynika, iż w tej samej epoce, a może i znacznie wcześniejszej, Pigmejczycy nie mogli żyć w innych krajach o znacznie gorętszym klimacie? Byłoby to nawet niezrozumiałem zjawiskiem, gdyby na terenie północnej czy północno-zachodniej Europy udało nam się odnaleźć kopalnych przodków Pigmejczyków! Tymczasem właśnie w krajach tropikalnych, odwiecznej a w każdym razie historycznej

[1]) A. Padtberg w „Stimmen der Zeit" (1924) l. c. str. 47.

i obecnej siedzibie tych szczepów, poszukiwania kopalne, jak słusznie zaznacza ks. Schmidt,[1]) nie zostały dotychczas nigdzie podjęte na serjo. Kategoryczne zatem sądy niektórych paleontologów są w tym względzie conajmniej przedwczesne. Mogą one posiadać swą naukową wartość, jeśli chodzi wyłącznie o Europę, rozszerzenie ich na inne obszary ziemskiego globu staje się gołosłownem twierdzeniem. A przecież nikt wśród poważnych uczonych nie uznaje Europy za kolebkę pierwotnej ludzkości. To też nie w Europie należy szukać autentycznych dowodów na rozwiązanie naszego problemu.

Otóż jeśli przeniesiemy się na teren północnej Afryki, to na przełomie kultury paleo- i neolitycznej spotkamy specjalną formę kulturalną, nazwaną przez znanego prehistoryka francuskiego J. de Morgan'a,[2]) kulturą kapsyjską *(le Capsien),* a odpowiadającą w zasadniczych punktach kulturze orinjackiej (młodszy paleolityk).

Twórcy kultury kapsyjskiej, która z biegiem czasu przeniknęła z półn. Afryki do Hiszpanji, odznaczają się między innemi znajomością sztuki malarskiej, a ich skalne rysunki oraz malowidła odkryte w pieczarach i na skalnych ścianach świadczą o niemałych zdolnościach tych prymitywnych artystów. Stąd też wniosek oczywisty, iż kultura kapsyjska nie jest kulturą naprawdę pierwotną, ale stanowi późniejsze stadjum, suponujące wielowiekowy kulturalny rozwój.

Tymczasem spotykane wśród współczesnych nam pigmejskich Buszmenów rysunki skalne oraz malowidła, przedstawiające sceny z polowania, rzadziej wojny oraz życia domowego, są właśnie uderzająco podobne do analogicznych produkcyj artystycznych epoki kapsyjskiej, tak, iż według świadectwa Dornan'a, byłoby rzeczą niemożliwą odróżnić te, oddzielone od siebie nietylko przestrzenią ale i tysiącami lat, utwory, gdyby nie widoczne różnice w faunie, stanowią-

[1]) W. Schmidt. S. V. D. op. cit. str. 41.

[2]) J. de Morgan, L. Capitan et P. Boudy: „Étude sur les stations préhistoriques du Sud Tunisien", w „Revue de l'École d'Anthrop." 20-e année t. IV (1910) str. 105—228; cfr. J. de Morgan: „La Préhistoire Orientale" in 8° Paris. 1925, str. 146, 152.

cej główny temat wspomnianych malowideł i rysunków.[1]) Wobec tego faktu uzadnionem wydaje się przypuszczenie wiedeńskiego prehistoryka Menghin'a, iż przedstawiciele orinjackiej kultury musieli się zetknąć w początkach neolityku z paleolitycznemi szczepami afrykańskich łowców i że wynikiem tej mieszaniny etnicznej i kulturalnej jest z jednej strony kultura kapsyjska, z drugiej zaś kultura Buszmenów.[2]) Owymi zaś łowcami, którzy, jak świadczą wspomniane skalne malowidła, posługiwali się wyłącznie łukiem i strzałami, bez użycia tarczy, mogą być jedynie Pigmejczycy paleolityczni, gdyż ich właśnie potomkowie stanowią dzisiaj zdaniem etnologów najstarszą warstwę ludności Czarnego Lądu, oni też posługują się w przeciwieństwie do wszystkich innych afrykańskich plemion wyłącznie łukiem bez użycia tarczy.

Tak tedy Buszmeni, którzy wśród współczesnych pigmejskich plemion przedstawiają bezsprzecznie późniejsze i znacznie wyżej stojące stadjum kulturalnego rozwoju, stanowią wraz z niemi etniczny pomost do p r a p i g m e j c z y k ó w, których istnienie już w odległych czasach paleolityku staje się niezbędnym naukowym postulatem.

Stajemy zatem wobec faktu, iż podczas gdy w Europie rasa szelleńska a później neandertalska rozwijała się w ramach kultury kamienia łupanego, równocześnie w Afryce żyli paleo- a raczej prepaleolityczni Pigmejczycy, polujący łukiem na dzikiego zwierza.

Ale z kolei wyłania się daleko trudniejsza kwestja, czy owi prapigmejczycy, a konsekwentnie ich potomkowie, są elementem etnicznie starszym, czy też przeciwnie młodszym od rasy neandertalskiej, która, jak wykazaliśmy wyżej, jest najstarszą d o s t a t e c z n i e znaną i opisaną ludnością europejską?

Oczywiście zagadnienia tego rozwiązać nie można na

---

[1]) S. S. Dornan: „Pygmies and Buschmen of the Kalahari". London 1924.

[2]) Dr. O. Menghin: „Prähistorische Archäologie und kulturhistorische Methode" w „Semaine Int. d'Ethn. Relig." III. Session. In 8° Enghien. 1923. str. 211.

podstawie anatomicznych zestawień, gdyż z jednej strony autentycznych kopalnych szkieletów pigmejskich dotychczas nie posiadamy, z drugiej zaś porównywanie człowieka z Neanderthal z przedstawicielami dzisiejszych Pigmejczyków, wobec niezaprzeczalnych różnic anatomicznych, nie prowadzi zupełnie do celu. Musimy się zatem oprzeć na dowodzeniu pośredniem.

Ogół antropologów przyjmuje za pewnik, iż szczepy południowej Australji zbliżają się pod względem anatomicznym, i to najbardziej ze wszystkich współczesnych ludów, do kopalnych Neandertalczyków. Nie brak też uczonych, którzy we wspomnianych szczepach widzą najbliższe, choć młodsze, ogniwo wymarłej ludności paleolitycznej. Powiedzieliśmy, ogniwo młodsze, ale zgóry zaznaczamy, iż opinja ta nie jest bynajmniej dogmatem.

Antropolog tej miary, co Klaatsch, opierając się na anatomicznych wskaźnikach, zwłaszcza budowie czaszki i szerokości frontalnej, zdecydowanie podtrzymuje tezę, iż człowiek z Neanderthal i jego europejscy krewniacy przedstawiają się pod względem anatomicznej budowy i to w wielu zasadniczych punktach daleko korzystniej aniżeli mieszkańcy Australji. Konsekwentnie miano *homo primigenius*, którem oznaczono typ neandertalski, jest, zdaniem Klaatsch'a, najnieszczęśliwiej dobrane, gdyż człowiek ów nie posiada bynajmniej cech naprawdę pierwotnych, owszem, stoi na wyższym stopniu anatomicznego rozwoju aniżeli niektóre nam współczesne szczepy Australji. [1])

Trudno na tem miejscu zapuszczać się w hipotezy, by wytłumaczyć fakt zdumiewający, że podczas gdy rasa neandertalska nie przeżyła w Europie würmieńskiej epoki lodowcowej, paleolityczna ludność Australji starsza od niej, a przynajmniej jej współczesna, żyje w swych potomkach do dnia dzisiejszego! Wystarczy przypomnieć owe olbrzymie przewroty, które towarzyszyły na terenie Europy epoce lodow-

[1]) H. Klaatsch: „Ergebnisse meiner australischen Reise" w Korresp.-Blatt der Deutschen Ges. für Anthropol., Ethnologie und Urgesch. t. XXXVIII (1907), 8; nadto: „Das Gesichtsskelet der Neanderthalrasse", w Verhandlung. der Anatom. Ges. (1908) 47—48. Cyt. W. Schmidt op. c. str. 41, 42.

ców, a żywiołowe wylewy, będące ich nieuniknionem następstwem, były jednym z głównych powodów katastrofalnego wyludnienia ogromnych obszarów skorupy ziemskiej w okresie pleistocenu. [1])

Nie zapominajmy również o innym wielce charakterystycznym fakcie. Jak wiadomo, niedawno (r. 1921) odkryto w Broken-Hill w Rodezji [2]) czaszkę nadzwyczaj podobną do czaszek neandertalskich, a pomimo to wiek jej, zdaniem antropologów, jest bezwzględnie młodszy. Wszak znaleziono ją obok kości ssaków identycznych z gatunkami, które żyją obecnie w Rodezji, z drugiej strony jednak czaszka ta różni się całkowicie od czaszek dzisiejszych Negrów. To też na podstawie tego odkrycia M. Boule dochodzi do wniosku, iż w epoce niezbyt odległej żyła w połud.-wschodniej Afryce rasa, zbliżona niezwykle do rasy neandertalskiej, podczas gdy ta ostatnia w Europie oddawna wygasła. Człowiek, którego czaszkę odkryto w Rodezji, byłby zatem jednym z ostatnich przedstawicieli tej rasy, której szczątki obecnie i w Afryce wymarły. Ten sam los zresztą czeka, i to w niedalekiej przyszłości, także plemiona australskie. Wszak ich sąsiedzi tasmańscy wygaśli w ubiegłym wieku. [3])

Sam fakt zatem, iż resztki paleolitycznej ludności australskiej doczekały się naszej epoki, nie świadczy bynajmniej, iż rasa ta musi być młodszą od rasy neandertalskiej. Owszem dowody podane przez Klaatscha przemawiają za wnioskiem zupełnie przeciwnym.

Jeśli tedy potrafimy uzasadnić następujące twierdzenie: iż ludy pigmejskie są elementem etnicznym jeszcze starszym, niżeli mieszkańcy Australji, wówczas kwestja archaicznego wieku Pigmejczyków będzie

---

[1]) J. de Morgan, op. c. rozdz. VII. „Les grandes innondations du pleistocène moyen et le dépeuplement quaternaire" str. 142—154.

[2]) Dr. A. S. Woodward: „A New Cave Man from Rhodesia, South Africa" w „Nature" nov. 1921, str. 371; „The new skull from Rhodesia" ibid. str. 413. — Opinja M. Boule'a, ibidem dec. 1921.

[3]) Ostatnia przedstawicielka tasmańskiej rasy: Truganina, zmarła w r. 1877. Cfr. A. Quatrefages: „Introduction à l'étude des races humaines". In 8° Paris [1903]. str. 363.

tem samem pozytywnie rozwiązaną. Czyż jednak zdołamy zestawić konieczne dowody?

Otóż trzeba wyznać lojalnie, iż prehistorja tego rodzaju dowodów dostarczyć nie może. Ale też badania prehistoryczne, przynajmniej w obecnem stadjum ich rozwoju, wobec zbyt szczupłego i ograniczonego prawie wyłącznie do Europy materjału paleoantropologicznego, nie mogą sobie rościć pretensji do wypowiedzenia definitywnego zdania w omawianem przez nas zagadnieniu. Bezstronna ocena przytoczonych faktów pozwoliła nam jedynie zacieśnić cały problem do wyżej sformułowanego dylematu. Usługa to zresztą niemała.

Kollmann pragnąc mimo wszystko dojść do ostatecznego wniosku przy pomocy jedynie prehistorji usiłował, jak wspomnieliśmy uprzednio, zaimprowizować rzekomo decydujące dowody, powołując się bezpodstawnie na różne kopalne odkrycia,[1]) które jednak przy bliższych badaniach nie wytrzymały fachowej krytyki, dyskredytując nawet całą hipotezę o archaicznym wieku Pigmejczyków.

Na tem większe uznanie zasługuje inicjatywa wiedeńskiego etnologa ks. Schmidt'a, który nie lekceważąc bynajmniej nieprzychylnej opinji paleontologów, całe zagadnienie przeniósł na teren etnologji, dostarczając solidnych dowodów na rozwiązanie, przynajmniej częściowe, trudnego a doniosłego problemu.

Jeśli bowiem chodzi o prawdziwie naukowe uzasadnienie hipotetycznych wniosków na temat wzajemnych wpływów dwu ras odrębnych, ich różnic i częściowych podobieństw, a zwłaszcza etnicznego wieku i kulturalnego rozwoju, to porównanie obu ras musi być możliwie wszechstronne. Im szerszą będzie podstawa dowodzeń, tem pewniejszym się staje zasadniczy wniosek. Nie można zatem zacieśniać naszych

[1]) Mamy głównie na myśli pigmejskie szkielety wykopane w Schaffhausen w Szwajcarji a opisane przez Virchow'a i Kollmann'a, oraz liczne okazy z różnych prehistorycznych cmentarzysk śląskich i francuskich opisane przez Thilenius'a. Odkrycia te uznaje D. Mac Ritschie, zresztą bezkrytycznie, jako oczywiste dowody na poparcie teorji Kollmann'a: „all afford tangible evidence" — „Dwarfs and Pygmies" w E. R. E. (1912) str 124. Krytykę tych wszystkich odkryć podał E. Schmidt „Globus" (1905) l. c.

Nie wiele ciekawszym jest szkielet dziewczyny-karzełka, wykopany w r. 1907 w Newstead w Szkocji.

badań wyłącznie do anatomicznych spostrzeżeń. Budowa czaszki i jej pojemność, kąt twarzowy, prognatyzm, silny rozwój szczęki, proporcja odnóży, forma kręgosłupa i inne podobne wskaźniki nie wyczerpują bynajmniej przedmiotu. Pozwalają one co najwyżej zrekonstruować zwierzęcą część człowieka, jego fizyczną budowę i zewnętrzny wygląd, nie wiele jednak mogą nas pouczyć o drugim istotnym czynniku, mianowicie niematerjalnej duszy. A przecież wpływ jej w życiu oraz rozwoju osobnika, plemienia czy rasy odgrywa pierwszorzędną rolę. Wprawdzie dusza w swych specyficznych funkcjach zależy ściśle od materjalnych organów, tak że np. organizacja czy objętość mózgu może odgrywać wybitną rolę w psychicznych przeżyciach podmiotu, mimo to jednak, ponieważ wspomniana zależność nie jest absolutną, wszelkie wnioski o jednostce ludzkiej, a konsekwentnie rasie, oparte wyłącznie na danych anatomicznych mogą być niedokładne, nieścisłe, a w wielu wypadkach i całkowicie fałszywe.

Co więcej, ogół antropologów, hołdujących doktrynie skrajnego ewolucjonizmu, przyjmuje za pewnik, iż człowiek drogą ewolucji rozwinął się ze zwierzęcych form trzeciorzędowych. Stąd też wniosek oczywisty, a suponujący hipotetyczną przesłankę, iż im jaśniej występują u danej rasy anatomiczne cechy, zbliżające ją do małp antropoidalnych, tem starszym jest wiek jej przedstawicieli. Nie dla innej przyczyny uznano prawie jednogłośnie rasę neandertalską za jedną z najpierwotniejszych, pomimo iż badania prehistoryczne, jeśli chodzi o olbrzymie obszary Azji, Afryki czy Australji, nie wyszły jeszcze ze stadjum powijaków. A przecież można rozumnie przypuszczać, iż owe właśnie kontynenty kryją w swem łonie tajemnicę najstarszych form ludzkich.

Wnioski zatem antropologiczne należy koniecznie skontrolować czy też ewentualnie uzupełnić i poprawić na podstawie etnologicznych dociekań.

Prócz szczątków bowiem kostnych pozostawił prehistoryczny człowiek także swoje kulturalne mienie, pogrzebane w łonie ziemi lub przechowane w mniej lub bardziej zmienionej formie, w rękach swych potomków. Te resztki narzędzi, sprzętów czy artystycznych utworów pozwalają nam

w daleko wyższym stopniu, niż anatomiczne wskaźniki, odcyfrować umysłowość przedstawicieli pierwotnej ludzkości. Zdobycze materjalnej kultury zawierają bowiem w sobie cząstkę duszy ich prymitywnego twórcy.

Otóż właśnie kulturalne mienie tak ludów przedhistorycznych, jak też i współczesnych stanowi solidną podstawę do rozstrzygnięcia kwestji o pokrewieństwie, zależności i wzajemnych wpływach, co więcej, może w pewnych warunkach służyć za niezawodne kryterjum w ułożeniu względnej chronologji i oznaczeniu kolejnych etapów rozwoju ludzkiego rodzaju. Przyjąć bowiem możemy za pewnik, iż naogół ubóstwo materjalnej kultury oraz prostota w zaspokajaniu potrzeb codziennego życia jest niewątpliwem znamieniem warunków pierwotnych, tak jak rozkwit i bogactwo kultury złożonej i skomplikowanej świadczy o wielowiekowym rozwoju, skrzyżowaniu się postronnych kulturalnych wpływów.

By jednak wspomniane kryterjum nie sprowadziło na manowce fatalnych pomyłek, należy uprzednio przed jego zastosowaniem wykluczyć w danym wypadku możliwość regresji i kulturalnej degeneracji. Że zwyrodnienie tego rodzaju w świecie idei moralnych i religijnych jest zawsze możliwe, świadczą dowodnie niewątpliwe fakta. Z drugiej jednak strony właśnie w zakresie kultury materjalnej degeneracja całych szczepów, a zwłaszcza jednolitych grup etnicznych, pozostaje raczej w sferze czystej możliwości. Trudno przypuścić, żeby człowiek, który w przemyśle osiągnął już pewne stadjum rozwoju, nagle czy stopniowo wyrzekał się płynących z niego korzyści i wracał do form pierwotnych. Nikt żelaza nie zastępuje kamieniem czy drzewem, chyba z konieczności. Wszak pierwotni łowcy, którzy do niedawna strzały swe zaopatrywali w grot kamienny, dzisiaj zakupują u swych wyżej stojących sąsiadów groty żelazne, płacąc za nie w naturze niesłychane ceny (np. Weddowie na Ceylonie). Kamień gładzony oddawał większe usługi niż kamień łupany, metal rugował szybko z użycia kość czy narzędzia z kamienia obrobionego. Raz odkryty wynalazek stawał się własnością szczepu czy plemienia, poprawiając jego byt materjalny i ułatwiając mozolną walkę o utrzymanie i zabezpieczenie codziennego życia. Nawet żywiołowe katastrofy:

wylewy, głód czy zarazy, które zmuszały pierwotnego koczownika do częstych wędrówek, nie są wystarczającą racją na udowodnienie regresji kulturalnej, gdyż człowiek z miejsca na miejsce unosił ze sobą jeśli nie same narzędzia, to przynajmniej znajomość sporządzania innych im podobnych. Toteż wszystkie przykłady podane nam przez historję (a jest ich niemało) nie świadczą bynajmniej o zatraceniu pojęć zdobytych mozolnie a dźwigających kolejno życie ludzkości na coraz to wyższy szczebel kulturalnego rozwoju. Nakoniec wszystkie znane nam fazy kolejne prehistorycznego przemysłu, by pominąć stosunki współczesne, świadczą nie o cofaniu się, ale o postępie. To też prehistoryk tej miary, co J. de Morgan, nie waha się przed twierdzeniem, iż hipoteza degeneracji, dodajmy w zakresie kultury materjalnej, nie da się naukowo utrzymać. [1])

Przyjmijmy zatem, zgodnie zresztą z opinją ogółu uczonych, za pewnik, iż im prostszą, im bardziej jednolitą i pierwotną jest kultura materjalna, tem pierwotniejszą jest rasa będąca jej twórcą czy wiernym dziedzicem. Wszak właśnie na podstawie co tylko sformułowanego pewnika, przy równoczesnem uwzględnieniu stratygrafji geologicznej, opiera się cała dotychczasowa chronologja prehistoryczna i podział kultury oraz ludzkości na paleo-, archeo- i neolityczną z niewątpliwemi prawami następstwa. Wszelkie wyjątki z pod tego ogólnego prawa musiałyby być stwierdzone faktycznemi dowodami.

IV. Wskaźnik geograficzny w ocenie wieku Pigmejczyków.

Jeśli rozglądniemy się wśród współczesnych nam ludów, to na zasadzie pierwotności ich cywilizacji możemy wyróżnić trzy główne koła, stojące, zdaniem wszystkich prawie etnologów, na najniższym szczeblu pierwotnej kultury. Szczepy

[1]) Jaques de Morgan: „La Préhistoire..." Avant Propos str. III. — Autor występuje w zacytowanym ustępie przeciw teorjom o jakiejkolwiek regresji tak w świecie idei moralnych, jak i pod względem kultury materjalnej. Jeśli jednak chodzi o pojęcia moralne i religijne, jesteśmy zupełnie odmiennego zdania. Oczywiste fakta naukowo stwierdzone przemawiają przeciw zbyt ogólnemu twierdzeniu uczonego prehistoryka.

zatem wchodzące w obręb tych grup kulturalnych należy uważać za genealogicznie najstarsze.

Pierwsze koło stanowi centralna prakultura, obejmująca ludy pigmejskie i pygmoidalne (spokrewnione z Pigmejczykami), a nazwana centralną dlatego, iż przedstawiciele jej mieszkają w środkowych obszarach ziemskiego globu, prawie wyłącznie w tropikalnych okolicach Starego Świata, położonych na południe od równika.[1])

Drugie koło, to prakultura południowa. W obrębie jej znajdują się południowi Australczycy, podczas gdy Buszmeni oraz mieszkańcy Ziemi Ognistej stanowią jakby pomost między prakulturą centralną i południową.

Wreszcie trzecie koło prakultury arktycznej, której przedstawicielami są północne ludy paleoazjatyckie. Resztki Indjan kalifornijskich oraz szczepy Gez południowej Ameryki można uważać za ogniwo pośrednie między prakulturą centralną oraz arktyczną.

Któreż jednak z tych kół kulturalnych należy uznać za najstarsze, a konsekwentnie za względny pierwowzór i oryginał najodleglejszego stadjum rozwoju ludzkości?

Kultura arktyczna, pomijając jej częściową niejednolitość, wykazuje z jednej strony wyraźne wpływy totemistyczne zwłaszcza pośród Eskimosów, z drugiej zaś charakteryzuje ją organizacja społeczna, oparta na dość daleko posuniętem prawie macierzyńskiem, a konsekwentnie przewadze kobiety. Już zaś tak totemizm[2]) jak zwłaszcza matriarchat są zjawiskiem późniejszem, suponującem długą i dość skomplikowaną ewolucję społeczną. Dla tych też powodów ks. W.

---

[1]) Opieram się na klasyfikacji ustalonej przez ks. Schmidt'a. Cfr. „Die Pygmäenvölker als älteste derzeit uns erreichbare Menschheitsschicht", w „Hochland", 5 Heft (1926) str. 584; tegoż autora: „Critères pour établir la position ethnologique des cercles culturels des plus anciens", w „Semaine Int. d'Eth. Rel." IV. Session Milan 1925 in 8⁰ Paris 1926, str. 128; H. Pinard de la Boullaye S. J.: „L'ethnologie à l'exposition Vaticane des Mission" w „Revue d'Hist. des Missions" t. II (1925), str. 507—528.

[2]) H. Pinard de la Boullaye S. J.: „L'étude comparée des religions" in 8⁰ Paris t. I (1922), str. 382. „...Le totémisme est il du moins un phénomène primitif? Ni Frazer, ni Lang ne l'ont cru et, parmi les anthropologes, personne, semble-t-il ne l'admet plus"...

Schmidt uznaje kulturę arktyczną za młodszą od prakultury centralnej,[1]) a znany etnolog niemiecki F. Graebner widzi w niej fazę przejściową, wywodzącą się z prakultury paleoaustralskiej.[2])

Pozostaje zatem wybór między kulturą Pigmejczyków i mieszkańców Australji południowej.

Łatwo zauważyć, iż na podstawie etnologicznych faktów dochodzimy do tego samego dylematu, przed którym postawiła nas prehistorja, z tą jednak różnicą, że podczas gdy w badaniach paleoantropologicznych, dla braku dalszych dowodów, stanęliśmy na martwym punkcie, etnologja pozwoli nam, przynajmniej z wielkiem prawdopodobieństwem, rozstrzygnąć ten ciekawy problem. Sam fakt jednak zgodności wyników badań prehistorycznych i wstępnych rozważań etnologicznych jest dostateczną gwarancją, iż jesteśmy na właściwej ścieżce.

Oczywiście zadanie nasze byłoby ułatwionem niezwykle, gdybyśmy mogli naukowo określić miejsce narodzin pierwszego człowieka. Wyznaczenie szlaków kolejnych wędrówek, które były nieodzownym warunkiem zaludnienia olbrzymich obszarów ziemskiego globu, a konsekwentnie i chronologja pierwotnego osadnictwa, napotkałyby na mniejsze trudności. Niestety nieprzenikniony mrok odległych wieków osłania zazdrośnie zagadkę kolebki rodzaju ludzkiego, a temat ów może być na razie bardziej ponętnym dla poety czy powieściopisarza niż dla etnologa.

Opinje uczonych, które kolejno jawiły się w ciągu ubiegłego wieku, możnaby graficznie przedstawić w formie wzorzystej mozaiki. Jedni jak K. Vogt szukali początków ludzkości w Afryce, w okolicach położonych na południe od ba-

---

[1]) Ks. dr W. Schmidt S. V. D.: „Die Pygmäenvölker..." „Hochland" l. c., str. 584, 585.

[2]) Fr. Graebner: „Das Weltbild der Primitiven" in 8⁰ München 1924, str. 96. „Dagegen gehört das Gros der (arktischen) Kultur augenscheinlich in die Nachbarschaft einer anderen Entwicklung (als die totemistische), die von dem Typus der altaustralischen Kultur zu den mutterrechtlichen Formen führt". Tegoż autora: „Ethnologie" w „Anthropologie von G. Schwalbe und E. Fischer" in 8⁰ 1923, str. 496, 497, 498.

senu śródziemnego morza, inni umieszczali pierwszego człowieka na specjalnym kontynencie, leżącym w pasie równikowym na południe od dzisiejszych wybrzeży Azji; ląd ten nazwany Lemurją, a odznaczający się idealnie łagodnym klimatem, miały już w przedhistorycznych czasach pochłonąć fale oceanu. Nie brak nawet teoretyków, którzy, jak Ameghino, kolebkę ludzkości umieszczają w Nowym Świecie, i to nie gdziekolwiek, ale w Argentynie! Mimo to przyznać musimy, iż, obok tych groteskowych pomysłów, ogół uczonych i to o radykalnie odmiennych poglądach, tak dawniej jak też i obecnie uznaje Azję za praojczyznę człowieka. Wybitny antropolog a zdecydowany monogenista H. de Quatrefages, [1]) najskrajniejszy przedstawiciel teorji descendencji E. Haeckel, znany prehistoryk a przytem zwolennik poligenji J. de Morgan, [2]) obok etnologów tej miary co Graebner, Wissler, Rivet i t. d., by pominąć długą listę znanych nazwisk, bronią tezy o narodzinach człowieka na terenie azjatyckiego lądu.

Z drugiej strony już w epoce szelleńskiej, a zatem w pierwszej połowie pleistocenu, spotykamy człowieka na lądach, oddzielonych olbrzymią przestrzenią od azjatyckiego centrum. Stąd wniosek konieczny, iż już w zamierzchłych czasach przedhistorycznych, pod wpływem licznych i skomplikowanych przyczyn, pierwotny człowiek opuścił swą ojcowiznę, kolonizując kolejno coraz to dalsze krainy. Pierwsze a konsekwentnie najstarsze fale migracyjnego ruchu posuwały się ciągle naprzód pod wpływem naporu nowych młodszych fal mnożącej się ludzkości. To też na podstawie wskaźnika geograficznego waga starszeństwa zdaje się przechylać na stronę kultury paleoaustralskiej, której przedstawiciele zostali zepchnięci aż na ostatnie krańce Australji południowej i wysp jej przyległych, podczas gdy kultura centralna doznała względ-

[1]) A. de Quatrefages op. cit. rozdz. V. „Origine géographique de l'espèse humaine", str. 124—134. Kolebkę ludzkości umieszcza w północnej Azji. Podobnie świeżo włoski antropolog Giufr. Ruggeri: „Sull origine..." op. c. roz. V.

[2]) J. de Morgan, op. c. roz. IV. „Les débuts de l'humanité. La Mésogée", str. 42—56. Pierwszych ludzi umieszcza w południowej Azji.

dnie słabego odchylenia od swej pierwotnej geograficznej podstawy. Takby się zdawało na pierwszy rzut oka.

Nie zapominajmy jednak, iż geograficzne rozmieszczenie nie jest bynajmniej kategorycznym i nieomylnym wskaźnikiem etnicznego starszeństwa, chyba jedynie w pewnych ściśle określonych warunkach.

Gdy chodzi o tereny równinne, słabo zalesione, a zatem pozbawione niedostępnych kryjówek, wówczas fala najeźdźców rozlewa się równomiernie, tępiąc lub też pędząc przed sobą uprzednich tubylców. Plemiona napadnięte, o ile nie mogą się zdobyć na zwycięski opór, muszą szukać ratunku na nowych bardziej odległych obszarach. W tym wypadku ludność żyjąca na krańcach będzie starszą aniżeli zdobywcy, bardziej zbliżeni do centrum migracyjnego ruchu. Inaczej jednak przedstawia się proces kolonizacyjny w okolicach nie łatwo dostępnych, na obszarach górskich, bagnistych, czy pokrytych dziewiczym lasem. Tego rodzaju bowiem okolice stanowią wyborną choć niegościnną kryjówkę, a niby naturalna forteca mogą przez długie wieki opierać się zwycięskiej fali zaborców; lawa dobywszy się z łona wulkanu, zalewa równiny, ale okrąża górskie wyniosłości.

Ludność zatem zamknięta na terenie niedostępnym stanowi naogół warstwę etnicznie starszą, aniżeli najeźdźcy osiedleni na urodzajnych obszarach, choćby nawet zagony ich sięgały bardzo daleko. Co więcej, zdarzyć się może, iż cały szereg kolejnych fal etnicznych przepłynie w ten sposób obok niedostępnych terenów, na które przy pierwszym napadzie schroniła się ludność pierwotnych tubylców.

Zjawisko to można zresztą stwierdzić na różnych punktach ziemskiego globu. Zwróćmy np. uwagę na Negryllów czyli Pigmejczyków Afryki Centralnej. Zdaniem wszystkich etnologów stanowią oni najstarszą warstwę etniczną Czarnego Lądu, a przecież siedziba ich nie znajduje się na Przylądku Dobrej Nadziei! Natomiast Buszmeni, etnicznie młodsi od Negryllów, przepłynęli w swych kolonizacyjnych zapędach i pod parciem silniejszych Negrów czy Hamitów, obok dziewiczych niedostępnych lasów środkowej Afryki, zdążając dalej na południe, oddalając się zatem znaczniej niż starsze szczepy Negryllów od swej pierwotnej azjatyckiej ko-

lebki. W ciągu dalszych wieków Buszmeni zostali okrążeni przez Kafrów i Hottentotów. Szczepy te wielkowzrostne zagarnęły obszary południowej Afryki, posuwając się dalej na południe niż Buszmeni, którzy przed silniejszymi napastnikami musieli się schronić w niegościnne stepy Kalahari.

Zatem w Afryce spotykamy na różnych punktach mniejsze lub większe wysepki etniczne, broniące się przed zalewem wielkowzrostnych Negrów jedynie dzikością swego położenia. Wysepki te etnicznie najstarsze, choć sięgające geograficznie dosyć wysoko na północ, stanowią właśnie wspomniane szczepy pigmejskich Negryllów.

Wobec tego mniejsza lub większa odległość od azjatyckiej kolebki ludzkości nie może być sama przez się decydującym wskaźnikiem w oznaczeniu chronologji kolejnych migracyj oraz etnicznego i kulturalnego wieku poszczególnych ras i ludów.

Podobne zresztą zjawisko możemy stwierdzić i w Azji. Weddowie, najstarsza ludność przednich Indyj, zepchnięci na Ceylon, chronią się dzisiaj w niedostępnych górskich okolicach tej wyspy. Dokoła ich naturalnej twierdzy mieszkają szczepy Syngalczyków i Tamilów, zepchniętych na południe przez wędrówki plemion indoeuropejskich.

To samo należy powiedzieć, zdaniem Quatrefages'a, [1]) o grupach azjatyckich Negrytów odosobnionych dzisiaj i otoczonych dokoła najróżnorodniejszemi ludami na Melanezji, na wyspach archipelagu indyjskiego i na kontynencie. Wszędzie, gdzie tylko Pigmejczycy żyją w sąsiedztwie ras innych, widzimy ich zamkniętych na obszarach najbardziej niegościnnych, a konsekwentnie mało dostępnych. Sąsiedzi fizycznie silniejsi trzymają pigmejskie plemiona jakby w ciągłem oblężeniu, a nie rzadko usiłują je kompletnie wytępić.

Jest więc rzeczą oczywistą, iż owi napastnicy są elementem późniejszym, iż w czasie swej wędrówki na południe zastali Negrytów na szlakach swej drogi i zepchnęli ich w najdziksze ustronia.

W kryjówkach naturalnych pod osłoną dziewiczych la-

[1]) A. de Quatrefages, op. c. roz. VII str. 162 sq.

sów przetrwały plemiona pigmejskie do dni dzisiejszych, choć w zredukowanej liczbie, podczas gdy kolejne fale zdobywców popłynęły dolinami dalej na południe.

W świetle tych faktów możemy odcyfrować, przynajmniej hipotetycznie, wędrówki plemion paleoaustralskich, których kresem były południowe obszary kontynentu oraz najbardziej na południe wysunięte wyspy, dalszą bowiem drogę zamykał ocean. Plemiona te, przedstawiające właśnie prakulturę południową, pod parciem nowych fal emigracyjnych, płynących z Azji, podążały na południe po naturalnym pomoście gęsto rozsianych wysp dzisiejszej Indonezji, dalej Melanezji, stąd przeniknęły na Nową Gwineę oraz kontynent australski. Jest rzeczą co najmniej prawdopodobną, że na terenach, po których przedzierały się ku południowi plemiona paleo-Australczyków, koczowały już ludy jeszcze pierwotniejsze, które częścią zostały wytępione przez nowych najeźdźców, częścią zaś musiały się schronić przed zalewem silniejszych przybyszów w miejsca niedostępne. Dzisiejsi Semangowie, mieszkańcy górzystych okolic półwyspu Malaka, wyspiarze andamańscy, szczepy Toala na Celebes, Negryci na Filippinach, Nowych Hebrydach i Nowej Gwinei, byliby resztkami owej praludności.

Obok nich zatem, zdążając śladami Australczyków, przepłynęły kolejno następne, już niewątpliwie młodsze, fale etniczne, mianowicie ludy o organizacji totemistycznej oraz prawie macierzyńskiem, spychając z jednej strony dalej na południe przedstawicieli prakultury południowej, z drugiej zaś osiedlając się na tyłach plemion pigmejskich i zamykając im konsekwentnie dalszą drogę na południowy wschód czy południe. W tem oświetleniu zrozumiałym się staje fakt, iż szczepy pigmejskie pozostały w Azji lub też w pobliżu jej kresów, podczas gdy paleo-Australczycy wywędrowali aż na najdalsze krańce południowe.

Ale po tych wszystkich wywodach pozostajemy jedynie w sferze wielkiego prawdopodobieństwa. Możnaby bowiem powiedzieć, iż Pigmejczycy przywędrowali na dzisiaj przez nich zajęte obszary dopiero po plemionach paleoaustralskich. Następnie pod parciem innych młodszych ludów musieli się schronić w niedostępne okolice, mając zamkniętą

drogę na południe. Na takie twierdzenie nie łatwą jest odpowiedź, jeśli chcemy pozostać wyłącznie w granicach geograficznego wskaźnika.

To też dochodzimy do końcowego wniosku, iż dzisiejsze rozmieszczenie geograficzne pigmejskich i australskich plemion nie jest wprawdzie wystarczającym dowodem etnicznego starszeństwa Pigmejczyków, ale za niem częściowo przemawia, a w każdym razie nie może przeciw temu starszeństwu, o ile je wykażemy skądinąd, stanowić zarzutu.

Wprawdzie przyszłość może zgotować pewną niespodziankę, gdyż wnętrze australskiego lądu nie jest dotychczas dostatecznie znane, ale ewentualne odkrycia mogą raczej potwierdzić naszą hipotezę.

Tak np. odkrycie nowych plemion pigmejskich gdzieś w niedostępnych okolicach centralnej Australji byłoby faktem o niezwykłej doniosłości, a wnioski oparte na wskaźniku geograficznego rozmieszczenia poważną wówczas mogłyby odegrać rolę. Na razie jednak tego rodzaju odkrycie, pomimo sensacyjnych doniesień angielskich dzienników, pozostaje w sferze czystej możliwości.

Pomijając zatem, bezpłodną na razie w swych konsekwencjach, kwestję geograficznego rozmieszczenia, zwrócimy w dalszym ciągu wyłącznie uwagę na fakta etnograficzne, gdyż, jak wspomnieliśmy wyżej, studjum porównawcze kultury materjalnej, oparte na słusznej zasadzie stopniowej jej ewolucji, pozwoli nam rozstrzygnąć doniosłą w swych skutkach kwestję etnicznego wieku rywalizujących ze sobą w tym względzie pigmejskich i australskich plemion.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Dalszy ciąg pracy ks. Kosibowicza wyjdzie w osobnej książce, która za kilka miesięcy ukaże się w naszem Wydawnictwie. Ufamy, że doniosły problem, który ta rozprawa porusza, zainteresuje nie tylko specjalistów.

(Przyp. Redakcji).

Ze studjów nad ikonografją św. Stanisława Kostki.

(Dokończenie)

Jedną ze znamiennych cech ówczesnego piśmiennictwa religijnego jest dążność do możliwie najsilniejszego uzmysławiania i uplastyczniania wydarzeń. Doskonałym wyrazem tego kierunku są słynne *Ćwiczenia duchowne (Exercitia spiritualia*, r. 1548) św. Ignacego Loyoli, założyciela zakonu jezuitów. Loyola radzi podczas rozmyślań uzmysławiać sobie męki dusz potępionych w piekle. Dusza rozmyślającego powinna uzbroić się niejako w zmysły na wzór ciała, by móc patrzeć na tortury zadawane przez szatanów potępionym na wieki, słyszeć ich jęki, a nawet wyczuwać węchem odór piekielny.[1]) Nie bez pewnego związku z piśmiennictwem religijnem występują analogiczne zjawiska w rzeźbie i malarstwie epoki baroku, ale naturalizm ten nie jest w tych czasach sam dla siebie celem, lecz tylko środkiem do tem silniejszego suggerowania wrażenia rzeczywistości. W gruncie rzeczy szło o wyższe rzeczy, o podniesienie duszy ku Bogu.

W barokowych kościołach niebo otwarło się nad wiernymi. Na zawrotnych wysokościach, w kopułach i na sklepieniach, wirują skłębione obłoki, a pośród nich unoszą się rzesze świętych i aniołów. Im wyżej, tem więcej światła, wię-

[1]) *Exercitia spiritualia* S. P. Ignatii de Loyola. *Bibliotheca ascetica* edita a Francisco Brehm. Ratisbonae 1923. I Hebd. V Exerc. p. 107.

cej wesołych puttów, nurkujących w obłokach, niby w przewalających się falach morskich, aniołów śpiewających na cześć Pana przy akompanjamencie skrzypiec, arf i mandolin. Dymy kadzideł wznosząc się ponad ołtarze łączą się z obłokami, orkiestra i śpiewy wtórują muzyce anielskiej. Niema ograniczonej przestrzeni. Znikły sklepienia dzielące wiernych od nieba. Materja pokonana — wrażenie nieskończoności. Idzie o wprawienie widza w ekstazę, by jego dusza mogła już na ziemi wyrwać się choćby na chwilę z granic czasu i przestrzeni i zbliżyć do Boga. Sztuka ówczesna rozporządzała mnóstwem środków prowadzących do tego celu. Malarze na przełomie XVII i XVIII wieku posługują się na wielką skalę architekturą iluzoryczną,[1]) przedłużając pendzlem pionowe podziały ścian, jak kolumny, pilastry, by w ten sposób spotęgować wrażenie wysokości i dopiero nad niemi otworzyć widok na niebo, nie cofają się przed ryzykownemi skrótami figur, co więcej, dla wywołania tem większego złudzenia rzeczywistości, modelują ze stiuku niżej zsuwające się obłoki a nawet dolne kończyny świętych i aniołów unoszących się w świetlanych przestworzach. Stiukowe te dodatki musiały, rzecz jasna, dostać naturalistyczną polichromję. Zacierają się więc granice między malarstwem a rzeźbą, podobnie jak w panoramach, których pierwsze plany są plastyczne, dalsze malowane. Z pomocą tego naturalizmu i tych sztuczek perspektywicznych dążono — dla celów wyższych — do zamiany rzeczywistości idealnej na rzeczywistość realną. Tego samego dążenia wyrazem jest wielobarwna rzeźba Piotra Legros.

Pod względem naturalistycznego opracowania szczegółów oraz ilości barwnych marmurów, a więc polichromji w samym materjale, Legros idzie znacznie dalej niż Bernini, który wprawdzie posługuje się do architektonicznych części grobowców barwnemi marmurami, ale nigdy nie używa ich do figur, te bowiem albo kuje z białego marmuru, albo odlewa z bronzu. Tymczasem Legros ubiera św. Stanisława Kostkę w czarną suknię jezuicką, do ręki wkłada mu prawdziwy

[1]) Cf. fresk Andrea Pozzo na sklepieniu kościoła św. Ignacego w Rzymie. W. Weisbach, *Die Kunst des Barock. Propyläen-Kunstgeschichte XI.* Berlin 1924. p. 227.

różaniec [1]) i medaljon z namalowaną Madonną [2]) oraz krzyż czarny z przybitym na nim Chrystusem z białego marmuru, więc tak rozpowszechniony w epoce baroku krzyż hebanowy z Chrystusem z kości słoniowej. Nie dosyć na tem: Legros nie pomija nawet pasków na tkaninie, którą zarzucił na tapczan, rzeźbiąc tę draperję z odpowiednio dobranego marmuru. Jakób Burckhardt trafnie zauważył, że robi to takie wrażenie, jakby ktoś pomalował rzeźbę Berniniego na próbę, czy jej to wyjdzie na korzyść. [3]) Białe poduszki uginają się pod ciężarem głowy zgodnie z rzeczywistością. Koronkowe wstawki poszewek odtworzone są tak pedantycznie i łudząco, że zdaje się, iż mamy przed oczyma prawdziwe koronki. Bernini także lubował się w koronkach (poduszki Ludwiki Albertone) i różnego rodzaju tkaninach, które opracowywał naturalistycznie, ale w porównaniu z jego naturalizmem, naturalizm naszego rzeźbiarza jest drobiazgowy i małostkowy.

Ze względu na szacunek i dostojeństwo Legros ubrał św. Stanisława w suknię zakonną, której on w chwili zgonu na sobie nie miał, z pobudek zaś estetycznych ułożył go na tapczanie, mimo, że św. Stanisław umarł na podłodze. Św. Stanisław leżący na posadzce kaplicy, choćby na sienniku, robiłby przykre wrażenie. Tapczan jest jednak tak niski, że mimo podsuniętego podeń stopnia, na św. Stanisława patrzy się z góry. Drobne to, kompromisowe odchylenia od zgodności z rzeczywistością, znaną nam z biografij. Rysy św. Stanisława nie są zgodne z portretem malowanym olejno na drzewie — jak głosi napis na odwrociu — w Rzymie w 1568 roku przez Scipiona Delfini'ego, [4]) a który znajduje się obec-

[1]) Istnieją dwa pierwotne różańce na zmianę: jeden ze szklannych, drugi ze srebrnych paciorków. (Podług informacji otrzymanej od p. Józefa hr. Michałowskiego).

[2]) Istnieją dwa obrazki Madonny na zmianę: jeden w bronzowej, drugi w srebrnej ramce. Co do metalowej lilji, którą czasem dają do ręki św. Stanisławowi, nie można nic więcej powiedzieć nad to, że podług miejscowej tradycji, ma ona pochodzić z XVIII wieku. (Podług informacyj udzielonych mi przez p. Józefa hr. Michałowskiego).

[3]) J. Burckhardt, *Der Cicerone II, 2.* (10 ed.) Leipzig 1909. p. 618.

[4]) Posługuję się fotografją, znajdującą się w posiadaniu OO. jezuitów w Krakowie. Napis na odwrociu portretu jest niewątpliwie późniejszy niż malowidło, którego styl wskazuje na drugą połowę XVI wieku. Żaden ze słowników artystów nie wymienia malarza nazwiskiem Scipione Delfini.

nie w kaplicy zamku St. Symphorien-d'Ozon (Isère). Nie znając historji tego portretu, nie umiem powiedzieć, czy znajdował się on około roku 1700 w klasztorze OO. jezuitów w Rzymie i czy Legros mógł zeń korzystać. Stanisław Kostka ma na tym portrecie twarz okrągłą z silnie zaostrzoną brodą, kości policzkowe wyraźnie zaznaczone, oczy wielkie, ciemne, o bardzo inteligentnem spojrzeniu, nos nieforemny, zlekka spłaszczony, usta szerokie, o grubych, mięsistych wargach, słowem typ zupełnie inny niż ten, który znamy z rzeźby Legros. Głowa na portrecie jest żywa, indywidualna. Może być, że ta pełna życia i wyrazu głowa wydała się naszemu rzeźbiarzowi za mało słodką, za mało anielską i dlatego dał św. Stanisławowi zupełnie inne, bardzo regularne, prawie klasyczne rysy: twarz owalną, wydłużoną, czoło wysokie, gładkie, nos prosty, usta małe, wąskie. Głowa to kształtowana nie bez pewnego wpływu antyku.

Jak z powyższej analizy wynika, Legros chciał za wszelką cenę odtworzyć zgon św. Stanisława tak plastycznie i realnie, by każdy, kto przekroczy próg tej małej, zacisznej kaplicy, dawnej celi, w której święty umarł, doznał złudzenia, iż rzeczywiście kona tam *in odore sanctitatis* młodziutki nowicjusz. By silniej związać rzeźbę z malowidłem, Minardi posłużył się także i sztuczką: górną, w tył cofniętą poduszkę, na której spoczywa głowa św. Stanisława, oparł na ramie znanego nam już, przez siebie namalowanego obrazu, przedstawiającego wizję przedśmiertną, ale nawet mimo tego zewnętrznego łącznika, obydwa te dzieła, wbrew intencji Minardi'ego, zdają się do siebie nie należeć. Bądź co bądź jest to interesująca próba włączenia wielobarwnej rzeźby w kompozycję malarską w ten sposób, by rzeźba tworzyła pierwszy plan, a dalsze przypadły malowidłu, a zatem w duchu Andrzeja Pozzo i innych perspektywistów, o czem powyżej była mowa.

Pod względem naturalizmu Legros posunął się stanowczo za daleko; patrząc na tę rzeźbę, doznajemy wrażenia figury woskowej. Nie był on na tym punkcie odosobniony. Analogiczne zjawiska, właściwie już na nazwę weryzmu zasługujące, występują w ówczesnych rzeźbach terrakotowych i woskowych. Są to przeważnie figury dewocyjne, naturali-

stycznie pomalowane, z prawdziwemi włosami, szklannemi oczyma i ubrane w szaty z tkanin. Niejeden z tych utworów działa silnym dramatycznym nastrojem i ekspresją, naogół jednak jest to produkcja drugorzędna.

Zważywszy inne środki artystycznego wypowiadania się, może niezupełnie właściwem jest porównywanie utworu literackiego z utworem rzeźby czy malarstwa, a jednak trudno nie przyznać, że śmierć Stanisława Kostki i towarzyszące jej przeżycia mistyczne odczuła głębiej i wyraziła silniej autorka powieści osnutej na tle życia tego świętego. Może i dlatego, że jest Polką, co również przejawiło się nieco innem, niezupełnie z przekazaną tradycją zgodnem zabarwieniem przedśmiertnej wizji św. Stanisława: „...Leżał teraz sam, spokojny, w oczekiwaniu cudu. A wiedział, że cud nadejdzie. Wiedział, że był wysłuchany. Z niepojętej radości mdlało w nim serce, ustając całkiem, to znów tłukąc się bez opamiętania. — Za moment stanie się to wielkie... To, na co całe życie czekał... Narodził się dla chwili, która nadchodzi... Stał duszą u wielkich wrót, za któremi zawarte były tajemnice nieba i czekał rychło drzwi się dla niego otworzą. W szczęsnej niemocy, niezdolny palcem poruszyć, przymknął oczy, czując, że gdy je otworzy, cud zjawi się i zostanie. O, nie pierzchnie jak wówczas... Świat zawirował z nim,. odbił ze swego przyczółka i popłynął w przestrzeń. Otworzył oczy i zobaczył się w Rostkowie. To dobrze, tak powinno było być... W Rostkowie... Oto stoi na brzegu gościńca, uśmiechając się znajomym wierzbom czochratym... Z przasnyskiego kościoła wychodzi procesja, śpiewając... Toć to święto, Wniebowzięcie... Bieleją głowy niewieście... Brunatnieją jak rola sukmany... Idzie wraz z nimi śpiewając. Łomoczą potężnie chorągwie... Jakże to? Droga została w dole, a oni płyną ku górze. Dwórki z czeladnej niosą jak zwykle feretron... Migoce gorset Jagnieszki złotem wyszywany, kraśnieje katanka Jewki... Nie, to nie dwórki, to dwa cheruby barwiste, promienne, a między sobą wiodą — Matkę Bożą... Ona to! Nachyla nad tłumem twarz słodką, rozkłada ręce i wznosi się w górę... Już wzbiła się ponad głowy... Ulata na skrzydłach cherubinów, już dotyka nieba. Wciąż jeszcze się stamtąd uśmiecha... Odchodzi...

Odejdzie?! Bolesnym kurczem szarpie serce lęk sieroctwa.

...Matko, Światłości Przedwieczna! Opiekunko! Ojczyzno umiłowana, Jedyna!!

A Ona tonie w obłokach...

O wyrwać się i polecieć! Za Nią! za Nią!

W rozpacznym wysiłku duszy, całego jestestwa, coś pryska, coś się rwie z bólem, o którym nic nie wie. Nie dochodzi ból świadomości ogarniętej miłością, rozpaczą. — I naraz — czuje się wolny. Dąży niby ptak swobodny za Nią, za miłością swoją... Leci spiesznie szlakiem świetlnym, szybciej, szybciej, zanim zniknie z oczu... Dopada wreszcie jak gołąb strudzony, piersią przywiera do złotych smug świetlnych, rozpływa się serce w szczęściu wieczystem, ziszczonem...

Już ze Światłością jest jednem...". [1])

Legros, jak wszyscy rzeźbiarze włoscy po Berninim i ci cudzoziemscy, którzy na przełomie XVII i XVIII wieku w Rzymie pracowali, uległ wprawdzie wpływowi wielkiego mistrza, bo po Berninim drugiej, równie silnej indywidualności na polu rzeźby nie było, ale mimo to zachował pewien rys od-

który da się wytłumaczyć tylko inną narodowością, inną organizacją umysłową i innę szkołą. Był Francuzem, niegdyś uczniem swojego ojca, Piotra Legros Starszego i Jana Lepautre'a. [2]) Ten *charme* główki świętego, przy rysach klasycznych, zwraca myśl naszą raczej ku Francji, gdzie wdzięk łączy się z powagą antyku, czego przykładów nie brak w posągach ówczesnych, zdobiących park wersalski. Miła, pełna wdzięku główka Stanisława Kostki, to już jakby zapowiedź rokoka, które jednak dopiero za ćwierć wieku miało się narodzić we Francji.

Ze współczesnych świadectw, a mianowicie z listu dyrektora Akademji Francuskiej w Rzymie, La Teulière'a do ministra Villacerf'a, z dnia 15 listopada 1695 roku, a zwłaszcza z listu dyrektora tejże Akademji, Poërson'a do Lu-

---

[1]) Z. Kossak-Szczucka, *Z miłości*. Kraków 1926. pp. 226—228.

[2]) L. Courajod, *Leçons professées à l'Ecole du Louvre III*. Paris 1903. p. 166.

dwika XIV, z dnia 29 lipca 1713 roku, wynika, że Legros cieszył się w Rzymie wielkiem uznaniem, a nawet, że miano go za najlepszego rzeźbiarza ze wszystkich, którzy podówczas w Wiecznem Mieście pracowali.[1]) Równie dobra opinja musiała mu towarzyszyć po powrocie do Francji, skoro tak wybredny znawca sztuki, jakim był bankier Crozat, którego łączyła serdeczna przyjaźń z największym malarzem epoki Rejencji, Antonim Watteau, zamówił u Piotra Legros do swojego pałacu w Paryżu, modelowane w stiuku amorki z instrumentami muzycznemi, a nadto dekorację kaplicy w swojej willi w Montmorency.[2])

Legros umarł 3 maja 1719 roku. W dwa lata po nim rozstał się z tym światem Watteau, ten malarz poeta, który na pół wieku zgórą wskazał sztuce francuskiej tematy malarskie, a po którego śmierci Juste Aurèle Meissonier wypuści w świat swoje pierwsze dekoracyjne projekty, otwierające już erę Rokoka.

II.

Kościołowi św. Andrzeja na Kwirynale,[3]) który przylega do klasztoru, będącego właściwie domem nowicjuszów, Bernini dał owalny rzut poziomy. Na obwodzie tej eliptycznej nawy mieszczą się płytkie kaplice, które otwierają się do niej arkadami. Jedną z tych kaplic poświęcono św. Stanisławowi Kostce. W marmurowym ołtarzu o skromnej architekturze, którą tworzą dwie kolumny, dźwigające belkowanie z trójkątnym przyczółkiem, umieszczono, zdaje się niebawem po wybudowaniu kościoła, to jest po roku 1678, wielki, na płótnie malowany obraz, pendzla Karola Maratty,[4]) przedstawiający Objawienie się Madonny z Dzieciątkiem św. Stanisławowi Kostce (fig. 8).

---

[1]) L. Courajod, *Leçons professées à l'Ecole du Louvre III.* Paris 1903. pp. 167—169.

[2]) Ibidem, pp. 169—170.

[3]) Reprod. C. Ricci, *Baukunst und dekorative Skulptur der Barockzeit in Italien. Bauformen-Bibliothek V.* Stuttgart 1922. pp. 22—24.

[4]) Wiadomość o autorstwie Maratty, której zresztą ze względów stylistycznych kwestjonować nie można, podaje K. Künstle, *Ikonographie der Heiligen.* Freiburg im Br. 1926. p. 544.

Biografowie przekazali nam dokładne wiadomości o pobycie dwóch braci Kostków, Pawła i Stanisława, w Wiedniu w latach 1564—1567. Bracia Kostkowie ze swoim opiekunem Bielińskim mieszkali zrazu w konwikcie OO. jezuitów, gdy jednak jezuici z powodu nieżyczliwego stanowiska, jakie wobec nich zajął cesarz Maksymiljan II, musieli konwikt zamknąć, Kostkowie przeprowadzili się do domu będącego własnością Kimberkera, zaciekłego protestanta. O wyborze mieszkania zadecydował bezwzględnie Paweł, któremu okazały dom Kimberkera bardzo się spodobał. Stanisław, którego życzeniem było zamieszkać przy jakiejś katolickiej rodzinie, był tym wyborem bardzo przygnębiony. W grudniu 1566 roku Stanisław ciężko zaniemógł. Błagał brata i Bielińskiego, by sprowadzili do niego księdza z Najśw. Sakramentem, ci jednak zwlekali z dnia na dzień, obawiali się bowiem, że zagorzały protestant nie pozwoli księdzu katolickiemu przestąpić progu swego domu. Stanisław widząc, że położenie jest bez wyjścia, modlił się do św. Barbary, patronki dobrej śmierci, by się nad nim zlitowała i umożliwiła mu przyjęcie Komunji św. Został wysłuchany. Jednej nocy weszła do komnaty św. Barbara w towarzystwie dwóch aniołów, którzy udzielili mu Komunji św. Stan zdrowia Stanisława pogarszał się w dalszym ciągu. Otoczenie obawiało się, że śmierć nastąpi lada chwila. Naraz chory ozdrowiał. Powodem tego nagłego wyzdrowienia była wizja: Stanisław ujrzał przy swojem łóżku Madonnę z Dzieciątkiem na ręku. Marja złożyła Dzieciątko na łóżku, aby je mógł wziąć i przycisnąć do serca. Po chwili odebrała Dzieciątko z rąk Stanisława, poleciła mu wstąpić do zakonu jezuitów i znikła.[1]) Obraz Maratty przedstawia właśnie tę wizję wiedeńską z 1566 roku. Ze względu na przeznaczenie dzieła jako obrazu ołtarzowego, Maratta znacznie odstąpił od przekazanego przez biografów opisu wizji, zachowując jedynie istotę zdarzenia. Miejsce wizji jest nieokreślone. Stanisław Kostka ma już na sobie suknię jezuicką, co było możliwe dopiero w rok po wizji, gdy posłuszny otrzymanemu właśnie wtedy zleceniu, wstą-

[1]) Ks. H. Koszutski, *Św. Stanisław Kostka I.* Poznań 1882. pp. 61—112.

pił do zakonu jezuitów w Rzymie dnia 28 października 1567 roku. Odtworzenie wizji na podstawie opowiadania biografów dałoby dziełu charakter rodzajowy, nie odpowiadający wymaganiom ołtarzowego obrazu barokowej epoki, w której starano się malowidła dostrajać do majestatu i patosu ówczesnej architektury. Wizja wiedeńska w interpretacji Maratty przemieniła się niejako w glorję św. Stanisława Kostki, nasuwając myśl, że rzecz dzieje się raczej w niebie, a nie na ziemi.

Obraz jest tak skomponowany, że uwaga patrzącego musi się skupić w pierwszej chwili na dwóch głównych postaciach: św. Stanisławie i objawiającej mu się Madonnie z Dzieciątkiem. Madonna nachyla się łaskawie do klęczącego przed nią na stopniach Stanisława i podaje mu Dzieciątko, które on za chwilę weźmie na ręce, by je do serca przytulić. W przechyleniu głowy, jak i w całej pozie św. Stanisława wyraża się błogi zachwyt. Oczy utkwione w Dzieciątko. Wzajemne ustosunkowanie Madonny i św. Stanisława jest bardzo szczęśliwe. Madonnę i św. Stanisława ustawił Maratta na przekątni obrazu, wiążąc te dwie postacie w wytworną grupę. Nie były mu obce obrazy Correggia. Św. Stanisław jest zmanierowaną trawestacją św. Franciszka z obrazu Correggia Madonna z św. Franciszkiem (1514—1515), znajdującego się pierwotnie w Correggio, a od roku 1746 w Galerji drezdeńskiej.[1]) Madonnie towarzyszą dwaj aniołowie, którzy przystanęli za św. Stanisławem, wypełniając sobą lukę powstałą wskutek ustawienia na przekątni dwóch głównych postaci. Jeden z aniołów, ten, który ma skrzydła rozpostarte, wskazuje lewą ręką swojemu towarzyszowi św. Stanisława, prawą zaś rzuca na niego kwiaty. U stóp Madonny, tuż nad stopniami, przysiadł na obłokach aniołek, a nad nią skrzydlate putti wychylają główki z poza rozświetlonych obłoków. Kompozycja jest więc bardzo przemyślana i malownicza.

Ustawienie figur na przekątni, to, oprócz światłocienia i ruchu, jeden z czynników malowniczości. Taką dyspozycję figur wprowadził pierwszy Tycjan w swojej Madonnie ro-

[1]) G. Gronau, *Correggio. Klassiker der Kunst X.* Berlin u. Leipzig. pp. 13—15.

dziny Pesaro (1526), wielkim, ołtarzowym obrazie w kościele S. Maria Gloriosa de' Frari w Wenecji. [1]) Przed nim dążono do zwartej, zamkniętej kompozycji o wyraźnej tektonice. Rysunek jest wszędzie pewny i staranny. Jedna to z zalet Maratty, którą tu podnieść należy tem bardziej, że współcześni mu malarze, malując dużo i szybko, lekceważyli najczęściej rysunek. Koloryt obrazu jest łagodny i harmonijny. Suknia Madonny czerwono-różowa, płaszcz ciemno-szafirowy. Suknia zakonna św. Stanisława czarna. Tkanina, którą ma przykryte ręce, a przez którą ma wziąć Chrystusa, jasno-zielona o odcieniu jakby wody morskiej. Pierwszy z brzegu anioł ma na sobie szatę zielonawo-niebieską; drugi szatę białą, płaszcz czerwono-różowy. Karnacje blade, zlekka zaróżowione. Tłem są obłoki, rozjaśnione złocistem światłem. [2])

Carlo Maratta, urodzony w roku 1625 w Camerano koło Ankony, zmarły w 1713 roku w Rzymie, zajmował bardzo wybitne miejsce wśród malarzy rzymskich drugiej połowy XVII wieku. Był eklektykiem. Nie naturę przyjął za punkt wyjścia swoich studjów, lecz dzieła wielkich mistrzów włoskich z XVI wieku. Maratta, podobnie jak wszyscy zwolennicy tego kierunku, przejmował kompozycję od Rafaela i Tycjana, światłocień od Correggia, a koloryt od Wenecjan. Kierunek ten, zapoczątkowany około 1580 roku przez Caraccich, był reakcją przeciwko t. zw. manieryzmowi drugiej połowy XVI wieku. Eklektycy pracowali w Bolonji i w Rzymie. Do nich to, oprócz wielu innych, należeli: Guido Reni, Domenichino, Guercino. Maratta, jeden z ostatnich i uwagi godnych reprezentantów eklektyzmu, kształcił się pod kierunkiem wysoko dziś cenionego malarza, nazwiskiem Andrea Sacchi, któremu też zawdzięczał pewny i czysty rysunek. W czasie, w którym malował Maratta, wielu malarzy szło w innym, przez Piotra z Kortony wytkniętym kierunku. Ci malowali pobieżnie, posługiwali się też na wielką skalę iluzoryczną architekturą i sztuczkami perspektywicznemi. Najlepszym wyrazem tego swobodnego kierunku był Andrea

[1]) J. Burckhardt, *Der Cicerone II*, 5. (10 ed.) Leipzig 1910. p. 919. Reprod. O. Fischel, *Tizian. Klassiker der Kunst III.* Berlin u. Leipzig. pp. 58, 59.

[2]) Kolory podano podług informacji p. Józefa hr. Michałowskiego.

Pozzo († 1709). Opozycyjne względem nich stanowisko zajmował Maratta, zapatrzony w wielkich mistrzów XVI wieku. Sztukę Maratty, w przeciwieństwie do sztuki zwolenników Piotra z Kortony, można nazwać akademicką. Maratta nie ma też nic wspólnego z naturalizmem idącym od Caravaggia. Nie miał silnej indywidualności, nowych problemów sobie nie stawiał, szedł utartą drogą, wyzyskując zdobycze wielkich poprzedników.[1]) Pod koniec życia mniej malował, natomiast oddał się w większej mierze niż przedtem, kształceniu uczniów. W rzędzie ich znalazł się także i Polak, Szymon Czechowicz, urodzony w Krakowie w 1689 roku, zmarły w Warszawie w 1775 roku.

W Polsce znajdują się dwie kopje omówionego powyżej obrazu Karola Maratty, jedna u OO. jezuitów w Stanisławowie, druga, pochodząca z kolegjaty w Brzozowie koło Sanoka, dostała się OO. jezuitom w pobliskiej Starejwsi. Obydwie nie zachowały się w dobrym stanie. Kopję stanisławowską przycięto do kształtu ramy ołtarza, kopja zaś ze Starejwsi uległa jeszcze w Brzozowie fatalnemu przemalowaniu do tego stopnia, że tylko niektóre części malowidła pozostały nietknięte. Jedną z tych kopij, mianowicie ze Starejwsi, publikuję (fig. 9), ponieważ kompozycja występuje tu wyraźniej, niż w oryginale Maratty, przez czas nieco uszkodzonym. Kopja w Stanisławowie jest wierniejsza, aniżeli w Starejwsi. Ta druga wykazuje pewne, nieznaczne zresztą odchylenia od oryginału, jak np. inny stosunek szerokości do wysokości, nadto Dzieciątko Jezus jest dokładniej okryte pieluszką, u stóp Madonny widzimy zamiast jednego — dwa aniołki, wreszcie u stóp św. Stanisława brak lilij. Przy dzisiejszym stanie tych obrazów trudno jest wydać o ich wartości artystycznej sąd właściwy. Malował je w każdym razie dobry malarz z XVIII wieku. Kto wie, czy nie był nim uczeń Maratty, Czechowicz.

Jezuici chcąc upamiętnić w klasztorze i w kościele św. Andrzeja na Kwirynale dwie najwznioślejsze chwile w życiu św. Stanisława Kostki, chluby swego zakonu — Objawienie

[1]) W. Weisbach, *Die Kunst des Barock. Propyläen-Kunstgeschichte XI.* Berlin 1924, pp. 40—45.

się Madonny i Śmierć Świętego — zwrócili się do Piotra Legros i Karola Maratty, z których pierwszy był, jak już wiemy, najwięcej cenionym ze wszystkich rzeźbiarzy, pracujących w Rzymie na przełomie XVII i XVIII wieku, a drugi podobne zajmował stanowisko w świecie malarzy. Podówczas nie mogli byli zrobić lepszego wyboru. Postąpili zgodnie z tradycją swego zakonu, od początku bowiem swojego istnienia, zadania natury artystycznej powierzali najlepszym siłom, jakie w danej epoce mogli mieć do rozporządzenia. Słynny Giacomo Barozzi da Vignola buduje od roku 1568 macierzysty ich kościół Gesù w Rzymie, który jako nowy typ świątyni, do ówczesnych potrzeb zastosowanej, wywołał przewrót w architekturze kościelnej we wszystkich krajach chrześcijańskich. Dla jezuitów buduje Giacomo della Porta, Lorenzo Bernini stawia dla nich kościół S. Andrea al Quirinale, z ich zakonu wychodzi Brat Andrea Pozzo, twórca imponujących fresków na sklepieniu kościoła św. Ignacego, drugiej wielkiej świątyni jezuickiej w Rzymie. Dokąd tylko dotarł zakon jezuitów, wszędzie towarzyszyła mu sztuka. Tak też było i w Polsce. Z przybyciem jezuitów do Polski wpływ Florencji zanika, a zaczyna oddziaływać Rzym. Dwie największe ich świątynie w naszym kraju, śś. Piotra i Pawła w Krakowie, stolicy Korony i św. Kazimierza w Wilnie, stolicy Litwy, są odblaskiem wielkiego dzieła Vignoli. Jezuici wprowadzają wielki styl do naszej architektury. Wystarczy wejść do jednej z tych dwóch świątyń, by na widok imponujących przestrzeni i kopuły, której one są podporządkowane tak, jak żołnierze Loyoli Kościołowi — nie mieć pod tym względem żadnych wątpliwości. Jezuici zrozumieli znaczenie sztuki w walce z Reformacją. Sztuką i uroczystą celebrą, dla której te wspaniałe, stiukami zdobne przestrzenie były tłem doskonałem, działali na uczucie i wyobraźnię mas, wiążąc je tem silniej z Kościołem. Jezuici spotęgowali nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, odrzuconego przez protestantów, oschłości nabożeństw protestanckich przeciwstawili wspaniałą celebrę, wreszcie skutecznem narzędziem propagandy religijnej zrobili sztukę, którą protestanci — przynajmniej w dwóch pierwszych wiekach swojego istnienia — niemal doszczętnie ze swoich zborów wyrzucili.

III.

W polskim kościele św. Stanisława biskupa (S. Stanislao dei Polacchi) w Rzymie stoi na jednym z bocznych ołtarzy mały, owalny obraz, malowany olejno na płótnie (fig. 10). Prof. Dr Jerzy hr. Mycielski, którego uprzejmości zawdzięczam użyczenie fotografji tego dzieła, widzi w niem pracę Szymona Czechowicza.[1]) Podzielam to zapatrywanie. Obraz przedstawia jedną z dwóch cudownych Komunij św. Stanisława, albo znaną nam już wiedeńską z roku 1566,[2]) albo — i bodaj czy nie prawdopodobniej ze względu na brak św. Barbary — drugą, udzieloną mu przez aniołów w pobliżu Augsburga w zborze protestanckim, do którego w czasie ucieczki z Wiednia do Rzymu w roku 1567 wstąpił w przeświadczeniu, że to kościół katolicki.[3]) Kwestji tej stanowczo rozstrzygnąć nie można z powodu niezaznaczenia miejsca akcji. Anioła i św. Stanisława widzimy tylko w popiersiach. Jasnowłosy anioł w szacie zielonawo-błękitnej, obrzeżonej złocistym haftem,[4]) podaje Stanisławowi Kostce Hostję Najśw., podsuwając pod Nią patenę, którą trzyma w drugiej ręce. Stanisław, i tu już w suknię jezuicką ubrany, złożył ręce na piersiach, jakby chcąc przytłumić bicie serca. Oczy utkwił w anioła. Za chwilę otworzy usta, by przyjąć Komunję św. Temat nie był łatwy, gdyż przy braku żywszej akcji i akcesorjów, cała treść artystyczna powinna była z natury rzeczy skupić się we wzajemnem ustosunkowaniu tych dwóch głów do siebie i w ich wyrazach, jak na przykład w słynnym obrazie Tycjana w Galerji drezdeńskiej, przedstawiającym Chrystusa z faryzeuszem.[5]) Problemu tego nie zdołał Czechowicz szczęśliwie rozwiązać. Banalną jest główka św. Stanisława, za słodką i afektowaną główka anioła. Za dużo palców zeszło się na tej małej przestrzeni. Typ anioła, miękkość mode-

[1]) J. Mycielski, *Kościół San Stanislao dei Polacchi i początki twórczości malarzy polskich w Rzymie w XVIII wieku. Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akademji Umiejętności w Krakowie XV, 9.* Kraków 1910. pp. 3—4.

[2]) Ks. H. Koszutski, *Św. Stanisław Kostka I.* Poznań 1882. pp. 105—108.

[3]) Ibidem, pp. 135—136.

[4]) Kolory podano podług informacji p. Józefa hr. Michałowskiego.

[5]) O. Fischel, *Tizian. Klassiker der Kunst III.* Berlin u. Leipzig. p. 39.

lunku, otoczenie figur drgającą atmosferą złocistą oraz silne kontrasty światła i cienia, dowodzą wpływu Correggia, któremu w pewnej mierze hołdował także i mistrz Czechowicza, Carlo Maratta.

Komunję św. Stanisława musiał Czechowicz namalować przed rokiem 1740, w którym opuścił Rzym i przeniósł się na dłuższy czas do Krakowa, gdzie pozostawił szereg obrazów, jak kompozycjami Rafaela natchnioną Świętą Rodzinę w kościele OO. franciszkanów lub bardzo piękne medaljony ze scenami z życia św. Anny (1741) w zapleckach stall w uniwersyteckim kościele św. Anny. Zdaje się, że jeszcze w Rzymie namalował obrazy ołtarzowe do krakowskiego kościoła OO. pijarów, które obok Ekstaz św. Katarzyny w kościele jej imienia w Wilnie i Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny w katedrze kieleckiej, malowanego w Rzymie w roku 1730, [1]) należą wogóle do najlepszych jego utworów, w których szczere religijne uczucie idzie w parze z przemyślaną i szlachetną kompozycją oraz starannym rysunkiem. Około roku 1750 zamieszkał na stałe w Warszawie i tam pierwszy założył szkołę malarską. [2]) Z biegiem czasu Czechowicz malował coraz więcej i coraz pobieżniej, przejmując niekiedy całe kompozycje od obcych mistrzów za pośrednictwem miedziorytów. Tak więc przez Czechowicza dostał się do Polski kierunek eklektyczny, reprezentowany w Rzymie przez jego mistrza — Marattę.

Juljan Pagaczewski.

---

[1]) J. Kieszkowski, *Malarz Czechowicz. Przegląd Powszechny. Rok 15, tom LVIII.* Kraków 1898. pp. 324–325.

[2]) Ibidem, p. 327.

Profanacja zwłok bł. Andrzeja Boboli w świetle dokumentów 1919—1922.

Przyczyną podwójnego napadu bolszewików na relikwje bł. Andrzeja Boboli w Połocku, przy brutalnem podeptaniu uczuć religijnych ludności katolickiej — była konstytucja sowiecka.

Paragraf 13 tej konstytucji odnoszący się bezpośrednio do spraw religijnych, aczkolwiek zawierał frazesy o rzekomej wolności sumienia, jednak skądinąd pozostawiał adeptom bolszewizmu szeroką możliwość do działania antyreligijnego, pomimo, iż konstytucja działalność religijną i antyreligijną traktowała rzekomo równorzędnie.[1])

Właściwemi czynnikami, bliżej regulującemi sprawy religijne i nadającemi im ściśle określony charakter sowiecki, były dekrety Rady Komisarzy Ludowych.

Pierwszym i zasadniczym dekretem, wykazującym całe oblicze ducha § 13 konstytucji sowieckiej, był dekret z dn. 23 stycznia r. 1918. Główną wytyczną tego dekretu było ogłoszenie zakazu wydawania jakichkolwiekbądź praw lub przepisów miejscowych, któreby krępowały lub ograniczały

[1]) § 13 Konstytucji Sowieckiej powiada: „W celu zabezpieczenia pracującym rzeczywistej wolności sumienia, cerkiew odłącza się od państwa i szkoła od cerkwi, a wolność propagandy religijnej i antyreligijnej uznaje się jako prawo wszystkich obywateli". Por.: Kostitucija (osnownoj zakon) Rossijskoj Socijalisticzeskoj Fiederatiwnoj Sowietskoj Respubliki. Izdatielstwo WCIK'a. Moskwa 1918 r. Razdieł wtoroj — Obszczija położenija Konstitucii Ros, Soc. Fieder. Sow. Resp. Gława piataja, § 13. str. 5.

w czemkolwiek wolność sumienia i nadawały przywileje państwowe z tytułu tej czy innej przynależności wyznaniowej. [1])

Co się tyczy swobodnego wykonywania obrzędów i praktyk religijnych, dekret powyższy je przewiduje, o ile ich wykonywanie nie będzie zagrażało porządkowi publicznemu, ani też nie będzie miało nic wspólnego z zamachem stanu. [2])

Wogóle obojętny na pozór stosunek dekretów sowieckich do wyznań chrześcijańskich, w zastosowaniu jednak praktycznem z konieczności doprowadzić musiał do różnych najbrutalniejszych ekscesów władz lokalnych.

Gdy z powodu tych ekscesów wierni różnych wyznań udawali się ze skargami do centralnych władz sowieckich, władze te zaczynały wnet odgrywać rolę dwulicową.

Z jednej strony wydawały liczne „admonicje" pod adresem władz lokalnych, ale jednocześnie z drugiej strony w sposób wykrętny usprawiedliwiały ich postępowanie, rzekomo „niewłaściwem zrozumieniem i nieodpowiedniem wykonaniem" zleceń władzy sowieckiej w sprawie odłączenia Cerkwi od Państwa.

Tą drogą powstały liczne „instrukcje" rządowe, zwłaszcza słynny cyrkularz z dnia 3 stycznia 1919 r., który od początku do końca zawiera nie tyle przepisy, ile raczej uroczystą deklarację wielkiej „tolerancji religijnej" w sowietach czyli wielkiej obłudy depcącej cynicznie wszelkie uczucie religijne. [3])

Jaskrawym i wymownym na to dowodem może być chociażby sposób zastosowania dekretu z dnia 23 stycznia 1918 r. do relikwij bł. Andrzeja Boboli.

Celem historycznego oświetlenia profanacji tych relikwij, musimy sięgnąć do momentów, które stanowią bezpośredni początek zbrodni, a mianowicie do interpelacji Gubispoł-

---

[1]) Por.: „Diekret ob otdielenii Cerkwi ot Gosudarstwa i Szkoły ot Cerkwi" w urzędowem wydawnictwie: Sobranije uzakonienij i rasporiażenij prawit. Nr 18 styczeń 1918 r. Art. 263, punkt 2.

[2]) Por.: tamże art. 263, punkt 3.

[3]) Por.: „Cirkular po woprosu ob otdielenii Cerkwi ot Gosudarstwa" w mies. „Rewolucija i Cerkow" Nr 1 styczeń 1919 r. str. 31—33.

komu (Gubernjalnego Komitetu Wykonawczego) Twerskiego, która ze względu na swój inscenizowany charakter, winna być uważaną jako pierwszy krok bolszewików w sprawie t. zw. „wyświetlania kwestji relikwij chrześcijańskich".

Twerski Gubispołkom miał skierować do centralnych władz sowieckich interpelację, w której rzekomo domagał się wydania zasadniczego okólnika, regulującego sprawę otwierania sarkofagów z relikwjami świętych w celu sprawdzenia ich zawartości.

Na interpelację powyższą Wydział VIII Ludowego Komisarjatu Sprawiedliwości (do spraw religijnych) odpowiada, że z powodu już istniejącej w różnych miejscowościach ustalonej praktyki otwierania sarkofagów i relikwjarzy, wszelkie okólniki są zbędne, tembardziej, że inicjatywa w tej sprawie należy nie do władz centralnych lecz do miejscowych, które lepiej znają warunki lokalne.

Obok tego Wydział VIII przypomina nawiasowo, że na prawo otwarcia relikwjarzy należy uzyskać zgodę Zjazdu Sowietów, Gubispołkomów, a dokonanie samego otwarcia musi nastąpić w obecności przedstawicieli duchowieństwa i personelu lekarskiego.

Dla usunięcia zaś „wszelkiego szantażu z relikwjami przez wyzyskiwanie uczuć religijnych ludu", Gubispołkom winien po dokonaniu oględzin, relikwjarze i sarkofagi wraz z całą ich zawartością przekazywać muzeom miejscowym.[1])

Aczkolwiek ta instrukcja wspomina o „ustalonej praktyce" otwierania sarkofagów i relikwjarzy, jednakże faktycznie takiej praktyki nie było, gdyż właściwie mówiąc, akcja ta dopiero poczynała się, a jeden czy też drugi wypadek sporadyczny nie mógł przecież jeszcze „praktyki" tworzyć. Dopiero przytoczona odpowiedź Wydziału VIII na „interpelację" Twerskiego Gubispołkomu jest początkiem powstającej akcji.

Jak widzimy, zachowanie się wydziału VIII Ludowego Komisarjatu Sprawiedliwości miało na celu zmylenie opinji co do widocznego już dla wszystkich, scentralizowania no-

[1]) Por.: „Chronika VIII Otdieła. IV Moszczi" miesięczn. „Rewolucija i Cerkow" Nr 1 styczeń 1919 r. Moskwa str. 42.

wej akcji profanacyjnej w Moskwie. Po pierwsze nie chciano dopuścić zainteresowanych wiernych do bezpośredniego wywierania presji na władze centralne; po drugie — chciano tak zainscenizować walkę z relikwjami, jakby inicjatywa wychodziła do niej ze strony samych mas.

Za dowód takiej taktyki bolszewickiej może służyć inny fakt, a mianowicie depesza do Wydziału VIII od niejakiego Proszepowa, prezesa powiatowego Komitetu wykonawczego z miasta Sienno gubernji Mohylewskiej, który powiadamia o tem, że w katolickim parafjalnym kościele sienneńskim znajdują się relikwje św. Fortunata, czczone z wielkim pietyzmem przez prosty lud okoliczny i prosi Wydział VIII o udzielenie pozwolenia na otwarcie i „zbadanie" tych relikwij. [1])

Jak w tamtym tak i w tym wypadku była wysłana przez Wydział VIII odpowiedź, że „badanie relikwij ma być dokonane z inicjatywy miejscowej ludności pracującej, za pozwoleniem Gubispołkoma albo Gubernjalnego Zjazdu Sowietów. Żadnego pozwolenia władz centralnych nie potrzeba". [2])

Do przytoczonej odpowiedzi powyższej Wydział VIII załączył jednak odpis „wyjaśnień", udzielonych w swoim czasie władzom sowieckim miasta Jarosławia. W tem „wyjaśnieniu" Wydział VIII poucza, że otwieranie sarkofagów i relikwij „winno się odbywać z inicjatywy robotników", a dalej kursywa podkreśla inny nakaz, że „*komisja nie powinna uchylać się od oględzin relikwjarzy, owszem jej udział w tym akcie winien gwarantować zachowanie pewnego taktu w stosunku do uczuć religijnych. Komisja winna dopilnować, aby otwarcie relikwij było dokonane w najbardziej dogodnym dla tej czynności czasie, lecz nigdy podczas nabożeństwa i nie w dnie, kiedy się zwykle zbiera większa ilość wiernych. Do udziału przy akcie oględzin należy koniecznie zaprosić przedstawicieli wszystkich oddziałów Gubispołkomu, przedstawicieli Goris-*

---

[1]) Por.: tamże.

[2]) Por.: tamże Odpow. Wydz. VIII z dn. 5 marca 1919 r. Nr 389.

połkomu (miejskiego komitetu wykonawczego), przedstawicieli Gubernjalnego komitetu partji Komunistycznej, organizacyj robotniczych, wiejskich sowietów i t. d. Oprócz tego podczas otwarcia powinni być obowiązkowo lekarze, którzy muszą ułożyć i podpisać specjalny protokół lekarski, dotyczący zawartości relikwjarza. Sam zaś proces otwarcia (zdejmowania szat, wyjmowania kości i t. d.), powinien być dokonany wobec przedstawicieli duchowieństwa, którzy muszą być obecnymi przy oględzinach relikwij, najlepiej z miejscowym biskupem na czele. W protokóle oględzin relikwij, najważniejszemi są podpisy duchowieństwa". [1])

Z tej mistyfikacji przebija z całą oczywistością dwulicowość polityki bolszewickiej.

Widzimy, że działalność zakulisowa centralnych władz sowieckich wyraźnie inspiruje i dyryguje akcją profanacyjną świętości chrześcijańskich, gdy tymczasem te same władze centralne na zewnątrz starają się stwarzać pozory, iż nic z tą akcją nie mają wspólnego, jako że wychodzi ona rzekomo z „inicjatywy władz miejscowych" czy też „mas ludowych".

Były wypadki, że prawosławni zwracali się z protestem do władzy centralnej zarówno z powodu pogwałcenia praw konstytucyjnych, które obywatelom zapewniały wolność sumienia, jak i obrażenia uczuć religijnych, przez otwieranie relikwjarzy, wówczas te władze odpowiadały wymijająco, utrzymując, że „inicjatywa w tym kierunku wychodzi całkowicie od władz miejscowych i mas pracujących", wyższe zaś władze centralne wymagają tylko zachowania taktu w stosunku do uszanowania uczuć religijnych każdego, stąd ieśli kto czuje się tą akcją obrażony, to niech wskaże konkretnie: kto się dopuścił czynów niewłaściwych i na czem one mogły polegać? [2])

Oświadczenie powyższe zupełnie jasno potwierdza nasze spostrzeżenie o maskowaniu się władz centralnych i zwa-

[1]) Por. tamże: Pismo Wydziału VIII do Komisji w Jarosławiu z dn. 1 marca 1919 r. Nr 369,

[2]) Por. „Chronika VIII Otdieła. IV Moszczi" w mies. „Rewolucija i Cerkow" Nr 2. Moskwa str. 44.

laniu „winy" za akcję profanacyjną na władze miejscowe, do których, rzecz jasna, nikt żadnej pretensji mieć nie może.

Na prośby wiernych (prawosławnych), by pozostawiono relikwje na miejscu i nie umieszczano w muzeach, tenże Wydział VIII odpowiada zainteresowanym, że w XX wieku republika sowiecka nikomu z prywatnych nie daje koncesji na przechowywanie trupów lub ich resztek, czy też ich imitacyj w celu utrwalania, albo wykorzystywania wierzeń religijnych.

Umieszczenie relikwij w muzeach uważa Wydział VIII za najodpowiedniejszy sposób do likwidacji „wykorzystywania przesądów ludowych".

Na zarzut, że przecież wolność sumienia ma oznaczać udzielenie całkowitej swobody w stwarzaniu sobie najrozmaitszych kultów, a w tej liczbie i kultu martwych ciał ludzkich.

Wydział VIII zaznacza, że władza sowiecka w zasadzie nie przeszkadza swoim obywatelom czcić pamięć tych lub innych działaczy tego lub innego okresu historycznego, ale nie uważa za pogwałcenie wolności sumienia, jeśli dla utrzymania porządku we współżyciu oraz dla „uszanowania" uczuć innych obywateli nakreśli granice słusznego przejawu tej czci, powodując się przy tem wymaganiami nauki współczesnej, higjeny socjalnej, pedagogiki, poczucia rewolucyjnego mas pracujących i t. d. Stąd też cofnięcie czy zmiana uchwał już powziętych są niemożliwe. [1])

Cała więc akcja Wydziału VIII rozpoczęta od tendencyjnie wywołanej interpelacji Gubispołkomu Twerskiego, początkowo oparła się na zmyślonem twierdzeniu o już istniejących „praktykach profanacyjnych", których źródłem miała być „inicjatywa" czynników lokalnych.

Ten punkt wyjścia dał Wydziałowi VIII możność przemycania lekkich instrukcyj, dotyczących niszczenia relikwij i jednocześnie możność bezpośredniego udziału własnego w tej sprawie.

Następnie Wydział VIII już bez żadnych wahań dyktuje swoim organom podwładnym instrukcje pełne, a w stosunku

[1]) Por.: Moszczi w mies. „Rewolucija i Cerkow" Nr 6–8. 1919 r. Moskwa, str. 110 i nast.

do zainteresowanych zabiera głos w tonie rzekomo naukowym, kulturalnym i postępowym, wobec czego wszelkie uchwały uważa za uzasadnione i niezmienne.

Niema żadnej wątpliwości, że Wydział VIII działał nie przygodnie i nie po amatorsku, lecz systematycznie i planowo już od samego początku, jak to wynika z treści wszystkich jego zarządzeń, odnoszących się do spraw religijnych.

Co się zaś tyczy powoływania się na „względy" naukowe, postępowe czy kulturalne, motywom tym żywo przeczy inna deklaracja oficjalna tegoż Wydziału VIII, o półtora roku później wydana, która publiczny kult relikwij zalicza do kategorji demonstracyj antysowieckich psychologicznie niebezpiecznych, a przyznając się otwarcie do udziału w t. zw. „epopei relikwij", wyłuszcza cały szereg punktów nowej instrukcji dla profanowania i niszczenia świętych szczątków.[1])

Uwagi powyższe, dotyczące ogólnych zamiarów w akcji profanowania relikwij i różnych sposobów ich urzeczywistnienia, ułatwiają nam zrozumienie przewrotnych zamiarów sowieckich w sprawie profanacji relikwij bł. Andrzeja Boboli.

Pierwszy zamach bolszewicki na te relikwje był poprzedzony stekiem różnych komunikatów prasowych, w których podkreślano „potrzebę zbadania" relikwij, na rzekome żądania „mas pracujących".

Szczególną gorliwość przejawiał sowiet witebski, który pismem z dn. 16 sierpnia r. 1919 za Nr 906 zwrócił się oficjalnie do ks. Worsława, wikarego w Witebsku z zawiadomieniem, że na dzień 26 sierpnia tegoż roku wyznaczono otwarcie i zbadanie relikwjarza-sarkofagu bł. Andrzeja Boboli i wskutek tego prosi o wydelegowanie do Połocka

[1]) Por.: Moszczi w mies. „Rewolucija i Cerkow" Nr 9—12 listopad — grudzień 1920 r. Moskwa, str. 72 i nast. „K razriadu psichołogiczeski diejstwujuszczich diemonstracij VIII Otdieł otnosit także i publicznyj kult moszczej... Diejatielnost' VIII Otdieła w dannoj „moszczewoj epopeje" wyraziłaś w soobszczenii na miesta instrukcij k ustanowleniju organizowannawo poriadka wskrytij, garantirujuszczawo sobludienje izwiestnawo takta... Tak naprimier: VIII Otdieł ot swoich prowincionalnych rabotnikow triebował, cztoby wskrytije proizwodiłoś... (i t. d.). W tieczenije 3-ch let wiediotsia bor'ba z takim ispytannym sposobom wlijanija Katoliczeskoj i Prawosławnoj cerkwiej na słabuju psichiku tiomnych mas..."

przedstawicieli duchowieństwa katolickiego wraz z podaniem ich nazwisk. [1])

Jednocześnie kierownik Witebskiego oddziału gubernjalnego (tytułujący się w skrócie: Zawotuprawgub) Konoplin wysyła depeszę do X. Arcybiskupa Cieplaka pod datą 20/VIII 1919 r., w której prosi X. Arcybiskupa również o wydelegowanie przedstawiciela do Połocka na akt otwarcia relikwjarza bł. Andrzeja, wyznaczony na dzień 26 sierpnia 1919 r. [2])

Po otrzymaniu tej depeszy X. Arcybiskup natychmiast wysyła telegram do Sownarkomu czyli Rady Komisarzy Ludowych, w którym wyraża kategoryczny protest od siebie zarówno jak i w imieniu wszystkich katolików w Rosji. W tym proteście X. Arcybiskup zaznacza, iż projektowany akt otwarcia relikwjarza obraża uczucia religijne katolików, dla których relikwje Świętych, czczonych przez Kościół katolicki, są najcenniejszą świętością. Co się zaś tyczy autentyczności relikwij, to ze względu na zapewnioną opiekę ze strony Władzy Duchownej, ta autentyczność nie potrzebuje potwierdzenia ze strony jakiejkolwiekbądź władzy innej. Oddając cześć prochom Świętych, katolicy polecają siebie ich wstawiennictwu przed Tronem Najwyższego i nie przypisują tym prochom niezniszczalności, jak o tem kłamliwie piszę prasa miejscowa. Uważam tedy, pisze Arcybiskup, że ingerencja Gubotdiełuprawa do spraw religijnych ludności katolickiej jest bezprawiem i zaprzeczeniem dekretu odłączenia Kościoła od Państwa oraz pogwałceniem wolnośc sumienia. Władza cywilna niema żadnego prawa wydawać świadectwa o relikwjach Świętych, gdyż wiara nie potrzebuje „kazionnych" zaświadczeń. To też dla uniknięcia nie-

[1]) „Pietrograd Fontanka 118 Katoliczeskomu Episkopu Witiebsk Nr 1275, 20/VIII 1919 g. Otnoszenijem ot 16 awgusta Nr 906 sowiet krestjanskich raboczich krasnoarmiejskich dieputatow predłagajet na 26 awgusta wysłat' w Połock predstawitiela duchowienstwa i swidietielej prisutstwowat' wskrytiju moszczej swiatowo Bobola — Sowiet predłagajet mnie soobszczit' lic prisutstwujuszczich. Proszu rasporiażenija Wikarnyj ksiondz Worsław". Depesza ks. Worsława do X. Arcybiskupa Cieplaka.

[2]) „Pietrograd Fontanka 118 Archiepiskopu Mitropolitu Katoliczeskomu Witiebsk Nr 2364 20/VIII 1919 g. Gubotdiełupraw prosit komandirowat' priedstawitiela Połock na imiejuszczeje byt' 26 awgusta wskrytije moszczej swiatowo Bobola. Zawotuprawgub Konoplin".

chybnego zamętu pośród katolików, Arcybiskup prosi Radę Komisarzy Ludowych wytłumaczyć Witebskiemu Gubotdiełupraw'owi, że jego działalność jest bezprawna. Wkońcu Arcybiskup zapewnia, że przedstawiciela swojego nie wyszle, a zamiary Gubotdiełuprawa witebskiego kwalifikuje do aktu gwałtu w stosunku do Kościoła katolickiego i religijnych uczuć katolików. [1])

Oprócz protestu do Rady Kom. Lud. X. Arcybiskup wysyła jednocześnie dyspozycję do duchowieństwa Witebskiego na ręce Ks. Worsława, aby nie brać żadnego udziału w projektowanem przez bolszewików otwarciu relikwij-sarkofagu, dwa zaś odpisy tej dyspozycji drogą telegraficzną komunikuje do Ludowego Komisarjatu Sprawiedliwości i do Gubotdiełuprawa miasta Witebska. [2])

---

[1]) „Srocznaja Sownarkom Moskwa. Siewodnia połuczena mnoju telegramma witiebskawo Gubotdiełuprawa sledujuszczawo sodierżanija dwojetoczije kawyczki Pietrograd Fontanka 118 Archiepiskopu Mitropolitu Katoliczeskomu Gubotdiełupraw prosit' komandirowat' Predstawitiela Połock na imiejuszczeje byt' 26 awgusta wskrytije moszczej swiatowo Bobola Zawotuprawgub Konoplin kawyczki toczka. Kak zamiesttitiel rimsko-katoliczeskawo Mitropolita ja ot swojewo i ot imieni Katoliczeskawo nasielenija Rossii szczitaju nieobchodimym samym katiegoriczeskim obrazom protiestowat' protiw predpołożennawo akta oskorblajuszczawo religioznyja czuwstwa Katolikow. Relikwii swiatych Ugodnikow cztimyje Katoliczeskoju Cerkowju jawlajutsja dorogimi swiatyniami dla wsiech Katolikow i dostowiernost' ich buduczi garantirowana tszczatielnym nabludienjem so storony Duchownoj Własti nie nuždajetsia w podtwierždenii kakoj libo inoj własiju. Katoliki, cztia ostanki Swiatych Ugodnikow, poruczajut siebia ich predstawitielstwu piered Prestołom Wsiewyszniawo nie pripisywaja tiem nietlennosti ich moszczam kak eto łożno rasprostraniajut miestnyje gazety. Szczitaju wtorżenije Gubotdiełuprawa w duchowno-religioznyje diela katoliczeskawo nasielenija niezakonomiernymi protiworieczaszczimi diekretu ob otdielenii cerkwi ot gosudarstwa i swobodie sòwiesti. Nie dieło graždanskoj własti swidietielstwowat' relikwii swiatych ibo wiera nie nuždajetsia w kazionnom jeja podtwierždienii. Wo izbieżanije nieminujemych wołnienij sredi Katolikow proszu Sownarkom ukazat' Witiebskomu Gubotdiełuprawu na niezakonomiernost' jewo diejstwij. Predwariaju czto swojewo predstawitiela posyłat' nie budu i szczitaju namierenije Witiebskawo Gubotdiełuprawa aktom nasilija po otnoszeniu k katoliczeskoj Cerkwi i religioznomu czuwstwu Katolikow — Zamieszczajuszczij Mitropolita Episkop Joann Cieplak Fontanka 118. 21/VIII 1919".

[2]) „Narkomjust Moskwa Kopja Gubotdiełupraw Witiebsk sroczno Ksiendzu Worsławu Kostioł Witiebsk 22/VIII 1919 g. Bez mojewo razrie-

Ledwo X. Arcybiskup zdążył odeprzeć pierwszy niecny atak bolszewicki na święte szczątki, gdy wnet otrzymuje depeszę urzędową od kierownika Wydziału Witebskiego Zarządu Gubernjalnego, który powołując się na rzekomą „prośbę" grupy katolików-krasnoarmiejców bataljonu posterunkowego, komunikuje, że mimo wszystko w dzień 26 sierpnia wyjeżdża do Połocka specjalna Komisja dla zbadania relikwij bł. Andrzeja, i wobec tego prosi o upoważnienie osób duchownych do asystencji przy oględzinach relikwij, tak ze strony wiernych jak i duchowieństwa. Wszyscy mają się stawić dnia 26 sierpnia w Połockim Komitecie Pow." Odpis tej depeszy wysłany też został do dziekana witebskiego.[1])

W odpowiedzi na żądanie powyższe X. Arcybiskup komunikuje Gubotdiełuprawu, aby ten oświadczył grupie „swoich katolików" że wkroczyli oni na drogę fałszywą. Zaświadczenie autentyczności relikwij nie zaś ich niezniszczalności, przedstawianej przez niekatolików jako cechę świętości a przez religję katolicką odrzuconej — jest sprawą Kościoła. Odnośnie zaś do sprawdzania relikwij, to one niejednokrotnie były rewidowane przez Władzę Duchowną, a poraz ostatni uczynił to Metropolita X. Arcybiskup Ropp w r. 1917 w obecności mnóstwa wiernych. Zaś otwarcie i sprawdzanie relikwij przez specjalną komisję Gubotdiełuprawa będzie tylko deptaniem uczuć religijnych katolików oraz zbezczeszczeniem, w którem żaden z katolików udziału brać nie może.[2])

szenija ni wskrywat' moszczej ni prisutstwowat' nie możetie. Po dannomu woprosu ja tielegrafirował Moskwu Sownarkomu i Witiebskomu Gubotdiełuprawu. Episkop Cieplak".

[1])„Pietrograd Fontanka 118 Katoliczeskomu Episkopu kopija otnoszenja Nastojatielu Kostioła ksiendzu Diekanu g. Witiebska. Witiebsk Nr 2799. 21/8. Po prośbie grupy katolikow - krasnoarmiejcew karaulnawo bataljona 26 siewo awgusta w gorod Połock wyjeżżajet osobaja Komisja dla wskrytija i obsledowanija moszczej sw. Bobola. W widu izłożennawo Otdieł Uprawlenija prosit soobszczit' kto budiet w kaczestwie upołnomoczennawo na oznaczennom wskrytii ot wierujuszczich i swiaszczennosłużitielej nieobchodimo prisutstwije i swidietielej. Jawitsia wsiem nieobchodimo 26 awgusta w Połockom Uispołkomie Zawiedujuszczij Otdiełom Uprawlenja (podpis) siekretar' (podpis)".

[2]) „Gubotdiełupraw Witiebsk 22/VIII 1919. Na tielegrammu 2799 Soobszczitie gruppie Waszich katolikow czto oni izbrali łożnyj put'.

Prawie jednocześnie z tą depeszą Centralny Komitet Katolicki wysyła telegram do Rady Komisarzy Ludowych, a w odpisach: do Komisarjatu Sprawiedliwości i do Gubispołkomu (komitetu wykonawczego) Witebskiego pod datą 23 sierpnia 1919 r., w którym zakłada najenergiczniejszy protest przeciwko wtargnięciu władzy cywilnej do zakresu religijnych uczuć katolickich. Telegram nadmienia, iż władza cywilna, zgodnie z dekretem odłączenia Kościoła od państwa nie ma prawa wtrącać się do życia religijnego ludności. Komitet prosi władzę wyższe natychmiast wyjaśnić Witebskiemu Komitetowi Wykonawczemu, że jego akcja jest bezprawiem, i powinien swoje zamiary zaniechać, aby uniknąć niesłychanej obrazy religijnych uczuć wiernych. [1])

Równocześnie Centralny Komitet rzymsko-katolicki przesyła do Rady Komisarzy Ludowych obszerny memorjał, którego odpisy przesyła zarówno do Ludowego Komisarjatu Sprawiedliwości jak i do Gubispołkomu Witebskiego.

Oswidietielstwowanije dostowiernosti moszczej nie ich nietlennosti predstawlajemoj niekatolikami nieobchodimym priznakom swiatosti, Katoliczeskoj że religijej otwiergajemoj jest' dieło cerkwi. Relikwii Błażennawo Andreja Boboli byli nieodnokratno rewizirowany duchownoj własfju w poslednij raz Mitropolitom Roppom w 1917 g. w prisutstwii mnogoczislennawo sobranija wierujuszczich. Wskrytije i oswidietielstwowanije moszczej osoboj komissijej Gubotdiełuprawa możet byt' tolko nadruganijem nad religioznymi czuwstwami Katolikow i koszczunstwom w kotorom ni ja ni kto libo iz wierujuszczich Katolikow uczastija prinimat' nie możet. Zamiestitiel Katoliczeskawo Mitropolita Episkop Cieplak".

[1]) „Sownarkom Moskwa kopija Moskwa Narkomjustu kopija Witiebsk Gubispołkomu Centralnyj Komitiet Katoliczeskich Obszczin Mogilewskoj Archieparchii uznaw o namierenii Witebskawo Ispołkoma proizwiesti wskrytije Relikwij Błażennawo Andreja Boboli w Połockie zajawajet ot imieni Katolikow samyj rieszitielnyj protiest protiw wtorżenijal graždanskoj własti w obłast' religioznych czuwstw Katolikow. Graždanskaja własť po suszczestwu diekreta otdielenija cerkwi ot gosudarstwa nie imiejet prawa wmiesziwatsia w religioznuju żiźń nasielenija toczka. Prosim wysszuju własť respubliki sroczno razjasniť Witiebskomu ispołkomu niezakonomiernost' jewo diejstwij i tiem predowratiť niesłychannoje oskorblenije religioznych czuwstw wierujuszczich Prezidjum Centralnaho Komitieta Nowickij Gałenzowskij Gożelnianskij Arciszewskij Ostrowskij Pietrograd Fontanka 118 awgusta 23 d. 1919 g." Depesza Prezydjum Centralnego Komitetu Katolickiego.

We wstępie wspomnianego memorjału Centralny Komitet Katolicki zaznacza, iż w sprawie relikwij bł. Andrzeja Boboli nieznane mu są żadne oficjalne motywy Sowietu Witebskiego a sądząc z komunikatów prasowych umieszczonych w Moskiewskim dzienniku rządowym *Izwiestija* oraz w miejscowej prasie Połockiej, wynika, iż sprawa otwarcia relikwjarza-sarkofagu powstała z inicjatywy jakiejś grupy pseudo-katolickiej.

Następnie Centralny Komitet Katolicki, zastanawiając się nad ingerencją władz cywilnych w tę sprawę, dochodzi do wniosku, że skoro Kościół jest odłączony od państwa a religja jest rzecz prywatna sumienia każdego obywatela Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Sowieckiej Republiki, to na podstawie zasad wskazanych w dekrecie separacyjnym, władza cywilna niema żadnego prawa wtrącać się do osobistego życia religijnego ludności.

Przechodząc do meritum sprawy Centralny Komitet Katolicki zarzuca Sowietom Witebskim bezprawie, skoro sądzi, że do jego funkcyj należy też wydawanie opinji i zaświadczenia relikwij Świętych, czczonych przez ludność; tembardziej, że wierni nie potrzebują żadnej ingerencji władzy cywilnej do spraw religijnych. Nie o kwestję stwierdzenia autentyczności relikwij tu chodzi lecz o wyszydzanie religji naszej. „My, jako katolicy, oświadcza Komitet Centralny, musimy reagować na podobnego rodzaju postępki tylko wyrażeniem uczucia głębokiego oburzenia. Nam wciąż mówią o wolności sumienia, nadanej przez dekrety. Otóż my przedstawiciele ludności katolickiej, konstatujemy z wielkiem ubolewaniem, że Władze Sowieckie, w stosunku do sumienia nas katolików jak dotąd tak i nadal zastosowują gwałty.

Nasz Metropolita X. Arcybiskup Edward Ropp zupełnie niewinnie został aresztowany i pozbawiony możności kierowania swoją owczarnią; lokal i mienie Zarządu Archidiecezjalnego są opieczętowane, z powodu czego również zastępca Metropolity jest pozbawiony możliwości rządzenia Archidjecezją; szereg kapłanów na prowincji aresztowano i wywieziono ze swoich parafij w charakterze zakładników, a ludność parafjalna pozbawiona jest możności zaspokojenia

swoich potrzeb religijnych. Wreszcie władze cywilne wdzierają się do samych świątyń i dopuszczają umyślnie profanację tych od wieków czczonych przybytków przez drwiny, pośmiewiska i pełne szału orgje ludzi niewierzących.

Gdzie tu wolność sumienia i wiary?

Wolność sumienia przecież nie może być swobodą samej tylko modlitwy, czego nie jest w stanie zabronić żadna władza na świecie, lecz możnością wykonywania innych praktyk lub ceremonij kościelnych do wiary należących.

Tymczasem setki i tysiące katolików umiera bez Sakramentów św. i bez ostatniej posługi kościelnej, ponieważ kapłani zostali aresztowani jako zakładnicy za rzekome wykroczenia; na różnych mityngach stale słyszymy najszkaradniejsze bluźnierstwa skierowane przeciwko imionom Świętych, Matki Boskiej i Chrystusa, a wogóle religję identyfikuje się z szarlatanerją.

Że podobne występy przeciwko religji obrażają uczucia ludzi nawet niewierzących — o tem żadna z władz sowieckich nie chce nawet myśleć, natomiast wielką pieczołowitością otacza się wszelką akcję, która zmierza do zbeszczeszczenia najdroższych dla nas świętości.

Jeżeli więc Ispołkom Witebski z taką lekkomyślnością odważa się na otwarcie i zbadanie od 300 lat czczonych relikwij świętego Męczennika, to czyż nie można się spodziewać, iż wkrótce inny Sowiet zadecyduje zbadać i stwierdzić, czy w Najświętszym Sakramencie chleb i wino po konsekracji zostały przeistoczone w Ciało i Krew Chrystusową?

Centralny Komitet Katolicki zwraca się do wodzów rewolucji rosyjskiej, jako do ludzi ideowych, nawołuje do zaniechania drwin i urągań ze świętości chrześcijańskich, których bezczeszczenie jest dla wiernych ciężkiem udręczeniem.

„Przypominamy rządowej władzy sowieckiej ten fakt dziejowy, że przecież chrześcijaństwo krwią męczenników podbiło świat pogański; jeśli już rząd sowiecki chce walczyć z wielką ideą chrześcijaństwa, to niechże ma odwagę o tem powiedzieć głośno całemu światu a wtedy pozna siłę i potęgę tego ducha, który małą garstką prostych i niewykształconych ludzi obalił harde cesarstwo rzymskie pełne bezprawia i gwałtów.

Chcielibyśmy uwierzyć, iż ludzie kierujący biegiem rewolucji rosyjskiej w kwestjach religijnych będą więcej toleracyjni, niż smutnej pamięci system carski, który prześladował za wiarę ojców naszych, i gnębił przez całe stulecie lud katolicki. [1])

---

[1]) „Centralnyj Komitiet Rimsko-Katoliczeskich Obszczin Mogilewskoj Archieparchii 25 awgusta 1919 g. Nr 147. Pietrograd Fontanka 118. Predsiedatielu Sowieta Narodnych Komissarow. Kopija Narodnomu Komissaru Justicii. Kopija Witiebskomu Gubispołkomu. Memorandum. W dopołnienje tielegrammy naszej ot 23 awgusta siewo goda po woprosu o namierenii Witiebskawo Ispołkoma proizwiesti wskrytije relikwij Błażenawo Andreja Boboli, chraniaszczichsia w Połockom Kostiole. Centralnyj Komitiet imiejet czest' predstawit' niżesledujuszczeje: Nam oficijalno nieizwiestny tie motiwy, koimi rukowodstwowałsia Witiebskij Sowiet, wynosia swajo postanowlenije o wskrytii relikwij, no sudia po gazietnym zamietkam w Moskowskich Izwiestijach i miestnoj Połockoj pressie, dieło wozniknło po iniciatiwie grupy lic, imienujuszczimisia katolikami. Ostawlaja poka w storonie wopros o tom, mogut li lica, podawszije zajawlenije poczitat'sia istinnymi katolikami, obiazannymi w kaczestwie takowych pribiegat' w słuczajach somnienja k ich duchownikam. Centralnyj Komitiet zadajot siebie wopros, priczom tut graždanskie własti. Cerkow na osnowanii diekreta otdielena ot gosudarstwa, religija objawlena licznym diełom sowiesti każdawo graždanina R. S. F. S. R.

Jesli-by gruppie lic priszło na um pokłoniatsia lubomu nieoduszewlonnomu predmietu, to i togda oni dołżny polzowatsia połnoj swobodoj i oczewidno, czto na tocznom osnowanii diekreta graždanskaja własť nie w prawie wmieszriwat'sia w licznuju religioznuju żiźń nasielenja. Witiebskij Sowiet wierojatno połagajet, czto odnoj iz jewo funkcij jawlajetsia udostowierenije moszczej Swiatych, cztimych nasielenjem, no Sowiet upuskajet iz widu, czto eto wo-pierwych niezakonomierno, a wo-wtorych absolutno nie nużno, ibo wierujuszczije nie nuždajutsia ni w kakom wmieszatielstwie graždanskoj własti. My połagajem, czto w dannom słuczaje imiejet miesto nie żełanije udostowierit' podlinnost' relikwij, ibo etowo diiełat' nie możet ni odna własť w mire, kromie duchownoj, skolko żełanije wmiesziwatsia w religijoznuju żiźń, i putiom szirokowieszczatielnych statiej, poroj sowierszenno niewieżestwiennych, trubit' w powsiedniewnoj pressie o jakoby sowierszajemom obmanie tiomnawo naroda duchowienstwom. My katoliki nie możem reagirowat' na podobnyje postupki inacze, kak s czuwstwom głubokawo niegodowanija i wozmuszczenija. Nam postojanno twierdiat o toj swobodie sowiesti, kotoraja nam wozwieszczena diekretami. My, predstawitieli katoliczeskawo nasielenija, s grustju dołżny konstatirowat', czto w otnoszenii nas Katolikow dopuskaliś i dopuskajutsia naruszenia swobody sowiesti. Nasz Mitropolit arestowan bez winy i liszon wozmożnosti uprawlenija i obszczenija so swojej pastwoj; pomieszczenija

Niezachwiane stanowisko X. Arcybiskupa, jak również silna postawa Centralnego Komitetu Katolickiego, zmusiły bolszewików do oficjalnego zawieszenia zamiarów.

i imuszczestwo Archijeparchialnawo Uprawlenija opieczatany, cziem także zamiestitiel Mitropolita liszon wozmożnosti uprawlat' Archijeparchijej; ciełyj riad swiaszczennikow w prowincii arestowany i wywiezieny iz swoich prichodow w kaczestwie założnikow i nasielenije prichodow liszeno wozmożnosti udowletworiat' swoi religijoznyje potrebnosti i, nakoniec, graždanskije własti wtorgajutsia w samyje chramy i wiekami cztimyje swiatyni żełajut podwiergat' osmiejaniju, nasmieszkami i niekotoroj swistoplaskie ludiej niewierujuszczich. My, Katoliki, woproszajem poetomu: gdie-że tut swoboda sowiesti i wiery? My ponimajem swobodu sowiesti kak wozmożnost' nie tolko bezwozbranno molit'sia, czewo zaprietit' nie w siłach ni odna włast' w mirie, no i sowierszat' swoi obriady a także imiet' zaszczitu i uważenje k naszim wierowanijam; jesli nam jeszczo nie zaprieszczajut molitsia, to mnogim sotniam Katolikow priszłoś umieret' bez cerkownawo naputstwija, ibo swiaszczenniki ich prichodow byli ariestowany kak założniki... za czji-to postupki, my nie widim uważenija k naszemu religioznomu czuwstwu i na sotniach naucznych mitingow oplowywajutsia i topczutsia w griaź Swiatyje imiena Bożijej Matieri i Christa, a religija nazywajetsia szarłatanstwom... O tom, czto podobnyja wystuplenija protiw religii oskorblajut czuwstwa niewierujuszczich, nikto iz włast' imuszczych nie dumajet, a wot ob oskorblenii wzorow wierujuszczich zabotiatsia i wsie kresty i ikony udalajutsia iz publicznych miest... Gdie-że tut swoboda sowiesti? I jesii Witiebskij Ispołkom s lohkim sierdcem rieszajetsia na wskrytije i oswidietielstwowanije cztimych 300 let ostankow Sw. Ugodnika i Muczenika za wieru, to nie sledujet li ożidat', czto zawiduja łauram Witiebskawo Sowieta w jewo borbie s sujewieriem obmanutawo, naroda duchowienstwom, kakoj libo drugoj sowiet postanowit oswidietielstwowat' Sw. Dary, na predmiet udostowierenija, diejstwitielno li chleb i wino prewratiłoś w Tieło i Krow' Christowo... Centralnyj Komitiet obraszczajetsia poetomu k Wam, Woždi Wielikoj Russkoj Rewolucii, pojmitie stradanije wierujuszczich, prekratitie izdiewatielstwa nad swiatoju swiatych każdawo christianina. Pust' Prawitielstwiennaja Włast' pomnit, czto christianstwo zawojewało mir Krowju muczenikow i, jesli Wy idiotie na bor'bu s wielikoj idiejej christianstwa, to imiejtie smiełost' objawit' eto gromko na wieś mir i togda uwiditie projawlenije moszczi towo christianskawo ducha, kotoryj pri posriedstwie gorstoczki prostych nieobrazowannych ludiej pokorił wieś mir i razrusził gorduju Rimskuju Impieriju, pokojuszczujusia na nasilii.

My chotim wierit', czto ludi, uprawlajuszczije chodom Russkoj Rewolucii okażutsia w religioznom woprosie boleje tierpimymi cziem niedobroj pamiati carskij riežim, presledowawszij wieru naszich otcow, za kotoruju w prodołżenii stoletija stradał i umirał Katoliczeskij Narod".

(—) podpisy.

Nasamprzód cofa się Prezydjum Witebskiego Ispołkomu i w oficjalnem piśmie swojem pod datą 26 sierpnia 1919 r. za Nr 3194 komunikuje X. Arcybiskupowi, że na skutek Jego oświadczenia o zniszczalności relikwij wydaje zarządzenie nie otwierania trumny bł. Andrzeja Boboli, zastrzegając się przytem, że władze sowieckie nigdy nie gwałcą przekonań religijnych. [1])

W tejże samej sprawie, tylko nieco później, nadchodzi pismo urzędowe do X. Arcybiskupa od Rady Komisarzy Ludowych pod datą 2 marca 1919 r. za Nr 4646, które potwierdzając odbiór depeszy z dn. 21/VIII 1919 r., oraz memorandum parafjan z dn. 25/VIII komunikuje, że Ludowy Komisarjat Sprawiedliwości wysłał telegraficzne zarządzenie do Gubispołkomu Witebskiego. [2])

Jednocześnie zaś w związku z kapitulacją władzy Sowieckiej, dla zrehabilitowania jej wobec opinji publicznej, w *Izwiestijach*, centralnym organie rządowym pojawia się krótki artykuł pod tytułem „Zaranieje priznajut" (uznają zawczasu), w którym autor stara się przedstawić oświadczenie X. Arcybiskupa, przyznającego w zasadzie zniszczalność relikwij, jako sensacyjne i dotychczas niesłychane. Nic też dziwnego, kończy autor, że władze sowieckie zaniechały dokonania oględzin relikwij bł. Andrzeja i wstrzymały znajdującą się już w drodze do Połocka komisję *ad hoc* wysłaną, pole-

---

[1]) „RSFSR. Ispołnitielnyj Komitiet Rab. Krasn. Armiejsk. i Batrackich Dieputatow. Wit. gub. Prezidjum. 26 awgusta 1919 g. Nr 3194 gor. Witiebsk. Episkopu Cieplaku. Pietrograd. — Soobszczajetsia, czto w widu Waszewo zajawlenija o tlennosti moszczej i, sczitajaś z tiem, czto Sowietskaja własť nie nasiłujet religioznych ubieżdienij, Prezidijum Gubispołkoma sdiełało rasporiażenije nie wskrywať moszczej sw. Bobola nachodiaszczichsia w gor. Połockie".

Tow. Predsiedatiela (podpis) Siekrietar' (—) Lewina.

[2]) „RSFSR. Uprawlenje diełami Sowieta Narodnych Komisarow. — Moskwa Kreml. 2 sientiabria 1919 g. Nr 5646. Zamiestitielu Mitropolita Episkopu Joannu Cieplaku. Pietrograd Fontanka 118. W otwiet na Waszu tielegrammu ot 23/VII (?) soobszczaju Wam, czto VIII Otdieł Narodnawo Komisarijata Justicii posłał tielegrammu w Witiebskij Gubispołkom po powodu wskrytija moszczej Bobola. Uprawlajuszczij diełami Sowieta Narodnych Komisarow (—) Wład. Boncz-Brujewicz. Siekretar' (—) Awiłowa Diełoproizwoditiel (—) Alliłusow".

cając jej natomiast szeroko rozagitować wśród ludności sensacyjne oświadczenie X. Arcybiskupa. [1])

Pełna powagi i energji opozycja katolicka z J. E. X. Arcybiskupem Cieplakiem na czele, zadała bolszewikom wielką porażkę i zmusiła zarówno centralne jak i lokalne władze sowieckie do zaniechania niecnej kampanji podjętej dla profanacji relikwij bł. Andrzeja Boboli.

Od chwili odparcia wspomnianych ataków bolszewickich na relikwje, nastąpił spokój trwający 2 lata i 10 miesięcy (2/IX 1919 — 7/VI 1922).

Był to jednak okres, w którym sowiety nie chcąc pogodzić się z przegraną, poczęły kuć nowe plany w celu wypowiedzenia zawziętej wojny całemu światu chrześcijańskiemu.

(Dokończenie nastąpi)

---

[1]) Por. art. p. t. „Zaranieje priznajut"... „Izwiestija" WCIK'a 26 sierpnia 1919 r. Nr 189 (41).

Ks. Antoni Kwiatkowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Prace historyczno-literackie w roku 1926.

Rzecz niniejsza jest dalszym ciągiem, ogłoszonego w roku zeszłym na tem miejscu, przeglądu prac historyczno-literackich za lata 1921—1925 *(Historja literatury polskiej w ostatniem pięcioleciu (Przegląd)*. Układ i sposób ujęcia pozostały naogół bez zmiany. Autorka stara się o zupełność (z pominięciem wszakże prac popularnych lub wyłącznie publicystycznych), sądząc, że jest to warunek, by praca tego rodzaju mogła być użyteczną, chociaż bibljografji nie może zastąpić. Dla uniknięcia nieporozumień uwzględnia tylko te książki i czasopisma, które na karcie tytułowej noszą rok 1926, [1]) pomijając na razie rzeczy antydatowane.

I.

(Kwestje teoretyczne: historja literatury, a krytyka literacka, przedmiot badań literackich, metody i szczegółowe zagadnienia metodologiczne, dydaktyczne znaczenie historji literatury, literatura i życie).

Kwestja przedmiotu historji literatury, jako nauki, jej celów, metod i jej nazwy nie przestaje zajmować teoretyków. I w roku ubiegłym pisano na ten temat wiele. Temat ten dla jego ważności uwzględniam cokolwiek obszerniej, zaczynając od artykułu, ogłoszonego z samym końcem roku 1925, który nie mógł być już uwzględniony w przeglądzie poprzednim. Teoretyczne zagadnienia historji literatury sprowadzano przeważnie do praktycznego pytania: co jest istotniejszem narzędziem w badaniach literackich: historja literatury, czy krytyka literacka. Ten dylemat za-

[1]) Z wyjątkiem paru publikacyj nieuwzględnionych poprzednio, a w szczególności: „Pamiętnik IV Zjazdu historyków w Poznaniu", Lwów 1925, T. Sinko: „Hellenizm J. Słowackiego", Warszawa 1925, J. Felicka: „Epitet i porównanie u poetów polskich epoki baroku, jako wyraz ich wrażliwości na piękno przyrody", Płock 1925.

chował też H. Elzenberg, filozof „ścisły", w artykule, ogłoszonym w ostatnim numerze „Przeglądu Warszawskiego" (nr. 51 z r. 1925) p. t. *Nauka o literaturze, czy krytyka literacka* i odpowiedział nań, że krytyka literacka jest nietylko „pełnoprawną dyscypliną poznawczą", ale co więcej „jest dla poznania dzieła literackiego dyscypliną istotną". By to udowodnić autor przyjmuje, że właściwym zakresem pracy krytyka jest wyłącznie analiza wewnętrznych właściwości dzieła literackiego; wszelkie inne rodzaje badań, a więc przed innemi klasyfikacja i badanie związków przyczynowych, mogą mieć tylko znaczenie przygotowawcze, ale naszej wiedzy o dziele bezpośrednio nie powiększają. „Poznanie dzieła nie jest możliwe dzięki środkom... zwanym naukowemi, ponieważ polega... na czynnościach takich, jak: 1) wartościowanie, 2) wykrywanie cech jakościowych, 3) reagowanie uczuciowe, 4) myślenie metaforyczne". Dyscypliną, która temi środkami operuje, jest nie co innego, jak właśnie krytyka literacka.

Artykuł Elzenberga wywołał odnośnie do niektórych twierdzeń interpelację polemiczną Stefana Kołaczkowskiego w „Wiadomościach literackich" (nr. 32); w odpowiedzi Elzenberg podkreślił silniej swe stanowisko, zwalczając zwłaszcza fetysza „naukowości", czyli poznania dyskursywnego, ponad którem stawia czynność „kulturalno-duchową", poznanie intuicyjne (*W sprawie krytyki literackiej, Wiadom. liter. 144, O wąskiem pojmowaniu nauki,* tamże 145).

Jedna jedyna tylko krytyka istnieje dla J. E. Skiwskiego *(Typy krytyki literackiej, Myśl Narodowa 27).* Wspólną tą nazwą obejmuje on jednak *de facto* zarówno historję literatury, jak krytykę. W „krytyce" bowiem odróżnia dwa wielkie działy: krytykę „wpływologiczną" i krytykę pragmatystyczną. Pierwsza, którą autor utożsamia z krytyką „naukową" obejmuje: 1) krytykę, badającą rozwój typów produkcji literackiej na tle dziejów, 2) monografję psychologiczną pisarza, wreszcie 3) krytykę „akademicką", której cechy mają być następujące: a) że pisze się o wszystkiem, b) że praca jest przeładowana szczegółami, c) że nie można ustalić, jakie autor bada fakty i jakie rozstrzyga zagadnienia. Drugi rodzaj krytyki, krytyka „dyletancka" obejmuje prace techniczno-estetyczne z jednej strony, prace społeczno-moralizatorskie z drugiej. Warunkiem owocnej pracy jest ścisłe ograniczenie się każdego rodzaju krytyków do właściwego im zakresu badań. — Nie wprowadzony przez autora podział, którego podstawy logiczne możnaby z całą słusznością kwestjonować, lecz kilka trafnych uwag marginesowych, płynących ze źródeł „zdrowego rozsądku" stanowią istotną wartość tego artykułu. Jest on zresztą przykładem, że dyskusja zaczęła się już toczyć raczej o słowa, niż o rzecz samą.

Słusznie więc wskazał P. Rybicki, że nie co innego, jak ścisłe określenie odrębnego przedmiotu badań jest czynni-

kiem, który stanowi o istnieniu odrębnej specjalnej nauki *(Człowiek i dzieło, jako przedmiot badań literackich, Ruch literacki nr. 7)*. W tej myśli stara się więc ustalić ten przedmiot dla badań literackich. W szeregu rozumowań, których nie powtarzam, dochodzi do stwierdzenia, że nauka, którą popularnie nazywamy historją literatury, jednego przedmiotu nie posiada, lecz posiąda ich dwa: przedmiotem badań krytyczno-opisowych jest dzieło literackie — „wytwór psychiczny, utrwalony w postaci zmysłowej, a mianowicie specjalnie w postaci piśmienniczej" — przedmiotem badań genetycznych zaś rzeczywistość poza dziełem poetyckiem się znajdująca, do której poznania jest ono tylko środkiem. Przedmiotem rozważania bowiem staje się w badaniach tych „człowiek-twórca, mówiąc zaś dokładniej pewne fakty procesu twórczego, który w duszy autora poprzedził powstanie dzieła". Ta dwojakość przedmiotu pociąga za sobą dwojaką metodę. Autor nie widzi żadnej przyczyny, uzasadniającej łączenie obu rodzajów badań, jako wspólnej nauki, co najwyżej mogą one stanowić wzajemnie dla siebie nauki pomocnicze. Tylko pierwszy rodzaj pracy — badania krytyczno-opisowe — są właściwą nauką o literaturze. Natomiast badania genetyczne można uważać bądź za odrębną dziedzinę nauki, bądź zaliczyć je częściowo do historji kultury, częściowo do psychologji twórczości i psychografji.

Jest to niewątpliwie bardzo radykalne postawienie spornej kwestji. Niemniej jest ono wyrazem nurtujących na Zachodzie tendencyj o orjentacji systematycznej, która przeciwstawia się ostro badaniom genetycznym. O ogólnych metodycznych podstawach tego nowego kierunku pisze Z. Łempicki w referacie: *Formy historycznego ujęcia zjawisk kultury* (*Pamiętnik IV Zjazdu historyków w Poznaniu*). W pięknym tym i bardzo interesującym artykule rozróżnia obok badań genetycznych i opisowych trzeci rodzaj badań, które nazywa dynamicznemi; przedmiotem obserwacji stają się w niem skutki, jakie pewne zjawisko historyczne wywołuje.

Te same myśli powtarza w zastosowaniu do historji literatury w artykule *Ruch literacki (Ruch liter. nr. 1)*. Rozszerza przedmiot badań poza dzieło i twórcę, powtarzając dawniejszy swój postulat (por. artykuł w „Przegl. Warsz." 1924), by przedmiotem rozważania stały się również losy dzieła, które już dostało się do rąk czytelników i wpływ jego na świat, jednem słowem wywołany przez wydaną już książkę „ruch literacki". Czy badania te będą zadaniem historyka literatury, czy historyka kultury, to w istocie rzecz obojętna. Dość, że przedmiot sam przez się zasługuje na uwagę.

W kierunku systematycznym formułuje również kwestję przedmiotu i metod nauki o literaturze prof. T. Grabowski, chociaż nie zamyka jej wyłącznie w tak ciasnych granicach *(Kilka słów o nauce literatury, Ruch literacki nr. 10)*. W historycznym rzucie oka szkicuje rozwój nauki o literaturze, wskazu-

jąc na to, jak wciągała ona w swój zakres coraz liczniejsze rodzaje metod i jak wiele działów obecnie posiada. Nauka literatury obejmuje pojęcie szersze i od krytyki i od historji literatury, i choć wspiera się i na filologji i na biografji i t., „jest przedewszystkiem nauką o dziele literackiem". „Początkiem i końcem nauki o literaturze jest badanie dzieła, jako dzieła, a więc uświadomienie zawartych w niem wartości".

O sprawy teoretyczne zahacza też przygodnie popularna metodologiczna praca K. Wojciechowskiego, ogłoszona z bogatej spuścizny pośmiertnej niedawno zmarłego profesora *(Uwagi wstępne do badań nad nowszą literaturą polską, Lwów, Książnica-Atlas).* Autor uważa za przedmiot „badania literackiego" zarówno tekst (t. j. odrębny świat rzeczywistości, stworzonej przez jednostkę ludzką, utrwalonej słowem), jak i twórcę. Dwie te dziedziny nie dadzą się oddzielić. Co do metody uznaje za równie uprawnione badania genetyczne, jak badania analityczne, przyczem pierwsze powinny poprzedzać drugie. Pozatem wskazówki prof. Wojciechowskiego, pisane z celem dydaktycznym na oku, mają charakter przedewszystkiem praktyczny. Na uwagę zasługuje w nich podkreślenie konieczności wżywania się badacza w dzieło, konieczności współczucia psychologicznego, opartego na znajomości zasad psychologji, oraz zaliczanie do „formy" dzieła bardzo obszernego kręgu problemów. Uderza nas nadto pewna symplifikacja zagadnień, pochodząca, być może, stąd, że „uwagi" te powstały w r. 1919, a od tego czasu omawiano u nas kwestje teoretyczne badawczo-literackie bardziej szczegółowo.

Prof. Kleiner w referacie swym na Zjeździe historyków, zatytułowanym *Z zagadnień metodologji badań historyczno-literackich (Konstruowanie całości i ocena)* kładzie nacisk nie na odrębność przedmiotu, lecz na odrębność metod historji literatury (która nb. jest tylko jednym z trzech sposobów ujmowania literatury obok systematyki i teorji). Istotnym obowiązkiem metodycznym historyka, a szczególnie historyka literatury, jest łączenie zjawisk poszczególnych w całości wyższego rzędu, a z tem nierozłącznie związana jest ich ocena. Całości te, zgrupowania podstawowe — to, z jednej strony, literatury narodowe, z drugiej strony literatury zgrupowań kulturalnych międzynarodowych (n. p. literatura rycerska i kościelna w średniowieczu, literatura humanistyczna i t. p.). Zakresy grup tych przecinają się i krzyżują. Pojęciem nadrzędnem w stosunku do nich jest literatura powszechna. — Dla oceny, związanej nierozłącznie z konstruowaniem całości, istnieje kilka kryterjów, do których należą: ważność historyczna, znamienność, ważność absolutna, jaką dzieło literackie posiadało dla współczesnych, wartość absolutna aktualna.

Rozprawa prof. Kleinera p. t. *Rola czasu w rodzajach literackich (Pam. liter. 22/23 i osobn.)* stawia na nowym gruncie sprawę, która od wieków niepokoiła poetykę: sprawę podziału

na rodzaje literackie. Lista rodzajów literackich, oparta na nowej zasadzie, na zasadzie czasowości, wyglądałaby, jak następuje:

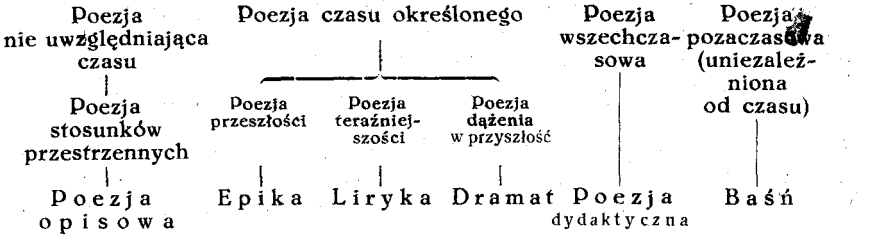

Zastosowanie nowego kryterjum przedstawia tę stronę dodatnią, że pozwala na ścisłe wyodrębnienie poezji opisowej i dydaktycznej, kiedy w poetyce tradycyjnej mieszano często pierwszą z epiką, a druga była rozrywana między epikę i lirykę. Wątpliwość może budzić wyodrębnienie baśni, jako osobnego rodzaju literackiego. Autor dowodzi jednak jej różności gatunkowej, mimo, że istotnie nieraz splata się ona z epiką, zwłaszcza, gdy nastąpi (wykryta przez prof. Kleinera już dawniej) „projekcja marzeń w przeszłość". W dalszych uwagach rozważa autor kwestję tematów, właściwych każdemu z rodzajów literackich, oraz stopnia i rodzaju właściwej każdemu z nich jedności kompozycyjnej. Nasuwające się wątpliwości rozjaśnią się zapewne, gdy autor swój szkic, według zamiaru, szerzej rozbuduje.

Bardzo zachęcająco brzmi tytuł rozprawy A. Kłodzińskiego: *Kryterjum objektywności w badaniach historyczno-literackich,* pomieszczony w czasopiśmie „Nowe Wici" (nr. 3). Wobec jednak niedostępności tego czasopisma nie mogę, niestety, nic poza tytułem o niej powiedzieć.

Ogólniejszą kwestję porusza również artykuł S. Grabińskiego *Zagadnienie oryginalności w twórczości literackiej,* wysunięty na czoło ostatniego *Pamiętnika literackiego* chyba dlatego, by okazać, że stary organ historyków literatury nie zamyka swych łamów przed twórcami. Jednak próby teoretyzowania podejmowane przez nich nie zawsze są szczęśliwe. W tym wypadku żywioł subjektywny obciąża wywody, z których na uwagę zasługuje odróżnienie oryginalności istotnej i pozornej, dalej odróżnienie trzech rodzajów oryginalności, oznaczonych jako: 1) oryginalność absolutna [?], 2) „swoiste i odrębne ujmowanie zjawisk ...t. zw. rzeczywistości eksperymentalnej życia współczesnego", 3) „rewizyjne", a często rehabilitacyjne przetwarzanie skrzepłych już niejako tematów z przeszłości. Z ogólniejszych uwag znajdujemy sformułowanie cech polskiej oryginalności szczepowej, którą mają znamionować: „z jednej strony silny partjotyzm, rozlewny typowo słowiański, „polny" ...liryzm, kojarzący się niejednokrotnie z bujnym, zawadjackim temperamentem — z drugiej skłonność do filozoficznej zadumy i refleksji". Oto próbka metody i stylu.

Przedstawienie historji poglądów na oryginalność w literaturze, nie przynosi, prócz komunałów, nic nowego.

Do szeregu studjów teoretycznych prof. Z. Łempickiego przybył nowy cenny nabytek p. t. *Osnowa, wątek, motyw (Pam. lit. 22/23).* Według teorji autora trzeba rozróżnić trzy zasadnicze momenty przy rozbiorze dzieła literackiego: treść, formę i zawartość. Zagadnienie treści było dotychczas w poetyce i metodyce historji literatury traktowane w sposób niedostateczny, zarówno w epoce „pozytywizmu" historyczno-literackiego t. j. panowania metody filologicznej, jak i nowszego „idealizmu" o orjentacji systematycznej, który położył nacisk z jednej strony na formę, z drugiej na zawartość. Że jednak i zagadnienie treści kryje wiele interesującego materjału, dowodzi najlepiej drugi rozdział rozprawy, w którym, używając terminologji tkackiej, odróżnia autor w treści osnowę i wątek, a nadto motyw, który jest abstrakcyjnym elementem treści i może działać na tle różnych osnów, związany silnie z wątkiem. Osnowa zaś to jest ogół tych stosunków, bez których znajomości treść nie byłaby zrozumiałą. Wątek, to konkretny pierwiastek treści, który tylko na tle danej osnowy da się rozwinąć. Osnowę należy odróżnić od tła, które jest jakgdyby przesycającą ją barwą. Rozważania na temat funkcji motywu w dziele literackiem oraz historji rozwoju motywów zamykają tę piękną i instruktywną rozprawkę.

Na konieczność uwzględnienia w historji literatury czynników całkiem zewnętrznych, tych mianowicie, które umożliwiają wogóle utrwalanie myśli zwraca uwagę prof. Bruchnalski *(Twórczość piśmiennicza a materjał pisarski. Ruch literacki, nr. 1).* „Bo przecie nie podobna wyobrazić sobie — mówi słusznie — aby myśl płynęła tak samo u tego, co rylcem metalowym w mokrej tabliczce gliny kreślił znaki klinowe ...jak u nowożytnego już człowieka, który... który posługuje się dzisiaj, według woli dobranem do ręki, n. p. piórem złotem do napełniania". Również łatwość lub trudność zdobycia materjału napiśmiennego napewno w ciągu wieków wpływała na rodzaj produkcji piśmienniczej.

Z referatem prof. Bruchnalskiego *Historja literatury polskiej w organiźmie polskiej nauki uniwersyteckiej (Pamiętnik IV Zjazdu historyków polskich)* wkraczamy na pole zagadnienia wychowawczej wartości literatury. Prof. Bruchnalski uzasadnia dokładnie ogólno-kształcące i wychowawcze znaczenie historji literatury narodowej i domaga się, by została ona uznaną za przedmiot obowiązujący adeptów wszystkich gałęzi nauki.

Z założeń dydaktycznych przeważnie wychodzi J. N. Miller w książce swej, innego zupełnie rodzaju, niż praca wspomniana powyżej. Artykuły drukowane w różnych czasopismach zebrał autor w jedną całość p. t. *Zaraza w Grenadzie.* Pozwala to zorjentować się obecnie w ogólnym biegu myśli tej książki, co do wartości swojej zapewne przecenionej i przez autora i przez

niektórych jego zwolenników, inteligenckich snobów, którym zaimponował sensacyjny atak na „Pana Tadeusza" i swoisty, gadatliwy, a ciemny styl, ale zasługującej na uwagę dzięki wrzawie, któr uczyniła i dzięki wielu oryginalnym, rewizjonistycznym myślom, które, bądź co bądź, zawiera. Autor dość prosto dzieli całą literaturę polską, przeszłą i przyszłą, na indywidualistyczną i uniwersalistyczną. Pierwsza jest dla dzisiejszych, „proletarjackich" czasów zła, druga jest dobra. Tę drugą trzeba przedstawiać, jako ideał i młodzieży w szkole i piszącym poetom. Możność bowiem kierowania żywej twórczej fali poezji w to lub inne koryto teoretyczne, zdaje się dla autora być czemś, nieulegającem wątpliwości, podobnie jak postulat kształtowania życia przez twórczość poetycką. Zresztą, głosząc uniwersalizm, jako postulat przyszłości w sztuce, autor sądzi, że oddaje obraz rzeczywiście istniejącej tendencji. Zdaniem jego, w ostatnich latach, jeden poeta po drugim ulega zarazie uniwersalistycznej (stąd tytuł książki). Czem jest uniwersalizm, o tem się jednak wyraźnie nie dowiadujemy. Nie wiemy, czy to ma być twórczość o ogólnoludzkim charakterze, czy schemat „ociosany z wszelkich przypadkowości indywidualnych, dający się wszędzie zastosować", czy twórczość zbiorowa „gromadzka", czy twórczość dążąca do oddziaływania na masy, posiadająca „ambicję kształtowania dusz", czy kult zbiorowości, czy tendencje społeczne, czy idea międzynarodowości, czy wreszcie kolektywizm w znaczeniu socjalnem, jak to przypuszcza jeden z polemistów, prof. W. L. Jaworski. Wszystkie te określenia uniwersalizmu znajdujemy w książce Millera. Według swej recepty uniwersalistycznej dzieli autor całą poezję polską na dwa wielkie działy, zaliczając do indywidualizmu romantyzm, młodą Polskę i impresjonizm. Mimo to jednak krańcowy indywidualizm spotyka się z uniwersalizmem na terenie czystego człowieczeństwa. Widać to w rozwoju Mickiewicza. Krańcowo indywidualistyczne liryki lozańskie są bardziej uniwersalistyczne, niż reszta twórczości poety, w której ludzkie uczucia jego wprzęgnięte zostały w służbę ojczyzny. W szczególności ogólno-ludzkim ideałom zdaje się autorowi być przeciwny „Pan Tadeusz". Nie powtarzam znanego ataku autora na to arcydzieło, któremu zarzuca on brak prawdy dziejowej i przyziemność. Gwałtowność napaści z jednej strony, jej daleko idąca jednostronność z drugiej, wywołały sprzeciwy, uzasadnione dostatecznie. Atak ten jest równie jednostronny i pozbawiony odczucia przeszłości, jak wiele innych sądów autora o literaturze polskiej (n. p. dopatrywanie w poezji naszej XVI i XVII wieku jedynie ideału „poczciwego człowieka" z zupełnem pominięciem głębokiej literatury politycznej i religijnej), pozbawiony znajomości psychologji twórczości i recepcji sztuki, podobnie, jak jego praktyczne pomysły reformy współczesnej poezji, których postulatem, sprzecznym samym w sobie, jest utożsamienie sztuki i życia. Streszczenie polemiki, wywołanej

książką Millera, zaprowadziłoby nas daleko poza ramy literatury: ścierały się w niej różne poglądy społeczne, a nawet polityczne. Krótko tylko wspomnę, że z przeciwników Millera w ubiegłym roku najgłębiej sformułowali jego poglądy i tendencje, oraz najbardziej rzeczowo ujęli swoje zarzuty: K. W. Z. w „Wiadomościach literackich" (*W zamęcie walki o »nową kulturę polską«, nr. 23/127*). Wł. L. Jaworski (*Z powodu książki „Zaraza w Grenadzie", tamże 47/151*) i J. E. Skiwski (*„Partykularz uniwersalizmu", Myśl Narodowa, 38*). Polemika, która rozpoczęła się już w r. 1925, nie jest zresztą jeszcze zakończona.

Sprawy teoretyczne ogólne na tle literatury dzisiejszej omawia, postulaty i życzenia wysuwa również Z. Dębicki w swych pięknych *Rozmowach o literaturze* prowadzonych z czytelnikami „Tygodnika Illustrowanego". Ale te artykuły wykraczają już, jako okazy istotnej t. zw. krytyki, usiłującej nie tylko objaśniać współczesną literaturę, ale i kształtować ją i wskazywać jej nowe drogi, wykraczają bardziej jeszcze, niż książka Millera po za ramy niniejszego przeglądu.

II.

(Bibljografja, dzieła pomocnicze, czasopisma, wydawnictwa tekstów).

Na początek pomyślna wiadomość, którą podzielił się z uczestnikami Zjazdu historyków w Poznaniu Dr Muszkowski: oto Komisja bibljograficzna Towarzystwa Nauk. Warsz., korzystająca z poparcia Państw. Wydziału bibljotek, przystąpiła już do opracowania kompletnej bibljografji druków polskich za ostatnie ćwierćwiecze (1901—1925). Monumentalne to przedsięwzięcie, które zarejestruje około 90.000 druków, ma być i ideowo i w metodzie układu kontynuacją wielkiego dzieła Estreichera. Powojenne luki w ogólnej bibljografji polskiej uzupełnia systematycznie *Przewodnik bibljograficzny;* w roku ubiegłym został wydany tom drugi nowej serji, opracowany przez Wł. T. Wisłockiego, a zawierający bibljografję za rok 1921. Zasłużone to czasopismo utrzymuje się ciągle i rozszerza nawet swe ramy. Jest jedynem w Polsce czasopismem bibljograficznem. Rozpoczęte z końcem roku 1926 wydawnictwo czasopisma p. t. *Co czytać? Przegląd bibljograficzny,* mające być kontynuacją dawnego „Przeglądu bibljograficznego" nie wykazuje charakteru naukowego.

Bibljografja specjalnie literatury polskiej (nie ogólna) ma do zanotowania dwie ważne pozycje: jedną jest *Bibljografja literatury polskiej za rok 1919* (Lwów) opracowana przez S. Vrtela-Wierczyńskiego, drugą rozpoczęcie systematycznej bibljografji historyczno-literackiej przez nowo założone czasopismo *Ruch literacki.* W nrze pierwszym otrzymaliśmy bibljografję za rok 1925, w następnych co miesiąc rejestruje się drobiazgowo, a w sposób bardzo przejrzysty, bieżącą bibljografję z uwzględnie-

niem artykułów w czasopismach, a nawet [niektórych] recenzyj. Oczywiście trafiają się i tu omyłki, ale wynagradza je bogactwo materjału. Szkoda, że nie został zastosowany układ tego rodzaju, by można było tworzyć z „Bibljografji" z czasem osobne tomy, zaopatrzone w indeks, którego brak już po upływie roku daje się odczuć. Prócz bibljografji polskiej przynosi „Ruch literacki" również zestawienie ważniejszych wydawnictw obcych. Ważności i użyteczności przedsięwzięcia nie trzeba podnosić, sama bije w oczy.[1])

Z bibljografij szczegółowych notuję: *Bibljografję prac Ignacego Chrzanowskiego,* opracowaną przez Zofję Bielską (Księga pamiątkowa Ign. Chrzanowskiemu, uczniowie Lubliniacy), *Dwa przyczynki do bibljografji prac naukowych Aleksandra Brücknera* ogłoszone przez Chrzanowskiego w „Przewodniku biblj." nr. 6, zapiski bibljograficzne o wydaniach dzieł Żeromskiego, które zaczęto notować w „Gazecie literackiej" i t. p.

Pomocnicze znaczenie dla historyka literatury mają również wszelkie prace, związane z historją drukarstwa, których liczba w ostatnich czasach wzrasta, w niemałej mierze dzięki inicjatywie krak. Towarzystwa miłośników książki z prezesem Witkiewiczem i sekretarzem Piekarskim, niepospolitym znawcą historji drukarstwa polskiego na czele,[2]) dalej wszelkie prace opisujące historję i stan obecny archiwów i bibljotek, tego najważniejszego warsztatu naukowego dla humanistów wszelkiego gatunku. Z tego zakresu ukazała się w drugiem, zmienionem wydaniu ważna praca: Chwalewika *Zbiory polskie, archiwa, bibljoteki, gabinety, galerje, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie w porządku alfabetycznym według miejscowości ułożone. Tom I, A-M (Warszawa, Mortkowicz).* Jest to inwentarz, obejmujący również zbiory prywatne, uwzględniający szczegóły historyczne i najważniejsze dane o zawartości każdego ze zbiorów.[3]) Krótkie wiadomości o zawartości archiwów i bibljotek polskich dodano do drugiego wydania dzieła Wierzbowskiego: *Vademecum. Podręcznik do studjów archiwalnych,* które zostało opracowane przez K. Tyszkowskiego i B. Włodarskiego (Lwów, Książnica-Atlas). Do tegoż zakresu należy zbiorowe wydawnictwo *Publiczne bibljoteki lwowskie,* dalej *Inwentarz rękopi-*

[1]) K. Tyszkowski w swej *Bibljografji historji polskiej [za rok 1925] (Kwart. histor. 1926, zesz. 1)* uwzględnia, jako osobny poddział, dosyć obszernie, choć niewyczerpująco, również *„literaturę".*

[2]) Najważniejsza dla nas rzecz K. Piekarskiego z tego zakresu w roku ubiegłym, to przepysznie wydana przez drukarnię Anczyca „Pierwsza drukarnia Florjana Unglera 1510—1516" ze spisem tegoż druków (Kraków, 1926).

[3]) Ważna dla historji bibljotek naszych jest praca tegoż autora: „Losy zbiorów polskich w Rosyjskiej Bibljotece publicznej w Leningradzie" (Warszawa, Mortkowicz), oraz artykuły różnych autorów, omawiające sprawy rewindykacji zbiorów polskich z Rosji.

sów Bibljoteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, wydany jako dalszy ciąg inwentarza Kętrzyńskiego i obejmujący nry od 1505—5500, notatka Vrtela-Wierczyńskiego: *Polonica w zbiorze korespondencji Bibljoteki Muzeum Narodowego w Pradze* (*Przew. bibljogr.* nr. 6), A. Mazon: *La Bibliothèque slave de l'Institut d'etudes slaves de l'Université de Paris* (tamże) i i.

Pierwszorzędnem źródłem informacji dla historyka literatury, zwłaszcza dawniejszej, stanie się *Słownik etymologiczny języka polskiego* A. Brücknera, który zaczęła w ubiegłym roku wydawać zeszytami Krakowska Spółka wydawnicza. Trzeba jednak zaznaczyć, że autor, obdarzony genjalną intuicją, nie liczy się zupełnie z literaturą przedmiotu, że jego śmiałe konstrukcje nie zawsze są uzasadnione, że zatem z pożytkiem ze słownika może korzystać ten, kto ma gruntowne przygotowanie językoznawcze. Przy sposobności trzeba przypomnieć historykom literatury znakomite czasopismo *Język polski*, gdzie materjału i dla nich nie braknie.

Z zakresu nauk pomocniczych badań literackich notujemy dalej pojawienie się 6-go wydania Wóycickiego nowoczesnej *Stylistyki i rytmiki polskiej* (Warszawa, Geb. i Wolff), artykuł H. Gaertnera: *Z teorji i praktyki językowo-stylistycznej* (*Język polski* nr. 5), oraz artykuł o nowych rymach Okołowa Podhorskiego, będący odpowiedzią na artykuł prof. Nitscha (por. „Przegląd współcz." 42 i „Skamander" 44/46).

W zakresie czasopism literackich smutną stratą jest zamknięcie z końcem r. 1925 znakomitego *Przeglądu warszawskiego* i *Przeglądu humanistycznego*. Natomiast *Przegląd powszechny*, a w większej mierze *Przegląd współczesny* poświęcają obecnie nieco więcej miejsca na sprawy literackie. Zajmuje się niemi stale *Myśl narodowa*, przekształcona na dwutygodnik poświęcony „kulturze twórczości polskiej", pod redakcją Z. Wasilewskiego, jak również *Tygodnik Illustrowany* i rozpoczęte w ubiegłym roku *Nowe Wici*. Kwestje historyczno-literackie pobrzmiewają czasem w redagowanych interesująco *Wiadomościach literackich*, z których duchem jednak i metodami nie zawsze można się godzić. Z innych pism, które powstały w części naśladując „Wiadomości", w części przeciwstawiając się im, zasługuje na uwagę ze względu na nasz przedmiot jedynie najpoważniejsza z nich, mająca własną linję wytyczną, krakowska *Gazeta literacka*. [1])

Z czasopism zagranicznych, w których szerzej lub szczupłej reprezentowana jest historja literatury polskiej utrzymują się: praska *Slavia*, paryskie *Revue des etudes slaves* i *Le Monde slave* oraz *Revue de litterature comparée*, londyński *The Slavonic Re-*

[1]) Z czasopism specjalnych, dających przyczynki i do historji literatury prosperuje „Reformacja w Polsce", natomiast uległa zawieszeniu „Silva rerum".

view, powstało zaś we Włoszech nowe p. t. *Rivista di letterature slave.* Istnieje nadal polsko-francuska *La Revue de Pologne,* oraz powstała staraniem kół, skupiających się dokoła „Wiadomości literackich" nowa: *Pologne litteraire.*

Jedynym naukowym organem historyczno-literackim był dotychczas szanowny lwowski *Pamiętnik literacki,* który ukazał się w tym roku, jako rocznik podwójny, poświęcony Wilhelmowi Bruchnalskiemu, przynosząc bogaty, choć zbyt niejednolity co do wartości, plon. Obecnie ze styczniem 1926 roku zyskali historycy literatury drugi organ, lżejszego kalibru, *Ruch literacki,* wydawany przez Gebethnera i Wolffa. Redagowany doskonale przez prof. Br. Gubrynowicza, dba o aktualność, przynosi zawsze treść bogatą i różnorodną. Obok krótkich artykułów, mających nieraz charakter zasadniczy, przyniósł już wiele cennych materjałów, a obok bibljografji, o której była mowa wyżej, posiada bogaty dział recenzyj, z niewielu wyjątkami, bardzo dobrych i krytycznych.

Wydawnictwa tekstów osłabiły naogół swą działalność. Rozwija się tylko w dalszym ciągu znakomita krakowska *Bibljoteka narodowa,* natomiast analogiczna bibljoteka warszawska *Pisarze polscy i obcy* oraz poznańskie wydawnictwo *Dilecta, Wybór najcelniejszych utworów literatury powszechnej* nie dają znaku życia. *Wielka Bibljoteka* rozwinęła ostatnio dział drugi zatytułowany *Bibljoteka szkolna,* ogłaszając w nim teksty komentowane. Ossolineum wydaje *Naszą bibljotekę* o charakterze bardzo popularnym. *Bibljoteka pisarzów polskich,* wydawnictwo polskiej Akademji Umiejętności wydała jeden tom, a mianowicie powieść z XVI w. p. t. „Fortunat".

Z rozpoczętych w poprzednich latach wielkich wydawnictw pism zbiorowych poszczególnych twórców ukazało się kilka nowych tomów: wyszedł tom IV *Pism* Skargi, wydawanych w Warszawie przez Michalskiego-Iwieńskiego, oraz tom III *Dzieł* Wyspiańskiego, wydawanych naukowo przez „Bibljotekę Polską", pod redakcją T. Sinki i A. Chmiela. Gebethner i Wolff prowadzi w dalszym ciągu wydawnictwo dzieł Prusa i Reymonta, Mortkowicz Żeromskiego, a „Bibljoteka Polska" Sieroszewskiego. Wychodzi też zbiorowe wydanie pism Rodziewiczównej, Or-Ota i Dygasińskiego. Ostatnie jest pod względem szaty wydawniczej fatalne, ale zato ma charakter krytyczny. Czy wszystkie dzieła trzech ostatnich autorów zasługują na utrwalenie — jest rzeczą wątpliwą.

III.

(Opracowania całości dziejów literatury, okresów, rodzajów i motywów literackich).

Najważniejszą może pracą, którą przychodzi nam zanotować w tegorocznym przeglądzie, jest rozpoczęcie drugiego wydania *Historji literatury polskiej* Pilata, uznanej za najlepszy podręcz-

nik uniwersytecki, na którym wykształciło się całe pokolenie uczonych. Pierwsze wydanie wykładów uniwersyteckich tego znakomitego dydakty, zmarłego w roku 1906, ukazało się w latach 1907—1911, opracowane przez uczniów jego z prof. Bruchnalskim na czele. Z powodów wszakże od redakcji niezależnych z całości dziejów literatury, pozostałych w rękopisie, ukazały się tylko tomy od II do IV i początek tomu V, obejmując lata 1500 do początku XIX w. Obecne wydanie, opracowane przez Ludwika Bernackiego i Stanisława Kossowskiego, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa, jest dziełem niemal zupełnie nowem. Zupełnie nowym jest tom pierwszy, złożony z 2-ch ogromnych części (dotychczas ten tylko tom się ukazał), a zawierający dzieje literatury polskiej w średniowieczu, po raz pierwszy w literaturze naszej, jako całość, opracowane. Wydawca tomu, Stanisław Kossowski, może słusznie być nazwany współautorem dzieła. Nie tylko przyszło mu stworzyć jedną całość z kilku redakcyj wykładów profesora Pilata, nie tylko skorygować stosownie do dzisiejszego stanu nauki szereg szczegółów, ale niektóre partje musiał, wobec ogromnego postępu badań nad średniowieczem polskiem w ostatniem ćwierćwieczu, opracować na nowo. Do takich n. p. ustępów zupełnie samodzielnie napisanych przez wydawcę należy, obok pięknego zakończenia, m. i. bardzo ważny rozdział o poezji kościelnej i religijnej w języku polskim do końca XIV w., który nie zachował się wcale w notatkach autora. O daleko posuniętym pietyzmie wobec tegoż świadczy jednak, że w tok tego rozdziału włączył wydawca dłuższy ustęp, odtwarzający poglądy zmarłego profesora na niektóre zagadnienia, związane z pieśnią „Bogurodzica", zrekonstruowane na podstawie notatek wydawcy z żywego wykładu jego mistrza. Pierwszorzędną wszakże zasługą Kossowskiego jest zupełnie samodzielne zestawienie bardzo szczegółowej i wszechstronnej bibljografji każdej kwestji, uwzględniające stan badań do połowy 1926 r. Bibljografja ta, zawierająca również treść ważniejszych wydawnictw i uwagi krytyczne, ułożona jest w systematycznie obmyślane grupy, włączone w tekst i stanowi tegoż tekstu część integralną, a w bardzo wielu wypadkach nawet od niego ważniejszą.

Układ dzieła zachowuje intencje Pilata. Całość średniowiecza podzielono na dwie części, z których pierwsza obejmuje czasy od chwili przyjęcia chrześcijaństwa do końca XIV w., część druga zaś obejmuje w zasadzie wiek XV, w rzeczywistości jednak, wobec wyraźnego związku naszego humanizmu z średniowieczem, wybiega także w wiek XVI. W szczególności bibljografja niektórych zagadnień daje obraz całokształtu danej kwestji bez względu na chronologję. Literatura tak wczesnego okresu jest sama przez się bardzo uboga; to też Pilat pojmował ją bardzo szeroko, jako obraz kultury duchowej i oświaty narodu. Stąd wiadomości historyczne z tego zakresu zajmują bardzo wiele miejsca. Nie tylko

literatura w ściślejszem znaczeniu, lecz c a ł e piśmiennictwo w języku zarówno łacińskim, jak polskim, zostało objęte wszechstronnym wykładem. Zwrócenie uwagi na łacińską literaturę w Polsce średniowiecznej jest jedną z bardzo ważnych pozycyj książki. Rzeczą specjalistów będzie szczegółowa ocena, co dzieło Pilata-Kossowskiego, obok sumiennej rejestracji badań dotychczasowych, wnosi do historji literatury nowego i cennego. Sądzę, że szczegółowe recenzje, które się pojawią, nie zmienią ogólnego sądu o nowem dziele, jako zjawisku pierwszorzędnej doniosłości. — Szkoda wszakże, że wydawcy zamierzają doprowadzić całość tylko do r. 1815; badania nad literaturą XIX w. posuwały się jednak tak olbrzymiemi krokami naprzód, że nawiązanie ich do wykładów prof. Pilata natrafiłoby na zbyt wielkie trudności.

Z opracowań całokształtu literatury polskiej mamy jeszcze do zanotowania w ubiegłym okresie nowe wydanie *Dziejów literatury polskiej* K. W o j c i e c h o w s k i e g o (wyd. II, przygotowane pod redakcją J. Balickiego, przejrzane i wstępem poprzedzone przez Ign. Chrzanowskiego. Ze 124 ilustr. Lwów, Książnica-Atlas, 1926). Książka zwięzła, o przeznaczeniu popularnem, została uzupełniona rozdziałem p. t.: *Historjografja polska po r. 1863,* opracowanym przez Zygmunta Wojciechowskiego.

Podręcznik M. K r i d l a *Literatura polska wieku XIX* wzbogacił się o część trzecią p. t.: „Literatura na emigracji" (Warszawa, Arct). Dokładniejszą charakterystykę tej doskonałej książki podałam już w zeszłorocznym przeglądzie. Wydana świeżo część III zachowała zalety poprzednich: szerokie tło literackie, objektywizm i dobrą konstrukcję, jakoteż pierwszorzędne zalety dydaktyczne.

Charakter syntetyczny posiada rozprawa Z. Ż y g u l s k i e g o *O dramat nowożytny i jego formę* (*Pam. lit.* 22/23 i osobn.); porusza ona sprawę formy dramatu polskiego w związku z ogólnemi uwagami o dramacie nowoczesnym, które mają uzupełnić wywody syntetyczne na ten temat T. A. Mayera („Das deutsche Drama und seine Form" w „Zeitschr. f. Aesthetik... u. allg. Kunstwis.", XVI, 1922). Autor rozróżnia dwie formy dramatu: grecko-francuską „prawidłową" z jednej strony i germańską „nieprawidłową" z drugiej, zastanawia się nad ich genezą i wzajemnym stosunkiem i dorzuca szereg trafnych spostrzeżeń, jak n. p. pomnożenie zasobów „nieprawidłowej" formy przez dramat hiszpański (który Mayer pominął), jak charakterystykę Szekspira, jako tego, który łączy szczęśliwie oba rodzaje dramatyczne, jak uwagi o kompozycji dramatów wielkiego Williama i o kompozycji „Fausta", jak [niedość silnie zresztą uzasadnioną] odrębność stanowiska Schillera. Kwestja formy dramatu polskiego została potraktowana zbyt ogólnikowo. Usiłowanie stworzenia oryginalnej polskiej formy dramatu widzi autor u Mickiewicza, u Norwida i u Wyspiańskiego. Dzieła twórcy „Lilli Wenedy" i „Fantazego" nie docenia, mówiąc tylko

tyle, że przeszedł typową drogę romantyczną od dramatu szekspirowskiego do calderonowskiego, a samodzielną formę usiłował stworzyć dopiero w dramacie o Beniowskim.

Prof. T. Grabowski prowadzi dalej swe studja nad dziejami krytyki. Na majowem posiedzeniu Pol. Akademji Umiejętności przedstawił część II swej pracy *Krytyka literacka w Polsce w okresie romantyzmu i realizmu,* która obejmuje wiadomości o krytyce w kraju po r. 1830. Częścią tej pracy jest zapewne rozprawa, ogłoszona w „Pamiętniku literackim" p. t. *Stanowisko Tyszyńskiego w dziejach krytyki literackiej w Polsce* oraz artykuły o krytyce w Poznańskiem, a zwłaszcza artykuł p. t. *Karol Libelt jako krytyk literacki* (*Kurjer Pozn.* nr. 219).

Książka Z. Klarnerównej *Słowianofilstwo w literaturze polskiej lat 1800—1828* (Warszawa, *Studja z zakresu historji literatury polskiej nr. 4*) jest właściwie pracą z zakresu dziejów filozofji, lub, mówiąc ściślej, historjozofji polskiej, gdyż problem słowianofilstwa ujmuje niemal wyłącznie pod tym kątem widzenia. Literatura w ściślejszem znaczeniu przychodzi tu do głosu, jak to zresztą wynika z natury tematu, tylko o tyle, o ile stała się wyrazem idei historjozoficznych. A więc, by rzecz objaśnić na przykładzie, twórczość Mickiewicza reprezentowana jest w książce wyłącznie tylko przez „Prelekcje paryskie", twórczość Słowackiego przez „Beniowskiego" i „Króla Ducha" i list do ks. Adama Czartoryskiego. Bo, jak wynika z planu i założeń książki, literaci są tylko drobną cząstką w długim szeregu filozofów, historyków, i polityków, których poglądy przedstawia autorka. Układ książki jest ściśle systematyczny. Uwzględniwszy historyczno-polityczne oraz filozoficzne tło prądów słowianofilskich w Polsce, omawia autorka różne ich fazy, dochodząc do przedstawienia ostatecznej koncepcji słowianofilstwa polskiego o mesjanistycznem zabarwieniu, jaka skrystalizowała się na emigracji przed rokiem 1848. W książce swej kreśli autorka syntezy szeroko podmalowane, opierając się w szczegółach bardzo silnie na pracach poprzedników; wywody ich zostały jednak przyjęte nieraz bezkrytycznie, stąd konieczna jest ostrożność w korzystaniu z zawartych w dziele wiadomości. Dla historyka literatury książka p. Klarnerównej jest ważna: kreśląc jeden z najsilniejszych i najgłębiej przenikających koncepcje filozoficzne polskie, prądów, przyczynia się do przedstawienia we właściwem świetle całego szeregu interesujących problemów, na które natrafia nieustannie historyk literatury popowstaniowej, żeby wymienić n. p. stosunek Towiańskiego do cara Mikołaja, stosunek do Rosji Hoene-Wrońskiego, politykę Michała Grabowskiego i w. i. Książka pisana objektywnie, imponuje ilością poruszonych, niestety, nie zawsze należycie opracowanych, problemów. Przydałoby się również zwrócenie pilniejszej uwagi na styl i pracę zecera.

Praca słowianoznawcza w Polsce i stosunki Polaków z uczo-

nymi słowiańskimi są w książce Klarnerównej poruszone tylko ubocznie. Na te głównie rzeczy zwrócić zapewne uwagę praca H. Ułaszyna na temat slawistyki polskiej, której zapowiedzią jest notatka *Z zarania slawistyki polskiej* (*Przegl. biblj.* nr. 6), omawiająca odczyt biskupa Kossakowskiego p. t. „Rzut oka na literaturę czeską i związek języków słowiańskich" w Towarzystwie Przyjaciół Nauk warsz. w r. 1803. Ile materjałów z tego zakresu nie zostało jeszcze opracowanych, na to wskazuje wspomniana wyżej notatka Wierczyńskiego *Polonica w zbiorze korespondencji Bibljoteki Muzeum Narodowego w Pradze.*

Trudny i obszerny problem postawił przed sobą K. Lück, pisząc pracę: *Der Bauer im polnischen Roman des XIX. Jahrhunderts* (Poznań 1926). Rzecz ta, która była drukowana w zeszłym roku w „Deutsche Zeitschrift f. Polen", wydawanem w Poznaniu, a zarazem jest pracą doktorską dla uniwersytetu wrocławskiego, odznacza się chwalebnym objektywizmem w traktowaniu przedmiotu. Obejmuje właściwie całokształt nowożytnej powieści polskiej, gdyż zaczyna od „Pana Podstolego" Krasickiego. Autor orjentuje się naogół dobrze, nie zna jednak całej literatury przedmiotu: pominął n. p. badania Gubrynowicza nad powieścią i uwzględnia wogóle przeważnie badania dawniejsze. Rozprawa posiada wartość informacyjną, tem bardziej, że specjalnego opracowania tego tak ważnego i charakterystycznego dla dziejów powieści polskiej tematu w naszej literaturze naukowej dotychczas, niestety, nie posiadamy.

Historję ciekawego problemu, opracowaną najobszerniej, ale niewystarczająco przez Jeske-Choińskiego, poruszył znów W. Borowy w artykule: *Z historji równouprawnienia żydów w powieści polskiej* (*Pam. liter.*). Interesujące wiadomości o tym problemie, o którym pisano w Polsce jeszcze przed znaną powieścią Niemcewicza „Lejbe i Siora", stanowią w artykule Borowego ramę do obszerniejszego omówienia niezauważonej przez historyków literatury noweli Królikowskiego z r. 1830 p. t. „Romans w romansie", apoteozującej żyda-patrjotę i żołnierza polskiego.

Góry w poezji — to tytuł syntetycznego artykułu Z. Wasilewskiego (Myśl narodowa, nr. 34). Odrębność psychiki poetów, konieczność zwracania na to uwagi, działanie czynnika nowości w życiu duchowem poety, przełom psychofizyczny, jaki sprawia nieśmiertelny urok gór w duszy poety z nizin, prometeizm, który „jest rodem z gór", nowy okres w życiu Mickiewicza, Goszczyńskiego i Kasprowicza zapoczątkowany poznaniem gór, te wszystkie myśli przesuwają się kolejno w postaci subtelnych wywodów i pięknych obrazów przed oczyma czytelnika, który poddaje się entuzjastycznie przedstawianym konstrukcjom.

T. E. Modelski w artykule *Pieśni i podania o św. Krzysztofie* (*Dod. liter. do Dziennika Wileńskiego*) omawia pieśń o św. Krzysztofie, drukowaną w XVI wieku, „Żywot i męczeństwo św.

Krzysztofa" Skargi (w „Żywotach świętych") który okazuje tendencje racjonalistyczne w stosunku do legendy, wreszcie zanotowaną przez Siemieńskiego legendę w jego „Podaniach polskich, ruskich i litewskich".

T. Eustachiewicz ogłosił w „Pam. liter.", jako dalszy ciąg swej pracy z r. 1913, *Dzieje sentencyj Seneki w porenesansowej literaturze polskiej.* Bogactwo zebranego materjału jest ogromne; okazuje się, że sentencje Seneki, szczególnie popularne w wiekach XVII i XVIII, lubujących się w aforyzmach, żyją w ustach inteligencji, a nawet ludu, do dziś dnia.

Wpływy *Słowa o pułku Igora w poezji polskiej,* odnalazł H. Ułaszyn, jak informuje w tymczasowej notatce, u Augusta Bielowskiego, J. B. Zaleskiego (bardzo silne), L. Siemieńskiego i J. Tuwima (*Pam. lit.*). Należy przypuszczać, że przy ostatecznem opracowaniu tematu wpływów tych znajdzie się więcej. Artykuł *Echa Wertera w Polsce* (*Kraków*) Z. Ciechanowskiej zawiera m. in. poglądy na różnicę między Werterem a IV częścią „Dziadów", polegającą na odmiennym stosunku do religji.

(Dokończenie nastąpi)

Dr. Zofja Ciechanowska.

Arnold J. Kwietniowski.: T. G. Masaryk, życie i dzieło. Z przedmową Zdz. Dębickiego. Nakładem księg. T. Firuta we Fryszt acie, 1926, str. 200.

Już po wydrukowaniu książki autor zwrócił się do Zdzisława Dębickiego o napisanie przedmowy do niej. P. Dębicki zawahał się, przekonawszy się, że „styl i język tej książki pozostawiają wiele do życzenia", wkońcu jednak zdecydował się ustąpić prośbie ze względu, że chodzi to „o pierwszą obszerniejszę książkę w Polsce, poświęconą dziełu twórczemu prezydenta Rzeczypospolitej czechosłowackiej", którego p. Dębicki wysoko ceni jako myśliciela i polityka i któremu w rozwoju własnego światopoglądu dużo zawdzięcza. Zaznacza tylko w swej przedmowie, że w miarę, jak się rozwijał i umacniał jego własny światopogląd, powstawały w nim, autorze przedmowy, pewne zastrzeżenia przeciw protestanckiemu racjonalizmowi Masaryka. Zresztą książkę p. Kwietniowskiego gorąco polskiemu czytającemu ogółowi poleca.

W istocie, z książki, poświęconej widocznie spopularyzowaniu Masaryka u nas, można dość dobrze poznać tę niepospolitą postać. Jednostka, która własną pracą i przebojem poprzez trudności życia z ubogiego syna woźnicy w wiejskim dworze dochodzi do katedry uniwersyteckiej i najwyższej godności w swoim narodzie, — uczony socjolog o niezwykle rozległych horyzontach wiedzy, — socjalista, odrzucający wszakże marksowską teorję

materjalizmu dziejowego i walki klas, — wolnomyśliciel, podkreślający wciąż znaczenie zasad moralnych w życiu i polityce, owszem religję uważający za najważniejsze zagadnienie do rozwiązania — oto momenty, dzięki którym postać prezydenta sąsiedniéj republiki zdolna wzbudzić i u nas wielkie zainteresowanie i niejednej rzeczy nas nauczyć.

Trzeba jednak zaznaczyć, że z książki p. Kwietniowskiego przebija pewna niepożądana tendencja. Z. Dębicki w swej przedmowie napomknął o „protestanckim racjonaliźmie" Masaryka, który mu się nie podoba. Powiedziano to arcydelikatnie. Masaryk, natura z gruntu religijna i moralna, już w młodości dał się uwieść rozpowszechnionemu wówczas przekonaniu o niezgodności pozytywnego chrześcijaństwa z nauką i z katolika stał się zdecydowanym wrogiem Kościoła i katolicyzmu. Odrzucił także ortodoksyjny protestantyzm i urobił sobie religję własną, na którą się składa dawno przebrzmiały deizm z dodaniem wiary w Opatrzność, odgrzany kult Husa i zaciekły antyklerykalizm, operujący często rozbrajająco płytkiemi, jak na myśliciela tej miary, zarzutami i oskarżeniami. Wprost niepojętem się staje, jak on, stwierdzając, że w kwestji religijnej wszystkie zagadnienia się streszczają, przeszedł do porządku dziennego nad faktem, że tylu głębokich myślicieli, często konwertytów, znajduje w chrześcijańskiej ideologji, w szczególności w katolicyzmie, tę uniwersalną podstawę wszystkich życiowych spraw i zagadnień, — on wprost tego nie spostrzega i z całem pozytywnem chrześcijaństwem załatwia się frazesem, że „nauka" już wydała na nie nieodwołalny wyrok unicestwienia. Oczywista rzecz, że pisząc o Masaryku trzeba dać go poznać z tej także strony, ale autor książki robi coś więcej. Z całego przedstawienia rzeczy, z doboru wyjątków z dzieł Masaryka, podanych na końcu książki, widać, że p. Kwietniowski jest pobożnym wyznawcą religijnego światopoglądu Masaryka, owszem usiłuje być jego apostołem w Polsce. Niewątpliwie chodzi mu o duchowe i polityczne zbliżenie dwóch bratnich słowiańskich narodów, ale radby był, aby się to zbliżenie dokonało kosztem naszego katolicyzmu, na platformie neo-husyckiej ideologji, która już w samych Czechach doprowadziła do rozłamu religijnego i głuchej narazie, ale wytrwałej walki z Kościołem katolickim. Książka p. Kwietniowskiego jest epizodem w akcji nad takiem zbliżeniem polsko-czeskiem, jakiego głównym rzecznikiem po tamtej stronie jest Adolf Czerny, po naszej — Kurnatowski. Otóż wielka część narodu czeskiego, wszyscy niemal Słowacy, a z naszej strony cały ogół katolicko-polski nie uznają za potrzebne do pożądanego zbliżenia dwóch naszych narodów i państw przejmowania się tą ideologją i — powiedzmy wyraźnie — propagandy husytyzmu w Polsce. Dlatego i książka Kwietniowskiego miałaby dla nas, Polaków-katolików, o wiele większą wartość, gdyby się ograniczyła do ścisłego objektywizmu

w przedstawieniu postaci prezydenta Czechosłowacji, bez tych propagandystycznych zakusów, które tak z niej, jak szydło z worka, wyglądają.

Ks. Jan Urban.

Ks. Dr. Glemma T.: Kronika Benedyktynek chełmińskich (1578—1619). Nakł. Tow. Naukowego w Toruniu. 1926. Str. 78 in 8⁰.

Kronika klasztoru PP. Benedyktynek w Chełmnie! Kto zna bodaj pobieżnie dzieje tego klasztoru, z zaciekawieniem bierze do ręki kronikę... Przecież to klasztor mający bardzo dziwne dzieje: tu do Chełmna przyszli pierwsi krzyżacy z Hermanem von Salza na początku XIII wieku. Oni też, dla podtrzymania niemieckości i wśród niewieściego rodzaju, założyli 1265 r. klasztor Benedyktynek. Złączone tu były dwa klasztory, Cystersek i Benedyktynek, jakby można wnioskować ze źródeł skądinąd znanych, a przyjmowano tylko same Niemkinie...

Nic też dziwnego, że gdy nastała „czysta ewangelja" czyli reformacja, to i klasztor jej uległ. Mniszki jedne uciekły, inne może nie miały gdzie i poco uciekać, więc zostały, a przesiąkły bardzo dokładnie duchem tej „wyższej kultury", jaką podobno miał wnieść protestantyzm, skoro zaczęły się zajmować... czarami. Zresztą ten „kulturalny objaw" protestantyzmu przejawiał się i w Niemczech, wśród wyznawców nowej wiary!

W latach 1580, reakcji katolickiej, chciano już gmachy klasztorne i całą fundację oddać Jezuitom, ale oparły się temu młode zakonnice, z Magdaleną Mortęską na czele, która wzięła się do przeprowadzenia reformy w klasztorze. I znowu zakwitł klasztor, znowu począł wychowywać, ale już w polskim duchu, szeregi panien szlacheckich, a nawet na daleką Ruś i Litwę wysyłał Siostry zakonne, by tam do Lwowa i Jarosławia czy Nieświeża przynosiły bądź nową reformę, bądź fundację nowych klasztorów. Chełmno stało się macierzą Benedyktynek w Polsce.

Po rozbiorach, naturalnie, solą w oku musiał być Prusakom klasztor, wychowujący dziewczęta w polskim duchu. Więc w r. 1821 kasują klasztor jako niepotrzebny, bo niehumanitarny, a fundację oddają Siostrom Miłosierdzia, któreby pracowały w szpitalu.

Inna kwestja, że SS. Miłosierdzia miały w Chełmnie w ten sposób ulegalizowaną placówkę polskości, bo nie tylko w szpitalu pracowały nad biedną ludnością, ale i młodzież żeńską wychowywały, miały też tutaj i zakonny swój dom macierzysty. I znowu stąd polskość promieniuje na całe Pomorze.

Najgorzej jednak na tych zmianach wyszły zabytki piśmienne. Kroniki, akta i dokumenty zabrali Prusacy do swych archiwów, skąd je ogłosił drukiem Dr. Woelky w „Altpreussische Monatsschrift" tom XVII, bo te łacińskie akta najmniej mówiły o polskości Benedyktynek. Polskie zaś kroniki i zapiski zmarnowały się, bo o to właśnie chodziło Prusakom. Dziwnym zbiegiem część

kroniki, właśnie z lat przełożeństwa ksieni Mortęskiej, uchroniła się i tę właśnie część podaje nam ks. Dr. Glemma z całym aparatem krytycznym.

Kronika ta była już w rękach niejednego pisarza. Pierwszy czerpał z niej ks. Brzechffa T. J., pisząc swój „Żywot świątobliwej Magdaleny Mortęskiej" w r. 1633 (żywot ten doczekał się aż 7 wydań, ostatnie w r. 1883), potem kilku badaczów historji Benedyktynek w Chełmnie, jak Fankidejski i Pobłocki, przedrukowywali częściowo tę kronikę, ostatnio zaś w r. 1914 Wicherkiewiczowa w dodatku do *Dziennika Poznańskiego* (Nr 18).

Ale i obecne wydanie kroniki, to tylko wyjątki: z 453 stron in folio rękopisu, mamy 54 stron druku. Opuszcza bowiem Wydawca rzeczy mniej interesujące, swojem zdaniem, może i szkodę przez to poniosła nauka, ale chyba musimy się z zaufaniem odnosić do sądów autora, który dał dowód kompletnej fachowości historycznej, jak można sądzić z opracowania formalnej strony kroniki.

Jakie znaczenie tej publikacji?

Prawda, że niema tutaj żadnej wielkoświatowej polityki owych czasów, więc chociaż nie zaspokoi może ciekawości tych, co szukają intryg po klasztornych archiwach, ale przekonają może ludzi dobrej woli, jak pojedynczo i poprostu to życie zakonne płynęło...

Znaleźć można nadto wiele szczegółów i obyczajowych, i genealogicznych i ekonomicznych. Między nazwiskami Sióstr znajdzie się prawie wszystkie magnackie rodziny ówczesnej Polski. Regularne rachunki klasztorne podają ceny i wartości artykułów codziennej potrzeby z lat 1600-nych. Bibljograf znajdzie cenne wiadomości, bo przecież długoletni spowiednik klasztoru, ks. Wojciech Mesochenjusz (Półgęskowic) z Pakości niejedną książkę przełożył na język polski, a klasztor swym nakładem wydrukował, o czem zawsze jest wzmianka w kronice; także przy każdej nowej fundacji wylicza się książki, jakie Siostry zabierają ze sobą, wyjeżdżając na nową fundację. A zabierały ich sporą liczbę, przeważnie były to książki ascetyczne i liturgiczne. Rachunki, spisy rozmaite wykazują, jak sumiennie tutaj prowadzono ewidencję dochodów i rozchodów, na jak dobre cele je obracano. Raz po raz wplata się wiadomość o innych klasztorach Benedyktynek w Toruniu, Żarnowcu, Nieświeżu, Bysławku, Jarosławiu, Lwowie, Sandomierzu; osób też mnóstwo się przewija i zakonnych i świeckich, nawet Jezuici, którym Benedyktynki chełmskie wiele dobrodziejstw świadczyły, pomagając im w licznych ich fundacjach, a od których też wiele pomocy otrzymywały, nawet od samego ks. Piotra Skargi.

Ks. Kazimierz Konopka T. J.

Dr J. Geyser: Auf dem Kampffelde der Logik. Logisch-erkenntnisstheoretische Untersuchungen. Herder, Freiburg im Br. 1926 (IX +288). Cena brosz. 6·20 M. n., opr. 7·50 M. n.

Najpoważniejszym przedstawicielem neo-scholastyki z pośród profesorów świeckich, nie księży, jest już od wielu lat dr Józef Geyser, obecnie profesor zwyczajny na uniwersytecie w Monachjum, przedtem we Fryburgu w Bryzgowji. „Nadałem obecnej książce tytuł: Na polu walki logiki — pisze we wstępie — by zaznaczyć, że chociaż opieram się na Arystotelesie, nie sądzę, byśmy już nie mieli nic do powiedzenia w tym przedmiocie ponad to, co powiedział Arystoteles. Owszem i dziś trapią filozofów zagadnienia zasadnicze, jak np.: W czem leży istota pojęć i sądów? Jaki zachodzi stosunek między niemi a rzeczywistością? Jak się mają do siebie ogół i szczegół? Co to jest byt idealny, a co realny? Co to jest prawda, a co pewność? Jak dochodzimy do nich? Na czem polega oczywistość? i t. d.". — Z pytań postawionych wynika, że autor zajmuje się tu zagadnieniami nie tyle z dziedziny logiki formalnej (dialektyki), ile z logiki t. zw. materjalnej t. j. kryterjologji. W rozdz. I. rozprawia o istocie i o środkach poznania, w II. porównuje pojęcie prawdy w filozofji Arystotelesa i w filozofji Kanta, w III. rozbiera określenia pojęcia i sądu w filozofji neo-kantystów, w IV. przechodzi do zagadnienia poznania zmysłowego i jednostkowego w filozofji neo-kantystów, w V. rozbiera różne zapatrywania na oczywistość, w VI. opisuje istotę oczywistości logicznej, w VII. podaje „myśli do metafizyki poznania", w VIII. i ostatnim zbiera razem wyniki swych dociekań. — Jakież one? Realizm arystotelesowsko-tomistyczny i idealizm nie różnią się tylko tem, że idealizm „tworzy" przedmiot poznania, a realizm go „odkrywa". Różnica sięga głębiej: idealizm, to posunięty konsekwentnie aż do skrajności racjonalizm czyli panlogizm, uznający jeden tylko niezmienny byt, — realizm zaś, to intelektualizm, wychodzący z założenia doświadczalnego o zmienności i jednostkowości bytów tego widzialnego świata. Idealizm neo-kantystów liczy się z powszechnością i koniecznością pojęć oraz sądów rozumowych, by ją jednak obronić, ucieka się do przypuszczenia bezpośredniego umysłowego oglądu (Schauen) istot i wartości (der Wesen und der Werte). Atoli takiego oglądu nie posiadamy, twierdzi, opierający się na doświadczeniu, realizm. Pojęcia nasze, nawet najogólniejsze, czerpiemy ze świata zmysłowego, jednostkowego, a mimo to pojęcia te mają wartość niezmienną, wieczną, opartą ostatecznie, jak to wykazał już św. Augustyn, o konieczność istoty Bożej.

Wiadomo, jak wielkie dyskusje wywołały w tym względzie w Niemczech prace Husserla, polemiki szkoły marburskiej i badeńskiej. Kto chce wejrzeć w samo jądro rzeczy, o którą chodzi, ten z wielkim pożytkiem zapozna się z tą najnowszą pracą zasłużonego Geysera. *Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.*

Ks. Alfred Hoppe: Chrystus życiem mojem! Rozmyślania dla zakonnic, ze szczególnem uwzględnieniem miejsc działania i psychologji Chrystusa, I tom (100 rozmyślań i 100 obrazków). Warszawa i Wimperk. Zakłady katol. wydawnictw i drukarnia J. Steinbrennera, „Marja Wspomożenia". 1926. Str. 416.

Autor we wstępie zastrzega się, że nie trzyma się w tych rozmyślaniach metody św. Ignacego, ani prawideł św. Franciszka Salezego. Podaje tylko praktyczne zastosowanie modlitwy myślnej do potrzeb duszy. Rozmyślania swoje przeznacza na pierwszem miejscu dla zgromadzeń czynnych.

Jeśli chodzi jednak o ścisłość, to zauważyć trzeba, że autor w rozmyślaniaeh swoich idzie za św. Ignacym Lojolą, nie przeprowadza tylko w całości jego metody rozmyślania, ale jedynie niektóre punkty szczególniej rozwija i podkreśla. Główną wagę kładzie na t. zw. pierwsze przygotowanie, w którem za św. Ignacym rozsnuwa przed duszą bogate w treść i myśli obrazy z Pisma św., pragnąc do nich przykuć niejako duszę w zajęciu czynnem rozproszoną. Podkreśla w takiem przygotowaniu zwłaszcza dramatyczny moment zdarzenia i psychologję osób w danym fakcie występujących. Sądzimy, że dla dusz wprawionych do rozmyślania często już samo to przygotowanie będzie nader obfitym tematem rozmyślania, gdyż obfitość w niem świeżych, oryginalnych, zawsze nawskróś duchem bożym owianych myśli, porównań, zastosowań.

Po tem obszerniej rozwiniętem przygotowaniu, które w myśl autora może także służyć za czytanie duchowne, następują krótkie, treściwe trzy punkta rozmyślania, nie tylko praktyczne, ale świadczące o wielkiej znajomości życia zakonnic.

Książkę tę uważamy nie tylko za dobrą, ale za wprost wyborną, zdolną oddać tysiącom dusz niespożyte przysługi. Zagranicą powitano ją z entuzjazmem, świadczy o tem około 800 klasztorów, które wyraziły autorowi swoje uznanie i podziękę. Sądzimy, że i polskie całkiem poprawne tłumaczenie z języka niemieckiego będzie mile powitane. Szczególną ozdobą książki są dobre reprodukcje sławnych artystów. Na tle obrazu (jest ich 100) osnute jest pierwsze przygotowanie każdego rozmyślania. Praktycznym momentem ilustracyj jest ułatwienie skupienia duszy w ciągu modlitwy.

Ks. J. Pachucki T. J.

Birkenmajer L.: Mikołaj Wodka z Kwidzynia. Nakł. Tow. Naukowego w Toruniu r. 1926. Str. 163 in 8-vo.

Znany od kilkudziesięciu już lat badacz Kopernika daje nam rezultat żmudnej pracy, poszukiwań nad lekarzem i astronomem XV wieku, Mikołajem z Kwidzynia, pierwszym może mistrzem naszego Kopernika.

Urodzony w latach 1440—45, udaje się w r. 1462 do Krakowa na Akademję i tutaj już 1464 roku pisze kalendarz cykli-

czny. Studjował więc astronomję. Potem (rok 1468) udaje się do Academia Istrapolitana w Budapeszcie, stąd do Bolonji w latach 1482/3, gdzie spotyka się z polskimi studiosami, Marcinem Bylicą z Olkusza, Jerzym z Drohobycza. Zdaje się, że już w r. 1476 zostaje magistrem, a w następnym wydaje „Stellarum fata" czyli modne podówczas astrologiczne raczej niż astronomiczne almanachy, przepowiednie na rok następny. Widać sławą musiał się cieszyć, skoro w 1479 r. zostaje wybrany publicznym lektorem astronomji na uniwersytecie bolońskim z pensją 50 grzywien rocznie. W r. 1480 zostaje doktorem medycyny. Te dwie nauki, medycyna i astrologja, chodziły wtedy zwykle w parze „ze względu na zależność skuteczności lekarstw od pory, w której bywają chorym podawane, czy może z powodu odmiennych własności powietrza w różnych położeniach ciał niebieskich", jak pisze znany Kalimach, doradca Olbrachta króla. W tejże Bolonji przyjaźni się z uczonym Lorenzo Abstemius Bevilacqua ur. 1448 w Macerata i od niego przyjmuje też przezwisko „Abstemius". W r. 1482 widzimy już naszego Wodkę w Poznaniu, gdy nie udało mu się zostać nadwornym astrologiem w Urbino, na dworze tamtejszego księcia, mecenasa nauk. W Poznaniu praktykuje jako lekarz. W r. 1490 jest we Włocławku kanonikiem kapituły i tutaj na ścianie katedry umieszcza sławny, do dziś dnia istniejący, zegar słoneczny. W robocie tej pomagał mu młody Kopernik, oddany na nauki do szkoły we Włocławku w r. 1489, po skończeniu szkół elementarnych w Toruniu. Malaturę znaków zodjaku przypisuje prof. Birkenmajer Kopernikowi, który od wczesnej już młodości „bawił się ołówkiem rysunkowym i pendzlem", ale wiersz nad zegarem umieszczony i sam zegar dziełem jest Wodki. Już od lat 1600-tnych żywą była tradycja, że zegar ten zrobił Kopernik (podówczas 18-letni młodzieniec) z drugim uczonym — którym właśnie jest Wodko. Co więcej: prof. Birkenmajer twierdzi, że wpływowi Wodki zawdzięczać możemy wielkość Kopernika. Wodka, jedyny astronom we Włocławku, pociągnął młodego ucznia do tejże nauki gwiaździarskiej. Obu zaś Mikołajom niebo gotowało w tym właśnie czasie mnóstwo powabów: w samą wigilję Bożego Narodzenia 1489 r. zejście się pozorne (wielka konjunkcja) złowieszczych podówczas planet Saturna i Marsa — w rok potem nagłe krótkie rozbłyśnięcie komety napełniło wszystkich trwogą, w czerwcu zaś 1491 r. w biały dzień, w samo południe widzą wszyscy jasną gwiazdę Wenus, świecącą mimo blasku słońca. Któż mógł te rzeczy tłumaczyć młodzieńcowi i wtajemniczać go w te cuda Boże, jak nie jeden tylko Wodka? Kto mógł zachęcić do studjum gwiazd?

Pod koniec r. 1494 umiera Wodka, rozdając ciepłą ręką przyjaciołom swe książki. Próbki jego dzieł rękopiśmiennych mamy zebrane w urywkach na końcu niniejszego studjum.

Niepospolitą zasługę ma prof. Birkenmajer nie tylko dlatego,

że postać tę nieznanego polskiego uczonego wydobył z cienia, z właściwą Birkenmajerom akrybją, ale że tem swojem studjum rzucił jeszcze więcej światła na chlubę polskiego narodu, Kopernika.

Ks. Kazimierz Konopka T. J.

J. Gredt O. S. B.: Elementa Philosophiae Aristotelico-Thomisticae. Editio quarta, aucta et emendata. Vol. I. Logica et Philosophia naturalis (XXIV+504). Vol. II. Metaphysica et Ethica (XVIII+466). Cena obu tomów brosz. 23 M. n., opr. 27 M. n. Herder, Friburgi Br. 1926.

O. Józef Gredt, z zakonu benedyktyńskiego, profesor filozofji w Anselmianum w Rzymie, należy do najwybitniejszych neoscholastyków współczesnych. W przedmowie do tego czwartego wydania swego podręcznika filozofji, opartej na Arystotelesie i św. Tomaszu, zaznacza, że jeszcze więcej niż w wydaniach poprzednich uwzględnił najświeższe wyniki nauk doświadczalnych, a dla wygody uczniów i profesorów nadał rozprawom formę ściślejszą, sylogistyczną. Załączony list Ojca św. Piusa XI chwali w podręczniku i całej pracy filozoficznej O. Gredta ten właśnie żywy kontakt z naukami nowoczesnemi, którego sobie życzył wielki odnowiciel filozofji scholastycznej, papież Leon XIII. Uwzględnił autor w tem wydaniu w filozofji przyrody: teorję elektroniczną, wskazując na możność pogodzenia jej z systemem scholastycznym (T. I. n. 245 i 407), oraz teorję Einsteina (T. I. n. 355), zbijając jej założenia i wyniki. W psychologji zasługuje na szczególną uwagę paragraf, dotyczący przedmiotowości naszego poznania zmysłowego (T. I. n. 483 nn.), o czem pisał autor w rozprawie: „Unsere Aussenwelt" i „De cognitione sensuum externorum", broniąc w nich stanowiska t. zw. realizmu naturalnego.

Osoba O. Gredta a także jego pisma cieszą się wielką powagą w świecie filozoficznym nawet poza obozem scholastycznym. Podręcznik, który omawiamy, wprowadzono do wielu seminarjów zagranicą. Autor jest zdecydowanym tomistą i we wszystkich kwestjach spornych podziela zdanie szkoły neo-tomistycznej. Chociaż podręcznik jego posiada uznane przez krytykę zalety, jednak jest za trudno pisany i dlatego służyć może raczej jako książka pomocnicza przy nauczaniu filozofji, niż jako liber textus.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Nacjonalizm a katolicyzm. Opinje biskupów, uczonych, polityków, publicystów współczesnych. Przeł. z franc. ks. J. Puzynianka. Przejrzał i wstępem zaopatrzył Prof. Dr A. Peretiatkowicz. Str. 149. Poznań. Fiszer i Majewski. 1927.

Problemy dotyczące nacjonalizmu, a zwłaszcza jego stosunku do religji i Kościoła, są tak liczne i palące, że każdy przyczynek do ich rozwiązania należy powitać z prawdziwą radością. Niniej-

sza książka jest w tym względzie o tyle cenniejszą, że przynosi głęboko przemyślane, ściśle określonym pytaniom odpowiadające poglądy całego szeregu wybitnych myślicieli. Ankieta, którą w czasopiśmie *Les Lettres* zorganizował parę lat temu P. Maurycy Vaussard, potrafiła uzyskać współudział ludzi tej miary, co Blondal, Goyau, H. Pesch, Foerster, Apponyi, Sturzo i wielu innych. Wśród ich odpowiedzi są oczywiście jedne głębsze i obszerniejsze, inne bardziej ogólnikowe i pobieżne, ale całość wypada bardzo interesująco i z niemałym dla wyświetlenia pojęć pożytkiem. Problem rozpatrywany jest z przeróżnych stron i na rozmaitych platformach. Najgłębsza jednak i najbardziej zasadnicza odpowiedź jest ta, jaką z Polski nadesłał O. Jacek Woroniecki O. P. Można powiedzieć, że on jeden dotknął samego jądra kwestji i najjaśniej wskazał źródła fałszywych rozwiązań oraz drogi, po których myśl katolicka w tej sprawie iść powinna. Byłoby bardzo pożądanem, żeby ktoś kompetentny poświęcił raz jeszcze zagadnieniu nacjonalizmu całe dzieło, by ostatecznie wyświetlić niejasne punkty i dopomóc wreszcie do ustalenia chwiejnej opinji. Przekład ks. Puzynianki jest wogóle poprawny, szkoda tylko, że korekta bardzo wiele do życzenia pozostawia.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Nowe wydawnictwa „Bibljoteki Narodowej":

Kazimierz Brodziński: M o w y i p i s m a p a t r j o t y c z n e. Opracował Ignacy Chrzanowski, str. XLVII + 96.

Aleksander Fredro: C u d z o z i e m s z c z y z n a. Opracował Stanisław Windakiewicz. Str. XII + 72.

Aleksander Fredro: D o ż y w o c i e. Opracował Stanisław Windakiewicz. Str. XII + 74.

Michał Bałucki: G r u b e r y b y. Opracował Tempka - Nowakowski. Str. XXXV + 62.

Wiljam Szekspir: O t e l l o. Przekład I. Paszkowskiego. Opracował Andrzej Tretiak. Str. XLIX + 142.

Tytuły dzieł świeżo wydanych przez znaną powszechnie ze swej ruchliwości B i b l j o t e k ę N a r o d o w ą i nazwiska komentatorów odnośnych dzieł mówią zazwyczaj same za siebie. To też zadanie recenzenta musi się najczęściej ograniczyć do roli wyłącznie informacyjnej i do zwięzłych uwag.

Postać Brodzińskiego poety-żołnierza, będącego jakby typem łagodności słowiańskiej, która przecież na odzew wypadków potrafi dobyć z dna swej duszy męskie, twarde, rycerskie tony — godna jest szczególniejszej uwagi nietylko literata ale i historyka. To też *Mowy i pisma patrjotyczne* muszą zainteresować, co więcej, dziś jeszcze zdolne są ten patrjotyzm krzewić i rozpłomieniać. Wstęp prof. Chrzanowskiego nietylko odznacza się wielką wyrazistością, ale przepojony jest nadto żywą sympatją dla poety i jego dzieł. Szczególnie znaczenie mowy „O narodowości Pola-

ków" zostało tu wyczerpująco objaśnione na szerokiem tle współczesnej ideologji narodowej.

Z Fredrą lubimy się pośmiać, ale nie zawsze znamy genezę jego komedyj, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z jej zalet i usterek. Dlatego „Cudzoziemszczyzna" i „Dożywocie" zaopatrzone krótkiemi, a dobrze przemyślanemi spostrzeżeniami prof. Stan. Windakiewicza będą dla miłośników Fredry miłym podarkiem. Do dzisiaj jeszcze tu i ówdzie pokutuje u nas zbytni kult cudzoziemszczyzny, a już interesowność Łatki z „Dożywocia" — to wyolbrzymiona do karykatury wada ogólno-ludzka! Więc i dziś jeszcze obie komedje nie straciły na aktualności...

O Bałuckim pisano u nas dotychczas bardzo mało. Wydanie „Grubych ryb", najlepszej z jego komedyjek, wraz ze wstępem, odsłaniającym sporo szczegółów z jego życia, jest więc cennym nabytkiem literackim. „Piszący ślucki — Michał Bałucki" odsłania nam we wstępie dra Nowakowskiego prawdziwe swe oblicze, chociaż i po tem odsłonięciu smutny koniec najweselszego na pozór z naszych komedjopisarzy pozostaje ponurą i niezrozumiałą tajemnicą.

Ze serji II przekładów wydała Bibljoteka arcydzieło muzy szekspirowskiej, *Otella.* Prof. Tretiak w obszernym wstępie objaśnia wyczerpująco czas powstania tragedji, genezę jej, oraz daje ocenę kompozycji dzieła i rysunku głównych postaci w niem występujących. Uwagi te są wogóle bardzo trafne. Szkoda tylko, że na samobójczą śmierć bohatera rzucono pewien blask wielkości. „Bohaterstwem — pisze prof. Tretiak (str. 31) jest w tym samobójczym akcie wielka pokora Otella — spełniła się jego pokuta, umiera, składając pocałunek na ustach Desdemony, powrócił do niej na zawsze, powróciwszy do samego siebie",

Podobnie bałamutnie brzmią słowa wstępu (str. IX) o „mglistej przesłonie młodości i jej uprawnieniu do zaspokojenia swoich zmysłowych pragnień".

Zauważyć trzeba, że przekład Paszkowskiego w tem wydaniu uległ dość licznym zmianom.

Ks. Tadeusz Karyłowski T. J.

Dr Franz Katzinger S. J.: Menschliches Freiheitsbewusstsein. W serji: „Philosophie und Grenzwissenschaften", I. Band, 6. Heft. Innsbruck, Felizian Rauch, 1926. Cena Mk. 3·20.

Profesorowie jezuiccy uniwersytetu insbruckiego rozpoczęli wydawać szereg monografij filozoficznych p. t.: *Philosophie und Grenzwissenschaften,* w których pragną rozpatrywać najnowsze zagadnienia filozoficzne w świetle zasad Arystotelesa, Bł. Alberta W. i św. Tomasza z Akwinu. Wyszło już 6 zeszytów: I. Gatterera: Das Problem des statistischen Naturgesetzes, II. Katzingera: Inquisitio psychologica in conscientiam humanam, III.

Franzelina: Die neueste Lehre Geysers über das Kausalitätsprinzip, IV. Kuenburga: Ethische Grundfragen in der jüngst veröffentlichten Ethikvorlesung Kants, V. Inauena: Kantische und scholastische Einschätzung der natürlichen Gotteserkenntniss, VI. Katzingera: Menschliches Freiheitsbewusstsein.

Ta ostatnia rozprawa dotyczy wciąż aktualnego problemu wolności woli. I to nie tyle istnienia tejże wolności, ile dowodów na nią. Ogół bowiem, nawet filozofów, jak to zaznacza autor (str. 74), nie może zaprzeczyć, że uważamy się za wolnych co do woli, atoli zagadnienie to tak jest zawiłe spekulatywnie, że trudności metafizyczne, stawiane a priori, mogą zachwiać świadectwem danych doświadczalnych i skłonić umysł do powątpiewania, czy przekonanie o wolności woli nie jest czystą złudą. Autor ujmuje zagadnienie w sposób następujący: Nasamprzód przedstawia t. zw. dowód metafizyczny: wolność woli wynika z samej istoty bytu, obdarzonego rozumem (rozdział I). Następnie analizuje istotę naszej świadomości (r. II). Potem zestawia różne fakta, o których donosi nam świadomość, z faktami, jakie przypisujemy wolnej woli (r. III), przyczem uwzględnia obszernie zarzuty Milla przeciw dowodom, czerpanym ze świadomości (str. 42 nn.). Wreszcie w r. IV wykazuje, że mamy świadomość wolności naszej woli, gdyż stwierdzamy w nas nie tylko obecność samego aktu woli, lecz także sposób, w jaki ten akt pochodzi od chcącego podmiotu. Zarzuty Schoppenhauera, jakobyśmy byli sobie świadomi wolności tylko czynów naszych, a nie woli naszej, choć zawierają niejeden element bystrej analizy, nie wytrzymują jednak krytyki. Zasada przyczynowości nie sprzeciwia się bynajmniej wolności woli, albowiem i akt wolny nie jest bezprzyczynowy; wszak pochodzi od podmiotu, jako od swej przyczyny sprawczej, ma więc przyczynę, ale nie ma przyczyny koniecznej, a to są dwie zupełnie różne rzeczy, pomieszane niestety bardzo w filozofji deterministycznej.

Rozprawa ks. Katzingera, napisana jasno a gruntownie, przyniesie pożytek nie tylko filozofom fachowym, lecz i wszystkim, których zajmują głębsze zagadnienia życiowe.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Paul Wilhelm von Keppler: Predigt und hl. Schrift.
Dr Michael Pflieger: Homilien der Zeit.
Leo Wolpert: Unterwegs zum Himmel.
Heinrich Mohr: Das Himmelreich auf Erden.
Wszystko u Herder'a. Freiburg im B. 1926.

Predigt und hl. Schrift jest homiletycznym testamentem, jaki zostawił po sobie słynny kaznodzieja-biskup z Rottenburgu. Wyjęto go z biurka zmarłego i odczytano uczestnikom homiletycznego kursu w Speyer i w Bonn.

Jedną rzecz przeprowadza w swej rozprawce autor świet-

nych „Perykop adwentowych", że Pismo św. powinno być najważniejszym czynnikiem w kazaniu. *Habet scriptura sacra haustus primos, habet secundos, habet tertios.* Kaznodzieja powinien ustawicznie pić z tej krynicy żywej wody, spoufalić się z Pismem św. Prawdy boże, odczute indywidualnie, nadadzą kazaniu namaszczenie, urok zniewalający, siłę przekonania.

Nauczy się kaznodzieja, jak głębokie tajemnice wiary unaocznić, prawdy oderwane uplastycznić, najwznioślejsze zasady zastosować do codziennego życia. Pismo św. bowiem to nic innego jak najdoskonalszy owoc tego mistycznego procesu wcielenia słowa bożego w słowa ludzkie. Słowem, zmobilizował Keppler wszystkie argumenty, by pobudzić kaznodziejów do studjowania słowa bożego, zawartego w księgach św. Jest to owoc zebrany z jego długoletniej praktyki kaznodziejskiej, jak również streszczenie jego usiłowań o podniesienie wymowy kościelnej.

Homilje Pfliegera należą do rzędu homilij wyższych. Dominuje jedna idea, w jej służbę wciąga autor wszystko, co w liturgji danej niedzieli może być wyzyskane dla uwypuklenia lub ozdoby obranej myśli, dla uzyskania odpowiedniego nastroju a więc modlitwy, graduał, epistołę, brewjarz. To wszystko mieści się na 3, najwyżej 4 kartkach zwykłej ósemki; stąd pewne najeżenie myśli, bez ich harmonijnego i retorycznego rozprowadzenia. Autorowi chodziło zresztą nie o stworzenie klasycznej formy homiletycznej, ale o szereg zwięzłych, lapidarnych formuł, ujmujących zagadnienia życiowe w zasady Ewangelji.

Homilje głoszone były przeważnie po większych miastach do młodzieży szkół wyższych. Sam autor należy do wybitniejszych kaznodziei wiedeńskich jak Linhardt w Monachium, Fahsel w Berlinie.

Książka Wolperta to rodzaj czytanek na poszczególne niedziele. Opowiadania z historji, podróży, żywotów, dostrojone do charakteru święta, powiązane wspólnym celem, wytkniętym w nagłówku, przetkane praktycznemi wskazówkami, skierowanemi w stronę czytelnika. Podobny charakter nosi również książeczka Mohra, którego Niemcy nazywają drugim Albanem Stolzem raczej, naszem zdaniem, dla reklamy niż dla rzeczywistej wartości. Nie stanowią wybitniejszych zjawisk kaznodziejskich dwa wyżej wymienione dziełka; wita się je tylko jako dwa, świeżo wyrośnięte pędy, przyłączające się do całej już masy pospolitych kwiatów, pokrywających wiosenne łąki.

Ks. J. Godaczewski T. J.

Mgr. Laveille: Le Cardinal Mercier, Archevêque de Malines (1851—1926), Editions Spes, 17, rue Soufflot, Paris (V-e), 1926 (Str. XIV + 240).

O sympatycznej postaci ś. p. ks. kardynała Merciera pisały po jego śmierci wszystkie dzienniki, oceniały jego działalność róż-

ne pisma naukowe. Najwszechstronniej może przedstawiono ją w *Revue néo-scolastique*, 1926, filozoficznym kwartalniku lowańskim, założonym przez zmarłego kardynała, pionjera filozofji neoscholastycznej. Ktoby pragnął miłej informacji o życiu i czynach wielkiego prymasa Belgji, szczerego przyjaciela Polski, przeczyta chętnie monografję mgra Laveille, poprzedzoną przedmową belgijskiego ministra, Cartona de Wiart. Znajdzie tam opisane z miłością dziecięce lata kardynała, jego lata szkolne, zajęcie się filozofją tomistyczną na życzenie samego Leona XIII, jego pracę pasterską na urzędzie arcybiskupim, jego postawę nieustraszonego obrońcy ojczystego kraju, ciemiężonego przez najeźdźcę, jego cnoty i uznanie świata całego. Czyta się ten życiorys prawie jednym tchem, jakby jaką najbardziej czarującą powieść współczesną, a dobrzeby było, gdyby jej przekład na nasz język ukazał się jak najprędzej na półkach księgarskich.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Dr J. Kostrzewski: Wielkopolska w czasach przedhistorycznych, wyd. II. Poznań Fiszer i Majewski, 1923, str. 345 in 8-vo

W dziesięć lat po pierwszem wydaniu, drugie wysłał w świat zasłużony badacz-archeolog. Dzieło swe rozszerzył w ten sposób, że przedstawia nam w niem nietylko wykopaliska w Poznańskiem, ale na całym obszarze całej Wielkopolski, uwzględniając sieradzkie, łęczyckie i Kujawy. Jest to więc obraz prehistoryczny ziem rdzennie polskich, a przedstawiony w tej formie popularnej, by przeciętny inteligent mógł nabrać nietylko szacunku do tych zabytków, jakie może napotka przypadkowo na swej roli, ale nawet żeby nierozważnem wykopywaniem nie uszkodził ich: nadto przedstawia ta książka w jasny sposób, że ziemie nasze były naszemi odwiecznie, i to nawet te części z jakich dzisiaj niektórzy politycy rezygnują lub rezygnowali.

Celem książki jest rozbudzenie zamiłowania tej ziemi złączonej z naszemi dziejami. 856 rycin i 16 tablic objaśnia tekst. Okoliczność, że przypiski z balastem naukowym i skorowidzem, dopiero w końcu książki umieszczono, sprawia, że czyta się ją lekko i przyjemnie. *K.*

Roman Sanguszko, zesłaniec na Sybir z r. 1831. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927. Str. 210.

Na książkę złożyły się pamiętniki matki Romana, księżnej Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej, oraz korespondencja rodzinna. Przedmowę napisał H. Mościcki. Wydanej pod względem typograficznym wytwornie i ozdobionej kilkunastu doskonałemi rotograwjurami, a w egzemplarzach luksusowych — czterema światłodrukami, książce tej daleko wszakże do tego, by być monografją męczennika za sprawę narodową, wielkiego obywatela, jakim był książę Roman Sanguszko (ur. 1800, um. 1881 r.). Na

monografję wyczerpującą zasługuje bez wątpienia ta spiżowa iście postać i głęboko chrześcijańska dusza. Tymczasem w wydanej obecnie książce mamy tylko jej przypomnienie — bardzo na czasie, gdy odczuwamy dotkliwy brak prawdziwie wielkich charakterów.

J. U.

Ks. Dr Felix Puchalski: K a z a n i a p a s y j n e. Nakł. druk. archid. „Polak-Katolik", Warszawa, 1927. Str. 32.

Sześć kazań, ujmujących w sobie całą Mękę Pańską, od Ogrojca aż do Ukrzyżowania. Wszystkie kazania urobione są według jednej modły: wstęp i 2 części, i to pierwsza część teoretyczna, druga praktyczna, Chrystus ongiś wobec sobie współczesnych i Chrystus dziś wobec nas. Szanowny Autor nie zajmuje się ani kwestjami teologicznemi odkupienia, nie wnika nawet głębiej w psychologję osób, działających w czasie Męki Zbawiciela; jego jedyną zaletą jest sposób przedstawienia scen pasyjnych. Opisy wyraźne, żywe, powiedzielibyśmy dziś kinomatograficzne. W części praktycznej może za wiele pytajników i wykrzykników, jak na drukowane kazanie. Przy czytaniu zrywają oczy wyskakujące z linji drukarskiej litery, ale to już nie wina Autora.

Ks. J. G.

Ż y c i e W o l n e. Miesięcznik pod kierownictwem Romualda Minkiewicza. Rok I. Nr 1. Warszawa. Styczeń 1927.

Jeszcze jeden organ, jeszcze jednego stowarzyszenia wolnomyślicieli polskich! Dla odmiany przybrał organ tym razem nazwę *Życie Wolne*, a stowarzyszenie przyjęło miano „Polski Związek Myśli Wolnej". Takich czasopism i takich stowarzyszeń mieliśmy już kilka, a wszystkie zeszły z tego świata śmiercią naturalną, po krótkiem a niesławnem istnieniu. Nie potrzeba było dla ich zagłady ani stosów inkwizycji, ani klątw kościelnych, ani sprzysiężenia klerykałów. Jedne po drugich umierały cicho na nieuleczalną jałowość myśli, na chorobliwe zamiłowanie niedorzecznego frazesu, na zupełny brak sił twórczych i pozytywnych czy to wartości czy celów. Sądząc po okazowym zeszycie, trudno wątpić, że i nowemu organowi p. Minkiewicza rezerwują nieba podobny koniec. Kiedy zaś godzina tego zgonu wybije, będzie potrzeba nowego „sądu Ozyrysa", by sprawiedliwie rozstrzygnąć o przynależności nieboszczyka, bo niewątpliwie będą się o niego spierać te same dwie „nieśmiertelne idee", które kłóciły się niegdyś o duszę zmarłego egipskiego ministra. Jak sąd wypadnie — trudno przewidzieć, ale sądzimy szczerze, że przedmiotowi tego sądu byłoby bardziej do twarzy w jakiemś państwie „Psunabudesa IV" — nie w Polsce.

Ks. J. Rostworowski T. J.

(Wykaz nadesłanych książek, ogłoszony będzie w następnym zeszycie).

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pięciolecie rządów Piusa XI. — Położenie Kościoła katolickiego w Jugosławji. — Z walk i cierpień katolików meksykańskich. — Tarcia w łonie prawosławnej cerkwi. — Nowe zabiegi marjawickich sekciarzy.

12-go lutego bież. roku dobiegło pięć lat od chwili, gdy na skroniach kardynała-arcybiskupa Medjolanu, byłego przedstawiciela Stolicy świętej w Polsce, spoczęła tjara papieska. Pięć lat, przy dzisiejszym, tak niezmiernie szybkim biegu dziejów, to przeciąg czasu bardzo poważny. Pięć lat spędzonych na Stolicy Piotrowej, to okres aż nadto dostateczny, żeby na kartach historji zostawić wizerunek swej osoby, nie tak, jak się przedstawia z pozorów, ale tak, jak jest w rzeczywistości i prawdzie. W obrazie, na jaki się składa pięcioletnia działalność Piusa XI, coraz wyraźniej występują rysy prawdziwej wielkości.

Co charakteryzuje rządy obecnego papieża, to z jednej strony prześliczna prostota, z drugiej rozmach wielkich poczynań, przeprowadzanych śmiałą, konsekwentną wolą. Pius XI jest prosty i jako człowiek prawdziwie nowożytny i jako mąż głębokiej nauki i jako umysł wyższy, który przykłada wagę do treści, nie do formy. Ale pod osłoną tej prostoty w jego myślach i czynach wszystko jest na wielką miarę. Przebiegając z kolei dokonane przezeń dotychczas lub rozpoczęte dzieła, odnajduje się wszędzie piętno niepospolitego rozumu i serca.

Od pierwszych chwil objęcia steru łodzi Piotrowej zwróciły się oczy papieża przedewszystkiem na europejski Wschód, szarpany straszliwym wewnętrznym przewrotem. Celem gorących pragnień Ojca chrześcijaństwa było pozyskanie Kościołowi błądzących braci, ale zanim się im zaniosło prawdę, trzeba było podać chleb ginącym z głodu. Pełen ufności w pomoc Bożą i ludzką, organizuje Pius XI olbrzymią misję

ratunkową, która kosztem miljonów lir i ogromnym osobistym wysiłkiem swych członków, setkom tysięcy najuboższych przychodzi ze skuteczną pomocą. A w ślad za tą działalnością skierowaną do poratowania ciał, idzie nieustanna praca nad zbawieniem dusz wschodnich. Może żaden z poprzednich papieży nie podjął w tym kierunku tylu starań, nie założył tylu dzieł, nie zainicjował tylu ruchów.

Ale Rosja i Wschód, jakkolwiek rozległe, nie mogły wypełnić całego serca najwyższego Pasterza. Wzrok jego biegł dalej i obejmował z tęsknotą szerokie krainy, błądzące jeszcze w mroku, a jednak „białe już ku żniwu". Więc wyszedł znów z Watykanu impuls do misyjnego dzieła tak potężny, jakiego dawno już nie widziano. Wspaniała encyklika o misjach, urządzenie ogromnej wystawy misyjnej, organizacja wielu misyjnych dzieł i przedsięwzięć, wielki nacisk na wyrabianie w terytorjach misyjnych tubylczego kleru, uwieńczony niedawno wyświęceniem pięciu biskupów chińskich — to tylko suche i bardzo niezupełne zestawienie prac Piusa XI, podjętych dla zewnętrznej ekspanzji Królestwa Zbawiciela.

A na wewnątrz tego królestwa rozwijała się działalność nie mniej zbawienna i nie mniej intensywna. Wytknąwszy sobie prześliczne hasło *Pax Christi in regno Christi,* nie przestał Ojciec św. do tak określonego celu wytrwale dążyć. Poczynając od pierwszego orędzia, jakiem zwrócił się do całego Kościoła, raz po raz przypominał, czego w publicznem i prywatnem życiu pokój Chrystusowy wymaga, wchodził w drobne nawet szczegóły społecznych, rodzinnych, indywidualnych stosunków, a jeśli coś, czy to w teorji czy w praktyce, czy wewnątrz czy zewnątrz, nie poddawało się panowaniu Bożego pokoju, nie wahał się wystąpić tak stanowczo, jak świeżo jeszcze w sprawie meksykańskich zbrodni, albo w kwestji konserwatywnych nacjonalistów francuskich.

A obok tej działalności, rozwijającej się na samej ziemi, szła inna, przekraczająca już te granice, któremi ziemia styka się z niebem. Mało który papież w ciągu tak niewielu lat tyle potrafił zrobić dla uczczenia świętych. Cały szereg bohaterów kościelnych przez uroczystą beatyfikację stanął na ołtarzach lub przez kanonizację dostąpił czci najwyższej; inny szereg doczekał się wspaniałych jubileuszów, jak zwłaszcza św. Tomasz z Akwinu, św. Franciszek z Assyżu, święci Alojzy i Stanisław; cały świat w przeobfitej mierze dostąpił łask *anni sancti;* w poczet świąt roku kościelnego weszła prześliczna uroczystość Chrystusa-Króla.

Jeżeli zaś do tego dodamy rosnące wciąż brzemię apostolskiej „troski o wszystkie kościoły", nie trudno nam bę-

dzie uwierzyć, że na te pięć lat najwyższego pasterstwa złożyły się u Piusa XI „dni pełne". Pełne pracy i wysiłku myśli, pełne modlitwy i ofiary, pełne dobrych uczynków miłosierdzia i miłości dusz ludzkich. Nic więc dziwnego, że na obecną rocznicę ze wszystkich kościołów katolickiego świata wzbiło się w niebo rozgłośne *Te Deum* i z miljonów serc popłynęły do Rzymu życzenia: *ad multos annos*. Niechże z temi życzeniami złączy się głęboka wdzięczność serc polskich dla wielkiego Przyjaciela naszej Ojczyzny. A skromne, do dziś dnia nietknięte, mieszkanie, które jeszcze 7 lat temu Msgr. Ratti zajmował w plebanji św. Aleksandra przy ulicy Książęcej w Warszawie, niech będzie drogą pamiątką tych chwil, które Najwyższy Pasterz u nas przepędził na najgorliwszej pracy dla naszego prawdziwego dobra.

Wedle oficjalnej statystyki, sporządzonej w roku ubiegłym, ludność zjednoczonych trzech krajów Serbji, Chorwacji i Slawonji przedstawia pod względem religijnym tak urozmaicony obraz, że liczy 5,602.000 prawosławnych, 4,735.000 katolików łacińskiego, a 41.000 słowiańskiego obrządku, 216.000 protestantów różnych odcieni, 1,357.000 mahometan, 64.000 żydów. Jak z tego zestawienia widoczna, liczba wyznawców innych religij razem wziętych blisko o miljon przewyższa ilość zwolenników miejscowej, schizmatyckiej cerkwi. Pomimo to, jak w politycznym, tak też w religijnym kierunku prawosławni Serbowie uważają się za wyłącznych panów i traktują swój autokefaliczny kościół jako przedstawiciela jedynie pełnouprawnionej, państwowej religji. Że skutkiem tego inne wyznania religijne muszą doznawać upośledzenia, to jest rzecz jasna. Żadna jednak społeczność wyznaniowa nie ma tyle do cierpienia od fanatycznego odszczepieństwa, ile, nie obroniony dotąd żadnym konkordatem, uważany przez Serbów za groźnego przeciwnika, katolicki Kościół. Polityka rządu względem Kościoła, to nieprzerwany szereg dotkliwych szykan, rzeczywistych krzywd, ciężkiego i wielostronnego ucisku. I tak, żeby wymienić choć kilka szczegółów tego chronicznego a konsekwentnego prześladowania, przez t. zw. reformę agrarną odebrano wyższemu i niższemu duchowieństwu główne źródło dochodów, a zasiłki rządowe wypłaca im się w bardzo skąpej mierze; szkołom katolickim na wszelki sposób utrudnia się istnienie, a uczniom zabrania się udziału w jakichkolwiek stowarzyszeniach, któreby zamykały się tylko w obrębie jednego wyznania; do wyższych stanowisk tak cywilnych, jak wojskowych nie dopuszcza się nigdy katolików, a na urzędników wywiera się wprost presję w celu przyjęcia prawosławia; dzieci szkolne i żołnierzy katolickich zmusza się nieraz

do udziału w prawosławnych nabożeństwach; działalności zgromadzeń zakonnych przeciwstawia się największe trudności i utrudnia się też w najwyższym stopniu przejście inowierców na katolicką wiarę. A przeciwnie, gdy garstka upadłych kapłanów zawiązała, na wzór czeskiego, narodowy t. zw. starokatolicki kościółek, sekta ta znalazła u rządu najżyczliwszą opiekę. Głowa „republikańskiej chłopskiej partji chorwackiej", sam odstępca od Kościoła, Stefan Radicz użył całego swego wpływu, żeby z tych „starokatolików" zrobić pomost dla zbliżenia Chorwatów do prawosławnych Serbów. I byłoby zapewne w tym kierunku doszło do pewnych sukcesów, gdyby ostatniemi czasy, po śmierci Paszicza, Radicz ze swem stronnictwem nie był przeszedł do opozycji.

W toczących się ciągle pertraktacjach o konkordat ze Stolicą świętą kładzie rząd jugosłowiański główny nacisk na dwa punkty. Najpierw pragnie on przenieść siedzibę prymasa z Zagrzebia do Belgradu, z wydzieleniem dla nowego arcybiskupstwa części terytorjum diecezji Diakowa, powtóre żąda, żeby nawet w kościołach łacińskiego obrządku wprowadzony był, jak to ma miejsce w pewnych częściach Istrji i Dalmacji, słowiański liturgiczny język. Czy się Rzym na te punkty zgodzi, przewidzieć dotąd niepodobna, bo w jednem i drugiem żądaniu kryją się dość znaczne niebezpieczeństwa. I tak co się tyczy przeniesienia prymasowskiej stolicy, pominąwszy już względy tradycji, jest rzeczą jasną, że prymas rezydujący w prawosławnym Belgradzie byłby zanadto wystawiony na bezpośrednie wpływy niechętnych sfer rządowych; co się zaś tyczy liturgicznej mowy, sławizowanie nabożeństwa, choć oświadcza się za niem szereg katolików świeckich a nawet duchownych, byłoby może pewnem zatarciem granic dzielących kościoły, a w każdym razie dużą przykrością dla licznej w kraju katolickiej ludności węgierskiej i niemieckiej. Już zaś jeżeli gdzie, to w Jugosławji konieczna jest katolikom zgoda, by mogli wojującemu serbskiemu prawosławiu skuteczny stawić opór. Niestety tej zgody wśród katolików aż nazbyt często brakuje. Jeszcze całkiem świeżo w taki sposób ukonstytuowały się obozy, że katoliccy Słoweńcy, wszedłszy do t. zw. szóstego rządu Uzunowicza, poszli ręka w rękę z Serbami przeciw Chorwatom.

Z pomyślnych dla Kościoła jugosławiańskiego wydarzeń należy zanotować to, że mimo wszystkich, przez rząd i ludność stawianych trudności, liczba katolików w Belgradzie powoli wzrasta i dochodzi już do 15.000. Dla tej gromadki wiernych powstała niedawno pierwsza i jedyna w mieście — poza maleńką kaplicą austrjackiego poselstwa — katolicka świątynia. Około tego domu Bożego, obsługiwanego przez

OO. Asumpcjonistów, grupuje się szereg dzieł katolickich i stowarzyszeń, także dla studentów uniwersytetu, a w roku ubiegłym doczekano się tej pociechy, że pierwszy raz po długich wiekach udało się wyjść na ulice miasta z uroczystą procesją Bożego Ciała. Jest nadzieja, że ten ośrodek katolicyzmu, otoczony jeszcze wrogim żywiołem oficjalnej cerkwi, będzie działał jak kwas ewangeliczny, pociągając powoli umysły ku prawdzie.

Wbrew wszystkim tak przemilczeniom, jak tendencyjnym fałszom, które ma na sumieniu prasa przedewszystkiem socjalistyczna,[1]) w Meksyku trwają dalej, z jednej strony brutalne prześladowanie Kościoła i wiary, z drugiej wspaniały heroizm kapłanów i wiernych w obronie najświętszych skarbów. Pomimo, że większość biskupów jest na wygnaniu, w więzieniu, albo w koniecznem ukryciu, pomimo, że do kapłanów i przywódców „ligi obrony religijnej" stosuje rząd najsurowsze, nieraz krwawe, represje, pomimo że banda złoczyńców, będących obecnie przy władzy używa wszystkich środków gwałtu i podstępu, żeby złamać energję katolickiej ludności, opór jej przeciw bezbożnym prawom nietylko trwa, ale potęguje się i szerzy. Do niedawna poprzestawano w tej mierze na licznych protestach i adresach do rządu, na demonstracjach religijnych i na zorganizowanym bojkocie sprzyjających rządowi sklepów i instytucyj — ostatniemi czasy porwano się do orężnej walki. Kler do niej nie nawoływał — oskarżenia rzucane w tym względzie przez Calles'a i jego zwolenników są prostem oszczerstwem — ale nie można się dziwić, że katolicki naród, niegodziwie tyranizowany przez garść zbrodniarzy, postanowił wreszcie z bronią w ręku upomnieć się o najświętsze swobody. Meksyk katolicki wziął się do obrony i walczy z rosnącem powodzeniem. W stanach Vera-Cruz, Jalisco, Guerrero, Oahaca, Tabasco, Durango, Zacatecas, Chihuahua, Hidalgo, Michoacan i Sonora od trzech miesięcy szerzy się powstanie, obejmując coraz to szersze kręgi.

Pierwszą iskrą wielkiego pożaru była ruchawka wśród katolickiego plemienia Indjan Yacki w stanie Sonora. Do dzielnych tych górali przyłączył się niebawem generał Gallegos z partją

---

[1]) Smutny rekord w tem sianiu najzłośliwszych i najbezsensowniejszych fałszów wziął tow. Żuławski w naszym „Naprzodzie". Między innemi rzeczami, które „widział", w kwitnącym pod rządami Calles'a i zupełnie spokojnym Meksyku, opowiedział nam o miastach liczących 5.000 mieszkańców, a mających po 300 zgórą kościołów, o zarosłej trawą drodze do katedry w stolicy kraju, o kilku świątyniach w każdej najmniejszej wiosce itp. itp.

żołnierzy, jaką zawsze łatwo zebrać w nawykłym do rewolucyjnych ruchów kraju. Komunikaty rządowe ogłosiły wprawdzie *urbi et orbi,* że pierwsze te próby oporu zostały doszczętnie zgniecione, ale te doniesienia musiały być w znacznej niezgodzie z rzeczywistością, skoro po tej rzekomej porażce powstanie nietylko nie ustało, ale objęło cały niemal rozległy kraj. Na czele jego stoi w tej chwili 3-ch generałów, Mikołaj Fernandez, Jan Galindo i Augustyn Escobar pod ogólnem dowództwem generała Gonzales de Arteaga, a z sąsiedniego Texas przedostał się przez granicę oddział partyzantów, zebranych przez bohatera, którego imię jest dziś na wszystkich ustach, Renata Kapistrana Garza. Wojska rządowe to tu, to tam, podejmują karne ekspedycje i staczają potyczki, ale że skutkiem ostatecznego rozgoryczenia ludności wszędzie niemal spotykają wrogów, nie mogą odnieść trwałych sukcesów. Niedługo już, jak można mieć nadzieję, wszystkie ruchy powstańcze się skoordynują i wspólnemi siłami przypuszczą szturm do siedziby czerwonego dyktatora, na którego miejsce przeznaczony już jest bohaterski Garza. W jakim zaś duchu odbywa się ten poryw całego uciśnionego narodu, to najlepiej pokazuje manifest generała Gonzalez, który do całego kraju zwrócił się z następującą odezwą:

Wybiła dla nas rozstrzygająca godzina! Cały nasz naród jest w moralnej ruinie. Po kolei utraciliśmy wszystkie swobody. Zdeptano nogami nasze prawa ludzkie, wdarto się w nasze ogniska domowe, porwano się na naszą wiarę. Spróbowano nas zmusić do tego bezeceństwa, byśmy bez obrony wydali duszę naszych dzieci na pastwę szkaradnego zepsucia. Przed obliczem świata całego, który nas żałuje i za nas się modli, okrywają nas szyderstwem i wstydem wewnętrznej niewoli. Skrzywiono, zbezczeszczono przedstawicielstwo narodu; w krwi kobiet i dzieci utopiono obywatelskie wystąpienia ludu, który chciał podnieść głos w swej obronie... Padliśmy ofiarą niedorzecznych i tyrańskich praw, które depcą swobody, przyznawane wszystkim cywilizowanym narodom i narażają nas na konflikty, w których może zginąć i nasza suwerenność i niezależność. Przyszedł już czas, żeby czynniki zdrowe, które stanowią ogromną większość kraju, chwyciły się tego prawa, jakie przysługuje ludom tak uciśniętym, jak nasz, prawa zbrojnego powstania. To prawo obecnie już wykonujemy. Obejmując dowództwo grupy zdecydowanych patrjotów, ludzi honoru, którzy włożyli na nasze ramiona ogromny ciężar cywilnej i wojskowej władzy, zwracam się uroczyście do całego ludu meksykańskiego, aby przez zdecydowaną, mężną, energiczną współpracę dopomógł do wielkiego dzieła wyzwolenia... Musimy raz skończyć ze zdrajcami, co przez swe skrytobójcze zamachy krwawią naszą ziemię; musimy położyć koniec religijnemu prześladowaniu; musimy przeszkodzić zagładzie wiernych Yacki'sów, członków rodziny meksykańskiej, którym prześladowcy grożą zupełnem zniszczeniem. Program tego uzdrowienia narodu, jakie przedsiębierzemy w tej chwili, w stosownym czasie damy poznać krajowi, a teraz idziemy w bój za Boga, za ojczyznę i wolność.

Wyniku tego boju z bijącem sercem oczekuje cały świat chrześcijański i z miljonów serc wznosi się modlitwa, by zwyciężyło prawo i prawda przeciw bezprawiu i zbrodni.

Jak donosiliśmy w poprzednim zeszycie, styczniowy zjazd delegatów prawosławnych eparchij Rzeczypospolitej polskiej wywołał duże niezadowolenie wśród szerokich kół prawosławnej ludności i niższego duchowieństwa. Zarzucano temu zjazdowi, że zwołany był w tajemnicy, bez odpowiedniego przygotowania i uświadomienia uczestników, że składał się z ludzi zgóry naznaczonych przez władzę duchowną, a nie wybranych przez niższy kler i wiernych, że wreszcie nie był czem innem, tylko zamaskowanym aktem absolutyzmu wyższych władz cerkiewnych, dla wprowadzenia w prawosławie Polski synodalnego, a nie sobornego ustroju. Wymownym wyrazem tych żalów do episkopatu jest memorjał, który całkiem świeżo osobna ukraińska delegacja wręczyła rządowi i ustawodawczym ciałom, imieniem prawosławnej ludności Wołynia. Memorjał ten poddając ostrej krytyce zjazd warszawski, sposób jego urządzenia, wystosowane do rządu memorandum, a nadewszystko uchwalony na zjeździe statut cerkiewnego ustroju, wyraża nakoniec usilną prośbę, by ten statut nie otrzymał aprobaty rządowej i był na nowo opracowany wspólnym wysiłkiem synodu, kleru i przedstawicieli wiernych. Wspominane już przez nas w poprzednim zeszycie pismo *Za swobodu* wymienia cały szereg powag wśród świeckich członków cerkwi, które z duchem i postulatami ukraińskiego memorjału sympatyzują.

Jak widoczna, mamy tu do czynienia w łonie schizmy z podwójnym, głęboko różnym kierunkiem. Episkopat stara się podtrzymać skupienie władzy cerkiewnej w nielicznych rękach najwyższych dostojników, złączonych w synodzie; z dołu idzie prąd, który żąda przebudowy kościelnego ustroju w duchu demokratycznych zasad t. j. *sowmjestnawo uprawlenia w cerkownoj żyzni episkopata, klira i wierujuszczych.* Zwolennicy drugiego poglądu zarzucają pierwszemu, że wznawia idee „smutnej pamięci" Pobjedonoscewych i Sablerów, oraz, że stoi w rażącej sprzeczności nietylko z tradycjami i kanonami wschodniego kościoła, ale nawet z Pismem świętem; zwolennicy pierwszego poglądu są zdania, że w drugim odzywa się nie miłość tradycji cerkiewnej, ale wpływ pojęć, wiejących obecnie od Wschodu.

Że synodalna organizacja zasadom kościelnym nie odpowiada, to jest rzecz doskonale znana. Czy jednak na razie, w braku lepszego ustroju, ta właśnie synodalna organizacja nie jest dla cerkwi zabezpieczeniem jakiejkolwiek jednolitości i wnętrznej siły, to jest pytanie, na które nie odważylibyśmy się przecząco odpowiedzieć. Nam się wydaje, że demokratyczne aspiracje pewnych kół prawosławnej ludności są istotnie ożywione duchem nie starej cerkiewnej tradycji, ale nowych, za kordonem bolszewickim szerzących się haseł. Że zaś za

zastosowaniem tych haseł musi iść rozkład, to z wszelką oczywistością pokazuje najnowsza historja. Wewnątrz republiki sowjetów przedstawia dziś prawosławie smutny obraz prawdziwie babilońskiego zamieszania, a nawet wśród emigracji, po podkopaniu zasady autorytetu, pełno rozterek i waśni. Świeżo rzucona przez synod rezydujący w Karłowcach ekskomunika na metropolitę Eulogjusza i zlekceważenie owego aktu przez tego ostatniego, są jednym z wielu dowodów postępującego w szybkiem tempie rozstroju. Lekarstwem zaś na ten rozstrój nie będzie ani synodalny, ani demokratyczno-soborny ustrój, tylko powrót do ustanowionej przez Chrystusa podstawy jedności katolickiej. Niestety o tym środku prawosławni dotychczas niechętnie słuchają. Można się obawiać, że piękna, gorąca odezwa do „błądzących braci", którą 14 lutego b. r. wydał w Wilnie kapłan wschodnio-słowiańskiego obrządku, ks. Włodzimierz Leśniobrodzki pozostanie, jak tyle innych, głosem wołającego na puszczy.

Grudniowy zeszyt wychodzącego w Jerużalem, kościelnego czasopisma „Nea Sion" przyniósł wiadomość o nowych zabiegach marjawickich sekciarzy celem zjednoczenia się ze wschodniem prawosławiem. Jesienią ubiegłego roku wybrała się w podróż delegacja złożona z „arcybiskupa" Kowalskiego, trzech biskupów, trzech księży i pięciu zakonnic, aby uzyskać u trzech patrjarchów wschodu i u głowy kościoła serbskiego uznanie wspólnoty religijnej. Wspomniane pismo zamieściło w nowogreckim języku obszerny memorjał, z którym owa delegacja zwróciła się do schizmatyckiego patrjarchy Jerozolimy, przedstawiając mu streszczenie marjawickiej wiary i kościelnego sekty ustroju. W streszczeniu tem charakterystyczne jest tylko coraz wyraźniejsze zbliżanie się dogmatyczne do prawosławia, nawet z pominięciem głównego artykułu wiary t. j. przekonania o powierzonem „Mateczce" Kozłowskiej uniwersalnem pośrednictwie w rozdawaniu łask. Czy ów memorjał odniósł swój skutek, niewiadomo, bo „Nea Sion" ani słowem o tej kwestji nie wspomina. Jeżeliby jednak wschodnie kościoły dopuściły były do uczestnictwa duchowego naszych polskich sekciarzy, byłyby sobie wystawiły bardzo smutne świadectwo. Bo całkiem świeże, a doskonale udokumentowane rewelacje odsłoniły w sekcie marjawickiej już nie tylko zgniliznę, ale najwstrętniejszą ohydę, zaprawioną świętokradztwem i bluźnierstwem. Ci, co zaczęli od wysokiej ascezy życia, zerwawszy więzy posłuszeństwa kościelnego, po trochu stoczyli się w bagno, w którem utonęła nie tylko już cnota, ale elementarna, ludzka uczciwość. *Ks. Jan Rostworowski T. J.*

Biskup Stanisław Zdzitowiecki. (1854—1927).

Powszechnie wiadomo, że na historję narodu składają się i wysiłki zbiorowe i praca jednostek, zwłaszcza jednostek wybitnych i dzielnych, umiejących ująć w swe ręce wolę innych i odpowiednio nią pokierować. Swieżo straciliśmy jedną z takich postaci, która bezsprzecznie wielkie zasługi położyła około budowania duszy narodu. Biskup Stanisław Zdzitowiecki, sprawujący przez 25 lat rządy diecezji kujawsko-kaliskiej, zmarł 11 lutego b. r. Strata to dla Kościoła i Ojczyzny tem dotkliwsza, że niedawno temu jak odeszliśmy od mogił biskupów Pelczara, Bilczewskiego, Cieplaka i Dalbora.

Pragnąłbym z powodu śmierci Dostojnika kościelnego poświęcić kilka słów jego działalności i skreślić, choć pobieżnie, obraz diecezji którą Zmarły kierował.

By ocenić należycie działalność biskupów w byłym zaborze rosyjskim, nie można zapominać o warunkach, wśród których pracowali. To, co dziś uważalibyśmy za czyn zupełnie naturalny, mogło być i niejednokrotnie było powodem pozbawienia człowieka wszelkich praw i zesłania na Sybir. Przykładem choćby arcybiskupi Popiel i Simon. Mimo całej zewnętrznej kurtuazji, z jaką się odnoszono do biskupów, byli carscy urzędnicy autokratami i umieli tak utrudnić pracę, że słabe jednostki przy pierwszym wysiłku się zniechęcały, a mocniejsze, po kilku bezskutecznych zabiegach opuszczały ręce.

Po r. 1863 rząd rosyjski usiłuje dezorganizować ustrój kościelny przez odwlekanie przysługujących mu przedstawień biskupów do nominacji Stolicy Apostolskiej. Zatamować normalną pracę w diecezji, to środek do stopniowego uzależnienia władzy kościelnej od imperjum. Nie chcąc do tego dopuścić, a czując zbliżającą się śmierć, bp. Bereśniewicz zrzeka się władzy z wyraźnym warunkiem, że rząd rozpocznie natychmiast pertraktacje z Watykanem w sprawie obsadzenia opuszczonej stolicy biskupiej we Włocławku. 18 marca

1902 r. kapituła włocławska wybiera wikarjuszem kapitulnym ks. dr. bpa Kossowskiego, sufragana tejże diecezji. W dzień pogrzebu bpa Bereśniewicza Leon XIII podpisuje nominację ks. dr. Stanisława Zdzitowieckiego na biskupa diecezji włocławskiej. Sakrę biskupią otrzymuje nominat w Petersburgu, gdyż tylko tam można było być konsekrowanym, dla dobitniejszego zaznaczenia, że i w rzeczach kościelnych zależymy od stolicy imperjum.

Kościół katolicki w Królestwie był jedyną reprezentacją sił narodu i tak ściśle spajającą te dwa pierwiastki: religijny i narodowy, że każda uroczystość kościelna była i świętem patrjotycznem. Moskale czuli to znakomicie, że my w tych obchodach, zwłaszcza z okazji osób żyjących, robimy rewję swych sił i dlatego na wszelki sposób utrudniano ich realizację, lub zmniejszano splendor zewnętrzny. Przy ingresie bpa Zdzitowieckiego nie pozwolono uczestniczyć w pochodzie alumnom seminarjum duchownego. Cel takiego zarządzenia jasny — obudzić od pierwszej chwili niechęć do tych, z którymi trzeba będzie pracować.

Biskup Zdzitowiecki był człowiekiem opatrznościowym. Po okresie suchego pozytywizmu i nieziszczonych nadziei potrzeba było męża o żelaznej woli, gorącem sercu i taktownego, któryby przeprowadzał plany w ramach ówczesnego życia, albo raczej krępowania wszelkiego życia. Biskup musiał w wielu wypadkach zastąpić nieistniejący rząd polski. Na terenie bowiem kościelnym rozgrywa się walka nie tylko o rząd dusz, ale i o narodowość, o przewagę dwu kultur. Jednym ze środków używanym przy tej walce były listy pasterskie. Nie było większego święta, by biskup nie odezwał się do swych wiernych gorącem słowem ku pokrzepieniu serc. A krzepić umiał. Wszystkie idee, które nurtowały w ówczesnem i dzisiejszem społeczeństwie, były w tych odezwach roztrząsane i oceniane pod kątem prawa Bożego i dobra narodu. W ocenach tych odbijało się pasterskie serce biskupa. Sam nawet język pozostanie niezatartym pomnikiem pięknej polszczyzny, barwnej, żywej i, by tak rzec, pełnej mowy, z której tryska siła życia duchowego. Potoczystość, a zarazem ciągła zmiana rytmu — to uzewnętrznienie drgań duszy prostej i wrażliwej.

Dorywcze odezwy nie mogły dokonać wszystkiego. Potrzeba słowa drukowanego dawała się, zwłaszcza po 1905 r., silnie we znaki. Wsie i miasteczka zalewane były przez agitatorów — przeciwdziałać mu miał „Głos Wiary", który dawał ludowi rzetelną strawę. W czasach okupacji niemieckiej wychodził jako „Gazeta Niedzielna".

Drugą troską biskupa, to zespolenie ściślejsze duchowieństwa tak z sobą, jak i ze swym pasterzem. Ku temu miała służyć reorganizacja instytucji dziekańskiej. Rząd rosyjski jednakże temu się sprzeciwiał, gdyż im obszerniejszą, rozleglejszą była taka jednostka administracyjna (która naówczas, jak i dziś nie tylko administracją, ale i kwestjami duchowemi się zajmuje) tem lepiej

było dla naszych wrogów. Pozbawić księdza kontaktu ze współbraćmi, to najprostsza droga do zamknięcia go w miernocie. Trzeba było posiadać dużo taktu i mocy, by tej skrytej a planowej robocie przeciwdziałać, nie drażniąc zbytnio drugiej strony, zwłaszcza, że ona miała za sobą zawsze argument siły. Bp Zdzitowiecki naznacza wice-dziekanów, którzy mają pracować nad zbliżeniem się księży ze sobą. Mało tego — pierwszy on w Królestwie organizuje zjazdy księży. Zjazdy te miały być okazją wspólnego krzepienia, zaczerpnięcia nowych idei, nabycia zdolności szerszego patrzenia na świat.

Zjazd jednak taki ma ujemną stronę — jest przemijający. Zapał mógł się udzielić chwilowo — to zaś nie wystarczało, bo w warunkach, w jakich żyli księża, trzeba było nie tylko sobie wystarczyć, ale i drugich obdzielić. Ciągłemu kontaktowi współbraci i biskupa miała służyć „Kronika diecezjalna", założona w 1906 r. Miesięcznik ten, dziś redagowany przez ks. prof. M. Morawskiego, jest jednym z najpoważniejszych organów tego rodzaju.

Czasy rządów biskupa Zdzitowieckiego są czasami podniesienia poziomu intelektualnego duchowieństwa i pracy naukowej. Sam rządca o szerokim poglądzie na świat optymizmem swym bardzo zagrzewał do nauki, pomagając materjalnie ludziom uzdolnionym. Ks. Radziszewski wyjeżdża kilkakrotnie zagranicę, by móc później zreorganizować dotychczasowy system nauczania w seminarjum. Przeszkody stawiane przez zaborcę co do wykształcenia duchowieństwa, usunięto częściowo przez założenie liceum, które z czasem rozwinęło się w całkowite gimnazjum. By zabezpieczyć i dalszy rozwój uczelni, wysyła biskup młodych księży zagranicę. Trzeba pamiętać przytem, jak niepokonalne wprost trudności stawiali zaborcy, byleby nas odsunąć od Zachodu, przenosząc n. p. i Akademję duchowną do Petersburga, tembardziej, że ich umysłowość i religja ku Wschodowi ciągnęła. Mimo to wszystko udaje się biskupowi przeprowadzić zamiary. Paryż, Lowanjum, Rzym, Fryburg, Innsbruck, Kraków, wszędzie studjują księża włocławscy. Bez mijania się z prawdą można powiedzieć, że Włocławek najwięcej ze wszystkich diecezyj b. Królestwa miał księży na wyższych studjach zagranicą. Praca nie ograniczała się bynajmniej do teologji. Socjologja, nauki przyrodnicze, matematyka, sztuki piękne, literatura, historja — oto przedmioty którym się poświęcano. A jakiż skutek tego? Plony dziś zbieramy. W seminarjum wprowadzono socjologię i sztuki piękne poraz pierwszy we Włocławku. Przez odpowiednie wykształcenie przygotowano stopniowo grunt na uniwersytet katolicki w Lublinie, którego założyciel i pierwszy rektor, ks. Radziszewski, z Włocławka pochodzi. Na polu nauk społecznych chlubnie odznaczył się przez swe poważne dzieła nad zagadnieniami społecznemi ks. dr. A. Szymański — obecny profesor uniw. lubelskiego. Płodny i wszechstronnie obeznany z zagadnieniami Pisma

św. i kwestją żydowską, ks. Rektor J. Kruszyński, prof. ks. Kremer, ks. Susadowski — wszyscy wyszli z Włocławka. Stamtąd pochodził ks. C. Pęcherski, przedwcześnie zgasły, a wybitnie odznaczający się w dziedzinie historji literatury polskiej. Dzięki też owemu poziomowi mogli księża włocławscy zająć stanowiska rektorów seminarjum w Łodzi, czy Częstochowie. Pierwszym jest ks. Wł. Jasiński, interesujący się stosunkiem inteligencji do Kościoła, drugim ks. dr. Makowski, którego zajmuje szczególnie liturgja. W ostatnich czasach, pod względem organizacji seminarjum, zasłużył się ks. dr. A. Borowski, rektor i profesor moralnej, obecnie wykładający na uniwersytecie warszawskim. Troskliwością otaczane przezeń liceum, dziś kierowane jest przez ks. dyr. Chwiłowicza, który nosi się z myślą (bliską do zrealizowania) założenia obserwatorjum astronomicznego. Nad seminarjum i liceum rozciąga swą władzę ks. dr. Piotr Czapla, autor Zasad duszpasterstwa.

By wysiłki około podniesienia nauk kościelnych nie były na krótki dystans, zakładają profesorowie seminarjum „Ateneum Kapłańskie". Miesięcznik przedstawia się nader poważnie i niejednokrotnie słyszał o sobie sądy pochlebne. Nie zapomniał też zmarły biskup o wyrobieniu inteligencji katolickiej, świadomej swych celów i działającej według zasad Kościoła. B. Królestwo jest pod tym względem upośledzone. By temu zaradzić, organizuje biskup Zdzitowiecki dwa gimnazja: męskie i żeńskie. Oba dotychczas istnieją, spełniając należycie swe zadanie.

Rozszerzyć horyzont umysłowy, a nie zaspokoić serca i nie dać wskazań dla woli — to zrobić człowieka kaleką, rozwijając nadmiernie jedną władzę z uszczerbkiem dla drugiej. Bp Zdzitowiecki rozumiał to dobrze. Był zresztą powołany przedewszystkiem do budowania Królestwa Bożego. Nauka miała służyć temu celowi pośrednio — bezpośredniem zadaniem było umoralnienie. Czcig. O. Łubieński, niejednokrotnie zapraszany, prowadził rekolekcje dla kapłanów i kleryków. Po całej diecezji do dziś odbywają się misje dla ludu, często własnemi siłami. Biskup pragnie utrzymać klasztory męskie i żeńskie, uważając je za szerzycieli pobożności. Szczególną opieką otaczał Jasną Górę i św. Annę, klasztor PP. Dominikanek pod Przyrowem. Dzięki tej gorliwości biskupa dotychczas z pożytkiem wielkim pracują kapłani, czego dowodem, że idee wywrotowe najsłabszy oddźwięk znajdują w diecezji. By utrzymać ducha zapału i poświęcenia wśród duchowieństwa powstaje zrzeszenie kapłanów tej diecezji pod nazwą ks. Charystów.

Interesował się Zmarły nie tylko stroną duchową swych diecezjan, ale także i stanem materjalnym. Wystarczy wspomnieć, że to właśnie w Jego diecezji leży Lisków — wzorowa wieś polska, dziś z tylu instytucjami dobroczynnemi. Lisków istnienie swe zawdzięcza przedewszystkiem ks. Blizińskiemu, ale zachęta, jakiej nie szczędził Pasterz diecezji, wielkim do dzieła była bodźcem.

W Kamienicy Polskiej duże zasługi około tkactwa położył ksiądz Sędzimir.

W biskupie Zdzitowieckim schodzi do grobu jedna z najdzielniejszych postaci, jaka kierowała diecezją, godna wdzięczności tembardziej, że rządy przypadły na trudne nadzwyczaj warunki, gdzie i społeczeństwu trzeba było zadośćuczynić i nie zrazić do siebie rządów zaborczych. Stąd niejednokrotnie był Zmarły narażony na różnorakie wzywania do Petersburga dla tłumaczenia się. Siła woli i oddanie się całą duszą dokonały wszystkiego. Czuł się szczęśliwym, że mógł w wolnem państwie mówić o ukochanej swej ziemi. Niezapomnianym też pozostanie w sercach wszystkich którzy go znali. R. i. p.

Ks. Władysław Miemiec.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 28 lutego 1927 r.

Spis rzeczy tomu 173.

Artykuły.

Str.

J. Rostworowski: Rodzina w zamiarach Opatrzności . . 3
J. Falkowski: Władysław Reymont 16, 206
St. Podoleński: Problem demoralizacji przez literaturę i sztukę 40
Dr. M. Gumowski: Problemy Wawelskie 57
Dr. E. Reicher: Znaczenie i granice sportu 91
E. Kosibowicz: Problem ludów pigmejskich 129, 306
T. Zieliński: Pierścień Szajloka i Pierścień Nibelunga 149, 279
J. Pagaczewski: Ze studjów nad ikonografją św. Stanisława Kostki 170, 325
Dr. M. Skibiński: Francja a Polska 185
J. Rostworowski: O kanonizację Bł. Andrzeja Boboli . 273
A. Kwiatkowski: Profanacja zwłok bł. Andrzeja Boboli w świetle dokumentów 1919—1922 339

Przegląd piśmiennictwa.

Mgr. d'Herbigny: Pâques 1926 en Russie (J. Rostworowski) 103
Gen. Bronisław Grąbczewski: Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspomnień (J. Urban) 104
Stanisław Karczewski: Brzegiem Bałtyku (P. Dzieduszycki) 105
Kucharski Eugenjusz: Aleksander Fredro. Życiorys literacki. (Z. Ciechanowska) 106
Gina Lombroso: La femme aux prises avec la vie (H. Skolimowska) 107
Corpus Catholicorum. Werke katholischer Schriftsteller im Zeitalter der Glaubensspaltung. N. 1—11. (St. Bednarski) . . . 236
O. Edward Hugon O. P.: Zasady filozofji i dwadzieścia cztery tezy tomistyczne (J. Rostworowski) 239
X. Dr. Kazimierz Wais: Ontologja czyli Metafizyka ogólna (Fr. Kwiatkowski) 240

P. Pourrat: La spiritualité chrétienne. III. Les temps moderne. 1-e partie: De la Renaissance au jansémisme (J. Andrasz) . . . 241
Ks. Józef Winkowski: Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej (J. Rostworowski) 243
Stan. Czosnowski: Unja międzyparlamentarna, jej powstanie, organizacja i działalność (J. Urban) 245
Stanisław Kot: Hugo Grotius a Polska (J. U.) 245
Leopold Caro: Myśli Japończyka o Polsce (J. Urban) . . . 246
Ks. Dr. Władysław Wicher: Ks. Szymon Stanisław Makowski, teolog moralista polski z XVII w. (J. Rostworowski) 246
Rozmyślania dla zakonnic, według metody św. Ignacego T. J. Okres Bożego Narodzenia (J. Andrasz) 248
Dom S. Louismet O. S. B.: Życie mistyczne. Przełożyła W. Grafczyńska (J. Rostworowski) 248
O. Wł. Szołdrski C. SS. R.: Dzieje Misyj katolickich w zarysie (J. U.) 249
Zdzisław Dębicki: Z Północy i Południa (J. U.) 249
Joseph Braun S. I.: Handlexikon der katholischen Dogmatik (J.) 250
Robert Lais: Auf der Spur des Urmenschen (R.) 250
Dr. Antoni Peretiatkowicz: Współczesna Encyklopedja Polityczna (P.) 251
Chrześcijanin-katolik na łożu boleści. Wskazówki, modlitwy i rozmyślania w chorobie. Ułożył ks. R. Tomanek (J. R.) 251
Prace historyczno-litetackie w roku 1926 (Z. Ciechanowska) 356
Arnold J. Kwietniowski: T. G. Masaryk, życie i dzieło. Z przedmową Zdz. Dębickiego (J. Urban) 371
Ks. Dr. Glemma T.: Kronika Benedyktynek chełmińskich (1578—1619) (K. Konopka) 373
Dr. J. Geyser: Auf dem Kampffelde der Logik. Logisch-erkenntnisstheoretische Untersuchungen (Fr. Kwiatkowski) . . . 375
Ks. Alfred Hoppe: Chrystus życiem mojem! Rozmyślania dla zakonnic, ze szczególnem uwzględnieniem miejsc działania i psychologji Chrystusa. I tom (J. Pachucki) 376
Birkenmajer L.: Mikołaj Wodka z Kwidzynia (K. Konopka) 376
J. Gredt O. S. B.: Elementa Philosophiae Aristotelico-Thomisticae. Editio quarta, aucta et emendata. Vol. I. Logica et Philosophia naturalis. Vol. II. Metaphysica et Ethica (Fr. Kwiatkowski) 378
Nacjonalizm a katolicyzm. Opinja biskupów, uczonych, polityków, publicystów współczesnych. Przeł. z franc. ks. J. Puzynianka. Przejrzał i wstępem zaopatrzył Prof. Dr. A. Peretiatkowicz (J. Rostworowski) 378
Nowe wydawnictwa „Bibljoteki Narodowej": Kazimierz Brodziński: Mowy i pisma patrjotyczne. Opracował Ignacy Chrzanowski. — Aleksander Fredro: Cudzoziemszczyzna. Oprac. Stan. Windakiewicz. — Aleksander Fredro: Dożywocie. Oprac. Stan. Windakiewicz. — Michał Bałucki: Grube ryby. Oprac. Tempka-Nowakow-

ski. — Wiljam Szekspir: Otello. Przekład I. Paszkowskiego. Opracował Andrzej Tretiak (T. Karyłowski) 379
Dr. Franz Katzinger S. J.: Menschliches Freiheitsbewusstsein. W serji: „Philosophie und Grenzwissenschaften" I Band, 6 Heft (Fr. Kwiatkowski) 380
Paul Wilhelm von Keppler: Predigt und hl. Schrift. — Dr. Michael Pflieger: Homilien der Zeit. — Leo Wolpert: Unterwegs zum Himmel. — Heinrich Mohr: Das Himmelreich auf Erden (J. Godaczewski) 381
Msgr. Laveille: Le Cardinal Mercier, Archevêque de Malines (1851—1926) (Fr. Kwiatkowski) 382
Dr. J. Kostrzewski: Wielkopolska w czasach przedhistorycznych, wyd. II (K.) 383
Roman Sanguszko, zesłaniec na Sybir z r. 1831 (J. U.) . . . 383
Ks. Dr. Feliks Puchalski: Kazania pasyjne (J. G.) 384
Życie wolne. Miesięcznik pod kierownictwem Romualda Minkiewicza. Rok I, Nr. I (J. Rostworowski) 384
Nadesłane 110, 251

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:
Styczeń: Encyklika papieska o prześladowaniu katolicyzmu w Meksyku. — Dokoła enuncjacji Episkopatu polskiego o założeniu religijnem naszego kraju. — Dwie pamiętne chwile w katolickiem życiu Wiednia (J. Rostworowski) 112
Luty: Odznaczenie przedstawiciela Stolicy św. w Polsce. — Rozwój sprawy *Action française* i płynące z niej ważne nauki. — Dekret ministerjalny o nauczaniu religji w naszych szkołach. — Odstępstwo archimandryty Morozowa. — Warszawski zjazd delegatów prawosławnych eparchij (J. Rostworowski) 254
Marzec: Pięciolecie rządów Piusa XI. — Położenie Kościoła katolickiego w Jugosławji. — Z walk i cierpień katolików meksykańskich. — Tarcia w łonie prawosławnej cerkwi. — Nowe zabiegi marjawickich sekciarzy (J. Rostworowski) 385
Z dziejów katolickiego uniwersytetu w Tokjo 120
Zagadnienie wychowawcze w Ameryce (Oktavio Villa) . 123
Pochodzenie t. zw. stylu jezuickiego w budownictwie 127
Pielgrzymka młodzieży polskiej do Rzymu (P. Dzieduszycki) 263
Zakłady wychowawcze w Pruszkowie (St. Podoleński) . 267
Biskup Stanisław Zdzitowiecki (1854—1927) (W. Miemiec) . 393